

WSPOMNIENIA
JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO.

Maksymilian Józef Wiśniewski



JENERAL KLEMENS KOŁACZKOWSKI.
według fotogramu.

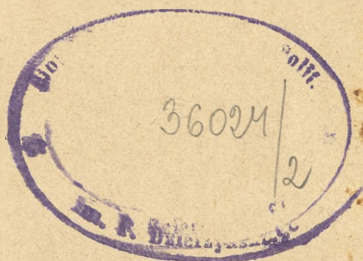
WSPOMNIENIA
JENERAŁA
KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO

KSIEGA I.

od roku 1793 do 1813.

(Z SIĘDMIU RYCINAMI W TEKSCIE).

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.



W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



I.

Rodzina. — Wychowanie. — Pierwsze lata służby (1793—1812).

Urodziłem się w Poznaniu w październiku roku 1793. Trudno byłoby dla mnie oznaczyć, którego dnia na świat się pokazałem, gdyż matka nawet chwili tej oznaczyć już nie jest w stanie, to tylko pewno, że 9 października tegoż roku w kościele parafialnym i kollegiackim św. Magdaleny w Poznaniu, przez księdza wikaryusza Sleciochowicza zostałem ochrzczony. Rodzicami chrzestnymi byli: pan Stanisław Kostka Bniński i pani Katarzyna Miaskowska. Orrzymałem na chrzcie imiona: Klemens, Józef, Eugeniusz. Ostatnie imię to używali rodzice przez niejaki czas; później, nie wiem, z jakiego powodu, zaczęto mnie nazywać *Klemensem* i to imię pozostało mi.

Trudno by było zasięgnąć pamięcią pierwszych wrażeń mojej młodości. Dwa jednakże zdarzenia zostawiły po sobie wyraźne ślady w młodym umyśle. Matka ¹⁾ wracała od ojca swego z Berlina ze mną i ze służącą, w powozie zamkniętym. Niedaleko Poznania, koło młyna wodnego, pocztylion nie trzymając się środka mostu, minął brzeg kołem i obalił powóz,

¹⁾ Matką generała była Józefa Grudzińska, córka Zygmunta, szambelana dworu pruskiego i Teresy z Krasickich.

wpadliśmy do stawu i bylibyśmy życiem przyplącili jego nieostrożność, gdyby nie młynarz i jego ludzie, którzy nas wyratowali; powóz wydobyli i nas zmoczonych i przemarzniętych rozgrzali we własnych łózkach.

Drugi przedmiot, który mnie mocno poruszył, była to kara różg, wymierzona przeciwko dwom dezterterom pruskim na rynku poznańskim. Widok ich pleców zakrwawionych długo mi tkwił w pamięci.

Przybycie nasze do Wojnowa, majątności, nabytej przez mego ojca roku 1797; pożar miasta Poznania, którego łuna odbijała się o nasze okna; pożar naszego folwarku, zagrażający innym budynkom gospodarskim; zamieszanie stąd powstałe w domu naszym i wyniesienie nas dwojga starszych dzieci do karczmy; kara wymierzona nazajutrz przez ojca na opieszających przy ratunku ognia, te wszystkie wypadki żywo mi tkwią w pamięci.

Miałem brata jednego Adama i trzy siostry: Albertynę, Anielę i Klotyldę.

Albercia razem ze mną była przedmiotem pierwszych starań rodziców o nasze wychowanie, według rozumienia owych czasów. Powierzono nas piastunce francuskiej, pani *Le Noir*, która nas wyuczyła języka francuskiego i tym mówiliśmy płynnie i bez akcentu, wprzód nim język ojczysty zaczął się odbijać o nasze uszy. Wprowadzenie do naszego domu księ-

Ks. Tisserand.
dza, emigranta francuskiego, zwanego *Tisserand*, był zuakiem dla nas rozpoczęcia naszych nauk. Był to najgodniejszy ze wszechmiar człowiek, który w nas pierwsze zasady religii i moralności zaszczeplił. Nie przestał na tem, ale według możliwości uczył nas mitologii, geografii powszechnej a nadewszystko francuskiej; następnie historii francuskiej od czasów Faramonda do Ludwika XVI. W tym czasie emigranci francuscy przytułek i gościnność nieograniczoną u nas znajdowali. Dość było nosić imię francuskie, aby zostać przyjętym do naszych domów, gdzie od tego zaczynali, aby nami gardząc, nazywając barbarzyńcami, a korzystając z na-

szego zaślepienia, stać się arbitrami gustu i obyczajów. Przybywali oni do nas z przesądami narodowymi, które w nas wpajali, a ponieważ im wyższość w każdym względzie przyznawali, zaczęli nadużywać tej gościnności i wielu z nich stało się niewdzięcznymi. Rodzice moi niejedno smutne doświadczenie w tej mierze zrobili. Co do nas dzieci, ja i siostra wkrótce znaczne postępy uczyniliśmy w mitologii i w historii Faramonda z wielkim zadowoleniem rodziców i księdza Tisseranda.

Wczem jednak niewygasłą wdzięczność zachowaliśmy dla czcigodnego księdza, że podstawę założył w naszych umysłach w ważniejszych przedmiotach, a tymi są prawidła religii i moralności, któremi się dotąd powodujemy z jego natchnienia, a które są naszą pociechą w starości i pomocą zbawienną w wielu przeciwnościach naszego życia. Ksiądz Tisserand pozostał trzy lata w domu rodziców i to był czas dla nas wszystkich bardzo szczęśliwy. Nie pamiętam, abym od niego odebrał innego napomnienia, jak słowem łagodnym. Kary cielesnej nie zadał mi nigdy. Uczyłem się dobrze i chętnie. Pochwała z jego strony była najlepszym bodźcem, najlepszą nagrodą. Rodzice z największą ufnością zawierzali jego kierunkowi i nigdy zawiedzionymi nie zostali. Przypominam sobie dziś jeszcze, iż za najpiękniejszą uważałem sobie nagrodę, kiedy księdzu Tisserandowi mogłem do mszy służyć w parafii naszej w Długiej Goślinie. Ksiądz Tisserand w czasie pobytu swego u nas, wiele się przyczynił do utrzymania pokoju domowego i zgody między rodzicami. Nieraz był pośrednikiem między nimi, i przez swoje łagodne napomnienia niejedną burzę odwrócił od naszej matki.

20 października 1800 roku, pierwszy konsul Rzeczypospolitej francuskiej, Napoleon Bonaparte, wydał dekret przywołujący emigrantów, a mianowicie księży, napowrót do ojczyzny. Ksiądz Tisserand, korzystając z tego pozwolenia, postanowił powrócić do Francji. Odjazd jego napełnił dom nasz żałobą. Rodzice i my jego uczniowie, z niewypowiedzianym

żalem pożegnaliśmy czcigodnego księdza. Wkrótce odebrałmy od niego samego pierwszą wiadomość o szczęśliwym powrocie na ziemię ojczystą. Przyjęty został jak najuprzejmiej przez ludność dawnej swojej parafii; objął probostwo w Arcis sur Aube w departamencie Aube, i w kilka lat potem dziekania w mieście Soigny, departamentu de l'Yonne. Utrzymywał z nami korespondencję do roku 1810. Pamiętając na jego dla naszego domu przysługi, udałem się do niego listownie z Sedanu w roku 1814, w czasie mego pobytu we Francyi, i obszerną odpowiedź odebrałem. Był to ostatni list od tego zacnego księdza.

Majątek ojca składał się w tym czasie z dóbr Wojnowa, o trzy mile od Poznania, pół mili od Murowanej Gośliny i Żydowa ¹⁾; Krzyszkowa i Roztworowa, w powiecie hornickim na lewym brzegu Warty; prócz tego posiadał Gogolewo i Niepart w krobaskim, które później sprzedał (dziś są w ręku rodziny Czarneckich). Wojnowo w tym stanie, w jakim jest

Majątek ojca.

dzisiaj, wszystko winno pracy mego ojca. Wszystkie jego starania do tego dążyły, aby posiadłość zaniedbaną ze wszech miar podnieść, tak pod względem dochodu, jak i przyjemności. W chwili, kiedy Wojnowo dostało się w jego ręce, podobne było do wielu innych polskich wiosek. Dom mieszkalny zawierał tylko dwa pokoiki, budynki gospodarskie w opłakanym znajdowały się stanie; chłopci mieszkali w obdartych lepiankach; ani sadu, ani ogrodu nie było, pola zaperzone i niedoprawione. Praca ojca zmieniła całą postać wioski. Budynki wiejskie odbudował porządnie w dwóch liniach, według starego planu. Dom nasz przybudowaniem powiększył i zrobił go wygodnym. Budynki gospodarskie ponaprawiał, urządził wewnątrz, potrzebniejsze przydał, jak to: dwie stodoły, wielką murowaną gorzelnię i browar ze stajniami dla 60 opasnych wołów i 200 wieprzy; spichrz piękny,

¹⁾ Te obydwie majątności kupił 1796 roku od pana Korytowskiego za 128.333 1/2 talarów pruskich.



NAPOLEON BONAPARTE JAKO I. KONSUL
przechadzający się w Malmaison
(wedle obrazu Isabey'a).

murowaną oficynę; założył nową kolonię z Holendrów, zwaną Klimuntowo, wieś zarobną. Brody powiększył lub naprawił; ogrody, sady i plantacje po drogach, szczególnie go zajęły. Dwa wielkie ogrody owocowe, do których najwyborniejsze szczepy sprowadzał z Poczdamu, dwa sady; drogi wysadzone topolami we wszystkich kierunkach; oranżerya piękna, zawierająca trzysta drzewek pomarańczowych i cytrynowych rodzących i wiele krzewów i roślin egzotycznych; szpalery murowane, okryte winogronami i brzoskwiniami przedziwnymi, po kilku latach pracy i znacznych kosztach najprzyjemniejszy przedstawiały widok i znaczne korzyści przynosiły właścicielowi prócz własnej przyjemności.

Lecz gospodarstwo rolne nie cierpiało na tem bynajmniej. Inwentarze były dobre, krów holenderskich 50 stało na oborze. Grunt wzbogacał się co raz bardziej, tak, że i na lżejszych rolach koniczyny piękne widzieć było można. Do podniesienia się roli wiele przyczyniały się gorzelnie i browar, chociaż finansowo biorąc, zyski nakładom nie odpowiadały.

Zdawałoby się, z tego wnosząc opisu, iż stan majątkowy ojca powinien był być jak najpomysłniejszy! tak jednak nie było. Budynki nowe i zakłady kosztowały bardzo wiele; dochody nie wystarczały na nie, a tem mniej na zapłacenie procentów od sum, na dobrach zahypotekowanych. Urządzenie Wojnowa, w sposobie dopiero opisanym, kosztowało przeszło 150.000 złp.; a tymczasem pretium, za które pan Powelski w roku 1827 nabył Wojnowo na publicznej licytacji, nie przechodziło 300.000 złp. Tymczasem ojciec nasz lepszą część majątku; Żydowo i Krzyżkowo, w nierównie lepszej ziemi i rozleglejsze od Wojnowa, zupełnie zaniedbał. Te dwie wsie puszczone były w dzierżawę; ojciec nie wkładał w nie, nie budował; stąd znaczne urosły pretencje dzierżawców, które później do obciążenia się przyczyniły.

Śmierć kanonika Antoniego Kołaczkowskiego, dalekiego kuzyna naszego ojca, powiększyła majątek ojca przez przyłączenie Roztworowa, wsi o 400 wiertelach wysiewu do dóbr

Żydowa. Od roku 1796 ojciec uważał się za dziedzica tej wsi, którą kanonik dał pod warunkiem płacenia jemu 12.000 złp. dożywotnie, a zapisał ojcu, pod warunkiem spłacenia pewnej niewielkiej sumy bliższym sukcesorom.

Zacna matka nasza trudniła się szczególnie wychowaniem naszym, domem i gospodarstwem kobiecem. Chociaż słabego zdrowia, nie opuszczała żadnej powinności. Rano wstawała, sama każdego szczegółu dojrzała, i kilka razy na dzień wszędzie przytomnością wszystkich ożywiała. Dlatego też gospodarstwo wiele jej przynosiło. Nabiał, drobiazg i ogród były źródłem znacznych dochodów. Przy tych rozgałęzionych zatrudnieniach, znajdowała czas do zajęcia się nami, do czytania nowych dzieł i przyjmowania częstych gości, których gościnność rodziców do naszego domu przyciągała. Sąsiedztwo nasze składało się z rodziny Forsythów, mieszkających w parafii naszej Długiej Goślinie, dokąd co niedziela zajeżdżaliśmy. Pan Forsyth był niegdyś pułkownikiem wojska koronnego i zachowywał do późnego wieku wojskową owego czasu sztywność. Żona, z domu Korytowska, była najbliższą przyjaciółką matki naszej, i dochowała jej swojej przyjaźni do samej śmierci, która nastąpiła w Poznaniu roku 184... W jej domu przebywały dwie siostrzenice, panny Honorata i Stanisława Mielnińskie, które wiele się przyczyniały do uprzyjemnienia tego domu. Starsza niezamężna, już nie żyje; młodsza, w roku 1850 także niezamężna, mieszka we własnym domu w Poznaniu, i przyjaźń dla naszego domu w spadku odebrała po ciotce. W stronie przeciwnej o pół mili od Wojnowa, leży Łopuchowo, zamieszkałe podówczas przez rodzinę podczaszego Chłapowskiego, którego córka Barbara w roku 1810 poszła za generała Henryka Dąbrowskiego, sławnego w ojczyźnie naszej legionów włoskich wodza; z tą także rodziną ściśle nas wiązały sąsiedztwa i przyjaźni stosunki, które trwały aż do końca naszego pobytu w tych stronach. Wszystko się dziś tam zmieniło. Wojnowo, nasze ulubione siedlisko, kupił po naszych majątkowych

klęskach Powelski, bogaty kupiec winny z Poznania. Długa Goślinę i Łopuchowo kupili Niemcy.

Wychowanie
moje. Po wyjeździe księdza Tisserand, rodzice nasi przyjmowali do swego domu kilku emigrantów z Francji; nie wspomnę tu o tych, którzy krótko zabawili i żadnej pamiątki dobrej po sobie nie zostawili; przypominam sobie tylko dwie damy: pannę Nelin, kanoniczkę i baronową Laplane, którym nas szczególnie powierzono: że jednak wiadomości ich okazały się bardzo poślednie, co je nie broniło od wymagań przesadzonych i wielu śmieszności, nie wieleśmy pożytku z nich odnieśli. Zabawiwszy kilka miesięcy u nas, pojechały szukać szczęścia w innych polskich domach.

Około roku 1802 zjawił się u nas niejaki pan Witkowski, dawny legionista, przybyły z armii reńskiej, którego pieczy mnie i brata Adama powierzono. Zdaje się jednak, że zdolności jego nauczycielskie nie były wielkie, albo też nasze usposobienie niedostateczne; albowiem nasze postępy bardzo się małe okazały. Pierwsze początki muzyki na fortepianie odebrałem od pana Moszczeńskiego, którego gwałtowne w nauce sztuk nadobnych postępowanie, na długi czas od muzyki mnie odstręczyło. Ojciec nasz, sam namiętnie lubiący muzykę i grający na flotrowersie, radby był ze mnie wirtuozę zrobić, lecz pod przewodnictwem takiego metra, nie wiele sobie obiecywać było można. Dopiero później żyłka muzyczna pod innymi nauczycielami rozwinęła się, i dziś jeszcze muzyka do ulubionych moich rozrywek należy.

Przeniesienie
do Wrocławia. Roku 1804, ojciec postanowił zawieźć nas do szkół do Wrocławia, i na dyrektora naszego wybrał pana Wysiekierskiego, dawnego ucznia Jezuitów i byłego profesora w Krakowie, człowieka zacnego, moralnego, sumiennie wypełniającego obowiązki swoje względem nas, lecz przywiązanego zbytecznie do dawnych metod jezuitów. Posiadał on języki: polski i łaciński; w historii, geografii i literaturze był biegły, lecz sam mało nad sobą pracował, nie postępował bynajmniej z czasem i życie prowadził



JAN HENRYK DĄBROWSKI w MŁODOŚCI,
jako porucznik gwardyi saskiej
(Podług portretu z r. 1776 w Winnogórze w X. Poznańskiem,
gdzie pochowany).

spokojne, lecz nie bardzo czynne. Jego korepetyce nie wiele nas naprzód posuwały. Mieszkaliśmy we Wrocławiu »Pod trzema górami«, u Morica i tam się stołowali. Mielśmy nauczyciela języka niemieckiego, do francuskiego księdza Delorme; do muzyki pana Bernera, organistę kościoła św. Elżbiety; do rysunku pana Felderna. Prócz tego dla dopełnienia naszego fizycznego wychowania, przychodził do nas codzień ogromny kapral pruski z pułku Treuenfels, wypudrowany, z wielkim wypomadowanym arcapem, który nam lekye musztry dawał i nauczał nabijać na dwanaście tępów. Przepędziliśmy tym sposobem dwa lata na prywatnych lekcyach, do roku 1806.

Roku 1805 w jesieni, pierwszych zobaczyłem Rosyan w pochodzie przez Wrocław na Austerlitz. Był to korpus Essena. Zapach dziegciu oznaczał ich przybycie. O barbarzyństwie wojska tego i szaleństwach Wielkiego księcia Konstantego, który także przez Wrocław przejeżdżał, cudne opowiadano anegdoty.

Na początku wojny francuskiej 1806 roku, ojciec znalazł nas dość przygotowanych do rozpoczęcia kursów publicznych w ówczesnym katolickim kolegium (Aula Leopoldina).

Po odbytych egzaminie przed rektorem wszedłem do czwartej klasy od dołu, terażniejszej trzeciej; brat Adam do drugiej. Wówczas liczyłem lat trzynaście. Profesorami mymi byli: Bach do łacińskiego języka, Schneider do greckiego, Hansdorf do historii, Wiechota do matematyki i Reichel do religii. Tłómaczyliśmy w tej klasie komentarze Cezara, Salustyusza historję sławnych ludzi, Wojnę Jugurty, Ksenofonta Anabasys i t. d. Postępy moje przy pilności okazały się wielkie, wkrótce odznaczałem się pomiędzy współuczniami i stałem się ulubionym uczniem moich profesorów. W przeciągu sześciu miesięcy byłem drugim uczniem w klasie.

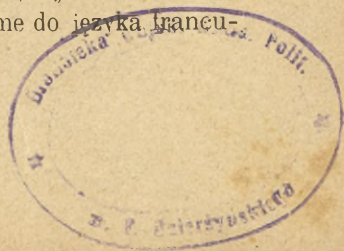
Kolegami mymi szkolnymi byli: Pago, Schuster, Polentz, Wanke, Żeromski, Piętkiewicz, hr. Goetz, hr. Węgierski, hr. Leopold i Karol Schaffgotschowie i t. d.

Nad wszystkich celował Fago, o lat dwa odemnie starszy, z którym ścisłą przyjaźnią zawarłem.

Mieszkanie dla nas obrano w sąsiedztwie kolegium (dawne kolegium pojezuickie) i blisko kościoła szkolnego, czem nasze chodzenie do szkół nadzwyczajnie było ułatwione. Dawny poczciwy służący nasz Karol, który brata Adama wypiastował i kucharka służaczka składały nasz mały dwór. Stosunki nasze towarzyskie ograniczały się na domu szanownej damy polskiej, pani Garczyńskiej, której dwaj synowie: Tadeusz i Filip pod kierunkiem księdza polskiego Luna, prywatne wychowanie odbierali, i na domu pani Morawskiej, której córka później wydana za Dominika Radziwiłła, jaśniała na horyzoncie warszawskim. Czasem też odwiedzaliśmy młodych hrabiów Schaffgotsch i hrabiego Goetza u ich rodziców. Spacerujemy zwykle kierowaliśmy w wolniejszych chwilach na wały, w kierunku Hundsfeld (Psie pole, sławne pobojuwisko z czasów [1109 r.] Bolesława Krzywoustego) na drodze ku Polsce, ku ogrodowi księcia Hohenlohe i pomnikowi, na cześć generała Trauenzien przed Świdnicką bramą wystawionemu, albo też za bramę Olawską (Olauer Thor), lub nareszcie ku pięknemu dębowemu lasu na lewym brzegu Odry.

Wspomniałem już wyżej, iż pierwsze zasady religijne winien byłem czcigodnemu księdzu Tisserand; przybywszy do Wrocławia w dwunastym roku wieku mojego, osądzono mnie za godnego przystąpić do Stołu Pańskiego. Pierwszą spowiedź odebrał odemnie arcybiskup kościoła św. Mikołaja, starzec poważny, którego rady ojcowskie głębokie sprawiły wrażenie na młodym umyśle. Z jego to szanownych rąk odebrałem po raz pierwszy Komunię świętą. Było to roku 1805.

Ojciec niczego nie szczędził na wychowanie nasze. Pomimo tego, że czas nasz w szkole był bardzo zajęty, przeznaczył nam metrów partykularnych: metra do fortepianu pana Kless'a, organistę u Augustyanów; później gdy mało z tym korzystałem, ostatniego roku pana Klingohr, i jemu winienem wszystko co teraz umiem; księdza Delorme do języka francu-



skiego, Felderna do rysunków, metra fechtowania pana Cezarini, metra konnego jeźdźenia; prócz tego pan Wysiekiński, nasz guwerner, powtarzał niektóre kursa z nami i dawał nam kurs języka i literatury polskiej. Stąd widzieć można, żeśmy czasu nie tracili a na uzupełnienie wszystkiego, aby mi rozum lepiej otworzyć, przychodził przez sześć miesięcy, każdej niedzieli stary żyd, który mnie gry szachów nauczał. Zgoła ojciec niczego nie żałował, ażeby nas pod każdym względem wykształcić w duchu tamtego wieku. Koszt, na nas łożony w Wrocławiu, wynosił pewnie do dwóch tysięcy talarów rocznie, co w stanie jego majątkowym musiało być wielką ofiarą.

Prawda, że nam żadnego nie zostawił majątku, lecz ważniejsze dobrodziejstwo starannego wychowania, które podstawą stało się późniejszego mego zawodu. To jemu jedynie jestem winny i za to bardziej jak za majątek, niewygasną w moim sercu wdzięczność zachowałem!

Zaledwie kursa nasze zostały rozpoczęte, kiedy wojna 1806 roku Prus przeciwko Napoleonowi przerwę w nich sprawiła. Widzieliśmy wychodzących na tę wojnę rycerzy pruskich. O jakże wyrodzili się potomkowie zwycięzców pod Rossbach i Leuthen! Już ani śladu nie było między nimi dawnego militarnego ich ducha. Wymarsz regimentów Hohenlohe i Treuenfels, kirasyerów Dolffsa, raczej pogrzebu obraz przedstawiał, jak radośnego pochodu przeciw nieprzyjacielowi. Żołnierze smutni, źle ubrani, bez płaszczy; młodzi oficerowie tryumfujący naprzód z przyszłych nieochybnych zwycięstw; wyżsi oficerowie w zgrzybiałej starości, żegnający z płaczem swoje familie; kolumny przeciążone bagażami, końmi obładowanymi, wozy napełnione łózkami oficerskimi, po bokach kojce z indykami i kurami: taki widok mieliśmy, spotykając owe sławne wojsko pruskie, wybierające się do zwycięstw nad Francuzami.

Wkrótce owoce tak wielkiego zaniedbania uczuć się dały, głuche odgłosy klęsk poniesionych poprzedziły pierwsze wiadomości wojenne. Nareszcie jak grom z nieba pogodnego

ni, pierwsza wiadomość o klęskach pod Jeną i pod Auerstaedt, sz potrzywała poczciwych mieszkańców Wrocławia. I oni nie rs mieli być oszczędzeni w pogromie tak niesłychanym ogólnym su państwa pruskiego. Wiadomości o wzięciu Erfurtu, Magdeburga, tej Kistryna, Szczecina, o kapitulacyi pod Prenzlau i Lubeką, eli o zwyciężkiem wejściu Napoleona do Berlina 2 grudnia 1806, ni- o rozbiciu się zgoła całej potęgi państwa: jedna drugą goniły. k- Nareszcie wzięcie Głogowy, o dwadzieścia mil od Wrocławia a- położonej, oświeciło mieszkańców o własnem ich niebezpie- co czeństwie.

a- Korpus, złożony z Francuzów, Wirtemberczyków i Ba- l- warów pod komendą Hieronima Bonapartego, brata młod- ie szego cesarza, podstąpił pod Wrocław dnia 5 grudnia 1806. a- Załoga składała się z 6.000 pruskiego żołnierza pod komendą a- generała Thiela. Twierdza opasana była potężnymi wałami, a- bez murowanej jednakże odzieży, rowy napełnione wodą t- Oławy i Odry; drogi kręte opalisadowane; ani prochu, ani i- kul, ani żywności nie brakło, lecz duch dawny Fryderyka d- Wielkiego wystąpił z obrońców; choć sprawiedliwość im od- t- dać należy, że tak haniebnie nie postąpili sobie, jak garnizon z- Magdeburga, Szczecina i Kistryna.

i- Naprzód lekki oddział wojska, rozpoznawszy z- przystęp do twierdzy, rzucił na postrach mie- i- szkańców kilkaset granatów do miasta i wezwał e- lecz napróżno gubernatora do poddania. Gdy demonstracya ;- ta okazała się nieskuteczną, przystąpiono dopiero do isto- n- nego obsaczenia i oblężenia twierdzy. Pierwsze granaty, n- które do zamożnego miasta wpadły, wielki postrach wznie- c- ciły u jego mieszkańców; cóż dopiero, kiedy obszerne, bogate y- przedmieścia z rozkazu gubernatora zapalone zostały. Każdy przewidywał wtedy klęski, na jakie mieszkańcy wystawieni e- w oblężeniu i zaczęto przysposabiać się w żywność i inne e- potrzeby domowe na czas dłuższy. Ponieważ dom nasz leżał o- blisko wałów, a na kurtynie sąsiedniej stała bateria mo- d- zdzierzowa, zaczęły kule i bomby nieprzyjacielskie nawiedzać

Oblężenie
Wrocławia.

okoliczne domy. Gdy i naszemu domowi kilka pocisków dostało się, z naglenni byliśmy opuścić zbyt niebezpieczne pomieszkanie i schroniliśmy się do domu pani Garczyńskiej, którego dół był sklepiony i zawierał bezpieczne piwnice i tam czekaliśmy dalszych wypadków.

Po tej pierwszej demonstracji nastąpił wkrótce atak gwałtowniejszy. Korpus nieprzyjacielski opasał twierdzą na obydwóch brzegach Odry i otworzył zakopy pomimo mrozów w nocy.

Przykopy prowadzone były usilnie pomiędzy bramą św. Mikołaja i bramą Olawską i pomimo żywego ognia z twierdzy, Francuzi w krótkim czasie założyli kilka baterij wielkiego kalibru, zwróconych szczególnie przeciwko miastu, których niszczący ogień wkrótce dał się uczuć. Wielka liczba domów dotkniętych została granatami i bombami. Niektóre z gruntu zniszczone, inne mniej więcej ucierpiały. Wielu mieszkańców legło. Dom, przez nas zamieszkaany, odebrał także kilka pocisków. Granat wpadł do izby naszej sypialnej, po wyprowadzeniu się naszym do piętra dolnego i piec przewrócił. Inne na podwórzu pękły. Musieliśmy się schronić w czasie najmocniejszego bombardowania do piwnic i tam w towarzystwie pani Garczyńskiej najgorsze chwile przeżyliśmy. W godzinach wolnych od bombardowania porzucaliśmy niemiłe nam towarzystwo szczurów, ażeby odetchnąć na podwórzu, a nawet kilka razy pod przewodnictwem kapitana Zabłockiego z regimentu Hohenlohe odważyłem się na wały, ażeby rozpoznać położenie nieprzyjacielskich baterij, ich zakopów, obrony drogi krytej i baterij wałowych naszych. Odtąd zacząłem przyswajać się z przyszłym moim inżynierskim zawodem.

Mówiłem już wyżej, iż wały wprawdzie oblane były dokoła wodą, lecz brakowało im odzieży murowanej. Z tej to okoliczności dowodzący oblężeniem generał francuski Wandame korzystając, przedsięwziął doświadczyć, czyliby szturmem nie udało się twierdzą pochwyć. Porobiane zostały

w tym celu przysposobienia. Lecz Prusacy odkryli ten zamiar i przygotowali się do należytego odparcia. Jasność nocy do reszty zamiar zdradziła — musieli Francuzi odstąpić od przedsięwzięcia. Tymczasem książę Anhalt-Pless, dowodzący w górnym Śląsku, ściągnął z twierdz pruskich, Koźlina, Neissy, Silberberga i Glatzu część garnizonów w jeden korpus, wzmocnił go ochotnikami i powstaniem, i z korpusem 12.000 zbliżył się na odsiecz Wrocławia. Jenerał Wandame pospieszył naprzeciw nim z Bawarczykami i 13 pułkiem liniowym francuskim, zadał klęskę i powrócił pod Wrocław, ażeby poprzeć oblężenie tem silniej. Nareszcie mrozy mocne chwyciły wodę w rowach. Nie było już przeszkód do szturm; a gdy do tego dzieła przygotowania ukończone zostały, wezwał powtórnie twierdzę do poddania. Komendant, obawiając się skutków, jakieby niezawodnie spadły na to handlowe miasto, przystał nareszcie na kapitulację i twierdzę dnia 7 stycznia 1807 roku zdał francuskiemu wojsku.

Nazajutrz garnizon broń złożył, a wojska francuskie, bawarskie i wirtemberskie pod komendą Hieronima Bonapartego miasto zajęły. Kapitulacja
Wrocławia. Powtórna demonstracya a spóźniona, księcia Pless na odsiecz Wrocławia, zakończyła się tak jak pierwsza, zupełną porażką pod Kanth, o trzy mile od Wrocławia; do tego przyczynił się najbardziej pułk ułanów polskich, świeżo nadeszły z Neapolu. Smutny był to widok jeńców pruskich: ich nędza, smutek i rany dały mi poznać stronę bolesniejszą wojny. W parę dni potem widzieliśmy tryumfalny wchód zwycięzców. Pierwszy raz oglądałem wojsko francuskie. Piechota ich złożona była z ludzi małych, krępych i silnych: większa część 10 do 15 lat służby liczyła. Ich lekkość, zgrabność i wesołość wszystkich zadziwiała. Spoglądając na nich i porównyując z następcami Fryderyka Wielkiego, nikt się już nie dziwił skutkom ostatniej kampanii. Bawary odznaczali się także piękną wojenną postawą i wzrostem wielkim, ich jazda (*Chevaux-légers*) zdawała się szczególnie usposobioną do wojny.

Przeciwnie, wirtemberskie wojsko nie podobało się nam wcale: reputacya rabusiów poprzedzała ich wszędzie. Lecz jakież nasze było szczęście, gdyśmy pierwszy raz oglądać mogli pułk ułanów polskich. Ich ubiór narodowy dochował się zupełnie: mundur granatowy, wyłogi i wypustki żółte; chorągiewki u lanc czerwone z białym -- tylko kokarda trójkolorowa przypominała, że w służbie francuskiej zostają. Byli to rzeczywiście żołnierze z pod Novi i Hobenlinden!

Zaledwie przystępy do Wrocławia zostały wolne, a już rodzice troskliwi o nas, starali się o wiadomość o naszym powodzeniu przez p. Konstantego Krzyckiego, krewnego matki naszej, który nam się w mundurze polskim pokazał. Od niego dowiedzieliśmy się o wejściu Francuzów do Poznania i do Warszawy, o powstaniu ogólnem zabranych części Polski, a mianowicie Wielkopolski, o nowej formacyi korpusu polskiego pod dowództwem generałów: Dąbrowskiego, Zajączka i księcia Poniatowskiego.

Kilka tygodni po poddaniu się Wrocławia, w połowie kwietnia udaliśmy się do rodziców, ponieważ nauka jeszcze była przerwana. Przejeżdżając przez Poznań, spotykaliśmy nowe oddziały żołnierzy polskich, których na placach musztrowano. Ojciec nasz z matką pospieszył do Poznania na przyjęcie cesarza i wyznaczony został ze strony obywateli do służby przy jego osobie. Matka wraz z innymi damami przedstawiona mu została na publicznem posłuchaniu. Nienajpomyślniejsze wrażenie pozostawił po sobie ten ogólny przegląd. Napoleon roztargniony, nie grzecznego powiedzieć żadnej damie nie potrafił, prócz urywkowych, niestosownych czasem ani do wieku, ani do stanu zapytań; które z jego zwłaszcza ust mocno zadziwiać musiały. Przypomnieli sobie wszyscy, iż on był tylko szczęśliwym żołnierzem, nie wychowanym na stopniach tronu, któremu greczne słówka monarchów z Bożej łaski obcemi były, który pewnie w czasie przeglądu dam inne miał myśli w potężnej głowie.

Napoleon, który dnia 25 listopada przybył do Poznania, wyruszył stamtąd w nocy z dnia 15 na 16 grudnia i w nocy z dnia 18 na 19 stanął w Warszawie.

Po jego wyjeździe ojciec ofiarował swoje usługi obywatelskie tworzącej się administracyi i gorliwie zaczął w niej pracować jako konsyliarz prefektury. Matka najęła pomieszkowanie w Poznaniu, dom swój otworzyła i zaczęła przyjmować wieczorami.

Po kilku tygodniach, w domu rodzicielskim przepędzonych, powróciliśmy do naszych nauk do Wrocławia; miasto napełnione Polakami zastaliśmy: organizował się wtedy legion nadwiślański z żołnierzy pruskich, rodowitych z Polski, z ochotników, i dostawionych przez obywateli rekrutów złożony. Zastaliśmy także Francuzów, zajętych wysadzaniem wałów Wrocławia; wkrótce piękne te dzieła przedstawiały tylko widok gruzów i nieforemnych nasypów ziemnych. Najwyższy punkt twierdzy, tak zwany *Taschenbastion* w bok bramy Oławskiej, zamienił się w obszerny bulwark, który później przemysłem mieszkańców stał się najpiękniejszym spacerem miasta.

Resztę roku 1807 przepędziliśmy na zwięzlejszych naukach. Ku końcowi tegoż roku postąpiłem do piątej klasy i w niej pozostawałem aż do wakacyj roku 1808. O tej to porze ojciec zaczął mnie przeznaczać do stanu wojskowego. Rozpocząłem więc lekcyje prywatne jeometrii praktycznej i rysunku planów u profesora Wiechoty, nie zaniedbując przytem publicznych kursów klasy szóstej, do której w końcu roku 1808 przeszedłem. Nie potrzebowałem pomocy profesorów w niektórych przedmiotach jako to: polskim i francuskim. Postępowałem dalej w języku łacińskim, greckim, w historii i matematyce. Tłómaczyliśmy w tej klasie Eneidę Wirgiliusza, ody Horacyusza, historję Germanów Tacyta, Illiadę i Odysseę, historję wojny Peloponeskiej Tukydidesa. Co się tyczy matematyki, ta na bardzo niskim była stopniu i ani nie zasługiwała na porównanie co do obszerności przed-

miotów i metody nauczania z kursami francuskich liceów, a nawet szkół warszawskich. Cokolwiek algebry i geometrii według elementarnego dzieła Lorenza; solydometrią również nisko dawano i jeszcze słabiej pojmowano; na tem ograniczały się kursa połączonych klas: piątej i szóstej. Wkrótce prywatne godziny z profesorem Wiechotą pozwoliły mi wyprzedzić moich współuczniów, chociaż wyznać muszę, że pomimo usilnej pracy, dla złej metody profesora, nie czułem się dość utwierdzonym do egzaminu ścisłego. Na początku roku 1809 jeszcze usilniej zacząłem pracować, statykę ciał stałych przydałem do mojego prywatnego kursu i według zdania profesora znalazłem się dość przygotowanym do egzaminu w matematyce elementarnej. Ojciec od początku roku 1809 postanowił mnie zawieźć do Warszawy i przedstawić na ucznia do szkoły aplikacyjnej artylerji i inżynierów Księstwa Warszawskiego, której program ogłosiły pisma publiczne. Wybadawszy mnie tak co do chęci, jak i usposobienia, rozkazał mi przybyć do domu ostatnich dni marca. Wyruszyliśmy w drogę do Warszawy i przybyliśmy do stolicy w chwili, kiedy się przygotowywano do wojny roku 1809. Ojciec mój udał się natychmiast do generała Hebdowskiego, dawnego przyjaciela naszej familii, zastępującego podówczas ministra wojny, do którego mnie nazajutrz zaprowadził. Za jego to staraniem przedstawiony zostałem generałowi Pelletier, komendantowi artylerji i inżynierów, pułkownikowi Mallet, dyrektorowi inżynierów i Bontemp'sowi, dyrektorowi arsenału. Wszyscy trzej opuścili służbę francuską z rozkazu Napoleona, dla uorganizowania służby odpowiednich broni w Księstwie Warszawskim. Wszyscy mnie uprzejmie przyjęli, pytali o moje poprzednie nauki, obejrzeliby rysunki i kazali umieścić na liście kandydatów do szkoły aplikacyjnej. Ponieważ liczba wybranych nie miała przechodzić dwunastu, było przeto bardzo wielu obiegających się o te miejsca. Obrany egzaminatorem p. Łęski, profesor liceum warszawskiego; jego świadectwo miało stanowić

Przybycie do
Warszawy
1809 roku.

w egzaminie. Ojciec nic nie opuścił, ażeby pozyskać jego dla mnie względy, miał bowiem niezrozumiałą dla mnie młodego zasadę, iż wpływy bardzo wiele znaczą na tym nędznym padole. Z tej więc wychodząc zasady, pocziwy ojciec umieścił mnie na kilka dni przed egzaminem, w pensyi pana Łęskiego w pałacu Saskim i tam egzaminowany przez niego, w czym niedostawało, starałem się dopełnić za jego radą. Nareszcie dzień, przeznaczony do egzaminu, zajaśniał dla mnie. Był to dzień 4 kwietnia. Sala arsenału na ten cel była przeznaczoną. Zastałem tam publiczność liczną, wielu młodych ludzi, należących do mojej kategorii, i komisję egzaminacyjną, na czele której był generał Pelletier. Pomiedzy młodzieżą zwracał na siebie uwagę Ignacy Prądzyński, adjutant podoficer 11 pułku piechoty, przybyły z Gdańska dla złożenia egzaminu, którego odpowiedzi jasne i zwięzłe nie zostawiały nic do życzenia. Wojskowy mundur, szpada przy boku, wzrost niski, głowa nadzwyczaj wielka, odróżniały go od innych kandydatów. Wkrótce spostrzegłem, ile jeszcze brakowało usposobieniu memu naukowemu, ażeby się z innymi zrównać kandydatami. W rzeczy samej nie powinienbym był zostać przypuszczonym do konkursu, nietylko dla wieku, ale i dla słabego usposobienia. To prędkie oszacowanie mojej zdolności w chwili stanowczej, odebrało mi resztę odwagi. Przez nadzwyczajny fawor pozwolono mi zdać egzamin po niemiecku, jako przybywającemu ze szkół niemieckich i to, co mnie może uratowało, nie bardzo pochlebne musiało dać o mnie zdanie publiczności. Egzamin odbył się jako tako, dość przytomnie lecz niedostatecznie. Odehodząc od tablicy pewny byłem, że przepadnę. Tymczasem inaczej się stało z wielkiem mojem zdziwieniem. Bądź to owe wpływy, których nie pojmowałem, bądź wzgląd na wielką młodość, bądź znajomość języka francuskiego, niemieckiego i klasycznych języków: zostałem jednak przyjęty i otrzymałem Nr. 9. Trudno, bym wyraził radość moją na tę wiadomość, a skoro mundur oficerski na siebie włożyłem i szpadę przypasałem do boku,



KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI W BITWIE POD RASZYNYM
(do str. 28),
(Według obrazu Wojciecha Kossaka).

myslałem, że się niebo dla mnie otworzyło. Cóż dopiero, kiedy pierwszy sztydłwach przedemną broń zaprezentowałam! — Przyjęci wraz zenną uczniowie (elewi) nazywali się: Hyacynt Idziński, Józef Koriot, Ignacy Prądzyński, Michał Świda, Fabian Wiszniewski, Benon Tykiel, Jan Romański, Ludwik Łobodzki, Julian Suzin, Feliks Szymanowski, Antoni Roztworowski.

W tej epoce życia mojego byłem wzrostu bardzo małego, szczupły, chudy; niezgrabny w moich poruszeniach, niepewny w całym wzięciu się; i bez żadnej z tych zalet, które wojskowego cechować powinny. Gdy sobie to dziś przypomnę, zdaje mi się, że chybił zawodu. Jakoż rzeczywiście, byłem dzieckiem bez żadnego doświadczenia, najłatwiej przejmującym wszelkie wrażenia świata, wprawdzie bogobojnym i czystym, jak na 15 lat wieku przystało; lecz wkrótce poznałem, iż młodość za wielką jest przeszkodą w stanie wojskowym, zwłaszcza w stopniu oficerskim.

Patent mój oficerski datowany był dnia 10 kwietnia 1809 roku, a 15 kwietnia jeneralny marsz rozlegał się po ulicach Warszawy. Odebrano bowiem wiadomość, iż wojsko austriackie pod komendą arcyksięcia Ferdynanda d'Este przechodzi Pilicę. Bilet przywieziony przez podpułkownika Mallet'a dnia 9 kwietnia, żadnej wątpliwości w tym względzie nie zostawiał; w tem piśmie donosi arcyksiążę, iż *wskutek deklaracyi cesarza Napoleona, wojsko pod jego rozkazami zostające, dnia 15 kwietnia, o godzinie 7 zrana naprzód się posunie i po nieprzyjacielsku postąpi z wojskiem przeciwnem*. Wprawdzie po ruchach w Galicyi spodziewać się można było, iż wojna jest bliską, gdy jednakże nie odbierano żadnej urzędowej wiadomości, ani od cesarza, ani od króla Saskiego o tak bliskiem rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, żadnego przygotowania nie zrobiono dla odparcia nieprzyjaciela.

Wojsko Księstwa Warszawskiego podówczas składało się z trzech dywizyj: pierwszą dowodził książę Józef Poniatowski,

drugą generał Zajączek, trzecią generał Henryk Dąbrowski. Do tego sześć batalionów polnych, z tych jeden w Hiszpanii pod kapitanem Kamińskim, jeden w Gdańsku i dwie konne baterie, świeżo uformowane: jedna przez Włodzimierza Potockiego, druga przez Romana Sołtyka, własnym kosztem.

Z tych dwunastu pułków piechoty trzy były użyte w Hiszpanii, dwa w Gdańsku, siedem pułków, czyli czternaście batalionów, było tylko do dyspozycyi: jazdy tylko pięć pułków, ponieważ jeden był w Niemczech, a dział polowych tylko 32, zaprzężonych i gotowych do boju.

Bataliony trzecie były dopiero w formacyi, nie miały wszystkie karabinów i użyte być nie mogły na linii bojowej. Twierdze: Modlin, Praga (szaniec przedmостowy), Sierock i Toruń źle uzbrojone, jeszcze gorzej w żywność zaopatrzone.

Prócz tych czynnych wojsk stały pod Warszawą trzy bataliony saskie, dwa szwadrony huzarów i 12 dział pod komendą generała Pollentza, które czynny udział miały w bitwie raszyńskiej, lecz zaraz potem przez Płock, Toruń, wyruszyły do domu.

Naprzeciw tak słabych sił, arcyksiążę Ferdynand miał pod swoją komendą bezpośrednią 25.000 piechoty, 5.000 jazdy, 94 dział i do usługi tychże 2.800 żołnierzy, w ogóle 33.000 ludzi, prócz tego 7.400 rezerwy w Zamościu, Sandomierzu i innych miejscach Galicyi.

Wypadałoby mnie umieścić opis kampanii, dla polskiego oręża tak świetnej, roku 1809, lecz ta kampania, tak pięknie i tak szczegółowo opisana została przez Romana Sołtyka w dziele pod tytułem: *Rélation des Opérations de l'Armée aux ordres du Prince Joseph Poniatowski, pendant la Campagne de 1809 en Pologne contre les Autrichiens*, iż nie do tego dzieła dodaćbym nie potrafił — odsyłam więc do niego czytelników, tylko do rozmaitych wypadków odwoływać zamysłam się o tyle, o ile w nich miałem cokolwiek udziału.

Bitwa pod
Raszynem
19 kwietnia.

Gdy już wątpliwości nie było względem zamiarów wojska austriackiego nad Pilicą, ojciec stał się o ekwipaż kampaniczny dla mnie, kupił dwa konie wierzchowe, zgodził masztalerza do nich i opatrzył mnie we wszystkie wojenne potrzeby i 30 czerwonych złotych na drogę, powierzył moją osobę podpułkownikowi Mallet, który mnie i Prądyńskiego wybrał na adjutantów; sam zaś pospieszył do rodziny, dawszy ojcowskie błogosławieństwo na drogę.

Dnia 19 kwietnia odgłos działań pod Raszynem uwiadomił stolicę, że nasze zastępy potykają się z nieprzyjacielem. Podpułkownik Mallet, któremu powierzone było urządzenie obrony wałów miasta Warszawy, wyjechał ze mną, aby swoje rozporządzenia porobić. Ludność Warszawy bez różnicy wieku, płci i stanu wysypała się, jak roku 1794, za miasto, ażeby naprawiać dawne kościuszkowskie szance. Zataczano działa, zakładano nowe baterie, zgoła wszystko zaczęło groźniejszą przybierać postać.

Wkrótce ujrzeliśmy pierwszych rannych z pobojowiska, pomiędzy nimi był kapitan Deskur z pułku trzeciego jazdy, dawny przyjaciel mojego ojca, który odebrał w nogę mocną kontuzję od kuli armatniej.

Ogień trwał nieustannie do godziny 7 wieczorem. O 8 wszystko zamilkło. W nocy, książę Poniatowski, po dzielnym odporze, straciwszy przeszło 1000 ludzi i dwie armaty zde-montowane, uznał za rzecz konieczną cofnąć się za wały warszawskie. Tam rozpoczęły się nazajutrz rokowania z wodzem nieprzyjacielskim na forpocztach, a wskutek tychże nastąpił rodzaj konwencji dla miasta Warszawy, wyjąwszy Pragę, 21 kwietnia, o godzinie 5 wieczorem.

Na mocy jej konwencji wojsko polskie miało opuścić stolicę i cofnąć się za Narew w przeciagu dwóch razy 24 godzin, zabrawszy ze sobą władze krajowe, archiwa, broń, artylerję i t. d.

Zrana dnia 22 kwietnia odebrałem rozkaz udania się do Modlina z depezą, tyczącą się mostu na Narwi i szańcu przedmostowego, do komendanta jenerała Piotrowskiego. Zmęczony po czteromilowej, pierwszy raz w życiu jeździe, wypełniłem polecenie. Lecz tego samego dnia po obiedzie, trzeba było myśleć o powrocie. Zebrawszy resztę sił wsiadłem na konia, lecz o dwie mile od Warszawy uczułem uieomość jechania dalszego; musiałem nająć podwodę i tym sposobem stanąłem u mostu na Wiśle o 10 wieczorem. Na moście wielki zgietk; piechota nasza przeciągała w stanie dość egzaltowanym wódką, miotając obelgi i przekleństwa na swoich oficerów, a mianowicie na wodza naczelnego: że ich zdradzili, że ksiązę Poniatowski z austryakami trzyma i t. d., i t. d. U nas bez zdrady nigdy się nie obejdzie; każda niepomyślność, każda ucieczka żołnierzy jest zdradą oficerów. Tak u nas zawsze bywało, skoro tylko węzły karności nie były żelazną ręką dzierżone. Nasz żołnierz jest dobry, a nawet lepszy od innych narodów, kiedy karny; nie-masz ale gorszego, kiedy się rozprzęże i sejmikować zacznie.

Wysłanie do
Modlina.

Zdawszy raport o mojej misyi podpułkownikowi Mallett'owi, zasnąłem na podłodze snem kamiennym, a nazajutrz zrana byłem tak rzeźwy, jak gdybym nie był osiem mil jednego dnia ujechał.

Dnia 23 kwietnia, o 9 zrana, wyruszyliśmy za wojskiem ku Modlinowi z gronem młodych kolegów, pomiędzy nimi byli: Prądzyński, Wiszniewski, i wolnym marszem stanęliśmy przed wieczorem w Modlinie. Wojsko nasze stanęło obozem na prawem skrzydle od strony starego Modlina, równolegle do Narwi, zajmując Nowy Dwór i szaniec przedmostowy na Narwi. Kończono właśnie ostatni i uzbrajano artylerją.

Modlin, założony przez jenerała inżynierii Chapeloup roku 1807 na rozkaz Napoleona, przy ujściu Narwi do Wisły, był, jak i jest dzisiaj, najważniejszym punktem obronnym kraju. Leży na wysokości urwistej, o 90 stóp nad poziomem wody, której brzeg, parowami przerywany, ciągnie się od Za-

kroczyliśmy ku Wkrze, rzecze wpadającej do Narwi o jedną milę od Modlina, pod Pomiechowem.

Szwedzi za króla Gustawa wojen znali już dokładnie korzyści tej pozycyi i w Puffendorfie znajdujemy rysunek szańcu na wyspie, później Szwedzką zwanej, zapomocą którego panami stali się handlu zbożowego powyżej Wisły. Na górze ku Pomiechowu były także ślady obozu oszańcowanego szwedzkiego, które poruszywszy, znajdowaliśmy: kule, broje i t. d. starożytne.

Napoleon, uderzony pięknoscia pozycyi, postanowił założyć w tem miejscu twierdzę tymczasową, którą skombinowawszy z Sierockiem, z szańcem przedmостowym Pragi, zamienionym na obóz oszańcowany, otrzymał strategiczny trójkąt wielkiej wagi dla dalszych działań.

Narys Modlina zupełnie chybiony został: ten grzech pierwotny pozostał na tej twierdzy do roku 1831.

Z budowli wojskowych zastaliśmy tylko koszary murywane dla piechoty, magazyn prochowy sklepiony i o kilku piętrach w pośrodku twierdzy. Wojsko całe umieszczono w barakach. Uzbrojenie składało się z trzydziestu siedmiu dział, po większej części wałowych, spiżowych pruskich, które powiększone zostały działami, po konwencji spuszczone Wisłą z Warszawy, w liczbie trzydzieści dziewięć; załoga z trzech batalionów piechoty, około 1.200 ludzi, pod komendą generała Piotrowskiego. Stanowisko, zajęte przez wojsko nasze, rozciągało się lewem skrzydłem swoim aż do Sierocka, zajętego również jak Modlin zakładowymi oddziałami piechoty, około 1.400 ludzi i trzydzieści siedem armat. Środek stał w Zgierzu nad Narwią.

Dnia 23 kwietnia, wieczorem, wojska nasze zajęły swoje stanowisko. Rada ministrów udała się do Tykocina.

Opis Sierocka. Po krótkim pobycie w Modlinie udałem się z podpułkownikiem Mallet do Sierocka. Zastaliśmy twierdzę nie w lepszym stanie jak Modlin. Owszem wiele

brakowało, aby Sierock, tak pod względem naturalnego położenia jak i umocnienia mógł się z Modlinem równać. Prócz podobieństwa położenia przy ujściu Narwi z Bugiem, Sierock słabą przedstawiał obronę. Wojsko umieszczono w barakach, gdyż żadnych budowli nie było wojskowych. Na wałach zatoczonych było trzydzieści siedem dział. Garnizon składał się z 1.400 piechoty, oddziału artylerji. Na tych to dwóch punktach nowa podstawa nasza opierała się. W Broku, na lewym skrzydle naszym, założono most i szaniec przedmostowy na Bugu, wysłano w tym celu oficera inżynierów Żołądkiewicza. Za nami w Płockiem, Augustowskiem i Łomżyńskiem, generał Zajączek organizował rezerwy; w Wielkopolsce toż samo czynił generał Dąbrowski. Na około Sierocka, zwłaszcza od strony Pragi, leżą wielkie lasy, w tych porobiono zasieki, ażeby przystępy do Sierocka na lewym brzegu Narwi utrudnić. W tej czynności miałem udział pod rozkazami podpułkownika Mallet'a.

Lecz niedługo na stanowisku pomiędzy Modlinem i Sierockiem zatrzymano się. Na radzie wojennej, która się odbyła po wzięciu Warszawy, księżę Poniatowski, natchniony przez generała Dąbrowskiego i generała Pelletier, wniósł, ażeby teatr wojny przenieść do Galicyi i działać zaczepnie na prawym brzegu Wisły. Wskutek tego postanowienia nastąpiły rozmaite ruchy naszych kolumn na granicy galicyjskiej, a następnie potyczki pod Radziminem dnia 26 kwietnia, pod Grochowem tegoż samego dnia. Dnia 29 kwietnia generał Sokolnicki zajął Okuniew, przeszedł rzeczkę Zwider i 2 maja stanął w Dzieszinowie, wiosce naprzeciw Góry leżącej. Doszła bowiem wiadomość do głównej kwatery, iż arcyksiążę Ferdynand most na łyżwach pod Górą stawia, którego budowę szanecem przedmostowym zabezpieczył, i w gotowości się ma do przeprawy na prawy brzeg Wisły. Przedsięwzięto zapobiec tak niebezpiecznemu dla nas zamiarowi i generałów Sokolnickiego i Pelletier'a z czterema batalionami piechoty i dwa pułki jazdy wysłano w tym celu.

W Radziminie złączyłem się z główną kwaterą i tam przedstawiony zostałem księciu Poniatowskiemu przez generała Bronikowskiego, krewnego matki mojej, w czasie obiadowym. Książę Poniatowski liczył wtedy dopiero lat 46, należał on do najpiękniejszych ludzi swego czasu. Piękność rysów twarzy, wzrost średni, powaga w poruszeniach, uprzejmość w mowie, jednały mu odrazu serca. Nic nie wyrównało wspaniałości jego postawy na koniu. I na mnie widok tego rycerza z rycerzów, wielkie uczynił wrażenie. Odebrawszy kilka słów łaskawych z ust jego, powróciłem na miejsce moje u stołu jego; wszyscy bowiem oficerowie, do głównej kwatery należący, raz na zawsze proszeni byli. Po obiedzie, jeżeliśmy nie byli w marszu, rozpoczynała się zwyczajnie gra hazardowa, w której większa część oficerów sztabu nietylko udział miała, lecz książę naczelnym wódz sam stawiał na karty i do podkomendnych swoich po królewsku zwykł był przegrywać. W ogólności panowała wówczas zasada w wojsku naszym, że kto o pieniądź nie stoi, nie oglądnie się na przyszłość i majątek swój na kartę stawiać gotów, również skorą będzie do narażenia życia swojego, kiedy potrzeba tego się okaże. Tak jednak zawsze nie było; owszem uważałem, że prawie wszyscy znaczniejsi bankierzy, faraonowie sztabu, np. Szumlański, Nowicki, Karmenecki i t. d., nie należeli do najodważniejszych rycerzy naszych; owszem z każdej nadarzonej okazji korzystali, aby mieszać i taliować karty po za linią bojową. Przykład głównej kwatery wpływał, samo się rozumie, na inne sztaby i na drobniejsze oddziały wojska; wszędzie grywano: *kiedy August pił, Polska była pijana*.

W Radziminie miałem kwaterę u wieśniaka, którego córka nadzwyczajnej była urody. Jej piękność zwabiała młodych oficerów sztabowych, lecz ja, który świeżo moich klasyków pamiętałem, nietylko, że w ślady Scypiona poszedłem, co do mojej osoby, lecz od natrętnych nawiedzeń młodych kolegów, a mianowicie Wiktora Ossolińskiego, cnotę mojej nadobnej gosposi obroniłem. W nocy z 2 na 3 maja nastąpił



KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI.

(Według współczesnego portretu Baciarellego w Warszawie,
rytował F. John).

atak przedmieścia pod Górą, czyli od wsi na prawym brzegu Wisły pod Ostrówkiem. Trzeci batalion szóstego pułku piechoty, pod komendą pułkownika Sierawskiego, szefów batalionu Blumera, Bogusławskiego i Suchodolskiego, zdobyło go bagnem. 1.800 niewolnika z pułku Latour: trzydziestu ośmiu oficerów, jedna chorągiew, trzy działa stały się łupem zwycięzcy. Prócz tego austriacy mieli około pięciu set zabitych i rannych, strata naszych wynosiła trzysta ludzi. Skoro wiadomość ta doszła do głównej kwatery księcia Poniatowskiego w Okuniewie, nasz wódz ruszył zaraz naprzód, ażeby powitać zwyciężkie wojsko i korzystać z położenia nowego rzeczy. Pod Karczewem spotkał jeńców austriackich i pomoc w pieśniadach oficerom hojnie ofiarował.

Szaniec przed-
mostowy pod
Górą.

Szef batalionu Mallet wraz zenną dotarł do szanica przedmostowego i rozporządzenia stosowne porobił, ażeby piechotę naszą, która zajmowała szanice, zasłonić od nieprzyjacielskiego ognia z tamtej strony. Most już był prawie całkiem zebrany; wiele jeszcze nie pochowanych trupów, ba nawet ranni na placu leżeli. Pierwszy widok cierpień żołnierza mocne wrażenie na niedoświadczonych uczynił, cóż dopiero, gdy usłyszał krzyki kilku rannych: *dobijcie mnie*. Zdobyć szanica pod Ostrówkiem zniszczyło zamiary austriaków przepłynięcia się przez Wisłę w pobliżu Warszawy. Arcyksiążę pomyśleć musiał o przepławie poniżej, około Płocka, lecz gdy i to się nie udało, starał się podchwycić szanice przedmostowy Torunia i miasto z mostem jednym zamachem zyskać: lecz i to przedsięwzięcie speliło na niczem. Oddawna miał pod Sandomierzem zapewniony sobie most na Wiśle, który przedmościem utwierdził. W tym celu także Sandomierz w korzystnym położeniu umocnił i garnizonem 4.000 ludzi pod jenerałem Eggermanem obsadził.

Tymczasem główny korpus księcia Poniatowskiego swobodnie mógł rozpocząć działania zaczepne przeciw nieprzyjacielskim oddziałom, rozproszonym po Galicji i wzmacniać się

coraz bardziej posiłkami w ludziach i koniach, cisnącymi się zewsząd pod nasze chorągwie. Dnia 5 maja główna kwatera księcia Poniatowskiego była w Wiązowni. Dnia 6 maja ogólne poruszenie naprzód nastąpiło. Główna kwatera dnia 7 była w Parczowie, dnia 10 w Kocku, dnia 11 w Lubartowie; a tymczasem przednie straże posuwały się szybko naprzód ku Zamościowi i ujściu Sanu, a 14 maja nasz wódz wszedł do Lublina. Jenerał Sokolnicki dnia 16 maja z przednią strażą zbliżył się pod Sandomierz. W nocy z 16 na 17 maja sam przeprowadził się przez Wisłę pod Zawichostem, kiedy jenerał Roźniecki, na prawym brzegu zostając, przebywszy San, stanął pod szańcem przedmостowym Sandomierza. Atak jednocześnie następował na obydwóch brzegach; Wzięcie Sandomierza. na lewym Sokolnicki, na prawym Różniecki, w nocy z dnia 17 na 18 maja. Pierwszy nie powiódł się i straciliśmy w nim księcia Marcelego Lubomirskiego i wielu męnych ludzi z pułku dwunastego piechoty. Drugi poszedł pomyślniej. Jednym pędem piechota pułku szóstego i ósmego, pod Bogusławskim i Włodzimierzem Potockim, szance przedmостowe zdobyła bagnetem; sześć dział i około 1.000 ludzi wziętych w tym szybkim ataku zostało. Wskutek tego Sandomierz nazajutrz się poddał. Zamość także wzięty został szturmem przez oddział naszego wojska, pod dowództwem jenerała Pelletier. Wzięcie Zamościa.

W tylu świetnych wypadkach nie miałem niestety żadnego udziału. Przywiązany do osoby pułkownika inżynierii Malleta, za młody, abym mógł być gdziekolwiek użyty na własną odpowiedzialność, starałem się tylko o wypełnienie ściśle rozkazów danych i powoli rozpatrywałem się w obowiązkach nowego rzemiosła. Po wzięciu Zamościa, udałem się z pułkownikiem Mallet do tej twierdzy, którą zastaliśmy jeszcze w wielkim nieładzie po szturmie i rabunku nocnym.

Zamość, w XVI wieku przez Jana Zamoyskiego zbudowany, przedstawiał raczej widok mia- Opis Zamościa.

sta włoskiego aniżeli polskiego. Inżynierowie włoscy sprowadzeni przez hetmana i kanclerza Zamoyskiego, miasto i twierdzę założyli w położeniu z natury obronnem, wśród bagien, z których rzeka Wieprz wypływa. Część twierdzy dla bagien zupełnie nieprzystępna, część inna zapomocą sztucznego zalewu również niedostępną stać się może. Od strony drogi lubelskiej i lwowskiej, położenie się wznosi i nawet cokolwiek panującym a zatem przystępniejszym się staje. Twierdza narysowana w siedmiobok bastyonowy nieforemny. Zamek Zamoyskich leży pomiędzy bastyonami trzecim a czwartym, od bramy szczebrzeskiej do lubelskiej. Część środkowa jego niedokończoną była; reszta miasta zbudowana foremnie. Ulice po kątem prostym, rynek obszerny z pięknym ratuszem; naokoło sklepione arkady, pod którymi w czasie deszczu wygodnie się przechadzało; kilka pięknych kościołów z wysokimi wieżami, ozdobą były miasta. Niedaleko bramy lubelskiej natrafiłszy na wielki budynek w czworobok zbudowany: *Akademia Zamoyskich*, później do Szczebrzeszyna przeniesiona, z której wielu wyszło uczonych w XII i XIII wieku. Naokoło miasta ciągnęły się rozległe przedmieścia z pięknymi ogrodami.

Taki nam obraz Zamość przedstawiał w kilka dni po szturmie. Dodać do tego należy zamieszanie, niedostępne od takiego dokonanego przedsięwzięcia. Nie obyło się i bez pożaru od naszych granatów i bez rabunku mieszkańców. Kasy przez żołnierzy złupione zostały, bankocetle workami wynoszono i za bezcen sprzedawano. Oświeceńsi z pomiędzy żołnierzy majątki porobili. Szef batalionu Mallet przepędził parę dni na zarządzeniu robót około umocnienia twierdzy. Dziwnym przypadkiem bowiem, prawe czoło bastyonu czwartego, zapewne wstrząśnięte ogniem ciężkich dział i na bagnie stojące, nazajutrz po szturmie runęło do rowu i przystępny wyłom przedstawiało; trzeba było jak najspieszniej zająć się zamuroowaniem otworu, gdyż nieprzyjaciel nie był daleki. Poruczono tę pracę kapitanowi inżynierowi Jodce, który

służbę inżynierską jak najprędzej urządził i pomoc znalazł w kompanii saperów, pod komendą kapitana Sabiejewskiego.

Po tych rozporządzeniach udaliśmy się do głównej kwatery pod Trześnią, obracając drogę na Ulanów, gdzie most był dla nas i dla nadchodzących Rosyan przygotowany *na Sanie*. Wieś Trześnia na prawym brzegu Wisły, o ćwierć mili od mostu na Wisłę, naprzeciw Sandomierza leżąca, przepełniona wówczas była wojskiem, oficerami sztabowymi i bagażami wszelkiego rodzaju. Wojsko polskie, skoncentrowane wówczas naokoło Sandomierza, rozłożone było w samym mieście i we wsiach okolicznych, częścią też stało w obozie pod Trześnią. Oddziały jazdy naszej pod generałami Roźnieckim i Kamińskim podchodziły pod Lwów i pod Jarosław i przecinały główny trakt żwirowy wiedeński. Dnia 25 maja Jarosław ze znacznymi zapasami wszelkiego rodzaju dostał się w nasze ręce. Dnia 28 maja Roźniecki wszedł do Lwowa.

Po przybyciu naszym do Trześni podpułkownik Mallet z generałem Pelletier, w dniu 23 maja rozpoznali szczegółowo Sandomierz z okolicami i roboty około lepszego umocnienia tego tak ważnego punktu zarządzili. Postanowiono bowiem na radzie wojennej Sandomierz utrzymać *jako środek dalszych obrotów*; skądby równie działać można przeciwko zbliżającemu się arcyksięciu Ferdynandowi z głównymi siłami austriackimi, jak przeciwko oddziałom odwodowym, zajmującym Starą Galicyą. Aby dopiąć tego podwójnego celu, należało zachować szaniec przedmostowy, lecz ten z niewypowiedzianą lekkomyślnością z rozkazu generała Roźnieckiego zaraz po wzięciu rozrzucony został; błąd ten, który czas jeszcze było naprawić, a jednak nie naprawiono, wiele się przyczynił później do upadku Sandomierza.

Sandomierz, od wpadającej o milę poniżej do Wisły rzeki Sanu tak nazwany, leży na wysokości parowieści, parowami głębokimi przerywanej i z tych parowów, które nakształt głębokich przekopów, opasują mury, główną obronę odbiera. Przed miastem leży kilka klasztorów

Opis
Sandomierza.

murowanych z mocnymi murami obwodowymi, jako to: Dominikanów, Reformatów, św. Pawła, św. Jakóba, które uważać można było jako dzieła zewnętrzne całej pozycyi i które wreszcie same jak najskuteczniej przystępu do miasta broniły.

Na lewem skrzydle miasta znajdujemy ruiny zamku, za Karola Gustawa króla szwedzkiego wysadzonego w powietrze. Główny obwód składał się z murów i z baszt starożytnych, a przed nimi założono wał z przedpiersiem i rowem. Obronę szyi od strony Wisły stanowił spadek przykry, gdzieniegdzie urwisty, a w miejscach przystępniejszych palisada.

Umocnienie, dopiero co opisane, starano się w jak najkrótszym czasie powiększyć, lub też uzupełnić. Mury obwodowe miasta, mury cmentarzy, na około klasztorów wyniesione, urządzono do obrony, przebijając w nich strzelnice; w miejscach górzystych pozakładano baterye i dzieła zewnętrzne. Szyję od Wisły zupełnie zamknięto palisadami, nareszcie miejsca stosowne po klasztorach na magazyny wybrano.

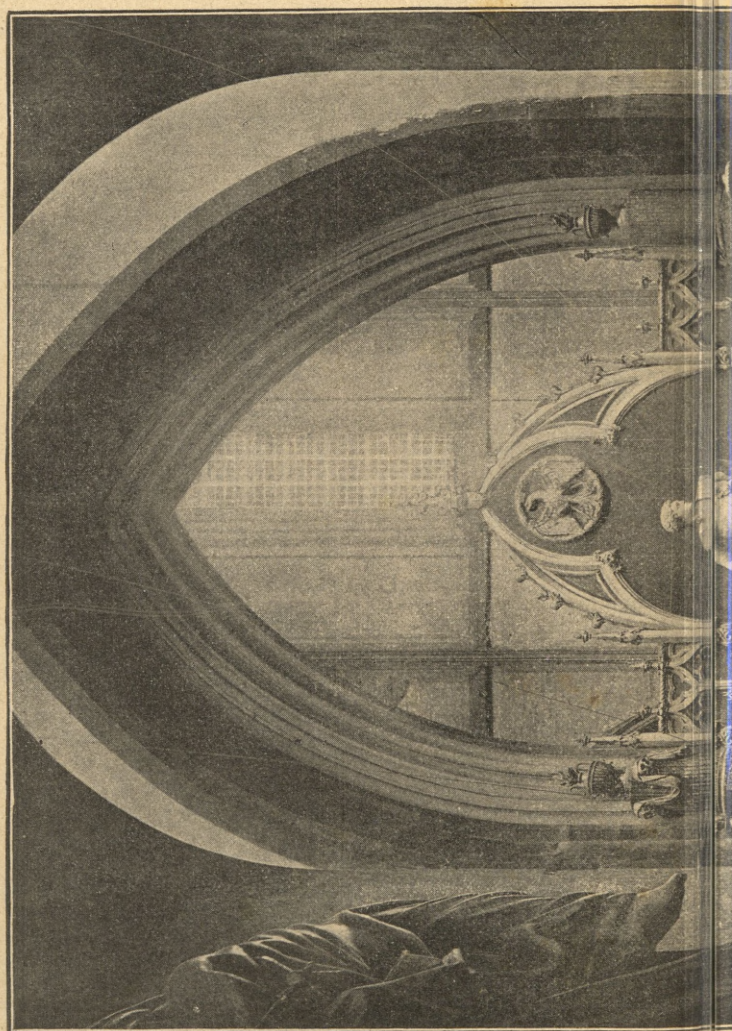
W użyciu tych środków generał Sokolnicki, któremu dowództwo Sandomierza powierzono i pułkownik Bontemps, dyrektor artyleryi, okazali się najczynniejszymi.

Generał Sokolnicki, rodem z Wielkopolski, rozpoczął swój zawód wojskowy w korpusie inżynierów koronnych i czynnym już był w kampanii roku 1792. Później wstąpił do oddziału strzelców pieszych, i w roku 1794 został pułkownikiem. Wzięty z naczelnikiem Kościuszką pod Maciejowicami do niewoli, zawiezony został do Petersburga i tam w kazamatach cytadeli zamknięty był do końca roku 1796, w którym to czasie śmierć Katarzyny i wstąpienie na tron Pawła I, wszystkich polskich więźniów zwolniły (zob. Pamiętniki Niemcewicza). Sokolnicki niedługo potem pospieszył do legjonów, służył pod Dąbrowskim, później pod Kniaziewiczem i w stopniu adjutanta komendanta odbył kampanię roku 1800. Udał się potem do Paryża i tam naukom ścisłym oddany, wszedł w stosunki bliższe z człon-

kami instytutu i kilka dzieł, dotyczących się hydrauliki, wydał. W roku 1806 wstąpił napowrót do wojska i jako generał brygady od początku kampanii roku 1809 dowodził przednią strażą wojska naszego. Był to oficer również uczony, jak odważny i przedsiębiorczy. Żywa wyobraźnia nie dawała mu żadnego spoczynku, plany, projekta najbujniejszych działań wojennych, następowały szybko po sobie, z tych większa część była niepraktyczna. Ambicya jego nie znała granic; czując się wyższym od drugich, dawał im to nieraz uczuć i wiele miał z tego względu nieprzyjaciół. Talent jego stawiał go niezawodnie w pierwszym rzędzie naszych generałów, lecz wyobraźnia zanadto bujna i niespokojność wrodzona, wszelką równowagę w umyśle psuły i rozwinięcie tak wielkich zdolności tamowały.

W Sandomierzu zastałem obraz rzeczywistej wojny; pod czynnym okiem generała Sokolnickiego wykonywano z szybkością nakazane roboty obronne; sypano baterie, zataczano działa i t. d. Służba na forpocztach odbywała się ściśle. Waleczny pułkownik Dziewanowski z pułkiem szóstym ułanów dowodził przednią strażą i dzień i noc czuwał nad bezpieczeństwem dzieł zewnętrznych.

Wcale inny obraz przedstawiała główna kwatera w Trzeźni. Tam młodzież sztabowa u stołów otwartych naszego wodza, zapominała o trudach wojennych. Hazardowa gra, w której przewodniczyli generałowie nasi i nawet, jakem już wyżej nadmieniał, sam wódz naczelny, zajmowała mocniej wszystkich, aniżeli obowiązek lub potrzeba wykształcenia się w wojennem rzemiośle. Przybycie bogatej młodzieży galicyjskiej, odważnej lecz próżnej, jeszcze bardziej namiętność szaloną gry podniecało. Jakże trudno było oprzeć się takiemu widokowi, kiedy samego naszego wodza widzieliśmy wspaniale przyzującego przy zielonym stoliku. Zdawało się wielu z nas i mnie także, że pogarda złota jest jednym z przymiotów dobrego żołnierza, a kto nie gra, nazwać się godzien *skap-cem*, *egoistą*, który życia swego nigdy na kartę nie stawia.





POMNIK GROBOWY WŁODZIMIERZA POTOCKIEGO W KATEDRZE NA WAWELU.
(Rzeźba dtuta Thorwaldsena)
(zobacz str. 44).

A więc i mnie grać się podobało. Wnet moje trzydzieści czerwonych złotych przeszły nader prędko w białe, pierścieniami ozdobione ręce, panów Nowickiego i Szumlańskiego i znalazłem się bez złotego w worku moim. Lecz za to w oczach własnych i młodych kolegów zacząłem uchodzić za bardzo walecznego, ponieważ tak wspaniale trzydzieści czerwonych złotych przegrałem.

Wkrótce jednak rozwaga lepsza rozpędziła w umyśle moim to mroczne mniemanie. Znalazłem się bez sposobu dopomożenia sobie w czemkolwiek. Jenerała Bronikowskiego w głównej kwaterze już nie było, żołdu nie płacono, cóż więc robić było? Dowiedziawszy się o przybyciu pułkownika Turny, kuzyna matki, udałem się do niego i on to po dobrem napomnieniu i ojcowskich radach, chociaż i sam, ile później widziałem, dość namiętnie grywał, wspomógł mnie kilkunastu dukatami, pod warunkiem, ażebym więcej nie grał nigdy. Warunek ten wiernie dotrzymałem w ciągu życia wojskowego; widziałem gry wielkie przed sobą i nigdy mnie chęć nie brała stawić na kartę. W Paryżu nawet gra *rouge noir* nie potrafiła obudzić namiętności we mnie. Wyleczony byłem odrazu na całe życie.

Na forpocztach pod Sandomierzem odwiedziłem pułkownika szóstego pułku jazdy Dziewanowskiego, dawnego przyjaciela domu naszego, który mnie przyjął jako syna, dobremi radami wzmocnił i dopomógł do nabycia trzeciego konia od kapitana Leszczyńskiego. Temu to zacnemu pułkownikowi winien pułk szósty ułanów organizacją swoją, karność i reputacją, którą sobie przez tyle chwalebnych czynów zjednał w kampaniach 1809, 1812 i 1813 roku. Ten pułk, w roku 1816 zreorganizowany, stał się pułkiem drugim ułanów i pod tą firmą również odznaczył się we wszystkich bitwach roku 1831. Tak to zaszczerpiecie silne ducha i honoru wojskowego w korpusie oficerów i żołnierzy, wpływa na prowadzenie i chwałę pułku przez długie lata.

W Trześni poznałem kilku znakomitych oficerów naszego wojska; najbardziej zwracali na siebie uwagę: generał Pelletier, komenderujący artylerją i szef szwadronu, Włodzimirz Potocki.

Jenerał Pelletier ze służby francuskiej, gdzie był pułkownikiem artylerji, przeszedł do służby Księstwa Warszawskiego na rozkaz cesarza Napoleona, w stopniu jenerała brygady, ażeby uorganizować służbę artylerji. Pelletier miał dopiero lat trzydzieści dwa w czasie wojny 1809, a przecież co do lat służby i wojen odbytych, należał do najstarszych oficerów naszego wojska. W siedmnastym roku wieku swego zaciągnął się do artylerji; odbył pod Rzeczpospolitą wojny 1805, 1806 i 1807. Pelletier, nietylko jako oficer artylerji, znakomite posiadał wiadomości, lecz łączył w sobie zdanie, roztropność i wzrok bystry jenerała komenderującego. Jego odwaga, spokojność, powaga w ogniu były zadziwiające, jego przytomność umysłu wszystkich zdumiewała; miał przytem dar jednania sobie zaufania u wszystkich i nieraz się przyczynił do pogodzenia lub zbliżenia zdań zupełnie przeciwnych, zazdrości i nienawiści zakorzenionych między naszymi wodzami. Pelletier w przedmiotach służby był wymagający; znał je bowiem jak najlepiej; umiał karać i strofować, dlatego też karność w korpusie artylerji była wielka; wszakże w tak krótkim czasie nie mógł wlać uauki, której jeszcze nie wiele było pomiędzy oficerami, lecz i w tym względzie liczył on na czas i na szkołę aplikacyjną, która ludzi takich, jak Bem i Chrzanowski wydała. W czasie wolnym od służby jenerał Pelletier był najweselszym i najprzyjemniejszym towarzyszem, jego wesołość czasem się nawet do rozpusty posuwała. W wojnie roku 1812 wzięty został do niewoli przez Rosyan, a w roku 1814 powrócił do Francji, gdzie wstąpił powtórnie do artylerji. W roku 1830 Pelletier był komendantem szkoły aplikacyjnej w Metz i zawsze nas z przychylnością wspominał. Kolega

Jenerał
Pelletier.

mój Prądyński oraz ja, mieliśmy u niego, pomimo naszej młodości, szczególniejsze względy.

Włodzimierz
Potocki.

Włodzimierz Potocki, syn Szczęsnego Potockiego (i matki Mniszchówny), jednego z tryumwirów Targowicy, odrodził się zupełnie od niegodnego ojca. Wychowanie jego było najstaranniejsze w domu, na dokończenie nauk wyjechał do Niemiec i na uniwersytet lipski, zdaje mi się, uczęszczał. Powierzchność jego była tyle nadobna i ujmująca, przytem grzeczność tak wielka, obok wykształcenia na swój wiek nadzwyczajnego, iż wszystkich, tak profesorów jak i uczniów, skłaniał do siebie serca. Nic nie dorównywało pięknej jego postawie, posąg Apolina Belwederskiego nie był piękniejszy. Pomimo trudności, jakich doświadczył będąc poddanym rosyjskim, wkrótce po naszym odrodzeniu się wstąpił do naszych szeregów i w końcu 1808 roku baterię artylerji konnej kosztem swoim uformował. Świetna jego odwaga pod Raszynem i Sandomierzem w obliczu całego wojska, miejsce mu naznaczyła pomiędzy najwaleczniejszymi. Roztropność jego i spokojność w rozprawie każdej coś więcej jeszcze obiecywały i przyszłego wodza znamionowały.

Lecz wojsko i ojczyzna, której tyle dowodów dał poświęcenia, nie długo się cieszyły tą nadzieją. 8 kwietnia roku 1812, po krótkiej chorobie, zakończył młody swój zawód w Krakowie, nie dożywszy dwudziestu dwu lat, z powszechnym żalem współtowarzyszów broni i żony, która go uwielbiała. Piękny pomnik, w katedralnym kościele krakowskim wystawiony, pamiątkę tego młodego bohatera uwiecznił.

W czasie, gdy książę Poniatowski okolice Sandomierza zajmował i zagony rozpuszczał aż ku Podolowi i Karpatom, generałowie: Dąbrowski i Zajączek z wielką gorliwością wypełniali dane im polecenia. Pierwszy na czele na prędce sformowanej dywizji ośmiu trzecich batalionów piechoty i dwóch nowych pułków jazdy, wogóle 7,500 ludzi i ośmiu dział, skoncentrował się pod Kutnem ze wszystkimi siłami. Z dru-

giej strony generał Zajączek, zebrawszy w garnizonach twierdz nadwiślańskich i w zakładach na prawym brzegu Wisły 4.900 ludzi i dwanaście dział; zaczął przeprowadzać swoje oddziały przy Wiśle pod Oborami i zagroził Warszawie.

Powodowany tymi ruchami arcyksiążę Ferdynand, uznał potrzebę opuszczenia Warszawy i przeniesienia głównych sił swoich ku górnej Wiśle pod Sandomierz, zostawiwszy generała Monelet'a z korpusem 13.000 w Księstwie, dla wstrzymania następujących ze wszech stron oddziałów Dąbrowskiego i Zajączka. W nocy z dnia 1 na 2 czerwca, Monelet opuścił także Warszawę, którą generał Zajączek dnia 2 czerwca natchemniej zajął z niewypowiedzianą radością mieszkańców, żyjących w ucisku i trwodze od pięciu tygodni. Wskutku uwolnienia Warszawy teatr wojny zaczął się zbliżać ku Pilicy i wkrótce skoncentrował się w okolicach Sandomierza.

Arcyksiążę Ferdynand, połączywszy się z generałami Schaueroth'em i Geringer'em pod Opatowem, dnia 4 czerwca odbył przegląd sił swoich, które wynosiły 13.000 ludzi. Dnia 5 czerwca generał Sokolnicki wyszedł naprzeciw niemu w 5.000 ludzi dla rozpoznania sił i położenia. Przyszło do żwawej utarczki, która na korzyść naszą się obróciła. Wszakże przed siłą przemagającą nieprzyjaciela ustępując, generał Sokolnicki cofnął się nad wieczorem do Sandomierza. Austriacy żywo następując, natarli wieczorem na niektóre oddzielne posturunki i szanice przed miastem, lecz wszędzie ze stratą odparci zostali. Tu zginął szef batalionu Eisenbach z trzeciego pułku piechoty.

Arcyksiążę przekonany o niepodobieństwie atakowania Sandomierza, tak długo, dopóki książę Poniatowski zajmować będzie pozycję w Trześni, postanowił przeprowadzić się z głównymi siłami na prawy brzeg Wisły. Generał Schaueroth w 9.000 ludzi skutecznie te poruszenia dnia 8 czerwca pod Połańcem i zajął stanowisko nad Wisłoką — zostawiwszy na lewym brzegu generała Geringera z 3.000 ludzi, dla zasłony poruszenia swego. Wskutek tego manewru książę Poniatowski,

który obsadziwszy Sandomierz i Zamość i przywoławszy Różnieckiego, liczył tylko sześć batalionów i cztery kompanie piechoty, jednaście szwadronów i czternaście dział, ogółem 7.300 ludzi, nie czuł się dość mocnym, żeby się mierzyć z arcyksięciem.

Nierozmyślne rozrzucenie szańca przedmostowego sandomirskiego okazało się teraz, gdy tyle zależeć musiało na wolnem działaniu obydwóch brzegów Wisły, nader szkodliwym. Nie naprawiono odrazu tak wielkiego błędu. Dziś już było zapóźno. Nie wypadało więc księciu Poniatowskiemu, jak tylko ze wszystkimi siłami przerzucić się na brzeg lewy Wisły, starając się o podanie ręki Dąbrowskiemu i Zajączkowi, którzy z tamtej strony Pilicy następowali za korpusem generała Menellet'a. Lecz przez takie poruszenie Stara Galicya narażona była na powtórne zajęcie ze strony Austryaków; związek z nią zupełnie się zrywał, a nawet Lublin zagrożonyby został. Poruszenie takie nazwać było można największą klęską. Uznano więc za rzecz stosowniejszą obsadzić mocno Sandomierz i cofnąć się za linię Sanu i w tem położeniu czekać na posiłki, prowadzone przez Dąbrowskiego i Zajączka. Tym sposobem nie tracąc z oka Sandomierza, trzymaliśmy arcyksięcia na wodzy; podawaliśmy rękę formacyom galicyjskim, które pomimo oporu ze strony Austryaków, a nawet ze strony sprzymierzonych nam Rosyan, z wielką szybkością powstawały; nareszcie zyskiwaliśmy na czasie.

Mowaby tu być powinna o tem nienaturalnem sprzymierzeniu Rosyi z Francją, które za sobą pociągnęło tak dziwny stosunek pomiędzy wojskiem naszym a wojskiem rosyjskiem, pod komendą generała księcia Galicya; lecz wolę odeśłać czytelnika w tym względzie do dzieła Romana Sołtyka. Nadmienię tu tylko, że pozycja nad Sanem pewniejszaby się stawała, gdyby lewe skrzydło nasze rzeczywiście opierało się o dywizję rosyjską Suwarowa, stojącą pod Radomyślem i Dąbrową; i gdyby działanie ze strony tej dywizyi było tak szczere, jak się po sprzymierzeńcach spodziewać należało.

W tak mocnem stanowisku możnaby było spokojnie czekać ataku arcyksięcia. Lecz przekonano się wkrótce z listów generałów rosyjskich, pisanych do naczelników austriackich a przejętych przez nasze forpoczty, i z całego postępowania tychże generałów, iż niebezpieczniejszymi dla nas byli, jak sam nieprzyjaciel. I to jest pewne, że skoroby się Napoleonowi nad Dunajem nie było powiodło, zrzuciwszy maskę, nasby najprzód przygnietli, a potem podawszy rękę Austryakom, pospieszyliby na główny teatr wojny. Dość powiedzieć na poparcie tego, iż powstanie galicyjskie rozbrajali, władze austriackie napowrót przywracali, nasze poruszenia tamowali, i spotkawszy się z wojskiem austriackiem żadnej mu szkody nie wyrządzali, ani jednego strzału nie uczyniwszy. Takimi byli dziwni ci sprzymierzeńcy.

Stanowisko nad Sanem, jakkolwiek z innych względów dobrze wybrane, stało się niebezpiecznem w tak niepewnym stosunku do wojska rosyjskiego. Dla wyjaśnienia tego stosunku wysłany został podpułkownik Mallet do głównej kwatery rosyjskiej i do Ulanowa. Mallet miał posłuchanie u księcia Gallicyna; lecz nic, prócz pięknych słówek nie przywiózł stamtąd. Rosyanie nieporuszeni stali. Wprawdzie generał Suwarow najlepsze zdawał się okazywać chęci i gdyby nie był miał rąk związanych najściślejszymi rozkazami, zapewne czynną byłby nam przyniósł pomoc. Lecz tak, jak rzeczy stały, nie mógł przestąpić instrukcyi i tylko małe demonstracye uczynił na prawym brzegu Sanu, na naszą korzyść. Wojsko polskie z 7.000 ludzi i czterestu armat tylko złożone, zajmowało stanowisko na lewym brzegu po za wsią Gorzyce, zasłonięte groblami i starami odnogami Sanu przed wsiami Fantazyą i Wrzawami; prawe skrzydło oparte o Wisłę, lewe o groblę i stare łożysko Sanu. Stanowisko obronne z natury przedstawiało obraz wielkiego przedmościa; most na Sanie, założony pod Dąbrową — zupełnie nim był zasłonięty. Na lewym skrzydle naszym był bród na Sanie pod Skowierzynem, którego bronił oddział nasz, złożony z sie-

dmiu kompanii piechoty, jednego szwadronu i dwóch dział. Rachowano wprawdzie, pomimo tyłu zawodów, na pomoc rosyjską, przynajmniej w obronie tego miejsca; lecz i ta rachuba omyloną została. Wprawdzie punkt ten był najsłabszym, i gdyby Austriacy kilka tysięcy ludzi byli przeznaczyli do ataku Skowierzyna, mogli byli z łatwością obejść nasze lewe skrzydło i ubiedz nas u mostu na Sanie.

Dnia 12 czerwca po obiedzie nastąpił ze strony austriackiej atak na naszą pozycję pod Gorzycami, który z świetną odwagą odparty został przez słaby polski korpus, pod dowództwem bezpośrednim księcia Poniatowskiego. W tej potyczce pierwszy raz znajdowałem się w ogniu armatnim i cokolwiek się z niebezpieczeństwem oswoiłem.

W nocy z dnia 13 na 14 wojsko nasze przepравиło się przez San i most za sobą zrzuciło. Główna kwatera stanęła w Antonowie. Piechota i artyleria nasza obsadziła brzegi Sanu naprzeciw forpoczty austriackich; arcyksiążę Ferdynand przymusiwszy nas do opuszczenia lewego brzegu Sanu, mógł teraz swobodnie pomyśleć o ataku Sandomierza. Jenerał Monet po bitwie Jedlińskiej dnia 11 czerwca, w której pobił Zajączka, zbliżył się pod Sandomierz. Tym sposobem arcyksiążę miał wszystkie siły pod tem miastem skoncentrowane.

W nocy z dnia 15 na 16 czerwca Austriacy przypuścili szturm do Sandomierza. Z pozycyi naszej widać było całą potyczkę. Miasto wkrótce płonęło w ogniu. Każdy strzał armatni wyraźnie słychać było. Około godziny w pół do jedenastej rozpoczął się ogień i trwał do białego dnia. Dziewięć batalionów wyborowych austriackich użytych zostało do szturm, wszystkie z wielką stratą odparte; 689 zabitych i 986 rannych okrywało pobojowisko i prócz tego nieprzyjacieli zostawił w naszym ręku 315 niewolników. Nasza strata wynosiła około 1.000 ludzi. W żadnej potyczce tej kampanii, wojsko nasze tyle wytrzymałości nie okazało. Szturm ten odparty należeć zawsze będzie do najehlubniejszych czynów polskiego oręża.

Dzień 16 czerwca po szturmie, użyty z obydwóch stron dla pogrzebania trupów i zebrania rannych. Po obrachowaniu sił pozostałych generał Sokolnicki przekonał się, że ma jeszcze 4.000 ludzi pod bronią; lecz ci prawie już byli bez amunicyi; brakowało także ładunków artyleryi tak dalece, że obawiać się było można, aby ponowiony szturm nie stał się zgubnym dla załogi. Potrzeba traktowania była konieczną. Jakoż po złożeniu rady wojennej przystąpiono do układu, na mocy którego załoga z bronią, artylerją i bagażami miała wyjść z Sandomierza i udać się etapami za Pilicę, skąd dopiero wolne działanie rozpocząć mogła. Układ ten czyli kapitulacya ratyfikowany został z obydwu stron dnia 18 czerwca. Nazajutrz dnia 19 czerwca Austryacy zajęli Sandomierz.

Kapitulacya Sandomierza źle przyjęta została przez naczelnego wodza; w liście z dnia 20 czerwca wynurzył nawet swoje nieukontentowanie z tego względu generałowi Sokolnickiemu; pochwaliwszy jednak waleczność obrońców. W rzeczy samej, później okazało się, iż należało jeszcze parę dni wytrwać.

Austryacy, zniechęceni stratą 2.000 ludzi, nie byliby się odważyli na nowy szturm; lecz spaliwszy miasto granatami byliby odciągnęli w tym samym czasie, w jakim to uczynili. Mieli bowiem wyraźny rozkaz zbliżenia się do głównej armii nad Dunajem.

Po zniszczeniu szańców Sandomierza i zabranii dział ciężkich swoich, arcyksiążę dnia 22 czerwca wyszedł z tego miasta i udał się na Kielce, Małogoszcz, Przedbórz ku Krakowu. W tym samym czasie książę Poniatowski stanowisko swoje pod Pniowem opuścił i udał się do Puław, ażeby się zbliżyć do generałów Zajączka i Sokolnickiego, z którymi wkrótce się złączył.

W czasie pobytu mego w Pniowie przy głównej kwaterze, zapadłem na febrę i musiałem się przenieść do Borowa, gdzie stały nasze ambulanse; tam przy spoczynku lepszym i z pomocą doktora Puchalskiego wkrótce powróciłem do

dawnego zdrowia. W Puławach dogoniłem główną kwaterę, która tam stanęła dnia 24 czerwca.

Puławy. Miejsce to, równie w Polsce jak i za granicą znane, wierszami Delilla wstawione, już tylko słaby cień dawnej wielkości i zamożności przedstawiało. Mieszkał w nim wprawdzie jeszcze generał ziem podolskich i feldmarszałek cesarsko-austriacki, ksiązę Adam Czartoryski z żoną Izabelą z hrabiów Flemingów, z rodziną i dworem dość licznym; wszystko przypominało jeszcze dawną wielkość i dawało wierny obraz tego, czem był dawniej dwór naszych magnatów. Lecz z opowiadania starszych sług i domowników sądząc, wiele się tam zmienić musiało, zwłaszcza od czasu, gdy w roku 1794 generał rosyjski Bibikow pałac tamtejszy złupił. Pomimo tego Puławy jeszcze nader przyjemnem musiały być siedliskiem, przy ogromnych dochodach księcia generała, posiadającego liczne dobra na Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie Galicyi i w Polsce. Pałac z bocznym wielkim pawilonem, ze stajniami i przyległościami, wśród najpiękniejszych ogrodów założony, przedstawiał obraz małego miasta. W parku przyległym rozrzucone były pałacyki osób familii, jakoto: księcia Adama, księcia Wirtemberskiego, i t. d., które z osobnym dworem tam mieszkały: a bardziej opodal, leżały pomieszkania dworskich urzędników, doktorów, koniuszych, meotrów, przyjaciół domowych, rezydentów i gości luźnych; każde z nich do angielskiego *cottage* lub małej *villi* włoskiej podobne, otoczone było szpalerami lub też ładnymi ogródkami. Świątynia Sybilli i dom gotycki szczególniejsz zwracały na siebie uwagę; w nich to księżna generałowa z wielkiem staraniem i kosztem zgromadziła wiele polskich pamiątek, z których część większa wraz z piękną biblioteką w roku 1831 stały się łupem wojska rosyjskiego. Najwięcej do tego rabunku przyczynił się ksiązę Adam Wirtemberski, wnuk księcia Czartoryskiego, wówczas generał rosyjski. Sama wieś Puławy i przyległa wieś Włostowice złożone były z ładnych, schludnych chatek, cieszyły oko porządkiem i zamożnością mie-

szkańców. Ruch tak licznego dworu, powiększył napływ obywateli z okolicy i przybycie księcia Poniatowskiego z główną kwaterą w dniu 24 czerwca.

Przyjęcie naczelnego wodza i wojska polskiego przez księcia generała było równie serdeczne jak świetne. Sama księżna przy pomocy pani ordynatowej Zamoyskiej, Zofii z Czartoryskich, księżny Maryi Wirtemberskiej i dam innych przebywających wówczas na dworze księżnej, a należących tak co do urody jak i wychowania do najznakomitszych tego wieku, starało się naszemu wodzowi i oficerom wojska naszego uprzyjemnić krótki ich pobyt w Puławach. Wszyscy podejmowani byli kosztem księcia generała; nawet wojsko przez rozmaite dodatki w żywieniu starano się rozweselić.

Jenerał Zajęczek po przegranej jedlińskiej zwrócił się był ku Wiśle i dnia 15 czerwca prze-
prowdził się pod Puławami, a dnia 19 czerwca już Połączenie z jenerałem Zajęczkiem. był połączony z księciem Poniatowskim pod Pniowem. Pod Puławami miał przeto naczelnny wódz 12.000 ludzi zebranych. Prócz tych wojsk, stali jenerał Dąbrowski z 7.000 ludzi i Sokolnicki z 4.000 ludzi garnizonu sandomierskiego nad Pilicą.

Naczelnny wódz postanowił teraz wszystkie swoje siły skoncentrować na prawym brzegu Wisły. W tym celu zbudowano most na łyżwach na Wiśle, o pół mili poniżej Puław naprzeciwko wsi Jaroszyna i szaniec przedmostowy dla zastony jego założono. Roboty około mostu i szaniec powierzono porucznikowi od saperów Potier, prawdziwemu *trou-pier* wojska francuskiego, przeniesionego do wojska naszego. Mnie i Prądzynińskiego dodano mu do pomocy.

Po ośmiodniowym pobycie w Puławach, w czasie którego książę Poniatowski podzielił swój czas pomiędzy organizację nowo przybyłych batalionów, przeglądy wojska, liczne szczegóły służby, korespondencję i zabawy towarzyskie w gronie pięknych dam puławskich, wojsko polskie dnia 2 lipca wyruszyło ku Radomiowi i tam połączenie głów-

wnych sił nastąpiło, które do 23,000 ludzi wynosiły *w dniu 4 lipca*.

W czasie pobytu naszego w Puławach, otrzymałem krótki urlop na dni kilka do rodziców. Udałem się więc podwodami do Warszawy, skąd dzień i noc jadąc w domu niespodziewanie stanąłem. Przez rodziców pielęgnowany i opatrzony w pieniądze i bieliznę, po rzewnem pożegnaniu z matką i radach zbawiennych ze strony ojca, równie szybko wracałem na Warszawę do Puław; lecz tam już głównej kwatery nie zastałem. Według wiadomości od wojska, korpus nasz główny wyruszył ku Kielcom; obróciłem więc moją drogę na Iłżę do Kielc, gdzie ostatnie ciągnące nasze kolumny, parki i obłogi zastałem.

Marsz wojska naszego od Radomia do Krakowa podobniejszy był do wygodnego etapowego pochodu, aniżeli do wojennego. Wszędzie mieszkańcy z ochotą nas podejmowali i wszystkiego dostarczali obficie.

Główna kwatera dnia 8 lipca stanęła w Kielcach, po mimo dość trudnego dla rozmaitej broni przechodu przez Święto-Krzyskie i Bodzentyńskie góry.

Odtąd wojsko polskie w trzech kolumnach posuwało się ku Krakowowi. Prawa pod generałem Rosińskim szła na Koniciepol; środkowa pod księciem Poniatowskim na Chęciny, lewa pod Roźnieckim na Pińczów. Wojsko austryackie bez potyczki wszędzie ustępowało.

W dniu 11 lipca przyszło pod Żarnowcem do zwawiej rozprawy pomiędzy kolumną prawą a korpusem generała Mohra, który się cofnął do Książa. Dnia 12 lipca główna kwatera była w Wodzisławiu, dnia 13 lipca w Miechowie, a 14 lipca generał Roźniecki stanął naprzeciwko Krakowa.

Arcyksiążę Ferdynand, zdawszy komendę generałowi Monnelletowi pośpieszył sam do Czech dla objęcia dowództwa tej prowincyi. Generał Monnellet zajmował Kraków wszystkimi siłami, które pomimo strat poniesionych w rozmaitych bitwach, wzmocnione odwodowymi oddziałami, jeszcze 24,000

wojska wynosiły. Na trakcie od Lwowa do Krakowa rozciągnięte były kolumny rosyjskie, których czoło zajmowało Tarnów. W tych okolicznościach, zwłaszcza, jeżeli pomoc rosyjska uważaną być miała jako szczerą, dłuższy pobyt w Krakowie dla korpusu austriackiego stał się niepodobnym. Dnia 14 lipca po południu, po kilku szczęśliwych natarciach jazdy naszej na Austryaka w dolinie Prądnika, generał Mohr, dowodzący tylną strażą austriacką, wysłał parlamentarza z żądaniem zawieszenia broni. Generał Roźniecki przystał na rozejm dnia 12 lipca; w czasie tym Austriacy mieli wyjść z Krakowa, zostawiwszy magazyny i lazarety wojsku polskiemu. Dzień 15 lipca przeznaczony był do zajęcia stolicy, lecz dzień ten przez zdradę Austryaków i Rosyan, o mało co się nie zamienił w krwawe spotkanie z ostatnimi. W nocy bowiem z dnia 14 na 15 lipca, Austriacy w zмовie z księciem Golicynem wpuszcili do miasta kilka oddziałów piechoty i jazdy rosyjskiej, które bramy i place publiczne obsadzili. Pierwsza kolumna nasza spotkała ich *u bramy Floryańskiej*, broniących nam wchodu. Takiego samego oporu doznał książę Poniatowski; trzeba było piechocie naszej nastawić bagnety, ażeby utorować sobie drogę do miasta i do mostu na Wiśle. Przyszło do ostrych wymówek ze strony naszej i za przybyciem dopiero generała Suworowa, komenderującego dywizją rosyjską spokojność przywróconą została; stąd jednak wynikły później pojedynki pomiędzy oficerami naszymi a rosyjskimi, którzy między sobą zwyczajni tylko pięścią zakończyć kłótnie swoje, radzi nie radzi musieli orężem się zastawiać, a najczęściej ofiarą swojej niezręczności padali. Pośród naszych oficerów Dulski od piechoty, sławny rębacz szukał ciągle z nimi okazji i niejednego z nich obciął, albo zastrzelił. Wodzowie jednak między sobą w przyjaźni żyli i wiele grzeczności sobie wyświadcza. Wojsko rosyjskie wówczas jeszcze bardzo niezgrabne było: piechota sztywna, opięta, *nastojaszczą*: oficerowie źle wychowani; tylko między

sztabowymi i generałami natrafić można było na oświeczonych. Jazda, a zwłaszcza kozacy, lepszy obraz przedstawiali.

W Krakowie znalazłem generała Dąbrowskiego, a w jego korpusie wuję mego, Antoniego Grudzińskiego, na czele oddziału kujawskich strzelców, majora Umińskiego, generała Kosińskiego, pułkownika Kęczyckiego na czele uformowanego przez niego pułku i wielu innych z prowincyi Wielkopolskiej obywateli, zaprzyjaźnionych z domem naszym. Wszyscy mnie uprzejmie powitali.

Korpus nasz, tak słaby na początku kampanii, w podwojonej sile gotowy stał się do popierania dalszej wojny około Krakowa; forpoczty nasze na trakcie wiedeńskim postępowały za armią austryacką. Oddziały jazdy naszej, powstańcami z Galicji, Podola i Wołynia wzmocnione, rozpuszczały swoje zagony aż do Karpat, nad Dniestr i do Bukowiny. W tem położeniu rzeczy odebraliśmy wiadomość o zawieszeniu broni, zawartem pod Znajmem; wszystkie więc kroki nieprzyjacielskie ustać musiały. Wkrótce też rozpoczęło się traktowanie o pokój, który ostatecznie zawarty został w Schönbrunn dnia 14 października 1809 roku. Wiadome są jego warunki.

Pomimo wszelkich starań ze strony galicyjskich obywateli, tylko zachodnia Galicja, a starej Galicji cyrkuł Zamojski i obwód mały koło Krakowa, z połową dochodów Wieliczki, Księstwu Warszawskiemu się dostały. Nie chciał bowiem cesarz Napoleon przyłączeniem starej Galicji obrażać sprzymierzeńca, którego dwuznaczne postępowanie pozbawiło nas tym sposobem krwią naszą opłaconej zdobyczy.

Dalsze nadzieje do czasu późniejszego odłożyć musieliśmy. Nastąpiła organizacya nowa całego wojska, które się powiększyło o pięć pułków piechoty i 10 pułków jazdy i kilka kompanii artyleryi, w następującym składzie:

I. Wojsko Księstwa Warszawskiego: piechota 36 batalionów, 28,367 ludzi; jazda 18 szwadronów, 5,908 koni; artylerya 2,620 ludzi. Ogółem 36,995 ludzi.

II. Wojsko nowej formacji francusko-galicyskie: piechota 18 batalionów, 16,583 ludzi; jazda 29 szwadronów, 8,618 koni. Ogółem 25,618 ludzi.

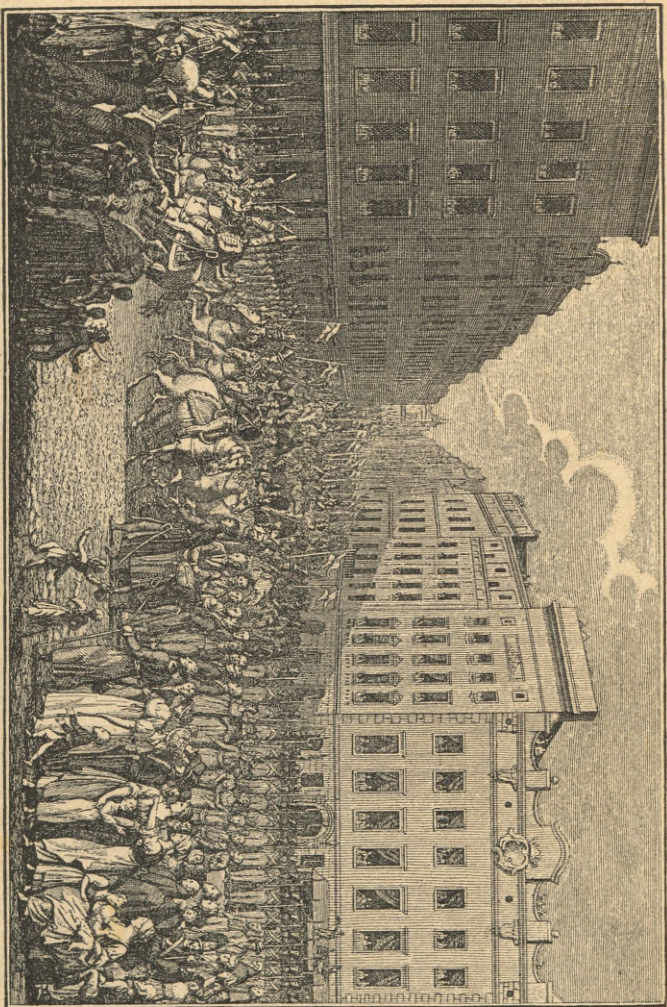
Całe więc wojsko polskie po nowej formacji wynosiło: 54 batalionów i 47 szwadronów: ogółem 62,089 ludzi z artylerją i saperami, z tych było 6,265 w Hiszpanii, 3,024 w Gdańsku, 686 w Niemczech. Ogółem 9,975.

W Księstwie pozostało zatem 52,114 ludzi.

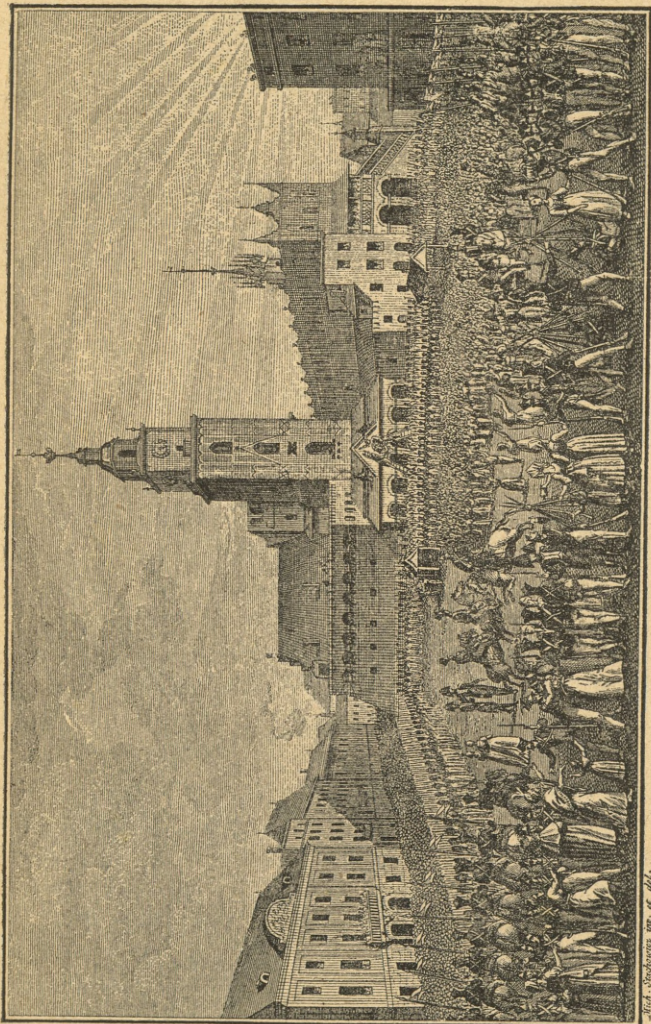
Stolica starożytna Polski, nasz Kraków ko- Kraków.
chany, przedstawiał wówczas szczególny obraz.

Radość mieszkańców, widokiem orłów naszych ożywiona, nie znała granic. Oswobodzenie z tak długiej niewoli od roku 1795 do 1809 (lat blisko 14 pod jarzmem niemieckim przepędzonych), uczucia narodowe całego ludu i wszystkich stanów zbudziło; zdawało się, iż wszystkie nasze życzenia spełnić się powinny; i pomimo obecności sprzymierzeńców, których przykry widok radość naszą przytłumił: nikt nie wątpił, aby twórcza ręka wielkiego Napoleona wszystkie przeszkody do przyłączenia reszty oderwanych prowincyj zwyciężyć nie potrafiła. Lecz inaczej chciała Opatrzność! Ten wzgardzony sprzymierzeniec wkrótce miał zwyciężką nogą karki nasze deptać!

Pobyt Austryaków zostawił ślady niezatarte w Krakowie. Ludność miasta bardzo zmniejszona, bo zaledwie 30,000 mieszkańców wtedy liczono; zamek spustoszony, wszystkie pamiątki po królach naszych w zamku wapnem zarzucone. Pokoje królewskie w koszary zamienione, tylko że grobów królów naszych nie tknięto. Zresztą, miasto zawsze piękne i w położeniu przyjemnem położone, tyle jeszcze pamiątek z naszych lepszych czasów przedstawiało, iż znającemu historję naszą, czas prędko uchodził. Uniwersytet Jagielloński istniał jeszcze, chociaż profesorów i uczniów zbyt mało w nim było. Okolice, jakich żadne miasto polskie nie posiada, tak pięknych, tak powabnych, nęciły każdego. Łobzów, Bielany, Mogiła Krakusa, Mogiła Wandy, kościół Bronisławy, kościół



WĘJŚCIE WOJSKA POLSKIEGO DO KRAKOWA W ROKU 1809,
(współczesny obraz M. Stachowicza).



Langer sc.

ZAJĘCIE ODWACHU W KRAKOWIE PRZEZ WOJSKO POLSKIE W ROKU 1809,

(wedle obrazu M. Stachowicza).

Mich. Stachowicz del.

na Skałce, dolina Ojcowa, Krzeszowice, Tyniec, Zamek Ten-czyński, Chrzanów, Pieskowa Skała; kto o was zapomni, ten pewnie nieczułym musiałby się nazwać, wobec tak pięknych obrazów przyrodzenia.

Lecz nie długo miało być pobytu mego w Krakowie: wracałem wprawdzie kilka razy w życiu mojem do tego lu-bego miasta, lecz nigdy go już nie widziałem w tak świetnej, w tak uroczej chwili. Podpułkownik Bontemps miał polecenie objechania frabryk broni i młynów prochowych tak w zacho-dniej, jak i wschodniej Galicyi. Jeszcze bowiem wtedy, po zawarciu rozejmu znajmskiego, nikt nie przewidywał, aby wschodnia czyli stara Galicya oddaną być miała napowrót Austrii. Jako posiadającego również niemiecki jak i francuski język, przeznaczono mnie na adjutanta podpułkownikowi Bontemps w tej podróży. Podpułkownik Bontemps, dyrektor artylerji z wojska francuskiego, z generałem Pelletier i podpułkownikiem Mallet przeszedł do wojska Księstwa Warszawskiego w stopniu wyższym z rozkazu Napoleona, dla uorganizowania tej części służby. Była to inna zupełnie natura jak podpułkownik Jan Mallet; tamten Podpułkownik Mallet. choć z Prowancyi rodem, był charakteru łago-dnego, starający się wszystkich sobie ująć pod-komendnych, każdemu potakujący, nie narażający się nikomu, pochlebny i uniżony dla starszych, grzeczny dla młodszych, obiecujący złote góry, lecz nikomu nie dotrzymujący słowa, zgoła egoista w całym znaczeniu słowa tego; to tylko miał na celu, aby szczęście swoje zrobić w Polsce i księżniczkę jaką z dobrym posagiem za żonę pojąć; zresztą dość łatwy i przyjemny w pożyciu. Wiadomości swoje inżynierskie bar-dziej praktyce, jak dobrej teorii był winien. Kampanie wło-skie odbył, użyty był do robót w Brescie, w Peschierze, Man-tui, w Juliiery i Moguncyi. W roku 1807 dostał się w niewolę rosyjską, skąd uwolniony do nas się przeniósł. Tę miał je-dnak nad wielu francuskimi przybyszami cnotę, że fundu-

szami powierzonymi sumiennie zarządzał. Później w ciągu tych pamiętników, więcej będzie o nim mowy.

Piotr Bontemps przeciwnie, rodem z Paryża, ^{Podpułkownik} Bontemps. dawny uczeń szkoły politechnicznej w pierwszym jej zawiązku, gdy Monge nią kierował, był nierównie bardziej wykształcony od Malleta, lecz charakteru tak żywego, że popędliwość jego w wojsku w przysłowie weszła. Odwaga jego nie znała granic; ile żywy w pożyciu i w służbie, tyle przytomny i spokojny przy swoich armatach. Nieraz podkomędnych swoich zbytnią porywcznością obraził, lecz wkrótce serce jego dobre przemagało i starał się błąd swój poprawić. Na jego słowie i uczynności święcie było można polegać, dlatego też pomimo tej niesłychanej żywości, zachował przyjaźniół w wojsku do końca służby swojej. Nieraz i ja przy nim cierpiałem, przecież sobie przyjaźni dochowaliśmy do roku 1831 i chętnie wyznaję, że wiele mu zostałem winien; szczególnie dał mi dowody przychylności swojej w roku 1812, gdy o przyjaźniół dość trudno było, w powszechnej katastrofie, która nas wszystkich pochłonięła. Bontemps, jako oficer artyleryi, był pełen zalet i wszystkie gałęzie tej broni znał jak najdokładniej. Jemu winniśmy organizację naszych arsenałów, uzbrojenie fortu, prochownie, warsztaty rzemieślnicze, fabryki pocisków i broni, urządzenie szkół artyleryi, race kongrowskie, i t. d., i t. d. I o nim następnie nieraz okolicznie wspomnę.

Podróż naszą obróciliśmy najprzód do Suchedniowa i Samsonowa w okolice Kielc, gdzie istniały już dawniej wielkie fryszerki, stamtąd do Zamościa i w cyrkuł przyległy złoczowski, nareszcie do *Brodów*, miasta na pograniczu Wołynia i w okolicy, gdzie były młyny prochowe. Po tej objazdce wróciliśmy do Krakowa na początku sierpnia, gdzie napowrót służbę przy podpułkownikowi Mallecie objąłem.

Po krótkim wypoczynku udałem się z Malletem w nową podróż do Warszawy, Modlina, Sierocka, Broku, ku Włodawie, skąd obróciliśmy się do Puław, gdzie Malletowi chciało się

koniecznie przypodobać pięknym puławskim damom. W Broku po odbytym przeglądzie szajcu przedmostowego z kapitanem Żołądkiewiczem, udaliśmy się na kwaterę do miejscowego proboszcza, lecz tam zastaliśmy zaduch tak wielki, że biedny Mallet w czasie obiadu nagle zemdlął i padł bez zmysłów; długo go cucilem z pomocą proboszcza, który oniemał że mu uszów, ratując, nie oberwał; nareszcie przyszedł do siebie, lecz długo potem narzekał na zbyt gorliwe ratowanie z naszej strony, które potem stało się przedmiotem wielu żartów ze strony księżnej jenerałowej Czartoryskiej i jej towarzysztwa. W Puławach przedstawiony byłem księciu Adamowi w jego gabinecie, w czasie ubierania się. Był to już starzec siedmziesięcioletni, wzrostu średniego, rysów twarzy jeszcze wydatnych i pięknych, lecz już oko bez żywości, zmarszczek wiele na twarzy, chód osłabiony, pamięć przytępiona, jednakże wrodzona grzeczność z uprzejmością nadzwyczajną połączona, miłe na każdym czyniły wrażenie. Któż, widząc tego szanownego starca, mógł zapomnąć o jego dla kraju przysługach i poświęceniu. Jemu to winna Polska urządzenie korpusu kadetów, z których tylu znakomitych obywateli i wojskowych wyszło; udział, który miał w pracach czteroletniego sejmu, protekcyja hojna uczonym i artystom; wychowanie wielu młodzieży na jego dworze, obeznanie nas z cywilizacją zachodnią; wszystkie te ofiary i prace zapewniają księciu Adamowi znamienite miejsce między mężami, którzy się dobrze ojczyźnie zasłużyli. Tego samego dnia, zaproszony do stołu księcia i posadzony naprzeciw niego, odpowiadać musiałem na pytania, które mi on sam i księżna czyniły. Młodość moja zapewne ich interesowała, a nieznamość tak wielkiego świata i jego zwyczajów bawić musiała. Powróciwszy do Warszawy, odebrałem nominacyę na porucznika drugiej klasy w kompanii rzemieślniczej artyleryi, przy boku podpułkownika Bontempsa dnia 4 listopada 1809 roku i od-tąd zajęty byłem służbą w arsenale budowniczym, jak i w biurze dyrektora artyleryi.

Mieszkanie Bontempsa było w pałacu białym na Rymskiej ulicy, niedaleko arsenału i Tłomackiego. Tam poznałem młodego Kosińskiego, syna malarza, który niedawno wstąpił do korpusu i jako podoficer służbę przy pułkowniku Bontemps pełnił. Był to młodzieniec z gruntu zepsuty, którego przykład mógł być jak najszkodliwszy i mieć wpływ na moją przyszłość, gdyby nie zasady moralności i religii, zaszczone przez księdza Tisserand i przez rodziców. Im to winienem obronę od złego przykładu i niegodziwych postępów tego bezczelnego człowieka, który w dalszej karierze nie stał się lepszym, owszem, co się tyczy charakteru i obyczajów do najzepsutszych należał zawsze oficerów wojska naszego — chociaż zdadności niepospolitej nikt nie mógł mu odmówić. W czasie rewolucyi 1830 roku tak nisko upadł w opinii kolegów swoich, że dymisyą wziąć był zmuszony i nieczynny był w czasie kampanii. Ta kara ze strony korpusu oficerów i kolegów, policzona mu została za zasługę przy cesarzu Mikołaju, bo po wojnie 1831 roku wstąpił do służby rosyjskiej w stopniu podpułkownika, a dzisiaj zasiada w komitecie artylerji państwa w stopniu jenerał-majora.

W końcu roku 1809 połączyłem się z Ignacym Prądzyńskim, który został adjutantem przy dyrektorze inżynierów Mallecie i razem mieszkając, zaczęliśmy poznawać potrzebę dalszego wykształcenia w naszym zawodzie. Zajęci gorliwie naszą służbą, nie mogliśmy na kursa szkoły aplikacyjnej, od kilku miesięcy otwarte, uczęszczać. Trzeba więc było szukać innych sposobów wykształcenia się.

Podał nam do tego sposobność pan Livet Lekcje prywatne. były korepetytor szkoły politechnicznej paryskiej, który sprowadzony przez rodziców Romana Sołtyka do Polski, pełnił zarazem obowiązki profesora geometrii wykreslonej i matematyki wyższej w szkole aplikacyjnej. Ułożywszy się z nim, wieczorami chodziliśmy do niego na lekcje prywatne w tychże przedmiotach. Wykład jego był tak piękny, tak jasny, iż wkrótce znaczne postępy uczuliśmy. Wró-

ciwszy od niego, resztę wieczorów i nawet noce przepędzaliśmy na powtarzaniu kursów i rysowaniu rycin jeometrii wykresłej i fortyfikacyi. Pamiętam, żeśmy się z Prądzyńskim w tej mierze ubiegali i wiele nocy, trzeźwiąc się kawą czarną, przepędzali na pracy. Tak dzieląc nasz czas pomiędzy obowiązków i prywatną pracę wkrótce wyprzedziliśmy kolegów naszych i zaczęliśmy zwracać na siebie uwagę naszych dowódców.

Służba w arsenale budowniczym nie bardzo mi do myśli przypadła. Staralem się więc o translokacyę do korpusu inżynierów, do którego zawsze czułem w sobie pociąg. Dnia 1 kwietnia 1810 roku odebrałem nominacyę na porucznika 1 klasy. Adjutanta w korpusie inżynierów i podpułkownika Bontempsa pożegnałem. Pod okiem podpułkownika Malleta, który też ze swojej strony postąpił na pułkownika, zacząłem służbę przyjemniejszą pełnić w dyrekcji inżynierów, wyrabiając rozmaite projekta dyrektora, nie opuszczając jednakże prywatnych lekcyj u Liveta, wspólnie z Prądzyńskim.

Talent pana Liveta w wykładaniu najtrudniejszych przedmiotów był nadzwyczajny. Nic nie wyrówna jasności i jędrności jego wymowy. Najzawilszy przedmiot po jego wykładzie zdawał się jasny jak słońce, dopiero trudności się spostrzegało przy powtarzaniu. Jakaż szkoda, że tak wielki talent dla nas stracony zbyt rychło został. Na nieszczęście Livet, mający dopiero około trzydziestu lat, połączony z ładną i nader przyjemną paryżanką, był namiętym pijakiem i co dzień był prawie pijany. Musieliśmy chwycić okazyą lekcye, kiedy był trzeźwy i niejedną odebraliśmy po pijanemu. Lecz i wtenczas jeszcze był jasny, chociaż nieraz na krzeselku zasnął. Czekaliśmy spokojnie natenczas przebudzenia i skoro to nastąpiło wracał do przedmiotu i kończył z równą łatwością. *Où en sommes nous restés?* Takie bywało pierwsze jego słowo.

Dnia 14 kwietnia 1812 roku z prawdziwym żalem do wiedziałem się o śmierci biednego Liveta, która nastąpiła

skutkiem nieszczęsnego nałogu. Czy go z Francyi przywiózł, czy u nas się nauczył, nie wiadomo mi dotąd. Ostatnie podobniejsze.

W czasie wolniejszym od pracy, zwłaszcza w dniach świątecznych, rozrywałem się wizytami w Zamku Królewskim u marszałka dworu Brońca, którego pasierbice, panny Grudzińskie: Joanna, Józefa i Antonina, moje ciotecznie rodzone siostry już wtedy zaczynały jaśnieć na horyzoncie warszawskiego towarzystwa.

Wkrótce po mojej nominacji na porucznika pułkownik Mallet wysłany został przez księcia Poniatowskiego do Częstochowy, dla powitania króla Saskiego, księcia warszawskiego, odbywającego z królową, królowną Augustą i licznym dworem, podróż w przyłączonych napowrót prowincjach. Dnia 5 maja, o godzinie piątej po południu najjaśniejszy pan przybył pod mury twierdzy i przyjęty został przez władze miejscowe, gwardyę narodową i batalion trzeci pułku piątego piechoty. Działa ustawione na wałach stokrotnem wystrzałem powitały monarchę. Po danej audyencji władzom, do której pułkownik Mallet wraz zenną należał, najjaśniejszy pan udał się do kościoła, gdzie pomodliwszy się, w asystencji pułkownika Malleta i jenerała Piotrowskiego wyszedł dla obejrzenia wałów dotąd dziewiczej twierdzy i arsenału, w którym prezentowane były dwie chorągwie, jedna zdobyta na Turkach pod Wiedniem, druga zachowana na pamiątkę po Puławskim. Nazajutrz najjaśniejsi królestwo o godzinie siódmej zrana zwiedzili skarbiec i niektóre osobliwości starożytne; potem udali się do kaplicy Matki Boskiej i tam słuchali wotywy, klęcząc przez cały czas, nareszcie po obejrzeniu biblioteki udali się w dalszą drogę do Krakowa. Najjaśniejszy pan, podobnie królowa bardzo łaskawi byli na pułkownika Malleta, który pobożną swoją jezuicką powierzchownością, dobre na nich uczynił wrażenie i zaufanie wzbudzić potrafił. Król około sześćdziesiąt lat wtedy liczący, był średniego wzrostu, poważny, łagodnej twa-

Podróż króla
Saskiego.

rzy; nie wiele, lecz przyjemnie mówił, a wysłownienie jego w języku polskim było wolne, lecz wyraźne i bezbłędne. Na tej zacnej twarzy istniała ta cnota, ten rozum wysoki i ta wytrwałość, której później tyle dał dowodów w nieszczęściu. Był to wówczas nestor królów europejskich; sam Napoleon z uszanowaniem tylko zbliżał się do niego. Ile w krótkim czasie dla nas uczynił, każdy z współczesnych przyznać powinien; ile dla Saksonii, jako elektor po śmierci Agusta III. dźwigując finanse i przemysł zrujnowany po długim panowaniu Bryła, niech wdzięczni powiedzą Sasi. Więcej może uczynił, gdy po rozszarpaniu Saksonii w roku 1815, potrafił kraj ciągłymi pochodami i długimi pobytami wojsk obcych, wojną i kontrybucjami zniszczony i o trzecią część zmniejszony, przez oszczędność swoją przywrócić wkrótce do dawniej kwitującego stanu.

Król Saski był bardzo nabożny i pod kierunkiem nieodstępного spowiednika swego sumiennie wypełniał wszystkie obrządki kościoła naszego, a jednak nigdy nie okazał się nietolerantnym względem innych wyznań. Tę sprawiedliwość wobec innych wyznań obywatele Saksonii, jak wiadomo protestanci, odwdzięczali przez uszanowanie bez granic i miłość dla jego osoby.

Osoba królowej nie tyle godnością jak dobrocią podobała się; była to sobie bardzo poczciwa Niemka, lubiąca towarzystwo i bajeczki domowe i nie mająca żadnego wpływu na publiczne sprawy.

Przeciwnie królowna Augusta, infantka polska, jak ją nazywano, wprawdzie powabami nie bardzo jaśniała, była bowiem już nie młoda, dość czerwona i otyła; lecz pełna nauki i rozumu.

Dwór, otaczający najjaśniejsze królestwo, był staroświecki, od spowiednika do szambelana i lauffra, wszystko wypudrowane, a kolor jasno-żółty liberyi dworskiej nie wiele przydawał blasku do jego świetności.

Twierdza Częstochowa składała się wówczas z czterech bastyonowych frontów w kwadrat o stu sążniach i z małego półksiężycza przed bramą; wały odziane były murem na dwadzieścia pięć stóp wysokości; rów był głęboki i dość szeroki, lecz naprzeciw skarpa nie murowana. Sklepy klasztorne i niektóre mniejsze kazamaty pod wałami służyły do przechowania żywności i amunicji. Twierdza, obejmująca klasztor Jasno-Górski, leży na wzgórzu, panującym nad całą okolicą. Wieża klasztorna o cztery mile widzieć się daje. W stronie wschodniej leży stare miasto Częstochowa nad Wartą, o pół mili od fortecy, a w stronie południowej, klasztor Świętej Barbary; naokoło twierdzy są ślady oszańcowanego obozu Puławskiego.

Częstochowa odbyła trzy oblężenia: za Jana Kazimierza przez Szwedów w roku 1656, za Puławskiego i Konfederacyi Barskiej przez Drewicza i Suworowa w roku 1809, nareszcie przez Austryaków. Roku 1813 po krótkim oblężeniu poddała się Rosyanom prawie bez wystrzału.

W czasie podróży króla do Krakowa, pułkownik Malle towarzyszący mu, często miał jeszcze sposobność zbliżyć się do jego osoby. Droga szła przez Żarki, majątność Męcińskich, gdzie ciężkie kolasy dworskie o mało co w piaskach nie utonęły; na Pilicę w pięknym położeniu nad rzeką tego nazwiska i Bronowice, zapomocą przeprzęgów, rozstawionych przez obywateli na wszystkich stacyach. Wrażenie, jakie osoba królewska czyniła na wszystkich, było wszędzie jednakowe. Obywatele, i ludność wiejska, żydzi, wszystko się cisnęło dla widzenia i powitania kochanego monarchy; wszędzie pamiątkę synowskiej swojej dobroci zostawiał w sercach poddanych swoich. Dnia 7 maja wieczorem najjaśniejszy pan stanął w Krakowie i tam u bramy Floryańskiej powitany został przez księcia Poniatowskiego, władze Krakowa, znakomitszych obywateli i ludność całą krakowską. Nie mógł król stanąć w zamku przodków swoich, gdyż ten nosił jeszcze zbyt wy-

rażne ślady spustoszenia od rąk nieprzyjaciół naszych, lecz zajął mieszkanie w Rynku, w pałacu pod Baranami.

Król bawił w Krakowie od 7 do 12 maja. W tych pięciu dniach zajęty był ciągle przyjmowaniem władz i osób różnego stanu, zwiedzaniem kościołów, zamku, grobów królów polskich, Uniwersytetu Jagiellońskiego, obserwatorium i innych pomników starożytnej stolicy. Dnia 9 maja król odwiedził Wieliczkę. Dnia 10 był na balu w Sukiennicach gmachu, z którego pyszni się ze słusnością Kraków, a 12 maja w dalszą drogę wyruszył na Rachów, Puławy, Mniszew, gdzie przez dzień 16 maja zabawił, a dnia 17 maja nastąpił wjazd króla do Warszawy.

W czasie pobytu króla w Krakowie znajdowałem się na balu w Sukiennicach, na rozmaitych obchodach uroczystych i towarzyszyłem dworowi w czasie podróży do Wieliczki. Po jego wyjeździe ruszyliśmy z pułkownikiem Malletem w drogę do Warszawy, którą obróciliśmy na Sandomierz, Puławy i Mniszew.

Pobytu króla saskiego w Warszawie opisywać nie będę, szczegóły o tem znaleźć można w korespondencji warszawskiej.

W miesiącu lipcu 1810 roku wysłany zosta-
łem do twierdzy Zamościa, ażeby w praktycznych robotach fortyfikacyjnych odebrać naukę. Zastałem tam komendanta inżynierów, kapitana Jodkę, któremu dodany był z wojska austriackiego do naszej służby przeniesiony kapitan inżynierów Męciszewski. Kompanią saperów dowodził kapitan Buławecki; kapitan Jodko był dawniej oficerem w korpusie inżynierów litewskich. Pod względem naukowym nie bardzo wykształcony, lecz zacny i poczciwy człowiek pełniący sumiennie swoją służbę. Nierównie więcej nauki i wykształcenia miał kapitan Męciszewski, który skończywszy akademię inżynierską w Wiedniu, później fortyfikacye w Sandomierzu zakładał i w szturmie do tego miasta kolumny austriackie prowadził. Poznawszy jego naukowe usposobienie,

Wysłanie do
Zamościa.

starałem się zbliżyć do niego i jemu najbardziej winienem pierwsze praktyczne wykształcenie moje. Dowódcą twierdzy był generał brygady Hauke, człowiek światły i dobry żołnierz, któremu inżynierska nauka wcale nie była obcą; wstawił się później obroną Zamościa w roku 1813; za rządów Konstantego został w roku 1820 komendantem korpusu inżynierów, artylerji i kwatermistrzostwa, później ministrem wojny, a w roku 1830 pierwszy zginął z rąk podchorążych, czyniąc powinność swoją; żona jego, córka lekarza Lafontaine'a, była osobą bardzo przyjemną i dobrze wychowaną, posiadała dobrze muzykę. Na kobietę dość dziwny lecz piękny talent miała gry na skrzypcach. Znajomość moja muzyki i zażyłość dawna generała Hauke z rodzicami memi, dały mi wstęp do jej domu i niejedną przyjemną chwilę temu stosunkowi winienem. Garnizonem trzynastego pułku piechoty dowodził pułkownik Schneyder, stary oficer, legionista; pod nim był major Zakrzewski, również z legionów pochodzący, oficer pełen charakteru i odwagi; innych sztabs-oficerów nie pamiętam. Z kapitanów odznaczali się Łukasiewicz, później tak nieszczęśliwa ofiara polityczna wielkiego księcia i Machnicki, dawny adwokat lwowski, również skompromitowany w towarzystwach tajnych, męczennik wielkiego księcia. Pułk trzynasty piechoty z rozmaitych pierwiastków złożony, a szczególnie z jeńców i dezertersów austryackich, różnił się ubiorem od całej piechoty, miał bowiem mundury białe z granatowymi wyłogami z austryackich przerobione.

Roboty około umocnienia twierdzy Zamościa już zastanętem rozpoczęte; używano do nich żołnierzy i chłopów okolicznych.

Roboty te wszystkie razem wzięte do 100,000 złp. kosztować musiały.

Mnie dostało się dzieło przed lwowską bramą, które w ciągu roku 1810 do stanu obronnego doprowadziłem. Na początku zimy roku 1810 na 1811 powróciłem do Warszawy i prace moje w biurze inżynierskim dyrekcji na nowo rozpo-

cząłem. Połączywszy się z Prądzyńskim, mieszkaliśmy na Danielewiczowskiej ulicy na kwaterze u pana Hattowa, starozakonnego; biuro inżynierskie było na Lesznie. Czas nasz prawie tym samym trybem został rozdzielony, co i przeszłej zimy; tylko żeśmy prywatnych lekcyj u Liveta nie brali; ale w domu, szczególnie wieczorami, prywatnie pracowali.

Nauki, dawane w szkole artyleryjskiej księstwa Warszawskiego, nie były tak obszerne, jak później za mego dyrektorstwa nauk; ograniczały się na kursie geometrii wykreslonej z odpowiednimi rycinami, rachunku różniczkowym i całkowitym bardzo krótko, do tego cokolwiek mechaniki; rysunkach architektury i na kursie fortyfikacji polowej i stałej z odpowiednimi rysunkami, lecz to wszystko bez najmniejszego zastosowania nie odpowiadało celowi, lecz też czas był zanadto krótki; rok bowiem tylko dozwolony na całkowity kurs. Profesorami byli pp. Livet, któremu Koriot dodany za adjutanta, kapitan inżynierii Ronget i Vogel do architektury.

Księstwo Warszawskie miało prócz tego dwie szkoły kadetów, jedną w Chełmie, a drugą w Warszawie; w obydwóch kształcili się młodzi ludzie, których wybierano zdatniejszych na oficerów do wojska. Warszawską szkołą dowodził kapitan i dyrektor Gutkowski, człowiek z niewielką zdatnością i dla wielu śmieszność tak w powierzchowności, jak i w obejściu się, zupełnie niezdolny dowodzić trzystu młodymi, swawolnymi ludźmi. Do rzędu ostatnich należał także mój brat młodszy Adam, który, gdy po moim odjeździe nie nie korzystał w Wrocławiu, umieszczony został w roku 1810 w korpusie kadetów. Nie wiele i tu się nauczył, pomimo zdatności swojej, a że był bardzo psotnym i niesfornym, więcej w kozie jak w szkole przesiedział. Ale też jakich mizernych posiadała ta szkoła profesorów! Najzdatniejszym był Konkowski, profesor matematyki, lecz i ten na podrzędny stopień zasługiwał.

W zimie roku 1810 na 1811 matka z siostrą starszą Albercią dla kupienia wyprawy przybyła do Warszawy; bawiła parę tygodni i w towarzystwa uczęszczała, szczególnie w Zamku u pani Bronicowej, co dało mi powód częstego bawienia na wieczorkach.

W czasie tym jeszcze nieśmiały byłem w towarzystwie; czułem moją niezręczność w porównaniu z inną młodzieżą; nic jeszcze we mnie dowcipu nie budziło, grzeczność świata nudziła mnie i jeszcze obojętniejszym czyniła na każdą zabawę, — zgoła byłem dzikim i odludkiem wśród wesołości świata, ponieważ żadnego udziału w niej brać nie mogłem, bo nawet nie tańczyłem. Piękne moje kuzynki, panny Grudzińskie, pomimo pracy, jaką sobie ze mną zadawały, pomimo prześladowań i dowcipnych przemawiań, nie potrafiły mnie ożywić; byłem i zostałem długo jeszcze ponurym odludkiem.

Tej samej zimy miałem pierwsze honorowe spotkanie z porucznikiem od inżynierii Tegerem, Pierwszy pojedynek. sążnistym Niemcem, z którym pozwoliłem sobie w biurze nieprzyjemnych żartów. Biliśmy się na pałasze w ogrodzie naszym. Po złożeniu się kilkakrotnem zraniłem go lekko w rękę, sam odebrawszy płaskie uderzenie w udo. Lecz co też za nierówne siły? Dość dla mnie słabego Dawida, że się potężnego Goliata nie zląkłem i obronnie z walki wyszedłem.

W tym czasie ksiązę Stanisław Jabłonowski, rozwiedziony z żoną, Walewską z domu, zaczął się starać o rękę siostry mojej ciotecznej, Józji Grudzińskiej. On był w wieku podeszłym, znany z zazdrości i przykrego pożycia z pierwszą żoną, do tego nie piękny i choć słodziutki w towarzystwie kobiet, nie bardzo od nich lubiany. Przeciwnie, Józja Grudzińska należała do najpiękniejszych osób swego wieku. Łączyła wszystko to w sobie, co urok Józja Grudzińska. sprawia, co zachwyca i uszanowanie wzbudza między ludźmi. Wzrostu wysokiego, kibici wysmukłej

i pełnej gracyi, twarzy do Madonny Rafaela podobnej, miała rysy greckie najdelikatniejsze, usta Afrodyty, płeć nadzwyczajnie białą i przezroczystą, oczy modre, oprawne w hebanowych więzach; brew wązką, foremnie wyrysowaną jak u wschodnich kobiet, włosy nareszcie ciemne; cały układ lekki, choć ruchy nie bez powagi; jednym słowem Józia Grudzińska przedstawiała wzór najnadobniejszy kobiecej urody. Lecz te wszystkie powierzchowne ozdoby nie ujmowały nie przymiotom duszy; zupełna harmonia panowała między nimi: słodycz uśmiechu, który u aniołów nie mógł być piękniejszy, wiernie malował, co się w sercu działo; a wyraz spojrzenia czystego jak kryształ, czystość duszy oddawał. Była to, jeśli śmiem powiedzieć, lilia od boku archanioła Gabryela! Wychowanie Józii Grudzińskiej było także bardzo staranne. Prócz ojczyztego języka, posiadała francuski i angielski doskonale i ładny talent miała do rysunku. Umysł jej wykształcony nad wiek (wtedy liczyła lat ośmnaście) dowcipna i ujmująca rozmowa, obok organu dźwięcznego, naznaczały jej miejsce znamienite w gronie dam ówczesnych.

Nie zasługiwał na taką nagrodę książę Stanisław Jabłonowski. Jakoż pomimo adoracyi, którą otaczał Józję Grudzińską, żadnego wrażenia nie zrobił na jej sercu, a nalegania nierozważnej matki, której się chciało dla córki książęcej mitry, wstręt jej powiększyły. Józia stanowczo odmówiła księciu swej ręki, a w kilka lat później roku 1816, idąc za natchnieniem własnego serca, zaślubioną została panu Wacławowi Gutakowskiemu.

Joanna, starsza z Grudzińskich, później pod nazwiskiem księżnej Łowickiej powszechnie znana, innemi zupełnie zaletami zajaśniała i może bardziej w towarzystwie się podobała. Liczyła w tym czasie dopiero lat dziewiętnaście. Miała wzrost niski, kibić szczupłą i nadobną — oczy jasnego, niebieskiego koloru, zasłonięte pięknymi złotymi rzęsami, pełne wyrazu i dowcipu; przy mrużeniu pewnymi czasami kazała zgadywać myśl,

która się w nich tak żywo zwyczajnie malowała. Twarz okrągła, nos ładnie zarysowany, cokolwiek zadarty; usta może za wielkie, lecz w przyjemny uśmiech łatwo się układały. Włosy ciemno-złotego koloru, gęstością swoją i jedwabną barwą wiele uroku tej twarzy dodawały, zwłaszcza gdy w gęstych puklach spadały na lica. Płeć mniej biała i przezroczysta. Lecz nic nie wyrównało lekkości jej chodu, gracy w poruszeniach i w całym układzie w towarzyskich kołach. Wtedy była prawdziwie nieporównaną. Do tego uroku wiele się przyczyniał talent, jakim się nad wszystkie damy warszawskie odznaczała, talent do tańca. W gronach towarzyskich prócz tańców narodowych, mianowicie mazurka, tańczyła francuskie, jako to: gawota, kontredansa, szal i inne tańce tak doskonałe, że Dupart i inni sławni baletnicy tego wieku z chciwością chwyтали każde jej poruszenie, ażeby sobie które z nich przywłaszczyć. Lecz i w tem miarę trzymała i potrzeba było prośb bardzo poważnych, lub też natrętnych, ażeby ją skłonić do tańców, tak zwanych charakterystycznych, w większych kołach warszawskich. Wszakże nietylko w tańcu zajmowała wszystkich; rozmowa jej dowcipna, igrająca z przedmiotami, pełna niespodziewanych zwrotów, czasem mistyczna, czasem żartobliwa i znowu poważna, najozięblejszych poruszała i serca najtwardsze kruszyła.

Taki to urok miała Joanna, czyli Żaneta Grudzińska, później księżna Łowicka.

Któż się po tym wiernym opisie zadziwi, jeżeli wielki książę rosyjski mógł dla niej poświęcić koronę ogromnego państwa!

Trzecia i najmłodsza z trzech sióstr, nazywała się Antonina; w tym czasie miała dopiero lat siedemnaście, była zupełnie jednego ze mną wieku.

Antosia
Grudzińska.

Po odmalowaniu dwóch starszych sióstr, zda się, iż żaden rys, żaden wyraz już nie pozostał dla opisania młodszej, i że wszystko w dwóch pierwszych obrazach wyczerpa-

łem. Tak jednak nie jest. Antosia Grudzińska, od dnia 28 września 1821 roku generałowa Chłapowska, matka licznej familii, szczęśliwa żona i przez wszystkich, którzy ją otaczają, dla rzadkich przymiotów serca uwielbiana, nie należała wprawdzie na ten czas do rzędu tych osób, których ukazanie się w świecie towarzyskim podziwienie od razu wzbudza i epokę stanowi, lecz bardziej stworzona do podobania się w małym dobranem kółku. Skromnością i nadobnością razem, a osobliwie szczerością i czystością wyobrażeń swoich przyciągała i przywiązywała na zawsze. Porównanie, choć bardzo zwyczajne, do niej się stosowało; róży i fiołka przymioty w sobie łączyła. Urodą nie tyle wprawdzie błyszczała, co siostra Józia, wszakże zawsze jeszcze do rzędu ładnych kobiet należeć mogła. Oko ciemno-modre nakształt zwierciadła malowało każde wewnętrzne uczucie; w nim zaraz wyczytałeś, że dusza czysta Antosi nawet złego u nikogo nie przypuszcza, dla niej nie było złego; nie pojmowała go, i dziś go jeszcze po tylu doświadczeniach nie pojmuje. Widok upadku moralnego jeszcze ją bardziej martwi aniżeli nędza fizyczna; ubolewa nad nimi, nie ma spoczynku, dopokąd utajonego nieprzyjaciela duszy nie odkryje i balsamu na ranę nie naleje. Nie będę zalet zewnętrznych dalej opisywał, gdyż wyraz dobroci i czystości, rozpostarty na całą osobę, wszystko u niej stanowi i o piękności każe zapominać.

Los tych trzech osób, które równie z siostrami kochałem, tak ściśle był z moim złączony, iż nieraz przyjdzie mi o nich wspomnieć.

Zima 1810 na 1811 rok swobodnie przeszła na pożytecznej pracy i miłych zabawach: towarzystwo Prądyńskiego, którego sposób myślenia był wzniosły, który ciągle pracował nad wykształceniem swoim, dobrym był przykładem dla mnie młodszego. Przyjaźń, którąśmy ze sobą w tym roku zawarli, trwała do roku 1831 — często nas okoliczności rozdzielały, lecz zawsze, czy w szczęściu, czy w nieszczęściu, wracaliśmy do siebie z równą uciechą.

Tej zimy pułkownik Mallet wyjechał do Paryża, dla zdania sprawy komitetowi inżynierskiemu o stanie fortec w Polsce. Horyzont polityczny na północy chmurą się zakrywał. Czas było myśleć o lepszym zabezpieczeniu linii Wiśły, ażeby nas wojna nie zastała tak źle przygotowanych, jak w roku 1809. Pomimo tego, żeśmy adjutantami jego byli, żadnego z nas jednak nie zabrał ze sobą, lecz pana Józefa Kwileckiego, adjutanta generała Fiszera, człowieka dowcipnie złośliwego i wygadanego w języku francuskim, obrał za towarzysza. Pułkownik Mallet z rozmaitymi nowymi projektami powrócił, osobliwie co się tyczy twierdzy Modlina, którą cesarz Napoleon na wielki warowny obóz zamienić zamysłał. Nie przepomniał i siebie przy tej okazji, i krzyż oficerski legii honorowej dla siebie przywiózł.

Z początkiem roku 1811 rozpoczęły się roboty wielkie około wzmocnienia twierdzy Modlina. Przeznaczony do nich zostałem i znaczny wydział powierzony miałem.

Rok 1811.

Zatwierdzony przez cesarza projekt nadawał wielką rozległość dziełom.

Roboty około
Modlina.

Komendantem placu był pułkownik Hilary Krasieński. Roboty rozległe wymagały wielkiego rozwinięcia sił, i ogromnych nakładów — kilka milionów złotych polskich i dywizję wojska polskiego przeznaczono do ich wykonania. Prócz tego zgromadzono kilkuset murarzy i cieśli do budowy murów, palisad, ścian drzewnych, blockhauzów i t. d., tak, iż z początku wychodziło około 6,000 żołnierzy do sypania wałów, którzy płatni byli na wydział od sążnia sześciennego ziemi, do pewnej wysokości wywiezionego; murarzy 300 i tyleż cieśli. Później drugą dywizję piechoty wprowadzono, a z całego kraju w roku następnym ściągnięto chłopów.

Na moim wydziale pracowało w tym roku około 1,000 żołnierzy, 100 cieśli i tyleż murarzy. Dozorowanie tylu ludzi, wyznaczanie wydziałów, odbiór wymiaru, budowa wjazdów,

rozmiary i równoważenie, wytykanie i stawianie profilów, ścisły dozór nad murarzami i cieślami; nareszcie wygotowanie raportów dziennych, sprawdzanie rachunków i asygnowanie wypłat do płatnika, zajmowały wszystkie godziny dnia długiego, tak, że ledwie na kilka godzin, do spoczynku wolnych, rachować było można. Tak wielkie wyężenie przechodziło pewnie siły ośmnastoletniego młodzieńca, lecz uczucie honoru, które nie dozwalało nikomu w wykonaniu obowiązku dać się wyprzedzić, współzawodnictwo kolegów przemagało wszelkie inne względy, nawet i zdrowia. Stołowaliśmy się wszyscy razem u pani kapitanowej Cieciszewskiej i tam wesołe chwile w towarzystwie młodych kolegów się przepędzało. W dniu świątecznym wyjeżdżaliśmy za urlopem do Warszawy, gdzie zabawiwszy do późnego wieczora, po teatrze wracaliśmy w pogodnych nocach konno do pracy, która się rozpoczynała o trzeciej godzinie zrana z wystrzałym armatnim.

Zaraz na początku robót, przy stawianiu profilów na froncie 5—6, miałem przypadkiem palec wskazujący u prawej ręki zupełnie zgnieciony obuchem od siekiery, przez nierozwagę sapersa Jelonka. Po pierwszym opatrzeniu zdawało się, iż palec postradam, lecz po kilku dniach za staraniem dobrego chirurga sprostowany został i w kilkanaście dni wygoił się zupełnie.

W tym roku gorąco było dokuczające; wojsko w barakach stojące nad Wisłą, zaczęło chorować; epidemia gorączki zaczęła się szerzyć i do obozów i do fortecy się dostała.

Choroba moja. Po wyjeździe generała Haxo, który z Gdańska przybył do nas na inspekcję w miesiącu sierpniu, zacząłem uczuć pewne osłabienie w nogach i zawroty w głowie, które przypisywałem zbyt wielkim upałom; lecz wkrótce siły zaczęły mnie opuszczać i znalazłem się tak słaby, iż doktora Wernery przywołać musiano. Zdeklarowała się wkrótce nerwowa febra, najniebezpieczniejszego rodzaju. Pomimo wszelkich starań zacnego lekarza, już o mnie zaczęto powątpiewać. Jednak młoda natura przemogła. Po przesileniu

się choroby nastąpiło osłabienie nadzwyczajne i wielka drażliwość nerwów. Doktor Wernery podał radę, aby mnie zawięzić do Warszawy, gdzie większych starań doznawać mogłem, aniżeli w twierdzy, pozbawionej wszelkich wygod, i sam mnie tam zawiózł; w drodze parę razy z wycieńczenia sił zemdlałem. Nareszcie dojechawszy, złożył mnie u Rosengarta na Tłomackiem i staraniom doktora Czekińskiego powierzył.

Wkrótce po mojem przybyciu odwiedził mnie kapitan inżynierzy Minter, który widząc mój stan i niewygodę mego pomieszkania w oberży, oświadczył życzenie, abym się przeniósł do jego pomieszkania na Długiej ulicy, w domu Pi-jarów, gdzie wszelkich starań obiecywał dołożyć, aby mnie przyprowadzić do zdrowia. Przyjąłem z wdzięcznością zaproszenie i znalazłem w jego domu tę pieczołowitość, jakiej tylko w domu rodzicielskim spodziewać się można. Umieścić mnie we własnym pokoju i tam pod jego okiem i opieką godnej żony w parę miesięcy przyszedłem do sił dawnych. Przysługa tak wielka dziś jeszcze najżywszem uczuciem wdzięczności przejmuję mnie dla pamięci tego czcigodnego męża, który później w roku 1830 tak niegodziwego doznał prześladowania od oficerów korpusu inżynierów.

Do tak niebezpiecznej choroby przyczyniła się także wiadomość, którą odebrałem z domu o upadku majątkowym zupełnym mego ojca. Od dawna już stan interesów jego został zachwiany. Administra-cya dóbr Chodzieża i Strzelec, którą po ojcu matki mojej Zygmuncie Grudzińskim, wspólnie z bratem matki, pułkownikiem Antonim Grudzińskim prowadził na rzecz wierzycieli, jeszcze go głębiej pograżyła w odpowiedzialność. Nie był już w stanie zadość uczynić i wierzycielom chodziskim i swoim własnym. Pan Grudziński najpierwszy przekonał się o stanie wątpliwym interesów ojca, a będąc sam wpłątany w odpowiedzialność administracyi Chodzieża i obawiając się stąd szkodliwych skutków dla własnego majątku i dla sum posagowych matki, na Wojnowie zapewnionych, zaczął nalegać na

Upadek majątkowy ojca w roku 1811.

ojca, aby koniec położył takiemu stanowi rzeczy i wierzycielom upadek interesów swoich otwarcie odkrył. Nie chciał ojciec tego uczynić, mając zawsze nadzieję, choć bardzo niepewną wybrnąć z tej toni, sprzedażą części dóbr lub inną jaką spekulacją. Lecz gdy wszystkie podobne nadzieje omyliły, gdy pan Grudziński zasłaniając siebie samego, zaczął głosić publicznie o bliskim upadku, znaglony został mój ojciec do publicznego oświadczenia, iż obowiązkom, przyjętym względem wierzycieli swoich, nie był więcej w możności zadość uczynić.

Dotąd w prowincyi naszej ojciec mój policzony był do rzędu obywateli najlepiej prowadzących swoje interesa i kredyt jego stał niezachwiany. Dlatego też wrażenie, jakie uczyniła deklaracya ojca mego, było najsmutniejsze. Tyle osób z ufnością powierzyły mu swoje fundusze, a dziś na straty mieliżby być wystawieni?

Rozpacz ojca mego była bez granic. Nieszczęście swoje nie własnej winie lub zaślepieniu, albo też nieprzyjaznemu zbiegowi okoliczności, lecz nieszczęsnemu względem niego postępowaniu mego wuja, pana Grudzińskiego, chciał przypisywać. Stąd nastąpiły gorzkie względem niego wyrzuty i nareszcie zupełne poróżnienie. Pojedynkowi między nimi zapobiegł generał Kosiński, przyjaciel wspólny. Lecz odtąd nienawiść trwała w sercu ojca naszego, która się dopiero w kilka lat później w zupełną zamieniła obojętność. Ile biedna matka na tym majątkowym upadku i poróżnieniu z bratem cierpieć musiała, nie trudno sobie wystawić.

Ustało od tego czasu wsparcie miesięczne, jakie odbierałem od rodziców, a które w czasie, kiedy nas żołąd, dla ogromnych ciężarów kraju, nieregularnie dochodził, nieodzowne było do mego utrzymania. Starał się ojciec zaradzić temu, przekazując mi mały procent od 2,000 talarów, które mu był winien z dawnych czasów marszałek pałacu Broniec, ojczym panien Grudzińskich. Lecz kasa jego była zawsze dziurawa jak naczynie Danaidów i stąd więc nie wiele było

pomocy; do tego doznawając uprzejmego przyjęcia w ich domu, czy podobna było natrętnie nalegać o pomoc pieniężną?

Odkrycie stanu majątkowego ojca tem było przykrzejsze dla niego, iż w tym właśnie czasie Ślub siostry
Alberty w 1811
roku. los mojej starszej siostry Alberci miał być stanowczo rozstrzygnięty. Ujęty jej przymiotami i starannem wychowaniem, pan Melchior Szołdrski, jeden z najmajątniejszych obywateli Wielkopolski, dziedzic dóbr Popowa i Gołębina, starał się pozyskać jej serce, i na kilka tygodni przed Świętym Janem roku 1811, otrzymał zezwolenie rodzicielskie. Człowiek innego sposobu myślenia byłby może po tem odkryciu zerwał wszelkie z familią naszą stosunki, lecz Melchior Szołdrski zawiele posiadał honoru i uczciwości, aby słowo ze swojej strony sumiennie wyrzeczone, miał zależnem uczynić od zmiany w stanie majątkowym rodziców. Nietylko że wytrwał w swoim zamiarze, lecz przyspieszenia ślubu żądał, a nawet pomoc swoją ofiarował dla ułożenia interesów ojca naszego.

Postępowanie tak godne i bezinteresowne zjednać musiało jemu szacunek nieograniczony i przywiązanie z naszej strony. Jakoż i później dał częste dowody swojej przychylności dla mego ojca i dla nas wszystkich i dziś jeszcze matka nasza w wieku podeszłym znajduje u swojej córki przytułek i utrzymanie, szanowana zawsze jak pierwej przez czcignego zięcia.

W czasie mojej choroby król Saski przybył do Warszawy; dnia 13 października nastąpił z jego strony przegląd twierdzy Modlina, któremu dla trwającej jeszcze słabości nie mogłem być przytomny.

Na początku tej zimy otrzymałem urlop do rodziców których zastałem bardzo zmartwionych. Brat naszej matki starania dokładał, ażeby uratować i zabezpieczyć dla niej sumy posagowe, przeciwnie ojciec od niej żądał, ażeby sumami swemi pisała się na rzecz wierzycieli. Stąd ciągle w domu niepokoje i nieporozumienia. Korzystałem także

z bliskości Popowa, dla odwiedzenia siostry Alberci, teraz zamężnej Szoldrskiej. Przyjęty zostałem jak najuprzejmiej przez szwagra i jak teraz, tak i później doznawałem jego przyjaźni i ciągle dowody tejże odbieram.

Roboty około Modlina nie ustawały w zimie; rozkazano mi powrócić do swego wydziału i pomimo tęgich mrozów, zatrudnić musiałem kilkuset robotników na sypanie korony utrackiej. Lecz wkrótce spostrzeżono niestosowność podobnej pracy, daremność kosztów i pozwolono mi wrócić do Warszawy, gdzie jak zwyczajnie dzieliłem mój czas pomiędzy pracę w biurze inżynierskim i prywatne zatrudnienie. Mieszkałem na Miodowej ulicy w domu Pijarów, w samym narożniku; w tym samym domu mieszkał pułkownik Mallet, kapitan Sałacki, szef naszej rachunkowości, kapitan Minter i kilku innych oficerów. Tam także znajdowało się biuro inżynieryi.

Rok 1812. Dnia 12 stycznia 1812 roku dostałem nominację na adjutanta majora w batalionie saperów, a 20 marca na kapitana drugiej klasy w korpusie inżynierskim. Miałem wtedy lat pełna ośmnaście (które skończyłem dopiero dnia 9 października 1811 roku).

Roboty modlińskie rozpoczęły się z ukazaniem wiosny z większym nierównie natężeniem i rozwinięciem większym środków, aniżeli w roku przeszłym. Dostał mi się ten sam wydział, lecz dodano mi do pomocy porucznika saperów Zakrzewskiego i konduktora Hermana do robót murarskich i cieślarskich. Wojna 1812 roku zdawała się pewna; dlatego też z wielkim pośpiechem, skoro tylko mrozy puściły, wzięto się do robót. Dwie dywizye piechoty przeznaczone na ten cel zostały. Pierwsza z czterech pułków pod komendą generała Dąbrowskiego rozłożyła swoje obozy na prawem skrzydle twierdzy, od korony modlińskiej ku Pomiechowu i porządnie wystawiła szalasy. Druga z trzech pułków pod komendą generała Kamienieckiego stanęła obozem około Nowego Dworu. Obydwie dywizye dostarczały dziennie około 6,000 ludzi.

Prócz tej znacznej ilości zebrano z departamentów najbliższych około 10,000 wieśniaków, którzy pod wyznaczonymi z każdego powiatu komisarzami zalegli w obozach, również od utrackiej do modlińskiej korony pod lasem. Zaopatrzenie tak wielkiej ilości ludzi w chleb, krupy, okrasę i wódkę wymagało wielkich starań i zachodów; niemniej środki około ich zdrowia, a nareszcie regularna zapłata dziennych robotników, których do 12,000 wraz z żołnierzami, prócz cieśli i murarzy codziennie wychodziło. Strzał działowy równo ze wschodem słońca oznaczał początek roboty, podobnież i koniec tychże z zachodem słońca. Żołnierze, na czele mając swoich oficerów i podoficerów, chłopci zaś prowadzeni przez swoich komisarzy i dozorców, a wszyscy w żywność na południową godzinę opatrzeni, przychodzili na wydział. Nie małą to pracą być musiało 4,000 takich robotników rozdzielić i nimi kierować; tyle ich bowiem na mój wydział przychodziło, lecz już i wprawę miałem większą i dobrą pomoc w poruczniku Zakrzewskim i konduktorze Hermanie.

Wiosną tym sposobem w zatrudnieniu ciąglem mi przeszła, nabrałem też więcej doświadczenia, i siły fizyczne po przebytej tak ciężkiej chorobie lepiej wydołały.





II.

Rok 1812.

Tymczasem oznaki wojny z Rosją coraz groźniejsze się stawały. Z obydwóch stron ogromne przygotowania do niej robiono. Wojska francuskie pod marszałkiem Davoustem, Neyem, Oudinotem, St. Cyr i t. d., wojsko włoskie pod wice-królem Eugenim Beauharnais; posiłki bawarskie pod generałem Wrede; wirtemberskie, badeńskie, saskie, warszawskie i t. d. zaczynały się ściągać ku Wiśle. Już i gwardye cesarskie wyruszyły z Paryża. Pierwsze pułkowe wojska, które się u nas pokazały, były to westfalskie pod komendą króla Hieronima, który sam swoją osobą stanął w Warszawie dnia 2 maja.

Pułki nasze w Hiszpanii służące, a mianowicie: 4, 7, 9 piechoty Księstwa Warszawskiego; 1, 2, 3, 4 piechoty nadwisiańskie i 7 pułk ułanów zaczęły w miesiącu marcu przechodzić Pirenejskie góry.

Wojsko Księstwa Warszawskiego otrzymało w tym czasie organizację na stopie wojennej. Z wojska tego uformowano piąty korpus wielkiej armii z trzech dywizyj piechoty i jednej dywizyi jazdy złożony, pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego.

Korpus ten składał się z 30 batalionów piechoty po 800 ludzi, razem 24,000 ludzi; z 20 szwadronów po 200 koni, ra-

zem 4,000 ludzi; artyleryi 54 dział i artyleryi pułkowej 20 dział, razem 800 ludzi; dwie kompanie saperów 300 ludzi; park artyleryi i pół kompanii rzemieślników, 300 ludzi. Ogółem 29,400 ludzi.

Ilość tę wojska prędzej za nisko, jak za wysoko podałem. Bataliony śmiało do 850 ludzi przypuścić można. Dodać do tej liczby należy służących, ciurów, markietanów, posługaczy i t. d., wreszcie całą służbę zdrowia, służbę żywności, żandarmów, które są tu także opuszczone. Śmiało więc można stan ten podwyższyć do 32,000 ludzi.

Pułkownik Chambray, w swoim dziele *Histoire de l'expédition de Russie* podaje liczbę ludzi z korpusu piątego, którzy przeszli dnia 24 czerwca 1812 roku rosyjską granicę, jak następuje: oficerów i żołnierzy piechoty, artyleryi pieszej, inżynierów 32,159; jazdy z artylerją konną 4,152; koni wszystkich 9,438.

Prócz piątego korpusu cesarz Napoleon rozkazał rozdzielić po rozmaitych korpusach wielkiej armii: 30 batalionów piechoty po 800 ludzi, razem 24,000; 11 pułków Księstwa Warszawskiego t. j. 44 szwadrony po 250 koni, razem 11,000 jazdy; 2 pułki w służbie francuskiej 1,500 jazdy; gwardyę konną Krasiniego, 800 jazdy. Ogółem 37,300. Między temi przeszło 10,000 koni, 2 baterye piesze po 6 dział, 3 baterye konne po 6 dział, razem 30 dział.

Zebrawszy te wszystkie pułki i oddziały okazuje się, że Księstwo Warszawskie mające 4,000,000 mieszkańców, wystąpiło na wojnę w 1812 roku z 48,000 piechoty, 17,200 jazdy i 104 dział z 1,500 artylerzystami. Ogółem 66,700 ludzi, prócz pociągów, parków, wojska inżynierskiego i ludzi luznych. Wysłenie, prawie tak wielkie jak w roku 1831; z tą tylko różnicą, iż połowa tego wojska stała na żołądnie francuskim.

Nie policzyłem do tego ogółu pułku 13. piechoty pod komendą pułkownika Żymirskiego, stanowiącego załogę twier-

dzy Zamościa o trzech mocnych batalionach, t. j. 2,400 ludzi, które sumę powyższą do 69,000 ludzi doprowadzają.

Nie liczymy tu zakładów innych w księstwie, ani garnizonów Modlina, Torunia, Sierocka i Warszawy, które z artylerją i saperami przynależącymi kilka tysięcy ludzi wynosiły.

W końcu maja wicekról włoski przybył do Modlina dla przeglądu dzieł i drugiej dywizji piechoty, rozłożonych w obozach pod twierdzą. Piękna powierzchowność Eugeniusza Beauharnais'ego i pamięć tylu dzieł wojennych, dokonanych w tak młodym wieku (bitwy pod Saeiles, pod Raab, pod Wagram) wszystkich nas najżywiej zajęły. Pochwały, jakich nie szczędził wojsku, obietnice lepszej przyszłości i pochlebne słowa dla naszych dowódców, zniewoliły mu wszystkie serca. Komendę nad inżynierami korpusu piątego powierzył cesarz pułkownikowi inżynierowi Bron'owi, który niedługo odwołany został, a w jego miejsce, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pułkownika Phillipon posłano. Pułkownik Mallet miał pozostać w Modlinie dla prowadzenia dalszego robót; mnie i Prądzynskiego, pomimo naszej niechęci, przy sobie zatrzymał. Lecz nie długo przy tem zostało. Na żądanie księcia Poniatowskiego pułkownik Phillipon otrzymał inne przeznaczenie. Pułkownika Malleta przeznaczono na komendanta inżynierii piątego korpusu, zaraz nam też oświadczył życzenie, abyśmy mu towarzyszyli. Z największym więc pośpiechem urządziłem sobie ekwipaż kampaniczny, który się składał z dwóch koni tylko, podemną i pod służącym. Nie dochodząc do Grodna, dokupiłem od kapitana sztabu jeneralnego Gołuchowskiego trzeciego konia pod rzeczy. Lecz ani konie, ani służący do nich, dobrze nie byli wybrani na tak wielki pochód.

Wkrótce też wojsko w marsz wyruszyło na Sierock, Pułtusk, Łomżę do Augustowa. Przeznaczono mnie do wybierania i wytykania obozów dla wojska, które w masie maszerowało w pozycjach wybranych, jakby przed nieprzyjacielem. Już wtedy spostrzegać się dało złe rozporządzenie w marszach, które się odbywały jedną tylko drogą, w jednej

nieprzejrzanej kolumnie i w pochodzie swoim z obłogami i parkami blisko dwie mile zajmowało. Znać było, że i wodzowie niedoświadczeni w marszach i młode wojsko niewprawne do pochodów. Gdy czoło kolumny już ognisko zakładało, ogon jeszcze włókł się po drodze przez trzy godziny, nim doszedł na stanowisko. Zaczęło już wtedy ludzi w szeregach ubywać, a do Niemna dochodząc, bataliony nasze bardzo się przerzedziły. Winę tak złego rozporządzenia kładziono na karb szefa sztabu Fischera; dywizjonerzy, między nimi najbardziej jenerał Dąbrowski, nieprzyuczony do tak bliskiej nad sobą opieki i lubiący na swoją rękę prowadzić wojnę, cierpiał na widok zdyszanego zawsze i źle żywionego żołnierza, którego był ojcem, i mocno na taki stan rzeczy się uskarżał. Czemuż nie było maszerować dywizjami w odstępach dwugodzinnych za sobą, albo też trzema równoległymi drogami, zostawiając największą dla głównego parku artylerji i dla pociągów. Jeszcze dziś nie pojmuję takiego opaczego, przeciw wszelkim prawidłom, sposobu maszerowania, i wielką część winy na księcia Poniatowskiego składam, który na czele kolumny swobodnie sobie jechał, nie dbając o to, co się w tyle dzieje. Przez całą kampanię maszerowano następującym sposobem. Zrana pobudka, po zakąsce chleba i wódki wojsko pod bronią stawało; dywizya pierwsza wyruszała ze stanowiska swojego i rozciągnęła się na drodze, następnie wszystkie inne. To trwało dwie godziny przynajmniej. Czoło kolumn szło pośpiesznie, ostatnie plutony zadyszane doganiały; wśród marszu miały spoczynek, w czasie którego żołnierze jak niegdyś Gedeona, rzucali się do najbliższej wody dla ugaszenia pragnienia; potem dalej maszerowano aż do noclegu, gdzie rozkładano się w pozycyi jak przed nieprzyjacielem, z placówkami, wedetami i t. d. Dopieroż budowanie szałasów, rozpalanie ognisk, posyłki za wodą, żywnością, drzewem, tak że nawet w miesiącu czerwcu, gdzie dzień tak długi, żołnierz zgłodniały ledwie o godzinie 10 wieczorem doczekał się stawy; a najczęściej zmęczony rzucał się na ziemię i nie

przebudzał się jak zrana, ażeby resztą z kociołków posilić się do następnego pochodu. Stąd choroby w wojsku, włośczęgi, oderwańce (maruderzy), a później ucisk biednych mieszkańców, a końcem końców ogromny ubytek w szeregach. Według Chambray'a piąty korpus księcia Poniatowskiego wynosił dnia 30 czerwca w czasie przechodu granicy, piechoty 32,159, jazdy 4,152, razem 36,311 ludzi; koni, jazdy i pociągu 9,438. Dnia 26 główna kwatera była pod Rajgrodem i tam odczytano nam odezwę Napoleona do wojska z dnia 22 czerwca.

Pod Augustowem generał Allix, szef sztabu króla westfalskiego, pod którego komendę cesarz oddał nasz korpus, piąty westfalski, ósmy z dwóch dywizyj piechoty, saski siódmy pod komendą generała Regnier i generała Latour-Maubourga i czwarty rezerwowy jazdy (*które to wszystkie cztery korpusy według Chambray'a wynosiły 63,047 piechoty i 16,382 jazdy, ogółem około 80,000 ludzi*), otrzymał polecenie od króla, ażeby na czele przedniej straży naszej starał się ubiedz przeprawę pod Grodnem. Przeznaczeniem tej masy, stanowiącej prawe skrzydło wielkiej armii, było przeszkodzić połączeniu się generała Bagrationa (którego główna kwatera była w Wołkowysku) z główną armią rosyjską, pod dow. Barclay'a de Tolly stojącą w okolicach Wilna, i pobicia jej, gdyby się sposobność do tego podała.

Odległość od Augustowa do Grodna wynosi siedm do ośmiu mil. Droga prowadzi lasami i bagnami około Lipska. Oddział, przeznaczony do tej wyprawy, składał się z pułku pierwszego piechoty o 3 batalionach, pod komendą pułkownika Małachowskiego, z dwoma armatami pułkowemi, dwóch kompanii saperów z narzędziami do stawiania mostów; pułku pierwszego strzelców konnych Przebendowskiego i pułku dwunastego ułanów Ryszczewskiego, czyli 2,700 piechoty i 1,500 jazdy. O nieprzyjacielu dokładnej nie było wiadomości, ponieważ brzegi Niemna jak najpilniej strzeżone były. To tylko pamiętam, iż nieświadomi rzeczy główną kwaterę generała

Bagrationa w Białymstoku przypuszczali, kiedy ta znajdowała się w Wołkowysku. O kozakach Płatowa wiadano, że się pod Grodnem znajdują. Oddział ten był oczywiście za mały, ażeby przeprawę pod Grodnem w przytomność Płatowa, stanowiącego przednią straż drugiej armii rosyjskiej, uskuteczyć.

Wyruszyliśmy dnia 28 czerwca z Augustowa i tegoż dnia około Lipska stanęliśmy obozem. Dnia 29 czerwca około godziny 5 wieczorem odkryliśmy brzegi Niemna i wieże Grodna. Pułk pierwszy strzelców konnych szedł brzegiem Niemna, dwunasty pułk ułanów zwrócił się na trakt od Nowego Dworu, piechota o jedną milę była jeszcze za nami. Piękną to była okazyja dla Płatowa zniesienia nas zupełnie: miał bowiem 7,000 koni pod swoją komendą. Lecz rozkazy jego inaczej brzmieć musiały, zachował bowiem tylko kilkaset kozaków przed Grodnem, którzy się z ułanami Ryszczewskiego żwawo ucierali, a uczyniwszy przygotowania do spalania mostu, nad wieczorem, przed nadciągnięciem naszej piechoty, ogień pod nim podłożyli. Sam Płatow cofnął się ku głównemu korpusowi (dnia 29 czerwca i tego dnia obozował pod Miechowszczyzną o 41 wiorst od Grodna). Nasza piechota w nocy przybyła, sapery most naprawili, a wojsko nasze dnia 30 czerwca weszło zrana do Grodna. Tu pierwsze strzały armatnie ze strony rosyjskiej przeciwko nam się odezwały. Siły nasze główne tegoż samego dnia zaczęły pod Grodno ściągać, mianowicie: korpus Latour-Maubourga, do którego pierwszy pułk strzelców konnych Przebendowskiego w tym czasie przeszedł, nasz korpus piąty i ósmy westfalski (korpus siódmy Regniera szedł na Białystok).

W tym czasie, gdy prawe skrzydło wielkiej armii przechodziło Niemen, Napoleon już się znajdował dnia 28 czerwca w Wilnie. Wielka armia Grodno
30 czerwca. pod Aleksotą i Poniemieniem, w nocy z dnia 23 na 24 czerwca rzuciwszy trzy mosty na Niemnie, bez żadnego oporu ze strony rosyjskiej już tej samej nocy przeprować się zaczęła. Tu zgromadzone były: pierwszy korpus Dawusta, drugi Oudi-

nota, trzeci korpus Ney'a, jazda pod dowództwem Murata i gwardya cesarska w sile: 182,850 piechoty, 49,227 jazdy i 79,447 koni.

Ta masa ogromna wojska, w dniu 24 czerwca zgromadzona w bliskości Niemna, przechodziła przez mosty pod Aleksotą.

Dalej dwa korpusy pod komendą wicekróla włoskiego w sile: 65,658 piechoty, 4,274 jazdy, 13,756 koni, przeszły Niemen powyżej pod Pielonami dnia 30 czerwca.

Nareszcie marszałek Macdonald z korpusem, złożonym z pruskiego posiłkowego wojska i polskiej dywizji piechoty, w ilości: 30.023 piechoty, 2,474 jazdy i 6,285 koni dnia 24 czerwca przeszedł Niemen pod Mżą.

Na ostatniem prawem skrzydle ksiązę Schwarzenberg z posiłkowym korpusem austriackim w ilości 26,830 piechoty, 7,318 jazdy i 13,126 koni przeszedł granicę (rzekę Bug) pod Drohiczynem dnia 1 lipca.

Spóźnienie przeprawy prawego skrzydła pod komendą króla westfalskiego, w dni sześć po przeprawie wielkiej armii pod Aleksotą, która 24 czerwca zaczęła przechodzić; nie miało nic innego na celu, jak tylko ubezpieczenie i oszukanie generała Bagrationa, który z korpusem 40,000 stał około Wołkowyska na południe, o 70 wiorst czyli 10 mil od Grodna, gdy tymczasem korpus marszałka Davousta szybkimi pochodami poruszał się ku Mińskowi, dla odcięcia go od pierwszej armii rosyjskiej pod Barclay'em de Tolly.

Manewr ten, który dla Bagrationa fatalne mógł przynieść skutki, ze strony króla westfalskiego tak niedbale i z taką nieznaną wojny poparty został, iż błędem tu popełnionym, większą część dalszych niepomyślności przypisać można.

Król westfalski, mając 80,000 ludzi pod ręką, nie powinien był zatrzymywać się dłużej jak czas potrzebny do przeprawy Niemna, to jest jeden dzień 30 czerwca, w Grodnie. Należało mu wyruszyć dnia 1 lipca, mając o pół marszu

przed sobą korpus piąty księcia Poniatowskiego, jazdę Latour-Maubourga, czyli 32.159 piechoty i 12.146 jazdy w jednej kolumnie i stanąć w Nieświeżu w odległości 188 wiorst, czyli 27 mil, dnia 7 lipca.

Tymczasem, nie wiedzieć dla jakich powodów, korpus Latour-Maubourga dopiero dnia 4 lipca wyruszył z okolic Grodna ku Nowogródkowi, a korpus księcia Poniatowskiego 5 lipca. Czoło kolumny ostatniego korpusu stanęło pod Nieświeżem 13 lipca, potrzebowało zatem dni ośm, ażeby 27 mil przebiec.

Ta to niesłychana gnuśność w prowadzeniu operacyi tak ważnej uratowała Bagrationa. Dnia 28 czerwca wyruszał z Wołkowyska, i maszerując na Zelwę dnia 1 lipca miał główną kwaterę w Słonimie, 2 lipca w Dworcu, 3 lipca w Nowogródku o 115 wiorst, czyli 16 mil, cztery pospieszne marsze od Grodna; a dnia 4 lipca cały swój korpus miał zebrany w Mikołajewie, z tamtej strony Niemna. Przednia straż jego pod Płatowem szła na Miłkowszczyznę dnia 29 czerwca, Jezolnę dnia 30 czerwca, Lidę, gdzie stanął 1 lipca, w Iwie 3 lipca.

W tem miejscu Płatow dowiedział się o marszu marszałka Davousta, którego przednie stráže dnia 3 lipca w Wiszniewie stanęły, a sam z 40.000 korpusem dnia 4 lipca już się tam znajdował. Bagration w skutku tych wiadomości zwrócił się z Mikołajewa do Korelicza, dnia 6 lipca zajął stanowisko pod Mirem.

Tego samego dnia piechota piątego korpusu obozowała pod Skidłem o 5 mil od Grodna, na drodze do Nowogródka i do Miru, lecz jeszcze o 18 mil od nieprzyjaciela.

Tu mi się nastęrczają słowa Napoleona: *la guerre c'est un calcul d'heures!* prawidło to wodzowie nasi w tym czasie zupełnie w niepamięć puścili. Każdy, kto tylko zechce kartę Litwy wziąć do ręki i obrachować odległości, przekona się, iż nic łatwiejszego nie było, jak stanąć z czołem naszych kolumn dnia 6 lipca pod Mirem w odległości 23 mil, siedm

średnich marszów od Grodna; tyle też dni było od 30 czerwca do 6 lipca. Jenerał Bagration dnia 6 lipca byłby już przy-
muszony stawić nam pole: byłoby zapewne 7 lipca do de-
cydującej bitwy przyszło, do której z naszej strony 5. i 8.
korpus i 4. jazdy, czyli 48,000 piechoty i 12.000 jazdy uży-
tych być mogło przeciwko jenerałowi Bagrationowi, którego
cała siła składała się wówczas z 59.700 ludzi. Między tymi
było 11.500 kozaków, którzy w dzień bitwy tylko do dywer-
syów użyte być mogą, lecz nigdy w szyku wojennym walczyć
nie przyuczeni. Usługa armat nie jest policzona. Albo Bagra-
tion przyjmował bitwę przeciwko naszym 60.000, mając na
prawem skrzydle swoim w odległości 10 mil, w Wołożynie,
marszałka Davousta w 40.000 ludzi, której skutek (pochleb-
jąc sobie) nie zdawał się być dla nas wątpliwym, albo cofał
się dalej w głąb ku Nieświeżowi i Słuckowi, oskrzydłany za-
wsze przez Davousta. Lecz do prowadzenia tak ważnej ope-
racji innego wodza Napoleon powinien był przeznaczyć; nie
należało się Hieronimowi, niedoświadczonemu i gnuśnemu,
powierzać tak wielkiej masy, lecz Davoustowi, który tyle,
mianowicie pod Auerstadt dał dowodów swojej energii i sa-
modzielności. Sam książę Poniatowski zamało miał doświad-
czenia w kierowaniu korpusu kilkodziesiąttysięcznego; woj-
sko nasze po większej części składało się z pułków młodych,
nie umiejących maszerować, które w ogniu nigdy nie po-
stały; pomiędzy pułkownikami jazdy wielu takich było, któ-
rzy odrazu do tego stopnia doszli, i tę tylko zasługę mieli, że
majątkami swoimi pułki formowali; do tego przydać należy,
że nasze dywizye do wielkich manewrów nie były wprawne,
i rzadko nawet ściągane bywały w tym celu. I tak pułki ja-
zdy nowej formacyi: 7, 11, 12, 15 i 16, znajdujące się z nami,
żadnej próby swojej waleczności jeszcze nie złożyły; podo-
bnież w piechocie: 14, 15, 16 i 17, nigdy nieprzyjaciela nie
widzały. Korpus westfalski, chociaż na pozór był piękny, lecz
duchem niemieckim zarażony, niechętnie służył i nie dawał
wielkiej rękojmi za sobą. Jakoż w pierwszej zaraz bitwie

pod Możajskiem czyli pod Borodyną, w dwóch godzinach ognia stopił się jak śnieg wiosenny.

Inny skład i porządek był w wojsku rosyjskiem. Sam ksiązę Bagration z Gruzji rodem, wódz naczelny, wychowany w szkole Suwarowa, w kampaniach włoskich składał dowody swojej zdolności i waleczności: należał on do najznakomitszych generałów tego czasu i z Lannem, Neyem, Davoustem mógł iść w porównanie. Posiadał do tego miłość i zaufanie swego wojska. Wojsko to, tak często spotwarzane, w karności, w wytrwałości, w znoszeniu znojów wojennych, przewyższało francuskie nawet, a nasze bardzo w tyle zostawiało za sobą. Co się tyczy inteligencji, zapewne żołnierz rosyjski, prosta machina wykonywująca, o tej nic nie wie, lecz zato fanatyzm religijny i duma narodowa są to dwa bodźce, których wódz nie napróżno używa dla zapalenia umysłów. Żołnierz rosyjski nigdy nie bywał głuchy na te dwa głosy, i w tem wszystkich innych przewyższa, iż w szczęściu i w nieszczęściu zawsze równy i nie da się łatwo zdemoralizować.

Leez wróćmy do naszego pobytu w Grodnie. Miasto to, nad brzegiem Niemna ładnie położone, do miast drugiego rzędu w Litwie należy. Ludność jego dawniej większa, nie przechodziła teraz 7.000. — Pamiętne jest Grodno śmiercią Stefana Batorego w roku 1586 i sejmami, które się tu odbywać zwykły co trzeci z porządku na alternatę prowincyi litewskiej. August III pałacem sejmowym, Stanisław August wielu budowlami i osadą różnych rzemieślników dla pożytku krain to miasto ozdobił. Staraniom Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego, wiele to miasto winne: on to zabudował część murowaną, zwane Horodnicą, on także fabryki jedwabne pozakładał, których ruiny jeszcze widzieć można. W Grodnie 1793 roku, drugi podział Polski został na królu i sejmie wymuszony. Tu nakoniec dwa lata później 1795 roku ostatni król polski z abdykacją swoją przerwanie bytu politycznego narodu swego podpisał.

Dziś, w roku 1812, odmienna postać rzeczy! Dziś potęga niesłychana w Europie, około 460.000 wojska, z tych 80,000 jazdy, pod pierwszym wodzem nowszych czasów przechodzi Niemen. Wojska rosyjskie wszędzie ścigane ustępują, w Warszawie sejm konfederacyjny oznajmia światu, że Polska przywrócona; dawni nasi nieprzyjaciele w naszych szeregach pomagają naszej sprawie; zdaje się jakoby żadna potęga oprzeć się nam nie potrafiła. A jednak już wtedy byli ludzie, co dalej przewidując, naszej wyprawie losy Karola XII przepowiadali. Ci, znając położenie kraju naszego i jego zasoby, znając klimat rosyjski i wojenne usposobienie przeciwnika, nie dobrze wróżyli. Lecz zapał, który nas ogarniał, nie miał wtedy granic, hasłem naszym było krzyżackie »Bóg tego chce«; na naszych proporcjach miała się odrazu rozbić potęga rosyjska! Lecz Bóg tak nie chciał i wiele jeszcze cierpień narodowi naszemu przeznaczył. Pierwsze spotkanie pod Mirem, następne pod Romanowem, wnet urojeniom naszym koniec położyło. Bawiliśmy w Grodnie do dnia 4 lipca, podejmowani jak najgościnniej przez mieszkańców. Pamiętam, że rozdano nam wina najwytworniejsze, z piwnicy gubernatora rosyjskiego na rozkaz naczelnego wodza zabrane. Były tam wina cypryjskie, greckie i likwory wysp. Znajdowałem się także na wystawnym obiedzie, gdzie miejsce miałem wyznaczone obok siostry podpułkownika Suchodolskiego.

Dnia 5-go lipca wyruszyliśmy z Grodna, a 6-go lipca stanęliśmy obozem w Snidle, pięć mil za Grodnem. Odległość z Grodna do Szczuczyna wynosi 56 wiorst, z Szczuczyna do Nowogródka na Bielicę 59 wiorst. Przybyliśmy do Nowogródka 9 lipca. Przednia straż pod komendą jenerała Roźnieckiego w wilię 8 lipca tamże obozowała, a dnia 9 lipca spotkała się z nieprzyjacielską tylną strażą pod Płatowem za Mirem.

Tu przyszło do dwóch potyczek, których opis przez naczelnego świadka, lubo zbyt pochlebnie dla nas wystawiony, załączam:

»Dnia 7 lipca wieczorem, dywizya jazdy, pod dowództwem jenerała dywizyi Roźnieckiego, przeszła wpraw Niemem pod Bielicą, i stanęła dnia 8 w Nowogródku, skąd udać się miała spieszenie do Nieświeża. Dnia 9 lipca jeden szwadron pułku trzeciego ułanów, spotkawszy mocny posterunek kozaków przed Piaseczną, uderzył na niego i wpędził do miasta Mira; uniesiony zapałem, przeszedłszy miasto nacierał za przedmieściami na tenże sam posterunek, mocno powiększony. Pułkownik Radziwiński wyruszył z resztą pułku dla posiłkowania swego pierwszego szwadronu; gdy wychodził z przedmieścia, pięć pułków kozackich natarło na niego, których liczba powiększała się w miarę oporu, jaki im dawano; naówczas otoczony od przewyższającej siły, przymuszonym był przeczekać się dla złączenia się z dwoma szwadronami pułku 16 i jednym pułku 15 ułanów, które mu w posiłek przybywały; potykał się z zaciętością, nieprzyjaciel doznał daleko większej straty niż 29 brygada, składająca się z 3., 15. i 16 pułku ułanów, której pomimo wszelkiej usilności nie mógł w nieład wprowadzić.

»Brygada 28. składająca się z 2., 7. i 11. pułku ułanów, przybyła do Jarczy, gdzie się z 29. złączyła, tam przebyliśmy noc całą naprzeciw nieprzyjaciela i chmary kozaków. Dnia 10 lipca cała dywizya ruszyła do Mira, gdzie wypocząwszy, w południe w dalszą udała się drogę do Nieświeża. Straż przednia spotkała nieprzyjaciela w Sienikowie (mila jedna od Miru) i odparła go żywo w lasy, które odłączają Sienikowo od wsi Horodnicy. Pułk 7. ułanów z 28. brygady przeszedł las, reszta dywizyi została z tej strony onego; rozpoznany nieprzyjaciel był nadto w sile, żeby nań odważono się natrzeć. Siła jego składała się z korpusów kozackich Płatowa i Iłowajskiego, połączonych z dywizjami dragonów i huzarów. Nieprzyjaciel, wiedząc dokładnie o sile dywizyi przez wziętych w niewolę dniem wprzód, rozumiał że ją zniszczy zupełnie wśród lasów i bagnisk; ze wszech stron zaczął posuwać się na nas i sypać ogień karta-

Jenerał jazdy
Płatow.
Jenerał-major
Iłowajski.

czowy na najbliższe nasze szwadrony; w mgnieniu oka cała płaszczyna Sienikowa zajęta była lekką jazdą. Siódmy pułk ułanów, który zajmował tamten brzeg lasu, zmuszony był przebijać się przez nieprzyjaciela, dla złączenia się z dywizją: wnet przybyły huzary i dragony¹⁾, a wtedy silna i krwawa rozpoczęła się walka. Pułki 3. i 16. ułanów najmniej po razy czterdzieści natarły na nieprzyjaciela, i okryły się chwałą, Pułki 7. i 15. ułanów czynnie przyczyniły się do boju, szczególnie zaś 15. Pułki 2. i 11. były w odwodzie, zasłaniając lewe nasze skrzydło. Nieprzyjaciel, zaufany w przewyższającej swej sile, nie umiał korzystać z pozycyi naszej; gdyż już była godzina 9 wieczór, kiedy odwód nieprzyjacielski przybył na nasze lewe skrzydło i otoczył aż do ostatniego naszego plutonu w tyle pozostałego, kilka tysięcy kozaków wpadło nawet w odstęp pomiędzy pułki 7. i 11. Lecz cała 29. brygada oraz 7. pułk 28. brygady, nacierając na nieprzyjaciela, cofnęły się w porządku ku Mirowi. Brygada 19. jazdy 5. korpusu, pod dowództwem generała brygady Tyszkiewicza, przybyła właśnie na ten czas do Mira i wysłała zaraz naprzód dwa szwadrony. Kilka wystrzałów działowych z baterji, postępującej za brygadą generała Tyszkiewicza, wstrzymały zapał nieprzyjaciela, który zmuszony do odwrotu, ścigany był aż za las, w bliskości tego miasta znajdujący się.

»Dywizya została na placu boju do świtu, ale nieprzyjaciel zostawił nas spokojnych; sześciogodzinna walka, jedna z najwyższych, jaka być może w nierównie mniejszej liczbie dała poznać nieprzyjacielowi, iż ma do czynienia z żołnierzem, dowodzonym przez wielkiego Napoleona. Pułk dragonów kijowskich i pułk huzarów achtyrskich ponieśli wielką stratę. Generał-lejtnant Pahlen, pułkownicy Andreimow i Iłowajski, legli na placu; pobojowisko zasłane było trupami kozaków, kałmuków, baszkirów i tatarów. Nie straciliśmy żadnego ofi-

¹⁾ Huzarzy achtyrskie, dragony charkowskie, czernichowskie, kijowskie i nowo-rosyjskie.

cera wyższego stopnia, wszystko to, co się potykało, utrzymało honor wojska naszego; było kilku flankierów od ułanów, którzy ścigając nieprzyjaciela, przedarli się aż do korpusu piechoty Płatowa. Wszystkie nasze pułki mają wielką liczbę krzyżów oficerów nieprzyjacielskich, wiele ubiorów śmiesznych i broni, szczególnie zdobytych na pułkach azyatyckich, które są najgorszymi z żołnierzy nieprzyjacielskich, słowem 3.000 naszej jazdy wytrzymało sześciogodzinną walkę przeciw 8.000 kozaków, 3.000 jazdy regularnej, dwom pułkom strzeleckim i trzydziestu działom polowym.«

»Dnia 14 lipca pierwszy pułk jazdy (Przebendowskiego) ścigał uchodzącego nieprzyjaciela; we wsi Czarnołuby spędził posterunek kozacki z znaczną jego stratą, i posunął się z zapalem aż na wysokość Romanowa, na drodze od Nieświeża do Słucka; zastał tam cały obóz nieprzyjacielski, z którego kilka pułków kozackich i liniowych wyruszywszy, otoczyły go zewsząd, lecz przebił się walecznie przez nieprzyjaciela, położywszy wielu trupem na placu, lubo z niemалą stratą swoich i okrył się chwałą. Major Montrezor ranny, pojmany został w niewolę, wraz z kilku innymi oficerami. Strata cała pułku tego wynosić ma do 240 ludzi, tak w zabitych, rannych, obłąkanych, jak w niewolę wziętych.«

Opowiadanie naocznego świadka dość dobre wyobrażenie daje o tych trzech wypadkach. W pierwszej potyczce pułk 3. ułanów najwięcej ucierpiał; sam pułkownik Radziwiński został ranny. Pułk stracił do 200 ludzi, zabitych, rannych i wziętych w niewolę. Nieszczęśliwym tym wypadkiem nauczony komendant dywizyi, generał dragonów Roźniecki, powinien był z większą ostrożnością rozporządzenia swoje porobić, znając zwłaszcza nieprzyjacielską siłę. Nietylko, że tego nie uczynił, lecz niektóre swoje pułki w jednej linii uszykował, myśląc przeto omamić nieprzyjaciela, natomiast bardziej się sam osłabił i łatwiej przewrócony został. W tem jednak nie jego wina, iż ani artyleryi konnej, ani piechoty nie miał sobie przydanej. Naczelnym wódz, król Hieronim, powinien był

zupełnie inaczej swoją straż przednią urządzić, ażeby nieprzyjacielską straż tylną zawsze mieć na oku, i rugować ją z każdego stanowiska. Należało z kompanij wołyżerskich całego korpusu 5. i z 30 kompanij uformować dywizyą: 4.500 piechoty lekkiej, przydać jeszcze pułk jeden starej wyborowej piechoty, 2.400 ludzi, i jedną kompanię saperów, trzy baterye artyleryi konnej i ośmnaście dział. Taki korpus, pod rozsądnym i przedsiębiorczym dowódcą, lecz nie takim, jakim był na nieszczęście generał Roźniecki, nie byłby wystawiony na podobne straty i pewnie w jego przytomności generał Bagration albo spieszniej uchodzić, albo też może i bitwę przyjąćby musiał. W bitwie pod Mirem pułki nasze młode nie wiele obrotności, a komendanci ich jeszcze mniej dowiedli doświadczenia wojennego. Strata całej dywizyi 500 przeszło ludzi wyniosła.

Bitwa pod Mirem jeszcze nie nauczyła generała Latour-Maubourga, jak należy jazdę w przytomności nieprzyjaciela prowadzić. Pod Romanowem błędy dwa pierwsze powtórzone zostały. Pułk pierwszy strzelców konnych, o dwie mile przed korpusem wysłany na rozpoznanie bez żadnego wsparcia, ujrzał się nagle napadniętym przez nieprzyjacielską jazdę; musiał się przez nią przebijać, i pędzony był półtora mili drogi bez wypoczynku; kto miał dobrego konia, ten uszedł śmierci. Pułk ten, tak piękny, liczący przeszło 700 koni, stracił połowę ludzi i nie był już czynny w całej kampanii. Formował się na nowo w Smoleńsku, i w czasie odwrotu wielkiej armii, wszedł znowu na linię bojową w liczbie 500 koni.

Dodać tu jednak należy, lecz tą razą na pochwałę jazdy naszej pod Mirem, iż nieprzyjacielska jazda składała się z 14 pułków kozackich Płatowa, 7.000 koni; 1.000 kozaków z Bagrationa korpusu, 3 pułków regularnych, achtyrskiego huzarów o ośmiu szwadronach, kijowskiego i nowo-rosyjskiego dragonów o czterech szwadronach, i 2 batalionów piechoty; do tego 6 dział kozackich i 16 dział artyleryi konnej — w ogóle 10.000 jazdy, 1.400 piechoty i 22 dział.

Rzecz zastanowienia godna, iż nasza 4.000 dywizya, bez armat i piechoty, o dwie mile od korpusu swego, z taką chmarą jazdy potykając się, ciągle oskrzydłona, i mając ciężką przeprawę przez groblę i trzy mosty, nareszcie przez miasto Mir, nie uległa zupełnemu zniszczeniu! Moralnie bardzo ucierpiała.

Korpus piąty zatrzymał się w Nowogródku przez noc z 9. na 10. lipca. Dywizye nasze stanęły obozem przed miastem na traktach, prowadzących do Miru, zakryte strumykiem Radziwiłówką; 16. dywizya na prawem skrzydle oparta o drogę do Miru, mając wieś Klebankę przed frontem, 17. dywizya w środku, 18. dywizya na lewem skrzydle. Przeciwny brzeg Radziwiłówki okrywał las tak, iż widok przed frontem obozu zupełnie był zakryty. Główna kwatera w Nowogródku; 4. pułk strzelców konnych na lewem skrzydle pozycyi; reszta jazdy na trakcie ku Mirowi.

Nowogródek, jak świadczy Święcki, stołeczne miasto województwa, z zamkiem niegdyś na wzgórzu leżącym po lewej stronie drogi do Miru, na początku XIII wieku przy napadzie Tatarów spalone, wkrótce przez Litwę opanowane zostało. Mendog, książę litewski, w roku 1252 tu był koronowanym, mówią dziejopisarze; odprawił się tu też trybunał główny wielkiego księstwa litewskiego: gmach, niegdyś kolegium jezuickiego, kościół farny, wiele innych kościołów, klasztorów i cerkiew zdołały to miasto. Roku 1314 Kszyżacy to miasto spalili; roku 1390 tegoż samego losu od nich doznało.

Dnia 10 lipca, 5 korpus maszerował dalej ku Mirowi i nocował w Koreluży, 22 wiorst od Nowogródka. Dnia 11 lipca stanęliśmy w Mirze, 23 wiorst, gdzie ślady potyczki, dnia 9. lipca stoczonej, dość były widoczne.

Dywizye nasze obozowały przed Mirem na traktach do Nieświeża i do Mińska prowadzących. Dywizya 16. w jednej linii na prawem skrzydle, 17. i 18. w dwóch liniach ku Mińskowi na lewem, mając zamek w tyle, a wieś Zamir na prawem skrzydle. Jazda ze 16. dywizyą.

Z dziennika mego wypada, że korpus przez dzień 12. lipca nieczynnie stał obozem pod Mirem. Zamek, którego szczątki jeszcze trwały, budowany był przez księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, Sierotką zwanego.

Dnia 13. wyszliśmy z Miru i stanęli tegoż dnia obozem pod Nieświeżem, o 28 wiorst czyli mil 4 od Miru.

Dnia 8. tegoż miesiąca Bagration z całym swoim korpu-
sem obozował pod Nieświeżem i zatrzymał się tam dni trzy;
dnia 11. dopiero wyruszył ku Ciemkowicom; miał więc dwa
dni marszu przed nami.

Nieśwież jest punktem pod względem operacyj wojen-
nych bardzo ważnym, leży bowiem w zbiegu wielu dróg;
tu schodzą się trakty od Grodna, Słonimia, Pińska, Mińska
i Słucka. Miasto leży w równinie. Od strony Słucka i od
północy przypiera do jeziora, przez które prowadzą dwie
długie groble z mostami, jedna do przedmieścia na trakcie
Słuckim, druga do zamku obronnego Radziwiłłowskiego. Od
strony Klecka i Miru miasto opasane wałem i rowem, w któ-
rym widoczne są ślady kurtyn i czterech małych bastyo-
nów. Miasto jest dość obszerne i ma kilka kościołów: Ber-
nardynów, Benedyktynek i Dominikanów i dawny Pojezuicki,
przez księcia Radziwiłła Sierotkę wraz z zamkiem obron-
nym wystawiony.

W Nieświeżu król westfalski odebrał widoczne dowody
nieukontentowania od potężnego brata z powodu opieszałego
prowadzenia armii. Po gorzkich wyrzutach, które księcia Po-
niatowskiego także dotknęły, odebrał mu dowództwo, i oddał
pod komendę marszałka Davoust'a. Obrażony tak lekcewa-
żeniem swojej świętej osoby, król Hieronim dnia 16. opuścił
nagle wojsko i na Warszawę powrócił do swojej stolicy; od-
dawszy księciu Poniatowskiemu komendę nad korpusami 5.
8. i 4. jazdy.

Dnia 15 wyruszyliśmy z Nieświeża do Tymkowic czyli
Ciemkowic (27 wiorst): 5 korpus stanął na noc w pozycyi
pomiędzy lasem a wsią Skiepiejowo, 16. i 17. dywizya w pierw-

szej linii, 18. dywizya w drugiej. Przed frontem, i na lewym skrzydle rzeczka Maża; z tamtej strony Maży od Słucka leżało miasteczko Ciemkowice; przed niem obozował pułk 4-ty jazdy — reszta na trakcie Romanowskim.

W wilię, t. j. 14. przypadła potyczka pod Romanowem, w której pułk pierwszy strzelców konnych tyle ucierpiał.

Dnia 16. marsz do Romanowa, 17 wiorst; 5-ty korpus obozował na wzgórzach na trakcie od Nieświeża do Romanowa prowadzącym, w tym samym porządku, jak dnia poprzedzającego. Rzeczka Moraza i miasteczko Romanów leżały przed frontem pozycyi; pułk 4. jazdy przed Romanowem na trakcie do Słucka. Na drodze od Ciemkowic pełno śladów porażki naszej jazdy spotykaliśmy.

Dnia 17. zaszliśmy do Słucka, 24 wiorst drogi, i tam przez dzień następny spoczywaliśmy.

Miasto Słuck do najdawniejszych Litwy należące, niegdyś było stołecznem, i dziedzictwem kstażąt udzielnych słuckich; leży nad rzeką Słuczą, wpadającą do Prypeci, w okolicy równej i bagnistej. Rzeka Słucz jednym ramieniem dzieli miasto na dwie części, drugim okraża wielkiem półkolem przedmieście od strony Bobrujska. Słuck opasany jest okopami z 13 frontów bastyonowych. Przed bramą Romanowską, Ostrowską, Mińską i Bobrujską, są jeszcze ślady niewielkich półksiężyców. Na lewym brzegu głównego ramienia rzeki Słuczy, od strony północnej miasta, jest cytadela w czworogran bastyonowy, foremny, z małym rogowem dziełem (rogalem), teraz opuszczona. Miasto po większej części drewniane, jest dość obszerne, ma 2 kościoły katolickie, cztery unickie, jeden luterski, jeden kalwiński, tudzież szkołę protestancką. Sławne z rękodzieł, osobliwie jedwabnych; tu się wyrabiały sławne niegdyś u szlachty pasy słuckie.

Wojsko nasze obozowało w następującym szyku: 16-sta i 17-sta dywizya na drodze od Romanowa, prawem skrzydłem o Słucz, lewem o wieś Brodownia, mając przedmieście przed frontem; 18-sta dywizya na trakcie bobrujskim z tamtej

strony miasta, skrzydła o dwa lasy oparte, przed frontem zakryta odnogą Słuczy.

Jazda nasza posunęła się na trakt ku Głuchowi, dokąd także 4-ty korpus rezerwowy jazdy dążył.

Bory bobrujskie zaczynają się od Słucka; gdyby się wojsko nasze było w nie zapuściło, zabrakłoby zapewne żywności. Wreszcie po kierunku marszu generała Bagrationa z pewnością wnosić było można, iż pod Bobrujskiem przejdzie Berezynę: był wtedy wolny od każdej napaści naszej. Książę Poniatowski postanowił zwrócić się szybkimi marszami ku Mohilewu, dla połączenia się jak najprędzszego z Davoustem, wzmocnienia go i podania sposobności do stoczenia bitwy z Bagrationem wprzód, nimby ostatniemu udała się przeprawa Dniepru. Lecz i te poruszenia i nagłe marsze przez kraj pusty i dziki, które naszą piechotę do reszty zrujnowały, nie potrafiły dawnej opieszałości wynagrodzić.

Dnia 19. wyruszyliśmy ze Słucka; 5-ty korpus opuścił główny trakt głucki i zwrócił się na północ, w stronę Ihumienia, leżącego o 101 wiorst, czyli 15 mil od Słucka. Latour-Maubourg poszedł ku Głuchowi: generał Chaveau z korpusem westfalskim dnia 16. lipca przez Ihumeń, Mińsk dążył ku Orszy.

Stanęliśmy na noc w Przewozie przy ujściu Łoszy i Winni, gdzie obozowano w szyku zwyczajnym.

Dnia 20. marsz do Dołhymowa, wioski wśród nieprzerwanych lasów i bagien. Brak żywności i furazu zaczął dolegać, drogi złe; mosty potrzebowały częstej naprawy; marodery mnożyć się zaczęły, ztąd ucisk i narzekania ludu wiejskiego, który raczej nieprzyjaznem, jak radosnem okiem nas witał, widząc straty dobytku szczególnie od oderwańców ponoszone. Wreszcie lud w takim poniżeniu i obojętności dla sprawy naszej znaleźliśmy w Litwie, iż żadnego wyobrażenia o tem mieć nie może, kto temi odludnemi stronami nie przechodził. Była to wprawdzie część najdziksza Litwy. Lecz i gdzieindziej wiele lepiej nie było. Niektórzy nawet obywatele od nas stro-

nili, porzucali domy swoje; a jeżeli przyjmowali, to z widoczną obawą lub obojętnością. Często nawet krupniku i barszczu nam szczędzili.

Wojsko nasze wlekło się wąską kolumną po drogach piaszczystych między borami i łagnami, w czasie lipcowych upałów; ludzie padali z pragnienia lub umęczenia. Szeregi się mocno przeredzać zaczynały, a wioski i miasteczka za nami napępniały się chorymi i znużonymi. Lecz trudna była rada, tyle dni strawiwszy napróżno w Grodnie, w Nieświeżu i Słucku, chciano błąd naprawić, a księżę Poniatowski, zmartwiony wyrzutami cesarza, wspólnie z szefem sztabu Fiszerem pędził naszą piechotę, ażeby jak najprędzej dostać się do Dniepru.

Dnia 21. stanęliśmy w Duczycy, miasteczku nad Czyczą; dnia 22. w Turcu, także nad Czyczą, wsią między borami; dnia 23. w Ihumeniu, miasteczku położonemu także wśród borów; 16. dywizya na lewo drogi do Mohilewa stanęła obozem; 17. dywizya w szalasach, po piechocie Davousta, na prawo drogi od Słucka; 18. dywizya na samej drodze, z prawem skrzydłem, oparłem o wieś Chwojniki.

Pamiętam, że w Ihumeniu powitani zostaliśmy przez obywatela litewskiego w czerwonym maltańskim mundurze, którego wytworna powierzchowność dziwnie odbijała od czarnego stroju żydowstwa, witającego nas nieszczerym okrzykiem.

Marsz ten 15-milowy odbyliśmy w pięciu dniach.

Dnia 24. lipca przybyliśmy po mocnym marszu czterech mil do Jakszyc, nad rzekę Berezynę, której nie mieliśmy oglądać w pierw, jak dopiero w odwrocie pamiętnym, i stanęliśmy obozem wśród borów, na prawym brzegu, obsadziwszy most 5. i 13. pułkiem naszej jazdy.

Dnia 25. stanęliśmy obozem po nieforsownym marszu pod miasteczkiem Pohostem, o 6 mil od Ihumienia, nad rzeczką Kłową.

Dnia 26. postępowaliśmy dalej do Białenic, miasteczka nad rzeką Druczą, w gubernii mohilewskiej, o 35 wiorst, czyli 5 mil od Pohostu. Marsz ten mocno dał się nam we znaki,

i ruiny naszej piechoty dokonał. Tu połączyliśmy się z jazdą francuską, 6. i 21. pułkiem strzelców konnych, należących do korpusu Davousta.

Dnia 27. wyruszono z Białenicy do Kniażyc, 33 wiorst. Nareszcie dnia 28. lipca czoło naszej kolumny stanęło w Mohylewie, po krótkim 15-wiorstowym marszu, w stanie znużenia, trudnym do opisu. Dywizye 16. i 18. piechoty, o dziewięciu batalionach, wchodząc do miasta, miały po 2.000 ludzi tylko w szeregach, 17. i 12. batalion ledwie 400 ludzi; reszta piechoty wlekła się po drodze, jedni bezsilni lub chorzy, nie mogli żadną miarą wydażyć za kolumną, drudzy zdrowi, lecz jarzmo karności niechętnie dźwigający, korzystali ze sposobności dla opuszczenia szeregów i starania się o żywność po bokach drogi. Były to owe marodery czyli oderwańce, plaga każdego wojska a osobliwie francuskiego, w dalekich wojnach żywionego sposobem rekwizycyjnym.

Lecz taki ubytek w szeregach nie tylko niedoświadczeniu lub złej chęci żołnierza przypisać należy; winę tę ponosili w większej części podoficerowie, z których niewielu kampanie odbywało, i młodszy nasi oficerowie, którym się zdawało, że powinnością ich tylko być i przywozić żołnierzowi w boju. Zapominali oni, iż na tem zależy najbardziej, ażeby licznymi i pełnymi rotami stanąć wobec nieprzyjaciela, z niegłodnym żołądkiem, z rynsztunkiem i bronią w porządku. To wszystko, co się tyczyło obozowania, ognisk, żywności, rozdzielenia obowiązków i służby obozowej i t. d., nie wiele ich obchodziło. Każdy znużony, o sobie tylko myślał i byle mógł wypocząć, o resztę nie dbał. Tu dopiero różnica pomiędzy starym a młodym żołnierzem spostrzegać się daje. Że wiele na oficerach polega: mogę tu za przykład podać kompanię 15-go pułku kapitana Macieja Rybińskiego, później w roku 1831 naczelnego wodza wojska polskiego, która bez żadnego ubytku znalazła się po wyjściu z Księstwa. Za tę pieczołowitość około żołnierza naczelną wódz mianował Rybińskiego szefem batalionu. Lecz i wódz naczelną i szef sztabu

słusznym tu zarzutom ulegają, a to przez niestosowne wybieranie godzin marszu, nieporządek w pochodzie, odległość dywizyj zbyt małą, wypoczynki nieodpowiednie i t. d. Jakaż różnica między naszym korpusem a pierwszym Davousta? — Widziałem pułki 57, 61, 111, 85. i 108. piechoty francuskiej, przechodzące nazajutrz po naszym przybyciu, przez Mohylew; wracali z bitwy pod Sałtanówką, o dwie mile od Mohylewa, stoczonej 23. lipca z korpusem generała Bagrationa. Postać ich marsowa, mundury i zbroje w najlepszym porządku dźwigali, żywność na kilka dni, podwójna ilość naboju, podwójne obuwie, narzędzia pionierskie; z całym tym ciężarem zdawali się lekko i ochoczo, jakby do tańca postępować. W szeregach nikogo, prócz zabitych i rannych, nie brakło, batalion po 800 ludzi: nielitościwy bowiem marszałek maroderów nie cierpiał i krótką miał z nimi rozprawę. Wstyd nas ogarnął, porównywując jego żołnierzy z naszymi; dlatego też twierdziłem i dziś jeszcze twierdzę, iż nam potrzeba żelaznej ręki, ażeby z nas dobrych zrobić żołnierzy i w karbach nas utrzymać.

Powoli zaczęli się oderwać nasze ściągać; szeregi się zapełniały, wkrótce bataliony liczyły 500 ludzi, a wychodząc z Mohilewa 600 ludzi; kilka przykładów podanych wojsku przez rozstrzelanie występnych, przyprowadziły rabusiów do porządku; ubytek jednakże około 200 ludzi na batalion wynosił, z których później marszowe bataliony uformowano. Wielu wcale się nie stawilo, wielu nieprzyjacieli rozprószonych zastał i do niewoli zabrał.

W czasie pobytu naszego w Mohylewie wojsko obozowało w szałasach, lub po wsiach okolicznych w kwaterach spoczywało. Oficerowie inżynierów zatrudnili się wystawieniem szańca przedmostowego i mostów na Dnieprze. Przednie strażę stały na drodze mściśławskiej. Po bitwie pod Sałtanówką dnia 23. lipca, generał Bagration, nie mogąc przebiec się do pierwszej armii przez Mohilew i Orszę, cofnął się do starego Bychowa i tam Dniepr przeszedłszy, dnia 26. lipca stanął w Pro-

polsku nad Sozą; stamtąd szedł na Czerychów. Dnia 27. lipca na Kryczew, 28. do Mściszawia, dokąd nazajutrz przybył.

Dnia 28. korpus 5. stanął w Mohylewie. Gdyby marszałek Davoust miał być go pod ręką dnia 23, w czasie bitwy Sałtanowskiej, albo by zgniół zapewne Bagrationa i zapędził go ku Rohaczewu, skąd połączenie się z pierwszą armią sta- wało się niepodobnem; albo też obracając na swoją korzyść linie odśrodkowe, mógł z dwoma korpusami połączonymi iść prosto do Mściszawia (94 wiorst) i tam Bagrationowi drogę do Smoleńska zabiedz.

I tu fatalny błąd bawienia w Grodnie jeszcze dał się uczuć. Z tego powodu ks. Poniatowski od Davoust'a, a szczegól- niej od Napoleona, srogich doznawał wyrzutów. *Votre prince est un traître*; mówił Napoleon do adjutanta księcia, Kickiego, wysłanego z raportem z drogi do Mihilewa.

Dnia 3. sierpnia Bagration bez żadnej przeszkody stanął w Smoleńsku i tam połączenie jego z pierwszą armią nastą- piło. Wszystkie więc obroty od Wilna, zmierzające ku jego zgubie, na niczem spełzły!

Dnia 6. sierpnia 4. korpus jazdy pod Latour-Maubour- giem, wzmocniony dywizją Dąbrowskiego, wyruszył z Mohi- lewa do Rohaczewa, dla obserwacyi Bobrujska i korpusu Her- tela, zajmującego Mozyr.

Dnia 11. sierpnia 5-ty korpus wyruszył z Mo-
Wymarsz
z Mohilewa. hilewa do Szkłowa, dnia 12. do Orszy, dnia 13. do Romanowa. Składał się tylko z 16. i 18. dywizyi piechoty i dywizyi jazdy, z pięciu pułków i jednego strzelców konnych; Dąbrowski z 17. dywizją pod Robaczewem pozostał.

Według piśmiennego rozkazu dnia 3. sierpnia, gdzie maroderów już połączonych z korpusami przypuszczam, siła 5-go korpusu wynosiła 22.738 ludzi, a ponieważ w dniu 24. czerwca korpus ten 36.311 ludzi pod bronią miał, co jako z autentycznych źródeł czerpane za dokładne poczytać mo- żna, stracił więc 5-ty korpus w pochodach tylko, prawie bez wystrzału, (wyjawszy potyczkę pod Romanowem, gdzie pułk

1-szy strzelców konnych stracił 300 ludzi), 13.573 ludzi, to jest przeszło trzecią część od chwili przejścia Niemna. — Po odciągnięciu dywizji Dąbrowskiego, leżącej z 8.000 piechoty pod Rohaczewem, 5-ty korpus z Mohilewa wychodząc, liczył już tylko około 14.000 ludzi, z tych 11.000 piechoty i 3.200 jazdy.

W Orszy poniósłem dotkliwą stratę; służący odebrawszy z magazynu żyto dla koni moich, zbyt skwapliwie poddawał tymże, a potem nagle napoił; jeden koni padł natychmiast, drugiemu krew puszczono, lecz tak mocno z powodu tego osłabł, iż już podemie się nie zdał. Zostałem więc przy jednym zdrowym i jednym chorym koniu, przezco służba moja niezmiernie utrudnioną została.

Po przejściu Dniepru pod Orszą postępował 5-ty korpus, który od tej chwili prawe skrzydło wielkiej armii stanowił, na Romanowo ku Krasnemu. Dnia 14. między Ladami i Krasnem wojsko nasze złączyło się na chwilę z wielką armią dążącą pod Smoleńsk.

Tu zdarzyła się dla mnie pierwszy raz spo-
sobność oglądania Napoleona. Zatrzymał się przez ^{Spotkanie} z Napoleonem
chwilę na głównym trakcie do Krasnego, wysadzo-^{d. 14. sierpnia.}
nym po obu stronach podwójnym rzędem niebotycznych brzoź, odbierając z rozmaitych stron raporta.

Otoczony był świetnym sztabem, przed nim i za nim postępowały konne gwardye. On sam siedział na bułanym arabskim koniu i odznaczał się kapeluszem trójgraniastym, bez żadnej ozdoby, i sławną kapotą popielatą, pod którą nosił mundur strzelców konnych gwardyi. Napoleon miał wówczas lat 43, wzrostu był małego, miał wysokie ramiona, szyję krótką, głowę wielką, był otyły; chód jego ciężki, twarz szero-roka, piękną wydawała się z profilu; nos był grecki, cera blada, włosy czarne, krótkie, gładko zaczesane na czole, oczy szare, piękne, ocienione brwią gęstą, ciemną, których przenikliwość nie każdy mógł znieść. Cały wyraz twarzy był jakby głazu, nadzwyczaj spokojny i nawet ponury; dwie tylko na-

miętności się na niej malowały, gniew i radość. Mówił mało i tylko przerywanemi słowami. Takie wrażenie na mnie osoba Napoleona sprawiła. Widziałem go później kilka razy w ciągu kampanii, lecz zawsze to samo wrażenie po sobie zostawił.

Lady, ostatnie polskie miasto na granicy dawnej Polski przed rokiem 1772, odznaczało się bytnością żydów, którzy w czarnem swoim odzieniu dziwnie odbijali od ludności wiejskiej około Krasnego i Smoleńska mieszkającej, która pochodzenia swego dawnego już nie pamięta.

Dnia 14. zaczęła się potyczka przedniej straży, pod królem neapolitańskim, z dywizją rosyjską jenerała Newerowskoja, która źle prowadzonej jeździe francuskiej nie dała się rozerwać, i z stratą pięciu dział i 1.500 ludzi cofnęła się do Smoleńska.

Dnia 16-go sierpnia nastąpiło zupełne połączenie nasze z wielką armią pod murami Smoleńska, do którego doszliśmy mściśławskim traktem.

Smoleńsk
d. 16. sierpnia. imienia, a potem województwa, na wzgórzu, przy lewym brzegu rzeki Dniepru położone. W połowie XVII wieku, jak świadczą Starowolski i Cellariusz, miało domów około 4.000, oprócz dworów szlacheckich; w mieście tem także znajdowało się kolegium jezuickie, przez Zygmunta III. fundowane, oraz wiele innych greckiego i łacińskiego wyznania kościołów; katedra biskupa łacińskiego przez Władysława IV. fundowana. Miasto to murem, 25 stóp wysokim i 32 wieżami czyli basztami obwiedzione, miało jeszcze twierdzę na najwyższym pagórku, w środku miasta wzniesioną. Posada więc i sztuka mocnem je zawsze czyniły. Około roku 1386, w czasie koronacyi Władysława Jagiełły na króla polskiego w Krakowie, Świętosław, książę smoleński, podniósł oręż i okolice Orszy, Witebska i Mściśławia niszczyć zaczął. Skirgajło i Wiltold, bracia Jagiełły, wyprawili się z rozkazu króla na buntowniczego księcia, znieśli go, i Świętosław śmiałość swoją śmiercią na placu przypłacił, a Jerzy, syn jego, dostał się w nie-

wolę; z dobroci jednak Władysława miał sobie władanie księstwem przywrócone. Lecz niewierny ślubom swym Rusin, wrótce, bo w roku 1403, bunt podniósł; zбитy i wygnany z księstwa, schronienia w Węgrzech szukać musiał, a Witold odtąd smoleńską prowincję już bezpośrednio do Litwy przyłączył; wtenczas to waleczni Smoleńszczanie w bitwie pod Tanenbergiem z Krzyżakami 1411 roku, ustępujące hufce Litwinów i Tatarów wstrzymali i wiele do wygranej Polakom dopomogli, jak świadczy Kromer na karcie 451. edycyi warszawskiej.

Od tego czasu Smoleńsk z okolicą składał jedno z najpiękniejszych województw Litwy. Dopiero w roku 1514, zdrada i przejście Michała Glińskiego na stronę cara moskiewskiego Iwana Bazylewicza, poddały Smoleńsk w ręce Moskwy, tak iż lat 97 w ręku onych, podstępem zdobyty, zostawał. Jak tylko Moskale zdobyli Smoleńsk, tak zaraz kusili się o dalszy postęp w Litwie, i gdyby nie dzielne ramię Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, oraz wielkich wojowników, pod tymi królami żyjących, byłiby już zapewne wtenczas księstwo to pochłonęli.

Około roku 1611. osłabiona Moskwa, zaburzeniami przez samozwańców Dymitrych wzniesionemi, nadarzyła Zygmuntowi III. sposobność nietylko odzyskania ważnej tej twierdzy, ale nawet podbicia całego państwa. Wyprawił się więc na wojnę, król ten w towarzystwie wielkiego owych czasów bohatera Żółkiewskiego, hetmana. Obległ Smoleńsk i po dwuletnim blisko oblężeniu, wśród najprzykrzejszego klimatu wziął go szturmem dnia 14. czerwca 1611 roku; przy tem oblężeniu obywatele z Mazowsza, zręcznością i wytrzymałością nad innymi celowali. Tu się szczególnie do zwycięstwa przyczynił kawaler maltański, Nowodworski, wysadzając części murów prochem. Nie mogli strawić Moskale utraty tak wielkiego grodu; jakoż w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III., w sto tysięcy ludzi, pod dowództwem Szehina, mając z sobą 30.000 Szwedów i Anglików, najwyborniejszą ar-

tylerą opatrzonych, pod Smoleńsk podstąpili; jak świadczy Wassenberg na karcie 56. w dziele *Gestorum Vladislai*.

Oprócz tego mnogie hordy Tatarów i Czeremisów mieli z sobą, tak, iż tenże Wassenberg na karcie 55. mówi, iż podobnie przysposobiona armia na zawojowanie Europy zdawała się być zebraną. Stałość jednak i męstwo Palaków potrafiły piersiami swemi odwrócić tę grożącą burzę.

Dowodził pod ten czas szczupłemu garnizonowi, bo ledwo z kilku tysięcy złożonemu w tem mieście, nieśmiertelnej pamięci gozdzien Stanisław Wojewódzki, polasianin, a jak mówi Wassenberg, cnotą swą i walecznością Rzymianinowi dorównywujący; ten z rzadką nieustraszoną przez dziewięć miesięcy szturmy tak liczego nieprzyjaciela wytrzymywał i do obrony odwagą swą oblężeniów zachęcał, dopóki Władysław IV., ów wielki wojownik i król, po koronacyi swej z 30.000 wojska na odsiecz miastu nie pokazał się, i po wielu walkach Szehin zbił, a całą jego wielką armię do złożenia broni zmusił. Po otrzymanem zwycięstwie stał król Władysław, otoczony rycerstwem polskiem, na górze przy drodze do Moskwy idącej, a Szehin ów hardy, tak wielkiej dopiero armii dowódca, z przymierzeńcami, dumnymi Anglikami oraz Szwedami, broń i chorągwie, schylając głowy, pod zwycięzcy nogi składali; opisuje ten tryumf chlubny dla Polaków, Wassenberg na karcie 118. Zwycięstwo to i oswobodzenie Smoleńska zmusiło Moskalów, iż zawarli traktat w Dywilnie roku 1634, zrzekając się na zawsze Smoleńska, Siewierza i Czernichowa.

Spokój Europy potrzebował, aby te granice były Moskwie zakreślone; męstwo i przezorność Władysława IV. tu je naznaczyły, lecz nieszczęśliwe wojny za Jana Kazimierza otworzyły Moskwie pole odnowienia swych dumnych zamysłów; roku więc 1654. związał się Aleksy Michałowicz, car mohilewski z buntowniczymi kozakami, wkroczył w granice Polski i obległ Smoleńsk. Dowodził pod ten czas Obuchowicz wojewoda, jeden z możnych panów tamecznego województwa, lecz nie tej cnoty i odwagi, co nieśmiertelny Wojewódzki. —

Korf był dowódcą zamku, a Piotr Świacki, ziemianin tameczny, dowódcą szlachty; po niejakiach lekkich utarczках podał Obuchowicz pomimo sprzeciwiania się szlachty, miasto carowi, nie bez domysłu podłej sprzedajności. Car albowiem przy odchodzeniu garnizonu ze wzdargą go pożegnał, a odwróciwszy się od niego, do swoich wyrzekł, jak świadczy Kochowski, *Climacter* I. na karcie 437. te słowa: »Gdyby który z was tego człowieka odważył się nasładować, na pal wbity zostanie«.

Po zdobyciu Smoleńska rozpuścili Moskale swe zagony w głąb Litwy aż do Wilna, ten był albowiem skutek zdobycia tego ważnego miejsca, iż kiedy Polacy byli panami onego, nie tylko drżała stolica Moskwy, ale ich i w murach swych oglądała. Kiedy zaś moskale posiadli Smoleńsk, byt i całość Litwy, a nawet i całej Poski, chwiać się zaczęły.

Smoleńsk odległy o 386 wiorst, czyli 55 mil od Moskwy, i o 704 wiorst, czyli 97 mil i 5 wiorst od Petersburga nie tyle ważny co do liczby ludności, która w roku 1812. tylko 12.000 dusz wynosiła, zato pod względem wojennym wielki wpływ na nasze działania wywierał. Miasto, jak się wyżej mówiło, leży na spadku góry, na lewym brzegu Dniepru. Głębokie dwa parowy, od przedmieścia Krasnojskiego ku Mścislawskiemu i od Raczeńskiego ku Nikolskiemu ciągnące się, a do Dniepru spuszczone, utrudniają niezmiernie przystęp po obydwóch skrzydłach. Miasto samo, otoczone jest wysokim murem, na 25 do 30 stóp wysokim, a 18 stóp grubym przy podstawie, którego rozwinięcie około 3.000 sążni wynosi. W narożniku lewym od mostu był wyłom bardzo szeroki w murze, który drzewem w stosach był zatarasowany. Dwie bramy tylko prowadzą w środek; pierwsza, przy której łączą się trakty od Krasnoi, Mścislawia i Jelni, leży na środku półkola i zowie się Małachowska; druga prowadzi do mostu na Dnieprze, ze strony przeciwnej. Trzydzieści wież rozmaitego kształtu, do muru przypierających, jedne kwadratowe, drugie okrągłe, wznoszą się równo z murami, a rozłożone są w nie-

równych odstępach na całym obwodzie. Część górna muru jakby w zęby wycięta, przedstawiała szerokie strzelnice dla piechoty. Po za murem znajdował się rów z drogą krytą i stokiem, lecz w stanie nieobronnym. Od strony Dniepru ani rowu ani stoku nie było, lecz mur podobny do reszty obwodu. Dla wycieczek wojska, broniącego drogi krytej, wykuto w murze w kilku miejscach niewielkie otwory.

Niewielki półksiężyc, z ziemi usypany, zakrywał bramę od Krasnoi, i ostrzelany był od starego bastyonu, również z ziemi usypanego, w odległości krótkiego armatniego strzału. W prawo o 400 sążni leży cytadela, zwana u naszych historyków Zygmontowską twierdzą, przerywającą ciągłość muru. Składała się z foremnego wielokąta o pięciu bastyonach, zbudowanego z ziemi. Wały tego szańcu nie były opatrzone palisadami, od tej więc strony Smoleńsk nie był wolnym od szturmów. Pole otaczające miasto jest nierówne, poprzerywane parowami i zaroślami, w odległości ćwierci mili zakryte. Wieże wydrążone nie dopuszczały użycia artylerji, wreszcie twierdza innych dział nie posiadała prócz 50, i te były bez łoż. Nieprzyjaciel artylerją połową uzbroił półksiężyc przed bramą Małachowską, bastyon przyległy i cytadelę. Na prawym brzegu Dniepru znajdowało się przedmieście ludne, obszerne i handlowe, które niższem miastem przeważby można. Most drewniany łączył oba brzegi. Przed nim, nie dochodząc do niższego miasta, były zwaliska szańcu przedmostowego w kształcie korony, budowle w przedmieściach wszystkie drewniane; w mieście samem znajduje się kilka pięknych kościołów, ozdobionych na sposób grecki, z pięciu kopułkami, każda z nich malowana jasnym kolorem, najczęściej zielonym, lub pozłacana. Prócz kościołów wiele innych pięknych murowanych gmachów zawierał Smoleńsk, pomiędzy nimi leżące ogrody i drzewa nadawały piękną malowniczą postać całemu miastu. Mieszkańcy prawie wszyscy opuścili swoje domy i z duchowieństwem i obrazami świętych, mia-

nowicie obrazem Matki Boskiej cudownej Smoleńskiej, schronili się do Wiazmy i Moskwy.

Dnia 16 sierpnia doszedłszy na wzgórze, skąd widok na Smoleńsk zupełnie otwarty, spotkaliśmy cesarza, który się przy nas zatrzymał i przepuścił przed sobą. Wojsko defilowało plutonami z okrzykiem »Niech żyje cesarz«, i zajęło stanowisko na prawem skrzydle o pół mili od miasta. Jazda lekka francuska wielkiem półkolem opasywała miasto w odstępach pułkowych: dwie dywizye kirasyerów i karabinierów francuskich z innymi pułkami tworzyły rezerwę. Od lewego skrzydła słychać było pojedyncze strzały piechoty francuskiej, ucierającej się z przednimi posterunkami nieprzyjaciela. Była czwarta godzina po południu. Lecz ten dzień nie był przeznaczony do ataku. Napoleon spodziewał się, iż Barclay po złączeniu z Bagrationem zaniecha cofania dalszego i sprobuje szczęścia przed murami Smoleńska. Dlatego też nie ścisnął zbyt miasta, ażeby nieprzyjacielowi pole zostawić do rozwinięcia się przed miastem. Lecz mylną była ta nadzieja. Jakiż bowiem wódz śmiałby bitwę wydać mocniejszemu wojsku, mając miasto i rzekę za sobą, z jedyłą tylko przeprawą.

Nazajutrz z rana, wojsko nasze posiliwszy się stanęło pod bronią w ubiorze paradnym i oczekiwało rozkazu do godziny 9-tej z rana. O tym czasie adjutanci przybyli i oznajmili księciu Poniatowskiemu wolę cesarza.

Atak Smoleńska dnia 17. sierpnia.

Korpus piąty ruszył naprzód w ściśniętych kolumnach, jazda na prawem skrzydle zakrywała ten ruch i regulowała nieprzyjacielskie posterunki, rozłożone wzdłuż Dniepru. Spotkaliśmy cesarza, który nas wesoło przywitał i w przytomności swojej nakazał zmianę frontu w ten sposób, aby prawem skrzydłem zbliżyć się ku Dnieprowi. Poruszenie to nie bardzo gładko poszło; Napoleon rozśmiał się na widok pomyłek i rzekł: »To są młode wojska!« Przywoławszy potem księcia Poniatowskiego, wskazał mu punkta do ataku i polecił, aby prawemi kolumnami starał się wyprzeć nieprzyjaciela ze wszyst-

kich stanowisk w przedmieściu naddnieprowskim i mostom nieprzyjacielskim zagroził.

Poruszenie to wykonane zostało. Jenerał Zajęczek z pułkami: 3., 15. i 16. zbliżył się na wystrzał kartaczowy od parowu prawego i tyralierom swoim rozkazał się spuścić doń. Rozpoczął się nader żywy ogień karabinowy. W tym samym czasie dywizya 18. atak przedmieścia Raczenki od Dniepru rozpoczynała; artylerya korpusu piątego, połączona pod rozkazami jenerała Pelletier w liczbie 42 dział, zajęła stanowisko na wzgórzu na prawem skrzydle dla odkrycia mostów i ostrzeliwania brzegu przeciwnego, na którym w bliskości kościółka zatoczone były baterye rosyjskie pozycyjne. Rozpoczął się w tym miejscu ogień bardzo żywy między przeciwnymi baterjami. Ludzie i konie padali; łoża strzaskane zastępowano, przodki i wozy amunicyjne wylatywały w powietrze. Był to piękny zaiste widok! Na lewem skrzydle naszej baterji stał król neapolitański z księciem Józefem, rozmawiając między sobą jak najswobodniej, tak jak gdyby ich grad kul nie obsypywał. Ogień ten trwał parę godzin i powoli zaczął z obydwóch stron stygnąć. Tymczasem atak naszej piechoty postępował. Spędzono nieprzyjacielskich strzelców z parowu i z przedmieścia Nikolskoje, a pułki szesnastej dywizyi wyparowały go nawet z drogi krytej. Lecz na tem zakończyć się musiały ich usiłowania; w murach trzydziesto-stopowych nie było wylomu, a ogień ręcznej broni nie dozwalał do nich przystępu; artylerya francuska starała się wprawdzie otwory porobić, lecz wszelkie działania przeciwko ośmnasto-stopowym murom były nadaremne. Trzeba było szesnastą dywizyę, która mocno ucierpiała, z ognia wyprowadzić, ukryć się w parowie i w palącym się przedmieściu Nikolskie. W tej akcyi utraciliśmy pułkownika Zakrzewskiego, komendanta trzeciego pułku piechoty i podpułkownika Podhańskiego; ze sztabu głównego jenerał dywizyi Zajęczek ranny był w nogę od kuli karabinowej. Mielśmy tu do czy-

nienia z korpusem Doktorowa, a mianowicie z pułkiem szóstym jebrów korpusu Rajeskiego.

Drugi atak, wymierzony przeciwko przedmieściu raczyńskiemu, szedł z początku pomyślnie. Jenerał Grabowski na czele ośmnastej dywizyi z trzema pułkami: drugim, ósmym i dwunastym wyparł nieprzyjacielską piechotę z doliny nadnieprskiej i opanował przedmieście; lecz nadeszła pomoc, złożona ze strzelców pieszych gwardyi i brygady dywizyi pod dowództwem księcia Eugeniusza Wirtemberskiego i zatrzymała natarczywość naszej piechoty. Przyszło do żywej walki na przedmieściu samem, które spłonęło w ogniu i strata z obydwu stron stała się wielką, lecz większa po naszej stronie. Zginął jenerał Michał Grabowski, żalowany przez wszystkich. Był to oficer pełen talentu i odwagi; zginął także szef Gavant z drugiego pułku piechoty; pułkownik Krukowiecki z drugiego pułku odebrał postrzał w rękę. Poległo wielu oficerów i żołnierzy, a bolesne to, że wielu rannych spalonych zostało. Po wzajemnem kilkugodzinnem parciu, nie chcąc wystawiać na większe straty piechoty naszej, któraby na żaden przypadek murów kolbami nie była rozbiła, ani mostu, mocno obadzonego pod ogniem całej linii murów nadbrzeżnych zdobyła, cofnięto się z przedmieścia i ukryto w zagięciach parowu.

Noc zaszła w tem położeniu. Smoleńsk, zapalony granatami naszymi, leżał cały w płomieniach. Bitwa o godzinie 9 wieczorem uciehła. Francuzom nie lepiej jak nam się powiodło. Marszałkowie Davoust i Ney przypuszczali szturm do przedmieścia Krasnojskiego i Mściśławskiego i starali się opanować bramę Małachowską (środkową) i twierdzę Zyguntowską, lecz za nadejściem księcia Eugeniusza Wirtemberskiego odparci zostali i zaniechać musieli dalszych szturmów. Artylerya tych korpusów daremnie się także siliła zrobić wyłom w murach. Twierdza Zyguntowska była rzeczywiście najsłabszym punktem; przeciwko temu otworowi należało ogień całej artyleryi wymierzyć i potem szturmować dostateczną siłą. Popelniony tu błąd kosztował nas więcej,

aniżeli wielka bitwa. Wielka armia straciła niezawodnie 12,000 ludzi w tej rozprawie, z tych na korpus piąty przypada do 1,000 ludzi.

Część nocy przepędziłem na wzgórzu nad parowem głównym i stamtąd miałem okazały widok palących się wież i kopył, odbijający się na ciemnym tle nieba. Przez całą noc spokój panował zupełny. Patrole nasze dochodziły do drogi krytej, lecz wszystko w spokoju zastały. Z pierwszym braskiem dnia pojedynczy żołnierze nasi, nie widząc wart nieprzyjacielskich przed sobą, postępowali coraz dalej, przeszli drogi kryte i rowy i dostali się do jednej z wycieczek w murze wykutych. Miasto było puste. W nocy Barclay w największej cichości i porządku kazał wyjść swojemu wojsku, i wyruszył na trakt ku Moskwie, po spaleniu mostów. Tym sposobem dnia 18. weszliśmy do Smoleńska bez wystrzału. Miasto płonęło jeszcze w ogniu i dopiero dnia 19. pożar zupełnie ugaszony został. Połowa domów i kościołów w gruzach leżała. Ulice wypełnione poległymi i rannymi okropny widok przedstawiały. Po obejrzeniu miasta udałem się napowrót do głównej kwatery, dla zdania sprawy o stanie miasta.

Korpus piąty wypoczywał pod Smoleńskiem do dnia 22. sierpnia. Dnia 19. rozpoczęła się bitwa pod Wałutyną górą, między tylną strażą Barclay'a a przednią naszą. Ze strony francuskiej zginął generał dywizyi Gudin z korpusu Davoust'a.

Dnia 21. około godziny 11. zrana, cesarz odbył przegląd korpusu piątego i rozdał wielką ilość ozdób legii honorowej, w ogóle 88, pomiędzy temi dwa krzyże oficerskie. Przy tej sposobności nie szczędził pochwał i obietnic i rozmawiał z wielu wyższymi oficerami. Dnia 22. sierpnia wyruszyliśmy w dalszy pochód ku Moskwie; przeznaczeniem naszym było zaślaniać prawe skrzydło wielkiej armii.

Zachodzi tu teraz ważne pytanie: dlaczego Napoleon nie zatrzymał się w Smoleńsku, tak jak mu radzono i nie starał się o umocnienie nowej podstawy nad Dnieprem i Dźwiną, skądby na przyszłą wiosnę mógł uderzyć na stolicę. Stodwu-

dziestomilowy pochód od swojej podstawy nad Wisłą nakazany mu był przez okoliczności wojenne. Chcąc bowiem zmusić Barclay'a do stoczenia walnej bitwy przed połączeniem się jego z Bagrationem, i chcąc przeszkodzić połączeniu się temu, musiał szybko postępować, nie oglądając się na swoją podstawę, ani na magazyny, i wojsko swoje żywić z zasobów krajowych. Taki marsz nagły przez wyżej wskazaną opieszałość króla Westfalskiego nietylko nie przyniósł żadnego skutku, lecz połączony był z niesłychanemi dotąd stratami w ludziach i koniach. Dość porównać stan wojska w czasie przejścia granicy i za przybyciem pod Smoleńsk. Stan ten wykazuje w korpusach zebranych pod Smoleńskiem następującą różnicę:

Nad Niemnem dnia 24 czerwca było . 283.650 ludzi.

Przed bitwą Smoleńską dnia 3 sierpnia 179.770 »

Wielka armia poniosła zatem od 24. czerwca do 2. sierpnia stratę przeszło 100.000 ludzi; ubytek ten szczególnie widocznym się staje przy porównywaniu stanu jazdy. Porównanie sytuacyjne innych korpusów nie mniejsze różnice przedstawiało.

Tym to sposobem największe nikną armie, jeżeli nie są według prawideł wojennych, sankcyonowanych doświadczeniem, prowadzone. Gdyby tak wielką stratą cesarz okupił był stanowczy rezultat odrzucenia armii rosyjskiej z linii operacyjnej, od Moskwy idącej, na zgubny dla niej kierunek petersburskiej drogi, czego się spodziewał dokazać strategicznym, genialnym pochodem z Witebska ku Smoleńskowi; pewnie kampania inny byłaby obrót wzięła. Lecz nie dokonawszy, i mając przed sobą na trakcie moskiewskim nienaruszoną armię rosyjską, wypadało się głębiej zastanowić, czy bez żadnej pewności dalszych korzyści, można się o 55 mil dalej zapuszczać od podstawy, nie zapewniwszy jej wprzód i nie ściągnąwszy rozrzuconych po całej Litwie oderwańców i nowych posiłków, gromadzących się nad Wisłą i Niemnem.

Drugi ważny przedmiot nasuwa się pod naszą uwagę. Napoleon zajmował wprawdzie całą Litwę, w ścisłym znaczeniu od Buga i Niemna do Dźwiny i Dniepru, i od morza Bałtyckiego do linii bagien Prypeci, dzielącej Litwę od Wołyń. Lecz kraj ten, wyjąwszy Żmudzi, nie stanowił najżyźniejszych prowincyj zabranego kraju. Wołyń, Podole i Ukraina, w zboże, ludzi i konie nierównie zamożniejsze, nietknięte leżały i w posiadaniu nieprzyjaciela znajdowały się, który w nich organizował nowe swoje siły, i zbyt przedłużonej działani naszych linii zagrażał. Po wojnie tureckiej, pokojem Bukareskim szczęśliwie dla Rosji zakończony, korpus Czyczakowa wolnym się stawał do wszelkich podobnych przedsięwzięć, które im dalej na tyły głównej armii francuskiej wymierzone, tem niebezpieczniejszem dla niej czyniły dalsze zapuszczanie się w kraj nieprzyjacielski.

Ten więc wzgląd, równie jak i pierwszy, powinien był wpływać na postanowienie cesarza.

Na lewym skrzydle równe niebezpieczeństwo zagrażało linii operacyjnej francuskiej. Nad Dźwiną bowiem stał generał Wittgenstein z korpusem 40.000-nym przeciw dwóm połączonym korpusom francuskim: drugiemu i szóstemu, które na początku kampanii liczyły razem 62.273 ludzi, a dnia 2 sierpnia tylko 35.000 ludzi; marszałek Macdonald stał wprawdzie z korpusem 30.000-nym w Kurlandyi, naprzeciwko Rygi i mógł w potrzebie, złączywszy się z drugim i szóstym, działać wspólnie przeciwko Wittgensteinowi; lecz ten wzmocniony rezerwami, przybywającymi z Petersburga, milicjami i korpusem Steinhela, wylądowanym z Finlandyi, przechodził w siłę drugi i szósty korpus, i nietylko zakrywał Petersburg, lecz równie jak i Czyczaków zagrażał linii operacyjnej.

Wszystkie więc powody przemawiały za tem, aby się zatrzymać w okolicach Smoleńska, umocnić ten punkt, zamieścić Dynaburg, Witebsk i Połock w czasowe twierdze, i starać się o zdobycie Rygi i Bobrujska. Pod zastoną tych punktów, wielka armia byłaby się rozłożyła w zimowych kwaterach

i wzmocniona posiłkami świeżymi, na wiosnę przyszlą rozpoczęłaby drugą kampanię. Organizacya armii litewskiej stała się łatwą; wreszcie wysłanie silnego korpusu na Mozyr i Kijów byłoby powstanie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie bez wątpienia roznieciło. Lecz Napoleon, zaslepiiony niesłychanem powodzeniem, głuchy na przedstawienia marszałków swoich, spodziewał się przed Moskwą zmusić Rosyan do stanowczej bitwy i opanowaniem miasta tego jednym ciosem zakończyć wojnę. Lecz Bóg inny koniec jego dumie przeznaczył i Karola XII. losy dla niego gotował.

Dnia 22. sierpnia nastąpiło więc ogólne ruszenia wielkiej armii ku Moskwie. Składała się, jak wyżej, z gwardyi, z 1., 3., 4., 5. i 8. korpusu piechoty i 1., 2. i 3. jazdy rezerwowej; korpus 4. rezerwowej jazdy Latour-Maubourga, szedł na Mścislaw, Jelnię, zostawiwszy dywizyę Dąbrowskiego przed Mohylewem. Doliczywszy i ten 4-ty korpus jazdy, 5.000 ludzi, znajdziemy ogólną siłę wielkiej armii, operującej na Moskwę po odtrąceniu 19.000 ludzi na straty, poniesione pod Smoleńskiem i Walutyną, sumę 165.000 ludzi.

Piąty korpus, przeszedłszy dwa razy Dniepr w odległości półtorej mili od wielkiej armii, postępował bocznemi drogami po prawej stronie traktu do Moskwy. Poprzedzała go dywizya lekkiej jazdy, pod komendą generała Kamińskiego. Wsie, przez które przechodziliśmy, nie zupełnie były opuszczone, a chociaż kozacy mieszkańców zmuszali do porzucania siedzib i ogień podkładali pod serty i stogi, jednak dostateczną żywność po skończonych żniwach znajdowaliśmy dla ludzi i koni.

Dnia 24. doszła nas wiadomość przez jeńców, że główna armia rosyjska zamierza wydać nam walną bitwę przed Drohobużem. Cesarz ściągnął więc natychmiast gwardye ze Smoleńska. Lecz generał Barclay za radą Bagrationa opuścił niekorzystne stanowisko przy ujściu Uży do Dniepru w nocy z dnia 23. na 24. sierpnia i dalej się cofnął ku Wiazmie w trzech kolumnach. Lewa, za którą postępowaliśmy, złożona

z drugiego korpusu piechoty, pierwszego jazdy i trzech pułków kozackich, szła na Konuszki.

Dnia 25. sierpnia stanęliśmy obozem pod Wołoskiem, w odległości 20 wiorst od Drogobuża. Marsz dalszy prowadził na Łużki, Pokrowskoje, Stukino i Słobódkę, które to ostatnie miejsce leży prawie na wysokości Carewa Zajmiszcza przed miastem Gzatskiem. W Budajewie piąty korpus dnia 1. września zatrzymał się, i tam odebrał rozkaz sposobienia się do bitwy, której się spodziewać należało.

Dnia 29. sierpnia wieczorem księżę Kutuzow objął komendę ogólną nad połączonemi: pierwszą i drugą armią rosyjską w głównej kwaterze w Carewie Zajmiszczem, i rozporządzenia uczynił dla przyjęcia nas w stanowisku pod Borynem na drodze Możajskiej.

Piąty korpus w pozycyi pod Budajewem spoczywał przez 1., 2. i 3. września. Przez te dni każdy dowódca pułku lustrował szczegółowo broń, amunicję i t. d., wiedziano bowiem, iż chwila stanowcza nadeszła. Stan piątego korpusu dnia 2. września wynosił przytomnych pod bronią 8.430 piechoty, 1.638 jazdy, 36 dział artylerji, 18 dział pułkowych i 6 dział artylerji konnej; a zatem bataliony piechoty liczyły nie więcej jak około 470 ludzi; pułki zaś jazdy około 400 koni, byliśmy więc zredukowani prawie do połowy.

Sytuacja ogólna wielkiej armii dnia 2. września była: 103.076 piechoty i 30.748 jazdy, licząc w to 6.003 piechoty i 1.318 jazdy nieobecnej, lecz spodziewanej w przeciągu pięciu dni; ogółem 133.819 ludzi i 587 dział.

W dowództwie naszych dywizyj zaszła była zmiana. W miejsce ranionego pod Smoleńskiem generała Zajączka, objął komendę szesnastej dywizji generał Izidor Krasziński, odważny i pełen poświęcenia żołnierz; komendę dywizji jazdy otrzymał generał dywizji francuskiej Sebastiani, korsykanin, nielubiony od Napoleona, który mu pamiętał niektóre uchybienia w Hiszpanii popełnione. Komendę naszej dywizji uważał sobie Sebastiani za niełaszkę; lecz że Polaków z czasu

wojny hiszpańskiej znał i lubił, i pod komendą swoją miał niejaki czas pułki: 4., 7. i 9. piechoty, przeto starał się tego nie okazywać, i owszem był bardzo łaskaw na swoją dywizję. Wnet spostrzeżono, iż żadnego nie miał doświadczenia w prowadzeniu jazdy.

Dnia 5. września postępowaliśmy starym trak-
tem Smoleńskim przez Jelnię, w jednej kolumnie, Bitwa pod Mołajskiem d. 5 września.
jazda na przodzie. Wtem o godzinie drugiej po-
południu oficer ordynansowy cesarza oznajmił księciu Ponia-
towskiemu, iż wojsko nieprzyjacielskie stoi w pozycyi o kilka
wiorst od nas, i bez wątpienia dziś jeszcze przyjdzie do walki;
książę Poniatowski natychmiast stosownie uczynił rozporządze-
nie. Kolumna nasza odstąpiła starej drogi Smoleńskiej i po-
sunęła się na lewo, ukośnie do wielkiej armii, przez małą
równinę, przeplataną laskami i zaroślami. Spotkaliśmy kilka
szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej, które odebrawszy parę
wystrzałów armatnich pierzchły i w biegu przeleciały około
naszego frontu. Laski i krzaki, rozrzucone na pozycyi, oddzie-
lały nas od tylnej straży rosyjskiej i nie dozwalały dokładnie
odkrywać jej stanowiska. Widoczne tylko były dwa wzgórci,
bliższy zajęty był okopem i liczną artyleryą uzbrojony, dalszy
lecz niższy, o 500 sążni odległy od pierwszego, opierał się
o las, i zdawało się, jakby zasłaniał rezerwę. Stanowisko to
o kilkaset sążni przed frontem głównej pozycyi rzucone, było
na kształt dzieła zewnętrznego tejże pozycyi przeznaczone,
i miało pierwsze nasze ataki złamać. Wkrótce błysnął ogień
z okopu, grad kul obsypał czoło naszej kolumny i nakazał
rozwiniecie batalionów. Książe Poniatowski stosownie do miej-
scowości rozporządził nasze linie. Bataliony 16-tej dywizyi,
poprzedzone tyralierami, posunęły się naprzód; bataliony zaś
18-tej dywizyi w tym samym szyku bojowym zajęły nasze
prawe skrzydło, ucierając się z nieprzyjacielskimi jegrami, któ-
rzy w gęstych zaroślach dzielnie się trzymali. Naprzeciw re-
duty na wzgórzu zatoczono 24 dział naszych, między temi
12 pozycyjnych, ażeby ostrzeliwać równinę, przed nami le-

żącą. Jazda pilnowała prawego skrzydła i łączyła nasze lewe z wielką armią.

Najwyższa walka rozpoczęła się w tych wzajemnych pozycjach z widoczną wyższością ze strony artylerji rosyjskiej, która korzystniej od naszej stojąc, gradem kul wydrążonych obsypywała nasze linie. W przeciągu pół godziny stanowisko naszej baterji zasłane zostało końmi i ludźmi. Szef brygady Sowiński stracił prawą nogę. Porucznicy Czajkowski i Łobocki zginęli od kul armatnich; porucznik Chrzanowski ranny od kartacza. Sowiński, tak mocno ranny, z największą spokojnością dał się opatrzyć, i leżąc na ziemi, przy swoich działach, nie przestał wydawać rozkazów kanonierom. Któż nie pamięta w naszej armii szanowną postać tego walecznego męża, który zawód, tak pięknym czynem rozpoczęty pod Możajskiem, miał śmiercią chwalebną pod Wolą uwieńczyć! W tym czasie wielkie masy jazdy rezerwowej francuskiej, pomiędzy lewem skrzydłem naszym a dywizją generała Compens'a z pierwszego korpusu, zaczęły się formować pułkowemi kolumnami w odstępach; dywizya zaś Compens'a ruszyła naprzód dla zdobycia reduty; około tego punktu nastąpiła żywa walka. Reduta kilka razy zdobyta i znów stracona, pozostała o 9. godzinie wieczór w ręku Francuzów. Jazda rosyjska, z kirasyerów i dragonów złożona, nader śmiałe ataki przypuszczała do jazdy francuskiej i przednie pułki przełamała; natarła nawet na kompanię piechoty naszej, wysuniętą przed naszymi kolumnami, dla wsparcia tyralierów. Te w kłębki zwinięte, ogniem rotowym odparły nieprzyjacielską jazdę: osobliwie zimną krew okazywał w tej chwili kapitan Jan Skrzynecki z pułku 16-go piechoty, na czele swojej kompanii. Nareszcie przybycie króla neapolitańskiego, na czele innych pułków jazdy, zatrzymało rosyjską jazdę, która przechodząc blisko artylerji naszej, pożegnanie ostatnie od niej odebrała i z pola ustąpiła. Należały do tego ataku, który do najnatarczywszych policzyć można, pułki kirasyerów: małorosyjski, glonczowski, i jeżeli się nie mylę, ordeński; tudzież dragony charkowskie i czernichow-

skie. Szef brygady Artur Potocki, od kirasyerów napadnięty, kilka cięć odebrał w głowę.

Po spędzeniu jazdy rosyjskiej piechota nasza ruszyła naprzód; 14 kompanij wołyżerskich, zebranych pod komendą szefa brygady Macieja Rybińskiego z pułku 15. piechoty, zasłaniały ten ruch. Atak ten z ostatniem natarciem na redutę dywizyi Compans'a skombinowany, zakończył bitwę tego dnia, która do późnego wieczora, t. j. do godziny 9. trwała.

Dzień 6. września przeszedł na rozpoznaniu szczegółowym nieprzyjacielskiej pozycyi. Cesarz z królem neapolitańskim i całym sztabem przybył do naszego obozu, rozłożonego na zdobytej wczoraj pozycyi, i niejaki czas zatrzymawszy się tam, rozpoznawał nieprzyjacielskie stanowisko; rozłożeni w krzakach w bliskości obozu naszego rosyjskie jegry, ograniczali bardzo nasz horyzont. Ze wzgórza zdobytego wilią, widać było tylko jakby morze jakie zarośli, rozciągających się w głąb i na prawo pozycyi nieprzyjacielskiej. Droga stara, z Smoleńska na Jelnię do Moskwy prowadząca, i wieś Utitca dość wyraźnie się przedstawiały. W lewo pozycya rosyjska wydawała się jaśniejsza, mniej było zarośli, lecz zato pole poprzerywane głębokimi jarami i parowami. Linie obozów ruskich, przy których mnóstwo ludzi było w poruszeniu, jak na dłoni przez perspektywę się wydawały. Rozpatrzywszy się w tym punkcie cesarz instrukcye swoje dał księciu Poniatowskiemu, które na tem zależały, aby korpusem naszym zwrócić się ukośnie napowrót na trakt smoleński, lewe skrzydło nieprzyjacielskie wyrugować ze stanowiska, które zajmowało za Utitcą, na wzgórzu (t. zw. Mamelonie) i starać się nieprzyjacielskiej armii zejść z boku i z tyłu. Zadanie to widocznie było za wielkie w porównaniu z siłami naszymi, które nie przechodziły 10.000 ludzi pod bronią.

Rzeczywiście korpus Tuczkowa zajmował tę pozycyę dwoma dywizyami piechoty, t. j. pierwszą grenadyerską jenerała Strogonowa z 12 batalionów, i trzecią jenerała Kononowiczyna z 11 batalionów piechoty, 24 dział pozycyjnych,

32 dział lekkich; pierwsza dywizya grenadyerów w dwóch liniach uszykowana była pomiędzy Utitcą i Mamelonem; trzecia dywizya podobnież w dwóch liniach, stanowiła za nią drugi zastęp. Na lewem skrzydle było sześć pułków kozackich pod jenerałem Karpowem, z jedną baterią konną. Po za Mamelonem w rezerwie milicye moskiewskie, 7.000 ludzi pod jenerałem L. Markowem. Przed prawem skrzydłem od Utitey poczynając, rozłożone były w zaroślach 20. i 21. pułki strzelców z dywizyi trzeciej, z gęstemi tyralierami, które związek utrzymywały z dywizyami Woroncowa i Newerowskiego.

Ta siła, jeżeli bataliony równe naszym przypuścimy, wynosiła około 13.000 piechoty liniowej, 7.000 milicyi, 1.800 kozaków i 62 dział.

Siła ta przewyższała w dwójnasób naszą siłę. Pomimo więc wszelkich natężeń zadanie stało się trudnem do rozwiązania, jeżeliby inne okoliczności nie sprzyjały. Tu 30.000 ludzi nie było nadto, wyparowawszy bowiem korpus Tuczkowa jeszcze bylibyśmy trafili na silne rezerwy, gotowe do odparcia tak stanowczego ruchu.

Dnia 7. września, o godzinie 6. z rana, woj-
Bitwa dnia 7. września. sku stojącemu pod bronią odczytano rozkaz dzienny cesarski, następującej osnowy: »Żołnierze! zbliża się teraz bitwa, której tak mocno pragnęliście! Od was zależy zwyciężyć! Zwycięstwo jest nam potrzebne; da nam podstatkiem wszystkiego i dobre leże zimowe; pozwoli oraz na prędki powrót do ojezyny. Sprawcie się tak, jak pod Austerlitz, Friedlandem, Witebskiem; niech najpóźniejsi potomkowie z chlubą o waszem sprawowaniu się w tym dniu wspominają: byli oni w owej wielkiej bitwie pod murami Moskwy! W obozie cesarskim na wzgórzach Borodyna dnia 7. września o godzinie 2-giej z rana.«

Po odczytaniu tej odezwy piąty korpus wyruszył na stanowisko, które mu było naznaczone na prawem skrzydle linii bojowej, i zajął stary trakt smoleński. O godzinie 7-mej z rana baterye francuskie, naprzeciw Borodyna zatoczone, dały

znak do bitwy. Wnet grzmoty artylerii na całej linii odpowiedziały temu hasłu. W miarę, jak się nieprzyjacielscy strzelcy, w krzakach rozrzućeni usuwali, kolumny nasze, poprzedzane tyralierami, postępowały naprzód i wieś Uticę zajmowały. Bateria z dwunastu dział pozycyjnych, pod bezpośrednim kierunkiem pułkownika artylerii, Górskiego, w lewo Uticę na wzgórzu ustawiona, popierała ogniem swym ten ruch. Dywizya zaś lekkiej jazdy, pod komendą generała Sebastianiego, zakrywała go od prawego skrzydła, broniąc od napadów nieprzyjacielskiej jazdy.

W takim szyku atak postępował coraz gwałtowniej. Wkrótce na całej naszej linii rozpoczął się nader żywy ogień broni ręcznej pomiędzy tyralierami z obydwóch stron, któremu wtórowały baterie pozycyjne nieprzyjacielskie z Mamelonu i nasze pod Uticą.

Dywizya 16-ta pod generałem Krasinińskim, wspierając swoich tyralierów, rozdrobniła się na małe oddziały i wprowadziła do boju dwie trzecie części całkowitej siły; a jednak wcale nie postępowała. Nieprzyjacielscy strzelcy, doszedłszy do swoich kolumn, przestali się cofać i wstępny bojem uporczywie się potykali. Trudno było ściągać do kupy rozpieczętą po zaroślach i chrustach piechotę naszą, dla uformowania z niej kolumn do ataku, w przytomności i pod ogniem nieprzyjacielskich jęgrów. Ogień wzrastał się coraz bardziej. W przedłużeniu linii naszej bojowej wznosił się w białych kłębach dym baterij francuskich, oznaczający widocznie postęp naszego środka. A jednak dla słabej siły nic stanowczego nie można było na naszej stronie przedsiębrać. Korpus ósmy westfalski, znajdujący się na lewym skrzydle naszym już mocno ucierpiał od jazdy i artylerii rosyjskiej i w stanie bliskim rozsypani się znajdował. Żadnej więc pomocy z jego strony nie można się było spodziewać.

W tej ważnej chwili, książę Poniatowski, chcąc się ze swojej strony przyczynić do zwycięstwa, nakazał atak piechoty na Mamelon, stanowiący oparcie nieprzyjacielskiego kor-

pusu generała Tuczkowa. Szef brygady Maciej Rybiński, na czele jednego batalionu piętnastego pułku liniowego, zaszedł od prawego skrzydła i szybkim natarciem opanował go, spędziwszy nieprzyjacielską piechotę, mianowicie pawłowskich grenadyerów i 13 dział zdobywszy, utrzymał się na wzgórzu blisko przez kwadrans. Stąd jak na dłoni wszystkie pozycje nieprzyjaciela jasno się wydawały. Gdy jednak druga linia nasza, pod generałem Kniaziewiczem, żadnego kroku nie uczyniła dla wsparcia tego ataku; szef batalionu Rybiński, nie zdołając się z jednym osłabionym batalionem dłużej opierać nacierającym zewsząd rezerwom rosyjskim, mianowicie pułkom grenadyerskim, petersburskiemu, ikaterynosławskiemu Krakczejewa i leibgrenadyerskiemu, i pułkom muszkieterskim, Willmanstrand i Biełozersk, prowadzonym osobiście przez generała korpuśnego I. Tuczkowa, wziął sam orła w ręce, i uformowawszy kolumnę, przedarł się przez nieprzyjacielskie bataliony, utraciwszy 300 walczących. W tej to walce generał Tuczkwow śmiertelnie został raniony. Tym sposobem ruch ten stanowczy, że tylko jednym batalionem wykonany, bez wsparcia rezerwy, nie mógł się udać. Wykonany przez całą dywizję 16-tą i wsparty 18-stą, byłyby za sobą inne pociągnął skutki.

Ile razy zdarzyło mi się widzieć księcia Poniatowskiego, zawsze wprowadzał bataliony pojedynczo w ogień, gdzie sam rycerską swoją piękną postawą odznaczał się od wszystkich: nigdy nie pamiętam jednak, aby kilka batalionów od razu wysłał z rezerwą, albo z drugą linią w odwodzie. Był to błędny zwyczaj, z austriackiej szkoły przyjęty, który nie wiele dokazawszy, tępił naszą piechotę.

Nieprzyjaciel spędziwszy Rybińskiego zajął napowrót Mamelon i uwieńczywszy go sześcioma działami pozycyjnymi, wytrwał w tej pozycji do godziny 3-ciej po południu. Ogień artylerji i tyralierów z obydwóch stron rozpoczął się na nowo, tak jak przed tym atakiem, bez widocznej korzyści z naszej strony.

Około godziny 3-ciej dopiero książę Poniatowski, naglony rozkazami cesarza, postanowił wszystkimi siłami ponowić odparty atak. Uformowawszy obydwie dywizye w ściśniętych kolumnach, prowadził je sam na Mamelon, i wsparty z boku jazdą, szybkim uderzeniem zdobył go po raz drugi i artyleryą uwieńczył. Dowodzący po Tuczkanie, generał Baggowuth, na próżno się starał odzyskać utracone stanowisko. Wreszcie ruch wsteczny głównej armii jemu także nakazywał odwrót. Wykonał go porządnie, nie wiele party od naszej piechoty, i zajął nową pozycyę, o dwa wystrzały armatnie od pierwszej. Dywizye nasze przepędziły noc w zdobytej pozycyi, nie zaniebując wszelkich ostrożności, jakie nakazywała bliskość nieprzyjaciela, spodziewano się bowiem nazajutrz odnowienia bitwy. Lecz wojsko rosyjskie zatrzymawszy się do wieczora w pozycyi odwodowej, cofnęło się w nocy pod sam Możajsk.

Strata nasza w dniu 5. września wynosiła około 2.000 ludzi w zabitych i rannych. Piechota nasza o 6.000 ludzi pod bronią zmniejszoną została. Jazda nie wiele ucierpiała. Z oficerów wyższych pułkownik 8-go pułku piechoty, Stuart, utracił nogę; szef brygady artyleryi, Daret, waleczny żołnierz, ugodzony kulą armatnią w nogę, po odbytej amputacyi, w klasztorze kotolskim życie chwalebne zakończył.

W czasie bitwy, znajdując się w sztabie księcia Poniatowskiego, wysłany byłem z rozkazami po kilka razy do naszej piechoty i do baterji pozycyjnej, i równo z innymi podzielałem niebezpieczeństwo tego pamiętnego dnia. W czasie, gdy ogień zdawał się wolnieć, z ołówkiem w rękę rysowałem pozycyę naszą, a w miarę postępu naszego i nieprzyjacielską.

Nazajutrz, to jest 8. września, około godziny 10. z rana dokończywszy planu bitwy z naszej strony, ciekawy byłem rozpoznać pole bitwy wielkiej armii; przechodząc od prawego skrzydła ku środkowi, znalazłem w miejscu, zajętem przez ósmy korpus westfalski, ślady niepowodzenia wczorajszego; leżało po krzakach wiele trupów westfalskich z rozmaitych pułków. Wstąpiwszy na pole, tam gdzie wysypane trzy szańce

oznaczały środek rosyjski, przedstawiał się zdziwionym oczom moim widok, którego okropność przeszła oczekiwanie. Na przestrzeni tylko 1500 sążni wzdłuż i tyleż wszcz, leżały trupy ludzi i koni pobitych, strzaskane łoża, wozy amunicyjne i broń ręczna tak gęsto, jak mi się później nigdy nie zdarzyło widzieć, nawet w bitwie lipskiej. Śmierć tu odbyła okropne żniwo swoje. Leżeli tu zmieszani Francuzi z Rosyanami; świeże ich rany szczególnie od kul armatnich, w rozmaitych postaciach, przerażały umysł nie dość zahartowany na takie widoki. Osobliwie w bliskości szańców powyższych i wielkiej baterji zamkniętej na lewo Borodyna, widoczne były ślady najzaciętszej walki. Rowy literalnie zapełnione były poległymi, a przystęp do nich zasłany również trupami tak, iż po nich sądzić było można o kierunku nacierających kolumn. Przy borodyńskiej baterji, której przedpiersia od kul i granatów zatarte i od kopyt nacierającej jazdy zdeptane były, widać było olbrzymie postacie kirasyerów francuskich, saskich i polskich, którzy niesłychanem w dziejach jazdy natarciem, szaniec ten zdobyli. Jakiś dziwny wyraz namiętności i odwagi jaśniał jeszcze na tych, ranami zoranych i skurczonych twarzach. Tu zginęli jenerałowie Montbrun i Caulinwurt na czele swoich żelaznych hufców. Odznaczały się także ogromnością ciała pobitej gwardyi i jazdy rosyjskiej, leżącej na linii bojowej.

Na tem to pobojuwisku stały zwycięskie bataliony francuskie, kurzem wczorajszym jeszcze okryte, z ustami poczerzonymi od prochu, z bagnietami gdzieniegdzie od kul skręconymi, w znacznie przerzedzonych rotach. W niektórych naliczyłem ledwie po 200 ludzi obecnych koło orła, lecz orzeł świetny po takim zwycięstwie, wśród takiego spustoszenia pięknie odbijał nad temi ogorzałemi twarzami. Jeszcze wiele rannych nie opatrzonych leżało pomiędzy poległymi. Tych wyszukiwano i odnoszono w tył batalionów. — Również i jazda w słabych szwadronach po kilkadziesiąt ludzi tylko, uszykowana stała na polu bitwy. Straty, jakie poniosła, dotkliw-

szemi jeszcze były aniżeli piechoty. I tak naprzykład brygada ciężka generała Theilmana, z dwóch pułków kirasyerów saskich i 14-ego polskich kirasyerów złożona, straciła tegoż dnia 41 oficerów i 500 żołnierzy w zabitych i rannych.

Wedle wiadomości powziętych na miejscu, nie zaś po dług kłamliwego 18. buletynu, strata z francuskiej strony doszła do 40.000 ludzi zabitych i rannych; pomiędzy ostatnimi było 30 generałów. Zginęli generałowie: Montbrun, Caulinwurt, Plauzonne, Huart, Compère, Marion, Lanabère i hr. Lepel. Między rannymi znajdował się marszałek Davoust.

Ze strony rosyjskiej przyznano 50.000 ludzi całej straty (ob. Buturlina). Zginęli lub z ran umarli: generałowie Bagration i Tuczkw I., Kutaisow i Tuczkw IV.; prócz tych mieli 9 generałów rannych. Pod tym więc względem porównując stratę jazdy, Francuzi więcej ucierpieli; ostatnia bowiem nie łatwo dała się powetować.

W tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni najstarsi wojskowi nie pamiętali tak wielkiego pogromu, a nawet bitwa pod Ellau w żadne z Możajską nie może iść porównanie; ta bitwa za najkrwawszą od czasu wynalezienia prochu uważaną być może.

Piechota rosyjska nazajutrz znajdowała się w zupełnej dezorganizacji i wedle wszelkich wiarogodnych podań prawie wszystkie bataliony były rozprężone i pomięszane, i gdyby nie karność nadzwyczajna tego wojska i pomoc kozaków, najokropniejsze stąd skutki dla Rosyi wyniknąć mogły. Francuskie wojsko tak ciężkiej próby nie byłoby wytrzymało; dowodem przegrana Waterloo. Kilka dni po bitwie piechota rosyjska, nie będąc pogonią parta, przyszła do należytego porządku; i wszędzie, gdzie nam stawiła czoło, z równą jak pierwszej potykała się stałością, żadnego chorego, ani marudera nie zostawiając za sobą.

W piechocie francuskiej uskarżano się na straty od szrapneli, gatunku kul wydrążonych, które nabite prochem, pękając rozrzucają ołowiane kule na podobieństwo kartaczy.

Ten nowy rodzaj pocisków udzielony był Rosyanom przez Anglików.

Dnia 8. września około południa, furazery nasze, szukając stawy dla koni w pobliskich wioskach, napadnięci zostali od kozaków, którzy ich spłoszyli i do obozu zapędzili. Powstał stąd zgiewk i wołanie do broni, które się powtórzyło na linii francuskiej; lecz wkrótce dowiedziano się o przyczynie tego alarmu i wszystko do spokojności wróciło.

Wrażenie, jakie bitwa możajska po sobie żołnierzowi zostawiła, nie było wcale pocieszające: po tylu stratach w pochodach i w bitwie, jakież to były odniesione korzyści, gdzie chorągwie, gdzie działa zdobyte, gdzie niewolnicy? Podobnych trofeów armia prawie żadnych nie zdobyła, prócz kilkadziesiątu dział zdemontowanych, zostawionych w szańcach. Na tem cała korzyść! Wojsko rosyjskie na pozór nienaruszone, nie straciwszy ani jednego polowego działa, zniknęło z naszych oczów pod zasłoną lekkiej jazdy, zostawiając Napoleona w niepewności, czy nie raczej ku Kałudze aniżeli ku Moskwie obróciło się. Zamiast więc radości pewien rodzaj osłupienia ogarnął umysły wojska. Odtąd przestano o powodzeniach myśleć, i tylko nowe trudy i przyszłe klęski zaczęły się marzyć.

Dnia 8. września przed wieczorem zaczęliśmy posuwać się zwolna za cofającym się nieprzyjacielem i wkrótce wynużywszy się z zarośli na otwarte pole, ujrzelśmy jego straż tylną na pochyłości pod miastem Możajkiem, ucierającą się z francuską jazdą. Ze stanowiska naszego widziałem dokładnie uszykowane linie jazdy rosyjskiej, zakryte chmarą kozaków, a w dolinie po za Możajkiem tłumy piechoty, szybko ustępujące z liczną artylerją i powózkami. O pół mili od Możajska, 5. korpus rozpałił swoje ognie i urządził się na noc. Nam szczęśliwym trafem dostała się pieczeń barania, dość rzadki specyał podówczas, kiedy wojsko na pobojowisku zabite konie już piekło.

Następnych dni książę Poniatowski, zajmując zawsze prawe skrzydło wielkiej armii, posuwał się ku Moskwie, nie

spotykając nigdzie innych większych oddziałów prócz natrętnych zawsze kozaków, na Fomińskoje dnia 9-go września, gdzie dostaliśmy się na trakt, z Kaługi przez Borowsk prowadzący ku Moskwie.

Na tej drodze zwolna postępując nie doznaliśmy żadnego oporu i z większą aniżeli wprzód łatwością, potrzeby nasze z kraju wybieraliśmy. Z Fomińskoje szliśmy na Burt-sowo, Charopowo i dnia 13. obozowaliśmy pod Łyhową o 22 wiorst od stolicy. Wielka armia postępowała jak zwykle, w jednej kolumnie głównym traktem smoleńskim. Wicekról włoski ze swoim korpusem szedł na Roużę i Zwenigród.

Zdawało się wszystkim, iż Kutuzow bez stoczenia drugiej bitwy nie wpuści nas do stolicy. Jakoż w rzeczy samej przygotowania do niej porobił w obozie, który mocnymi szan-cami obwarował. Lecz to była tylko zręczna demonstracya dla pokrycia ważniejszego planu. Tu bowiem postanowił opuścić stolicę, wyprowadzić z niej mieszkańców, i zwrócić się z całą armią na trakt kałuski, skąd zagrażał komunikacyi ze Smoleńskim.

Rostopczyn, gubernator Moskwy, spalaniem miasta uzupełnił ten plan, tak dla nas zgubny; nietylko nas bowiem pozbawił zasobów tego zamożnego miasta, lecz winę spalenia Moskwy na nas złożywszy, wystawił nas w oczach narodu ruskiego za barbarzyńców, za podpalaczy i gwałcicieli wszelkich praw ludzkich i boskich, i przez to klasy nieoświecone narodu podburzył do wojny świętej za religię i cara.

W tym stanie rzeczy dnia 14. września otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia ze stanowiska pod Łykową i zbliżenia się ku stolicy. Wszelkie zachowano ostrożności w tym marszu, każdy się bowiem tego dnia bitwy spodziewał. O 10 wiorst od miasta natrafiliśmy w bok drogi na pole, najdzwyczajnie piękną marchwią zasadzone, którą wielu nas zasililo się, nie myśląc o tem, iż za dwie godziny wynosić nam będą ananasy i konfitury kijowskie z pałaców opuszczonych bojarów rosyjskich. Lasek nie wielki zakrywał nam jeszcze widok stolicy.

Wychodząc z niego na wzgórze, zwane Worobiejskie gory, czyli Góra wróbli, przedstawiła nam się nagle panorama tego ogromnego miasta. Każdy z nas uderzony tym nadzwyczajnym widokiem, zatrzymał się i zawołał z radością i zachwyceniem: Moskwa! Moskwa! otóż cel naszych usiłowań.

Nim przystąpimy do opisania dalszych zdarzeń, nie zawadzi kilka słów poświęcić samemu miastu.

Widok Moskwy zdaje się być nowym i dzi-
Opis Moskwy. kim dla każdego cudzoziemca. Olbrzymie to miasto zabudowane jest nieregularnie i ma kształt prawie okrągły. Wystawione było bez żadnego planu i porządku na wzgórzach pomiędzy rzekami Moskwą i Negliną. Tu widać ogromne budowle, zajmujące tyle miejsca, ile niektóre miasta prowincjonalne; tam kościoły i kaplice wybudowane w najdawniejszym stylu bizantyjskim, obok lichych domów drewnianych, a częstokroć puste place zarosłe trawą i krzewinami; stąd pochodzi wyrażenie się księcia de Ligne o Moskwie, iż zdaje się, jakby paręset bojarów zabrało się z pałacami swymi wiejskimi i okolicznymi siołami i mieszkańcami, i tu za umówionym znakiem osiadło razem. Ulice są długie, szerokie, lecz zawsze kręte i źle brukowane; po przedmieściach znajdują się i takie, które nakszałt gościńców i grobel, pokładane są deskami przybitymi do belek. Około każdego prawie domu czy pałacu, a osobliwie na przedmieściach, leżą wielkie ogrody angielskie lub warzywne, które całemu miastu postać ogromnej raczej wsi, jak miasta europejskiego nadają. Wśród tej zieleności błyszczy tysiąc kopuł i wież pozłacanych nakszałt małych balonów. Obwód miasta Moskwy jest większy od obwodu każdego innego miasta, wyjąwszy Londynu, ma bowiem 40 wiorst czyli 6 mil w rozwinięciu. Ludność jego nie odpowiada tak wielkiej przestrzeni; licząc ją w lecie do 300.000, a w zimie do 400.000 dusz. Różnica ta stąd pochodzi, iż panowie moskiewscy mieszkają tylko w zimie w mieście i sprowadzają z sobą liczne orszaki, tudzież, iż zwyczajem jest po provin-

cyach, zjeżdżać się zimą dla dogodnej sannej drogi do miasta i tam kończyć wszystkie interesa.

Niemasz zapewne żadnego miasta, któreby miało tyle kościołów, kaplic i klasztorów co Moskwa. Sorok soroków, czyli 40 razy 40, lub 1.600, jest liczba przyjęta pomiędzy ludem dla oznaczenia ilości kościołów i kaplic w Moskwie. Rzeczywiście liczba kościołów do 400 dochodzi, monasterów 21, kaplic 640. Wszystko jest budowane na jeden sposób; kaplice jak i kościoły mają po pięć kopuł; największa znajduje się w pośrodku czterech innych, które stanowią czworobok. Kopuły te obite są cynkiem, miedzią, blachą i malowane rozmaitymi kolorami, lub też czasem pozłacane, albo gwiazdami złocistymi obsypane, co sprawia osobliwszy widok, skoro słońce rzuca na nie swoje promienie.

Miasto Moskwa budowane było na wzór miast azjatyckich i dzieli się na cztery części:

Pierwsza część zowie się Kremlin, które nazwisko pochodzi ze słowa tatarskiego *krem* albo *krim*, znaczącego forteca. Zajmuje środek miasta tudzież część jego najwyższą; ma kształt doskonałego trójkąta i otoczona jest z jednej strony rzeką Moskwą, z drugiej rzeką Negliną, a z trzeciej murem, mającym po bokach okrągłe i kwadratowe wieże, a uwieńczonym koronką z strzelnic. Kremlin składa się z samych pałaców, gmachów i kościołów; wznosi się pomiędzy nimi pałac carów. Jest to ogromne zabudowanie, składające się z kilkunastu oddzielnych części, bez żadnego planu wystawionych. Szczyt jego, nad którym wznosi się kilkanaście małych, pozłacanych globów, dziwny przedstawia widok. Wchodzi się do pałacu wielkimi kamiennymi schodami, zwanymi krasnoje kryłtso, czyli czerwone schody, idącymi ukośnie i źle urządzone, lecz bardzo sławnymi zabójstwem Naryszkinów, tudzież wielu innych bojarów moskiewskich, których strelcowie ze świata sprzątnęli. Pokoje są małe co do obszerności, niemasz w nich nic znakomitego prócz sali audyencyonalnej, w której przyjmowano niegdyś wielkich posłów. Za panowa-

nia Pawła I. odnowiono i wyporządkowano pokoje, lecz napró-
żno usiłowano uczynić je godnymi jakiego monarchy. Sam
tylko skarbiec zasługuje na jakąś uwagę. W bliskości sta-
rożytnego pałacu carów znajduje się gmach, zwany grano-
witaja pałata, którego konstrukcyja dziwna i azyatycka
bardziej zadziwia jak pododać się potrafi. Należy do najda-
wniejszych pomników tego starożytnego grodu i czasy Iwana
Groznego dobrze przypomina. Oprócz tych gmachów potężnych
Kremlin zawiera tylko kilka cerkwi i monasterów, mianowi-
cie: katedrę Wniebowzięcia, Uspenskijsobor, monaster tzu-
dowski, monaster woznesenski, kościół Archanioła Michała
i sławną wieżę św. Iwana, która jak olbrzym panuje nad
całym Kremlinem i blaskiem połączanej kopuły do balonu
podobnej, z wielkim błyszczącym krzyżem u wierzchu o kilka-
nastu wiorst postrzegać się daje. W tej sławnej wieży widać
także dzwon, mający 40 stóp i 9 cali obwodu, a ważący
3.531 pudów, czyli 142.040 funtów. Dawniej w pobliskiej
dzwonicy był taki dzwon, który ważył 12.000 pudów, czyli
432.000 funtów, lecz w roku 1737 w czasie pożaru dzwonicy
urwał się i utkwił w ziemi, skąd go dotychczas jeszcze nie
wydobyto. Wspomnieć tu jeszcze trzeba o sławnej bramie
Spaskiej, czyli Zbawiciela, prowadzącej z Kremlina do pię-
knego rynku czerwonego (krasnaja płoszczad), przez którą
nikt, sam car nawet nie przechodzi, nie odkrywszy głowy.

Druga część nazywa się Kitaj gorod, czyli Chińskie mia-
sto, przezwane w ten sposób od czasów Mongołów, mających
jak wiadomo stosunki z Chinami. Ta część dość foremnie
i prawie tylko z kamienia zbudowana, rozciąga się pomiędzy
rzekami Moskwą i Negliną, i odgraniczona od Kremlinu murem,
wyżej opisanym. Wehodzi się do niej z Kremlinu Spaską
bramą. Część ta nierównie jest większa od pierwszej, znajduje
się w niej: drukarnia, giełda i wszystkie sklepy kupieckie na
dole pod arkadami w obszernym budynku, zwanym Gostinnoj
dwor. Do najpiękniejszych ozdób tej części miasta bezwątpie-
nie należy kościół Wasili błagennoj (błogosławionego Bazyla),

o kilka kroków bramy Spaskiej, w południowej stronie czerwonego placu (krasnaja płoszczad) położony, który po Kremlinie najbardziej zwraca na siebie uwagę i najważniejszym jest zabytkiem z czasów Wasilów i Iwanów; niemniej zasługują na wspomnienie brązowe pomniki Minina i Pożarskiego, tych dwóch dzielnych obywateli, którzy, gdy cały naród poddawał się władzy Władysława IV., obudzili w nim ducha narodowego i na czele zebranych na prędcie hufców walcząc, odparli naszych przodków.

Trzecia część nazywa się Biełgorod czyli białe miasto, które to imię pochodzi od dawnego muru z kamieni białych, którym była otoczona, a którego widać jeszcze niejakie ślady. Stanowi ona granicę Kremlina z jednej strony a Kitajgroda z drugiej. W tej części leży gmach uniwersytetu i mnóstwo kościołów; również znajduje się ogromny gmach, przeznaczony na schronienie i wychowanie sierot i podrzutków.

Nakoniec czwarta część, która otacza wszystkie inne, jest Zemłoj gorod, czyli miasto ziemne, tak nazwane z powodu szańców, które je otaczają. Oprócz tego znajdują się jeszcze slobody, czyli przedmieścia, których jest trzydzieści. Wyjawszy kilka kościołów i pałaców, reszta wydaje się jakby wioski, do których żadne interesa nie sprowadzają cudzoziemca, chyba czasem tylko do przedmieścia nazwanego Niemiecką Słobodą, gdzie mieszkają rzemieślnicy zagraniczni.

Rzeka Moskwa płynie przez miasto, któremu dała swoje nazwisko. Spławna jest tylko na wiosnę, albowiem natenczas roztopy śniegów i deszcze zimowe wzbierają jej wody; w innym zaś czasie samemi tylko tratwami płynąć po niej można. Neglina i Zura, wpadające do rzeki Moskwy w samym mieście, są małymi strumykami, które w lecie zupełnie wysychają. Na tych trzech rzekach znajdujemy wiele mostów drewnianych i kamiennych, dla ułatwienia związku pomiędzy różnemi częściami miasta. Po za murami i okopami tego olbrzymiego miasta znajdujemy jeszcze wiele monasterów i pałaców. Pomiedzy niemi odznaczają się pałac Petrowski, mo-

naster Nowoj Dewicze, od którego ogromy plac przy nim leżący Dewicze pole przezwany; monastery Matki Boskiej Dońskiej, św. Daniela, św. Simona, Nowospaskoi, Pokrowskoi, Androniew i inne, które prawie wszystkie obwiedzione są murami i przypominają walki z Tatarami i Polakami.

Ulice w Moskwie utrzymywane są bardzo nieczysto, czemu winien niedostatek bruku w wielu miejscach; zewnętrzna postać domów niema żadnego gustu i upstrzona jest rozmaitemi ozdobami, kolumnami, frontonami, posągami, naśladowanymi ze stylu greckiego i t. p. W domach bojarów, możniejszych panów, przepych największy; znajdujemy w nich obszerne biblioteki, muzea obrazów, zbiory kosztownej broni, gabinety medalów, sale koncertowe, teatralne; oranżerye, treibhauzy, ananasarnie; stajnie i wozownie napełnione są wschodnimi i angielskimi końmi i powozami. Ludność służebna takiego domu składa się czasem z kilkuset osób obojej płci, w ubiorze codziennym muzyków, prowadzących życie najgnuśniejsze, których stan niewoli przywiązuje na zawsze do rodziny bojarskiej, w której zapisani.

Miasto Moskwa, chociaż o sześć stopni bliżej południa leży, aniżeli Petersburg, doznaje jednakowoż tak tęgich mrozów jak i to miasto. Są takie zimy w których ciepłomierz Reamura pokazywał 30 do 32 stopni niżej zera. Największy upał dochodzi do 32 stopni. Lato jest daleko piękniejsze aniżeli w Petersburgu i przez cały ciąg roku mniej deszczu pada.

Mieszkańcy Moskwy zachowali narodowy skład twarzy i ubiór. Lud prosty »czornoj narod« (czarny naród) przezwany, co do sposobu życia i ubioru w niczem się nie różni od zwykłego muzyka (chłopa), czyli krestianina; cała jego familia mieszka w jednej izbie ogrzanej, albo raczej okopcanej dymem. Żywność ich jest także jednakowa; składa się z suchzonych ryb, suchych grzybów, chleba, ogórków, kapusty, czosnku, a w dnie świąteczne z mięsa, pirogów; lubią pić kwasy i herbatę, posty ściśle obserwują i w czasie tychże mleczywa ani jaj nie używają. Łóżek nie znają; w zimie na

piecach, w lecie na ławkach sypiają, wszyscy prawie nałogowo pijaństwu oddani. Kupcy i mieszczenie (grażdanin), mieszczą wygodniej, ubiór noszą długi azyatycki, nakształt kaftana z sukna (podczas gdy chłopci w zimie w kożuchach, w lecie zaś w płóciennych kolorowych bluzach, ściśniętych pasem, chodzą); brody długie zachowują jak i chłopci; co do stołu, te same mają przysmaki co i pierwsi; u możniejszych znaleźć można najprzedniejsze wina greckie, wędliny, ryby wytworne, kawior, drogie herbaty i t. d. i t. d. Narodowe potrawy i napoje mają jednakże u nich pierwszeństwo.

Żony ich najnieczynniejsze prowadzą życie i rzadko się pokazują. Stosunek ich do męża jest prawie podobny do stosunku kobiet na wschodzie. Namiętnie lubią tak jak one kąpiele parne, widowiska i przepych w ubiorach.

Jest rzeczą pewną, iż już w roku 1147 kronikarze wspominają Moskwę, która od założenia swego różnych klęsk doznawała. Pod panowaniem Dymitrego Dońskoj roku 1366. panowało powietrze, które większą część ludności wytępiło. — W tym samym roku pożar okropny obrócił w perzynę części miasta Kremlinu, Popad, Zagorodie i Zareckie, z drzewa ówczesnie zbudowane.

Pod tym samym wielkim księciem, roku 1382. Toktymowicz, chan tatarski, zdobywa podstępem Moskwę i płomieniom na pastwę oddaje.

Roku 1547. pod panowaniem cara Iwana IV., Moskwa prawie zupełnie zgorzała, a w roku 1602. za panowania Borysa Godunowa, okropnego głodu doznała; 127,000 ludzi padło ofiarą.

Lecz najokropniejszą klęskę poniosła Moskwa od Polaków pod Gąsiewskim dnia 29. marca 1611 roku, którzy dla obrony własnej od zbuntowanego ludu podpalili miasto, a sami w Kitajgorodzie i Kremlinie się obwarowali. Reszta miasta poszła z dymem w przeciągu trzech dni. Do 100.000 mieszkańców różnego stanu i wieku, śmierć w gruzach znalazło.

Roku 1771, za panowania Katarzyny II., powietrze miasto nawiedziło i okropne w ludności sprawiło spustoszenie, bo 50.000 ludzi wymarło. — Nowa a może większa jeszcze klęska miała to miasto pochłonąć. Dnia 14. września około godziny 2. popołudniu weszliśmy do Moskwy przedmieściem kałuskim. Dywizya jazdy w przedniej straży, piechota w porządku za nią. Postępowano zwolna, z wszelkimi ostrożnościami, które nakazywało położenie nasze. Część miasta, którą przechodziliśmy po większej części była drewniana, z lichych niskich domków złożona. Przedmieście było nierównie piękniejsze. Po obu stronach szerokiej drogi, w pięknych malowniczych ogrodach i podwórzach widać było przepyszne dworce bojarów rosyjskich. Lecz jak pierwsze tak i ostatnie były zupełnie wyludnione. Gdziekolwiek tylko widzieć było można policyantów lub muzyków moskiewskich z otrętwiałą lub pijaną twarzą, snujących się po ulicach i przypatrujących ciekawie naszemu wojsku. Przednia straż zbierała pojedynczych żołnierzy ruskich, także pijanych lub znużonych, którzy się odłączyli od swoich pułków, i tych pod straż piechoty oddawała.

Nie dochodząc do Biełgorodu spotkaliśmy naprzeciwno nas jadącego w doróżce wyższego oficera rosyjskiego w mundurze bez szlif i bez szpady, okrytego ozdobami i krzyżami, który nam się zdał na łaskę. Nazwał się księciem Wisapur i mianował się pułkownikiem w odstawce. Sposób zdania się jego i nazwisko dziwnie indyjskie, wzbudziło nieufność. Oddano go pod straż i polecono kapitanowi inżynierów Valentin d'Hauterive, aby miał nad nim czujne oko. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że był właścicielem pięknego domu w Moskwie. Zaprowadził doń kapitan d'Hauterive i pod jego okiem kosztowniejsze rzeczy z domu swego pozabierał, konia pięknego perskiego dozorca swemu darowawszy. On to pierwszy objaśnił nas względem zamiaru wyludnienia miasta i spalenia onegoż na rozkaz gubernatora, hrabiego Roztopczyna. Tego samego już wieczora skutki tego rozkazu w odleglejszych od

nas częściach miasta dały się uczuć. Z Góry wróblej widzieliśmy kłęby dymu wznoszące się na przedmieściach; te pochodziły z wysadzonych magazynów prochowych i pracowni ogni wojennych, które artylerya rosyjska przed wyjściem zapaliła. W nocy pojedyncze pożary dowodziły coraz bardziej, iż zamiar spalenia miasta nie był urojonym. Przy łunie tych ogni przepędziliśmy noc na przedmieściu Riazańskim, nie rozbijając się i zachowując wszelką ostrożność. Żołnierze nasi, obficie opatrzeni w żywność w domach bojarskich zdobytą, całą noc gotowali i posilali się. Niektórzy herbatę gotowali gęsto i słoniną krasili, inni rozsądniejsi, o przyszłość pamiętniejsi, w pożywniejsze wiktuały zaopatrywali się. Nad ranem wszedłem w środek miasta i znalazłem się w Kitajgrodzie, wśród żołnierzy gwardyi francuskiej, wytaczających beczki wina z piwnic i dobrze już podochoconych. Około godziny 9. z rana dostałem się Spaską bramą do Kremlinu, i kupca rosyjskiego spotkawszy, dałem mu się oprowadzać po gmachach carskich. O godzinie 10. cesarz z gwardyą przyboczną wszedł do Kremlinu. Widok tak pięknego wojska wprowadził w zdumienie mego przewodnika. Obejrzawszy się w tej części miasta, udałem się do gościnnego dworu, czyli bazaru, gdzie były składy opuszczone kupców rosyjskich. Pożary pojedyncze coraz groźniejszymi się stawały; już ogień podłożony przez policyantów i złoczyńców, wypuszczonych w tym celu z więzień, zbliżał się do bazaru. Korzystając z chwili, gdzie jeszcze przystęp był wolny, wszedłem do sklepów i pierwsze lepsze futro z wilków i cokolwiek żywności w herbacie, cukrze, kawie, krup i ryżu zabrawszy, powróciłem do stanowiska naszego na przedmieściu Riazańskim, około południa. Zastałem tam wojsko nasze pod bronią, sposobiące się do dalszego pochodu. Wielu oficerów i żołnierzy nosiło na sobie ślady nocnych bankietów. Nawet generał naszej artyleryi Pelletier i oficerowie francuscy: Mallet, Bontemps i inni dobrze podochocony byli i w bulliotę grali. Dowiedziałem się, że całą noc ponczem z araku i ananasów posilali się. Pelletier ciągle wołał »pic«

i szklanki nie puszczał z ręki. Nasz jeniec wczorajszy, ksiązę Wisapur dzielił tę ochotę, wszakże przytomniejszym zdawał się od drugich i pilnie uważał na każde słowo. »Kiedy ujrzę tego wielkiego człowieka!« co chwila powtarzał i prosił, ażeby go do głównej kwatery odprowadzono, ażeby się mógł widokiem Napoleona nasycić. Tak dziwne żądanie w tej chwili wzbudziło jeszcze bardziej podejrzenie. Uczyniono jednak zaadość jego życzeniu i w rzeczy samej odprowadzono go do sztabu głównego cesarskiego. Nie wątpiliśmy, że był szpiegiem zostawionym przez Rosyanów, dla uważania naszych poruszeń. Później okazało się jednak, żeśmy się na nim omylili. Po wyjściu bowiem Francuzów z Moskwy, wróciwszy do swoich został aresztowany, pod sąd oddany, i nieostrożność swoją w stosunkach z nami przypłacił wysłaniem na Sybir.

Dnia 15. września o godzinie 3. popołudniu wyruszyliśmy w pochód za ustępującym przed nami wojskiem rosyjskiem. Król neapolitański objął komendę nad przednią strażą francuską i nas do tejże wcielił. Jenerał Sebastiani po śmierci jenerała Montbruna objął dowództwo nad jego korpusem jazdy, a w miejsce jego jenerał dywizyi Lefebre Decenotte, pułkownik strzelców konnych gwardyi, otrzymał komendę naszej dywizyi jazdy, złożonej z 4. i 5. pułku strzelców konnych, z 13. huzarów i 12. ułanów, i bateryi o sześciu działach artyleryi konnej. Postępowaliśmy traktem riazzańskim ku Pankom i Bronicy. Marsz nasz oświecała łuna pożaru Moskwy. Widziałem tylko początek tego okropnego pożaru, nie mógłbym więc jako świadek naoczny opisać zdarzenia, które tak wielki wpływ wywarło na losy tej wojny. Segur, Champray i Buturlin wyczerpali w swoich opisach wszystkie szczegóły tego wypadku; odsyłam czytelnika do tych dzieł. Nie masz w nich nic przesadzonego.

Pożar trwał przez dni: 16. 17. i 18. września z gwałtownością niepohamowaną, pomimo czynnego ratunku ze strony Francuzów. Leczą uprowadzenie sikawek przez Rostopczyzna odjęło wszelką możność ocalenia miasta. Dnia 19-go

ogieni począł wolnieć; dnia 20. ustał zupełnie. Kremlin ocalony został, lecz dziewięć dziesiątych części miasta zgorzało i połowa kościołów.

Dnia 20. cesarz, którego gwałtowność ognia zmusiła do opuszczenia Kremlina i schronienia się do pałacu Petrowskiego na przedmieściu, mógł wrócić do Kremlina i tam założył swoją główną kwaterę.

Tymczasem Kutuzów poruszeniem swoim na trakcie riazzańskim zwiódł zupełnie króla neapolitańskiego; bowiem dnia 16. przeprowił się przez rzekę Moskwę pod Miaczkowem, i pod zasłoną rzeki Pachry zwrócił się marszem flankowym ku Podolskowi; stamtąd udał się dnia 19. pod Krasnoją Pachrę na trakcie starym kałuskim i stanowisko swoje oszańcował, zostawiwszy naprzeciw Murata korpus z jazdy i kozaków złożony, dla obserwacyi jego poruszeń. — Król neapolitański w niewiadomości tego ważnego obrotu posunął się do miasta Bronicy i tam główną kwaterę swoją założył.

Nasz 5. korpus pod Pankami mosty zastał zrócone i naprawiwszy je, postępował dalej ku rzece Moskwie, zasłaniając prawe skrzydło króla Neapolitańskiego.

Mieliśmy przed sobą tylko oddziały kozaków, które zdawały się na to przeznaczone, ażeby nam fałszywy pokazać kierunek pochodu nieprzyjacielskiego wojska. Doszedłszy do rzeki Moskwy król przekonał się o swoim błędzie i zwrócił się ku Podolskowi.

Nie dochodząc do Panków, odebrałem rozkaz pełnienia służby oficera sztabowego przy jenerale dywizyi Lefebre Decenotte; zdaje mi się, iż zmiana ta w służbie mojej nastąpiła dnia 16. września.

Jenerał Lefebre Decenotte był człowiekiem młodym, liczył bowiem lat dopiero 35. Znany był w armii z świetnej odwagi, lecz nie uchodził za oficera doświadczonego ani roztropnego. Dał tego dowody w roku 1809, kiedy z kilkoma szwadronami pułku swego strzelców konnych gwardyi przepłynął rzekę Cea pod Benavente w Hiszpanii wobec 4.000

jazdy angielskiej i obskoczony przez nią dokoła, dostał się do niewoli, utraciwszy część pułku. Niedawno powrócił z niewoli angielskiej i tu była pierwsza komenda jego po tym przy-padku. W sztabie jego znalazłem kapitana francuskiego Dautan'a, pełniącego służbę adjutanta; kapitana ze sztabu polskiego, Łętowskiego; porucznika adjutanta Alberta Grzymałę i porucznika inżynierów Hincza. Szefem sztabu dywizji był pułkownik Strzyżewski, z kampanii roku 1809 dobrze zasłużony oficer. Brygadami dowodzili: książę Sułkowski i hrabia Tadeusz Tyszkiewicz. Pułkami: 4-tym strzelców pułkownik Dulfuss; 5-tym strzelców Kornatowski; 13-tym huzarów, Te-liński; 12-tym ułanów, Ryszczewski; artylerją konną kapitan Romański. Cała ta dywizja nie liczyła więcej jak 1.600 koni i te już bardzo osłabione.

Dnia 24. września 5. korpus zajął miasto Podolsk; król neapolitański z jazdą i legią nadwiślańską nazajutrz, to jest 25. września, złączył się z nami.

Dnia 28. września stanęliśmy obozem pod wsią Nemczyno, o kilka wiorst od traktu z Podolska do Czarykowa. Przednia straż nasza, złożona z jazdy, posunęła się pod Krasnoją Pachrę; w miejsce, gdzie przed kilku dniami stała w obozie oszańcowanym główna armia Kutuzowa. Jenerał Wasilczykow z huzarami gwardyi i kozakami ukryty za laskiem w bok Krasnoi Pachory, uderzył niespodzianie na dwa szwadrony 5-go pułku strzelców konnych, które się pod obóz podsunęły i zmusił ich do odwrotu. Jazda nasza wsiadła na koń i odparła ten atak. Forpoczty nasze zajęły napowrót wieś Krasnoje. Dywizja jazdy i sztab stanęły we wsi Kuzieniewo. Dywizye 16. i 17. obozowały w prawo wsi Nemczyna. Główny trakt z Moskwy do Kaługi przechodzi przez Krasnąją Pachrę. Rzeka Pachra zakrywała to stanowisko obronne. Wielka reduta zamknięta na wzgórzu i dwie mniejsze baterye po prawej stronie reduty usypane, utwierdzały to z natury mocne stanowisko. Dwa laski na prawym skrzydle i głęboki parów przed redutą położony zakrywał front i skrzydło prawe. Łąka

bagnista po lewej stronie reduty, z tej strony także broniła przystępu.

Kutuzow w tem stanowisku nietylko że mógł dzielny dać opór głównej armii francuskiej, lecz naprowadziwszy na nią króla neapolitańskiego, który miał przy sobie tylko trzy dywizye polskiej piechoty, około 9.000 ludzi i 10 do 11.000 jazdy, mógł ciężką zadać mu klęskę. Lecz ostrożny wódz nie chciał przebudzać Napoleona ze snu, dla Rosyan tak zbawionego, wolał go zostawić przy swoim złudzeniu i czekać, aż mrozy przymuszą go o powrocie myśleć. Opuścił więc oszańcowaną pozycję swoją i cofnął się traktem kałuskim aż do pozycyi, pod strategicznym względem nierównie korzystniejszej, skąd i Kaługę zakrywał i komunikacyom francuskiej armii zagrażał. Pozycya ta wybrana była za rzeką Narą, pod wsią Tarutyno. Tam zgromadziwszy wszystkie swoje siły stanął dnia 2. października obozem, w dziejach wojny osławionym. Stąd pierwszy potężny cios zadał niezwyciężonemu dotąd wodzowi.

Dnia 29-go września piąty korpus wyruszył z obozu pod Neczyno i posunął się o 7 wiorst pod wieś Czaryków, leżącą w małym oddaleniu od głównego traktu kałuskiego. Zastaliśmy tam na pozycyi tylną straż rosyjską pod jenerałem Miłoradowiczem i Ottermanem. Król neapolitański, który szedł wprost na Woronowo, spotkał się z ostatnim, 5-ty korpus miał sprawę z jenerałem Miłoradowiczem. Droga z Neczyna do Czarykowa prowadzi przez las; wychodząc z niego na równinę otoczoną lasami, na której leży wieś Czaryków, ujrzelśmy jazdę nieprzyjacielską w przewyższającej nierównie nas sile, uszykowaną za wsią i sięgającą lewem skrzydłem poza trakt, z Moskwy do Kaługi prowadzący. Wieś Czaryków i lasek po lewej stronie zajmowali strzelcy rosyjscy; artylerya liczna stała na pochyłości w środku. Jenerał Lefebre Decenotte uszykował dywizję swoją w dwie linie, i artyleryi konnej kazał odprzodkować. Zaledwie artylerya rozkaz ten wypełniła, nieprzyjaciel ze wszech

Bitwa
Czarykowska.

stron uderzył na naszą jazdę, lecz silnie odparty został ogniem naszych dział i atakiem dwunastego pułku ułanów i szwadronu piątego pułku strzelców. Po kilkakroć atak ten przypuszczony został z jego strony, lecz zawsze skutecznie odparty; za nadejściem naszej piechoty cołnął się do swego stanowiska za wsią, które dla niego ważnem było, bo zasłaniało wielki gościniec, do Kaługi prowadzący, na którym cała jego armia w masie się znajdowała. Książę Poniatowski rozpoznawszy położenie nieprzyjaciela, wysłał zaraz dwa bataliony dla opanowania wsi i zajęcia lasku; w środku zaś stanowiska swojego kazał postawić kilka dział, obsadziwszy piechotą las wielki za sobą, po prawem i lewem skrzydle. Brygada jazdy Tyszkiewicza z artylerją konną stanęła na prawem skrzydle, ku głównej drodze kałuskiej; brygada księcia Sułkowskiego została w odwodzie bliżej środka. Skoro wieś Czyryków i lasek mały zajęte zostały, nieprzyjaciel trzema pułkami jazdy atak przypuścił do artylerji naszej w środku ustawionej. Lecz książę Sułkowski na czele trzech szwadronów tak szczęśliwie i skutecznie na jazdę nieprzyjacielską uderzył, iż nie tylko ją odparł, ale nadto znaczną klęskę zadał: mianowicie pułkowi ułanów rosyjskich. Wówczas dopiero nieprzyjaciel rozwinął wszelkie swoje siły dla wyparcia nas ze stanowiska. Wieś była kilkakrotnie atakowana, teraz przez świeże wojska, które ciągle z naszej strony odpartemi były.

W lasku także, który liczne kolumny nieprzyjacielskie napełniać zaczynały, gdy niezmiernie w przewyższającej sile, mając przed sobą i po bokach mnóstwo strzelców, brzegów jego doszły i wychodząc na równinę poczęły: rozkazał książę Poniatowski piechocie naszej pójść na bagnety, a księciu Sułkowskiemu z trzema szwadronami z boku uderzyć. Tu nastąpiło bliskie bardzo zwanie się z nieprzyjacielem, który znaczną poniósłszy stratę, odpartym został napowrót ku laskowi. Ogień działowy i ręcznej broni trwał w tem miejscu do godziny 8. wieczór. Nasza piechota brzeg lasku utrzymała. —

Gdy się to dzieje w środku i na lewym skrzydle, nieprzyjaciel w 3.000 koni i 10 dział, nieustannie usiłuje wpaść w prawy bok naszego korpusu, ale waleczność brygady Tyszkiewicza, złożonej z 4. i 12. pułków, oraz dwóch szwadronów 13. pułku odparła wszystkie ataki. Nad wieczorem, gdy już się zmierzchało, jazda nieprzyjacielska ostatni atak z całą siłą, z ogromnym krzykiem przypuściła na front i prawe skrzydło brygady Tyszkiewicza, lecz jazda nasza, zachowując swój szyk nierozzerwany i krótkie czyniąc natarcia, nie zapędzając się za daleko, za pomocą artylerji konnej potrafiła utrzymać się na stanowisku. Wrzawa i wzajemne natarcia trwały do godziny 8. wieczór. Noc ciemna i ulewa przerwała bitwę, przez sześć godzin zacięcie trwającą. Z naszej strony straciliśmy 30 oficerów, pomiędzy tymi kapitana artylerji Oskierkę, 160 żołnierzy zabitych i 300 rannych. Nieprzyjaciel około 500 rannych zostawił w naszym ręku, z których wielu tej nocy umarło.

Przez całą noc staliśmy pod bronią, niesłuchanie znużeni i zgłodniali, bez ognisk dla bliskości nieprzyjaciela. Dnia 30-go września nad ranem nieprzyjaciel zniknął z naszych oczów, zostawiwszy przed nami czaty kozackie. Zaczęliśmy dopiero ognie zakładać i kociołki zastawiać. Wysuszywszy się cokolwiek oddałem się przez kilka godzin pożądanemu spoczynkowi.

Nazajutrz dnia 1. października wyruszyliśmy traktem kałuskim ku Woronowowi. Piękną tę majątność właściciel hrabia Rostopczyn sam zapalić kazał. Zastaliśmy tylko gruzy i pismo następujące, na słupie przybite:

»Przez ośm lat upiększałem tę majątność, w której żyłem szczęśliwie na łonie mojej familii. Mieszkańcy tego miejsca, których liczba wynosi 1730 ludzi, opuszczają je za zbliżeniem waszem, a ja zapalam mój dom, ażeby nie był skalany obecnością waszą. Francuzi! opuściłem dla was dwa domy w Moskwie i ruchomość, pół miliona rubli wartającą. Tu same popioły znajdziecie!«

Podpisano: Fedor hr. Rostopczyn.

Główna armia rosyjska, która do dnia 30. września stała w pozycji pod Babenkowem, o 5 wiorst tylko od pola bitwy czarykowskiej, cofnęła się dnia 1. października o 15 wiorst dalej do Spass-Kuplia i tam stanęła obozem. Miłoradowicz dnia tego, zakrywając odwrót, cofnął się do Babenkowa.

Dnia 3. października generał Sebastiani, który szedł na czele przedniej straży 2. korpusu jazdy, boczną drogą od Woronowa do Spass-Kuplia, bez należytego rozpoznania i oświecenia drogi, napadnięty został niespodzianie przez jazdę nieprzyjacielską. Lekkie pułki przedniej straży przewrócone zostały i pędzone kilka wiorst drogi przez kozaków, którzy im paręset ludzi i koni urwali. Pułk dziesiąty huzarów polskich pod komendą pułkownika Umińskiego i inne pułki do tej brygady należące, zredukowane w poprzednich bitwach, mocno tu ucierpiały. Błąd ten, popełniony przez generała Sebastianiego, nie nauczył go większej ostrożności. Dnia 18. października miał nowy dać dowód swego niedoświadczenia.

Dnia 4. października król neapolitański zastał tylną straż rosyjską w szyku bojowym nad rzeką Czernieczną, o 5 wiorst od Spass-Kupli. Spotkanie było nader żywe, jazda nasza uszykowana w dwóch liniach z artylerią konną rozłożoną przed frontem, potykała się z największą spokojnością, odpierając ataki licznej jazdy rosyjskiej, bardziej ogniem armatnim i ogniem karabinowym, aniżeli natarciem własnem. Dla wzmocnienia naszej jazdy kilka batalionów piechoty, uszykowane w czworoboki, wysunęły się przed front i ogniem rotowym zniweczyły wszystkie ataki nieprzyjaciela. Piękny to był widok: z jednej strony chmury jazdy rosyjskiej, z różnej broni złożonej, rzucające się nakszałt nawały na nasze linie, a z drugiej spokojność w szeregach naszych, przerywana tylko rotowym ogniem piechoty i jazdy. Tym sposobem jazda nasza, zmęczona i osłabiona tak długim pochodem, a szczególnie bitwą moźajską, ochronioną została. Reszta piątego korpusu na lewem skrzydle francuskim w kolumnach ściśniętych, czekała sposobności uderzenia na

Bitwa dnia 4.
października.

nieprzyjaciela. Lecz tylko artylerya konna kilka razy mogła dać ognia. Bitwa, w której tylko jazda nieprzyjacielska, było jej 5 do 6.000, brała szczególnie udział, trwała do późnej nocy. Po ustąpieniu nieprzyjaciela trąby francuskiej jazdy na znak zwycięstwa odezwały się na całej linii.

Około godziny 9. wieczorem uciszyło się wszystko i po rozstawieniu czatów zaczęto rozpalać ognie. Nazajutrz dnia 5. października rozpoznałem z bliska nasze stanowisko.

Rzeczka Czerniczna, płynąca w głębokim jarze do Nary, od ujścia w tę rzekę do wsi Ilieny, w długości blisko jednej mili zakrywała front. Prawe skrzydło opierało się o Narę. Wioski: Biełowa, Pałaski, Kaszeja, Petrowa, Iliena, leżały po obydwóch stronach Czerniczny. Od Ilieny strumyk Dzesna w głębokim parowie płynący od wsi Czczerynki i Dmitrówki do Czerniczny resztę frontu zakrywał. Lewe skrzydło złożone z dwóch korpusów jazdy pod generałem Sebastianim, dochodziło do Czczerynki i rozłożone było naokoło tej wsi. Artylerya tego korpusu na wzgórzu za wsią ustawiona, bez żadnej asekuracyi piechoty, dowodziła niedoświadczenia generała Sebastianiego. Lewe skrzydło było zupełnie, jak to mówić się zwykło, w powietrzu; nie miało żadnego pewnego oparcia i wystawione było na wszystkie przedsięwzięcia śmiałego nieprzyjaciela.

Przed frontem tej pozycyi, pomiędzy wsiami Czczerynką a Petrową na lewym brzegu Czerniczny, jest lasek brzożowy, 1200 kroków długi a 600 szeroki, na wyniosłości. Na brzegu tego lasu rozłożyła się nasza piechota, artylerya w kącie wyskakującym, jazda po skrzydłach. Tym sposobem piąty korpus znajdował się przed główną pozycyą i oddzielony był od niej głębokim parowem. Na prawej stronie był drugi parów, do Czerniczny schodzący, który zasłaniał nas od tej strony. Naprzeciw lewego skrzydła francuskiego i frontu naszego ciągnął się las obszerny, od wsi Dmitrówki ku pozycyi przedniej straży rosyjskiej. Ten las leżał z 2000 kroków od nas. Zaniemiedbano obsadzić go piechotą. Linia widet naszych znacznia była na-

przód wysunięta, w niektórych miejscach o 2000 sążni, a blisko pół mili od nas odległa. Dla wsparcia jej wysłano dwa bataliony 3. pułku piechoty z dwoma trzysuntowymi armatami, pod komendą walecznego pułkownika Blumera, które zajęły pojedyncze laski w tej stronie leżące. Z tego wysuniętego stanowiska można było jak na dłoni rozpoznać obozy przedniej straży rosyjskiej i opodal od niej, po za wsią Tarutyno, główne obozy wielkiej armii rosyjskiej za Narą. Park artyleryi i bagaże 5. korpusu stanęły przy wsi Rogowo, zakryte dwoma parowami i na prędcie zbitymi kobylicami. Batalion piechoty dodany im był ku zasłonie. Cała rozległość frontu naszego od Czeczerynki do ujścia Czerniczny w Narę, wynosiła blisko $1\frac{1}{2}$ mili: oczywiście była za wielką na nasze szczupłe siły. Położenie nasze w tem stanowisku nie było najbezpieczniejsze. Cała nasza siła tu zebrana składała się z 1., 2., 3. i 4. korpusów jazdy francuskiej, zredukowanych do 8.000 koni, z legii nadwiślańskiej 3.000 ludzi, z dywizyi Dufoura, 1. korpusu do 2.500 ludzi i z 5. korpusu, złożonego z 5.500 piechoty i 1.500 koni: ogółem 20.500 ludzi, 187 dział, przydanych tej małej sile, obciążały nas bardziej w pochodzie, aniżeli nam pomagały.

Ten nieliczny korpus, z wyborowego wprawdzie wojska złożony, rzucony był naprzód o 70 wiorst, czyli o trzy marsze od Moskwy, bez żadnej rezerwy. Przed sobą mieliśmy o kilka wiorst tylko główną armię rosyjską, liczącą jeszcze 70.000 ludzi i codzien wzmacniającą się licznymi rekrutami, milicjami i kozakami dońskimi, których 23 pułków starych, pod hetmanem Płatowem przybyło do obozu. Nic łatwiejszego nie było naczelnemu wodzowi rosyjskiemu, jak rozbić nasz mały korpus i zadać mu ciężką klęskę. Lecz nie leżało to w planie przebiegłego starego wodza. Postanowił dać wypoczynek wojsku swojemu; tym sposobem bezpieczniejszymi nas uczynić i przedłużyć nasz pobyt jaknajdłużej pod Moskwą, aż do nadejścia pierwszych mrozów. Wiedział on dokładnie przez jeńców i cudzoziemskich zbiegów o naszym krytycznym

położeniu: wiedział o braku żywności i furażów, a po słabości ataków naszej jazdy, która już nie inaczej, jak tylko pod zasłoną liczebnej artylerji i czworoboków piechoty walczyć mogła, sądził, jak wielkie musi być osłabienie koni naszych. — Nie była to jazda z czasów Zyguntowskich, która w 7000 koni pod Żółkiewskim na polach kluczyńskich rozbiła potęgę 40.000 Moskali, wzmocnionych zaciągami i posiłkowemi wojskami szkockiemi, francuskiemi i szwedzkiemi. Jakoż w istocie jazda francuska, osobliwie kirasyery i karabiniery, smutny przedstawiała widok. Ogromne ich konie wynędzniałe, wychudzone i odsiedzone, ledwie jeźdźców swoich z ciężką zbroją dźwigać i kłusem tylko małym poruszać się mogły.

Wszystka żywność i furaże w obrębie naszej pozycji zabrane były przez nieprzyjaciela. Na prawem skrzydle Nara tamowała wysyłki, przed frontem obozy rosyjskie. Trzeba ich było szukać o parę mil za nami i przed lewem skrzydłem. Lecz w tej stronie liczne podjazdy kozaków, ukryte w zasadkach, ciągle napadały na naszych furażerów i codziennie nam urywały po kilkadziesiąt mniej ostrożnych ludzi.

Służba oficerów sztabowych w tych okolicznościach stała się nader uciążliwą. Konie nasze nie miały wypoczynku. Cały dzień przepędziwszy na rozpoznaniach i pochodach, w nocy nie mieliśmy czem ich posilić. Często tylko liście drzew, pod któremi obozowaliśmy, można im było podać. Dwa konie wierzchowe z Warszawy przyprowadzone, musiałem nareszcie porzucić przed Moskwą jeszcze; w dobrach opuszczonych rosyjskiego bojara zabrałem ze stadniny trzyletnią klacz nieujeżdżoną, która mi jedna już tylko została. Dla służącego musiałem dokupić małego wytrzymałego podjezdka, a później od adjutanta generała Lefebre Decenotte nabyłem za kilka luidorów siwego konia, dość mocnego. Na tych to koniach trudną moją służbę pełniłem. Co się tyczy żywności, niedostatku jeszcze nie czułem. Generał Lefebre hojnie nas wszystkich podejmował, a kucharz jego przezorny miał w jukach swoich i furgonów generała zapasy żywności i wina na kilka tygodni.

W tem pamiętnem dla mnie stanowisku nad rzeką Czer-
niczną wytrwaliśmy od dnia 5. do 18. października. Mieszka-
liśmy w barakach, zapuszczonych parę stóp w ziemię. Dach
z chrustu i darni zabezpieczał nas od deszczu. Barak podob-
ny był dosyć ciepły; nieciliśmy w nim ogień, z którego
dym otworem odchodził. Około 12-go października pierwsze
szrony i ranne przymrozki dały się uczuć. Futro, zabrane
z Moskwy, zaczęło mi czynić dobre przysługi, jemu to winien
jestem obronę późniejszą od większych mrozów, w czasie
pamiętnego odwrotu.

Na linii widet wszystko było spokojne; zdawało się ja-
koby rozejm zatrzymał nieprzyjacielskie kroki. Przez zobo-
pólną tajemną umowę, żaden strzał nie padł na tejsze linii.
Król neapolitański w polskiej aksamitnej zielonej czamarce,
z czworograniastą czapką na głowie, przejeżdżał się po linii
forpoczt i odbierał pokłony od kozaków, którzy czapki przed
nim zdejmując, wołali: kral, kral! Nastąpiło nawet króla Mu-
rata spotkanie na linii widet z generałem roryjskim Benning-
senem, gdzie o nadziei rychłego zakończenia kroków nieprzy-
jacielskich była także mowa. Wiadomo nam było, iż pułkownik
ze sztabu cesarskiego, Berthem, wysłany został z ramienia
cesarskiego do generała Kutuzowa, z żądaniem wolnego prze-
jazdu do Petersburga dla generała Lauristona. Zaczęto jeszcze
bardziej wierzyć w zawieszenie broni, a nawet w rychły pokój,
mający koniec położyć naszym cierpieniom. Lecz nadzieja
ta, podniecana przez oficerów rosyjskich, niczem innem nie
była, jak tylko nowem sidłem, zastawionem na naszą zgubę
przez Kutuzowa. Kiedy obóz jego w dostatki opływał i wzma-
cniał się coraz bardziej, tak, iż nareszcie do 100.000 ludzi
pod bronią liczyć w nim było można; my w ciągłym niedo-
statku, i ludzie i konie codziennie tracili, i widocznie na siłach
słabnęli. Zawieszenie broni, tak obłudnie dotrzymywane na linii
widet, nie miało żadnego znaczenia po skrzydłach. Tam co-
dziennie urywano nam furazerów naszych, tak dalece, iż nie było
można inaczej, jak pod zasłoną mocnych oddziałów wysyłać

ich o milę od obozu. Dotychczas piechota nasza zachowała po trzy bataliony w każdym pułku. Lecz bataliony te liczyły tylko po 300 ludzi, i żadnej taktycznej siły już nie miały. Książę Poniatowski uznał potrzebę zredukowania liczby batalionów z trzech na dwa, w każdym pułku. Tym sposobem każda dywizya składała się z sześciu batalionów po 450 ludzi. Nadjechał też w tym czasie generał dywizyi Zajączek, wyleczony z rany, pod Smoleńskiem odebranej, i objął dowództwo 16-tej dywizyi; generał Kniaziewicz zachował dowództwo nad dywizyą 18-stą.

Dnia 9. października odebrałem polecenie ze sztabu głównego, rozpoznania ściślejszego pozycyi naszej i sporządzenia planu tejże dla króla neapolitańskiego. W dniach 9. i 10. października zająłem się tą robotą, wspólnie z kapitanem Valentin d'Hauterive i dozorcą inżynierów Rosmanem, i plan stosowny przedstawiłem. Zachowałem dotąd kalk na olejnym papierze tej pracy naszej.

Dnia 17. przybył do obozu naszego konwój z żywnością i wódką, wysłany z Moskwy. Rozdano tegoż dnia pierwszą i drugą wojsku. W obozach francuskich żołnierze zgłodnieli rzucili się na tę żywność i oddali się przez całą noc napojom przysłanym. Wielu nawet oficerów, zapomniawszy o swojej powinności, przepędziło noc na biesiadzie, i zrana dnia 15. byli prawie niezdatni do służby. Osobliwie w korpusie drugim Sebastianiego zaniechano wszelkiej ostrożności i zwyczajnych rannych patroli nie wysłano.

U nas przeciwnie, od godziny 3. zrana, cała jazda stała przy okiełznanych koniach, czekając powrotu patroli; piechota pod bronią, artylerya przy swoich oddziałach. Patrole powróciły nie spotkawszy nieprzyjaciela, jednakże lasu o 2000 metrów od nas leżącego dokładnie nie przejrzały. O godzinie 6. zrana jeszcze cichość panowała; konnica zaczęła rozkiełznywać konie, piechota broń w kozły rozstawiła i do gotowania rannego zabierała się, kiedy nagle kilka wystrzałów armatnich z pod lasku, naprzeciw nas leżącego, zagrzmiało. Dzień

dopiero się zaczynał. Na ten odgłos całe wojsko rzuciło się do broni. Już kozacy ze zwykłym okrzykiem: »koli, koli! hurra!« wpadli do obozu piechoty i kozły broni przewracać zaczęli, kiedy ich wołyżery nasi spostrzegli.

W oka mgnieniu wojsko stanęło w szyku bojowym, konnica posunęła się naprzód, artylerya zaś nasza odpowiadając zaczęła nieprzyjacielskiej. Na lewem skrzydle chmura jazdy rosyjskiej napadła na drugi korpus Sebastianiego i zabrała w pierwszym zapędzie 38 dział bez asekuracyi, za wsią Czeczerynką stojących, i cały ten korpus w wielki wprawiła nieład. Wielu oficerów i żołnierzy, pogrążonych w śnie po nocnej biesiadzie, nie zdołało dopaść koni. Reszcie udało się zebrać i sformować za wsią. Książę Poniatowski rozkazał kilka dział zwrócić ku wzgórzom nad wsią Czeczerynką i w masę jazdy rosyjskiej granaty puszczać. Strzały te skutkowały i zapęd jej nieco wstrzymały. Rozpoczęła się porządniejsza bitwa. Kolumny 2-go i 3-go korpusu rosyjskiego, pod generałem Baggowuth, zaczęły występować z lasu przed nami leżącego, pod protekcją luźnej artyleryi, i szybkim krokiem następowały na naszą pozycję. Książę Poniatowski, ażeby zyskać czas dla przeprowadzenia piechoty swojej z lasku brzozowego przez parów za nami leżący, na prawy brzeg rzeki Czerniczny, które to poruszenie było koniecznem dla skoncentrowania sił naszych i zapobieżenia, aby nas nieprzyjaciel zupełnie nie oskrzydlił: rozkazał księciu Sułkowskiemu natrzeć na czele brygady swojej, z 5-tej strzelców i 13-tej huzarów złożonej, na zbliżające się kolumny piechoty nieprzyjacielskiej. Te zwinąwszy swoich tyralierów, miały czas na sformowanie czworoboków. Jazda nasza nie zatrzymując się, wykonała atak kłusem i dwa czworoboki rozbiła. Tu podziwiać było trzeba zaciętość, z jaką młoda piechota rosyjska walczyła. Widziałem leżących na ziemi i rannych strzelców, którzy podnosili się za nami i do nas strzelali. Musiano ich dobijać, ażeby szkodliwymi się nie stali. Pod zastoną tych szarż piechota nasza zakrywszy się tyralierami, którzy w lasku brzozowym się za-

trzymali, przebyła parów bez straty. — Książę Sułkowski, prowadząc jazdę naszą do ataku, odebrał postrzał w nogę; jeden z moich dobrych znajomych. Edward Potworowski, podporucznik w piątym pułku strzelców konnych, przestrzeloną miał także nogę. Przeprowadzając się przez parów, generał Lefebre Decenotte, ugodzony był w piersi kulą karabinową, która się oparła o blachę na pasie patrontaszowym. Zawołał: *je suis mort*, i wznak się rzucił. Objąłem go w moje ręce i rozerwawszy mundur, widziałem, że to tylko kontuzya. *Ce n'est rien Général*, powiedziałem mu i otrzeźwiwszy cokolwiek wódką z flaszki mojej, odprowadziłem o kilkaset kroków. Nieprzyjacielskie strzelcy żywo następowali. Mając pałasz dobyty poczułem, że kula karabinowa utkwiała mi w pochwie. Kilka chwil przedtem adjutant generała Lefebre, nazwiskiem Dautan, stracił konia od odłamku granatu. Wszyscy oficerowie sztabu otrzymali mocne kontuzye albo lekkie rany. Generał Lefebre Decenotte cokolwiek później miał konia zabitego od granatu. Co do mnie, miałem surdut kilka razy przedziurawiony kulami, i w pochwie od pałasza znalazłem wygniecioną kulę karabinową. Tymczasem kolumny piechoty rosyjskiej z 7-go i 8-go korpusu złożone, pod generałem Rajewskim postępowały ku frontowi pozycji naszej, poprzedzone liczną artyleryą. Przypomnieli sobie wówczas wszyscy pułk trzeci piechoty, pod komendą pułkownika Blumera, zostawiony w obserwacyi na ostatnim krańcu lasów. Wszyscy go mieli za stracony. Tymczasem Blumer, skoro spostrzegł poruszenie nieprzyjacielskie, zebrał swoje dwa bataliony i brzegiem lasu trzymając się, postępował w ściśniętych kolumnach ku nam. Z początku wzięli go Rosyanie za własne wojsko, lecz spostrzegłszy omyłkę, zaczęli jazdą i artyleryą żywo na niego nacierać. Blumer nie straciwszy na chwilę przytomności, gdy się na pole równe dostał, uformował czworoboki, które się wzajemnym ogniem broniły; i wytrzymał kilka ataków, doszedł nareszcie do Czernicznej, przebył parów główny, w który ta rzeczka płynie i z niewypowiedzianą radością

przyjęty został przez nas. Działa swe nawet ocalił. — Krytyczniejsza chwila tego dnia dla nas, a osobliwie dla piątego korpusu minęła; siły nasze zewsząd koncentrowały się na trakcie woronowskim. Ataki jazdy rosyjskiej na lewem skrzydle, które aż do naszych parków pod Spas Kuplią doszły, zatrzymane zostały przez drugi korpus jazdy, który się porządnie nareszcie sformował i walecznie kilka razy ataki do niej przypuścił.

Nie można jednak było długo zatrzymać się na pozycji nad Czerniczną. Oczywiście rzeczą było, że całą rosyjską armię przed sobą mieliśmy. Uformowawszy więc piechotę naszą w czworoboki, zaczęto wolno ustępować pod zasłoną artylerji i jazdy ku Spas Kuplia. Legja nadwiślańska podobnie w czworobokach porządnie się cofała. Nareszcie około godziny 1-szej z południa stanęliśmy na pozycji pod Spas Kuplia, zupełnie połączeni, w należyтым szyku bojowym prostopadle do drogi, prowadzącej z Woronowa, mając las pół milowy za sobą. W tem stanowisku ogień armatni jeszcze szedł żywo z obydwóch stron; czworoboki nasze jeszcze po raz kilka odpierać musiały szarżę jazdy nieprzyjacielskiej. Nareszcie i te ustały, i nieprzyjaciel od dalszych ataków odstąpił; około 3. godziny po południu ogień ucichł zupełnie i korpus nasz zaczął się cofać przez las, oddzielający od Woronowa.

Straciliśmy w tej potrzebie blisko 1000 ludzi zabitych, pomiędzy którymi generałowie Léry i Fiszer, szef sztabu naszego, który odebrał postrzał karabinowy w głowę, i do 1000 niewolnika, prócz tego 38 armat i bagaże z drugiego korpusu, tudzież bagaże króla neapolitańskiego.

Strata piątego korpusu, przez śmierć generała Fiszera dotkliwszą się stała, wynosiła około 500 ludzi w zabitych, rannych, lub wziętych do niewoli.

Śmierć generała dywizji Fiszera.

Jenerał dywizji Fiszer należał do rzędu tych oficerów, których szczęście, jak to zwykło się mówić, było zakłete. Zabraný do niewoli rosyjskiej

z naczelnikiem Kościuszką pod Maciejowicami, zawieziony był do Petersburga, i tam w cytadeli kilka miesięcy spędził, wysłany został później na wygnanie, w prowincje odleglejsze państwa. Po śmierci cesarzowej Katarzyny, puszczonej na wolność przez syna jej Pawła I., znalazł sposobność dostania się do legionów polskich we Włoszech. Przeznaczony do obrony Mantuy z częścią legii Dąbrowskiego, po kapitulacji tej twierdzy, dostał się do austriackiej niewoli. Zamieniony później, wstąpił do legii polskiej naddunajskiej pod Kniaziewicza rozkazy, i odbył z nim kampanię roku 1800. Ranny w tej wojnie, po zakończeniu jej traktatem lunewilskim, powrócił na łono rodziny do Prus południowych, teraźniejszego Księstwa Poznańskiego i wszedł w śluby małżeńskie z panią Kwilecką. Przepędziwszy lat kilka spokojnie na wsi roku 1806., za ukazaniem się francuskiej wielkiej armii, pospieszył ofiarować swoje usługi Napoleonowi. Roku 1809., był szefem sztabu księcia Poniatowskiego i odebrał niebezpieczną ranę pod Raszynem. Jenerał dywizyi Fiszer uchodził za dobrego oficera piechoty i organizatora najzdatniejszego naszego wojska. Był surowym przestrzegaczem karności wojskowej i energią swoją w służbie naprawiał to, co miękkość księcia Poniatowskiego częstokroć zepsuła; był nadzwyczajnie czynnym i odważnym w boju, lecz ciągłą intrygą i popędliwością swoją odrażał wielu i był powszechnie nielubiany przez niższych oficerów. Wzrost miał niski, twarz pociągłą, zwyczajnie zaperzoną, nos wielki, włosy jasne, łopatkę jedną wyższą. Zginął od kuli karabinowej, która w głowę go trafiła, w 45. roku życia swego.

Dnia 19. października zrana stanęliśmy na pozycji pod Woronowem; nieprzyjaciel nie następował za nami w przekonaniu, że wsparci jesteśmy przez wielką armię. Chciał bowiem uniknąć stanowczej bitwy. Piechota nasza stanęła za wsią Woronowem, jazda jenerała Lefebre Decenotte przed Woronowem. Zajęliśmy z jego sztabem jeden z pozostałych od pożaru domów od przyjazdu kałuskiego.

Dnia 18. października o godzinie 2. po południu, cesarz Napoleon zajęty był przeglądem jednego z korpusu swoich, gdy adjutant, wysłany zrana przez króla neapolitańskiego, przyniósł mu wiadomość o ogólnym ruchu wojska rosyjskiego. Przerwał natychmiast rewiew i wydał stosowne rozkazy. Tego samego wieczora cała wielka armia wyszła z Moskwy i stanęła obozem na trakcie kałuskim. Nazajutrz dnia 19-go października francuska armia była w wielkim ruchu na tymże trakcie i przyspieszonym marszem dążyła do Woronowa na odsiecz królowi neapolitańskiemu.

Pojedynek mój
z kapitanem
Dautan.

W dniu 19. miałem nader nieprzyjemne zajęcie z adjutantem Jenerała Lefebre Decenotte, kapitanem Dautan, z powodu służby. Od wymówek grzeczniejszych przyszło do słów ostrych. Nareszcie, gdy się coraz bardziej unosił, dobyłem na niego pałasza i pchnąć go chciałem. Obecni oficerowie sztabowi rozbroili nas. Wskutek tej kłótni wyzwiałem go natychmiast i wezwawszy na sekundanta kapitana inżynierów Valentin d'Hauterive, potykałem się z nim tego samego rana na pałasze i lekką ranę w rękę mu zadałem. Na tym się skończyła ta rozprawa. Po odbytym pojedynku żądałem od pułkownika Maletta, dowódcy mego, aby mi inne dał przeznaczenie, i pożegnawszy jenerała Lefebre Decenotte, który mi wszelką sprawiedliwość oddał za postępowanie moje przy boku jego w czasie bitwy dnia 18. października, gdzie go na chwilę nie odstąpiłem i prawie sam przy nim pozostałem w czasie największego niebezpieczeństwa; powróciłem do sztabu głównego księcia Poniatowskiego. W kilka dni potem kapitan Dautan, w utarczee pod miastem Medwną, roznosząc rozkazy swego jenerała, skłóty został przez kozaków, o kilkadziesiąt kroków przed frontem naszej jazdy.

Dnia 20. października korpus piąty opuścił swoje stanowisko pod Woronowem i uboczną drogą, na Rykowo, zwrócił się na trakt z Moskwy do Borowska prowadzący. Spotkaliśmy na tym trakcie wielką armię, maszerującą w tym samym kierunku na Borowsk ku Mało-Jarosławicowi. Piechota miała

piękną postawę, osobliwie gwardya cesarska; konnica tej gwardyi zupełnie wypoczęta w Moskwie, jeszcze grozną okazywała postać. Lecz widok kilku tysięcy jazdy spieszącej, pociągów niezliczonych artyleryi, z trudnością postępujących, a nadewszystko mnóstwo nieprzejrzone bagażów i teleg, kilkoma rzędami, pod eskortą pojedynczych ludzi oderwanych od szeregów, a zajmujących szerokość traktu, wiele dawały do myślenia, i smutny koniec całej wyprawy rokowały!

Doszedłszy do wsi Fomin-koje, o 25 wiorst od Borowska, przecięliśmy główny trakt kałuski i zwrócili się do Werci. Tam stanęliśmy obozem dnia 22. Książę Poniatowski, wskutek odebranych rozkazów, wysłał z Werci generała Lefebre Decenotte z dywizją swoją ku Medyni, dodawszy mu pułk 15-sty piechoty.

Dnia 25. października generał Lefebre pod Medyną spotkał kilka pułków kozackich pod pułkownikiem Iłowańskim, którzy naprowadziwszy jazdę naszą na groblę, przez nieostrożność generała Lefebre ciężką jej zadali klęskę. Straciliśmy w tej nieszczęśliwej akcji najlepszą część dywizyi, 5 armat artyleryi konnej i generała Tyszkiewicza, który się dostał do niewoli. Wszyscy przytomni oficerowie na to się zgadzali, że nigdy kozaków nie widzieli tak ślepo i tak odważnie nacierających, i gdyby nie przydane dwa bataliony piechoty 15. pułku, ani jedna noga naszej jazdy nie byłaby uszła z tej potyczki. Tak więc złe rozporządzenie dowódcy może udaremnić walczność najlepszego żołnierza. Lecz i to przydać potrzeba na obronę jazdy naszej, że konie jej do żadnego szybkiego obrotu już nie były zdolne. Było to pierwsze nasze niepowodzenie od początku kampanii, które strata pięciu dział tem dotkliw-szem czyniła.

Tego samego dnia wieczorem, wiadomość o tem nieszczęściu doszła do naszego obozu i wszystkich smutkiem napełniła. W piechocie naszej liczono już tylko 4000 ludzi zdolnych do boju, w jeździe zaledwie 600 koni; prócz pięciu dział pod Medyną zabranych, wszystkie inne prowadzono za sobą;

artylerya nasza przez doświadczonych oficerów prowadzona, zaopatrzyła się w furaz i konie swoje ukuła ostro. Po krótkim pobycie pod Wercią i Jegorowskojem 5. korpus dnia 28. października rozpoczął swój odwrót z tego ostatniego miejsca ku Gżackowi. W wilię pierwsze mrozy dały się uczuć. Dnia 28. października dzień był pośepny, sadz gęsta zakrywała pola. Zima moskiewska wielkim krokiem następowała na naszą zgubę.

Dzień ten 28. października był dla mnie prawdziwie feralnym. Wysłany bowiem służący mój za furazem z dwoma powodowymi końmi nie powrócił więcej. Zabranym ^{Strata} _{dwóch koni.} pewnie został przez kozaków eskortujących nas, i żadnej o nim nie miałem więcej wiadomości. Zostałem więc przy jednym tylko podjezdku i odtąd sam myśleć musiałem o żywieniu i opatrywaniu go. — Mantelzaki z rzeczami także przepadły; został mi się tylko większy mantelzak w furgonie sztabowym inżynierskim, w którym także było nieco żywności, przysposobionej w Moskwie.

Odtąd nasz odwrót przybierał tę postać, którą nam Segur, Chambray i Buturlin, a osobliwie pierwszy w tak żywych oddali kolorach.

Dnia 30. października przedstawiło się oczom naszym pole bitwy Możajskiej. Widoczne tam były ślady olbrzymiej walki z dnia 7. września; niepochowane trupy, szkielety koni, ułamki łoż i wozów amunicyjnych okrywały pobojowisko. — Smutny ten widok zdawał się jakby przepowiednią tych cierpień i klęsk, które nas spotkać miały.

Wojsko nasze polskie, słabe co do liczby, maszerowało jeszcze porządnie; konnica z każdym dniem się zmniejszała, lecz artylerya, której przezorniejsi dowódcy kazali wszystkie swoje konie ostro okuć, zaopatrzyli się w żelazo i węgle, i znaczniejsze zapasy owsa ze sobą prowadzili, przebywała z łatwością wszystkie trudniejsze przesmyki, przy których francuska artylerya traciła zaprzęgi i działa.

Widzieliśmy przy każdej przeprawie wysilenia nadzwyczajne artylerzystów francuskich, dla wyratowania dział swoich, lecz płasko okute ogromne ich konie napróżno się wysilały, ażeby armaty i wozy pod górę wyciągnąć. Po nadludzkiej pracy oficerów i żołnierzy, musiano porzucać jedne jak i drugie; armaty więc zagwożdżano, wozy amunicyjne wysadzano w powietrze, konie porzucano. To wszystko zatrzymało pochód następujących i utrudniało im przeprawę.

Tym sposobem droga od Możajska do Smoleńska, po której postępowaliśmy, zasłaną została końmi i ułamkami dział i wozów, i to wszystko stało się łupem postępujących za nami kozaków.

Brak żywności i furażu na samym trakcie smoleńskim, przymuszał wojsko szukać ich po obydwóch stronach drogi, w odległości jednej do dwóch mil. Z początku czynność ta odbywała się porządnie i zbrojno, lecz skoro nieład i niekarność wkradła się w szeregi, każdego bez komendy zaczął na swoją rękę zdobywać żywność i furaże. Co chwila widziano pojedynczych ludzi, głuchych na przestrogi oficerów swoich, odrywających się od swoich batalionów, lub z braku sił zostających się w tyle. Jedni i drudzy wpadali w ręce kozaków, czychających na tę zdobycz. Wkrótce liczba żołnierzy pilnujących orłów swoich w sposób przerażający się zmniejszyła, mianowicie: w korpusie wice-króla, z Włochów złożonym; w korpusie Davoust'a i w korpusie marszałka Ney'a. — Niedługo oficerowie poszli za przykładem żołnierzy i zaczęli o sobie myśleć. Nareszcie generałowie zostali bez brygad, marszałkowie bez korpusów.

I tak naprzykład dochodząc do Wiazmy, liczba żołnierzy zdatnych do boju wynosiła tylko: 1. korpus Davoust'a ¹⁾ 13.000 ludzi; 3. korpus Ney'a 6.000 ludzi; 4. korpus Wło-

¹⁾ Korpus Davoust'a na początku kampanii liczył 60.000 ludzi, wychodząc z Moskwy 27.000 ludzi, pod Wiazmą 13.000 ludzi, a pod Berezyną 1.200 ludzi.

chy 12.000 ludzi; 5. korpus ks. Poniatowskiego 3.500 ludzi; 1. i 3. korpus jazdy i jazda lekka 3.000 ludzi. Razem 37.500 ludzi.

W liczbie tej jazda zaledwie mogła być użytą, dla słabości koni; artylerya wprawdzie była liczną, lecz z tego samego powodu z trudnością postępowała i tylko na pozycyi dała się użyć. Gwardya i ósmy korpus westfalski (1.200 ludzi nie są tu liczone) wyprzedziły nas bowiem na trakcie drogobuskim.

Dnia 3. listopada, korpus piąty polski, pod komendą jenerała dywizyi Zajączka w zastępstwie księcia Poniatowskiego, który wskutek zwichnięcia nogi nie mógł konia dosiąść i w powozie za nami jechać musiał, zbliżył się zrana do Wiazmy. Połączone tam cztery korpusy, w liczbie wyżej oznaczonej, stoczyły bitwę z korpusem jenerała Miłoradowicza, dowodzącego przednią strażą Kutuzowa. Bitwa ta dla zmęczenia żołnierza, braku żywności i nieporządku, który się zakradł do korpusu Davousta, niepomyślnie dla nas wypadła. Korpus piąty, wystawiony na ogień przemagający artyleryi rosyjskiej i częste natarcia jazdy, stracił w tym dniu kilkaset ludzi i jedno zdemontowane działo. Jenerał Pelletier dowodzący artylerją naszą, zbliżywszy się zanadto do kolumn rosyjskich, wraz z adjutantem Żwanem wzięty był do niewoli w stanie podobno nietrzeźwym.

Lecz straty dnia tego nie były tak wielkie, jak skutki dezorganizacyi coraz większej w szeregach naszych. Na drodze od Wiazmy do Smoleńska mrozy zaczęły być mocniejsze i niedostatek żywności i furaju dolegliwszy. Przeprawa przez Wop, kosztowała wice-króla całą artylerję i bagaże czwartego korpusu; brygada z dywizyi jenerała Baragnay d'Hillier zabraną została przez nieprzyjaciela; nareszcie odebrano wiadomość o zajęciu Witebska na tyłach naszych. Tyle katastrof, obok strat, które wielka armia z przyczyny wzmagających się mrozów ponosiła, mogły zwalczyć jej ducha i przygotować ostateczny upadek.

Dnia 10. listopada stanęliśmy pod Smoleńskiem przy 12-stopniowym mrozie. Dni następnych 11., 12 i 13. mieliśmy 17 stopni. Rozłożyliśmy się na przedmieściu, na prawem skrzydle miasta, z tej samej strony, z której przypuszczaliśmy nasze ataki. Co do mnie i kilku kolegów moich, zajęliśmy chałupę ciepłą i tam przez jeden dzień wypoczywaliśmy po tylu trudach. Korzystając z bliskości miasta, zaopatrzyłem się cokolwiek w żywność.

Dnia 12-go listopada korpus piąty, stojący na trakcie mścisławskim, o dwie mile drogi od Smoleńska, zwrócił ku Krasnemu za Wołkowo.

Po wypoczynku przez jeden dzień i dwie nocy, opuściłem Smoleńsk dnia 12. po południu i udałem się do Krasnoje, gdzie dnia 13. wieczorem stanąłem i zastałem już niektórych oficerów naszych z pułkownikiem Malletem, ulokowanych w dobrym domku drewnianym, w ulicy bocznej od smoleńskiej drogi. W mieście stał batalion gwardyi cesarskiej, którym komenderujący oficer zajął kościół na cmentarzu, środek rynku i kilka murowanych domów tegoż rynku obsadził. Ta ostrożność uratowała nas od zguby. Przepędziwszy noc z 13. na 14. października, o godzinie 4. zrana zaczęliśmy gotować nasz ranny posiłek, wtem strzały karabinowe i armatnie w lewej stronie miasta przerwały miłe nam zatrudnienie. Chwyciliśmy za broń i pospieszyli na rynek, dla połączenia się z batalionem gwardyi cesarskiej, który ogniem z cmentarza odpierał nieprzyjacielskich strzelców. Był to korpus partyzancki, pod komendą generała Ożarowskiego. Po kilku strzałach armatnich i żywym ogniu broni ręcznej, oddział ten zrażony niespodziewanym oporem, cofnął się z ulic i zajął pozycję pod Kontkową. Nad wieczorem dnia 14. korpus piąty, złożony zaledwie z 1.500 ludzi pod bronią, stanął pod Krasnem. Generał Zajączek zajął ze sztabem swoim dom drewniany na rynku, od smoleńskiego zajazdu. Pułki przeszły za miasto i obozowały na prawym brzegu traktu Orszy. Noc była nadzwyczajnie mroźna. W pierwszej wielkiej izbie domu

tego natłoczyło się przeszło pięćdziesięciu oficerów, ze sztabu i piechoty, i tam leżąc jedni na drugich przepędziliśmy noc całą w gorącu i zaduchu okropnym; pod naszymi oknami kilku żołnierzy zmarzniętych zrana zastaliśmy.

Dnia 15. za nadejściem pierwszych kolumn gwardyi, wyruszyliśmy ku Liadzie. Bateria rosyjska, ustawiona na lewej stronie drogi, witała nas kulami swemi podczas tego poruszenia. Przeszliśmy więc na stronę miasta od Liad bez straty i spokojnie maszerowaliśmy wielkim traktem, pomiędzy dwoma rzędami niebotycznych brzoź ku Liadzie. Temperatura dnia tego złągodziła się nieco i dla nas Polaków nie była nawet nieprzyjemną.

W Liadzie witali nas pierwsi żydzi polscy; widok ich czarnych długich sukien, czapek futrzanych i pejsów rozweselił nas cokolwiek.

Dnia 16. stanęliśmy w Drubrownie, w przedniej straży wielkiej armii. Nazajutrz, dnia 17. listopada, Napoleon ze szczątkami swych wojsk, zaledwie 20.000 ludzi pod bronią wynoszącymi, odważył się zaczepnie działać przeciw armii księcia Kutuzowa do 80.000 ludzi liczącej. Nie mieliśmy udziału w tej bajecznej bitwie; tego dnia bowiem dochodziliśmy do Orszy. Napoleon wycofawszy się szczęśliwie z pod Krasnego, przybył na noc dnia 17. pod Liady.

Korpus Ney'a, zakrywający odwrót na głównym trakcie od Smoleńska, odcięty został od nas przez generała Miłoradowicza i zdawał się być stracony. Lecz dzięki odwadze i wytrwałości dowódcy, w ciągu kilku dni potem połączył się z nami pod Orszą. Stracił konie, działa, bagaże i kilka tysięcy ludzi. Odwrót Ney'a i przeprawa przez Dniepr, do najświetniejszych dzieł tej kampanii bez wątpienia należały.

Zabawiwszy dzień jeden, to jest 18. listopada w Orszy, wyruszyliśmy dnia 19. o dwie mile na trakt miński. Zostawiono kilku oficerów w Orszy, z poleceniem zbierania pojedynczych ludzi i zaprowadzenia ich do głównej kwatery. Tym sposobem szeregi nasze powiększone zostały kilkuset ludźmi.

Lecz przywyknięcie do maszerowania i szukania na swoją rękę żywności nie dało się przezwyciężyć u wielu innych; pomimo, że magazyny w Orszy były dla nich otwarte, woleli w osobnych kupkach pozostać, w obawie, aby zdobyczy i żywność, które powózkami prowadzili od Moskwy, nie postradać, a ponieważ bronii nie porzucili, mogli napaści pojedynczych kozaków odpierać z łatwością. Ci żyli w obfitości, kiedy żołnierze orłów pilnujący, innego nie mieli pożywienia, jak mięso z koni na trakcie porzuconych. Tem to tłumaczyć można, dlaczego szeregi nasze z każdym dniem się zmniejszały, tak dalece, iż korpus piąty, dochodząc do Orszy, nie liczył więcej nad 1.200 ludzi.

Co do mnie, odbyłem cały pochód od chwili utracenia koni i bagażów, na podjezdku, dla którego musiałem starać się o furaz na każdym noclegu. Żywiłem się jak mogłem, aż do Smoleńska, to gotując wspólnie z kolegami żywność, którąśmy w furgoniku prowadzili ze sobą od Moskwy, to udając się do łaski pułkownika Bontempsa, komendanta pułku artylerji, który w furgonach swoich miał ciągle dostatek wszystkiego i często mnie do siebie zapraszał. Przeciwno zimnu, opatrzony byłem ciepłym futrem z wilków, temu winienem ocalenie moje. Nogi mniej dobrze były opatrzone, podobnież i głowa kapeluszem stosowanym okryta.

Dochodząc do Krasnoj, koń mój tak mocno się odgrudził, iż z trudnością dalej prowadzić go mogłem; minawszy Liady, musiałem go porzucić i pieszo przebyć drogę do Orszy i stąd do Berezyny. Marsz ten ostatni dał mi się szczególnie we znaki. Dnia 19 bowiem temperatura zupełnie złągodniała; raptowna odwilż przemieniła trakty w błotne kałuże, które liczne wozy i armaty wkrótce zupełnie rozjeżdżyły. Musiałem w lekkim obuwiu postępować po tem błotnistem morzu i nie raz tak byłem zmęczony, iż zacząłem o sobie powątpiewać. W chwili takiej, kiedy wysilony siadłem na boku drogi dla wypoczęcia, spotykam pułkownika Malleta w dobrej bryeczce, zaprzężonej w trzy silne konie; wołam na niego, przedsta-

wiam stan mój i proszę, ażeby się nademną zlitował i na bryczkę zabrał. Lecz człowiek ten bez serca, niepomny na dawne stosunki, odmówił mi wręcz tej pomocy i zimno spojrzawszy, kazał mnie minąć. W kilka chwil później, nadszedł pociąg wozów i armat polskich. Pułkownik artylerji Walewski, widząc moje położenie, zlitował się przeciw nademną i pozwolił mi sięść na armatnim łożu. Tym sposobem przebyłem trudną część drogi od Tołoczyna do Bobru. Dnia 22 doszliśmy do Tołoczyna, a dnia 23. do Bobru. Pod tym miastem doszła nas wiadomość o zajęciu Borysowa przez korpus Czyczagowa i o klęsce, poniesionej przez dywizję generała Dąbrowskiego, przy ochronie mostu na Berezynie; nareszcie o zbliżaniu się od Witebska korpusu Wittgensteina.

Położenie szczątków wielkiej armii stało się przez to tak krytycznem, iż tylko niesłychanym błędom, popełnionym przez dowódców nieprzyjacielskich przypisać było można szczęśliwe przeprawienie się nasze przez Berezynę pod Studzianką. Dnia 20. listopada generał Dąbrowski, po nieszczęśliwej potyczce pod Koydanowem, w której stracił cały niemal oddział generała Kosseckiego, stanął w nocy w okopach pod Borysowem z trzema batalionami piechoty, kilkoma szwadronami jazdy i dwudziestoma działami. Nieobznajomiony dokładnie z miejscowością, czekał do rana, ażeby uszykować wojsko swoje na pozycyi. Lecz dnia 21. o godzinie 6. zrana zaatakowany został niespodziewanie przez dywizję generała Lamberta, mającą w odwodzie dywizję Langerona, stanowiącą przednią straż admirała Czyczagowa. Bitwa rozpoczęła się najzaciętsza. Generał Dąbrowski widząc dobrze, iż od zachowania mostu zależało ocalenie wielkiej armii, bronił pozycyi jak najsilniej; w czasie boju otrzymawszy posiłek dwóch batalionów pod generałem Pakoszem, wracających z pod Bobrujska, zapewnił sobie nimi tyły i przeprawę przez most berezynski. Bitwa toczyła się przez cały dzień, nareszcie Langeron wzmocniony świeżemi batalionami, przypuścił ogólny atak na osłabione długą bitwą linie polskie, przełamał je i wyparł za

Berezynę, ze stratą 2.000 ludzi, jednego orła i trzech dział. Jenerał Dąbrowski w tej bitwie to wszystko uczynił, czego od doświadczonego i walecznego wodza spodziewać się tylko można było, lecz uledez musiał przemagającym siłom i sam jeden z ostatnich przeszedł przez most na Berezynie.

Po zajęciu Borysowa przez nieprzyjaciela, cesarz zmuszony był szukać innego punktu przeprawy. Wybrano w tym celu wieś Studziankę, o dwie mile powyżej Borysowa. Po kilku demonstracyach powyżej i poniżej, celem uwiedzenia jenerała Czyczagowa, zaczęto stawiać mosty dnia 26 listopada o godzinie 6 zrana pod osłoną artyleryi drugiego korpusu i gwardyi, rozstawionych na wzgórzach, panujących nad Berezyną i wobec korpusu nieprzyjacielskiego pod jenerałem Czapllicem, stojącym na wzgórzach pod Brykowem. Tegoż dnia cała wielka armia włącznie z gwardyami, korpusem Oudinot'a i Victora, wynosiła już tylko 29.700 ludzi pod bronią. Między tymi było Polaków około 6.000, mianowici: korpus piąty pod jenerałami: Zajączkiem i Kniaziewiczem, dywizya Dąbrowskiego, jazda tej dywizyi, dywizya Girard'a składająca się z 4, 7 i 9 pułku piechoty, i legia nadwiślańska. Mosty zbudowano na kozłach z lekkiego materyału, pochodzącego z domów wsi Studzianki. Lewy przeznaczony był dla pociągów i jazdy, prawy dla piechoty. Budową zajęli się jenerałowie Ellé od artyleryi i Chasseloup od inżynieryi; pontonierzy francuscy i kompania saperów polskich z dywizyi Dąbrowskiego, poświęcili się tej ciężkiej robocie, wymagającej zanurzenia się po pas w rzece, krą płynącej. Większa część tych ludzi padła ofiarą swojego poświęcenia. Napoleon od godziny 7 zrana stał przy mostach i wszystkich zachęcał. Most po prawej stronie był gotów o godzinie 1. w południe. Zaraz po nim defilował korpus drugi Oudinot'a z 5.600 piechoty i 1.400 jazdy, z dywizyą Dąbrowskiego, i atakował oddział Czapllica. Po krótkiej utarczce Czapllic cofnął się ku Borysowu. Tym sposobem droga do Wilna, na Zembin i Pleszczenice otwartą dla nas została. Most lewy gotowy był o trzy godziny później. W eza-

sie budowy mostów Czyczagow, uwiedziony demonstracjami Napoleona, zwróconą miał uwagę ku niższej Berezynie i spodziewając się przeprawy w okolicy miasta Berezyny, z większą częścią sił swoich wyruszył ku Szabaszevicom, w stronę przeciwną. Dopiero po odebraniu raportu od generała Czapllica o istotnym stanie rzeczy, pospieszył do Borysowa i stanął dnia 28 z rana z całą swoją armią, liczącą 17.000 ludzi i 9.000 jazdy, na trakcie, prowadzącym z Borysowa do Zem-bina, naprzeciw korpusu Oudinot'a.

W dniu 26. nad wieczorem przybyłem pieszo i bardzo znużony do Studzianki. Spotkałem tam przyjaciela i kolegę, Prądyńskiego. Jakież było jego zdziwienie i smutek na widok szczątków naszego korpusu i wielkiej armii; co za różnica od czterech miesięcy! Wojska, dawniej tak świetne, tak potężne, w stanie najopłakańszym przedstawiały się jego oczom. W posród masy zdeorganizowanej i bezbronnej, maszerowały pojedyncze plutony pilnujące orłów swoich, i te nazywano korpusami 1. 3. 4. i 5. wielkiej armii! Jazdy już wcale nie było, zbiedzzone jej oddziały, do cieniów podobne, w całej tej bezładnej zgrai rozrzucone były. Tylko korpus piąty zachował większą część artylerji swojej; część bowiem odstąpić musiał korpusowi czwartemu, z Włochów składającemu się, który między Smoleńskiem i Orszą pozostawił na drodze. Gwardya cesarska tylko przedstawiała masę, do wojska podobną. Tłum ten konnych, pieszych i na wozach żołnierzy, ciurów, maruderów i powózek postępował w milczeniu. Na twarzach bladych, wychudłych, okopconych dymem ogniska, zeszpeconych długą brodą, malowało się odrętwienie lub rozpacz. Wszelkie usiłowania, aby powrócić szeregom tych ludzi, oderwanych od pułków i zdatnych jeszcze do broni, były nadaremne. Nie było do tego środka. Węzły karności zupełnie były zerwane. Oficer, generał i żołnierz, jeden los dzielili; różnica pomiędzy nimi ustała. Klęska tak wielka, tak wielki niedostatek wszystkich zrównoważyły. Pomimo to, co do

mojej osoby nie poddawałem się rozpaczcy, tak jak drudzy, i z wielką spokojnością radziłem sobie, jak mogłem. Jednakże różnica w mojej powierzchowności wzbudziła współczucie w poczciwem sercu Prądyńskiego; rozplakał się na mój widok; opatrzył mnie w żywność i konia dobrego odstąpił, miał ich bowiem kilka, zdobytych w utarczkach pod Bobrujskiem. Dnia więc 27. przyjechałem konno, lubo z trudnością wielką przez lewy most za artylerją korpusu piątego i dostałem się szczęśliwie na brzeg przeciwny. Bagno od mostów aż do wzgórza, panującego nad przeprawą, było zamarznęte. Przed dwoma dniami, w czasie odwilży, przejść po niem było niepodobna.

Połączyłem się tego wieczora z dywizją Dąbrowskiego i noc przepędziliśmy razem z Prądyńskim, okryci moim futrem, w lesie sosnowym na prawej stronie drogi, prowadzącej do Borysowa. Dnia 28. o godzinie 7. zrana nieprzyjaciel atakował nas całą siłą. Marszałek Ney po Oudin'ocie, rannym w dniu 26., objął komendę nad nami. Dywizya Dąbrowskiego przeszła na lewo drogi i rozrzucona w tyraliery, bez żadnego wsparcia ani odwodu, potykała się przez cały dzień z chmarą nieprzyjacielskich tyralierów; generał Zajacek z resztkami korpusu piątego, wynoszącymi zaledwie 1.200 ludzi, walczył na prawej stronie; legia nadwiślańska przyszła mu w pomoc. Artylerya nasza stała na drodze; jazda w miejscach, gdzie las rzadszy dozwalał się jej poruszać, dzielnie szarżę przypuszczała, rozbiła piechotę rosyjską i parę tysięcy jeńców, najwięcej rannych zabrała. Ogień zacięty wrzał ze wszystkich stron. Raz Rosyanie przyparci rozpaczliwymi atakami naszej piechoty i jazdy, cofali się ku swoim rezerwom; drugi raz nasi przed siłą przemagającą ustępowali i zebrawszy się w kupki, z podwójną natarczywością posuwali się znowu naprzód.

Gdy się to działo, na prawym brzegu Berezyny marszałek Victor z jedną dywizją polską Girard'a, później wzmocniony dywizją generała Daendels'a i kilkuset jazdy pod jene-

Bitwa nad Berezyną dnia 28 listopada.

rałem Fournier'em, odpierał z wielką stałością na lewym brzegu Berezyny ataki korpusu Wittgensteina. Trzecia dywizja korpusu pod jenerałem Partonay'em, w nocy z dnia 27. na 28. odcięta zostawszy pomiędzy Studzianką a Borysowem, zmuszona była broń złożyć przed korpusem Wittgensteina. Nieszczęśliwy ten wypadek utrudnił bardziej obronę mostów z lewego brzegu. Napoleon z 6.400 starej i młodej gwardyi stał nieporuszony pod Borysowem, gotów nieść pomoc, gdzieby się potrzeba tego okazała.

Około godziny 11. zrana, jenerał Dąbrowski ranny został w rękę, w której trzymał szablę Sobieskiego i opuścić musiał pobojowisko. Cokolwiek później Kniaziewicz odebrał kontuzję w nogę, a jenerałowi Zajączkowi kula armatnia urwała nogę. Zaniesiono go do biwaku cesarskiego i tamże opatrzony był przez doktora Larrey'a w przytomności cesarza. Około godziny 1. w południe koń padł podemną, przestrzeloną mając szczękę od kuli karabinowej; podniosłem go i widząc, że się da uratować, odprowadziłem w tył i oddałem służącemu Prądzyńskiego, który widząc mnie spieszącego, a mając jeszcze kilka luznych koni, podał mi drugiego. Około godziny 4. po południu ogień zaczął wolnieć na całej linii. Rosyanie nie mogąc nas przełamać, zaczęli tyralierów strąbywać i biwaki na linii bojowej swojej zakładać.

W czasie bitwy znaczna część bagażów, parków i pojedynczych maruderów defilowała przez mosty; budowane ze słabego materiału, często pod ciężarem uciekających łamały się i naprawy potrzebowały. Pochód bezbronnej zgrai zatrzymany przeto został kilka razy; w bliskości mostów ciżba coraz większa się stawała. Nareszcie, gdy kule Wittgensteina zaczęły padać między ten łtum, wszystko się zerwało, chcąc dosięgnąć mostów. Powstał ogromny zgiełk, gdy mosty przez straż tylną zajęte zostały. Już było zapóźno do uratowania tej masy bezbronych ludzi. Za nadejściem pierwszych oddziałów rosyjskich, osłupienie ogarnęło wszystkich. Do 20.000

ludzi i ogromna ilość wozów dostała się w ręce nieprzyjaciela ¹⁾).

Noc z 28. na 29. listopada po bitwie, przepędziłem na bagnach ramarzniętych nad rzeczką Gayną, przy stogach siana. Znalazłem cokolwiek kaszy w sakwach, na koniu Prądzińskiego i tą posiłem się po ciężkiej pracy. Nazajutrz dnia 29. wyruszyłem w dalszy pochód. Droga prowadziła szeregiem nieprzerwanych mostów, w długości 300 sążni, ku miasteczku Zembinowi. Nieprzyjacielskie oddziały krążące w okolicy, zaniedbały spalenia tych mostów, które stanowiły dla niedobitków jedyną przeprawę. Tym sposobem zostaliśmy uratowani. Na drodze spotkałem cesarza z królem Neapolitańskim, w zamkniętej karecie jadącego wolno, wśród pieszej gwardyi. Marszałek Davoust i księżę Nevchatelski Berthier, siedzieli za powozem w ubiorach, dawnej ich wielkości wcale nie przypominających. Pierwszy po stracie korpusu przedstawiał obraz najopłakańszy. Widać było na jego twarzy cierpienie i osłupienie zarazem. Postępując zwolna i wyprzedzwszy kolumnę cesarską, doszedłem do miasteczka Zembina.

Dnia 30. listopada stanąłem nareszcie w Pleszczenicy. Zastałem tam rannego generała Dąbrowskiego, spoczywającego w domu drewnianym, w którym w wilię dnia marszałek Oudinot, ranny także dnia 27. z innymi rannymi oficerami i żołnierzami, mianowicie z włoskim generałem dywizyi Pino, zabarykadowawszy się, wytrzymali atak ze strony generała rosyjskiego Łanskoja, na czele lekkiego oddziału jazdy z dwoma działami, odeprzeć go potrafili. Dom nosił jeszcze na sobie ślady walki. Kilka kul armatnich przedziurawiły go bowiem na wylot.

Cesarz Napoleon stanął dnia 28. listopada w Mołodecznie i tu postanowił opuścić armię i wrócić do Paryża.

¹⁾ Okropne sceny przy mostach, opisane są dokładnie w dziełach Chambray'a i Buturlina. Nie będąc ich świadkiem, pominąć takowe muszę.

Co do mnie, sprzągłszy konia mego z koniem oficera Urmowskiego i nabywszy lekkie sanki, puściłem się wśród okropnego mrozu do Wilna na Mołodeczną, Smorgonię, sławną pomiędzy Litwinami z akademii niedźwiedziej, Oszmianę, Ryhomię — i stanąłem w stolicy litewskiej dnia 7. grudnia.

Wiadomość o naszych klęskach jeszcze nie była zupełnie doszła do miasta. Nikt się nie spodziewał takiego pogromu. Dostałem kwaterę u poczciwego obywatela, gdzie sobie przez dzień jeden wypocząłem i wykapałem się; a pomimo tego iż niema nic niebezpieczniejszego, jak kąpiel po 25-stopniowym mrozie, nie zaszkodziłem zdrowiu. Tu także zastałem księcia Poniatowskiego, generała Dąbrowskiego, pułkownika Rautenstraucha i innych wyższych oficerów, którzy nas wyprzedzili. Pokrzepiwszy się przez jeden dzień i opatrzywszy w cokolwiek bielizny i pieniędzy z łaski pułkownika Stanisława Chłapowskiego, adjutanta przy Dąbrowskim, puściłem się dnia 9. grudnia zrana w towarzystwie podpułkownika Urmowskiego na Ponary do Kowna. Artylerya nasza i wszystkie pojedyncze oddziały poszły w kierunku Olity. Drogę tę także obrał książę Poniatowski ze swoim sztabem. Dnia 11. przybyłem do Kowna i nie zatrzymawszy się w tem mieście, przeprowiłem się przez zamrażnięty Niemen i stanąłem na noc w Aleksocie wraz z generałem Dąbrowskim, w domu pośła Godlewskiego, który nas z gościnnością staropolską i z otwartemi rękami przyjął. Była to pierwsza noc prawdziwego wypoczynku po tak wielkich znojach. Lecz i tu nie można było długo pozostać, nie chcieliśmy być pochłonięci ciżbą zdeorganizowanej armii. Ruszyliśmy więc dalej lasami, okrywającymi północną część augustowskiego województwa i dło skrócenia sobie drogi, przerznawszy się przez część wschodnich Prus około Johanisberga, przez Pułtusk i Sierock, stanęliśmy w Warszawie dnia 20. grudnia. Cesarz dnia 10. grudnia już przejeżdżał przez Warszawę, w towarzystwie generała Caulincour'a i kapitana Wąsowicza, i po krótkiej rozmowie z wyższymi władzami i arcybiskupem de Praett, nadzwyczajnym

pośłem swoim przy konfederacyi, wyruszył do Drezna. Książę Poniatowski w trzy dni później, to jest dnia 13. przybył także do Warszawy. Zaczęły się ściągać do stolicy wszystkie pojedyncze oddziały, artylerya, jazda, oderwanicy i t. d., którzy w zbyt szybkim odwrocie potrafili ocalić swoje życie od mrozów i następujących kozaków. Zaledwie 6.000 ludzi i to bezbronych w większej części, powróciło z korpusu piątego, 32.000 ludzi wynoszącego w czasie przeprawy przez Niemen, prócz oddziałów jazdy, rozrzuconych w wielkiej armii.

Legia nadwiślańska, gwardya konna Krasińskiego, dywizya polska z korpusu Victora, dywizya grenadierów z korpusu Macdonald'a, innymi szły traktami. Litewskie pułki piesze nowo sformowane pod jenerałem Giedroyciem, pułkownikiem Czapskim, Giełgudem i t. d., zwrócone zostały do Modlina.

Po niewielkim spoczynku zaczęto myśleć o środkach zreorganizowania tej bezładnej masy. Użyto na to kadrów piechoty i zakładowych szwadronów jazdy. Artylerya prawie wszystkie działa swoje szczęśliwie doprowadziła i z chlubnym poświęceniem, jedna tylko zachowała porządek w ludziach i zaprzęgach. Dowodził nią waleczny pułkownik Górski. Park artyleryi i oddziały saperów: pierwszy pod rozkazami pułkownika Bontemps'a, bez wielkiej straty, w należyтым porządku przybyły do Warszawy.

Z powracających żołnierzy, z kadrów piechoty i z rekrutów, których departamenta przez Rosyan nie zajęte, dostarczyły, uformowano sześć nowych pułków pieszych. W zakładach jazdy po zarekwirowaniu kilku tysięcy koni, znaleziono tyle jeszcze ludzi i koni, iż dołączywszy pozostałych jeźdźców: sześć pułków konnych, mianowicie: 1, 3, 6, 8, 12 i 13 jazdy uformować było można, lubo niekompletnych.

Jenerał Dąbrowski w Kaliszu i okolicach zebrał kadry swojej dywizyi i przyłączywszy do nich świeży pobór, sformował dwa pułki piechoty i dwa pułki jazdy. Nareszcie w pierwszych dniach stycznia roku 1813. zwołane zostało

pospolite ruszenie w departamentach, nie zajętych przez nieprzyjaciela. Na to wezwanie w departamentach na lewym brzegu położonych, w przeciągu sześciu tygodni stanęło około 8.000 jazdy na koniach mierzynach, uzbrojonych w lance z chorągiewkami, pałasze i pistolety, i wszyscy umundurowani. Departament poznański dostawił 2.000 koni w mundurach granatowych z amarantowymi wyłogami lub wypustkami. Departament kaliski 2.000 koni w granatowych z niebieskimi przyborami, pod komendą starego pułkownika Bierneckiego. Departament krakowski 2.000 w ubiorze krakowskim, właściwym chłopom w okolicach Proszowic i Szkalmierza. Ile dostarczyły departamenta inne, nie jest mi wiadome. Owo pospolite ruszenie złożone było z samych chłopów -- zblądzono w tem, iż na dowódców nie dano im starszych oficerów i podoficerów. Właściciele ziemscy bez doświadczenia, zastąpić ich byli zmuszeni. Lecz nie było czasu do uporządkowania i wymustrowania tego naprędce zebranego żołnierza. Chociaż wysilenie takie po wystawieniu 6.000 żołnierza, bardzo ciążyło na obywatelach, przecie bez szemrania, z największą ochotą, każdy się garnął do oręża, lub dostawiał nakazanych: ludzi i koni. Lecz za to w krótkim czasie nieład i zniechęcenie wkraść się musiały w szeregi. Za pierwszą wiadomością o przejściu Wisły przez Rosyan, dezercya się rozpoczęła i w dwa tygodnie ledwie się 2.000 koni z tego całego pospolitego ruszenia przy chorągwiach znalazło!

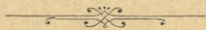
WSPOMNIENIA
JENERAŁA KLEMEMSA KOŁACZKOWSKIEGO.

WSPOMNIENIA
JENERAŁA
KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO

KSIEGA II.

od roku 1813 do 1820.

(Z DZIESIĘCIU RYGINAMI W TEKSCIE).



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1899.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



III.

(1813—1815).

W początku stycznia otrzymaliśmy urlop na sześć tygodni do domów rodzicielskich i razem z Prądzynskim podróż tę odbyliśmy. Jaka była radość rodziców, po tak wielkiej o nas niespokojności, trudno mi wypowiedzieć.

Lecz nie długo było tego, tak miłego wypoczynku. Wkrótce zaczęły się pokazywać na trakcie z Bydgoszczy do Poznania, o pół mili od naszej wsi Wojnowa, niedobitki wielkiej armii francuskiej. Staął u nas generał Walther od konnej gwardyi cesarskiej, z oddziałem oficerów i żołnierzy, ocablonych z Moskwy. O kilka dni marszu za nim już ukazywała się przednia straż rosyjska. Trzeba było myśleć o ustąpieniu jej miejsca. Ojciec, zaopatrzwszy mnie w parę koni z własnej stajni, i w trzeciego, nabytego w Poznaniu z całym rynsztunkiem, podarowawszy broń i potrzebne pieniądze, pożegnał się ze mną w Poznaniu dnia 10. lutego. Postanowiliśmy z Prądzynskim połączyć się w Częstochowej z korpusem księcia Poniatowskiego, który w niebytności naszej, po wkroczeniu Rosyan w granice Księstwa Warszawskiego, zagnalony był odwrotem i dwuznacznem postępowaniem księcia Schwarzenberga, naczelnego dowódcy korpusu posiłkowego austriackiego, do opuszczenia Warszawy.

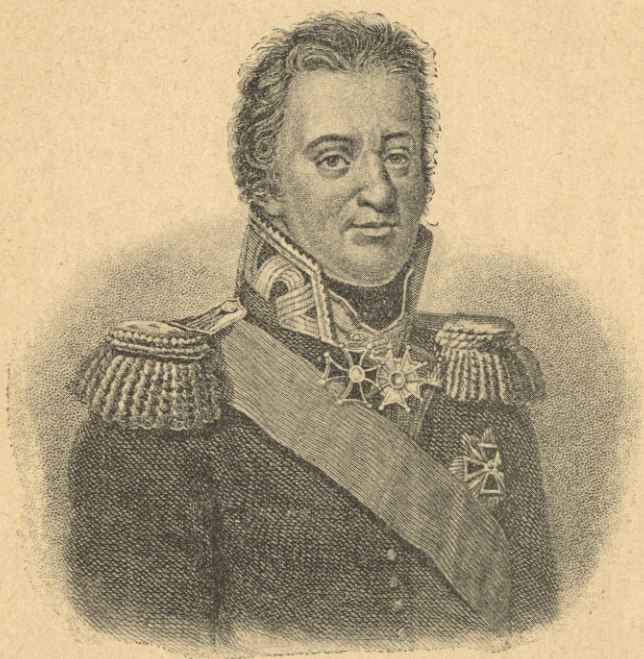
Dnia 12. lutego, oddział litewskiej jazdy, pod dowództwem generała księcia Giedroycia, złożony z 30 oficerów, 900

ludzi i 1.000 koni, napadnięty i zabrany został zupełnie w niewolę, w mieście Sierakowie nad Wartą, przez oddział rosyjskich kozaków, pod pułkownikiem Jefremowem i majorem Puszkinem.

Obróciliśmy drogę naszą na Kalisz i tam nas znowu spotkać miał obraz żywej wojny. Zastaliśmy w Kaliszu generała Dąbrowskiego, z kadrami dywizji swojej, na wpół uzbrojonymi, i powstanie kaliskie, pod komendą pułkownika Biernackiego. Zaczęły przychodzić wiadomości o zbliżaniu się korpusu generała Reynier, który z dywizją francuską Durutt'a i Sasami ustępował wolno przed korpusem rosyjskim Wittgensteina. Wysłany oddział powstańców, pod komendą Biernackiego na rozpoznanie, o trzy mile od Kalisza rozбитo został przez kozaków, przy pierwszym spotkaniu. Biernacki mocno ranny, z wielu innymi oficerami i żołnierzami dostał się do niewoli. Niedobitki trwogę rozniosły po Kaliszu.

Drugiego dnia, to jest 13. lutego, po naszym przybyciu do Kalisza rozlegał się huk dział na wzgórzach miasta. Była to rzeczywista bitwa, korpus Reyniera bowiem, party przez Rosyan, stawił im czoło i chlubną, odporną bitwę stoczył z przeważającą siłą; po kilkugodzinnym, nader żywym ogniu, Francuzi ustąpili z pozycji przed miastem i nazajutrz opuścili Kalisz, z niewielką stratą. Czas było pomyśleć o naszym odwróceniu, kozacy bowiem zaczęli podjazdami swymi dochodzić do traktu częstochowskiego. Przemknęliśmy się szczęśliwie, i w kilka dni połączyli z kolegami pod Częstochową.

Część korpusu księcia Poniatowskiego tak dalece zreorganizowana była, że stanąć mogła na linii bojowej, składała się bowiem z 10.000 żołnierzy, z odpowiednią artylerią, pomiędzy tymi było 3.000 jazdy, po większej części regularnej, w mniejszej z powstańców złożonej. Oddziały, potrzebujące lepszej organizacji, nie mniej oddział Sasów i Francuzów, odcięte od korpusu generała Reynier'a, (brygada Gablentz'a) spieszyły ku Krakowu, a korpus księcia Poniatowskiego rozłożył się



JENERAŁ HENRYK DĄBROWSKI
według sztychu Villerey'a, fotogram Kriegera w Krakowie.

w okolicach Częstochowy. Twierdzę uzbrojono i zaopatrzone w odpowiedni garnizon i żywność.

Pod Częstochowę podciągnął korpus rosyjski generała Sachen dnia 25. marca i po krótkim bombardowaniu, garnizon nasz, składający się z 51 oficerów, 48 podoficerów, 978 żołnierzy i 26 armat, kapitulował dnia 5. kwietnia i poszedł w niewolę.

Wsteczne to poruszenie księcia Poniatowskiego zakrywał książę Schwarzenberg z korpusem posiłkowym austriackim, w pochodzie niemal etapowym. Tym sposobem zupełnie oddzieleni byliśmy od Rosyan z jednej strony, lecz z drugiej coraz bardziej zbliżaliśmy się do Wisły, granicę z Galicyą stanowiącej. Położenie było nader drażliwe.

Po zdobyciu Częstochowy generał Sachen zwrócił się ku Krakowu, założył główną kwaterę w Żarkach i stał, obserwując księcia Poniatowskiego, do początku maja. Korpus ten składał się: z 8. pułku piechoty 3.200 ludzi, 4. pułku jazdy 1200. ludzi, 6. pułku kozackiego 1.000 ludzi, 4. bateryj konnych 600 ludzi i 36 armat; razem 6.000 ludzi.

Po obsadzeniu fortec: Modlina, Zamościa, Częstochowy, Torunia i Gdańska, do których obserwacyi potrzebował nieprzyjaciel znaczne zostawić oddziały, książę Poniatowski przyciągnąwszy do siebie 4.000 ludzi pod generałem Dąbrowskim, które w fałszywym poszły kierunku, i do nich dodawszy 4.000 ludzi, pod Krakowem oczekujących na lepszą organizację, mógł zebrać nad Pilicą około 18.000 regularnego wojska. Prócz tych, należało się z wyboru wszystkich powstań, pod doświadczonymi oficerami uformować lekką jazdę, na podobieństwo Lisowczyków i tę zaprawić do partyzanckiej wojny; tych ostatnich można było do 4.000 koni zebrać.

Korpus, w ten sposób sformowany, pod wodzem tak popularnym, jakim był książę Poniatowski, zakryty Pilicą, w stanowisku bocznem do linii operacyjnej nieprzyjaciela, w kraju własnym, długoby się powinien utrzymać: a byłby odwrócił w najgorszym razie część sił nieprzyjacielskich, które w kilka

miesiący później potykały się pod Lützen i Budziejowicami. Lecz polityka austriacka wtedy nie mniej, jak w całej kampanii 1812 roku, dwuznacznie mająca się ku neutralności zbrojnej, nie chciała dopuścić pobytu naszego na lewym brzegu Wisły. Nie chcąc zawczasie odkryć nieprzyjaznych dla cesarza Napoleona zamiarów, przestała z początku na oddzieleniu nas od Rosyan. Zakrycie odwrotu naszego zdawało się w stanie niepełnej organizacji, czynem lojalności wojskowej i dobrego koleżeństwa. Lecz myśl zdradliwa powodowała księciem Schwarzenbergiem. Zaczęto księciu Poniatowskiemu w poufnych komunikatach przedstawiać, jak wielka wdzięczność się od nas należy korpusowi austriackiemu za tę zasłonę od przemagającej siły rosyjskiej, żądającej usilnie naszego pognębienia; później żądano miejsca dla własnego korpusu, cofającego się przed Rosyanami; później oświadczone zupełną neutralność, nareszcie, nie chcąc wystawić nas samych na widoczną zgubę, ofiarowano księciu Poniatowskiemu konwencją, na mocy której mógł korpus polski swobodnie przeprowadzić przez państwo austriackie i połączyć go z wielką armią, stojącą w Saksonii. Księżę Poniatowski nie potrafił oprzeć się tym zręcznym podstępom; krótko zabawiwszy w okolicach Częstochowy, zaczął się cofać ku Krakowu i skoncentrował się naokoło miasta. Austriacy zajęli górną część Pilicy.

Co do mnie, wykonawszy z polecenia wyższego rozpoznanie biegu Warty, od Częstochowy do wsi Wygody, i dróg do niej równoległych i prostopadłych, stanąłem na początku marca w Krzeszowicach. Zastałem tam pułkownika inżynierów Malett'a z kolegami wszystkimi. Odwilż w miesiącu lutym zamieniła się w mocniejsze mrozy i śniegi, dla których komunikacye w kraju górzystym zatamowane zupełnie zostały. Operacye wojenne w takiej porze zastanowić się musiały. Każdy spoczynku potrzebował, a jeżeli straty nasze były dotkliwe, Rosyanie w pochodzie za nami nie mniej wielkie w ludziach i koniach, dotkniętych mrozem, ponieśli. Nieprzy-

jaciel równie jak i my, ściągał rezerwy i wzmacniał swoje siły. Książę Poniatowski korzystał z dwumiesięcznego zawieszenia wszelkich operacyj wojennych, dla wzmocnienia i zreorganizowania swego małego korpusu. Doprowadził go wkrótce do 14.000 zdanego do boju żołnierza, w nadziei zawsze, iż niezadługo otworzy się dla niego pora oddania razem wielkiej przysługi cesarzowi i oswobodzenia ziemi naszej od nieprzyjaciela.

Lecz siła, na słaby charakter księcia Poniatowskiego nasadzone, już się nie dały zerwać.

Położenie nasze z każdym dniem pogorszało się. Król pruski dnia 25. stycznia 1813 roku, przeniósł się z dworem do Wrocławia. Dnia 27. lutego podpisany został traktat odporny i zaczepny między Prusami i Rosyą, a dnia 3. lutego król w dwóch odezwach, do wojska i do ludu swojego, odstąpił zupełnie swoje zamiary przeciwko Francji. Więc już nietylko z Rosyanami, lecz i z Prusakami nasz mały korpus byłby miał sprawę. W tej chwili nalegania ze strony dowódcy austriackiego do zawarcia konwencji, w celu przeniesienia armii polskiej przez Państwo austriackie do Saksonii, coraz silniejsze się stawały. W tym także czasie zjawił się w Krakowie książę Antoni Radziwiłł, ścisłymi węzłami z domem królewskim pruskim związany, z poleceniem od dwóch sprzymierzonych monarchów, oderwania księcia Poniatowskiego od związku z Francją. Krok ten ze strony Polaka i w takiej sprawie, obruszył nadzwyczajnie księcia Poniatowskiego. Irytacja, której doznał z powodu tej haniebnej, jego rycerskiemu charakterowi tak przeciwnej propozycji, nie jest do opisania. Onże miał dać pierwszy przykład odstąpienia sprawy, której tak wiernie od młodości służył? — On, rycerz nad rycerze, miał splamić nasze chorągwie? Tego było za wiele! Z pogardą odrzucił propozycje obydwóch dworów. Książę Antoni Radziwiłł z tego powodu wystawiony był nawet na największe niebezpieczeństwo, gdyż francuski poseł pan Bignon, dowiedziawszy się o powodach jego misyi, żądał

aresztowania księcia. Dozwolono mu jednak bez szwanku wyjechać. Drugi był powód, nie mniej dotkliwy, zmartwienia księcia Poniatowskiego. Odebrał bowiem w Krakowie podanie do dymisyi z powodu zdrowia, od generała Kniaziewiczza. Krok ten w okolicznościach niebezpiecznych, w jakich się korpus polski znajdował, wytłumaczeniu nie podlega. Dymisyja wydaną została w wyrazach, nie przynoszących zaszczytu generałowi Kniaziewiczowi. W połowie kwietnia wojska austriackie, z 3.000 ludzi złożone, pod komendą księcia Schwarzenberga, a później generała Frymont'a, zbliżyły się pod Kraków tak, iż linie białe obozowe, na górach Prądnika rozłożone, ze stanowiska naszego spostrzedz było można.

Myśl rozpaczliwa napa-
dnięcia w nocy na obóz
austriacki, podaną została
księciu Poniatowskiemu przez
gorętsze umysły sztabu jego.
Lecz zimna rozwaga i obawa
politycznych skutków i de-
klarowanie się Austrii prze-
mogły.

Naglono o konwencyę, tę wreszcie zawarto w ostatnich dniach kwietnia. Zawarowano: iż wojsko polskie w kilku kolumnach postępować będzie etapami przez Galicyę, Śląsk austriacki, Morawy i Czechy, ku saskiej granicy. Oficerowie, podoficerowie i kilkudziesięciu żołnierzy, dla utrzymania karności i porządku mieli zachować broń. Resztę broni wieżę miano za kolumnami. Żywność, furaż i kwatery miał król saski wskutek konwencyi wynagrodzić cesarzowi austriackiemu.

Przyszła nareszcie chwila opuszczenia Krakowa. Z jakim żalem porzucaliśmy rodzinną ziemię i wieże starożytnego



JENERAŁ KAROL KNIAZIEWICZ.

rodu żegnali, ten tylko uczuje, kto na tej ziemi wychowany. Przeszliśmy Wisłę. Korpus polski rozłożony został po wsiach naokoło Podgórza. W kilka dni potem kolumny nasze zaczęły maszerować traktem żwirowym wiedeńskim na Mogilany, Wadowice ku Bielicy.

Co do mnie, bawiąc cały miesiąc luty i połowę marca w Krzeszowicach, pięknej majątności Potockich, słynnej z wód siarczanych i z romantycznego położenia doliny rzeki Czarnej i zwalisk zamku Tenczyńskich; zatrudniałem się rysunkami planów i projektów dla pułkownika inżynierów Mallet'a, dowódcy mego. Tu spotkał mnie przykry przypadek; przez złe stąpienie po schodach kamiennych, gołoledzią pokrytych, padłem na twarz i dużą ranę zadałem sobie w brodę. Lecz przy pomocy doktora miejscowego, pana Woynickiego, w przeciągu dwóch tygodni wyzdrowiałem, pozostał tylko ślad od blizny.

W połowie marca przybyłem do Krakowa i razem z Prądyńskim wygodne pomieszkание otrzymałem przy ulicy Grodzkiej.

Dnia 22. lutego postąpiłem na kapitana pierwszej klasy. W tym samym czasie, na przedstawienie dowódcy mego, ozdobiony zostałem krzyżem złotym orderu wojskowego polskiego *Virtuti militari*.

Nagrody te, za kampanię 1812 roku udzielone, najprzyjemniejsze sprawiły na mnie wrażenie.

W pochodzie przez państwo austriackie przyłączony zostałem do kolumny, maszerującej ze sztabem głównym. Pułkownik Mallet, szef batalionu Minter, major Sałacki, kapitan Prądyński, porucznicy: Kuźnic, Wilson i Klemensowski znajdowali się przy niej.

Część Galicyi, którą nam przebyć wypadało, jest mało wspaniale piękna. Z lewej strony wznoszą się Karpaty, w kilku piętrach i stare zamczyska na nich. Z prawej, w odległości kilku mil odkrywa się dolina Wisły, widać Tynec i Oświęcim. Stan wieśniaków i ich mieszkania, zasmucały serce. Nieochę-

dożność, pijaństwo, nierząd, wszędzie się dały spostrzeć. Inny obraz przedstawił nam się na Śląsku austriackim i w Morawii. Tu ubóstwo nie mniejsze jak w Galicyi, lecz domki schludne, wybielone, mieszkańcy gościnni, porządnie odziani, bogobojni, moralni! A jednak jest to ten sam ród słowiański. W kimże wina? Nie dochodząc do Bielicy, spotkaliśmy generała Sokolnickiego, wysłanego do nas przez cesarza Napoleona, z wiadomością o wygranej dnia 2. maja bitwie pod *Lützen*, czyli *Grossgerschen*. Wiadomość ta pomyślna porzepiła wszystkich. Książę Poniatowski wahał się nawet, czy nie zatrzymać ruchu kolumn naszych i nie powrócić do Krakowa. Lecz Austriacy żadną miarą zezwolić nie chcieli na to żądanie, owszem wymagali od nas dotrzymania ścisłego konwencji i do dalszego pochodu naglili, grożąc, w razie zastanowienia naszego ruchu, rozbrojeniem kolumn. Musieliśmy uleść i dalej się posuwać.

Doszedłszy do Przerowa, porzuciliśmy główny gościniec wiedeński, omijając twierdzę pierwszego rzędu Ołomuniec i poszliśmy na Wischau do Berna. Po drodze leży sławne pole bifwy austerlickiej. Polecono mnie i Prądyńskiemu zdjęcie planu okolicy. Czynność tę wypełniliśmy z ostrożnością dostateczną. Widok miejsc, w których tak świetne zwycięstwo geniuszem Napoleona odniesione zostało; dolina Pratzen, skąd środek Francuzów pod dowództwem Napoleona nagle wypadając, rozbił środek rosyjski; doliny przy wsiach Sokolnitz i Jellnitz, przy której dwie dywizye Davoust'a zatrzymać potrafiły przez kilka godzin lewe skrzydło rosyjskie, mające zamiar oskrzydlić Francuzów; stawy, w których pogrążona została rosyjska artylerya; pozycye lewego skrzydła francuskiego pod Bernadottem, Muratem i Lannes'em; wszystko to oddane zostało w żywych kolorach. Praca ta zjednała nam pochwały i podziękowanie ze strony księcia Poniatowskiego.

Z ładnego miasta Berna, nad którym panuje zamek Spielberg, więzienie tylu szlachetnych ofiar politycznych, mianowicie Laffayett'a i Silvio-Pelleco, po jednodniowym odpoczynku

zwróciliśmy się ku granicom czeskim. Nie pozwolono nam iść traktem głównym na Pragę, lecz obrano dla nas boczną drogę na Kolin. Towarzyszył naszemu ruchowi korpus austriacki; głównym traktem wiedeńskim szły znaczne siły ku granicom saskim, a w okolicach Königgraetzu stał korpus obserwacyjny, dla uważania poruszeń wielkiej armii francuskiej, wkraczającej do Śląska, po nowem zwycięztwie dnia 20. marca, w okolicach Budziejowic.

W Czechach zaczęli emisaryusze austriaccy w zмовie z mieszkańcami, odmawiać nam żołnierzy. Powstała wielka dezercya w naszych szeregach. A gdy kary dyscyplinarne nie pomogły, książe Poniatowski chcąc złemu zapobiedz, odrazu zwołał sąd wojenny, który dwóch żołnierzy skazał na rozstrzelanie. Wyrok ten wykonany został w przytomności mieszkańców. Stąd nastąpiło wielkie wzburzenie mieszkańców, nie pojmujących, iż polski dowódzca prawo śmierci śmie wykonywać w państwie cesarskiem. Pominięto ich żale, a przykład, tak energicznie dany, powstrzymał dezercyę. Pierwszych dni czerwca, po zawartem zawieszeniu broni, kolumny nasze bez żadnej przeszkody przebyły granicę czeską pod Gabel, i stanęły na ziemi saskiej, w mieście Zittau i w okolicy. Mieszkańcy tego pięknego kraju, nie dotknięci jeszcze wojenami kłeskami, przyjęli nas jak braci. Nie pamiętam w czasie mojej karyery wojskowej większej uprzejmości i gościnności.

Główny sztab stanął w Zittau. I mnie się tu dobra kwatery dostała w mieście u poczciwego obywatela Plehna. Stąd różne wycieczki czyniłem w góry czeskie, do obozu francuskiego siódmego korpusu pod Görlitz, zamek Oybin i inne interesujące miejsca, a mianowicie sławne fabryki płótna zwiedziłem. Zastanowiła nas zamożność mieszkańców, którzy prawie wszyscy są fabrykantami, a między nimi tacy, co po 50.000 talarów posagu córkom swoim dają.

Dnia 4. czerwca nastąpiło pomiędzy cesarzem Napoleonem a sprzymierzonymi monarchami zawieszenie broni na kilka dni, po którym nastąpił dłuższy rozejm we wsi Ple-

schwitz pod Jauer, do 20. lipca. W tym czasie toczyć się miały w Pradze rokowania o pokój, do których cesarz austriacki ofiarował obydwom stronom pośrednictwo swoje.

Tymczasem organizacja ósmego korpusu, ten bowiem numer porządkowy otrzymaliśmy od cesarza, szybkim postępowała krokiem. Uformowano pięć pułków piechoty o dwóch batalionach po 700 ludzi; później pułk nadwiślański, w okolicach miasteczka Stolpe przyłączył się do nas. Z jazdy uformowano dwie dywizye: pierwszą pod dowództwem księcia Sułkowskiego; drugą pod dowództwem generała Sokolnickiego, razem 3.500 ludzi.

Jazda ta przeszła pod komendę generała Kellermana i hrabiego Valmy, pod nazwą czwartego korpusu rezerwowego. Dodano ze strony francuskiej dwie piękne konne baterie.

Prócz tej jazdy, utworzono korpus przedniej straży z pułku Krakusów, o 4 szwadronach po 880 koni, pod komendą majora Rzuchowskiego i szwadron kirasyerów bez kirysów pod pułkownikiem Dziekońskim z 180 koni, nad którym dowództwo powierzone zostało generałowi Umińskiemu, dawnemu dowódcy 10 pułku huzarów. Później dwa działa artylerji konnej pod porucznikiem Wierzbickim przydane zostały.

Artylerja ósmego korpusu składała się z czterech baterji pieszych, jednej ciężkiej i jednej konnej, pod dowództwem pułkownika artylerji Redla. Parkiem dowodził pułkownik Bontemps: saperami, do których przyłączył się oddział saperów naszych, wprawionych oblężeniami hiszpańskimi, pułkownik Rakowiecki. Waleczny kapitan Schweitzer, wsławiony w Hiszpanii, prowadził jedną kompanię. Nareszcie z całego korpusu ósmego wybrano batalion grenadyerów, pod komendą pułkownika drugiego pułku piechoty Kurcusa z 600 ludzi, i ten wcielony został do gwardji cesarskiej, pod nazwą gwardji polskiej.

Cała siła ósmego korpusu składała się tym sposobem z 10.710 ludzi, doliczywszy do tego: korpus jazdy hrabiego

Valmy 3.500 ludzi, i dwie baterie francuskiej artylerii konnej 300 ludzi, otrzymaną cyfrę 14.510 ludzi; była to cała siła, pozostająca pod dowództwem księcia Poniatowskiego.

Sztab główny składał się z następujących osób: generał dywizji Roźniecki, szef sztabu; generał brygady Rautenstrauch, podszef; adjutanci naczelnego wodza: szef szwadronu Artur Potocki; kapitanowie: Kicki, Szydłowski, Heliodor Skurzewski i Kamieniecki; major Aksamitowski. Adjutanci kapitanowie: Potulicki, Langert, Kostkowski, Brodowski, Braun, kapitan Bléchamp. Ordonator korpusu Darewski.

Piechotę dowodzili: generał dywizji Izidor Krasziński; generał brygady Małachowski, weteran z legionów; jazdą generałowie dywizji: księżę Sułkowski, Sokolnicki; brygadami pułk. Kwaśniewski i t. d. (zobacz powyżej). Pomędzy sztabsoficierami piechoty odznaczali się już wtedy: pułkownik Jan Skrzynecki i podpułkownik Maciej Rybiński. Legią nadwiślańską dowodził waleczny i nader wykształcony pułkownik Malczewski; pułkiem pierwszym strzelców konnych, Kurnatowski. Podpułkownicy szóstego pułku ułanów: Dłuski i Kazimierz Skarzyński, do najdzielniejszych dowódców jazdy słusznie policzeni być powinni. W korpusie generała Dąbrowskiego znajdowali się: generał Krukowiecki, pułkownicy jazdy: Estko, Siemiątkowski i szef szwadronu artylerii, Szwerin.

Prócz siły, zebranej pod Zittau, pod rozkazami księcia Poniatowskiego, wynoszącej, jak wyżej powiedziano 14.510 ludzi z 42 działami, generał Dąbrowski przyprowadził do wielkiej armii dywizję, uformowaną w zakładach nad Renem i Wezerą, złożoną z dwóch pułków piechoty, o dwóch batalionach po 700 ludzi; dwóch pułków ułanów po cztery szwadrony i jednej baterii konnej o sześciu działach, gwardyi konnej Kraszińskiego o sześciu szwadronach; pułku ułanów nadwiślańskich pod pułkownikiem Stokowskim; doliczywszy do tego korpus ósmy i korpus hrabiego Valmy, przyjdziemy do przekonania, iż przy wielkiej armii znajdowało się 20.160 wojska polskiego, dobrze zorganizowanego i bitnego.

W garnizonach pozostało: W Modlinie niektóre zakłady starej piechoty, rekonwalescenci z kampanii rosyjskiej i cztery pułki litewskie nowej formacyi, pod komendą jenerała Daendelsa, Holendra rodem. Garnizon modliński składał się z początku z 6.000 ludzi piechoty, z odpowiednią wałową artyleryą. Jedną brygadą piechoty dowodził pułkownik Blumer, wsławiony w armii śmiałym odwrotem dnia 18. października pod Tarutyną; inżynierami placu: pułkownik francuski Prévot-Vernois, jeden z najdzielniejszych oficerów tej broni, pod nim kapitan Męciszewski i porucznik Wiszniewski Konstanty. W Zamościu, prócz różnych zakładów i rekonwalescentów, znajdował się kompletny pułk 13. piechoty o trzech batalionach, pod pułkownikiem Żymirskim, z odpowiednią ilością artyleryi wałowej i jedną kompanią saperów. Twierdzą, na rok w żywność zaopatrzoną, dowodził jenerał brygady Maurycy Hauke, doświadczony oficer legionów; inżynierami kapitan Jodko. Garnizon zamoyski wynosił 4.000 ludzi.

W Gdańsku pozostały następujące oddziały polskie: jenerał brygady książę Michał Radziwiłł, pułkownik szef sztabu Nowicki, z 5., 10. i 11. pułkiem piechoty, 9. ułanów, 6. i 16. kompanią artyleryi polnej, jedną kompanią artyleryi konnej i kompanią saperów, to jest 5.835 ludzi.

W Częstochowej zostało się 1.000 ludzi załogi, która za przybyciem korpusu Sachena i z wyrzuceniem pierwszych granatów, kapitulowała dnia 5. kwietnia.

Nareszcie w Hamburgu szef szwadronu Dwernicki uformował siedemnasty pułk ułanów polskich z rozmaitych zakładów, składający się z 300 koni.

Rekapitulacya siły oddziałów polskich w czasie kampanii 1813 roku:

Batalion Kurcusza przy gwardyi cesarskiej 700 ludzi, przy wielkiej armii 20.160, w Modlinie 6.000, w Zamościu 4.000, w Gdańsku 5.835, w Hamburgu 300. Ogółem było 36.995 ludzi.

Nie małe wysilenie na tak mały kraik, jakim było Księstwo Warszawskie, zwłaszcza po stratach kampanii 1812 roku. Lecz jeszcze wtedy wierzono w gwiazdę Napoleona i nikt z pomiędzy nas nie wątpił o powrocie Francuzów nad Wisłę.

Tymczasem układy o pokój toczyły się w Pradze czeskiej, pomiędzy pełnomocnikami mocarstw wojujących, pod protekcją Austrii. Lecz pośrednictwo to przestało być bezstronne, skoro ofiarowane z bronią w rękę. Spostrzeżono wkrótce ze strony francuskiej, iż Austria znacznie się przechyliła na stronę Rosyi i Prus, sądząc po warunkach podawanych z jej strony, które dążyły do ograniczenia francuskiego państwa pomiędzy Renem, Alpami i Pireneami, a zatem ustąpienia bez wystrzału królestwa włoskiego, Illiryi, wysp Jońskich, Rzymu i całego wpływu w Niemczech i Hiszpanii. Holandia, królestwo Westfalskie, Neapol, Hiszpania, miały powrócić pod panowanie dawne. Los Księstwa Warszawskiego w zawieszeniu pozostał, a zapewne trzy mocarstwa, do rozbioru Polski należące, byłoby o niem stanowić chciały bez udziału Francyi.

Kilka przegranych bitew nie mogły gorszego rezultatu za sobą pociągnąć. A jednak Francya rozbrojona, nie leżała jeszcze u stóp koalicji. Owszem wysilenia z tej strony były tak ogromne, jak niemal w 1812 roku; 300.000 ludzi stało między Elbą i Odrą. Rezerwy silne nadchodziły, nareszcie twierdze nad Wisłą, Odrą, Elbą, z wyjątkiem Torunia, były dotąd jeszcze w naszym ręku. Dodać do tego należy, iż sprzymierzeńcy Francyi jeszcze wierności swojej nie naruszyli.

Termin rozejmu, postanowiony z początku do 20. lipca, nie wystarczał do rozwikłania tak ważnej kwestyi. Przedłożono go do 10. sierpnia, za wspólną zgodą. Lecz 7. sierpnia Austria, porzuciwszy rolę pośredniczki zbrojnej, kategoryczne oświadczenie złożyła, któremu Napoleon w tej osnowie, i z warunkami tymi, nie mógł się żadną miarą poddać. Oręż musiał rozstrzygnąć.

Dnia 12. sierpnia Austria przystąpiła do przymierza z Rosją i Prusami. Dwa dni wprzód rozpoczęły się kroki

wojenne. Ograniczę się w pamiętniku moim na opisie t y c h zdarzeń, które się korpusu polskiego tyczą.

W czasie pobytu w Zittau i w okolicy, z polecenia wyższego zajęty byłem rozpoznaniem granic czeskich. Z jednej strony od Zittau na Neusatz, Niedersohland, Wilpen, Ottendorf, aż do miasteczka saskiego Neustadt: opisałem wszystkie drogi równoległe do granicy, niemniej i wszystkie, prowadzące z Saksonii przez góry do Czech. Z drugiej strony miasta Zittau zwróciłem się na Hirschfeld, Ostritz ku Seidenberg, dochodząc do punktu, w którym stykają się granice: saska, czeska i śląska, i z wszelką dokładnością wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące przez góry i w wojennych działaniach posłużyć nam mogące, na moim szkicu oznaczyłem. Pierwsze oddziały francuskie, strzegące granice, spotkałem w okolicy Laubau. Wypełniwszy te ważne polecenia, pomyślałem o przygotowaniu mego kampanicznego ekwipażu. Nauczony doświadczeniem wojny w roku 1812, gdzie tyle wycierpieć musiałem, opatrzyłem się w te wszystkie przedmioty, które są niezbędnie potrzebne w kampanii.

Kampania
w roku 1813
w Niemczech.

Na koniu własnym miałem mantelzak z dwoma skórzanymi kieszeniami przy olstrach, do żywności na dwa dni; manierkę skórzaną do wódki, skręcone siano i owies w sakwach przy siodle. Na drugim, luźnym koniu, wisały na kulbace z obydwóch stron juki skórzane niewielkie, lecz najpraktyczniej rozłożone. W jednych była żywność, mianowicie: ryż, kasza, słonina, suchary z mąki pszennej, rum, wino, herbata, kawa, cukier; kociołek do zupy, naczynie do kawy, kociołek do herbaty, kubki i t. d. W drugich: bielizna, ubranie drugie, buty i t. d. Wszystko to przykryte derką i kobierczykiem, na tem namiocik z płótna saskiego z kołkami, na dwie osoby; a ostatecznie skóra na wierzchu. Mocne górtty i troki przytwierdzały ten pakunek. Cała waga jego wraz z siodłem nie przenosiła 120 funtów.

Na trzecim koniu siedział służący, opatrzony należycie w żywność i furaz. Później powiększyłem mój rynsztunek

jednym jeszcze powodowym koniem, zdobytym na husarzu węgierskim.

W tym wygodnym ekwipażu gotów będąc do rozpoczęcia kampanii, odebrałem przeznaczenie na adjutanta inżynierów przy boku generała Umińskiego, komendanta przedniej straży ósmego korpusu, złożonej, jak wyżej wspomniałem, z pułku Krakusów, pod komendą majora Rzuchowskiego; ze szwadronu kirysyerów, pod komendą pułkownika Dziekońskiego; z jednego batalionu piechoty, pod komendą szefa batalionu Rybińskiego i dwóch dział artylerji konnej, pod porucznikiem Wierzbickim. Razem 1.590 ludzi.

Generał Jan Nepomucen Umiński, najmłodszy z trzech braci, z których jeden zginął 1794 roku pod Pragą, drugi, człowiek bardzo wykształcony, lecz pełen dziwactw, oddany namiętnie grze, popędliwy i tyran poddanych (miał wówczas około lat 40) był zwrostu małego, postawy prawdziwie wojskowej, jeździec zawołany. W kampanii 1812 roku komenderował pułkiem dziesiątym huzarów, który sam sformował i wymustrował. Pułk ten należał do najwaleczniejszych, ale też i do najswawolniejszych całej armii, tak co do oficerów, jak i żołnierzy. Składał brygadę z pułkiem ułanów pruskich i pułkiem strzelców konnych wirtemberskich, nad którymi wszystkimi pułkownik Umiński objął komendę po bitwie Możajskiej.

Generał Umiński był surowym przestrzegaczem karnośći wojskowej, znał dobrze służbę konnicy, był czynnym, pilnym i przebiegłym, lecz żadnego nie miał wyobrażenia o służbie innych broni. Dlatego też, nie pochlebając sobie, przybycie moje do jego korpusu było mu przyjemnem i pożytecznem. Przyczyniła się do dobrego przyjęcia osoby mojej dawna zażyłość generała z ojcem moim, dawnym towarzyszem młodości. Ulegli też razem przypadkowi, gdy z nimi konie w ulicy Poznania się zbiegły. Adjutantami generała Umińskiego byli: Edward Potworowski, waleczny oficer piątego pułku jazdy i pan Gorayski z Galicyi, który mało jeszcze powąchał

prochu i w pułku żadnym dotąd nie służył. Prócz nich był kapitan dziesiątego pułku huzarów, Pawłowski, przy boku generała, i wachmistrz tegoż pułku Jezierski, krzyżem legii honorowej ozdobiony.

Książę Poniatowski skoncentrował swoje siły w okolicy Zittau. Przeznaczenie miał obserwować wszystkie przesmyki z Czech prowadzące do Saksonii i zamaskować poruszenie, które cesarz z główną armią zamierzał zrobić przeciwko armii *śląskiej*, pod komendą Blüchera zajmującej okolice Lignicy.

Armie nieprzyjacielskie rozdzielone były bowiem na trzy główne korpusy. Pierwszy z nich pod komendą księcia Bernadotte, królewicza szwedzkiego, (dodać tu bowiem winienem, że i Szwedzi przystąpili do przymierza przeciw Francji), zakrywał Berlin, a składał się z Prusaków, Szwedów i Rosyan, zwany *armią północną*, siła zaś jego wynosiła 120.000 ludzi. Drugi korpus, pod komendą Blücher'a, składał się tylko z Prusaków i Rosyan, siłę jego podawano na 90.000 ludzi. Trzeci pod księciem Schwarzenbergiem, w większej części z Austryaków, w mniejszej z Prusaków i Rosyan złożony, zwany *wschodnią armią sprzymierzoną*, stał w okolicach Pragi; siłę jego oznaczano na 200.000 ludzi. W środku koła tego, pod Dreznem, stał Napoleon z odwodową armią do 100 tysięcy ludzi wynoszącą, w gotowości rzucenia się na korpus nieprzyjacielski, najbardziej wystawiony. Drezno obsadzone było korpusem z 30.000 ludzi złożonym, pod komendą marszałka Saint-Cyr. Powyżej pod Liliensteinem, z mostami na Elbie, generał Vandame, z korpusem 300.000, zajął mocne stanowisko.

Naprzeciw armii śląskiej stał marszałek Macdonald, z trzema korpusami, wynoszącymi około 90.000 ludzi, w okolicach Löwenberga.

Nareszcie naprzeciw armii północnej stał marszałek Oudinot z dwoma korpusami i z wątpliwymi już wtedy Samsami. Siłę jego szacowano na 70.000 ludzi.

Najgłówniejszem pytaniem było, co uczyni wschodnia armia sprzymierzonych: czy uderzy na Drezno, czy w dalszym kole oskrzydlać zacznie armię francuską; albo wprost z Czech wynurzy się na Zittau lub Reichenberg, ażeby w czasie marszu Napoleona przeciwko Blücherowi, zająć z boku, a może i z tyłu. Każde z tych przypuszczeń było możliwe, za każdym bowiem przemawiały ważne strategiczne powody.

W niepewności zamiarów nieprzyjacielskich Napoleon polecił księciu Poniatowskiemu zdobycie przesmyku głównego, wiodącego z Zittau do Gabel zajęcie mniejszymi oddziałami miast: Friedlandu i Reichenberga, przez które przechodzi uboczna komunikacya z Czech do Saksonii.

Pierwsze główniejsze zadanie wypełnił książę Poniatowski; dnia 18. sierpnia sforsował bowiem główny gościniec, na Gabel do Pragi prowadzący, po bitwie dość żywej z korpusem obserwacyjnym austriackim, z dywizją lekką hrabiego Bubny, i natychmiast polecił założenie mocnego obozu oszańcowanego na wzgórzach panujących nad drogą. Obóz ten w trzech dniach wysypany został przez oficerów inżynierii polskich, w wymiarach potężnych. Nie szczędzono ani palisad, ani blockhauzów w uzbrojeniu szaniców.

Pierwsze kroki
nieprzyjaciel-
skie dnia 17
sierpnia.

Drugie, podrzędniejsze zadanie, generał Umiński miał doprowadzić do skutku. Przednia straż pod jego komendą, w sile wyżej oznaczonej, zebrała się dnia 17. sierpnia w miasteczku Hirschfeld w bok Zittau, w odległości pół mili od granicy czeskiej i tegoż samego dnia wkroczyła do Czech. Przed miasteczkiem Friedland przyszło do utarczki z nieprzyjacielem, w której z obudwu stron padło kilkadziesiąt ludzi. Nieprzyjaciel wystawił przeciwko nam kilkuset huzarów i celnych strzelców. W pozycyi pod Friedland, pozostaliśmy w biwakach przez 18. i 19. sierpnia. Dopiero dnia 20 po południu, wyruszono w dalszy pochód na Reichenberg.

Zdobycie
Friedlandu.

O pół mili drogi od Friedlandu spotkano nieprzyjaciela w większej sile, aniżeli dnia poprze-

dniego, i z armatami. Przyszło do żywego starcia; przepędzono nieprzyjaciela z pozycyi na pozycyę, oskrzydłając go ciągle Krakusami. Nad wieczorem nieprzyjaciel opuścił Reichenberg i cofnął się do Liebenau. Strata nasza wynosiła 31 ludzi zabitych, w tych jeden oficer, i 27 rannych włącznie z dwoma oficerami. Nieprzyjaciel ciągle party, poniósł większą nierównie stratę, zabrano mu 40 ludzi w niewolę. Poruszenie nasze byłoby osiągnęło świetniejsze korzyści, gdyby nie opieśzałość francuskiego generała Bruno, z drugiego korpusu marszałka Wictora, któremu dany był rozkaz maszerowania przez Kratzau na Reichenberg, z dwoma batalionami piechoty i 400 huzarami westfalskimi, pod komendą pułkownika Hamerstein'a, wraz z trzema działami, dla skombinowania ruchu swojego z ruchem naszym. Lecz on przybył dopiero późnym wieczorem. Wśród akcyi, gdy się już zmierzchać zaczę- Atak na
Reichenberg. nało, przechodząc drogę w bliskości małego folwarczku, czoło nasze, mając na przodzie generała Umińskiego postępowało ostrożnie; wtem zaczajony między budynkami huzar austriacki z pułku cesarskiego, z pałaszem w zębach i dwoma pistoletami w ręku, wpada między nas, strzela i rąbie wokoło siebie. Położył dwóch Krakusów, paru ranił, nareszcie sam poległ.

Wieczorem po bitwie generał Umiński wysłał mnie z raportem do głównej kwatery cesarskiej, o zajęciu Reichenbergu. Powróciwszy więc do Zittau, częścią pocztą, częścią podwodami, ostatnie dwie mile pieszo, dla braku podwód, dogoniłem cesarza w mieście Löwenberg i raport księciu Nevchatełskiemu wręczyłem w przytomności cesarza, który się dopytywał o szczegóły potyczki. Zostałem w głównej kwaterze pułkowników Grabowskiego i Suchorzewskiego, znajomych moich, i u nich wypocząłem przez kilka dni. Armia cesarska była dnia tego w wielkiem poruszeniu i armię Blüchera, ustępującą ku Wrocławowi, według umówionego planu, przed sobą parła. Postawa wojska, które spotkałem, była jak najświetniejsza. Lecz wkrótce ruch ten musiał być wstrzymany,

dla wiadomości nadeszłych z Drezna. Albowiem wielka armia sprzymierzonych, której oddalenie się Napoleona nie było tajemem, zaczęła występować z Czech na lewym brzegu Elby i podchodzić pod Drezno.

Dnia 26. sierpnia nastąpił atak na Drezno. Przedmieście i część szańców zewnętrznych znajdowały się już w rękę sprzymierzonych, gdy ukazanie się kolumn Napoleona inny obrót bitwie nadało. Nieprzyjaciel musiał nad wieczorem drogę okupione stanowisko opuścić i linie swoje do odleglejszych punktów cofnąć.

Rys ogólny
operacyj
wojennych.

Cesarz, nie przestając na odniesionej w tym dniu korzyści, dnia 27. sierpnia całą siłą zebraną tu, uderzył na wschodnią armię sprzymierzonych. W czasie okropnej ulewy, która nie dozwalała użyć broni ręcznej, jazda pod królem Muratem uderzyła na lewe skrzydło nieprzyjacielskie, z Austryaków złożone, a doliną Plauen od środka oddzielone, i śmiałym natarciem zniosła je zupełnie. 10.000 niewolnika owocem było tego zwycięstwa. Sprzymierzeni monarchowie najdotkliwszą ponieśli stratę przez śmierć generała Moreau, któremu dnia 27. kula armatnia urwała obydwie nogi. Zasłużona kara dla tych, którzy oręż podnoszą przeciwko własnej ojczyźnie.

Masy nieprzyjacielskie wieczorem zaczęły się cofać ku granicom czeskim. Przewidziany był przez cesarza ten wypadek. Zostawiony bowiem na prawym brzegu Elby, w oszańcowanym obozie pod Liliensteinem, generał Vandame z korpusem 30.000 ludzi, przeszedł nagle Elbę i posunął się w granice czeskie, aż pod Kulm. Poruszenie to groziło wschodniej armii sprzymierzonych największą katastrofą. Lecz śmiałe stawienie się gwardyi rosyjskiej i pruskiej, pod generałem Ostermanem, i rezerw austryackich, zniweczyło tak trafnie przedsięwzięty zamiar. Wojsko generała Vandame, z młodego żołnierza złożone, nie mogło oprzeć się atakom weteranów gwardyi rosyjskiej; zaczęło pierzchać — a ukazanie się generała Kleista, partego przez przednią straż Napoleona, na jego tyle,

pod Nollendorf, powiększyło zamieszanie. Dnia 30. sierpnia generał Vandame wzięty został do niewoli z orężem w rękę, po zaciętym oporze, z 10.000 ludźmi. Bitwa pod Kulmen, dnia 30. sierpnia stoczona, niemniej, jak i wiadomości smutne od korpusów Oudinot'a i Macdonald'a, o przegranych bitwach pod Gross-Beeren, dnia 23. i nad rzeką Kazbach dnia 26., zniweczyła wszystkie strategiczne rachuby cesarza Francuzów.

Po bitwie pod Dreznem cesarz rozkazał z pomiędzy niewolników austriackich, zabranych dnia 27. sierpnia, wybrać 2.000 Galicyanów i tych wcielić do naszych szeregów; lecz duch tych żołnierzy pozostał jak najgorszy, przy każdej sposobności przechodzili do nieprzyjaciela.

Co do mnie, powróciłem do mego oddziału w nocy z 22. na 23. pod Reichenberg, lecz noc ta miała być świadkiem niesłychanego w wojskowych dziejach przypadku. Tu bowiem, po raz pierwszy w tej wojnie, naruszoną została przysięga i honor wojskowy, wiążące żołnierza do chorągwi. Pułk huzarów westfalskich, pod komendą pułkownika Hamersteina, podmówiony przez samego dowódcę, należącego oddawna do związku tajnego niemieckiego (*Tugendbund*), przeszedł tej nocy do nieprzyjaciela, w całym uzbrojeniu. Przykład ten naśladowany był później przez korpusy saski i wirtemburski, w czasie bitwy pod Lipskiem. Generał Jomini w czasie zawieszenia broni przeszedł do nieprzyjaciela.

Generał umiński, umówiwszy się z generałem Bruno, uznał po tym wypadku, iż niebezpiecznym byłoby pozostać w tej pozycji pod Reichenbergiem. Zrana więc dnia 23., połączony nasz oddział z francuską piechotą generała Bruno, cofnął się pod Kratzau, o dwie mile od Reichenberga; lecz tegoż dnia, po odebraniu dokładniejszych wiadomości o nieprzyjacielu, ruszyliśmy znowu naprzód i po żwawej bitwie z Austriakami opanowaliśmy na nowo miasto Reichenberg z przedmieściami. Strata wynosiła, tak ze strony francuskiej, jak i polskiej, 7 ludzi zabitych i 53 rannych. Nie obeszło się także bez małego rabunku miasta, któremu dowódzcy tamę położyli.

Przepędziwszy noc pod bronią spokojnie, dnia 24. nad ranem odebraliśmy rozkaz dla generała Bruno, połączenia się ze swoim korpusem, maszerującym ku Dreznu. Zmiana ta w siłach zmusiła generała Umińskiego do porzucenia odniesionych korzyści przy wzięciu miasta i cofnięcia się z pułkiem Krakusów i szwadronem kirasyerów, pod Kratzau. Tu spotkał nas o godzinie 6. wieczorem batalion piechoty z czterema działami, przysłanemi nam w pomoc przez księcia Poniatowskiego. Z temi wzmocnionemi siłami generał Umiński podstąpił po raz trzeci pod Reichenberg, i tą razą miasto bez wystrzału opanował. Austryacy bez oporu cofnęli się pod wieś Röchlitz, na trakcie ku Liebenau, nie pojmując, co znaczy to trzykrotne ukazywanie i ustępowanie z naszej strony; zostawili o ćwierć mili od miasta mały oddział, dla obserwacji naszych ruchów.

Zajęliśmy stanowisko pomiędzy drogami, wiodącemi do Friedlandu i do Kratzau, przy lasku pod wsią Paulsdorf. Rzeka Neissa przedzielała nasze pozycje. I to było błędem. Według wiadomości, wymuszonych na niewolnikach, nieprzyjacieli zajmował wieś Christdorf, na boku Reichenbergu leżącą, ze znacznym oddziałem. W Nimes naprzeciw Gabel miał korpus 5.000. Tyle tylko pozostawił ze wschodniej armii swojej na prawym brzegu Elby, reszta sił jego bowiem dnia 26. atakowała Drezno. Ulewa, która dnia tego i następnego tak wielkie korzyści przynosiła cesarzowi w atakach jazdy na lewe skrzydło austriackie, nam przeciwnie wiele przykrości zgotowała. Rzeka Neissa, przedzielająca nasze obozy, zaczęła tak, jak wszystkie wody z gór spadające, nadzwyczajnie przybierać; mosty nam zabrała, i komunikację z księciem Poniatowskim a nawet z oddziałem naszym, na prawym brzegu obozującym, przerwała.

Dnia 26. sierpnia posterunek, złożony z 70 ludzi pułku nadwiślańskiego, zostawiony w Kratzau dla utrzymania komunikacji z księciem Poniatowskim, napadnięty był przez dwie kompanie Kroatów i szwadron huzarów. Wedety wraz z cza-

tami, rozstawionymi przez oficera komenderującego posterunkiem, pochwycone zostały przez nieprzyjaciela. Lecz waleczność oddziału naszego, zabarykadowanego w murowanym folwarku na przedmieściu od strony Weiskirchen, zdołała odprzeć natarczywe ataki Austryaków i utrzymać się na posterunku. Nieprzyjaciel ze znaczną stratą cofnął się ku Christdorf. Oficer, dowodzący z naszej strony, zginął w tej potrzebie. Skoro wiadomość o tym napadzie doszła do generała Umińskiego, wysłał on zaraz sukurs do Kratzau. Sam zaś w nocy z dnia 26. na 27. sierpnia, zadość czyniąc rozkazom księcia Poniatowskiego, przybył do Kratzau. Marsz ten dla ciemnej nocy i zebranych mostów był bardzo trudny. Jeden z naszych przewodników utonął, szukając przeprawy przez rzekę Neisse.

Dnie 27. i 28. sierpnia przeszły spokojnie w stanowisku pod Kratzau. Lecz dzień 29. nie przeszedł dla nas bez straty. Nieprzyjaciel bowiem zajmwszy Reichenberg po raz trzeci i mając Christdorf w swojej mocy, niespodzianie napadł na nasze czaty pod wsią Einsiedel. Zabrawszy lub rozpędziwszy pierwsze nasze oddziały, obszedł lasami posterunek większy, z 30 Krakusów i 20 ludzi piechoty, wystawiony przez majora Rzuchowskiego dla wsparcia czatów, i zniósł go w większej części. Major Rzuchowski, stojący o ćwierć mili od nas, na lewym naszym brzegu pod Einsiedel, atakowany został niebawem, lecz uporządkowany będąc, odparł nieprzyjaciela i przepędził go aż pod Reichenberg.

Kiedy się to działo na lewym skrzydle naszym, kilka kompanij strzelców, wspartych jednym szwadronem huzarów, przybyło do Markendorfu, w zamiarze rzucenia mostu na rzecę Neissie. Generał Umiński z trzema kompaniami piechoty posunął się w tę stronę i ustawivszy je w ukrytych miejscach nad brzegiem rzeki, rżęsim ogniem broni ręcznej przeszkodził nieprzyjacielowi w budowie mostu.

Dnia tego doszła nas wiadomość o odniesionem zwycięstwie cesarza pod Dzezmem, lecz także i o porażce jego

namiestników pod Gross-Beeren i nad Kazbachą; jednocześnie patrole nasze doniosły o przybyciu przedniej straży nieprzyjacielskiej w 8.000 koni do Laubau, co spowodowało nas do większej baczności na ruchy nieprzyjacielskie.

Dnia 30. podoficer Zarzycki, z 16 pułku piechoty, wysłany na zwiady z sześcioma ludźmi ku Christdorfovi, obskoczony został w lesie, przed tą wsią leżącym, przez nieprzyjacielską piechotę; a choć już ranny od bagnetu w czasie nocnej walki, nietylko swój oddział przyprowadził ze sobą napowrót, ale nawet tego samego kaprała węgierskiego, od którego ranę otrzymał. Waleczny ten mąż w kilka dni potem chwalebne życie zakończył.

Dnia 1. września nadeszły nowe rozkazy z głównej kwatery ósmego korpusu, w moc których generał Umiński, zwinąwszy wszystkie swoje posterunki i zniszczywszy mosty na rzece Neissie pod Kratzau i Weiskirch, sam cofnął się pod Kratzau, gdzie wzmocniony został batalionem nadwiślańskim. Majorowi Rzuchowskiemu nakazano maszerować do Reichenau, a następnie do Zittau, czem lewą naszą flankę zasłonił. Resztę dnia przepędziliśmy w Kratzau. Z pierwszym zmierzchem wyruszyliśmy w wielkiej cichości do Zittau i tam zastaliśmy 400 piechoty i trzy działa artylerji konnej, z którymi siła nasza doszła do 2.700 ludzi i sześciu dział. Podjazdy korpusu Blüchera w tymże czasie dochodziły do Hernhut i Neusatz. Generał nieprzyjacielski Laugeron minął już Laubau, a forpocztę jego stały w Ostritz, o dwie mile od Zittau.

O samej północy oddział generała Umińskiego, stanowiący teraz tylną straż, opuścił Zittau i udał się do Rumburga w Czechach, zachowując zwykle w pochodzie wobec nieprzyjaciela ostrożności. Nad ranem, dnia 2. września, stanęliśmy szczęśliwie w Rumburgu i tu zastaliśmy korpus nasz na pozycyi. Oddział zajął stanowisko bojowe i ognie rozпалиł.

Dnia 3. września patrol z dziesięciu Krakusów, pod komendą podporucznika Malinowskiego wysłany ku Neusatz na zwiady, dostał się w niewolę nieprzyjacielską. Dnia tego for-

poczty nasze i nieprzyjacielskie nie spuszczały się z oka. Armia śląska stała w Löbau i Hernhut, mając forpoczty swoje w Waldorf i Eybau. Jenerał austriacki Neiperg zajmował Zittau. Wskutek tych poruszeń, ósmy i czwarty korpus jazdy cofnęły się do Schlukenau, o trzy marsze od Drezna. Tym sposobem korpusy nasze zasłaniały jak najlepiej ruch koncentracyjny cesarza ku Dreznu i były pod jego ręką, na przypadek stoczenia bitwy.

Jenerał Umiński, wzmocniony pułkiem nadwiślańskim, pozostał na pozycji pod Rumburgiem i dopiero dnia 4. września cofnął się ku Schlukenau. Forpoczty nasze, zaledwie ustawione w miejscach przeznaczonych, atakował nieprzyjaciel ecz odparty został. Niepokoił nas tym sposobem po kilka razy, lecz z jednakowym zawsze skutkiem.

Cesarz, przekonawszy się o marszu armii śląskiej na Drezno, postanowił wydać jej bitwę. Lecz nieprzyjaciel uprzedzony o tym zamiarze, przeszedł napowrót rzekę Neisse i cofnął się do Löbau. Cesarz 5. września nocował w Hochkirchen, pamiętnem z porażki Fryderyka Wielkiego przez Daun'a. W skutek tych ruchów ósmy korpus i czwarty rezerwowy jazdy otrzymały rozkaz posunięcia się aż do Loebau, na wielkim trakcie z Zittau do Drezna, dla osłonięcia prawego skrzydła wschodniej armii, idącej z Bautzen do Görlitz. Wojsko nasze wyruszyło ze świtem. Jenerał Umiński pozostał na pozycji do godziny 9 zrana, z jazdą swoją, dwoma działami i batalionem piechoty.

Wspomnieć tu wypada o zdarzeniu, malującym popędliwość i okrucieństwo jenerała Umińskiego. Wartownicy z obydwóch stron stali na przeciwko siebie i ostrzeliwali się nawzajem, jenerał Umiński stał na wzgórku pod wsią Königswald, obserwując nieprzyjaciela, strzały padały koło nas; wtem wieśniak czeski, biegnący od strony nieprzyjaciela, przestraszony, bez czapki, wpada jak obłąkany pomiędzy nas. Jenerał Umiński zatrzymuje go i bada na wpół żywego ze strachu; ten nic nie rozu-

Stanowisko
w Schlukenau.

mie i błędnie odpowiada. Rozgniewany generał dobywa pałasza i zadaje mu cięcie w głowę. Nieszczęśliwy, krwią zbroczony, rzuca się na ziemię i trawą wyrwaną chce krew zatałmować. Nareszcie podnosi się nagle i rzuca się w pędzie za nami, ku miastu Schlukenau. To szpieg! wrzasnął Umiński, Jezierski zakłuj tego szelmę! Wachmistrz nie wiele myśląc, porywa lancę od Krakusa i w pędzie konia przesywa na wylot nieszczęśliwego. Woltyżerzy opodal stojący dobili go bagnetami.

Ten czyn okrucieństwa ze strony generała Umińskiego nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. Tyle podobnych czynów, zwłaszcza w kampanii 1831 roku, plami jego pamiętkę, iż nie dziw, że imię Umińskiego, pomiędzy żołnierzami, cały swój urok utraciło.

O godzinie 9. z rana wyruszyliśmy za naszym korpusem ku Georgswalde, Neu Ebersbach do Kottmarsdorf, zaślaniając tym sposobem prawe skrzydło korpusu, w czasie pochodu jego ku Neusatz. W chwili, kiedyśmy opuszczali stanowisko nasze, oddział nieprzyjacielski z kilkuset koni złożony, wpadł do Schlukenau i zaczął się ścierać z naszą tylną strażą, lecz przywitany strzałami armatnimi, nie tamował więcej naszego marszu. Wychodząc z lasu naprzeciwko wsi Hempel i Georgswalde, spotkaliśmy kilka sotni kozaków ukraińskich, dążących ku Ebersbach. Generał Umiński rozkazał majorowi Rzychowskiemu z dwoma szwadronami Krakusów przypuścić do nich atak; kapitanowi zaś Celińskiemu z jednym szwadronem przeciąć im drogę od Herrnhut. Ruchy te pomyślnie poszły. Kozacy rozbici zostali, 30 zabitych, 18 rannych, 50-ciu wzięto w niewolę a 100 koni dostało się w nasze ręce. Z naszej strony mieliśmy tylko 3 rannych. Oddział ten kozaków należał do nowej formacji generała Wittego, zostającego pod rozkazami generała Wasilczykowa.

Resztę dnia przepędziliśmy w Kottmarsdorf, a nad wieczorem zajęliśmy wieś Ebersdorf, na drodze z Loebau do Herrnhut. Korpus ósmy pozostał w Loebau.

W dniach 6, 7. i 8. września z obozu naszego wyszły trzy rozpoznania ku Oberseifsdorf, na drodze do Zittau i ku Herrnhut, w celu przekonania się o sile nieprzyjacielskiej, pod komendą majorów Rzurowskiego i Dziekońskiego. Wszystkie szczęśliwie wróciły z wiadomościami dostatecznymi i 9 niewolnika przyprowadziły.

W nocy z dnia 8. na 9. wołyżerzy, podkradłszy się pod biwaki nieprzyjacielskie, niespodzianymi strzałami musieli ich do porzucenia ognisk.

Nieprzyjaciel przyuczony do opieszałego pilnowania się Francuzów, nie pojmował powodów tego niepokojenia go z naszej strony i szukał okazji ukarania nas za naszą zuchwałość.

Dnia 9. września przednia straż generała Laugerona stała we wsi Strohweide, naprzeciw naszego stanowiska. Równocześnie z dniem dragony, wypędziwszy harcowników naszych z lasu przed Ottenhain, doszli aż do brzegu onego, w czasie, gdy rosyjscy kozacy posterunki nasze zwijali. Generał Umiński, na czele jazdy, zebrawszy kompanię wołyżerów, stósownie rozporządzenia wydał. Wołyżerom rozkazał las opanować, z jazdą postąpił drogą ku nieprzyjacielowi, a dwóm kompaniom polecił oskrzydlenie go. Pułk Krakusów uderzył pędem na kozaków, kirasyerzy zaś zwrócili się w prawo wpadłszy na dwa szwadrony dragonów. Nieprzyjaciel nie wytrzymał natarcia tego, pierzchnął w wielkim nieładzie, pędzony przez lance nasze, wpadł do wsi Strohweide. Tu się zamieszanie powiększyło, gdy Krakusy, obchodząc wieś dookoła, zaczęli przecinać mu drogę. Nareszcie wyrwał się z rąk naszych, zostawiwszy na placu 46 zabitych i 18 ludzi niewolnika. Lecz waleczność naszych została jeszcze świetniej wynagrodzona. Sierżant Krakusów Godlewski, zdobył bowiem chorągiew pułku kozackiego, pod komendą Grekowa i wręczył ją generałowi.

Czyn ten Godlewskiego nagrodził cesarz krzyżem legii honorowej, książe Poniatowski, krzyżem polskim.

W czasie potyczki szef batalionu Rybiński, zostawiony w Ebersdorf z batalionem piechoty, doniósł generałowi, iż luźni rosyjscy tyralierzy zaczynają się pokazywać na jego lewym skrzydle, w tyle naszym, pomiędzy lasami i wyżynami, najbliższymi Ebersdorf. Równocześnie wysłał przeciwko nim dwie kompanie piechoty.

Jenerał Umiński, uznawszy za rzecz stosowną nie posuwać się dalej, przeszedł las napowrót i sformował swoje siły w dawnym stanowisku. Doszedłszy sam do linii tyralierów, przekonał się, iż nieprzyjaciel w większych masach następuje i zamierza opanować wieś Ebersdorf. Lecz mając parów i most ciasny we wsi do przebycia, a obawiając się strat, postanowił niebawem przeprowadzić artylerję i jazdę przez wieś, zająć nimi wolniejsze stanowisko, obronę zaś samejże wsi Ebersdorf powierzyć piechocie naszej. Żywy ogień broni ręcznej, przerywany strzałami pozycyjnych dział rosyjskich, na wzgórzach przed nami, niemniej dzielnie odpowiadających armatom naszym, wszczął się naokoło wsi. Wkrótce spostrzegliśmy górę Bayersberg naprzeciw Loebau, uwieńczoną licznymi batalionami piechoty i artylerji, a w końcu kolumny piechoty z jednej strony posuwające się ku Loebau, ku Ebersdorf z drugiej. Książę Poniatowski rozkazał jenerałowi Umińskiemu utrzymać Ebersdorf do ostatniego żołnierza, a jenerałowi Małachowskiemu z jednym pułkiem piechoty postąpić naprzeciw nieprzyjacielskim kolumnom. Rozkazy te świetnie wykonane zostały. Pułk pierwszy piechoty z bagnetem w ręku odparł nieprzyjacielską piechotę i zajął wzgórze, opanowane przez niego. Dwie kompanie pułku nadwiślańskiego pod komendą kapitana Brandta, później jenerała w wojsku pruskiem, stanawszy w odwodzie, przyczyniły się do zatrzymania niejaki czas tej pozycji. Lecz przybycie nowych kolumn rosyjskich, zmusiły jenerała Małachowskiego do odwrotu, nie bez dotkliwej straty.

Pułkownik Rybiński walecznie potykał się w tym czasie w Ebersdorf i stale odpierał licznych tyralierów nieprzyjaciel-

skich, uporeczywie do wsi wdzierających się. Ogień naszej artylerii, połączony z natarciem jazdy, przyczynił się do utrzymania się w niej, aż do godziny 6. wieczorem.

O tej godzinie liczniejsze kolumny, które szacowaliśmy na 20.000 do 25.000 ludzi, stanowiące korpus Laugerona, zaczęły się wynurzać pomiędzy Bayersbergem a Jukelsbergem na drodze do Bernstadt. Wskutek tego książę Poniatowski kazał opuścić Loebau i o dobry strzał armatni od miasta uszykował swój korpus wraz z czwartą rezerwą jazdy. Jenerałowi zaś Umińskiemu polecił, aby powoli wyprowadził swoją piechotę z Ebersdorf. Wszystkie te ruchy odbyły się jak najlepiej; odwrót przez miasto bez przypadku żadnego nastąpił, nareszcie cały korpus rozwinięty zdawał się wyzywać nieprzyjaciela. Za pierwszym ukazaniem się jego kolumn z miasta, ogień silny naszej artylerii na całej linii zaczął go razić. Jazda pod hrabią Walmy posunęła się naprzód i kilka razy natarła na jego piechotę, — ukazanie się lekkiej piechoty jenerała Lauriston'a położyło koniec walce. O godzinie 9-ej wieczorem korpus tegoż jenerała zluzował nas na pozycyi. My udaliśmy się do Bautzen, stósownie do rozkazów cesarza i nazajutrz o godzinie 1 z rana stanęliśmy w miejscu wskazanem, w zwartych kolumnach, pułkami. Straty nasze dnia tego wynosiły 185 zabitych, w tych 8 oficerów, i 110 rannych, w tych 9 oficerów.

Nim w dalszy pochód się udam, wypada mi znowu donieść czytelnikowi o czynie okrutnym jenerała Umińskiego.

W dniu 7. września przyprowadzono do obozu podejrzanego człowieka, schwytanego na forpocztach od strony nieprzyjaciela, na drodze prowadzącej do Zittau. Znalezione przy nim papierki, na którym kilka wsi okolicznych ołówkiem było spisanych. Badany o powód swojej podróży w czasie tak niepewnym, zawikłał się w odpowiedziach. Jenerał Umiński, nie mogąc groźbą nic na nim wymódz, kazał go Krakusom pochwycić i w przedpokoju swoim, w czasie, gdy sam najspokojniej herbatę popijał, najokrutniej batami skatować tak,

że ciało tego biednego podobnem do węgla się stało. Jęki katowanego do nas dochodziły. Z początku nie przyznawał się do niczego, nareszcie, czy winny, czy niewinny, nie mogąc dłużej wytrzymać zadawanej mu katuszy, przyznał się do wszystkiego, co na nim wymuszono. W moim przekonaniu był on niewinny. Jenerał Umiński złożył sąd wojenny, w którym adjutant jego Edward Potworowski, jako instygator figurował. Sąd uznał go winnym na mocy zeznań, wydobytych torturami i skazał na rozstrzelanie. Wyrok dnia 8. z rana wykonany został. Śmierć tego nieszczęśliwego obciążać wiecznie będzie sumienie jenerała Umińskiego, a we mnie wzbudziła odrazę nieubłaganą do jego osoby.

Falszywy
alarm dnia 10.
września pod
Bautzen.

Noc z dnia 9. na 10. września była fatalną dla naszego korpusu. W czasie bowiem, gdy całe wojsko rozstawiwszy czaty, oddawało się spoczynkowi, oderwanych kilka koni od kółków, wpadło na kozły broni piechoty. Broń jedna wystrzeliła. Na ten odgłos rozmarzona piechota porywa się, chwyta za broń i nie czekając na komendę oficerów, ogień rotowy wydaje na mniemanego nieprzyjaciela. Stojący przed tą piechotą pułk zwraca się ku niej i ogień ogniem oddaje. Powstaje zgiełk okropny. Kule po całym obozie świstają. Krzyk rannych, woźniców, jeźdźców szukających koni, rozlega się w obozie. Armaty, wozy amunicyjne, powózki bez przewodników w największym pędzie na wszystkie strony rozlatują się, rozbiegają i tratują piechotę. Spoczywałem spokojnie w namiocie, gdy nawałnica ta się wszczeła, a dopadłszy konia, czekałem, co z tego wyniknie. Jenerał Umiński przestraszony, nie mogąc w pierwszym zamieszaniu znaleźć swoich koni, ratuje się pieszo. Nareszcie pierwsze promienie słońca oświecają scenę nieporządku i zamieszania. Armaty, wozy, amunicya, powózki rozmaitego rodzaju, znalazły się w dolinie na naszym lewym skrzydle. Piechota przyszedłszy do siebie, stała nieporuszona. Jazda czwartego rezerwowego korpusu, opodal od nas obozująca, nie uległa żadnemu przypadkowi; złożona ze starszych oficerów

i żołnierzy, wsiadła na konie jak najspokojniej. Lecz strata poniesiona w koniach, bagażach, ludziach, nie była małą: 20 ludzi zabitych i rannych kosztował nas ten fałszywy alarm.

Skoro porządek zupełnie przywrócono, korpus nasz dnia 10-go, o godzinie 11-ej z rana wyruszył do Patzkau, gdzie zanocował.

Brygada jazdy generała Weissenhofs wyprzedziła nas w Neustadt, zajmując swemi forpocztami Schlukenu, Zeibnitz i Schandau; 11. września korpus nasz pomaszerował z Patzkau do Neustadt, 12. września połączone korpusy: ósmy i czwarty, kombinując ruchy swoje z wielką armią francuską, cofającą się ku Dreznu, zajęły Stolpen. Generałowi Umińskiemu dostało się dowództwo tylnej straży. Rozłożywszy się tymczasowo na trakcie Stolpen do Neustadt, wysłał niebawem rozpoznanie ku Schlukenu. Dowiedziano się od huzara, zabranego do niewoli, iż korpus nieprzyjacielski, którego siły nie chciał oznaczyć, maszeruje od Schlukenu. On sam należał do korpusu generała Bubny, postępującego za nami, wraz z armią śląską. W rzeczy samej nieprzyjaciel nie dał długo na siebie czekać. 500 do 600 kozaków z przedniej straży zaczęło się pokazywać i odstrzeliwać naszym harcownikom. Generał Umiński wyruszył natychmiast do Lang-Wollmsdorf, wsi położonej przed naszym frontem i zajmwszy wieś, wysunął posterunki piechoty do lasu, naprzeciwko nas leżącego. Wieś ta zasłaniała nasze prawe skrzydło i front, w długości kilkuset kroków. Koniec wsi, przez którą płynął mały strumyczek, przypierał do małego lasku. Za nami leżał drugi las odosobniony. Wtyle, za naszym lewym skrzydłem była wieś Lauterbach, obsadzona przez generała Enulmans'a. Zresztą, grunt chociaż górzysty, dość był odkryty. O kilkaset kroków przed nami i na prawem skrzydle horyzont okryty był lasami. Widok ku wsi Polenz i ku Neustadt był jednakże wolny.

Dnia 13. września generał Umiński, widząc nieprzyjaciela wzmacniającego się przed naszym frontem, cofnął piechotę

posterunki do wsi Wollmsdorf i kwaterę swoją w jednym ze środkowych domów założył. Mieszkańcy wsi w zaufaniu do nas pozostali i żywność i furaż chętnie dostarczyli. Nad wieczorem 800 kozaków z jednym batalionem piechoty wyparli czaty nasze, przed tą wsią leżące, lecz ogniem tyralierów naszych z po za płotów i granatami spłoszeni, cofnęli się do lasu, zostawiwszy 20 ludzi na placu. Strata nasza nie przechodziła 3 zabitych i 2 rannych. Forpoczty nasze i nieprzyjacielskie tak blisko siebie stały, iż w czasie trzynastodniowego pobytu w Lang-Wollmsdorf, służba czatów nadzwyczajnie stała się utrudzającą. Co noc posterunki zewnętrzne i czaty zmieniać musiały miejsca. Jazda przy okiełznanych koniach, artylerzyści przy działach, całą noc przepędzali; dzień tylko służył do spoczynku. Zresztą, żołnierz dobrze żywiony, znosił z ochotą te nadzwyczajne trudy w przekonaniu, że od naszej czynności zależało bezpieczeństwo korpusu, obozującego pod Stolpen.

Dnia 14. września zrana spostrzegliśmy korpus nieprzyjacielski, 12.000 do 15.000 na oko wynoszący, w obozie pod Neustadt. Około południa część tego korpusu stanęła pod bronią i poruszyła się ku prawemu skrzydłu naszemu do wsi Polentz, Rückendorf i lasy, oddzielające nas, mocno obsadzonymi być się zdawały.

Dla pewniejszego przekonania się generał Umiński z dwoma szwadronami Krakusów i 300 piechoty wyszedł ze wsi na rozpoznanie nieprzyjaciela, a zwinawszy czaty jego, rozkazał piechocie wejść do lasu, przed nami położonego. Rozpoczął się żywy ogień, nieprzyjaciel uparcie się trzymał. Stąd przekonania nabraliśmy, iż w pierwotnej sile zmiana nie zaszła. Wzięto do niewoli podoficera, który zeznał, że należy do oddziału generała rosyjskiego Emanuela, mającego pod swymi rozkazami pułkownika pruskiego Katzlera i że korpus pod Neustadt w dniu wczorajszym ukazujący się na naszym prawym skrzydle, pod komendą generała pruskiego Yorcka zostaje. Jednakże ostatnia wiadomość nie była bardzo do prawdy podobną.



JENERAŁ JAN NEPOMUCEN UMIŃSKI.

(Wedle sztychu z roku 1831).

Potyczka pod Lang-Wollmsdorf dnia 15. września.

Wskutek rozkazów cesarskich książę Ponia-towski postanowił rozpoznać nieprzyjacielskie sta-nowisko i skłonić do rozwinięcia wszystkich sił. Jenerał dywizyi, książę Sułkowski, z pułkiem nad-wiślańskim, czterema działami, 6. i 8. pułkiem ułanów, wspólnie z jenerałem Umińskim, wypełnili tę czynność.

Dnia 15. książę Sułkowski równo ze wschodem słońca przybył do naszych biwaków i umówiwszy się z jenerałem Umińskim, zwrócił się z jazdą na prawo ku Polentz, w czasie, kiedy jenerał Umiński rozpoznanie lewej części pozycyi na siebie przyjął. Oddział księcia zbliżywszy się do lasu, pod wsią Polentz położonego, zakrył się tyralierami; w tym samym czasie jenerał Umiński opanował szybko las pod Rückendorf. Na drodze do Neustadt stały trzy bataliony rosyjskie w szyku rozwiniętym; te czując odwody swoje w bliskości, wysławszy tyralierów, posunęły się ku nam. Szósty i ósmy pułki ułanów, poprowadzone przez pułkownika Suchorzewskiego, przeszły pomiędzy Polentz wielkim traktem i przeprawiwszy się przez wąską łączkę, uderzyły na 2 pułki kozaków na skrzydle tej piechoty i do ucieczki zmusiły. W tej chwili dopiero mocniejsza linia, z rosyjskiej piechoty i jazdy złożona, zaczęła się pokazywać na wierzchołkach gór, po obydwóch stronach traktu do Neustadt; wynosiła ich liczba 800 do 900 ludzi.

Jenerałowie nasi, wypełniwszy rozkazy w tym celu wydane, kazali się cofnąć swoim pułkom i zająć stanowisko za wsią Lang-Wollmsdorf. Lecz nieprzyjaciel, w ruchu będący, nie zatrzymał się, wystąpił z jedną kolumną jazdy drogą od Rückendorf, trzy zaś bataliony wysłał do ataku na Lang-Wollmsdorf i ósmioma działami wsparł te dwa oddziały. Piechota nasza wypartą została aż do pierwszych domów.

Jenerał Umiński, nakazawszy zmianę frontu na lewo, wysunął artylerję konną przeciw kolumnie jazdy nieprzyjacielskiej i wysłał mnie do jenerała Enulmansa, zajmującego wieś Lautersbach, z prośbą o wsparcie. Na jego rozkaz dwa

pułki strzelców konnych francuskich wsiadły na koni i stanęły na lewym skrzydle naszym. Na ich widok nieprzyjaciel zatrzymał się w dalszych postęпах. Tymczasem pułkownik Malczewski na czele dwóch batalionów nadwiślańskich natarł we wsi Lang-Wollmsdorf na nieprzyjacielską piechotę i zmusił do odwrotu. Nareszcie natarcie pułku Krakusów na jego jazdę, oraz wstępne poruszenie całej jazdy naszej w szyku bojowym zakończyły bitwę. W dniu tym utraciliśmy 70 ludzi zabitych, pomiędzy tymi 2 oficerów i 87 rannych włącznie z 3 oficerami. Waleczny generał Rybiński lekką odebrał ranę. Nieprzyjaciel we wsi zostawił nam 127 zabitych żołnierzy i 2 oficerów; do niewoli dostało się 30 ludzi. W miejscu, gdzie jazda nasza zwarła się z nieprzyjacielem, leżało na pobojowisku 23 kozaków i 30 ułanów i dragonów zabitych. W czasie potyczki wachmistrz Jezierski przy boku generała prosił go o pozwolenie zapołowania na kozaków. Z lancą w rękę uganiał się za nimi przez parę godzin, dwóch zabił, a trzech żywcem przyprowadził.

Nad wieczorem oddziały nasze powróciły do dawnych stanowisk. Generał Umiński, wzmocniony pułkiem nadwiślańskim, rozłożył się następującym porządkiem: batalion piechoty we wsi Lang-Wollmsdorf, drugi batalion na prawo wsi w obserwacji drogi od Hohenstein, reszta piechoty z dwoma działami w lasku za naszym frontem; kirasyerzy z batalionem przedniej straży i dwoma działami na wzgórzach, nad wsią Wollmsdorf panujących, a Krakusy na ich prawem skrzydle.

Dnia 16. brygada piechoty francuskiej generała Charpentier przybyła do Lautersbach i łańcuch forpoczt swoich z naszymi złączyła. Dzień ten, niemniej jak 17. września, spokojnie minęły.

Dnia 18. spostrzegliśmy na drodze z Zeibnitz do Neustadt znaczne poruszenie wojska nieprzyjacielskiego. Był to korpus austriacki generała Bubny. Góry pod Neustadt wkrótce uwieńczyły się 15 działami i kilkoma pułkami piechoty. Korpus ten miał wspierać ruchy armii śląskiej, skoncentrowanej

pod Bautzen, a prawem skrzydłem dotykającej Marienstern. Tej samej nocy łuna ogni nieprzyjacielskich zdradzała bytność znacznego oddziału pod Ehrenberg, oddział ten stał w odwodzie generałowi Emmanuelowi.

Dnia 20. brygada Charpentiera opuściła Lautersbach. Laszki przed tą wsią, a na lewym skrzydle naszym leżące, obsadzili strzelcy rosyjscy, których ogień niepokoić zaczął nasze posterunki.

Dnia 21. armia śląska przedsięwzięła rozpoznanie w kierunku Stolpen, przeciwko armii Macdonalda, rozłożonej za rzeką Wesnitz, bez wielkiego jednakże skutku. W czasie tegoż rozpoznania oddział nieprzyjacielskiej jazdy podstąpił pod Lautersbach i harcowników przed sobą wysłał, lecz ukazanie się 6. pułku ułanów, połączone z kilkunastu strzałami armatnimi, ochotę im dalszą odjęły.

Dnia 19. cesarz przybył do armii i główną kwaterę założył w Harta. Lewe skrzydło poszło naprzód ku Bischofswerda, generał zaś Lauriston zajął napowrót Lautersbach, tak jak dnia 16.

Dnia 24. cesarz, połączywszy w okolicy Fischbach i Hohenstein korpusy: drugi, trzeci, ósmy i jedenasty, rozkazał piątemu, pod generałem Lauristonem, zająć stanowisko pomiędzy Lautersbach i Lang-Wollmsdorf i odebrać nieprzyjacielowi wieś Rückendorf. Dywizya Alberta wykonała ten rozkaz i po krótkiej potyczce wieś tę opanowała. Wówczas wojska francuskie zajęły także Lang-Wollmsdorf, luzując wszystkie nasze posterunki.

Dnia 25. z rana maszerując przez Stolpen, połączyliśmy się z korpusem ósmym pod Fischbach; oddział nasz, jak zawsze w przedniej straży, stanął w Harta, zakrywając pozycję. O godzinie 4. wieczorem cesarz przybył do nas drogą od Bischofswerda. Na widok Krakusów na małych konikach nie posiadał się od śmiechu. Generał Umiński pospieszył ku niemu dla zdania raportu. Chcę zlustrować ten pułk — jest on dobry, wyborny — czy wiesz pan, jaka jego siła? —

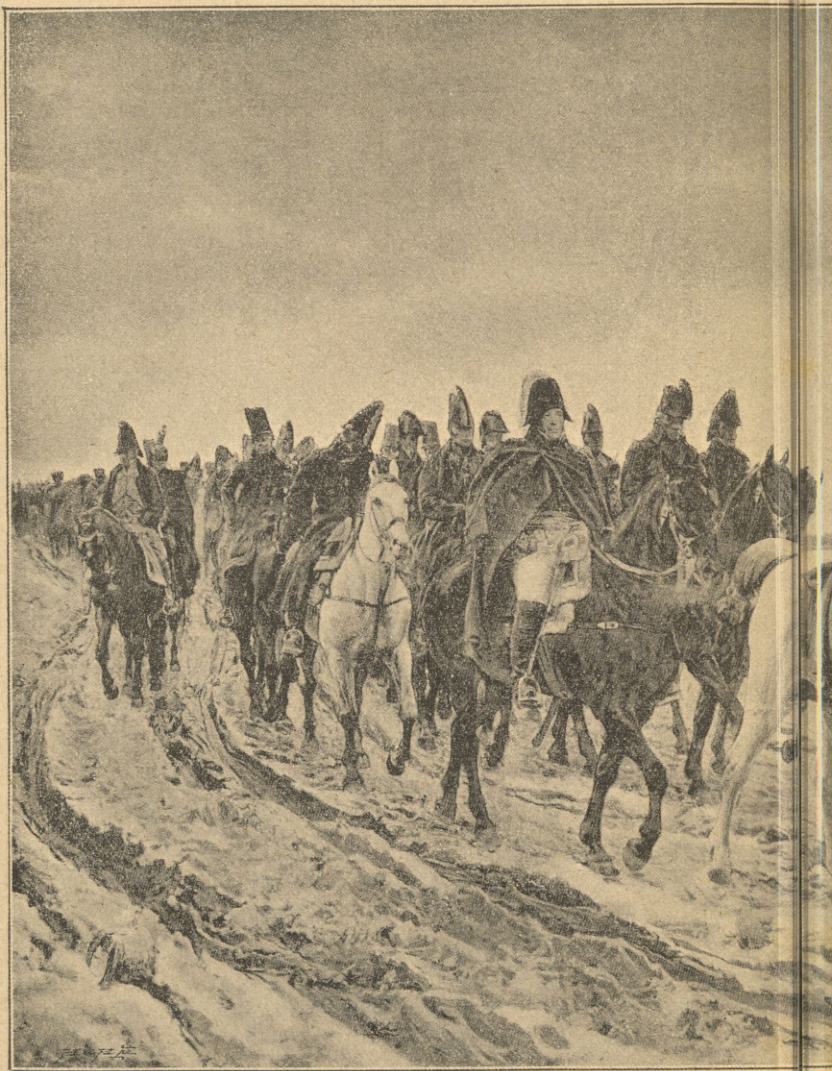
do Umińskiego. — Podjechawszy przed front, przyjęty został okrzykiem: *niech żyje cesarz!*

Po zlustrowaniu koni i ludzi, rozkazał konia jednego rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wojsłokiem, jeszcze się bardziej śmiać począł i obróciwszy się do Caulaincoura — zawołał: Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary; to przecież dzielna jazda i dzielny naród ci Polacy! — Do Umińskiego zaś powiedział: Jenerale, muszę mieć takich 3.000 ludzi; a gdy jenerał Umiński odrzekł, iż takich koni nie znalazłby w Saksonii; cesarz na to: ale cóż, za pieniądze można wszystkiego dostać. Każę panu dać odpowiednie fundusze — i nie ma o czem gadać, muszę mieć takie konie! Księżciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał, powtórzył: właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską, muszę mieć 3.000 podobnej. Odjeżdżając od nas cesarz, rozkazał księżciu Poniatowskiemu maszerować z ósmym i czwartym korpusami do Drezna.

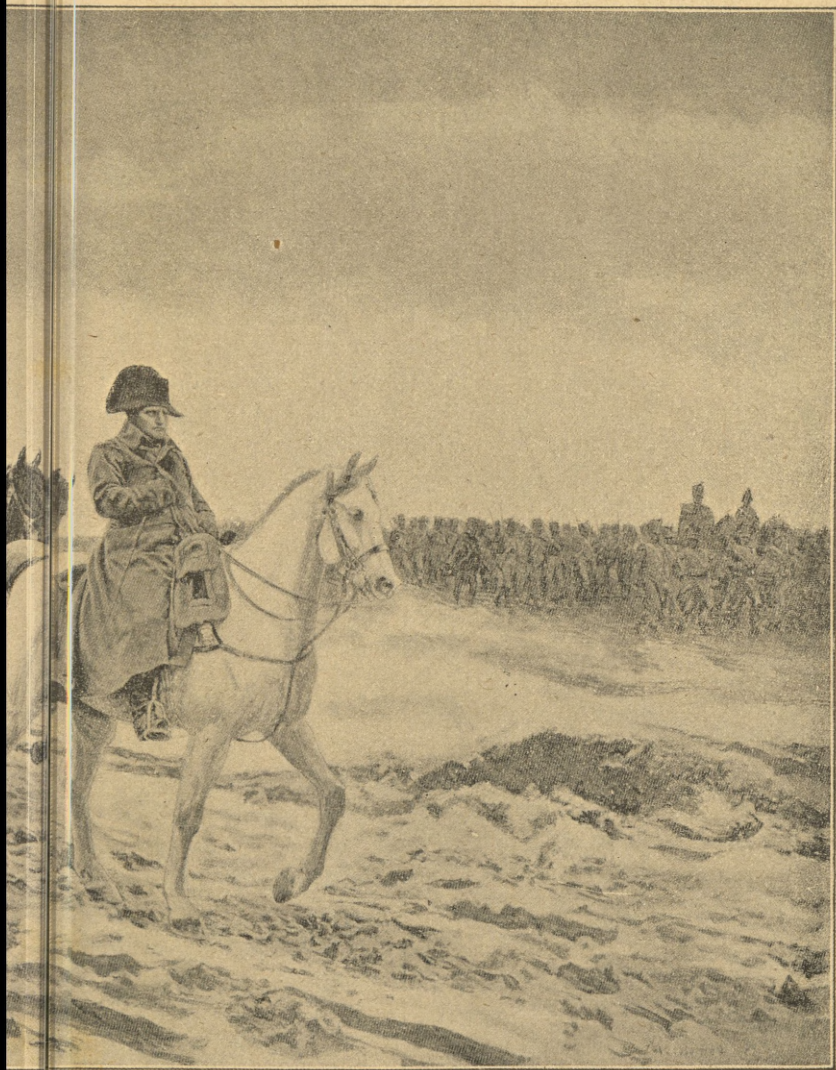
Dnia 26. września przechodziliśmy przez Drezno. Pierwszy raz widziałem to miasto, tyłoma pa-
miątkami naszymi napełnione. Zatrzymaliśmy się z jenerałem Umińskim w hotelu pod Aniołem, gdzie leżał ranny pod Culmen szef szwadronu Radoński, przyjaciel jenerała, a mój dobry znajomy. Nad wieczorem powróciłem do mego oddziału. Jazda w okolicy Drezna rozłożoną została.

Przechodzimy
Elbę dnia 26.
września pod
Dreznem.

Nowe przeznaczenie korpusów ósmego i czwartego na tem zależało, aby oczyścić okolice Drezna na lewym brzegu Elby od licznych partyzantów nieprzyjacielskich, którzy pod komendą jenerałów: Thielemana, atamana Płatowa, księcia Bireu; pułkowników: Kutuzowa i Münstera, komunikację naszą przecinali i pod samymi bramami Lipska grasowali. Siłę tych dowódców oznaczono na 9.000 koni, dobrze zaopatrzonych w artylerję konną. Stał wprawdzie w Altenburgu, w stanowisku środkowym, jenerał dywizyi gwardyi Lefevre-Desnouettes z 4.000 jazdy doborowej, 1.500 piechoty i 6. działami, z rozkazem niedopuszczenia dalszych zagonów nieprzyjacielskich partyzantów i za-



POWRÓT NAPOLEONA
(Kopia obrazu J. a. M.)



POLONA Z MOSKWI.
zu J. a. Meissonier'a).

pewnienia linii komunikacyjnych naszych z Saalą i Erfurtem. Lecz wybór tego generała, którego doświadczenie, pod nim służąc w 1812 roku, poznałem, nie odpowiadało temu przeznaczeniu. Książę Poniatowski w myśl wydanych rozkazów, zajął zamek naszym oddziałem z 500 ludzi pod generałem Sierawskim, sam stanął w Waldheim z dywizją piechoty i dwoma pułkami jazdy, resztę wojska rozdzielił na trzy ruchome kolumny: pierwszą piechoty i pierwszą i trzecią jazdy. Pierwsza pod generałem dywizji Sokolnickim, z dwóch pułków jazdy, jednego pułku piechoty i sześciu dział złożona, poszła do Colditz, dla zapewnienia związku z Lipskiem; druga pod generałem dywizji, księciem Sułkowskim, tejże samej siły, poszła do Mittweg dla obserwacji miasta Chemnitz; trzecia nareszcie pod generałem Umińskim, złożona z 15. pułku piechoty, Krakusów i kirasyerów, wraz z sześcioma działami lekkiej konnej artylerji, przez Waldheim pomaszerowała do Rochlitz. W tej ostatniej znajdowałem się.

Kolumna nasza, stanąwszy dnia 18. wieczorem w Rochlitz, zajęła pozycję na lewym brzegu Muldy, a obsadziwszy drogi, do Altenburga i Penig prowadzące, wysłała rozpoznanie w obydwie strony, w celu zawiązania stosunku z generałem Lefevre-Desnouettes. Dnia 29. nad samym ranem, jeden z tych podjazdów doniósł nam o wzięciu Altenburga w wigilię dnia tego i zupełnem porażeniu korpusu francuskiego. Wiadomość ta w ciągu dnia potwierdziła się. W rzeczy samej generał Lefevre-Desnouettes, napadnięty w Wendisch Leipa przez atamana Płatowa, obkoczony dookoła przez pułkownika Müntera, mając przeciętą drogę do Zeitz przez generała Thielemana, stracił zupełnie głowę. Francuska jazda, mianowicie pułk szwoleżerów pod Krasińskim, na przebój idąc, dostała się do Zeitz; wszelako piechota, prawie cała, z pięcioma działami i dwoma orłami, wpadła w ręce nieprzyjaciela.

Na tę wiadomość generał Umiński przeszedł na prawy brzeg Muldy i na wzgórzu, panującym nad miastem Rochlitz, skąd całą okolicę ku Geithain jak najlepiej przejrzeć się dało,

rozłożył swój obóz. Szwadron Krakusów pozostawiono w Watzmütz, a dwie kompanie obsadziły miasto i zabarykadowały ulice. Drogi do Chemnitz i Wechselburga mocnymi oddziałami oświetlono. Podług zebranych zewsząd wiadomości nieprzyjaciel trzymał Chemnitz i Altenburg głównymi siłami, a w Penig, jako mniej ważnym punkcie, miał tylko oddział 1.200 ludzi, wysyłający patrole swoje do Wechselburga.

Wysłane w dniu 29. wieczorem i 30. rozpoznanie, złożone z jazdy i piechoty pod majorem Rzychowskim i szefem szwadronu Szymańskim w kierunku Frohburga i Penig, wpadło na obozy kozackie pod Frohburgiem i przyprowadziło 10 niewolnika z korpusu Płatowa; drugie, blisko Sunzenau na posterunek huzarów austriackich natrafiwszy, zaalarmowało obóz ich pod Penig, w nocy z dnia 30. września na 1. października i 7 huzarów przywiodło. Przekonano się z badań niewolników, iż ataman Płatow stoi pomiędzy Frohburgiem i Altenburgiem, generał Thieleman w Preisnitz, w Penig zaś korpus austriacki, 2.500 ludzi wynoszący. Innych wiadomości o nieprzyjacielu powziąć nie mogliśmy; mieszkańcy bowiem wszyscy pomagali mu do ukrywania ruchów.

Dnia 1. października generał Umiński postanowił wyrugować nieprzyjaciela z miasta Penig i tym sposobem przerwać jego komunikacje z Altenburga do Chemnitz. W tym celu wysłał tam pułkownika Straszewskiego z jednym batalionem piechoty i 300 jazdy, lecz oficer ten nie zastał tam już nieprzyjaciela, który otrzymawszy wiadomość o tym ruchu, wycofał się wcześniej do Chemnitz. Podjazdy nasze dostały w swoją moc oficera austriackiego, eskortującego majora francuskiego, zabranego pod Altenburgiem, i ostatniego uwolniły.

Tegoż samego wieczora otrzymaliśmy rozkaz maszerowania do Frohburga. Książę Poniatowski zajął rezerwowym korpusem ósmym Rochlitz. Droga nasza prowadziła przez Geithain; minawszy to miasteczko, stanęliśmy w Rötha. Wysłane na zwiady patrole doniosły o bliskości koczowiska kilkuset kozaków. Generał wysłał na ich spłoszenie kompanię wolt-

żerską, która się w nocy podkradłszy pod ich biwaki, nagle ognia dała i zabiwszy sześciu ludzi i kilka koni, resztę do ucieczki spiesznej zmusiła. Zdobyto przy tej okazji kilka koni. Żołnierze nasi obłożyli się zdobyczą, w siodłach kozackich znalezionej.

Wysłany, jak wyżej napisałem, do Penig, pułkownik Straszewski, nie powrócił do nas tego samego wieczora, wzbudził przez to w nas obawę o swoje powodzenie; mając bowiem rozkaz po wypędzeniu stamtąd nieprzyjaciela, powrócić do obozu, zatrzymał się dłużej aniżeli należało, do tego zaniedbał przesłania raportu. Z tego powodu jenerał niespokojny o niego, cofnął się dnia 2. października zrana do Geithain i wysłał patrole przeciw pułkownikowi Straszewskiemu. Dziwny to sposób prowadzenia wojny ze strony jenerała Umińskiego! Ileż to ruchów niepotrzebnych, ileż zmian w pochodach, ileż daremnych rozpoznań; z drugiej strony zato żołnierz przez ciągłe pochody, nieustanne potyczki z nieprzyjacielem, codziennie zdtniejszy się stawał ho boju i wyrównywał przytomnością, czynnością i posłuszeństwem najstarszym żołnierzom.

Dnia 2. księżę Poniatowski postanowiwszy uderzyć na połączone siły Płatowa, Thielemana i Münstera, uznał za rzecz nieodzowną skoncentrować własne siły pod Frohburgiem. Połączwszy się z pułkownikiem Straszewskim, wysłał do nas rozkaz maszerowania do Frohburga, gdzie zastaliśmy już jenerała Sokolnickiego.

Dnia 3. równo z dniem, jenerał wzmocniony 300 kołniami i 400 piechoty z kolumny Sokolnickiego, podstąpił pod Altenburg, w zamiarze atakowania tam nieprzyjaciela w czasie, gdy księżę Poniatowski chciał z resztą wojska uderzyć na jenerała Thielmana, stojącego w pozycyi pod Möschwitz.

W czasie marszu jenerał Umiński od patroli dowiedział się, iż nieprzyjaciel z główną siłą opuścił Altenburg, pozostawivszy tylko dwa pułki kozackie przed miastem; jenerał Thieleman także wycofał się z Möschwitz, a wszystkie oddziały

nieprzyjacielskie połączyły się w Zwickau, o trzy mile od Altenburga, w kierunku czeskiej granicy. Za ukazaniem się naszych proporców, nieprzyjaciel rozwinął się na wzgórzach za miastem. Jazda przeszła kłusem przez ciasne ulice i uderzywszy na kozaków w całym pędzie koni, rozbiła ich w oka mgnieniu ze stratą 10 zabitych na placu i 28 niewolników. Oficer wyższy kozacki znajdował się w liczbie zabitych. Szablę turecką, na nim zdobytą, generał Umiński ofiarował księciu Poniatowskiemu. Pogoń za kozakami posunęła się do Moeckern. Oddział nasz zajął stanowisko w lewo Altenburga, pomiędzy drogami do Zwickau i do Ronnenburga. Placówki nasze stanęły wzdłuż brzegów Pleissy aż do Moeckern; niemniej i na traktach do Gera i Zeitz. Księżę Poniatowski sam tylko przyjechał do nas i słuszne pochwały oddawszy jeździe, uprzedził generała Umińskiego, iż nieprzyjaciel znajduje się w Annaberg i że większe aniżeli z Altenburga przybyłe siły, oczekiwane są z Zwickau i Chemnitz; doniósł nam także i o bytności generała Sokolnickiego w Penig, z którym zalecił komunikować się jak najczęściej; przytem największą baczność na nieprzyjacielskie ruchy nakazał.

Jenerał Umiński założył swoją kwaterę w domu radcy książęcego Thümmla, brata znanego w Niemczech pisarza podróży po Francyi. Obraz swobody i uprzejmości, doznanej w tym domu, odwrócił na niejaki czas nasze umysły od posępniejszych obrazów. Nie zapomnę nigdy tego miłego przyjęcia, tych nadobnych Niemek, tego ogródka napełnionego pomnikami czułego serca; tych zabaw i rozmów niewinnych, wśród wrzawy wojennej! Dziś jeszcze, schylony ku ziemi, z radością o nich wspominam.

Tegoż samego dnia wysłano podjazdy w kierunku Smolien, Ronnenburg, Gera i traktem do Penig. Obsadzono także patrolami okolice Gosnitz, Waldenburga i Moselu. W nocy z d. 3. na 4. podjazd nasz jeden wpadł na placówkę kozaków, trzech na miejscu położył, a jednego ze sobą przyprowadził, który

zeznał, iż ataman Płatow znajduje się w Glaucha, na brzegu przeciwnym Muldy, pułkownik zaś Münster w Waldenburgu.

Księżę Poniatowski stojący w Frohburgu, wysłał dywizję księcia Sułkowskiego do Wendischleipa ku naszemu wsparciu. Jenerał Lefevre-Desnouettes w Zeitz organizował na nowo rozbity w dniu 28. września korpus.

Zatrzymaliśmy naszą pozycję pod Altenburgiem w sposób wyżej opisany do dnia 4. października, w którym to dniu jenerał Sokolnicki dowiedziawszy się o przybyciu austriackiego jenerała Mohra, dowódcy przedniej straży korpusu feldmarszałka Klenau do Chemnitz, chciwy zawsze boju, podstąpił pod to miasto, opanował je chwilowo, lecz za przybyciem atamana Płatowa z jazdą swoją zmuszony był opuścić je i cofnąć się napowrót do Penig.

W ciągu dnia 4. października jenerał Umiński przez szpiegów odebrał wiadomość o marszu z Czech wschodniej armii sprzymierzonych, idącej kilkoma kolumnami w kierunku Annabergu, Chemnitz i Zwickau. Zdawało się, iż nieprzyjaciel ma zamiar zwrócenia się ku Lipskowi, częścią przez Zeitz, częścią przez Penig, Altenburg, i że jenerał Thielemann wysłał kilka pułków lekkich do Gera, ażeby niepokoić pochód marszałka Augereau, ku Lipskowi ciągnącego z armią odwodową.

Dla nabrania większej pewności o zamiarach nieprzyjacielskich, pułkownik Dziekoński z 300 jazdy i 400 piechoty w dniu 5. o godzinie 8. wieczorem pomaszzerował do Weida, zostawiwszy po drodze w Goesnitz 30 Krakusów i 40 ludzi piechoty, dla strzeżenia linii odwrotu. Przybywszy w nocy do Weida, wpadł na maruderów i opóźnione bagaże korpusu 6.000 jazdy, pod jenerałem księciem Lichtensteinem idącego w kierunku Gera. Dowiedział się od nich, iż straż przednia hrabiego Wittgensteina, pod rozkazami hrabiego Pahlena posuwa się na Goessnitz ku Altenburgowi, w czasie gdy główny korpus znajduje się w Zwickau. Inny oddział rosyjski podług nich miał się znajdować w Chorsitz nad rzeką Pleissą. Pułkownik Dziekoński, przerażony temi wiadomościami, nad ra-

nem zaczął się cofać ku Altenburgowi i o położeniu niebezpiecznym, w jakim się znajduje, doniósł generałowi Umińskiemu. Gdy się to działo, już nieprzyjaciel napadł na niedbale strzegący się posterunek w Goessnitz. Oficer dowodzący tym oddziałem, zamiast zabarykadowania się w jakim murowanym domu, szukał ratunku w spiesznym odwrocie, lecz obskoczony dokoła, po walecznym odporze w polu otwartem, rozbity nareszcie został.

Kilku Krakusów na lepszych koniach przedarło się przez jazdę nieprzyjacielską i ze smutną wiadomością do naszego obozu przybiegło. Generał Pahlen, zniósłszy nasz posterunek, wysłał podjazdy na drogę do Gera, i obsadziwszy Smollen; sam z resztą wojska, mając opodal w odwodzie dywizję piechoty, poszedł ku Altenburgowi.

Pułkownik Dziekoński przewidując, że z trudnością tylko uda mu się połączyć z nami i wiedząc o stracie w Goessnitz, postanowił ubocznymi drogami przebijać się ku nam. W Smollen zastał już nieprzyjacielską jazdę; bez namysłu toruje sobie drogę przez nią bagnetem, odpiera jej ataki w polu, nareszcie zatrzymuje się w Loepitz, o strzał armatni od linii czatów naszych, poniósłszy stratę tylko 12 ludzi i przypro-wadziwszy jeńców, zabranych w Weida. Tu już był bezpieczny. Pospieszaliśmy naprzeciw niemu i z radością przywitaliśmy. Wyprawa tak niepotrzebna przeciwko linii operacyjnej nieprzyjacielskiej, z tak małym oddziałem przedsięwzięta, nie mogła mieć lepszego skutku, a kosztowała nas przeszło 70 ludzi zabitych i wziętych w niewolę.

Jak tylko zbiegi z pod Goessnitz do naszego obozu przybyli, generał Umiński kazał wojsku stanąć pod bronią i księcia Sułkowskiego, stojącego w Wendischleipa, wezwał o pomoc. Wkrótce przybyły dwa szwadrony pułku 6. ułanów, reszta kolumny księcia Sułkowskiego stanęła w odwodzie. Nie dochodząc do wsi Zehma, na wzgórzu przed tą wsią spostrzegliśmy nieprzyjaciela, formującego się. Generał Umiński zatrzymał się na wzgórzu, piechotę ukrył, a kompanię wolt-

żerów wysłał parowem do wsi, z rozkazem nie pokazywania się tak długo, dopóki nieprzyjaciel z częścią sił swoich nie minie głównej ulicy. Stało się według jego rozkazu. Huzary izumskie z kozakami zaczęli przez wieś defilować i szykować się przeciwko nam. W tej chwili trąby nasze do szarży odezwały się. Jazda nasza, wsparta dwoma szwadronami 6. pułku, uderzyła raptem na nieprzyjacielską i przewróciła ją zupełnie, zaczajeni wołyżerzy dali wtedy ognia. Wszczęło się zamieszanie okropne w nieprzyjacielskiej jeździe, zaczęła się ratować ucieczką przez wieś i znaczne straty poniosła. 35 ludzi i 2 oficerów zabitych znaleziono na placu, wielu rannych było; kapitan i 10 ludzi dostało się w nasze ręce. Strata nasza wynosiła tylko 8 rannych.

Nieprzyjaciel, wyrugowany tem szybkim natarciem ze wsi Zehma, zebrał swoje szyki na wzgórzach pod Griba, gdyż odebrał nowe posiłki. My zaś weseli powróciliśmy do Altenburga i tego wieczora graliśmy w gry niewinne z córkami naszego gospodarza, pannami Thümell.

Jenerał Umiński rozstawiwszy forpoczty i placówki nad brzegami Muldy, zrzuciwszy mosty na tej rzeczce od Mensa do Moechern i ostatnią wieś obsadziwszy dwoma kompaniami piechoty, zdał raport księciu Poniatowskiemu o wypadkach dnia upłynionego.

Księżę Poniatowski, uznawszy potrzebę cofnięcia się z Frohburga do Roechlitz, stosownie do tego postanowienia rozkazał jenerałowi Umińskiemu opuścić Altenburg i przemieścić się do Geithain.

W nocy dnia 6. na 7., nie pożegnawszy się z naszymi gospodarzami, z którymi jak najprzyjemniej wieczór spędziliśmy, o samej północy pomaszzerowaliśmy w kierunku wskazanym (w największej cichości zebrano wszystkie placówki). Jakież musiało być zdziwienie mieszkańców, gdy ogniska nasze wygaszone, a ślady pobytu zatarte zastali. Tegoż dnia bowiem, chcąc ich lepiej zwieść i zabezpieczyć nasz pochód, kazaliśmy im się przygotować na przyjście ósmego korpusu.

Równy z dniem stanęliśmy w Geitheim, skąd rozpoznania wyszły na wszystkie strony, mianowicie ku Frohburgowi. Nikomu nie dozwolono opuszczać szeregów, ani iść do miasta. Jenerał Umiński założył kwaterę swoją w domku na ustroiniu; było to mieszkanie kata miejscowego. Nie wyrażę jakiego nieprzyjemnego uczucia z tego powodu doznałem. Choć zgłodniały, nie skosztowałem nawet chleba w tym przeklętym domu.

Dnia 7. król Neapolitański z korpusami jenerała Lauristona i Belluno (Victor) i z dwoma dywizjami Bergheima i L'Heritier, połączył się z korpusem pod Roechlitz. Tym sposobem siły nasze dochodziły tu do 45.000 ludzi. Widok francuskiej jazdy nie był pocieszający. Ubiór, uzbrojenie, a nawet konie, choć cięższe od naszych, niewiele zostawiały do życzenia; lecz na tych koniach, pod tą zbroją, nie żołnierze, lecz dzieci siedziały, z równą obawą patrząc się na swoje konie, jak na nieprzyjaciela. Cóż dziwnego, iż z taką jazdą Napoleon takich cudów, jak pod Eylau i Mołajkiem nie mógł dokazywać.

Dnia 8. przed wschodem słońca, poczty nasze, stojące na drodze z Geithain do Frohburga, w bliskości wsi Rõtha i Kleingründen, atakowane zostały przez 1.500 kozaków. Oddział nasz cały był już pod bronią. Zasadzona we wsi Rõtha piechota nasza, ogniem swoim zatrzymała ten zapęd, a natarcie szwadronu Krakusów tę chmarę kozaków do ucieczki wkrótce zmusiło, straciliśmy jednak trzech ludzi.

Dnia 8., o godzinie 2. po południu, ósmy korpus udał się do Frohburga. Przednia straż, którą dowodził jak dawniej jenerał Umiński, godzinę wcześniej opuściła biwaki swoje. Z tej strony Frohburga wzgórza obsadzone były harcownikami nieprzyjacielskimi kozaków, ułanów i huzarów; bliżej miasta stały dwa szwadrony w odwodzie, z tamtej zaś strony miasta, na drodze do Altenburga, około 2.000 koni w szyku rozwinętym. Potyczka wkrótce na naszą stronę się przechyliła.

Kirasyerzy i Krakusy wsparci o piechotę i artylerję konną, przepędzili nieprzyjacielskich harcowników przez miasto; w ulicach niektórzy, mianowicie starsi kozacy, o swoje *czernieńce* w poduszkach pozaszywane troskliwi, uporzęczywie się bronili, musieli jednakże ustąpić nam placu, zostawiwszy kilku zabitych w ulicach i 8 niewolników, wyższy oficer kozacki był w liczbie pierwszych. Nam także ubito kilku ludzi i jednego oficera, a 13 mieliśmy rannych. Wyszędłszy z miasta generał Umiński kazał odprzodkować działa i dawać ognia do linii nieprzyjacielskiej, która zaczęła się usuwać i nareszcie do wsi Eschfeld zupełnie się cofnęła, oparłszy lewe skrzydło o Pleisę, a prawe na drodze do Altenburga, zdawała się na nas oczekiwać.

Z naszej strony opanowano Frohburg piechotą, dwa działa skierowano na most, i cmentarz obwarowano, jeździe zaś naszej kazano zwrócić się za miasto. O godzinie 6. wieczorem ósmy korpus nadszły zaczął. Stanowisko jego na tę noc dano wzdłuż rzeczki, lewem skrzydłem na drodze z Roehlitz do Altenburga dotykając się młyna Grünstein, prawem o lasek przyległy, który obsadzono batalionem piechoty. Od jeńców dowiedziano się, że należeli do oddziału pod komendą generała Rüdigerera z korpusu hrabiego Wittgensteina, stojącego w Moeckern.

W czasie, gdy ósmy korpus maszerował do Frohburga, generał Sokolnicki niepomaganą żądzą sławy, kosztem krwi żołnierzy popychany, staczał bezowocne bitwy z generałem austriackim Mohrem, pod Penig. Przepędziwszy go za miasto aż do wsi Mühlau, za nadejściem sukursów, sam ustąpić musiał mu placu, znaczną zadawszy, lecz i sam nie mniejszą poniósłszy stratę. Później z nami się połączył. Działo się dnia 8. i 9. października.

Dnia 9. żadnej nie było zmiany; forpoczty patrzyły na siebie. O godzinie 1. po południu korpusy króla Neapolitańskiego zaczęły przybywać. Jazda rozwinęła się przed Frohburgiem, ósmy korpus odebrał rozkaz przejścia na drugą

stronę miasta; generałowi Umińskiemu zlecono z przednią strażą torować drogę do Altenburga.

Dywizya księcia Sułkowskiego, stojąca w Rötha, zasłaniała nasze lewe skrzydło.

Według zebranych wiadomości i sądząc po śmiałej postawie nieprzyjaciela w pozycyi za wsią Eschfeld, zdawało się, jak gdyby się czuł na siłach i na pewne odwody liczył. Dlatego też generał Umiński, luźnymi tyralierami piechoty i jazdy zasłoniwszy front i skrzydła, posuwał się jak najostrożniej.

Jazda nieprzyjacielska za ukazaniem się łańcucha tyralierów naszych cofnęła się, zostawiwszy kilkaset ludzi w prawo lasu. Tyralierzy nasi niezadługo starli się z nieprzyjacielskimi.

W lesie pomiędzy nową a starą drogą do Altenburga, stała czwarta dywizya rosyjska piechoty z korpusu Wittgensteina; trzecia dywizya piechoty z tegoż samego korpusu zajmowała stanowisko pomiędzy drogami z Altenburga do Borny i do Zeitz. Generał Ziethen z jedenastą brygadą pruską zbliżał się od Wendischleupa ku Frohburgowi, dziesiąta brygada pruska stała w Wendischleupa, dziewiąta i dwunasta brygada pozostały w Altenburgu: Płatow z kozakami stał pod Pegau.

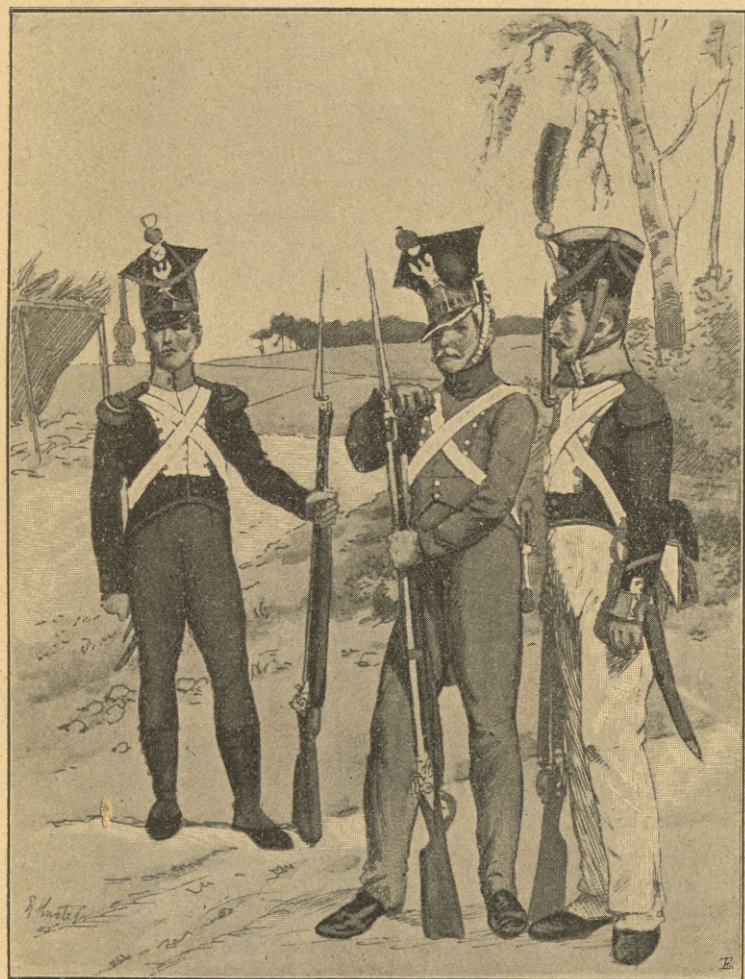
Mieliśmy zatem znaczne siły nieprzyjacielskie przed sobą i na prawem skrzydle wyprzedzeni już byliśmy ku Lipskowi, na trakcie do Borny, o czem w tej chwili jeszcze nie wiadano. Generał Umiński kazał jeździe swojej natrzeć na nieprzyjacielską, na prawo lasu stojącą. Nie dotrzymała placu. Żywy ogień broni ręcznej rozpoczął się tymczasem w mocno obsadzonym lesie; 15. pułk piechoty nadszedł w tej chwili pod komendą pułkownika Straszewskiego. Waleczny ten pułk w ściśniętych kolumnach rzucił się w las za tyralierami i lewe skrzydło piechoty nieprzyjacielskiej zmusił do odwrotu. Lecz tu natrafiwszy na siły nierównie większe, zaczął zwolna, jak na starego żołnierza przystoi, ustępować. Potyczka ta w lesie trwała już dwie godziny. Spodziewaliśmy się sukcesów, lecz gdy te nie nadchodziły, generał Umiński zatrzymał ruch

wsteczny, kazał działom odprzodkować i piechocie uformować się o sto kroków od lasu. W tej chwili chmara nieprzyjacielskich strzelców wysypała się z lasu za naszą piechotę, za niemi kilka batalionów rosyjskich w ścisniętych kolumnach. 15. pułk nasz przyjął ich ogniem plutonowym tak porządnie jak na placu musztry, przy odgłosie muzyki pułkowej i wystrzałach kartaczowych artylerji konnej. Pierzchła nieprzyjacielska piechota i cofnęła się do lasu, o kilkaset kroków. Zabrani jeńcy wyznali, iż należą do korpusu Wittgensteina, którego część większa poszła ku Zeitz i Borna. W tej potyczce straciśmy 70 ludzi w zabitych, włącznie z trzema oficerami, i 37 żołnierzy i 4 oficerów rannych, w tej ostatniej liczbie znajdował się generał Umiński, którego nad samym wieczorem trafiła kula karabinowa w nogę. Była to tylko mocna kontuzya, dla której nie mógł przez kilka dni być czynnym. Komendę po nim odebrał generał Małachowski.

Szczegóły te wszystkie od początku kampanii, zapisywałem starannie codziennie w moim pularesie. Ten pulares zachowałem dotąd i przekazuję go dzieciom moim. Czerpane z niego daty udzieliłem w roku 1814 po naszym powrocie z Francji generałowi Umińskiemu, który z nich ułożył niekompletne dziełko (wydane po francusku) p. t.: »Pamiętnik o działaniach przedniej straży ósmego korpusu wielkiej armii, złożonej z wojsk polskich w roku 1813, przez świadka naczynego« z dewizą dość szczególną *non quis sed quid*.

Jenerał Małachowski odebrawszy komendę przedniej straży, rozkazał tejże samej nocy szetowi Rybińskiemu wypędzić ze wsi Eschfeld kilka kompanii piechoty nieprzyjacielskiej, które się w niej wygodnie rozłożyły. Rybiński wykonał to polecenie ze zwykłą przezornością, wyrugował Rosyan i ulokował się we wsi, nie rozniecając ogni.

O godzinie 1. w nocy, patrol z 60 kozaków wszedł sobie spokojnie do wsi, nie spodziewając się nas. Przepuszczono ich do środka wsi. Tu dopiero ze wszystkich stron dano do



WOJSKO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO Z ROKU 1812.

1. Woltyżer (piechota liniowa). 2. Weteran. 3. Sierżant gwardyi narodowej.

nich ognia i 23 trupem położono; reszta, sadząc przez płoty, uszła, zostawwszy 47 koni w naszym ręku.

Dnia 10. o godzinie 6. z rana, ósmy korpus zaczął defilować przez Frohburg, traktem ku Lipskowi. Tylna straż pod jenerałem Małachowskim ucierając się z nieprzyjacielem, który z wielką ostrożnością następował, spaliła most na rzece Wira. Ze strony nieprzyjacielskiej jenerał rosyjski Pahlen obsadziwszy Bornę piechotą, wysłał pułk izumski huzarów przeciw przedniej straży naszej, maszerującej po prawym brzegu Wiry ku Bornie i wieś Zeittlitz, gdzie się znajduje przeprawa przez tę rzeczkę, zajął 25. pułkiem strzelców rosyjskich. Jednocześnie jenerał major Gorczakow II. z dwoma dywizjami piechoty 5. i 14. zbliżył się ku Zeittlitz, w zamiarze wsparcia strzelców. Korpus polski, poprzedzony dywizją jenerała Izydora Krasińskiego i mając w tylnej straży dywizję francuską jazdy Berkheima, maszerował spokojnie traktem. Książę Poniałowski ze sztabem i z eskortą, złożoną z 30. Krakusów, znajdował się na przodzie, gdy nagle przywitany został ogniem broni ręcznej tyralierów nieprzyjacielskich, ukrytych niedaleko traktu. Książę z przytomnością jemu właściwą, dobywszy pałasza, zawołał do oficerów sztabu swojego: »Teraz pora panowie pokazać, czy umiemy szarżować! Naprzód panowie!« i w tejże chwili rzuca się na nieprzyjaciela. Strzelcy rosyjscy przewróceni tym atakiem, chronią się do wsi Zeittlitz. Tu nieprzyjaciel pod rozkazami księcia Gorczakowa pragnął usilnie utrzymać się, lecz wyparty przez nadchodzącą piechotę naszą, cofać się musiał ku Bornie. Pułk izumski pędzony przez naszą jazdę, zatrzymuje się dopiero na lewym brzegu Pleissy pod zasłoną ciężkiej baterji, ostrzeliwującej kolumny nasze, postępujące głównym traktem lipskim. Natrętnym tym ogniem rażony korpus polski, zбочzył cokolwiek w prawo i pod Eylą połączył się z korpusem głównym pod rozkazami króla Neapolitańskiego, złożonym z korpusów Victora i Lauristona i czwartego rezerwowego jazdy hrabiego Walmy, maszerującymi przez Preissnitz, Hoesburg,

Laussig ku Lipskowi. W czasie tego pochodu korpusu polskiego ku Bornie, tylna straż jego pod jenerałem Małachowskim atakowana była przez oddział drugiego korpusu pruskiego, należącego do armii Wittgensteina. Pod Hoesburg i Steinbach tylna straż polska stawiała czoło. Nasi jednak bez wielkiej straty, zwolna postępując, połączyli się ze swoim korpusem.

Dnia tego, to jest 10. października, jenerał Kleist z drugim korpusem, złożonym z 9., 10., 11. i 12. brygady piechoty i z jazdą rezerwową jenerała Roedera, znajdował się w Altenburgu. Czwarty korpus austriacki stał pomiędzy Frohburgiem a Penig; drugi i trzeci korpus austriacki w Penig. Jenerał austriacki Mohr, z którym walczył jenerał Sokolnicki przez dnie 8. i 9. października, stał w Frohburgu. Główne siły armii czeskiej z główną kwaterą księcia Schwarzenberga nocowały w Chemnitz.

Dnia 11. korpus polski wraz z innymi korpusami pod rozkazami króla Neapolitańskiego zajął okolice Gross Zoessen. Około południa wojska nasze pomaszerowały ku Rötha. Wsie Dittmansdorf, Gross Zoessen, Traknau i miasteczka Rötha, Zwenckau, obsadzone przez nas były.

Dnia 12. korpus polski pomaszerował do Groebern i tamże pozostał do dnia 14.

Dnia 13. jenerał Pahlen, dowodzący przednią strażą jenerała Wittgensteina, postępując za nami, rozwinął swoją jazdę po obu stronach traktu, prawem skrzydłem sięgając wsi Mücken. W Gross Poetsche stał pułk piechoty rosyjskiej. Trzecia i czwarta dywizya piechoty rosyjskiej stały pod Espenhain. Jazda czwartego korpusu rezerwowego pod hrabią Walmy rozwinęła się naprzeciw rosyjskiej ku Mägdeborn, artylerya konna naprzód wystąpiła, nie przyszło jednakże tegoż dnia do ważniejszego spotkania.

Wystąpienie tej nieprzyjacielskiej jazdy poprzedziło następujące zdarzenie. Forpocztty nasze z rana były zluźowane i wojsko zabierało się do gotowania posiłku, gdy jakiś oficer

sztabowy, nikomu nieznanym, przybył z rozkazem cofnięcia forpoczt obozowych na przeciwną stronę wsi Groeberu, w której stała główna kwatery króla Neapolitańskiego. Rozkaz ten wypełniono i placówki nasze omijając wieś, zajęły nowe stanowisko; lecz zaledwie stanęły na wskazanych miejscach, kolumna nieprzyjacielskiej jazdy ukazała się przy wchodzie do wsi. Pojedynczy harcownicy wpadli w ulicę i zaczęli się uganiać za żołnierzami naszymi, rozrzuconymi po wsi, aż narreszcie doszli do domu, w którym król Neapolitański ze sztabem swoim siedział przy śniadaniu. Warta dała ognia, pikiety służbowe nadbiegły na ten odgłos i zastały króla z pałaszem w ręku, szarżującego na czele sztabu. Jazda nieprzyjacielska pierzchnęła na ten widok i wkrótce porządek został przywrócony. Ów oficer sztabowy znikł w zamieszaniu.

Dzień 14. października pamiętny jest z potyczki pod Libertwolkwitz, pomiędzy jazdą obydwóch stron. Był to jakby pierwszy akt, czyli prolog wiecznych bitew dnia 16., 18. i 19. października.

Tegoż dnia armia króla Neapolitańskiego zakrywając Lipsk, w oczekiwaniu wielkiej armii, pod osobistą komendą cesarza Napoleona maszerującej traktem od Wurzen do Lipska, opuściła zrana pozycję pod Groeberu i zbliżyła się ku Lipskowi. Piechota francuska zajęła Mark Kleeberg, Wachau i Liebertwolkwitz, jazda zaś uszykowała się na wzgórzach w prawo Liebertwolkwitz, lewe skrzydło oparłszy o to miasteczko. Ze strony naszej następujące korpusy udział miały w potyczce:

Piąty korpus rezerwowy jazdy generała Milhaud z pierwszą i drugą dywizją dragonów, przybyłych z Hiszpanii; było to czoło jazdy francuskiej z samego starego żołnierza złożone; liczył około 4.000 koni.

Czwarty korpus rezerwowy jazdy krabiego Walmy z 6 pułków polskich, każdy z trzech brygad złożony: 1. strzelców konnych; 3., 6., 8. i 12. ułanów; 13. huzarów; dwóch baterij konnych. Razem około 3.000 koni.

Pierwsza dywizya jazdy francuskiej Berkheima, z huzarów i strzelców konnych, z samego młodego, niedoświadczonego żołnierza złożona, około 1.200 koni. Wogóle około 8.000 koni, z liczną artyleryą konną. Za nimi stały w czworobokach trzy korpusy piechoty: drugi Victora, piąty Lauristona i ósmy polski; w ogóle 38.000 ludzi.

Pułk Krakusów i szwadron kirasyerów polskich, pozostały jako eskorta przy księciu Poniatowskim.

Ze strony nieprzyjacielskiej wystąpili na linię bojową: jazda rezerwowa pruska pod jenerałem Röderem, złożona z 28 szwadronów; jazda drugiego korpusu jenerała Kleista (pruska) z 16 szwadronów; jazda rosyjska pod hrabią Pahlen złożona z jednej dywizyi huzarów i jednej dywizyi ułanów, 33 szwadrony; jazda czwartego korpusu austriackiego pod jenerałem Klenau: 18 szwadronów. Razem 95 szwadronów; a zatem przeszło 10.000 koni wyborowych, prócz luźnej konnej artyleryi i kilku kozackich pułków.

W odwodzie stały dwa korpusy piechoty rosyjskiej: pierwszy i drugi z armii Wittgensteina, korpus drugi pruski jenerała Kleista, a bardziej opodal na lewem skrzydle czwarty korpus austriacki jenerała Klenau i trzecia dywizya kirasyerów rosyjskich, z rezerwy ściągnięta na lewem skrzydle.

Bitwa rozpoczęła się na lewem skrzydle naszym przy piątym korpusie jazdy rezerwowej jenerała Milhaud, od silnej kanonady, poczem dragoni francuscy z wielką natarczywością wpadli na nieprzyjacielską linię i kilka razy ją przełamali, lecz tyle razy przemagającą siłą odparci, formowali się na nowo. Po wielokrotnych szarżach, w których z każdej strony do 6.000 koni mogło brać udział, obydwie jazdy cofnęły się pod czworoboki zobopólnej piechoty. Polska jazda na prawem skrzydle stojąca, rozwinięta w szyku bojowym, nie brała udziału w szarży. Strata z obydwóch stron wynosić mogła kilkaset ludzi.

Nazajutrz 15. października, jazda francuska rozwinęła się na nowo na wzgórzach pod Wachau i stała na pozycyi aż do

późnego wieczora. Toż samo uczyniła jazda generała Wittgensteina, lecz nie przyszło dnia tego do żadnego starcia. Potyczka dnia 14. nie była niczem innem, jak tylko rozpoznaniem ze strony nieprzyjaciela, ażeby się przekonać o siłach, jakie ma przed sobą i czyli cesarz Napoleon z wielką armią nie przybył do Lipska.

Gdyby ksiązę Schwarzenberg zamiast rozpoznania uderzył był tego dnia połączonymi siłami na oddzielony od wielkiej armii korpus króla Neapolitańskiego, mógł był go w niebezpieczne wprawić położenie, albowiem wielka armia znajdowała się na linii długiej, pochodowej, rozciągnięta na drodze od Wurzen do Lipska i pierwsze jej oddziały stanęły dopiero 14. października z wieczora w Reudnitz, o ćwierć mili od Lipska, dokąd cesarz dnia tego przeniósł swoją główną kwaterę. Odległość zaś od Liebertwolkwitz do Lipska wynosiła półtorej mili. Lecz ksiązę Schwarzenberg wszystkich sił nie miał jeszcze pod ręką; rezerwy jego dopiero później nadeszły.

Wiadomo wszystkim, iż cesarz Napoleon, postawiwszy w obserwacji armii czeskiej króla Neapolitańskiego z trzema korpusami piechoty i liczną jazdą, opuścił Drezno dnia 7. października z częścią sił swoich, złożoną z gwardyi starej i młodej, dwóch korpusów piechoty: czwartego Bertraud, jedenastego Macdonalda i dwóch korpusów jazdy rezerwowej: pierwszego Latour-Maubourga i drugiego Sebastiani, wogóle 60 000 ludzi i zwrócił się maszerując po obu brzegach Elby ku armii śląskiej Blüchera i armii północnej Bernadottego, których poruszenie obserwowały trzy połączone korpusy: szósty Marmonta, siódmy Reyniera i trzeci Ney, po klęskach poniesionych pod Dennewitz i Jüterbog, wynoszące już tylko 50.000 ludzi. Zamiarem cesarza było zmusić Blüchera do stoczenia stanowczej bitwy i poraziwszy go obrócić się w tym samym zamiarze ku armii czeskiej, na wodzy trzymanej przez króla Neapolitańskiego.

W Dreźnie, który jako punkt środkowy swych działań i główną przeprawę przez Elbę uważał, pozostawił pierwszy

korpus Mouton-Loebau i czternasty marszałka Gouvion St.-Cyr, w ogóle 26.000 ludzi, pod zasłoną mocnych polowych szanieców, z rozkazem bronięcia miasta do upadłego. Spodziewał się bowiem cesarz po ukończonej operacji przeciw Blücherowi, powrócić do Drezna i linię Elby, na której prócz Magdeburga, posiadał jeszcze Wittenberg i Torgau, na nowo zająć. W Lipsku spodziewał się zastać korpus odwodowy marszałka Augereau z 10.000 piechoty i piąty korpus rezerwowo jazdy generała Milhaud z 4.000 koni; prócz tych dwóch korpusów książę Padwy z trzecim korpusem rezerwowym jazdy 3.000 koni i małym oddziałem piechoty, stojąc w Lipsku, bronił komunikacji z Erfurtem. Około Lipska stało więc w odwodzie 17.000 ludzi; pod królem Neapolitańskim 42.000 ludzi naprzeciw armii czeskiej; w Dreźnie 26.000; przeciwko Blücherowi Ney z 50.000 ludzi; w Hamburgu marszałek Davoust z 25.000 ludzi; nareszcie w twierdzeniach nadelbiańskich 18.000 ludzi. Sam zaś cesarz z 60.000 armią w środku pomiędzy tymi wszystkimi korpusami, gotów był nieść pomoc, tam, gdzieby się tego potrzeba okazać miała.

Taka dyspozycja była bezwątpienia najstrategiczniejsza, jaka tylko być mogła i zupełnie zastosowana do jego położenia, gdyby nie tak wielka przewaga sił nieprzyjacielskich. Lecz po przegranych pod Kulmen, nad rzeką Katzbach, pod Dennewitz i pod Jüterbog, w których to potrzebach wojsko francuskie straciło około 70.000 ludzi, prócz mnóstwa armat i amunicji, szala oczywiście przeważała się na stronę sprzymierzonych.

Cesarz Napoleon, włącznie z garnizonem Drezna, miał pod ręką około 195.000 do 200.000 wojska. Sprzymierzeńcy prócz wojska, w obserwacji Drezna pozostałego, liczyli więcej o 100.000 ludzi.

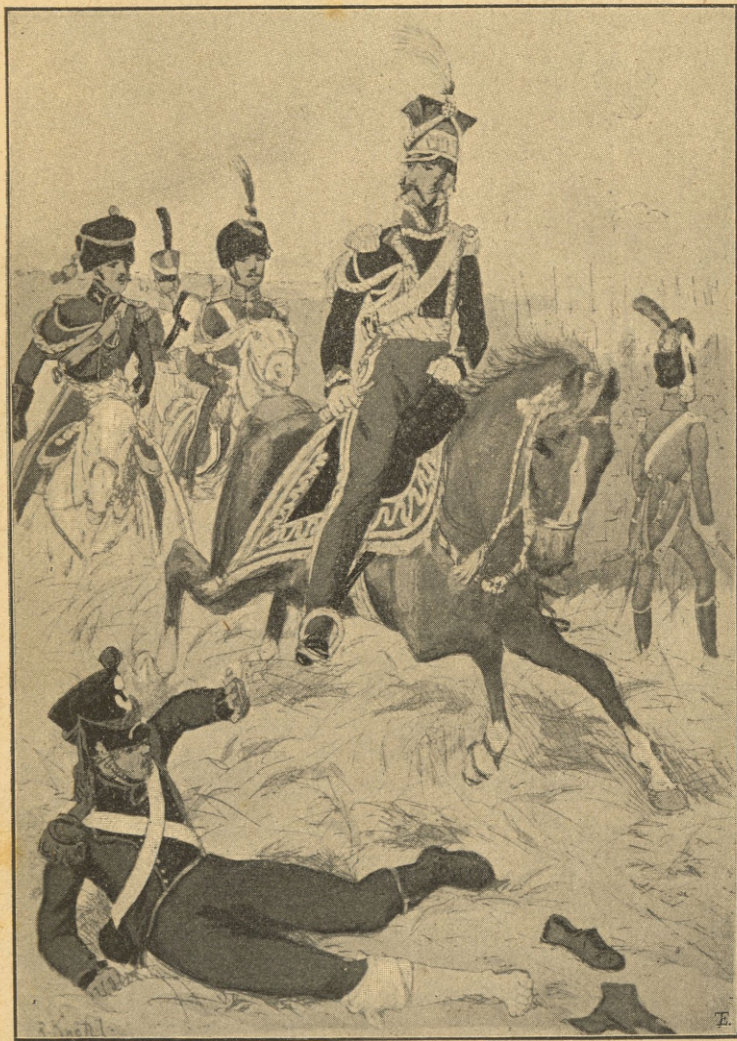
Przewaga była więc zbyt wielką; dodać do tego jeszcze wypada, iż wojska sprzymierzonych składały się z dobrego i wyćwiczonego żołnierza, mianowicie jazda francuska nie mogła porównania z jazdą nieprzyjacielską wytrzymać.

Wojska te we własnym kraju walczyły w obronie ojezyny swojej, przygnębionej żelaznem ramieniem Napoleona; przystępowały więc do każdej bitwy z wielkim zapalem i w niektórych potrzebach rozwinęły odwagę, energię, zaciętość nawet, jakich po nich, mianowicie po Prusakach, wcale się nie spodziewano. Przeciwnie wojsko francuskie składało się po większej części z młodych, szesnastoletnich konskrypcyonistów, zebranych na pędzie, nie obeznanych z bronią, nie wprawionych do pochodów, upadających pod ciężarem pakunku: kości starych bowiem żołnierzy wielkiej armii, powracających z Moskwy, bielily się na polach Smoleńska, Możajska, nad Berezyną, na całym trakcie od Moskwy do Kowna. Bito się odważnie i ochoczo pod okiem i sterem wielkiego wodza; lecz tam, gdzie sam nie dowodził, ponoszono okropne klęski, świadkiem Kulm, Katzbach, Dennewitz! Do tego marszałkowie i generałowie francuscy, tęskniąc za spokojnem używaniem dostojenstw i dotacyi swoich, pragnęli kresu niebezpieczeństw, na które od początku wojen rewolucyjnych byli wystawieni.

Nareszcie i to nadmienić wypada, iż cesarz nie mógł wcale liczyć na sprzymierzonych swoich niemieckich, mianowicie: Sasów, Bawarów, Wirtemberczyków, Westfalezyków, Hesów, Badeńczyków; wojna bowiem przybrała barwę wojny narodowej i każdy Niemiec w szeregach francuskich, czując, iż przeciw własnej ojezynie walczy, tylko wolą króla swego i karnością wojskową krępowany, bił się źle, gdyż przeciw sumieniu własnemu i przekonaniu.

W takim stanie rzeczy, pod wpływem tak nieprzyjaznych okoliczności, było to wielkim błędem ze strony Napoleona, zostawiać dwa korpusy w Dreźnie i obsadzać tak mocno twierdze nadelbiańskie. Stracił przez to niepowrotnie 40.000 ludzi, które na polach Lipska stanowezy wpływ byłyby miały.

Mojem zdaniem, należało opuścić linię Elby, a przynajmniej opuścić Dreźnie i wycofać się z matni, założonej na



WOJSKO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

1. Huzar. 2. Oficer artylerji konnej. 3. Generał brygady. 4. Oficer grenadyerów. 5. (leżący). Artylerzysta pieszy.

niego na polach lipskich wprzód, nimby skoncentrowane masy sprzymierzonych się tę zaciągnąć potrafiły. Zdaje się, iż cesarzowi już wtedy wypadało zwolna ustępować ku granicom francuskim i z po za Renu w groźnej postawie traktować o pokój. Lecz względy polityki i honoru narodowego przemogły, bał się też może rozprzężenia młodej armii w czasie tak długiego pochodu. Wreszcie niezwyczężony dotąd na żadnem polu bitwy, ufał jeszcze swojej gwiazdzie i w stanowisku środkowem upatrywał wielkie korzyści na przypadek bitwy. Postanowił więc skoncentrować wszystkie siły pod Lipskiem i stanowczą przyjąć tu bitwę.

Nim przystąpimy do opisu bitew na polach lipskich, o ile się ten wojsk polskich tyczy, obrachujmy się naprzód dokładnie ze stosunkami sił, walczycie tu mających.

Wojsko sprzymierzone składało się:

A. Z armii czeskiej pod fedmarszałkiem księciem Schwarzenbergiem, do której należały: pierwszy, drugi, trzeci i czwarty korpusy austriackie i lekka dywizya, wogóle 70.000 ludzi; drugi korpus pruski jenerała Kleista 23.535, w którym było około 5.000 koni; korpus rosyjski pod księciem Wittgensteinem 18.000; rezerwa pod wielkim ks. Konstantym 25.000. Ogółem 136.000; między tymi przynajmniej 25.000 jazdy.

B. Z armii śląskiej pod jenerałem jazdy Blücherem, do której składu wchodziły: pierwszy korpus pruski pod jenerałem Yorkiem 21.429 ludzi; rosyjski korpus pod jenerałem Langeronem 25.000; rosyjski korpus pod jenerałem Sackem 10.000. Ogółem 56.429 ludzi.

C. Z armii północnej pod królewiczem szwedzkim Bernadottem, złożonej ze szwedzkiego korpusu pod hrabią Stedingk 18.000; rosyjskiego korpusu jenerała Wintzingerode 25.000; trzeciego korpusu pruskiego pod jenerałem Bülowem 25.000. Ogółem 68.000 ludzi.

D. Z armii zwanej polską, pod jenerałem Beningsenem składającej się z przedniej straży pod hrabią Strogonowem 4.000 ludzi; piechoty rosyjskiej pod jenerałem Doktorowem 23.000;

korpusu kozackiego pod atamanem Płatowem 1.500; drugiej lekkiej dywizji austriackiej pod hrabią Bubną 8.000. Ogółem 41.500 ludzi — a zatem łącznie 300.000 ludzi i 1.500 armat.

Wojsko francuskie składało się z następujących korpusów, których przybliżoną siłę tu podajemy:

Pod marszałkiem Oudinotem i Mortier: stara gwardya 1.000 ludzi; młoda gwardya 21.000; jazda gwardyi 6.000 koni. Drugi korpus pod marszałkiem Victorem 18.000; trzeci korpus pod marszałkiem Neyem 22.000; czwarty korpus pod generałem Bertrandem 14.000; piąty korpus pod generałem Lauristonem 10.000; szósty korpus pod marszałkiem Marmontem 20.000; siódmy korpus pod generałem Reynierem z Sasów 8.000; ósmy korpus pod księciem Poniatowskim 10.000; jedenasty pod marszałkiem Macdonaldem 14.000; odwodowy pod marszałkiem Augereau 10.000; pierwszy korpus jazdy rezerwowej pod Latour-Maubourgiem 6.000; drugi korpus jazdy rezerwowej Sebastiani 6.000; trzeci korpus jazdy rezerwowej księcia Padwy 3.000; czwarty korpus jazdy rezerwowej Kelemana 3.000; piąty korpus jazdy Milhaud 3.000; dywizya generała Dąbrowskiego 3.000. Ogółem 187.000 ludzi, między tymi 25.000 do 30.000 jazdy i 800 dział. Polaków było około 16.000 do 17.000, nie licząc w to szwoleżerów Krasieńskiego i batalionu grenadyerów Kurcuzza, wcielonych do gwardyi.

Pół miliona ludzi zbrojnych stało więc naprzeciw siebie, gotowych rozstrzygnąć losy Europy. Od czasów napadu barbarzyńców na państwo rzymskie, od czasów nawałności Mongołów i Tatarów, nie widziano na jednym bojuwisku tak wielkich mas zebranych. Dlatego też Niemcy pamiętną bitwę Lipską dotąd zowią *Völkerschlacht* (bitwą ludów).

Dnia 15. cesarz Napoleon rozpoznawszy miejscowość i przegląd wojsk swoich odbywszy, następujące wydał rozporządzenie:

Korpus ósmy polski zajmie prawe skrzydło, i obronę brzegów rzeki Pleissy od Doelitz do Connewitz ma sobie po-

ruczoną. Punkta te były nader ważne. Od ich posiadania zależało bowiem zupełne bezpieczeństwo tego skrzydła i całej armii. Wystawione zaś były nie tylko na ataki frontowe prawego brzegu Pleissy, ze strony armii czeskiej, lecz i na ataki boczne z lewego brzegu tej rzeki, ze strony mocnego oddziału tejże armii, pod księciem Hessen-Homburgiem i Meersfeldem. Opanowanie wsi Doelitz i Connewitz, o które opierało się prawe skrzydło francuskie, otwierało sprzymierzonym najkrótszą drogę do Lipska i zagrażało komunikacyom wielkiej armii na trasie do Altranstädt. Lewe skrzydło piechoty polskiej dochodziło do lasku pod owczarnią Meyersdorf. Tu stała druga dywizya Izydora Krasińskiego, 8., 16. i 4. pułki nadwiślańskie. Pierwsza zaś dywizya pod generałem Małachowskim obsadziła wsie wyżej wymienione, nad Pleissą. W przerwie pomiędzy temiż dywizyami rozwinięta była jazda hrabiego Valmy. W odwodzie o 1.500 sążni za nami, pod Probstheidą, stały gwardye stare i młode, a bardziej opodal ku Lipskowi na trasie od Borna, korpus marszałka Auge-reau. Skrzydło prawe było zatem należycie zabezpieczone.

Obok nas, na naszym lewym skrzydle, stały w dwóch liniach: drugi korpus Victora i piąty generała Lauristona. Za nimi i w przedziałach pomiędzy nimi, pierwszy, drugi i piąty korpusy rezerwowe jazdy, przeszło 1.500 koni, pod osobistym dowództwem króla Neapolitańskiego.

Pod Stoeteritz, o trzy czwarte mili od lewego skrzydła i w tyle za nim, stał korpus jedenasty Macdonalda na początku bitwy, lecz wkrótce sprowadzony został do Holzhausen i około południa zajął stanowisko swoje na linii bojowej, dla wsparcia lewego skrzydła, zagrożonego z tej strony.

Pod Moeckern i Entritsch obozowały dwa korpusy: szósty Marmonta i siódmy Reyniera; pod Pfaffendorf trzeci korpus rezerwowi jazdy, pod księciem Padwy, i dywizya jenerała Dąbrowskiego, wogóle 34.000 ludzi. Przeznaczenie miały obserwować i zatrzymać ruchy nadchodzącej od Delitsch armii śląskiej, pod dowództwem Blüchera.

Pomiędzy Macdonaldem a Marmontem stał korpus trzeci Ney, przeznaczony z początku do działania wspólnego z Marmontem, lecz gdy armia śląska do godziny 10. z rana nie pokazywała się, Napoleon niespokojny o lewe skrzydło swoje pod Liebertwolkwitz, wśród bitwy przyciągnął do siebie korpus Ney i przez to pozbawił korpus Marmonta ważnej rezerwy, na którą powinien był rachować, a tem samem najbardziej się przyczynił do jego porażki.

Pod Lindenau znajdował się czwarty korpus Bertranda, dla zasłony mostów na Pleissie i Elstrze i drogi do Lützen.

Naprzeciw głównej armii francuskiej, pod dowództwem cesarza Napoleona, działała armia czeska pod ks. Schwarzenbergiem, mianowicie drugi i czwarty korpusy austriackiej rezerwy, austriacki korpus skombinowawy, pruski i rosyjski pod Barclayem de Tolly i rezerwy rosyjskie i pruskie pod wielkim księciem Konstantym, wogóle około 100.000 ludzi. Korpus pierwszy austriacki Colloredo jeszcze nie nadszedł, a trzeci Giulay przeznaczony był do działania przeciwko generałowi Bertrandowi, strzegącemu z czwartym korpusem komunikacji wielkiej armii francuskiej.

Siły francuskie połączone tu wynosiły 110.000; były zatem z niewielką różnicą nieprzyjacielskim równe. Lecz cesarz miał te wszystkie siły w boju, kiedy na stronie sprzymierzonych spodziewano się przybycia t. zw. armii polskiej Bennigsen, i armii północnej Bernadottego, wynoszących przeszło 100.000. Gdy te stanęły na linii bojowej, stosunek sił zupełnie się zmienił.

Co do szyku armii czeskiej, ten był następujący:

1. Generał jazdy, hrabia Giulay, z trzecim korpusem austriackim, lekką dywizją księcia Maurycygo Lichtensteina i korpusem lekkim generała Thielemana, atakować miał wieś Lindenau w tyle armii francuskiej, zagrażając przez to komunikacji głównej armii.

2. Księżę Hessen-Homburg z drugim korpusem generała jazdy Meerveldta i z częścią rezerw austriackich operować miał

pomiędzy Pleissą i Elsterą. Nakazano mu starać się o zdobycie przeprawy przez Pleissę pod Connewitz; co pociągało za sobą oskrzydlenie prawego skrzydła francuskiego.

3. Jenerał hrabia Wittgenstein z korpusem rosyjskim, z drugim korpusem pruskim Kleista, czwartym jenerała Kleinau i z resztą rezerw austriackich miał w czterech kolumnach przypuścić atak do linii francuskiej, rozwiniętej na wzgórzach po za wsiami Wachau i Liebertwollkwitz.

W drugiej linii za nim stał korpus grenadyerów rosyjskich pod jenerałem Rajewskim, z dwóch dywizyj złożony, i druga dywizya kirasyerów jenerała Kretowa.

Pod Magdeborn nareszcie, naprzeciw środka pozycji, pod wielkim księciem Konstantym i jenerałem Miłoradowiczem, stały gwardye pruskie i rosyjskie i pierwsza dywizya kirasyerów rosyjskich jenerała Deperadowicza.

Około godziny 8. zrana rozpoczął się ogień na lewem skrzydle nieprzyjacielskim, a prawem naszym, ze strony korpusu pruskiego Kleista, który przeszedłszy wsie Groeberu i Gossewitz rozwinął się naprzeciw Markkleeberg i wieś tę opanował. Francuzi starali się usilnie zdobyć tę wieś napowrót; lecz korpusowi Kleista udało się utrzymać przy niej za nadejściem części rezerw austriackich pod jenerałem Bianchi.

Druga kolumna armii Wittgensteina pod księciem Wirtemberskim, stanowiąca środek, posunęła się ku wzgórzom pod Wachau, przechodząc obok wsi Güldengossa. Jazda tej kolumny zbliżyła się do Liebertwollkwitz. Usiłowania tej kolumny zwrócone były ku wsi Wachau, którą też na początku bitwy zajęć potrafiła.

Gdy Francuzi ze znacznymi kolumnami piechoty i liczną artyleryą poszli naprzód i po uporczywej bitwie zdobyli napowrót Wachau i usadowili się w niem powtórnie, kolumna księcia Wirtemberskiego po wielkich stratach musiała cofnąć się ku Güldengossa.

Trzecia kolumna z korpusu Wittgensteina pod księciem Gorczałowem postępowała w prawo księcia Wirtemberskiego

ku Liebertwollkwitz; lecz tu znalazłszy zbyt silny opór, cofnęła się także musiała ku Gossa, przestając na zajęciu tej wsi.

Jazda hrabiego Pahlena z korpusem Wittgensteina zapełniła próżne miejsca pomiędzy księciem Gorczakowem i księciem Wirtemberskim, lecz wystawiona będąc na ogień artylerji francuskiej, wiele ucierpiawszy, opuścić musiała wzgórze pod Lieberwollkwitz i w tył się cofnęła.

Czwarta kolumna, pod jenerałem austriackim Klenau o godzinie 9. zrana wyruszyła z Gross-Poessna, przez las zwany Krähenwald, leżący na wschód Liebertwollkwitz ku temu, ostatniemu punktowi i zajęła stanowisko w prawo tejże wsi, na wzgórzu. Lecz korpus jedenasty Macdonalda, który ściągnął cesarz ze Stoetteritz, nie dopuścił jenerała Klenau, do Liebertwollkwitz, zaczął działać zaczepnie i po nader zaciętej walce, w czasie której dwie dywizye młodej gwardyi pod maszałkiem Mortierem na pomoc korpusowi jedenastemu przyszły, zmusił tę kolumnę do cofnięcia się aż do pierwszego swojego stanowiska, pomiędzy Gross-Poessna i Fuchshain, pod lasek uniwersytecki. Szczególnie żywą stała się bitwa o posiadanie góry Kahlenberg, przy której nareszcie Francuzi utrzymali się.

Walka szczególnie interesująca dla nas się tu wszczęła; tu bowiem walczył ósmy korpus księcia Poniatowskiego, a z tego korpusu pierwsza dywizya pod jenerałem brygady Małachowskim. z 1., 12. i 15. pułków złożona, przeciwko drugiemu korpusowi austriackiemu hrabiego Meerveldta, broniła przystępu do Pleissy.

Bitwa pod
Connewitz.

Rozłożeni na prawym brzegu tej rzeki tyralierzy nasi, zasłonięci krzakami i drzewami, do tego zabezpieczeni wysokim brzegiem Pleissy, przepelnionej ostatnimi deszczami, na której most pod Connewitz zebrali, walczyli korzystnie z piechotą austriacką i pomimo jej żywego ognia nie usuwali się na krok.

Połączone tu siły austriackie wynosiły: korpus hrabiego Meerveldta trzynaście batalionów piechoty, dwanaście szwadronów jazdy i siedm baterji artylerji; odwodowa dy-

wizya Bianchi'ego dwanaście batalionów i trzy baterye artylerji; dywizya Weissenwolffa ośm batalionów grenadyerów i dwie baterye artylerji; nareszcie korpus odwodowy jazdy Nostitza trzydzieści szwadronów kirasyerów, sześć szwadronów szwoleżerów i trzy baterye konne.

Kolumna Meerveldta zaczęła się posuwać na lewym brzegu rzeki Pleissy przez Gautsch ku Connewitz, lecz zastawszy most zebrany i nie mogąc, dla niedogodnego położenia, użyć artylerji, musiała trzymać się głównego traktu ku Lipskowi, po obydwóch stronach którego stały gęste krzaki i dęby. Polacy każde przedsięwzięcie przeprawy silnym armatnim i broni ręcznej ogniem odpierali. Jenerał Meerveldt starał się przeto o przeprawę powyżej, lecz i to mu się nie udało, ponieważ okolica pokryta była zaroślami, a do tego bagnami i łąkami przeplatana. Podobnież na niczem spełzył zamiar przeprawy pod Loessnig.

W Doelitz, które rzeka Pleissa na dwie części dzieli, leży folwark z mieszkalnym domem na lewym brzegu. Ten punkt Austriacy z rana o godzinie 8. obsadzili i tu nader zacięta się wszczęła walka; polska bowiem piechota zajmwszy wieś z młynem, pilnowała brzegów i przeprawy usilnie broniła. Austriacy zapalili młyn granatami; podobnież Polacy starali się zapalić folwark, w ręku Austryaków będący. W tym stanie rzeczy jenerał Meerveldt otrzymał rozkaz przedłużania pozornych ataków na Connewitz, a tymczasem miał się postarać o wstępną przeprawę pod tą wsią.

Tym sposobem od rana do południa, bitwa na całej linii od Connewitz do Liebertwolkwitz wrzała z wyraźnem niepowodzeniem po stronie sprzymierzonych. Z obydwóch stron rozciągnięte linie stały naprzeciw siebie. Przeszło 1.000 dział grzmiało na tej linii. O godzinie 10. zrana szczególnie kanonada ogromne przybrała rozmiary. O godzinie 11. przed południem piechota wzajemnie na siebie nacierała, jazda uderzyła na czworoboki; artylerja przewróciła zupełnie mury i płoty wsi Doelitz, Wachau, i Libertwolkwitz. Wsie te prze-

chodziły z rąk nieprzyjacielskich w nasze i na odwrót z naszych w nieprzyjacielskie.

Cesarz Napoleon znajdował się na wzgórzu pod Wachau, a widząc stąd, jaki obrót bitwa przybiera, rozkazał gwardyom stojącym pod Probsthaidą, w ściśniętych kolumnach posuwać się naprzód; zaś korpusowi jedenastemu Macdonalda zbliżyć się kazał od Stoetteritz ku Holzhausen, dla zakrycia lewego skrzydła pozycyi pod Liebertwollkwitz. W tym celu korpus ten w ukośnym sformował się szyku, na ostatnim końcu lewego skrzydła, ażeby przeszkodzić oskrzydleniu onegoż, lub też szybką zmianą frontu i posunięciem się naprzód obejść prawe skrzydło sprzymierzonych. W tym także zamiarze dwie dywizye młodej gwardyi pod marszałkiem Mortierem i drugi korpus rezerwowy Sebastianiego posłane zostały w tę stronę. Ku Wachau zaś cesarz wysłał dwie dywizye młodej gwardyi pod marszałkiem Oudinottem, całą artyleryę rezerwową gwardyi i pierwszy korpus jazdy rezerwowej Latour-Mabourg, dla wsparcia korpusu marszałka Victora. Na tym punkcie cesarz Napoleon osobiście zostawał do godziny 3. po południu. Walka wszędzie trwała bez przestanku, gdyż atak równie był silny, jak opór zacięty. Bój toczył się szczególnie o wsie powyżej wymienione: Doelitz, Wachau i Liebertwollkwitz.

Bitwa pod
Wachau.

Jenerał Barclay de Tolly, głównie komenderujący linią bojową rosyjską i pruską, chcąc zatamować postępy Francuzów, rozkazał się zbliżyć rezerwom swoim, mianowicie dwom dywizyom grenadyerów rosyjskich i drugiej dywizyi kirasyerów pod jenerałem Rajewskim, dla wsparcia księcia Wirtemberskiego.

Książę Schwarzenberg odebrawszy wiadomość, że hrabia Wittgenstein ustępuje przemocy francuskiej i że cesarz główne siły skoncentrował naprzeciw Wachau i Liebertwollkwitz, w zamiarze obejścia prawego skrzydła, a może i przełamania środka; rozkazał księciu Hessen-Homburg z większą częścią korpusu odwodowego austriackiego, a mianowicie: z jazdą

pod generałem Nostitzem i dywizją generała Bianchi przejść na prawy brzeg Pleissy pod Gosswitz i Deuben i stanąć w szyku bojowym przed wsią Groebern.

O godzinie 1. w południe czoło jazdy austriackiej zaczęło się rozwijać przed Groebern. W tej chwili czwarty korpus jazdy Kellermana, z 24 szwadronów polskich i pułku dragonów gwardyi pod generałem Lefort, posunął się przeciw kirasyerom austriackim. Przyszło do zaciętej walki pomiędzy obydwoma jazdami; nawet Krakusy nasze brały w niej udział. Polskie szwadrony, sadząc przez rowy oddzielające ich od kirasyerów, nacierali na front i na skrzydła, lecz po kilkunastu dzielnych szarżach nie zdołali rozbić żelazem pokrytych hufców austriackich, z doborowego żołnierza złożonych. Potrząskawszy lance o kirysy, cofnąć się musieli i uszykowali się opodal. Potyczki między pojedynczymi jeźdźcami długo się jeszcze przedłużyły. Dzielne natarcie naszej jazdy wstrzymało tu jednak postępy kirasyerów austriackich, a dowodzący generał Nostitz ranny tu został.

Pomiędzy epizodami tej bitwy wspomnieć należy o dzielnej szarży kirasyerów pułku Somariva, którzy przebiwszy linie podwójne jazdy naszej w pędzie niepowstrzymanym, podsunęli się pod czworoboki piechoty, mianowicie czwartego nadwiślańskiego, a doznawszy tu rotowego ognia, rzucili się w bok na artylerję rezerwową francuską, lecz ta spokojnie odprzodkowawszy swoje działa, takim ich ogniem kartaczowym przywitała, iż z wielką stratą pierzchnąć musieli i pojedynczo tylko dostać się mogli do swego korpusu. Wielu z nich w odwrocie zostało skłutych lub wziętych do niewoli przez naszych ułanów.

Jenerał Bianchi z Groebern poszedł w dwóch kolumnach aż do Markkleeberg i tu zluzował korpus Kleista, od kilku godzin w bitwie będący; tym sposobem wstrzymał dalsze postępy Francuzów.

Francuzi nie mogąc przełamać lewego skrzydła nieprzyjaciela, po odparciu ataku na Wachau, połączyli wszystkie

siły swoje przeciwko środkowi i zaczęli mocno nacierać na oddział pod księciem Wirtemberskim. Jazda francuska nie spodzianie wyruszyła z pod lasku przy Wachau i wieś tę zostawiwszy po prawej stronie, posunęła się w największym pędzie naprzód, a przełamawszy lewe skrzydło drugiego korpusu piechoty rosyjskiej pod księciem Wirtemberskim, z niesłychaną śmiałością coraz się dalej zapuszczała.

Piechota rosyjska i dziewiąta brygada pruska zformowały czworoboki i w miejscu stojąc, przepuściły tę nawałność, lecz lekka dywizja jazdy rosyjskiej gwardyi pod generałem Schäwitz, formując się przeciwko niej, nie zdążyła uszykować się, porwana została w największym nieporządku przez jazdę francuską, zostawiając w ucieczce swojej wieś Gossa po lewej stronie. — 26 dział było już straconych; nie było żadnej rezerwy jazdy pod ręką, godzina 3. po południu wybiła, środek sprzymierzonych rzeczywiście był przełamany, niebezpieczeństwo do najwyższego kresu doszło, cesarz miał bitwę za wygraną!

Jazda francuska, mianowicie kirasyerzy Latour-Maubourga, znajdowała się już tylko o kilkaset kroków od wzgórza, za wsią Gossa, z której cesarz Aleksander i król pruski przypatrywali się bitwie. Eskorta ich składała się z pułku kozaków lejbgwardyi, pod generałem hrabią Orłow-Denisowem. Pułk ten doborowy, na rozkaz cesarza rosyjskiego nadstawivszy lance, uderzył na jazdę francuską już rozprzężoną w gonitwie, zatrzymał jej zapęd, 24 dział odbił i z pomocą szykującej się na nowo dywizyi lekkiej jazdy generała Schawitza i jazdy hrabiego Pahlena, zmusił ją do odwrotu. Generał francuski Latour-Maubourg stracił tu nogę od kuli armatniej, generał Schawitz zginął.

Gdyby dwie dywizye gwardyi francuskiej były przybyły w czas na poparcie ataku jazdy swojej, bitwa wygranaby była. Po szczęśliwym odparciu nieprzyjacielskiej jazdy, wszystkie rezerwy: austriacka, pruska i rosyjska zaczęły się posuwać ku Wachau. 80 dział rezerwowych rosyjskich stanęło na lewo

wsi Gossa. Pomimo tych groźnych ruchów francuska piechota, nie zatrzymując się w wstępnym pochodzie ku środkowi, zdobyła owczarnię Auenhain. Tu przyszło do zaciętej bitwy z grenadyerami rosyjskimi Rajewskiego, którzy z bagnetem nadstawionym odparli Francuzów i owczarnię Auenhain napowrót zdobyli. Pułkownik austriackiej piechoty Limbschon z dywizją Bianchi'ego i jednym batalionem grenadyerów austriackich brali silny udział w tej potyczce. Inne kolumny francuskiego wojska opanowały wzgórza Gossa i szykowały się do ataku wsi rzeczonej. Połowa wsi Gossa już była w ręku Francuzów, gdy nadejście piechoty pruskiej, wzmocnionej rezerwami, tamę położyło dalszym postępom Francuzów.

Francuzi zatoczyli działa naprzeciw Gossa i na nowo uformowali się w kolumny do ataku: lecz nadejście strzelców gwardyi rosyjskiej obróciło bitwę na tym punkcie na stronę sprzymierzonych i Francuzi na nowo wyparali z Gossa zostali. Noc tu przerwała walkę.

Jenerał hrabia Pahlen z jazdą swoją, wzmocniony drugą dywizją kirasyerów Kretowa, uszykował się pod wsią Störmthal i tam stał wieczorem. Jenerał Gorczakow z pierwszym korpusem rosyjskim utrzymał się przy lasku uniwersyteckim. Jenerał Klenau z czwartym korpusem austriackim zajął pozycję pod Gross-Poessna i Fuchshain. Wprawdzie jedenasty korpus Macdonalda starał się wieś Seiffertshain opanować ku wieczorowi, i już miał tę wieś w posiadaniu swoim, lecz połączonym siłom jenerała Klenau, któremu wieczorem dwa pułki kirasyerów pruskich pod pułkownikiem Wranglem na pomoc przybyły, udało się Seiffertshain napowrót odzyskać. Silna kanonada z obydwóch stron koniec położyła bitwie.

Powróćmy teraz do Connewitz.

Jenerałowie austriaccy: Lederer i książę Alojzy Lichtenstein napróżno usiłowali, pierwszy pomiędzy Connewitz a Lösnig, drugi pod Doelitz, zbudować mosty na Pleissie. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, udało się jenerałowi Meerveldtowi przeprawić się z batalionem Straucha brodem

pod Doelitz, pomimo najsilniejszego oporu ze strony polskiej; lecz zaledwie przeprawę skutecznił, atakowany z boku przez dywizyę starej gwardyi pod jenerałem Curialem, a we froncie zatrzymany przez naszą piechotę i artyleryę, wpędzony został do wsi Doelitz. Tu batalion austryacki, dokoła obsadzony, chorągiew swoją spalił i sam się poddał. Jenerał Meerveldt został ranny i wzięty do niewoli. W czasie tej walki piechota z dywizyi Małachowskiego, z częścią jazdy i artyleryą konną stała w ściśniętych kolumnach po obydwóch stronach traktu do Lipska; za nią w odwodzie część korpusu marszałka Augereau.

Przeprawę jenerała Meerveldta najpierwszy spostrzegłem, znajdowałem się bowiem na lewo traktu z Doelitz do Mark-Kleeberg, gdy czoło kolumny Straucha zaczęło się na szosy pokazywać, tylko mnie rów szosy od niej rozdzielał. Austryacy ze spuszczoną bronią biegli ku Doelitz. Kilka strzałów padło na mnie, zwróciłem więc konia i pospieszyłem do dywizyi. Jenerałowi Curial, stojącemu w bok Doelitz w ściśniętych kolumnach, opowiedziałem jak rzeczy stoją. Ten bez wielkiego namysłu zwrócił kilka batalionów w prawo do Doelitz; za ukazaniem się ich Austryacy wpadli do wsi palącej się, w nadziei połączenia ze swoimi w folwarku obwarowanym, lecz ich klęska ostateczna spotkała.

Jeżeli się Austryakom ta przeprawa przez Pleisę nie udała, której celem było oskrzydlenie prawego skrzydła Francuzów i odcięcie ich od Lipska, to tylko przypisać można waleczności i wytrwałości ósmego korpusu polskiego, pod księciem Poniatowskim, i czwartego pod hrabią Valmy.

W czasie tych zdarzeń pod Connewitz, Wachau i Liebertwollkwitz, jenerał hrabia Giulay z drugim korpusem austryackim, z jedną lekką dywizyą austryacką księcia Maurycego Lichtensteina i oddziałem lekkiej jazdy barona Thielemana, atakował na lewym brzegu rzeki Elstery w trzech kolumnach, korpus czwarty Bertranda, zajmujący wsie: Lindenau, Plagwitz i Leutsch. Po zaciętej

Bitwa pod
Lindenau.

walce, w której Austriacy już byli zdobyli wieś Lindenau, na odwrotnej linii francuskiej od Lipska do Weissenfels leżąca, generał Bertrand, tknięty niebezpieczeństwem, grożącym wielkiej armii, a po tego nagłony rozkazami Napoleona, postanowił zrobić wielkie wysilenie dla odzyskania tak ważnego punktu. W tym celu rozwinięwszy całą artyleryę, postąpił na nowo naprzód i wieś Lindenau nad samym wieczorem odebrał Austryakom, a marszałek Giulay cofnął się do Klein-Zschocher.

Na lewem skrzydle Macdonalda w odległości jednej blisko mili, stały trzy korpusy francuskie: czwarty Marmonta, siódmy Rayniera (ostatni w większej połowie z Sasów złożony) i korpus trzeci marszałka Ney; pierwsze dwa 30.000, ostatni 20.000 ludzi wynoszące, na pozycji pod Moeckern i Eutritsch, pomiędzy rzekami Elsterą i Larthą. Przednia straż zajmowała wsie Lindenthal i Radefeld. A że nieprzyjaciel do godziny 10. zrana nie pokazywał się, przeto korpus trzeci Ney, na prawem skrzydle pozycji stojący, z rozkazu cesarza pomaszerował ku Connewitz.

Około godziny 11. zrana zaczęły się błyszczeć zdaleka bagnety armii śląskiej pod generałem Blücherem, złożonej jak następuje: korpus pierwszy Yorcka 48 batalionów, 14 batalionów strzelców i 13 bateryi, razem 21.429 ludzi pod bronią; korpus rosyjski Langerona: 24 bataliony, 20 bat. strzelców, 5 bateryi i 11 kozackich pułków; korpus rosyjski generała St.-Priest: 20 batalionów, 26 bat. strzelców, 3 baterye i 4 kozackie pułki. Plothe podaje siłę całej armii śląskiej tego dnia na 56.429 ludzi, mianowicie: korpus pierwszy Yorcka 21.429, jak wyżej; Langerona 25.000 i Sackena 10.000 ludzi; korpusu St.-Priesta nie podaje.

Nie jest moim zamiarem opisywać bitwę pod Moeckern, w której polskie wojsko żadnego nie miało udziału. Niektóre głównejsze rysy dostateczne tu będą. Korpus szósty Mar-

monta skoncentrowany był, jak wyżej mówiłem, za wsią Moeckern; korpus siódmy Reyniera stał na jego prawem skrzydle. Naprzeciw Marmonta rozwinął się korpus Yorka. Naprzeciw Reyniera korpus Langerona.

Główny atak wymierzony był ze strony Langerona na wieś Moeckern. Po wyparciu Francuzów we wsi Radefeld i Lindenthal, rozpoczęła się żywa kanonada z obydwóch stron. Prusacy zdobyli Moeckern, wyparci po dwakroć zostali, lecz nareszcie po wielkiej stracie utrzymali się przy niem. W tejże chwili generał York na czele jazdy uderzył na jazdę szóstego korpusu i przełamał ją; piechota pruska z nastawionym bagnietem poszła za tem poruszeniem i zmusiła francuską do odwrotu. Niektóre francuskie czworoboki przełamane zostały. 53 działa, dwie chorągwie, jeden orzeł i 2000 niewolnika wzięte zostały. Wskutek tej porażki piechota francuska cofnęła się w wielkim nieładzie do Eutritsch i Gohlis. Marszałek Marmont, generałowie Compans i Frederic, i kilku innych generałów ranni byli. Korpus Yorka stracił w tej walce 172 oficerów i 5508 żołnierzy zabitych i rannych. Strata francuska była nierównie większa. Korpus Langerona w tymże samym czasie atakował wsie Gross- i Klein-Wiedteritsch piechotą swoją, zdobył je i znów utracił; nareszcie się przy nich utrzymał. Siódmy korpus Reyniera stracił w tej bitwie 11 dział i wiele niewolników. W tych pozycjach noc rozdzieliła walczących. Nad wieczorem dopiero trzeci korpus Ney, który cały dzień stracił na marszach i kontrmarszach z lewego skrzydła ku środkowi wielkiej armii, pokazał się na prawem skrzydle szóstego korpusu; lecz za późno: bitwa bowiem rozstrzygnięta już była na stronie sprzymierzonych. Obydwa korpusy: Ney i Marmonta, przepawiły się wieczorem przez Parthę. Marszałkowie francuscy mieli główną kwartę w Schönfeld. Forpocztę francuskie stały w Eutritsch, Gohlis i Mochau. Jazda księcia Padwy i generała Dąbrowskiego cofnęły się do Pfaffendorf, blisko bramy *Gaerberthor* pod samym Lipskiem.

Dzień 17. października na całej linii, wyjąwszy na stronie Marmonta i armii śląskiej, przeszedł bezczynnie. Sprzymierzeni postanowili bowiem oczekiwać przybycia pierwszego korpusu austriackiego Colloredo; t. zw. armii polskiej Beningsena i armii północnej księcia Bernadotte'go, których wystąpienie na linię bojową powiększyło siłę sprzymierzonego wojska o 130 tysięcy ludzi.

Napoleon zamiast korzystać z tej zwłoki do porządnego odwrotu, lub też do powtórnego natarcia na czeską armię, jak mu doświadczeni marszałkowie radzili, przeznaczył dzień ten na spoczynek wojsku; czuł bowiem potrzebę zreorganizowania korpusów, najbardziej dotkniętych wczorajszą bitwą, i zastąpienia ubytku w amunicyi.

O godzinie 11. zrana pierwszy korpus austriacki Colloredo stanął na linii bojowej i zajął pozycję w pierwszej linii pomiędzy Markkleeberg. i Doelitz, lewem skrzydłem oparty o Pleisę. O godz. 4. po południu czoło kolumny armii polskiej Beningsena stanęło w Fuchshain; armia północna księcia Bernadotte'go w pełnym pochodzie spieszyła na pobojuwisko, monarchowie sprzymierzeni postanowili więc w dniu następnym powiększonymi siłami odnowić atak, a godzina 7. zrana wyznaczona została do ogólnego natarcia ze wszystkich stron.

Cesarz Napoleon dnia 17. października przybył do naszego ósmego korpusu i podziękowawszy w pochlebnych wyrazach księciu Poniatowskiemu za udział świetny Polaków w bitwie pod Connevitz, mianował go marszałkiem państwa francuskiego. Nic bardziej nie dowodzi ważności stanowiska naszego.

Dzień 17. października nie przeminął tak spokojnie na stronie armii śląskiej, na lewem skrzydle francuskim. Tu bowiem generał Blücher przedsięwziął popierać zebrane w dniu wczorajszym korzyści. Pozostawiwszy w rezerwie korpus pierwszy pruski Yorka, potrzebujący wypoczynku, po stratach w wilię dnia poniesionych, posunął się naprzód z korpusami Langerona i Sackena przeciw francuskiemu stano-

wisku. Korpus szósty Marmonta wskutek tego poruszenia opuścił wieś Eutritsch i przednią strażą zajął pozycję prawem skrzydłem o wieś Schoenfeld, lewem o Gohlis.

Wieś ostatnią atakował generał Sacken ze swoim korpusem, rozkazawszy jeździe pod generałem Wasilczykowem, złożonej z dwóch dywizji huzarów i kozaków, natrzeć na jazdę francuską księcia Padwy, na prawem skrzydle stojącą. Jazda francuska nie dotrzymała placu i w wielkim nieładzie pierchła pod sam Lipsk. Huzary rosyjskie uprowadzili z sobą pięć dział i wielki popłoch po sobie zostawili.

Gohlis, niejaki czas dość uporczywie broniony przez Francuzów, zdobyty nareszcie został za nadejściem rezerwy Yorka.

W tejże chwili przyszła wiadomość z głównej kwatery księcia Schwarzenberga, iż bitwa ogólna na dzień 18. października odłożona została. Generał Blücher pomimo odniesionych korzyści rozkazał zaprzestać bitwy i wojskom swoim pozostać w dawnych pozycjach.

Cesarz Napoleon przewidując dnia 18. października powtórny atak ze strony sprzymierzonych, wycofał w nocy z 17. na 18. października korpusy: drugi, piąty i jedenasty z Wachau i Libertwollkwitz bliżej ku Lipskowi, i nakazał im zająć stanowisko w odległości jednej mili od miasta; o godzinie 2. z rana rozkazał wojskom swoim stanąć pod bronią i następujące zająć stanowiska:

Bitwa pod
Lipskiem.

Prawe skrzydło, z ósmego korpusu polskiego, drugiego i piątego złożone, pod królem Neapolitańskim, uszykowało się w ten sposób, iż korpus ósmy polski zajął Connewitz, drugi stanął pod Probstheidą; piąty przy Stötteritz. Rezerwą prawego skrzydła, z drugiej dywizji młodej gwardyi złożoną, dowodził marszałek Oudinot, a zbliżony był do Connewitz. Znaczne oddziały tych korpusów przed linię bojową wystawione, trzymały wsie Doelitz, Doesen i Zuckelhausen, niemniej owczarnię Meisdorf i cegielnię, na drodze z Liebertwollkwitz do

Lipska leżąca. Środek, złożony z korpusu jedenastego Macdonalda, stał pod wsią Holzhausen. Oddziały tego korpusu zajmowały nad ranem wsie Klein-Pösna, Baalsdorf i związek z lewem skrzydłem utrzymywały przez Zweinaundorf i Mölkau.

Gwardye stare stały w rozwiniętym szyku na górze glinianej (Thonberg), przy tabacznym młynie Duanetta. Na prawem ich skrzydle dwa bataliony grenadyerów saskich i polskich, ostatni pod dowództwem Kurciusza. Około godziny 11. zrana Krakusy polskie stanęły przy gwardyi, na prawym batalionie grenadyerów polskich. Jazda gwardyi przenosiła się w czasie bitwy na rozmaite punkta, dla wsparcia linii piechoty. Marszałek Mertier z drugą dywizją młodej gwardyi otrzymał rozkaz czuwania nad przystępami do Lipska.

Dodać i to muszę, że część korpusu ósmego, mianowicie dywizya piechoty Izydora Krasińskiego, pod osobistem dowództwem księcia Poniatowskiego zajęła pozycję w bok wsi Probstheide, na prawo korpusu Victora; obok niej stała jazda czwartego korpusu pod hrabią Valmy. W lewo wsi Probstheide rozwinęła się bateria o kilkadziesiąt działach z korpusu Victora i z gwardyi. Cesarz Napoleon stał przez dzień cały prawie przy młynie tabacznym i stąd wydawał rozkazy.

Lewem skrzydłem dowodził marszałek Ney; szósty korpus Marmonta stał przy Schoenfeld; trzeci pod dowództwem jenerała Souhama, wzdłuż Parthy w Leutsch i przy kościele św. Tekli; siódmy korpus Reyniera przy Paunsdorf; forpocztę tego ostatniego korpusu obsadziły miasteczko Taucha. Na północ miasta Lipska, na Halskiem przedmieściu aż do bramy Rosenthal i w folwarku Pfaffendorf stały: jazda księcia Padwy i dywizya jenerała Dąbrowskiego. O godzinie 3. zrana cesarz udał się osobiście do Lindenau, do czwartego korpusu Bertranda i rozkazał mu maszerować drogą z Lützen do Weissenfels i opanować most na rzece Saali; stąd cesarz pospieszył do głównej kwatery marszałka Neya, do Reudnitz, i stosowne dla lewego skrzydła wydał instrukcje.

Nad samem ranem, przed rozpoczęciem bitwy, cesarz uwolnił generała jazdy hrabiego Meerveldta na słowo honoru i wręczył mu pismo do cesarza austriackiego, w którym okazywał skłonność do układów i gotowość do zawarcia zawieszenia broni; ofiarował oraz wydanie sprzymierzonym twierdz nadwiślańskich i nadelbiańskich.

Ze strony przeciwnej następujące wydano rozporządzenia do bitwy: atak miał się odbyć w sześciu kolumnach:

Pierwsza i druga kolumna pod rozkazami księcia Hesen-Homburga, z drugiego korpusu austriackiego i dywizji Lederera złożona, operować miała przeciw Connewitz, na lewym brzegu Pleissy.

Druga kolumna pod generałem Colloredo, z pierwszego korpusu austriackiego, dywizji rezerwowych Bianchie'go i Weissenwolfa, trzeciej dywizji rezerwowej jazdy i dywizji księcia Alojzego Lichtensteina z drugiego korpusu austriackiego złożona, miała posuwać się od Markkleeberg, po prawym brzegu Pleissy ku Doelitz i Loessnig i wspólnie z pierwszą kolumną starać się o opanowanie wsi Connewitz, tak ważną rolę odgrywającej dnia poprzedzającego; te dwie masy połączone, wynosiły czterdzieści tysięcy ludzi.

Trzecia kolumna pod generałem rosyjskim Barclayem de Tolly, złożona z korpusu rosyjskiego księcia Wittgensteina, drugiego pruskiego Kleista i rezerwy pruskiej i rosyjskiej, a wynosząca 55.000 ludzi, atakować miała wieś Wachau i Liebertwollkwitz, a następnie wieś Probstheide.

Czwarta kolumna pod generałem Beningsenem, złożona z t. zw. polskiej armii, z czwartego korpusu austriackiego Klenau'a; jedenastej brygady Zieten i kozaków atamana Płatowa, razem 50.000 ludzi, miała przeznaczenie obejść lewe skrzydło francuskie i postępować z Fuchshain i Seifertshain przeciw Zuckelhausen i Holzhausen, następnie ku Lipskowi.

Piąta kolumna pod następcą tronu szwedzkiego Bernadottem, złożona z armii północnej i z armii śląskiej korpusu Langerona, przy którym generał Blücher sam osobiście chciał się

znajdować, nie bardzo ufając dobrej woli i energii Bernadotte'go. wynosiła 96.000 do 100.000 ludzi, i miała przejść Parthę pod Taucha; korpus zaś Langerona w obliczu armii francuskiej pod Mockau.

Szósta kolumna nareszcie pod hrabią Giulayem nie doznała zmiany: postępować miała na nowo z Klein-Zschocher ku Lindenau. Siła jej wynosić mogła 20.000 ludzi.

270.000 sprzymierzonych ścieśniało więc coraz bardziej obwód, na którym Francuzi, stratami bitwy poprzedniej do 150.000 ludzi zredukowani, walczyć postanowili.

O godzinie 6. zrana forpocztę doniosły o opuszczeniu wsi Wachau przez Francuzów.

O godzinie 7. zrana atak rozpoczął się w nakazanym porządku. Druga kolumna pod księciem Hessen-Homburg i Colloredo uformowała się między Doesen i Loessnig na prawym brzegu Pleissy, na wzgórzu tamtejszem, tak, iż dywizya Bianchi'ego w pierwszej, dywizya Weissenwolffa w drugiej, jazda rezerwowa w trzeciej linii stanęły, w odwodzie zaś dywizya księcia Alojzego Lichtensteina i pierwszy korpus austriacki Colloredo. W miarę, jak pozostawione w Doesen, Doelitz i Loessnig oddziały francuskie walcząc ustępowały, kolumna rezerwowa naprzód postępowała, lewym brzegiem o Pleissę, prawym o wojsko generała Kleista oparta. Francuzi i Polacy z wielką zaciętością potykali się. Drugi korpus austriacki na lewym brzegu Pleissy bez skutku odstrzeliwał się naszym tyralierom, rozłożonym w Connewitz, wzdłuż brzegów Pleissy. I tu daremne były usiłowania ze strony austriackiej. Dowodzący generał Hessen-Homburg został ranny; hrabia Colloredo po nim objął komendę. Austriacy posunęli się zaraz z jednej strony pod Connewitz, z drugiej pod Doelitz, Doesen i lasek po prawej stronie leżący; dalej jednak nie mogli żadną miarą postąpić; wszystkie ich usiłowania rozbiły się o waleczność francuskiego i polskiego wojska. Bitwa coraz gorętszą się stawała; austriackie pułki ustępować już zaczynały, gdy dywizye Wimpfena i Gretha z korpusu pierwszego

austriackiego równowagę przywrócić zdołały. Dywizya Wimpfena zdobyła wieś Doesen na nowo i postąpiła na wzgórze, pod tą wsią leżące. W tej chwili brak amunicji czuć się już dawał na linii austriackiej, i na nowo obawiać się zaczęto o to skrzydło, gdy nadejście brygady Czollicha z korpusu feldmarszałka Giulaya, stojącej pod Gautsch z rozkazu księcia Schwarzenberga, stan rzeczy zmieniło. Nareszcie przybycie drugiej dywizji grenadyerów i kirasyerów rosyjskich wszelkie niebezpieczeństwo usunęło. Pomimo tego jednak zadanie tej kolumny spełnionem nie zostało. Pozycja pod Connewitz do późnej nocy pozostała w rękach naszych.

Trzecia główna kolumna pod jenerałem Barclayem de Tolly, wymaszerowała w dwóch oddziałach ze wsi Gossa, pierwszy pod hrabią Wittgensteinem ku Liebertwollkwitz, drugi pod jenerałem Kleistem ku Wachau. Gwardye rosyjska i pruska, grenadyerzy Rajewskiego i jazda rosyjska i pruska, postępowały za tym ruchem. Cesarz Aleksander, król pruski i feldmarszałek książę Schwarzenberg, znajdowali się przy tej kolumnie.

Pierwszy oddział pod hrabią Wittgensteinem spotkał francuskie przednie straże na wzgórzach, na zachód Liebertwollkwitz w pozycji; po żywym ogniu działowym Francuzi ustępować zaczęli i zatrzymali się pomiędzy Liebertwollkwitz i Probstheidą, przy cegielni. I tu przyszło do mocnego działowego ognia, wskutek którego Francuzi cofnęli się do Probstheidy i Stötteritz, które były istotnymi kluczami pozycji z tej strony; pierwszą obsadził marszałek Victor swoim korpusem, artylerję rozwinął w lewo wsi, a jazdę postawił w odwodzie za wsią. Również mocno zajął marszałek Macdonald Stötteritz. Lewe skrzydło zakrywała dywizya kirasyerów.

W czasie cofania się przednich straży francuskich z pod Liebertwollkwitz i Wachau, jenerał Pahlen przeszedłszy pomiędzy Zuckelhausen i Stötteritz, starał się obejść wieś Holzhausen i urwać cofające się kolumny francuskie; lecz ten plan nie udał się zupełnie. Tylko kilka dział zdemontowanych do-

stało się w jego ręce. Dywizya kirasyerów francuskich spostrzegłszy ten napad, przybyła na pomoc piechocie swojej i jazdę jenerała Pahlena do odwrotu zmusiła, przyczem hrabia Pahlen był dwa razy ranny.

Dywizya jenerała Kleista, mając 50 dział na przodzie, postępowała frontem przeciwko Wachau, zajęła ten punkt słabo broniony, następnie obsadziwszy las pod Wachau, po krótkiej potyczce zajęła owczarnię Meyersdorf. Na tej wysokości obydwie kolumny Wittgensteina i Kleista, nieco się zatrzymały, chcąc dać czas kolumnie nieco spóźnionej Benigsena, do zrównania się na linii bojowej.

Okolo godziny 11. zrana przyszło do żywego natarcia ze strony jazdy polskiej na czwarty korpus rosyjski Kellermana, jazdę nieprzyjacielską hrabiego Pahlena I. i jenerała Roedera. Jenerał dywizyi Sokolnicki na czele ósmego i szesnastego pułku ułanów oraz trzynastego huzarów kilka szarż przypuścił na jazdę rosyjską i pruską. Przy tej sposobności jenerał brygady Kwaśniewski zdobył i uprowadził jedno działo austriackie, siedząc sam na niem.

Atak i obrona
Probstheidy. Teraz przyszła chwila ataku wsi Probstheida przez kolumny Kleista i Wittgensteina. Była godzina 2. po południu. Gwardye i rezerwy wszystkie stanęły na wzgórzu, w prawo cegielni, gotowe do wsparcia tegoż ataku. Drugi korpus rosyjski księcia Wirtemberskiego, 10. i 12. brygada pruska rozpoczęły tu ogień. Pruskie tyraliery 12. brygady, za którymi piechota pruska postępowała w kolumnach, przekroczyli mury obwodowe wsi, zapuścili się w ulicę i doszli do końca przeciwnego. Lecz tu spotkali liczne kolumny korpusu Victora, które je napowrót przeparały. Atak ponowiony został przez 10. brygadę pruską z takimże samym skutkiem i po raz drugi odparty został. Kolumny pruskie wprawdzie zdobyły część wsi Probstheide, lecz ustąpić musiały przed natarczywością francuskiej piechoty i cofnąć się o dwieście kroków za wsią, gdzie na nowo uformowały się. Drugi korpus księcia Wirtemberskiego nie był

szczęśliwszy. Książę Poniatowski wiele się przyczynił do obrony wsi Probstheide, na czele batalionów polskich dywizji Izydora Krasińskiego, które sam pojedynczo prowadził w ogień. Strata tej dywizji była bardzo wielka i przy końcu bitwy bataliony rozpuszczone w tyralierach, nie liczyły więcej jak po trzysta ludzi.

Monarchowie sprzymierzeni przypatrywali się tej walce; widząc usiłowania piechoty swojej nadaremne, kazali się kolumnom cofnąć bardziej w tył. Artyleria pruska i rosyjska zasłoniła ruch ten wsteczny i z punktów wyższych utrzymywała ogień nader morderczy z bateriami francuskimi. O godzinie 3. po południu ogień tych ostatnich, rozwiniętych w lewo wsi Probstheide, wolnie zaczął. Książę Poniatowski spostrzegłszy tę zmianę, udał się do tych baterii i bardzo strofował pułkownika francuskiego, komenderującego niemi. Lecz ten w milczeniu wskazał ręką na pole, gdzie stały jego działa. Cała pozycja zasłana była kanonierami, końmi i zdemontowanymi działami. Pomiędzy niemi leżał zabity syn pułkownika, komendant jednej baterii. Książę Poniatowski ścisnąwszy z żalem rękę pułkownika, odwrócił się i do piechoty swojej pospieszył.

O tym samym czasie cesarz Napoleon na czele jazdy gwardyi przejeżdżał linie swoje z prawego skrzydła ku lewemu. Wszędzie odzywały się okrzyki »niech żyje cesarz!« Już doszła do niego wiadomość o przejściu Sasów i o porażce lewego skrzydła. Noc nareszcie zastała walczących w tych samych pozycjach. Sprzymierzeni cofnęli kolumny przednie swoje z kartaczowego ognia, Francuzi zostali w posiadaniu wsi Probstheida. Nareszcie ogień z obydwóch stron zamilkł. Na całej więc linii od Connewitz do Stötteritz, sprzymierzeni żadnych korzyści nie odnieśli, a straty z obydwu stron były znaczne.

Atak armii pol-
skiej Benig-
sena.

Czwarta kolumna sprzymierzonych pod jeneralem Benigsenem, stanęła pod bronią; o godzinie 6. z rana dwie dywizye: dwunasta i dwudziesta

szósta poszły ku Klein-Poesna, lecz tu już Francuzów zastały. Atak nastąpił w czterech kolumnach:

Pierwsza kolumna, stanowiąca lewe skrzydło, z jedenastej brygady Ziethena złożona, zajęła las przed Klein-Poesna, zdobyła wieś Zuckelhausen po żywej bitwie; zatrzymała się w obserwacji ruchów francuskich pod Stötteritz, nie śmiąc jednakże dalej postąpić, ponieważ główne siły francuskie skoncentrowane były pod Probstheida, których pominąć nie było można. Jenerał Ziethen starał się tylko, aby ogniem artylerji razić francuskie linie, pod Stötteritz stojące.

Druga kolumna, z czwartego korpusu austriackiego złożona, atakowała wieś Holzhausen, której bronił oddział korpusu Macdonalda i po żywej bitwie, wsparta dwunastą i dwudziestą szóstą dywizją rosyjską, usadowiła się w niej. W tym czasie drugi korpus jazdy rezerwowej Sebastianiego, kilka razy uderzył na kolumny rosyjskie dwunastej i dwudziestej szóstej dywizji Doktorowa; lecz piechota rosyjska utrzymała się przy pomocy jazdy jenerała Kreutza. Ogień wzajemny artylerji raził obydwie jazdy.

Trzecia kolumna pod jenerałem Strogonowem, wsparta dywizją jazdy Czaplica, poszła z Klein-Poesna ku Klein-Baalsdorf i wsie Baalsdorf i Zweinaundorf po żywej bitwie zdobyła. Tu nacierały nawzajem na siebie; jazda francuska gwardyi pod jenerałem Waltherem i rosyjska jenerała Czaplica.

Czwarta kolumna pod hr. Bubna wyszła z Zwengfurth i pomimo wielkiego oporu ze strony francuskiej zajęła wielki trakt z Wurzen do Lipska, i wsie Paunsdorf i Mölkau zdobyła.

Ataman Płatow z kozakami poszedł na prawo, a hrabia Bubna otworzył komunikację z armią północną królewicza szwedzkiego.

Tym sposobem cała okolica pomiędzy Zuckelhausen, Zweinaundorf, Mölkau i Plausdorf, zejęta została przez korpus Benigsena.

Atamanowi Płatowowi udało się przeciągnąć na swoją stronę lekką brygadę wirtemberską jenerała Normana, złożoną z dwóch pułków jazdy. Toż samo stało się pomiędzy Zweinaundorf i wielkim traktem do Wurzen, z saskiem wojskiem, oddawna przysposobionem do tego zdradzieckiego kroku. Tu przeszło pięć batalionów piechoty, jeden pułk jazdy i dziewiętnaście dział pod jenerałem marszałkiem Rypel, należącym do prawego skrzydła korpusu siódmego Reyniera, następnie i inne saskie wojska, mianowicie dwa pułki jazdy, huzary i ułany, brygada piechoty pułkownika Brause i cała artylerya saska.

O godzinie 3. po południu jenerał Benigsen udał się na swoje prawe skrzydło do królewicza szwedzkiego, aby się porozumieć z nim i przyczynił się atakami jazdy i ogniem artyleryi do zdobycia wsi Sellerhausen.

Wojsko Benigsena wieczorem zajęło następujące pozycye: Jedenasta brygada w Zuckelhausen; czwarty korpus Klenaua przed Holzhausen, zwrócony ku Stötteritz; korpus Doktorowa, jedenasta, dwunasta i trzynasta dywizye rosyjskie przed Zweinaundorf; dwudziesta szósta dywizya Paskiewicza na górze wiatrakowej ku Stötteritz. Przednia straż jenerała Strogonowa przy Mólkau; jazda Czaplica w tyle za nią; jazda jenerała Kreutza zwrócona ku Stötteritz; druga austryacka lekka dywizya Bubny i korpus Płatowa z tamtej strony Paunsdorf; główna kwatera jenerała Benigsena w Baaldorf.

Piąta główna kolumna czyli armia północna pod królewiczem szwedzkim.

Najprzód królewicz Bernadotte miał zrana rozmowę z jenerałem Blücherem pod Breitenfeld, na której postanowiono, ażeby armia północna przeszła pod Taucha przez Parthę, pod tym jednakże warunkiem, ażeby ją jenerał Blücher 30.000 ludzi ze śląskiej armii wzmocnił na ten dzień. Jenerał Blücher przeznaczył na ten cel korpus rosyjski Langerona i sam postanowił ten korpus poprowadzić.

Ogólne rozporządzenie na tem zależało, ażeby przeszedłszy Parthę połączyć się lewem skrzydłem z armią polską Benigsena i wspólnie postępować ku Lipskowi. Tym końcem armia północna, stojąca pod Breitenfeld, opuściła swoje biwaki o godzinie 8. zrana i w następującym porządku przebyła Parthę:

Trzeci korpus pruski Bülowa i jazda rosyjska generała Winzingerode, stanowiące lewe skrzydło, przeszły pod Taucha.

Korpus rosyjski generała Winzingerode z przednią strażą, pod generałem Woroncowem, przeszły pod Grasdorf.

Armia szwedzka pułkownika Stedingka, pod Plaussig.

Czwarty korpus generała Langerona, pod osobistym kierunkiem generała Blüchera, pod Möckau, stanowiąc prawe skrzydło. Ta masa cała wynosiła przeszło 90.000 ludzi.

Miasteczko Taucha obsadzili Francuzi i mocno się w niem bronili. Generał rosyjski Pahlen III, obszedłszy miasto, zdobył je i wziął cały batalion saski do niewoli, poczem generał Bülow zwrócił się ku Paunsdorf, które wprawdzie hrabia Bubna z armią Benigsena wprzód opanował, lecz później opuścić musiał, a teraz na nowo obsadzone było piechotą i artylerją francuską. Landwera Bülowa, pomimo najmocniejszego ognia, poszła na przebój, wieś Paunsdorf opanowała i usadowiła się w niej. Korpus Langerona chcąc zapewnić sobie przeprawę przez Parthę, pomiędzy Möckau i Alt Nauendorf wystawił 36 dział dwunasto-funtowych i artylerją francuską, pod Neutsch stojącą, zmusił do milczenia i przeszedł rzekę, choć piechota miała wodę po pas. Francuzi cofnęli się pod Schoenfeld.

W chwili, kiedy generał rosyjski Korff z jazdą żywo następował, dwa pułki saskie, huzary i ułany, przeszły do sprzymierzonych; Francuzi stanęli pod Schoenfeld i tu rozpoczął się mocny ogień tyralierski, który tak długo trwał, dopóki trzeci korpus pruski Bülowa nie wszedł na linię bojową i nie otworzył komunikacyi z armią polską, przez Paunsdorf.

Ponieważ tem poruszeniem sprzymierzonych pozycya francuska nad Parthą na wszystkich punktach przełamana

została, marszałek Ney zmuszony był naprędce front zmienić; w tym celu zebrawszy wszystkie trzy korpusy, pod swoją komendą będące, zajął nimi linię od Schoenfeld na Sellerhausen i Stünz, a siódmy korpus Reyniera stanął w dwóch liniach przy wsi Paunsdorf. Cokolwiek jazdy saskiej z artylerją konną i batalion lekki saski, niemniej brygada wirtemberska jenerała Normana stały na przodzie, pomiędzy Paunsdorf i Taucha.

W chwili, gdy rosyjska jazda natrzeć już miała, jazda saska i wirtemberska szybko przeciw niej poszły i połączyły się z nią. Za ich przykładem wystąpiły z linii bojowej saska piechota, jedna brygada pod pułkownikiem Brausem i dwa pułki jenerała Rypla, z całą artylerją. Natrafiły one na atamana Płatowa, zapewne już uprzedzonego, który kilka kozackich pułków wysłał przeciwko, aby ich zasłonić przed jazdą francuską, usiłującą przeszkodzić temu poruszeniu. Przejście to nastąpiło w tym właśnie punkcie, gdzie się armia północna z polską stykała. Tym sposobem dokonana tu została powtórna, niesłychana zdrada ze strony wojsk obcych, połączonych od tak dawna z francuskim węzłami koleżeństwa na polach bitwy. Westfalczyki dali pierwszy przykład pod Reichenbergiem, jak już wspominałem. Przemogła nad honorem wojskowym, świętym u wszystkich narodów, miłość do ojczyzny niemieckiej i nienawiść do obcego jarzma.

Tak nagle zmiana w szeregach siódmego korpusu zmniejszyła jego liczbę do 4.000 ludzi pod bronią. Pozycya pod Paunsdorf temsamem upadła.

Jenerał Blücher spostrzegłszy, iż rezerwy francuskie, stojące pod Lipskiem, wysyłają posiłki ku Schoenfeld, rozkazał korpusowi jenerała Sackena postąpić ku Halskiej bramie i atakować szańce nieprzyjacielskie na prawym brzegu Parthy; przez to osiągnął ten skutek, iż posiłki już w marszu będące zatrzymać się musiały.

Około godziny 2. popołudniu, kiedy armia północna stanęła na równej wysokości ze śląską, korpus Langerona roz-

począł atak na wieś Schoenfeld; silna kanonada poprzedziła, wieś zapalona zdobytą została i znów przez francuską piechotę odebrana.

O godzinie 3. marszałek Ney jeszcze raz przedsięwziął zaczepnie działać i tym końcem rozkazał licznym kolumnom piechoty swojej wystąpić ze wsi Sellerhausen i Volksmanskendorf i naprzód się posunąć; lecz jazda rosyjska i szwedzka przeciw tym kolumnom wysłana, po kilku szarżach zmusiła francuską do odwrotu. Cztery działa zostały stracone przez Francuzów w tej utarczce. Skoro tym sposobem atak na środek odparty został, liczne kolumny piechoty francuskiej wystąpiły pomiędzy Engelsdorf i Mölkau, w zamiarze atakowania lewego skrzydła armii północnej, obejścia tego skrzydła i zajęcia mu boków i tyłu.

Zapobiegając temu poruszeniu, hrabia Bubna rozkazał oddziałowi swojemu naprzód postąpić i front odmienić. Jednocześnie trzecia brygada pruska księcia Hessen-Homburskiego zbliżyła się ku zagrożonemu punktowi. Artylerya saska z batalionem raketników angielskich kapitana Bogne, zaczęła ogniem swoim razić francuskie kolumny; nareszcie generał Bülow z całą piechotą pruską przyspieszonym krokiem nadciągnawszy na linię bojową, wsie Stünz i Sellerhausen w szturmie zdobył i utrzymać się w nich potrafił, pomimo kilkakrotnych ataków francuskich.

W tym samym czasie generał Langeron, na prawem skrzydle stojący z masami piechoty swojej, uderzył na wieś Schoenfeld (już się wtedy zmierzchało), zdobył ją także wstępnym bojem i posunął się aż pod wieś Reudnitz, o pół godziny tylko drogi od Lipska; w tej chwili jednak cesarz Napoleon z jazdą gwardyi i dywizją starej gwardyi przybywszy w miejsce zagrożone, uderzył na wieś Reudnitz i korpus Langerona do cofnięcia się przymusił. Przybycie szwedzkiej artyleryi pułkownika Cardell z dwudziestu działami, zatamowało dalsze postępy gwardyi francuskiej i koniec położyło walce na tem skrzydle.

Szóstą główną kolumnę, złożoną z reszty śląskiej armii po odejściu korpusu Langerona, stanowiły korpus rosyjski Sackena i korpus pierwszy pruski Yorcka.

W czasie kiedy korpus Sackena użyty był, jak wyżej wyrażono, do dywersyi na Halską bramę, wskutek której to dywersyi Francuzi brzeg Parthy opuścić musieli i ograniczyli się na obronie szańców i palisad przed Halską bramą, w której to obronie szczególniejszy brali udział Polacy z dywizyi Dąbrowskiego; korpus pruski Yorcka od godziny 10. zrana stał nieporuszony w drugiej linii, na wzgórzach pomiędzy Eutritsch i Gohlis; dywizya jenerała Horna formowała prawe, dywizya Hünerberna lewe skrzydło.

Na żądanie jenerała Sackena dwa bataliony fizylerskie z prawego skrzydła posunęły się pod Gohlis dla wsparcia tyralierów rosyjskich, we wsi i przed wsią Gohlis rozłożonych. Już to wsi tej bronili przeciwko siłom francuskim do późnej nocy.

I tu w końcu walka zastanowiła się.

Siądma główna kolumna, z oddziału feldmarszałka hrabiego Giulaya złożona, poprzestała tylko na zachowaniu pozycji swojej pod Klein-Zchocher, w czasie, gdy jenerał Bertrand z czwartym korpusem francuskim maszerował od Lindenau ku Lützen, torując drogę parkom i bagażom francuskim, które od rana już zaczęły defilować tą drogą: tylko pomniejszych oddziały piechoty i jazdy marsz ten zbliżając obserwowały, do walki jednak nie przyszło.

Około południa brygada Czollich z korpusu Giulaya sprowadzoną została przez feldmarszałka księcia Schwarzenberga na odsiecz lewego skrzydła austriackiego, jak to już wyżej powiedziano.

Nad wieczorem korpus Giulaya niczego nie dokazawszy, odebrał rozkaz maszerowania z resztą korpusu, wynoszącego jeszcze 15.000 ludzi; do Pegau.

Podobnie i korpus pierwszy Yorcka otrzymał polecenie maszerowania do Merseburga, w zamiarze uprzedzenia Francuzów w czasie przeprawy Sali pod Weissenfeld.

W tym samym celu ataman Płatow miał przebyć Pleiszę pod Doelitz lub pod Gossewitz, Elstereę pod Zwencau i starać się niepokoić Francuzów w ich odwrocie.

Jeżeli rzut oka zwrócimy na wypadki dnia poprzedniego, znajdziemy, że prawe skrzydło francuskie i środek ich utrzymały się zupełnie na swoich pozycjach od Connewitz, Probstheida i Stötteritz. Na tej linii sprzymierzeni, pomimo wprowadzenia mas wszystkich do boju, żadnych nie odnieśli korzyści. Przeciwnie lewe skrzydło francuskie, gdzie 40.000 Francuzów walczyło przeciwko połączonym masom armii śląskiej i armii północnej, wynoszącym razem przeszło 120.000 ludzi, dwa razy przełamane zostało i cofnąć się musiało po wielkich stratach aż pod wieś Reudnitz, o pół mili od Lipska. Najwięcej do klęski tu poniesionej, przyczyniło się haniebne przejście Sasów i Wirtemberczyków i zdemoralizowanie wojsk francuskich przez powtórzone natarcie jazdy pruskiej w dniu 16. i rosyjskiej w dniu 17. października.

Widoczną było rzeczą po tych wypadkach, iż francuska armia dłużej utrzymać się nie potrafi pod Lipskiem, i że katastrofą okropną opłacić może dłuższe upieranie się przy swoich pozycjach.

Dnia 18. o godzinie 7. wieczorem generałowie artylerji Serbier i Dulauloy, zameldowali cesarzowi, iż tego dnia 95.000 naboji wystrzelano i tylko 16.000 pozostaje, iż armia przez pięć dni wystrzeliła 220.000 naboji, i że tylko z Erfurtu i Magdeburga stratę tę można zastąpić. Podobna wiadomość potwierdziła w cesarzu myśl odwrotu.

Cesarz przewidując ten koniec, w dniu 18. już myślał o odwrocie; lecz tylko korpus czwarty Bertranda wysłać mógł dla otwarcia drogi bagażom i parkom ku Wiessenfels, innych w boju zawikłanych korpusów ani osłabiać, ani też całkiem ściągać z linii bojowej nie był w stanie.

I to nazwać można szczęśliwem zdarzeniem, iż korpus Giulaya z taką opieszałością wypełniał rozkazy. Generał cokolwiek śmielszy byłby o przysłowiu »złotego mostu« zapo-

niał i ostatni ładunek wystrzelił dla zatrzymania korpusu Bertranda, przełamania przechodowej linii, spalenia parków, i t. d. Jenerał Giulay tego wszystkiego nie uczynił, a gdy odebrano mu brygadę Czollich, nieczynnie patrzył na defilujące parki francuskie przez cały dzień 18. października.

Miasto Lipsk, liczące wówczas około 40.000 mieszkańców, opasane było dokoła starym murem, bynajmniej do obrony niezdatnym; w niektórych miejscach pozostały stare wieże, do których żadnego nie było przystępu; na innych znów punktach widzieć było można strzelnice zrujnowane. W kilku bramach głównych były wejścia do miasta, i tak: na trakcie do Altenburga, *Petersthor*; na trakcie do Grimm, *Grimaisches Thor*; na trakcie do Halli, *Hallesches Thor*; na trakcie do Lützen i Weissenfels, *Ranstaedter Thor*. Naokoło murów prowadziła szeroka aleja, wysadzana lipami w kilku rzędach i obok niej ścieżki z klombami, stanowiące ulubione spacerki mieszkańców Lipska. Poza tym ogrodem poczynają się dopiero obszerne przedmieścia z ogrodami, płotami i murami obwodowymi.

Droga odwrotu naszego prowadziła od *Ranstaedter Thor*, na zachód Lipska leżącej, przez most murowany o jednym łuku na Pleissie, następnie przez długą groblę, ciągnącą się pomiędzy niskimi łąkami, wyspami i zarosłami, aż do wsi Lindenau, na której było kilka mostów drewnianych, rzuconych na odnogach Elstery i rzeczki Lipy. Tą jedną wąską groblą cała armia cofać się musiała. Ażeby spokojnie na niej przedefilować można było, dwa dni było potrzeba, a tu zaledwie kilka godzin, i to nocnych, nam zostawało. Dodajmy do tego, iż wojsko trzydniową walką było nadzwyczajnie znużone, że liczba rannych, a po części nieopatrzonych przenosiła 20.000 ludzi, że wojsko francuskie prowadziło za sobą niesłychaną ilość bagaży: a pojmiemy trudności zaprowadzenia jakiegokolwiek porządku w tym nieszczęśliwym odwrocie. Od dawna należało pomyśleć o możebności odwrotu i przystępy do miasta mocniej obwarować. To, co u Halskiej bramy rozpoczęto przez barykady i palisady, należało przy-

sposobić i przy innych bramach: wysypać prócz tego silne połowe szanice, któreby pierwszy zapęd atakujących kolumn, tak, jak to się stało pod Dreznem, przełamać nie mogły. Lecz to wszystko pominięto: nawet o urządzeniu kilku mostów na odnogach Pleissy i Elstery zapomniano. Tylko jeden most na koziołkach, powyżej murowanego na Pleissie zbudowano i ten wkrótce pod ciężarem uciekających załamał się.

Przepędziwszy noc na biwaku z generałem Umińskim na drodze do Grimma, udałem się zrana wraz z nim do Lipska, gdzie odwiedziliśmy rannych kolegów naszych: Edwarda Potworowskiego i Heliodora Skórzewskiego; pierwszy był adjutantem generała Umińskiego, drugi księcia Poniatowskiego; po-
czem wyjechaliśmy z miasta bramą Petersthor.

W alejach pomiędzy tą bramą a bramą Grimma, stały stara gwardya francuska i najspokojniej goliła się i pudrowała sobie głowy, mając zwierciadła przytwierdzone do lip. Kule armatnie zaczęły warczeć nad ich głowami, ale oni najspokojniej harcapy sobie stroili. Dopiero gdy bębny uderzyły apel, grenadyerzy gwardyi wzięli broń na ramiona i w ściśniętych kolumnach poszli ulicami, pominawszy Petersthor ku Altranstadzkiej bramie.

W nocy z 18. na 19. armia francuska w największej cichości opuściła swoje biwaki, zostawiwszy słabe oddziały we wsiach Connewitz, Probstheida, Stötteritz, Górach glinianych (Thonberge), Vollkmansdorf i Reudnitz, dla zakrycia wstecznego ruchu, i zaczęła defilować traktem do Lützen: najpierw jazda, część parków, piechota marszałków Victora, Augeraua i Ney; za nimi młoda gwardya, zrana o godzinie 9. stara gwardya, za nią nareszcie cesarz. Pożegnawszy króla saskiego i poleciwszy jego osobę wątpliwej wierności batalionu grenadyerów gwardyi saskiej, udał się ze sztabem i eskortą swoją ku Altranstadzkiej bramie. Lecz ciżba była tak wielka, ulice tak napchane, iż musiał zboczyć ku Petersthor; i stąd dopiero alejami, objechawszy mury, dostał się do mostu na Pleissie, około godziny 10. zrana.

Artylerya polska, w większej części park ósmego korpusu, polska jazda czwartego korpusu rezerwowego, przeszły także groblą do Lindenau nad ranem. Toż samo uczyniły dwa pułki ułanów jenerała Dąbrowskiego z artylerją konną Schwe-rina. Krakusy małą eskortę zostawiwszy przy księciu Ponia-towskim, przeszli za jazdą czwartego korpusu. Cesarz obronę miasta Lipska poruczył marszałkom Macdonaldowi i księciu Poniatowskiemu; pierwszy na czele jedenastego i reszty pią-tego korpusu Lauristona, drugi na czele ósmego korpusu. Ci dwaj wodzowie mieli rozkaz bronić miasta i zatrzymać ko-lumny sprzymierzonych tak długo, dopóki ostatnia armata, ostatni wóz amunicyjny, ostatni ranny nie przejdą mostu. Nad mostem murowanym na Pleissie czuwał oficer z oddzia-łem minerów, z rozkazem wysadzenia go po przejściu tyl-nej straży.

Korpus polski, z piechoty i z kilku dział artylerji tylko złożony, po stratach dni ostatnich, liczył zaledwie 2.500 do 3.000 ludzi zdatnych do boju. Szwadron kirasyerów polskich pozostał w eskorcie księcia Poniatowskiego, niemniej mały od-dział Krakusów.

Korpusy, jedenasty i piąty połączone, nie miały więcej nad 10.000 ludzi pod bronią. Tą małą garstką trzeba było obsadzić przedmieścia i przystępy do miasta, od Halskiej do Peterskiej bramy.

Książę Poniatowski podjął się obrony od bramy Grimma do Peterskiej; marszałek Macdonald obrony reszty. Tym koń-cem książę Poniatowski obsadził mury, płoty i ogrody tyra-lierami, w ulicach prowadzących do bram zatoczył kilka dział, rezerwy zachował w alejach. Przy królu saskim pozostał ba-talion grenadyerów gwardyi saskiej; prócz tego kilka batalionów heskich, badenskich i francuskich z dawnego garnizonu lip-skiego pod jenerałem brygady Bertrudem, stały w mieście.

O godzinie 8. zrana grzmot dział ze wszystkich wzgórz oznajmił atak nieprzyjaciela. Masy sprzymierzonych wojsk stały w ściśniętych kolumnach na strzał armatni od miasta; na le-

wem skrzydle rezerwy austriackiej korpus pierwszy Colloredo, obok niego korpus Kleista i Wittgensteina, następnie armia polska Benigsena, dalej pod Reudnitz korpus Bülowa, mający w odwodzie za sobą Szwedów pod marszałkiem Stedinghem; nareszcie od Halskiej bramy korpusy Sackena i Langerona z śląskiej armii.

Atak rozpoczął się na Halskiem przedmieściu ze strony korpusu Sackena. Około godziny 10. zrana Rosyanie podstąpili pod Halską bramę, zdobyli barykady i opalisadowania broniące przystępu do niej, lecz tu natrafili na mocniejszy opór. Dopiero za nadejściem korpusu Langerona powtórny atak nastąpił, ten się udał i brama Halska zdobytą została. Rosyanie wstępnym bojem weszli do miasta, bój się wszczął na ulicach.

Z armii północnej, korpus Bülowa trzymający porządek atakował przedmieście od Schoenfeld. I tu bramę zatarasowaną znaleźli; z poza murów strzelnicami opatrzonych i z poza płotów szedł ogień nader żywy ze strony francuskiej. Książę Hessen-Homburg, dowódca brygady pruskiej, ranę tu otrzymał, kilku oficerów i żołnierzy pruskich padło; atak się nieco zastanowił. Dopiero za przybyciem sześciu batalionów szwedzkich z baterią artylerji rozstrzygła się tu walka na stronę sprzymierzonych, a wchód od Schoenfeld zdobyty został.

Jednocześnie strzelec armii północnej korpusu Woroncowa, opanowali bramę Grimma i do miasta wkroczyli pomimo najzaciętszego oporu; za nimi korpus Benigsena.

Kolumny sprzymierzonych ze wszech stron wchodziły w ulice i szycowały się na rynkach. Żołnierze francuscy pojedynczo spotykani, prezentowali broń przed generałami nieprzyjacielskimi, a potem ją składali. Mieszkańcy na widok zwycięzców, witali ich radosnymi okrzykami, kobiety powiewały z okien chustkami, wieńce pod nogi rzucały; niektóre nawet ścisnęły oficerów i żołnierzy, wołając *die Kosaken, sind doch schoene Leute!* Inni zaciętsi za naszymi żołnierzami strzelali.

Od strony Petersthor korpusy Kleista, Wittgensteina i Colloredo walczyły od samego rana z garstką Polaków. Po dzielnym oporze musieli oni przed siłą przemagającą ustąpić z przedmieść. Książę Poniatowski batalion po batalionie sam w ogień wprowadzał; zostawiwszy parę batalionów, mianowicie czwarty nadwiślański pod pułkownikiem Malczewskim, w alejach w odwodzie, książę na czele eskorty kirasyerów i Krakusów w ulicy szarżując na tyralierów pruskich, pierwszą ranę odebrał w rękę od kuli karabinowej; kazał się opatrzyć, wsiadł znów na konia i rękę na chustce trzymając, nie przestał walczyć.

Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Hesi i Badeńcy, stojący w mieście, przeszli na stronę sprzymierzonych, i zaczęli z murów miasta do naszych strzelać. Pułkownik Malczewski poległ od ich strzałów.

W tej chwili tyralierzy nieprzyjacielscy z korpusu Sackena, obszedłszy mury od zachodniej części miasta, zaczęli się zbliżać ku Ranstedzkiej bramie: kule ich dochodziły już murowanego mostu. Ulice prowadzące doń, zapchane były tłumami rannych, chorych i bezbronnych; wozy amunicyjne, armaty, powozy oficerskie w zbitej, nierozwikłanej masie cisnęły się ku mostowi; zamieszanie powstało nie do opisania. Berezyna mi się przypomniła...

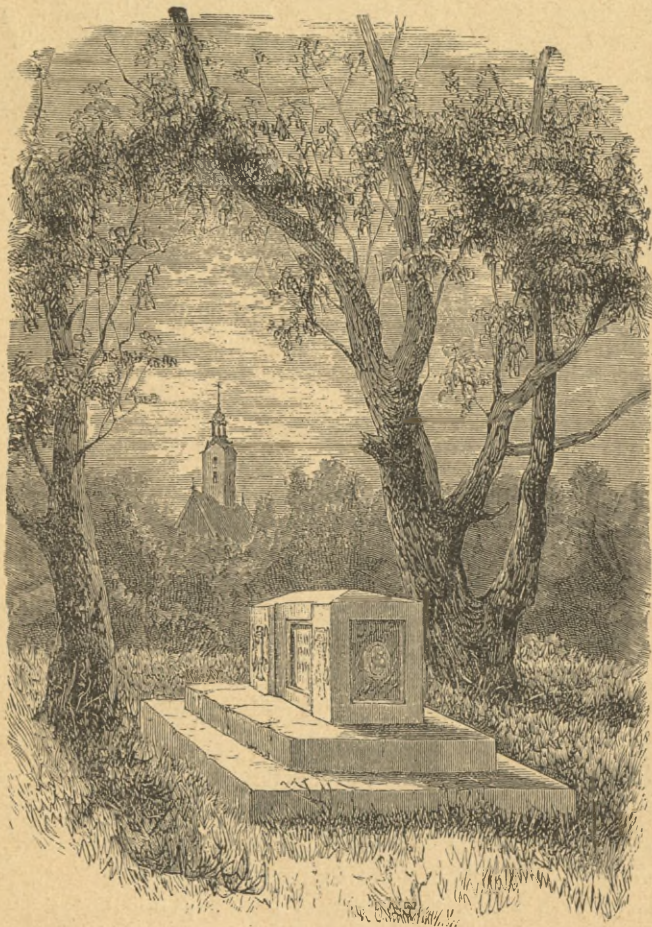
W tej ostateczności oficer minierów, czuwający nad mostem, mając rozkaz wysadzenia go za zbliżeniem się nieprzyjaciela, przyłożył lont i most w powietrze wyleciał.

Tym to sposobem odwrót wojskom polskim i francuskim, broniącym się jeszcze w ulicach miasta i w alejach, przy Peterskiej bramie przecięty został. Książę Poniatowski na czele garstki walczących, przyparty do Pleissy, wystawiony był na ogień tyralierów nieprzyjacielskich, w gęstych zastępach ze wszystkich stron zbliżających się. Jenerał Bronikowski przy księciu stojący, radził mu szukać ocalenia w pław. Lecz książę żywo mu odparł: *chcę zginąć śmiercią walecznych!* Nakazał reszcie eskorty swojej nowy atak na nieprzy-

jacielskich tyralierów, lecz ten tylko na chwilę zdołał wstrzymać ich postępy. Nie było jednej chwili do stracenia! W tej ostateczności księżę nareszcie poszedł za zdaniem otaczających go oficerów, wspiął konia i wskoczył z nim w rzekę!

Woda wysoko zalewała brzegi; koń porwany jej pędem nie mógł do brzegu przybić. Na ten widok kapitan sztabu Bléchamp rzuca się za księciem, pomaga przepłynąć i dostać się na brzeg przeciwny.

Niebezpieczeństwo jednak jeszcze nie minęło; głęboka, do tego błotnista odnoga Elstery, zostawała do przebycia. Księżę szedł pieszo ogrodami, leżącymi pomiędzy Elsterą i Pleissą: tu kulą karabinową w bok po raz drugi ugodzony, padł w objęcia otaczających go oficerów. Wkrótce odzyskał jednak przytomność i z pomocą adjutanta dosiadł z trudnością konia, lecz już się chwiał na siodle. Zaczęto go ze wszystkich stron zaklinać, aby się dał opatrzeć, i oddawszy komendę innemu generałowi, zachował się dla Ojczyzny. Lecz odwaga księcia z niebezpieczeństwem wzmagać się zdawała, *nie! nie!* — zawołał — *Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu tylko go oddam.* Oficer inżynierów przybiega i miejsce najdogodniejsze do przeprawy wskazuje; księżę brzegiem rzeki postępując, kieruje się w tę stronę; lecz spostrzegłszy nieprzyjacielski oddział, zachodzący mu drogę, zawoła głośno: *Otóż oni!* konia zwraca i rzuca się do Elstery. Osłabiony ranami, koniem już nie powoduje, ten jednak pasuje się z nurtem i wspiąć się na brzeg wysoki, urwisty nie może. To wszystko działo się pod gradem kul. W tej ostatecznej chwili, księżę odbiera trzecią ranę, zsuwa się z konia i pędem wody porwany, tonąć zaczyna. Zaczynają Bléchamp i tu na ratunek spieszyć. W szlachetnym zapale rzuca się w rzekę i porywa księcia. Widziano, jak obejmując wpół, starał się unosić głowę księcia nad powierzchnią wody, lecz daremne były usiłowania tego szlachetnego męża. Znikli obaj na zawsze w nurtach zdradliwej rzeki! Taki był zgon bohatera polskiego, wodza kochanego, przekładającego śmierć nad sromotną nie-



POMNIK KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W LIPSKU.

Pomnik ten, sporządzony w roku 1813, staraniem generała Roźnieckiego w ogrodzie Reichenbacha nad Elsterą, przeniesiony teraz na Lessingstrasse, odnowiony został staraniem i kosztem galicyjskiego Wydziału krajowego w r. 1876.

(Wedle rysunku Al. Lessera z r. 1832).

wolę. Oficerowie sztabu, co zdążyli przepłynąć Pleisę w jego ślady, osłupieni tą stratą, wzięci tu zostali do niewoli. Tenże sam los spotkał pozostałych na prawym brzegu głównodowodzących: Roźnieckiego, Bronikowskiego, Umińskiego, (adjutant księcia, Szydłowski, na wylot przestrzelony, pozostał w Lipsku) i pułkowników: Malleta, Rautenstraucha, adjutanta księcia Kickiego i wielu innych oficerów; z niektórymi Prusacy najniegodziwiej się obeszli.

W czasie tej śmiertelnej katastrofy piechota nasza ciągle walczyła w ulicach przed Peterską bramą; zewsząd otoczona sformowała się nareszcie w małą kupkę, w liczbie może jeszcze 500 ludzi, gotowa do ostatniego tchu bronić orłów polskich. Były tam pułki: 15. pod dowództwem pułkownika Macieja Rybińskiego; 16. pod majorem Bolestą; 8. pod pułkownikiem Ostrzeżewiczem, pułk 1. pod kapitanem Łubińskim. O dwóch innych, o 4. nadwiślańskim i 12. nie mogłem poznać dokładniejszej wiadomości. Jenerał Małachowski, dowodzący tu, nie wiedząc co czynić, udał się sam trochę na bok, i został w ulicy schwyty. Gdy niepotrzebnie ludzi tracono od ognia nieprzyjacielskiej piechoty, a nawet od niemieckich naszych sprzymierzonych, chcieli nasi dowódcy przynajmniej w polu, z bronią w rękę, kapitulować. Stali spokojnie w kolumnie ściśniętej, na ramieniu broń, o pół strzału kartaczowego od dział, wymierzonych przeciwko nim, otoczeni do koła kolumnami rosyjskimi, pruskimi i austriackimi. Nie śmiał nieprzyjaciel uderzyć na garstkę bohaterów w rozpacz! Zbliżył się nareszcie jenerał Paszkiewicz i żądał zdania się na łaskę, lecz gdy nie mógł dogodzić żądaniom dowódców naszych, nawinął się flügeladjutant cesarza Aleksandra, za radą którego wysłali dowódcy polscy pułkownika Rybińskiego do cesarza. Kiedy wszedł na rynek lipski, zastał cesarza Aleksandra, otoczonego monarchami sprzymierzonymi i głównie naczelnymi. — Co żądasz? — zapytał cesarz. — Najjaśniejszy Panie! odpowiedział Rybiński w języku francuskim: — pięćset Polaków, odciętych i oto-

czonych, składa broń u stóp Waszej Cesarskiej Mości, któremu się należy zaszczyt wygranej. Zachowaj Najjaśniejszy Panie żołnierzom naszym te godła honoru, które oni nad życie cenią. Los nas poddaje Waszej Cesarskiej Mości, lecz gotowi jesteśmy w stanowczej dla nas chwili, bronić tych godeł do ostatniego tchu naszego. — Patrzył w czasie tej mowy cesarz surowo na Rybińskiego, potem z łagodnością wyrzekł: zgoda!

Tym sposobem dokonane zostało poddanie się garstki naszej piechoty; złożyli broń; orły znikły; zatrzymali swe znaki i ubiór żołnierze i pożegnawszy obok nich leżących, rannych swoich i przyjaciół Francuzów, również rannych, poszli do niewoli.

Prócz powyżej wymienionych generałów i oficerów wyższych, dostali się w ręce nieprzyjaciela pułkownicy: Straszewski, Piotrowski i Wierzbiński; generałowie Kamieniecki, Izidor Krasiński, Stefan Grabowski, przy królu saskim będący generał Paszkowski i pułkownik Błeszyński. Co do mojej osoby, rozłączyłem się z generałem Umińskim przy wyjściu z bramy Petersthor; on pojechał do księcia Poniatowskiego po ostatnie instrukcje dla jazdy; mnie rozkazał połączyć się z jazdą naszą. Udało mi się przedrzeć przez ciżbę gwardyi, armat i wozów aż do mostu, przez który przejechałem kilka chwil po cesarzu. Generał Umiński zastawszy księcia Poniatowskiego w ogniu, już go nie odstąpił, a po jego zgonie dostał się do niewoli nie przeszedłszy Pleissy.

Strata ogólna armii francuskiej w tym dniu i w dniach 16. 17. i 18. października wynosić mogła w zabitych 15.000 ludzi, w rannych i chorych 23.000; 15.000 w niewolę poszło; ogółem zatem przeszło 50.000 ludzi. Niektórzy stratę tę do 70.000 podnoszą; 250 dział, 900 wozów amunicyjnych i furgonów różnego rodzaju stały się zdobyczą sprzymierzonych. Generałowie dywizyi, Viat i Rochambeau, zostali zabici; generałowie dywizyi, komendanci korpusów: Reynier, Lauriston, gubernator Lipska Bertrand, dostali się do niewoli. Król Saski z całym dworem wpadł w ręce zwycięzców. Stratę ostatnich

cenia dziejopisarze tej kampanii, mianowicie Plotho, także przeszło na 50.000 ludzi, których większa część przypadła na Prusaków i Rosyan.

My, Polacy, straciliśmy tego dnia prawie całą piechotę naszą, wyjąwszy 1.200 ludzi, których generał Dąbrowski wyprowadził szczęśliwie z boju przy bramie Halskiej i około 500 zbiegłych z VIII korpusu z pobojowiska, lub lekko rannych, którzy się wcześniej przedostali. Cała artylerya, prócz kilku dział, wziętych w alejach, przeszła spokojnie do Lindenau. Jazda po tyłu stratach, włącznie z brygadą ułanów z dywizji Dąbrowskiego pod generałem Krukowieckim, wynosiła jeszcze przeszło 3.000 koni w zupełnym porządku. Zastałem ją uszykowaną na prawo wsi Lindenau na wzgórzu. Batalion grenadierów Kurcyusza, za starą gwardyą pomaszzerował bez żadnego uszczerbku.

O godzinie 11. z rana, porucznik inżynierów Klemensowski, przepłynąwszy obiedwie odnogi Pleissy i Elstery, pierwszy nam doniósł o zgonie księcia Poniatowskiego. Wiadomość potwierdzili inni oficerowie, jak i żołnierze szczęśliwie wyratowani. Żal i rozpacz ogarnęły szeregi naszego wojska, kilkudziesięciu oficerów jazdy, zebrawszy się przed frontem, rzuciło się na osłep na groblę do Lipska, w nadziei uratowania księcia. Lecz marszałek Mertier, stojący na grobli, wstrzymał ten zapęd szalony i zreflektowawszy, że wszystko byłoby napróżno, kazał im wrócić do szeregów.

Generał Sokolnicki jako najstarszy, objął dowództwo jazdy; generałowie: książę Sułkowski, Krukowiecki, Weisenhof, Kwaśniewski, Soliński pod nim dowodzili dywizjami i brygadami. Generał Dąbrowski, któremu właściwie należała się komenda, znajdował się w innej stronie z piechotą swoją.

Około godziny 12. widziałem cesarza pieszo stojącego na trakcie do Altranstaedt; obok niego przechodzili jeźdźcy z pieszymi, oficerowie bez wojska, żołnierze piesi bez broni, ranni i t. d. Bezbronych mocno strofował. »Co zrobiłeś z karabinem, gdzie jest twój korpus, każe cię rozstrzelać«.

Jenerał Sokolnicki około godziny 2. po południu poprowadził jazdę naszą w bok traktu do Lützen i stanął o godzinę drogi od Altranstaedt, we wsi na prawo traktu, frontem do Pegau. Doświadczony wódz czuł dobrze, iż najpierwszem jego zadaniem jest uspokoić umysły, wzburzone po stracie ulubionego wodza i wojsko zatrudnić. Tymczasem zebrawszy wieczorem dowódców dywizyi i brygad, oświadczył im, iż mając wiadomość pewną o stanowisku korpusu jenerała Giulay pod Pegau, o milę drogi od naszego stanowiska, postanowił poprowadzić wszystkich tej jeszcze nocy dla napadnięcia na źle strzeżonych Austryaków. Na to oświadczenie zdumieli wszyscy dowódcy, a niechęć malowała się na wszystkich twarzach. Projekt tego nocnego ataku konceptem nazwali niespokojnego umysłu dowódcy. Po tylu dniach, przepędzonych pod ogniem, po tylu nocach bezsennych, nie mieliż oni choć jedną noc przepędzić bez boju? Zaczęli więc przedstawiać jenerałowi Sokolnickiemu, iż żołnierze i konie po 5-dniowych nieustannych bitwach i po tylu poniesionych stratach, strudzeni do upadłego, niezbędnie spoczynku potrzebują; iż poruszenie zamierzone, zwłaszcza w nocnej dobie, ze znużonym żołnierzem niechętnie wykonane, nietylko klęskę na jazdę ściągając, ale do większego rozprzężenia dać może powód. Lecz jenerał Sokolnicki obstawał za swoim zdaniem, i zaczął instrukcyje wydawać jenerałom. Natenczas jenerał Krukowiecki, znany od dawna w wojsku z niesfornego umysłu, dla podkomendnych przykry, starszym zawsze nieposłuszny, zabrawszy głos i wsparty przez jenerała Kwaśniewskiego, krzykacza z czasów Madalińskiego, oświadczył wręcz jenerałowi Sokolnickiemu, iż wojsko za nim nie pójdzie. Dosyć tych bojów! — rzekł — wszystko od dawna stracone, trzeba nam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska dla ojczyzny!

Jenerał Sokolnicki, przekonawszy się o tak niemężnem usposobieniu, odstąpił od pierwotnej myśli i poprzestał na wydaniu najściślejszych rozkazów strzeżenia się tej nocy. Ży-

wności furazu nie brakło w tej wsi i w okolicznych wioskach.

Ta słabość ze strony generała Sokolnickiego, któremu należało się aresztować nieposłusznych dwóch generałów i pod sąd oddać, najgorsze skutki wywarła na karność naszego wojska. Odtąd początek sejmików pomiędzy oficerami, dezercyi pomiędzy żołnierzami.

Nad ranem generał Krukowiecki, nie zameldowawszy się swemu dowódcy, od żadnego z kolegów nie upoważniony, pojechał do głównej kwatery cesarskiej do Altranstaedt, i zastał cesarza w karecie wśród gwardyi. Zbliżywszy się do niego, oświadczył mu ów Tersytes naszego wojska, najbezzelniej w imieniu wszystkich polskich dowódców, iż do generała Sokolnickiego żadnego nie mając zaufania, proszą cesarza, ażeby nad nimi dowództwo powierzył ks. Sułkowskiemu.

Cesarz, dobrze obeznany z podobnemi scenami pomiędzy oficerami legionów polskich w czasie kampanii włoskich, lekko te oznaki niesubordynacyi pominął. Ważniejszymi sprawami, jak godzeniem generałów polskich między sobą zajęty, odpowiedział dość obojętnie: »Dobrze, niech księżę Sułkowski obejmie dowództwo nad Polakami, skoro im tak do gustu przypada«.

Pochwyciwszy tę odpowiedź, generał Krukowiecki przylatuje do naszej jazdy, i słowa cesarskie generałowi Sokolnickiemu przekazuje. Zacny wódz, żalem przejęty na tę wiadomość, nie wyrzekłszy i słowa, odstąpił komendy księciu Sułkowskiemu i do swojej dywizyi powrócił.

Księżę Sułkowski, szkaradnym tym podstępem Krukowieckiego i kilku podrzędnych intrygantów, którym się bić nie chciało, wodzem naczelnymznaczony, nie był to człowiek, odpowiadający tak trudnemu zadaniu, jakim jest komenda rozprzęgającego się wojska. Waleczny wprawdzie na polu bitwy, pięknej, ujmującej, prawdziwie księżęcej postawy, lecz pełen drobiazgowej pychy; nikt słabszego nie był od niego charakteru. Powodowany zawsze zdaniem najbliższych, otacza-

jących go osób, sam nie miał żadnego, i w ważnych momentach ciągle się wahał. Najwięcej wpływu na księcia wywierał adjutant jego przyboczny Zbijewski, młodzieniec miękki, gnuśny, ospały, pełen zarozumiałości i dumy. Tak dalece działał na księcia, że ten się bez niego na chwilę obejść nie mógł. Nawet łóżka ich w czasie kampanii zawsze były razem.

Wnet znaleźli się intryganci, co słabą księcia stronę zbawdawszy, użyli go za narzędzie do wypełnienia swoich podłych zamiarów. A nic innego w myśli nie mieli, jak opuszczenie szeregów Napoleona, nie doszedłszy do Renu. Pamięć na koniec smutny legionów włoskich, poświęconych na usługi Francji w klimacie zwrotnikowym wysp St. Domingo, stawiali na postrach trwożliwszych; dla nich samych powodem do zmiany była zmiana fortuny Napoleona, od którego żadnych zaszczytów spodziewać się już nie mogli; maską zaś dla wszystkich, była chęć powrotu do ojczyzny i los jej niepewny, już niezależący od potęgi cesarza. Na czele tych intryg podziemnych stanął generał Krukowiecki, opanowawszy umysł adjutanta księcia; coraz mocniej wystawiał księciu potrzebę dania wojsku jakiejs rękojmi, iż go nie da poświęcić nakształt włoskich legionów; aż nareszcie, gdy dezercya pomiędzy oficerami i żołnierzami wzmagać się zaczęła, gdy batalion grenadyerów gwardyi polskiej, wcielony do gwardyi cesarskiej, straciwszy wiele ludzi przez dezercyę, jednej nocy z dowódcą swoim, pułkownikiem Kurcyuszem, przeszedł do nieprzyjaciela, ksiązę Sułkowski, zebrawszy korpus oficerów, zaręczył im uroczyście słowem honoru, iż do Renu tylko towarzyszyć będzie cesarzowi, a stamtąd odprowadzi ich do ojczyzny. Nierozsądna obietnica, do wykonania niepodobna bez narażenia na niebezpieczeństwo honoru wojska polskiego, potokami krwi nabytego.

Oświadczenie to jednak nie położyło końca dezercyi. Nie doszliśmy do Fuldy, a przeszło 500 ludzi brakowało w szeregach; jednej nocy prawie cała kompania saperów z namowy sierżanta starszego znikła z biwaku.

Cesarz dowiedział się o tym stanie rzeczy. Spotkawszy korpus polski dnia 26. października na drodze z Fuldy do Gelnhausen, zatrzymał go w marszu, i zebrawszy oficerów w wielkie koło, przemówił do nich w ten sposób: »Oficerowie i żołnierze polscy! Dowiaduję się, iż są pomiędzy wami, co was namawiają do opuszczenia mojej armii, skoro nad Renem stanę. Mylą się ci, co wam tak radzą. Nie uczynilibyście tego bez złamania wiary waszej i nadwerężenia drogiego wam honoru wojskowego. Nie przestałem być człowiekiem Europy; czy mnie okoliczności zmieniły? patrzcież się na mnie (i pokazując na siebie) nie schudłem dlatego. Wiercie mi, los wasz odemnie jeszcze zależy. W roku 1812. zawarłem traktat z cesarzem austryackim, warujący oddanie wam Galicyi w zamian za prowincye Illiryskie. Szczęście zmienne nie dozwoliło dokonać tego zamiaru! Byliście mnie dotąd wiernymi i zasłużyliście sobie na mój szacunek! Zaprowadzę was do Francyi, tam naznaczone będziecie mieli najlepsze kwatery, a gdy pokój stanie, nie zapomnę o was i los waszej ojczyzny zapewnię«.

Znalazło się kilku oficerów mówiących po francusku, pomiędzy nimi Artur Potocki, którzy niektóre uwagi czynili względem niepewności dalszego losu rodaków. Na wszystko cesarz łagodnie i trafnie odpowiedział. Odezwał się okrzyk: «Niech żyje cesarz! pójdziemy za tobą, dokąd rozkażesz!»

Książę Sułkowski, nieprzytomny tej mowie, skoro się dowiedział o zmianie w usposobieniu wojska, oświadczył, iż dawszy słowo honoru wojsku, jako nie poprowadzi go dalej jak nad Ren, łamać nie może swojego słowa i sam wróci do ojczyzny. Podał się zatem do dymisyi, i uwolnienie otrzymawszy, z sztabem swoim, t. j. adjutantami i z szefem sztabu swego Henrykiem Zabiellą opuścił wojsko i odjechał do forpoczt sprzymierzonych. Gazety ówczesne niemieckie wiadomość o tem w następujących doniosły słowach: »Książę Sułkowski, naczelnie dowodzący wojskiem polskiem, w dniu tym a tym przeszedł do wojsk sprzymierzonych«.

Niezatarty dotąd ślad tego wojskowego i politycznego błędu; historia słowa te powtórzyła, pomimo reklamacy księcia. Intrzyganci, na czele ich Krukowiecki, pozostali przy armii, nie przestając burzyć oficerów niższych przeciwko starszym. Krukowiecki użył do tego generała Kwaśniewskiego, który przed frontem poważił się zelżyć generała dywizji Sokolnickiego i za to jednak pod sąd nie poszedł!

Wojsko nasze w pochodowej linii swojej poszło na Weissenfels, gdzie Sałę; na Freiburg, gdzie Unstrutt przebyło, zasłaniając lewe skrzydło francuskie. Dnia 21. października wojsko francuskie w czasie przeprawy przez most na rzece Unstrutt, atakowane zostało przez korpus pruski Yorcka, idący od Merseburga. Jenerał Bertrand na czele czwartego korpusu odparł ten atak i zasłonił armię w czasie przeprawy, która w mniejszym rozmiarze przedstawiała straty, podobne do Berezynskiej przeprawy; porzucono i tu wiele armat i wozów.

Dnia 23. października cesarz nocował w Erfurcie, dnia 25. wyjechał stamtąd, wydawszy rozkazy dotyczące się obrony tego ważnego punktu.

Przechodziliśmy obok Erfurtu, przez Eisenach, Fuldę, i dnia 29. stanęliśmy w Gelnhausen. Tu cesarz spotkał generała Dąbrowskiego na drodze do Hanau i przywitał go temi słowy: »Jak się masz stary druhu, oddałem dowództwo nad Polakami temu niegodnemu księciu Sułkowskiemu, zawiódł moje zaufanie, i kazałem go odprowadzić do forpoczt nieprzyjacielskich. Tobie, stary przyjacielu, powierzam dowództwo nad wojskiem polskim, ty je przez Ren przeprowadzisz; oddaję wam na leże zimowe Sedan z okolicą«.

Tej mowie cesarza byłem przytomny.

Jenerał Dąbrowski odebrał więc komendę nad wojskiem polskim i dnia 30. października stanął na prawem skrzydle armii francuskiej w czasie bitwy pod Hanau. Naprzeciw jazdy naszej widzieliśmy rozwiniętą lekką jazdę korpusu oddzielonego Czerniszewa, lecz nie przyszło do starcia. Wiadomo, iż jenerał bawarski Wrede na czele korpusu skom-

binowanego bawarskiego i austryackiego, idąc od Würzburga opanował trakt z Gelnhausen do Frankfurtu i zastąpił drogę armii francuskiej. Jazda francuska pod jenerałem Nansouty i Sebastianim, wsparta grenadyerami gwardyi jenerała Curial i artyleryi gwardyi pod jenerałem Drouot, przełamała środek nieprzyjaciela i zadawszy okropną klęskę Bawarczykom utorowała drogę wielkiej armii. Cesarz sam osobiście znajdował się niejaki czas przy działach gwardyi i linie celu poprawiał.

Francuzi wprowadzili tu do boju 5.000 tyralierów z korpusu Macdonalda pod jenerałem Charpentier, 4 bataliony starej gwardyi, 80 szwadronów jazdy i 120 dział. Reszta armii tego gnia maszerowała w kolumnie pochodowej od Gelnhausen ku Hanau.

Dnia 31. października przechodziliśmy przez pole bitwy, zasłane trupami bawarskimi i austryackimi. Dojechawszy do Frankfurtu, wstąpiłem do miasta z jenerałem Sokolnickim w stanie znużenia, trudnym do opisania. Ciągłe pochody i noce bezsenne wprawiły mnie w tak wielki stan osłabienia, iż się na koniu chwiałem i zaledwie na siodle utrzymałem potrafiłem.

Znalazszy pokoik w hotelu, zażądałem kolacyi i butelkę starego reńskiego wina, a po kolacyi położyłem się w wygodne łóżko. Nazajutrz czułem się jak odrodzony i od tego czasu wdzięczność dla reńskiego wina zachowałem.

W Hochheim, miejscu sławnych winnic, powtórzyłem wczorajszą receptę z równie pomyslnym skutkiem, i dnia 1. listopada wstąpiłem na ziemię francuską w Moguncyi, gdzie odebrałem zawiadomienie o nominacyi mojej na kawalera legii honorowej w skutku przedstawienia księcia Sułkowskiego.

Po dwóch dniach pobytu w Moguncyi, która się napełniać zaczynała wojskami różnego rodzaju, chorymi i rannymi, jenerał Dąbrowski odebrał rozkaz zebrania wszystkich pojedynczych oficerów bez wojska w Sedanie, dawnym zakładzie jazdy nadwiślańskiej. Miasto to przeznaczone nam było przez

Napoleona na leże zimowe. Odebrałem z innymi rozkaz udania się na miejsce tego nowego przeznaczenia. Odebrałem drogę konno etapami, na Alzey, Kaiserslautern, Deuxponts, Saarbrücken i Metz. W tej dla inżyniera tak interesującej twierdzy, wypocząłem dzień jeden i korzystałem z tego dla zwiedzenia niektórych dzieł fortyfikacyjnych, znanych mi tylko z planów, mianowicie korony podwójnej, Bellecroix zbudowanej przez sławnego inżyniera francuskiego Cormontaigne; w której zastanowiła mnie szczególnie sztuka, z jaką potrafił osłonić wszystkie części gór przeciwległych, panujących nad nimi. Twierdzę zastałem, jakby wśród pokoju, prawie bez załogi, bez żadnego przygotowania do jej obrony. A tymczasem o mil kilkanaście pod Moguncją, odgłos dział nieprzyjacielskich już się dawał słyszeć. Metz należy do twierdz pierwszego rzędu francuskich, leży nad Mozellą, która część rowów zalewa i zapomocą słuz i zaporników do znacznej wysokości może być podniesiona. Rozległość jego szaniec jest bardzo znaczna, bo wymaga około 15.000 załogi. Ulice miasta są ciasne, brudne, a część najbrudniejsza napełniona jest żydami, którzy się szczycili przedemną z rabina swego polskiego. Kościół katedralny nietylko z obszerności jak z pięknych gotyckich okien jest słynny. Metz prócz dzieł fortyfikacyjnych interes mój wzbudził z powodu szkoły aplikacyjnej artylerji i inżynierów, w której się kształcą oficerowie tych dwóch broni i do najpierwszych zakładów tego rodzaju policzyć się może. Wspomnieć tu jeszcze muszę o sławnej obronie miasta tego przez księcia Guise przeciwko cesarzowi Karolowi V, osobiście dowodzącemu oblężeniem r. 1553. Kraj, którym jechałem, wcale nie odpowiedział oczekiwaniu mojemu; ani zamożności, ani ludności jego nie mogłem porównać z zamożnością i ludnością niemiecką. Tylko drogi i mosty dowodziły pieczołowitości rządu. Wszędzie gorzkie skargi na niepohamowaną ambicję Napoleona i na klęski wojenne słyszeć się dawały.

Z Metz zwróciłem się do Werdun, miasta sławnego z suchych konfitur i pasztetów. Zastałem tam wielu oficerów

angielskich, w rozmaitych potrzebach wziętych do niewoli, i wedle zwyczajów swojego narodu żyjących i biesiadujących. Nie miałem sposobności zabrania z nimi znajomości. Dopiero w Mouson, nad rzeką Meuse położonem miasteczku, zsiadającemu z konia zaszedł drogę młody anglik Aitoun, także w niewoli francuskiej zostający, który mnie, szefa batalionu Skrzyneckiego i dwóch innych oficerów zaprosił do siebie na obiad. Przyjął nas jaknajgościnniej i uprzejmością swoją — szczególnie dla mojej osoby, wzbudzić potrafił sympatyę niewymowną. Nazajutrz odprowadził mnie o milę drogi ku Sedanowi i wymógł obietnicę odwiedzenia go w Mouson.

Okolo 15. listopada stanąłem w Sedan, w departamencie des Ardennes i tu już zastałem generała Dąbrowskiego z wielką liczbą oficerów polskich bez wojska. Po smutnej nocy przepędzonej u żyda, w którego mieszkaniu jeden z kolegów moich, Tadeusz Ostrowski, zaraził się świerzem, dostałem na cały czas dwumiesięczny pobytu mego w Sedanie mieszkanie u bogatego piwowara Lefevre, który mnie bardzo gościnnie przyjął. Tu wypocząłem sobie z trudów całej kampanii. Płaca nas regularnie dochodziła, życie było tanie. Stolewowałem się z kolegami: Królikiewiczem, Wilsonem, Ostrowskim u eksksiedza, który w czasach rewolucyjnych porzucił sutannę i żonę pojął. Dziwny to był stosunek tej familii; poznałem tu, lepiej jak z dawnych opowiadań nauczyciela mego księdza Tisseraud, głęboką otchłanią moralną towarzystwa francuskiego.

Wkrótce przywołany byłem do generała Dąbrowskiego i od niego odebrałem polecenie przejrzenia i ułożenia papierów po ś. p. księciu Poniatowskim, którą to czynność w krótkim czasie wypełniłem.

Oficerowie, zebrani w Sedan, postanowili także ze składek, między sobą zebranych, uczcić pamiątkę ś. p. księcia Poniatowskiego nabożeństwem żałobnem w głównym kościele Sedańskim. Przyjąłem na siebie kierunek muzyki. Znalazło się tylu amatorów, iż z pomocą muzyki gwardyi hiszpańskiej

króla Józefa, konsystującej w Sedanie, po kilku próbach, z zadowolaniem przytomnych wykonać mogłem sławne *requiem Mozarta* w czasie mszy, i marsz żałobny z Westalki Spontiniego w czasie konduktu. Najwięcej wrażenia jednak zrobiła mowa żałobna pułkownika Morawskiego, która nas wszystkich przytomnych do łez poruszyła.

Sedan znany jest z fabryk, wydających najpiękniejsze sukna na całą Francję. Dziś fabryki, dla braku robotników, po większej części spoczywały. Stan machin nie zdawał mi się odpowiedni postępowi tej gałęzi przemysłu w Niemczech.

Po ukończonym przeglądzie papierów ś. p. księcia Poniatowskiego i zdaniu w tej mierze raportu, zająłem się rozpoznaniem okolicy Sedanu i stosowny plan generałowi Dąbrowskiemu wręczyłem. Wycieczki moje w tym celu posunąłem do twierdzy Mezieres, lecz i tu żadnego przygotowania nie zastałem do obrony, ani dział na wałach, ani palisad w drodze krętej, ani załogi odpowiedniej. Wszystko było jakby wśród najgłębszego pokoju.

W czasie pobytu mego w Sedan przypomniałem się listownie księdzu Tisserand. Odebrałem wkrótce odpowiedź prawdziwie ojcowską, malującą serce i przychylną dla naszego domu szanownego starca. Był wówczas dziekanem w mieście Joigny i najlepszym jeszcze cieszył się zdrowiem.

Pobyt nasz w Sedanie przedłużył się do połowy stycznia. W czasie tym wybrano z pomiędzy Rok 1814. licznych oficerów, w zakładzie zostających, potrzebną liczbę do zorganizowania dwóch batalionów piechoty. Jazda nasza stanęła w Rheims. Oficerami bez wojska można było armię 30,000 obsadzić, lecz żołnierzy, których większa część poległa lub wziętą była do niewoli na polach lipskich, inna w lazaretach leżała lub na drodze z Lipska do Moguncyi została się po drogach, zaledwie było 1.600 zdatnych do boju. Ci wszyscy włączeni zostali do dwóch batalionów piechoty, wyżej

wymienionych. Jazda była nierównie liczniejsza; sformowano z niej dwa piękne pułki ułanów, które się odznaczyły w kampanii 1814 r. Wybrano z niej ludzi do pułku gwardyi Krasin'skiego, i dodano na lekkich koniach, w prowincyi Limousin zakupionych, pułk zwany Eclaireurs de la Garde, z 800 koni. W zakładach okolicznych Paryża przeformowano także pułk Krakusów, dodano lekkich koni z tejże samej prowincyi i doprowadzono jego siłę do 800 koni; lecz pułk ten świeżo umundurowany nakształt czerkiesów i należycie uzbrojony, dopiero w połowie marca wystąpił na linię bojową. Z całej artyleryi baterję jedną konną pod komendą szefa szwadronu Schweryna sformowano, i jedną pieszą.

Tyle się tylko z armii 20.000, na początku kampanii 1813 r. pod bronią będących, znalazło zdatnych do boju. W zakładach było przeszło 300 oficerów, czekających wezwania do służby polowej lub garnizonowej. Pomyślano o nich dopiero kilka dni przed wzięciem Paryża.

Jenerał Dąbrowski na początku stycznia odebrał wiadomości niezawodne o przejściu Renu przez główną armię księcia Schwarzenberga, o wtargnięciu innych korpusów nieprzyjacielskich w północne prowincye Francyi, o klęskach rozmaitych wojska francuskiego, mianowicie o bitwie pod La Rothière i o postępach sprzymierzonych w kierunku Paryża. Musiał więc z obowiązku pomyśleć o ocaleniu zakładów, jego komendzie powierzonych. Odebrawszy stosowne w tej mierze instrukcye, opuścił Sedan około 20 stycznia i podzieliwszy zakład na kilka oddziałów, pomaszerował na Rethel do Rheims. W tem mieście podziwiałem piękny katedralny kościół, w którym tyłu francuskich królów namaszczenie odebrało, i niektóre starożytności rzymskie. Z Rheims zwróciliśmy się do Soissons, stąd wzdłuż brzegów rzeki Aisne do Compiègne. W tem mieście leży piękny zamek z parkami cudnymi, należący do korony francuskiej; miejsce ulubione polowania królów francuskich.

W Compiègne i w okolicy zatrzymaliśmy się kilka dni, oczekując dalszych wiadomości z teatru wojny. Stąd udałem

się do Senlis, o 5 poczt tylko od Paryża, nareszcie pierwszych dni lutego odebrałem od generała Dąbrowskiego pozwolenie towarzyszenia mu do stolicy, i tu stanąłem w hotelu, na ulicy Rue neuve des petits champs, niedaleko placu Vendôme. Zakłady poszły wprost do miasta Pontoise w kierunku Normandji.

Pierwsze kroki wieczorem mego przyjazdu obróciłem do Palais Royal, i przyznać muszę, że uderzony zostałem uroczym blaskiem tego zakładu. Tego samego wieczora znajdowałem się z Prądzyńskim na reprezentacyi w teatrze Opera Comique. Następných dni zacząłem z nim obchodzić miasto, pomniki, pałace, muzea, biblioteki, teatry i t. d. Nie należy do mego zamiaru opisywać Paryż r. 1814. Przewodnik podróży (Guide du Voyageur) wydany w tym roku, lepiej oświeci czytelnika, aniżeli niedokładne opowiadanie cudów, które mi się wtedy wydawały. To tylko dla nauki dzieci moich powiedzieć muszę na moją pochwałę, iż z uniarkowaniem tylko używałem wszelkich przyjemności, jakie miasto to cudzoziemcowi ofiaruje. W czasie tego pierwszego pobytu w stolicy Francji nie byłem wprawdzie na tyle przy pieniądzech, jak w czasie drugiego i trzeciego pobytu, na początku kwietnia i w maju 1814 r., wszelako nie znalazłem się i tu bez pomocy. Pan Hieronim Jaraczewski, jeden z wiecznych Polaków paryskich, od czasów konwencyi i dyrektorjatu bawiący w Paryżu; zawsze na wyjeździe, a ulubionych miejsc opuścić nie mogący, 50-letni kawaler, stary przyjaciel mego ojca, współnik gry i zabaw, dowiedziawszy się o mojem przybyciu i szczupłych funduszach, ofiarował mi swą pomoc jak najuprzejmiej. Nie nadużyłem jego grzeczności; przyznałem, że nie jestem bardzo zamożny, i w tej chwili 10 Napoleonów w złocie przyjąłem. Te w czasie drugiego pobytu w Paryżu oddałem mu z wdzięcznością, po sprzedaży dwóch koni wierzchowych moich do Wersalskiego zakładu. Pan Jaraczewski odbierając te pieniądze, z zadziwieniem przyznał, że pierwszy raz mu się zdarzyło, aby młody człowiek w Paryżu bawiący,

poczuł się do obowiązku oddania zaciągniętego długu, i wszędzie mnie z tego względu zalecał.

Zabawiwszy dwa tygodnie w Paryżu, udałem się na St. Denis do Pontoise, gdzie zakład nasz zastałem. Przepędziwszy tu parę tygodni jak najsmutniej, w mieście tem bowiem żadnego towarzystwa ani biblioteki nie znalazłem, udałem się do Versailles, na St. Germain, dla sprzedaży dwóch koni wierzchowych moich, za które około 1.100 franków wyliczono mi. Interes ten zabrał mi dni kilka, które przepędziłem jak najprzyjemniej w domu p. Jontaines, dozorca sztucznych wód ogrodu Wersalskiego. Ten zacny obywatel przewodnikiem był moim w zamku, w ogrodach, rękę Le Notre zasadzonych, w Marly, w małym i wielkim Trianon, w St. Cloud, Sérres i w całej okolicy. Dom jego, kabriolet, wszystko było na moje usługi; gdy chciałem jechać do Paryża, ofiarował powóz i konie, towarzystwo spraszał dla mojej zabawy i t. d. Jego uprzejmość nadzwyczajna, obok wdzięków córki 16-letniej, pojednała mnie cokolwiek z towarzystwem francuskim, którego zimne dla nas cudzoziemców i wyrachowane przyjęcie uderzało nas wszędzie jak najdotkliwiej.

W Połowie marca wróciłem do Paryża, poleciwszy panu Fontaines odebranie z kasy zakładu wersalskiego pieniędzy za dwa moje i dwa Prądzyńskiego konie, i zabawiłem tam aż do dnia 30. marca, dnia bitwy przed murami stolicy. Z rana odebrałem polecenie od generała Dąbrowskiego udania się jak najspieszniej do Pontoise dla sprowadzenia wszystkich oficerów naszego zakładu do Paryża. Zamiarem rządu bowiem było postawić ich na czele legionów gwardyi narodowej paryskiej, której brakło doświadczonych oficerów. Lecz ten rozkaz zapóźno wydany, nie dał się wykonać. Pospieszyłem do Wersalu, huk dział dalekich od strony Romainville i Montmartre towarzyszył mojej podróży. Pozdrowiwszy familię Fontaines i zmieniwszy konia, opatrzony dobrym przewodnikiem, udałem się lasami do Pontoise. Przybywszy tam o godzinie 5. z rana, wręczyłem dowódcy zakładu moje rozkazy i sam

wypocząwszy parę godzin, powróciłem do Versailles, dnia 31. marca. Lecz dojechawszy do St.-Germain w Saye, zastałem tam pierwszą wiadomość o kapitulacji stolicy. Smutna ta nowina nie zatrzymała mnie jednak; puściłem się na koniu generała Dąbrowskiego do Versailles; dochodząc do bramy parku, uprzedzony zostałem przez posterunek gwardyi narodowej, że oddziały garnizonu paryzkiego zrana przeciągnęły przez miasto, i nieprzyjaciel co chwila jest spodziewany. — Nie było czego się dłużej namyślać, powróciłem zatem do St.-Germain, stamtąd do Pontoise; nazajutrz dnia 1. kwietnia, wyruszyłem z całym zakładem polskim do Neutan, następnego dnia do Nantes, i tu przebywszy Sekwanę, zwróciłem się ku Evreux, miastu drewnianemu w departamencie de l'Eure.

Spotkał mnie tu przykry przypadek. Na drodze kamiennej pstrokata klacz generała Dąbrowskiego potknęła się podemną, spadłem z niej na głowę, ostroga została w strzemienu i wleczony byłem paręset kroków po twardej szosie tak długo, dopóki ostroga nie oderwała się. Podniesiono mnie nawpół żywego i zawieziono do Evreux; tu dopiero w domu pocziwego księdza opatrzony byłem i po 2-eh dniach wypoczynku mogłem w dalszą puścić się drogę. Z Evreux na Verneuil, Mertaigne, Mamers udałem się do Mans i tam około 10. kwietnia połączyłem się z generałem Dąbrowskim i z kolegami. Klimat tego miasta znacznie się różnił od okolic Paryża. Tu wszystko już było w kwiecie i w zieloności. Wielkanocne święta się zbliżały. Dostałem kwaterę u 60-letniej hrabiny, francuskiej dewotki, ściśle posty obserwującej, która mnie cały tydzień ostatni 7 razy odgrzewanym karpem karmiła, w nadziei pulardy, którą mi na moją przekorę codzien pokazywała. Nie zapomnę nigdy bos-tona, w którego grać musiałem co wieczór z tą damą, z drugą jej przyjaciółką 65-letnią i starym abbatem, przewodnikiem ich sumienia. Nudny to był tydzień. Dopiero w Niedzielę Wielkanocną znaleźliśmy się wszyscy u generała Dąbrowskiego na święconem staropolskiem zebrani, którego honory sa-

ma pani generałowa szczerą uprzejmością nam robiła. Miasto Le Mans pamiętne jest w wojnie Wendejskiej z kłeski okropnej, zadanej przez wojsko republikańskie królewskiemu wojsku. Ślady tej kłeski jeszcze nie były zatarte.

Po dwóch tygodniach pobytu w tem ładnem mieście, generał Dąbrowski wezwanie odebrał do Paryża.

Cesarz Napoleon dnia 11. kwietnia podpisał akt abdykacyi w Fontainebleau. Artykuł 19 konwencyi w Fontainebleau obejmuje następne dla wojska polskiego zarządzenie: »Polskie wojska wszelkiej broni, stojące w służbie francuskiej, mają wolność powrócenia z bronią i bagażami do ojczyzny. Na dowód ich chwalebnej służby oficerowie, podoficerowie i żołnierze zachowają dekoracye udzielone im i pensye, do tychże dekoracyi przywiązane«. Tym aktem uwolnieni byliśmy od obowiązków względem Napoleona. Do naszych dowódców należało zapewnić nam los dalszy i los ojczyzny naszej. Korpus polski, zostający w Fontainebleau, wysłał natychmiast deputacyę do cesarza Aleksandra, na czele której znajdowali się generałowie: Sokolnicki, Krupiński i inni. Oświadczenia odebrane od cesarza, zaspokoili wszystkich. Obok wyrazów pełnych szacunku dla nas, przyrzekł nam wolny zbrojny powrót do ojczyzny; o jej przyszłych losach nie dał wprawdzie żadnego zaręczenia, lecz zostawił nas pełnych nadziei. Audyencya ta, pierwsza a wspaniałomyślna, zjednała cesarzowi serca wszystkich przytomnych. Jedno tylko słowo z jego strony, w mniemaniu jego pochlebne, nie zdołało większej radości wzbudzić w deputacyi wojska polskiego, była to obietnica oddania nas pod komendę Wielkiego Księcia Konstantego.

Około 15. kwietnia opuściłem Le Mans i udałem się pocztą z Prądyńskim do Versailles przez La Ferté, Nogent, Chartres, Rambouillet.

W tem mieście ostatniem cesarzowa Marya Louisa zatrzymała się z synem i oddała się w ręce sprzymierzonych. Pułk szwoleżerów gwardyi rosyjskiej stał około zamku i służbę

pełnił przy jej osobie. W czasie naszego przejazdu spotkaliśmy cesarza Franciszka i króla pruskiego, udających się do niej. Dnia 16 kwietnia w Versailles wysiadłem u p. Fontaines, który nas z otwartymi rękami przyjął i nazajutrz całą u niego złożoną sumę w złocie wypłacił. Mieliśmy każdy około 1.200 franków na pierwsze wydatki w Paryżu. Jenerał Dąbrowski stanął w hotelu de l'Europe przy Palais Royal. Prądzyński, ja i Valentin d'Hauterive wybraliśmy sobie tańsze pomieszkanie przy rue du Colombier, na lewym brzegu Sekwany.

Przepędziłem w Paryżu blisko 6 tygodni. Czas ten nie zszedł mi na próżno. — Podzieliłem go w ten sposób; z rana zwiedzałem galerie obrazów, biblioteki, fabryki gobelinów, gmachy, kościoły, okolice Paryża, zamki cesarskie; wieczór poświęcony był zabawie w teatrach stolicy: Operze Wielkiej, Feydeau, Théâtre Français, gdzie wówczas królowali Talma, panny: Mars, Duchesney, Geerge, panowie: Fleury, La Fond i inni. Zwiedzałem też Odeon czyli Włoską operę, Variétés, Vaudeville. Około godziny 1. spacer w ogrodzie Tiuleryj, albo Luxemburga. Jadaliśmy obiad w różnych restauracjach, od najtańszych do najdroższych; od table d'Hote po 2 franki do 12 franków u Nery, au Caveau, Fréreu. Śniadanie w Caffé Corazzi, aux Mille Colonel i t. d.

Inni koledzy mniej korzystnie czas swój zabijali, przepędzając dnie i noce w domach gry w Palais royal, gdzie przy Rouge i Noir przegrywali znaczne sumy. Mnie nigdy chęć nie wzięła stawienia 5 franków na stół zielony; nawet przykład marszałka Blüchera, w czarnym wytartym fraku z 50 krzyżami na szyi, namiętnie stawiającego, nie mógł mnie do gry nakłonić. Michał Mycielski, Tadeusz Ostrowski i inni mniej wstrzemięźliwymi odemnie się okazali. Nie pamiętam którego dnia była uroczystość dziękczynienia Bogu za odniesione zwycięstwo przez sprzymierzonych, w przytomności cesarza Aleksandra, cesarza Franciszka i króla pruskiego. W tym dniu wszystkie gwardye rosyjskie, pruskie i wybór austriackiego wojska, około 60.000, uformowały wielki czworogran

na placu Concorde. Na środku stał ołtarz, przy którym księża 3-oh wyznań: greckiego, katolickiego i ewangelickiego odbywali swoje modły i przy odgłosie dział zaśpiewali *Te Deum laudamus* wobec ludności paryskiej, cieszącej się z tego widowiska. Jakże podłym zdawał się ten naród, który przed kilku dniami wołał: *Vive l'Empereur*, a dziś gdy potęga jego skruszona, obraży jego deptał, posąg jego na kolumnie Vendoma policzkował i zrzucić z podstawy usiłował, z okrzykiem *à bas Nicolas, à bas l'Usurpateur, à bas le Corse!* Postawa wojsk była piękna, lecz wymuszona. Obok sąni-
stych grenadyerów pułku Siemianowskiego i Preobrażeńskiego, widziano młodych 18-letnich oficerów rosyjskich, policzkujących tych starych weteranów za każde uchybienie. Dziwny ten i barbarzyński sposób obchodzenia się z podwładnymi, wzbudzał śmiech w paryżanach i do wielu karykatur na zwycięzców dawał im powód. Ten tylko jedynie dowód niechęci dla cudzoziemców spostrzegłem w paryżanach; zresztą jak najobojętniej przyjmowali tak nagłą zmianę, i owszem cieszyli się z ogromnych zysków, jakie pobyt zwycięż-
skich wojsk sprzymierzonych przynosił ich kramom.

Paryż roku 1814 inny był wcale od Paryża roku 1850. Wszystkie pomniki sztuki, za dyrektoryatu i konsulatu zagrabione z Włoch i Niemiec, znajdowały się w jego murach. Galerya Louvru przepelniona nimi była. Przeobrażenie Rafaela, śmierć S. Hieronima przez Dominikina, Venus Medycejska, Appolon Belwederski, posąg Laokoona, gladyator umierający i inne przedmioty sztuki wystawione były na widok publiczny i tą razą uszanowane zostały przez zwycięzców. Rok później, za powtórnem wkroczeniem sprzymierzonych, wywiezione na zawsze i właścicielom oddane zostały.

Zasłużony odwet! Przed hotelem Inwalidów stało na postumencie sławne quadrygium, zabrane z placu St. Marka w Wenecyi. Tych nawet zwycięzca nie ważył się tą razą ruszyć.

Dnia 4. maja nastąpił wjazd uroczysty króla
Wjazd Lu-
dwika XVIII. Ludwika XVIII. Siedział w powozie staroświeckim

z księżną Angouleme, z książętami Angouleme, Bourbon, Condé, w ubiorach wieku 18., otoczony gwardią honorową z samych młodych rojalistów, i gronem jenerałów i oficerów cudzoziemskich. Przed powozem szła stara gwardya Napoleona w ponurem milezeniu, z wzrokiem pogardliwym, wyrzucającym lekkomyślnym paryżanom nagłą zmianę ich uczuć. W całej postawie tych starych weteranów poznać można było zwycięzców Europy i pamięć na starego wodza. Nie tak łatwo dali się oni ugłaskać. W nich jednych jeszcze powaga całego narodu spoczywała.

Kilka dni później szczątki polskiego wojska, pod rozkazami jenerała dywizyi Wincentego Krasińskiego, na polu pod St. Denis odbyły przegląd przed cesarzem Aleksandrem, w przytomności wielkiego księcia Konstantego i luźnego grona oficerów wojsk sprzymierzonych; wielki książę Konstanty, objawszy zrana dowództwo nad nami, przedstawiał cesarzowi rozmaite oddziały wojska, jenerałów i oficerów pojedynczych, i raport mu wręczył. Cesarz z ujmującą łaskawością przemówił do wojska w pochlebnych wyrazach, powtórzył obietnice dane wysłanej do niego deputacyi jenerałów; rozmawiał z jenerałami i oficerami sztabowymi; nareszcie nas najuprzejmiej pożegnał, dodawszy »do zobaczenia w Warszawie«. Zebrany tu korpus składał się z różnych pułków, ogółem 4.740 ludzi.

Z jenerałów polskich przytomni byli: Dąbrowski, Sokolnicki, Wincenty Krasiński, Pac, Kurnatowski, Aksamitowski, Krukowiecki, Falkowski i wielu innych.

Oddział 100 koni pod pułkownikiem Jerzmanowskim, wskutku układów towarzyszył Napoleonowi na wyspę Elbę.

Wspomnieć mi tu jeszcze wypada o interesującej wizycie naszej naczelnikowi Kościuszcze w Paryżu, ^{Wizyta} u Kościuszki. w towarzystwie jenerała Dąbrowskiego i wielu innych oficerów. Widok zasłużonego i wiekiem już schyłego starca, wzbudził w nas wszystkich wielkie rozrzewnienie. Pamięć już osłabiona nie poznawała dawnych podkomendnych, przypominających się jemu. Był to tylko cień dawnego naczelnika, zwycięzcy pod

Dubienką, Raławicami, Warszawą. Ze smutkiem pożegnaliśmy szanownego starca. Kilka dni przed naszą bytnością, cesarz Aleksander z całym swoim sztabem oddał hołd cności zanego obrońcy naszych wolności i tym wspaniałomyślnym krokiem powiększył sympatyę naszą dla jego osoby.

W czasie luźnych moich spacerów spotkałem oficerów pruskich, dobrze mi znajomych z czasów szkolnych. Byli to pp.: Scheffer, porucznik od brunatnych huzarów, pełniący służbę przy jenerale Barklay de Tolly; hrabia Goltz i hrabia Karol Schaffgotsch, oficerowie Landwery. Przywitanie było uprzejme. Ostatnich dwóch zaprosiłem nazajutrz do Werego i kilka chwil przyjemnych z nimi przepędziłem.

Pierwszą wiadomość od rodziców, po 17 miesiącach upłynionych od czasu wyjazdu z domu, odebrałem przez pana Kameneckiego, byłego adjutanta księcia Poniatowskiego, w liście kuzynki mojej panny Joanny Grudzińskiej. Wiadomość ta niespodziewana i tak upragniona przyspieszyła mój powrót do kraju.

Wyjazd z Paryża. Dnia 30. maja podpisany został pokój paryzki. Monarchowie sprzymierzeni opuścili Paryż. Korpus nasz odebrał rozkaz powrotu do ojczyzny. Jen. Dąbrowski, obwarowawszy u rządu francuskiego zaległy nasz żołd, wynagrodzenie za stratę koni i koszta podróży dla oficerów sztabowych, w końcu maja wezwał mnie do towarzyszenia mu w podróży do Poznania. Po odebraniu zaległości, sprzedaży 2 koni i wynagrodzeniu straty jednego konia pod Lipskiem, znalazłem się panem kilku tysięcy franków w złocie. Część tych pieniędzy przeznaczyłem wspólnie z Prądyńskim na zakupienie karetki o 2 kołach, opatrzonej w podróżne kufry, i na kosztowne upominki dla rodziców i sióstr. Nareszcie pożegnaliśmy Paryż, którego więcej nie miałem oglądać i puścili się pocztą za jenerałem Dąbrowskim, na Moguncyę przez Chalons, Verdun, Metz; w Frankfurcie nad Menem zatrzymawszy się dzień jeden, przez Fuldę, Gotha jadąc, stanęliśmy w Lipsku pierwszych dni czerwca, a po krótkim odpoczynku skróciwszy drogę

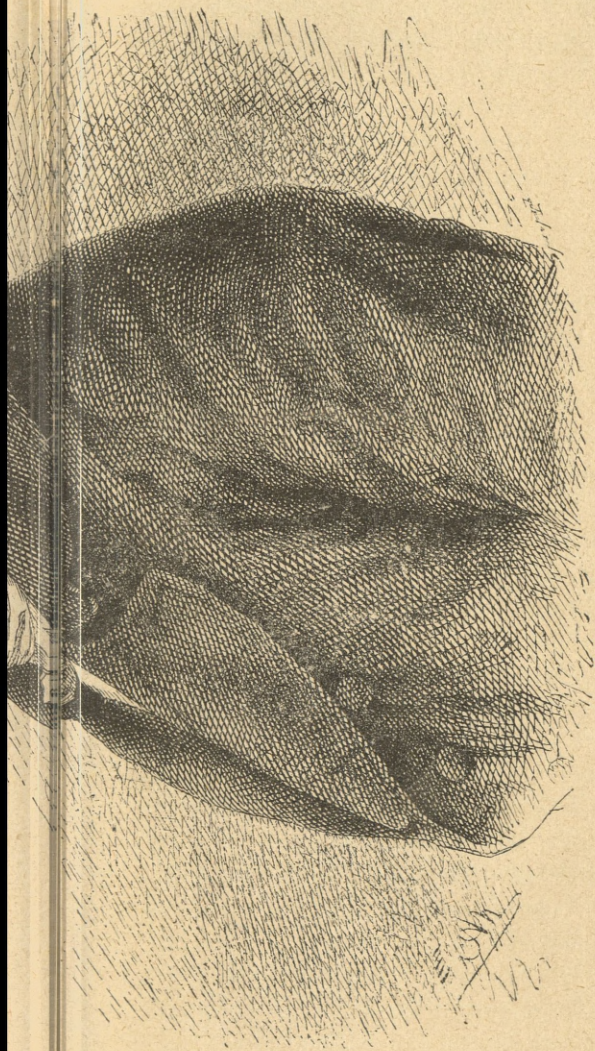
przez Torgau, Sachau, Züllichau, z radością niewypowiedzianą powitaliśmy ziemię ojczystą. W Wolsztynie, pierwszym mieście polskiem, pan Adam Gajewski właściciel tego miasta, zaszedł nam drogę na poczcie i zaprosił do swego domu. Zastaliśmy tam szanowną żonę p. Gajewskiego, dwie córki i panią Brezową, żonę ministra sekretarza stanu z córką panną Julią, później panią Wołowiczową. Przyjęcie tak było uprzejme, ciekawość dam tak wielka, iż nie mogliśmy wystarczyć na różne zapytania. Po dobrym polskim obiedzie, puściliśmy się w dalszą drogę do Poznania, niecierplivi oglądać rodziców. Stałem nad ranem w Poznaniu, i pospieszyłem w objęcia rodziców i siostry młodszej Anieli. Któż zdoła opisać radość całego domu na widok ukochanego syna, ozdobionego krzyżami, obeznanego z światem paryskim.

Rodziców zastałem w nierównie lepszym stanie majątkowym aniżeli przed rokiem. Matka po śmierci dwóch wujów Krzyckich, odebrawszy znaczny spadek, przeszło 300.000 złotych polskich wynoszący, część tych sum przyniosła w ofierze ojeu i tym sposobem przez niejaki czas zdołała zepsuty kredyt na nowo podnieść. Ojciec z nową energią chwycił się gospodarstwa i wielką część długów popłacił. Rodzice mieszkali na Topolowej, teraz Wilhelmskiej ulicy, i dom skromny prowadzili.

Jenerał Dąbrowski w wilią naszego przyjazdu stanął także w Poznaniu. Jenerałowie ks. Sułkowski, Umiński przybyli wkrótce na jego powitanie. Zaczęto zapraszać nas na obiady, wieczory, bale. Ozdobą tych wieczorów były panny Grudzińskie, panna Julia Breza, Eufemia Engeström i wiele innych młodych dam.

Lecz widok wrogów i zwycięzców naszych miał nas i tu boleśnie prześladować. Komendantem Poznania był jenerał Weliaminów; garnizon składał się z wojsk szaro ubranych, podobniejszych do zwierząt aniżeli do ludzkich postaci. Na placach publicznych musztrowano rekrutów, odgłos kijów i różg rozlegał się po mieście. Taki widok mógł cokolwiek





TADEUSZ KOŚCIUSZKO W PODESZYM WIEKU.

(Współczesny portret Riekera w Solothurn).

(Wzmianka na str. 117).

radość naszą przytłumić i zastanowić nad przyszłą nadzieją połączenia się pod jednym berłem z tymi ludźmi. Wszelako i tu rozsądek nakazywał nam cierpieć i milczeć.

Tymczasem korpus polski pod dowództwem generała Krasińskiego zaczął się zbliżać do naszych granic. W końcu czerwca pierwsze oddziały stanęły w Poznaniu. Marsz korpusu szedł na Nancy, Strasburg, Lipsk, Kottbus.

W Nancy ludność i władza, pamiętne na błogie rządy króla Stanisława Leszczyńskiego, przyjęły ziomków jego z nadzwyczajną uprzejmością. Generał Sokolnicki z oficerami korpusu urządził nabożeństwo żałobne na cześć i pamiątkę filozofa ukoronowanego. Dowód ten uszanowania wielkie wrażenie sprawił na mieszkańcach Lotaryngii.

W Lipsku wydobyte z grobu zwłoki wodza naszego, księcia Poniatowskiego i na katafalku umieszczone, pod eskortą oddziału wojska i oficerów sztabowych zawieziono do Warszawy, gdzie uczczone wspaniałym pogrzebem w kościele św. Krzyża, później przeniesione zostały do grobu królów naszych w Krakowie, obok grobu Sobieskiego. Generał Krasiński przybywszy do Kottbus rozłożył oddziały swoje w okolicznych wsiach; sam z kompanią wołyżerską i sztabem swoim kwaterę zajął w mieście.

W czasie marszu przez Niemcy widok zbrojnej kolumny naszej, co niedawno walczyła przeciwko nim w szeregach Napoleona, wzbudzała wszędzie nienawiść mieszkańców i pomimo karności i umiarkowania oficerów i żołnierzy, w wielu miejscach przyszło do starcia. Dowódcy nasi potrafili jednakże zapobiedz wszędzie wybuchowi przeciwnych sobie namiętności przez łagodne mowy i spokojną swoją postawę.

W Kottbus, miasteczku Saskiem, nie tak szczęśliwie im się powiodło. W dniu przybycia naszych nakazana była uroczystość z powodu zwycięstw sprzymierzonych. Mieszkańcy i landwery pruskie, widokiem naszym tknięci, napojami rozognieni, zaczęli szukać okazji z żołnierzami naszymi. Nadarzyła się im sposobność przy odbieraniu żywności i furazu

przez naszych. Od słów przyszło do grózb, od grózb do rą-
zów; nareszcie zaczęli się zbierać w tłumy zbrojne i napadać
na pojedynczych żołnierzy, rozkwaterowanych po mieście; wi-
dząc słabsze naszych siły, zuchwałość coraz dalej
zaczęli posuwać; w końcu w masie kilkuset ludzi ^{Napaść}
rzucili się na kwaterę generała Krasińskiego. ^{w Kottbus ze}
generał wyszedł naprzeciwko nich ze spokojnem czo- ^{strony niemie-}
łem i zaczął w wyrazach najprzychylniejszych pytać o ich żą- ^{ckiego ludu.}
dania. Lecz przygłuszony krzykiem rozbestwionej zgrai, mu-
siał się cofnąć do swego pokoju. Lecz i tu zanim wpadli,
zabiwszy sztyldwacha od wołyżerów rozbili drzwi do pokoju,
jeden z nich nareszcie generała pałaszem ciał w głowę. W tej
chwili oficerowie i władze miejskie przybiegły i generała wy-
ratowały z rąk wściekłego ludu. Lecz wiadomość o tem, co
się dzieje w mieście, dochodzi do oddziałów naszych, rozkwa-
terowanych po wsiach okolicznych. Zatrąbiono na alarm, ja-
zda wsiada na koń, piechota rzuca się do broni i całe woj-
sko z armatami nabitemi staje u bram miasta, gotowe do ich
wyłamania i wycięcia w pień żołnierzy pruskich. Na ten wi-
dok przestraszeni mieszkańcy rzucają się do nóg generałowi
Krasińskiemu i żebrają przebaczenia. Opatrzywszy ranę swoją,
wyszedł naprzeciw kolumn polskich i opowiedziawszy cały
wypadek, wystawił wszystkim położenie nasze, niepodobień-
stwo pomszczenia krzywdy orężem w rękę i skutki, jakie
ze starcia się z wojskiem pruskim wyniknąć dla nas by mo-
gły. Złagodziwszy umysły naszych, obrócił się do dowódców
pruskich, kazał im zebrać żołnierzy i wyjść za miasto. Uczy-
nili to w milczeniu i noc przepędzili na polu. Kolumny nasze
obsadziły natomiast Kottbus. Nazajutrz generał Krasiński opu-
ścił z wojskiem niegościnne miasto.

Raport o tym haniebnym napadzie przesłany został ce-
sarzowi Aleksandrowi, który się dyplomatyczną drogą upo-
mniał za naszą krzywdę u sprzymierzeńca.

W kilka dni po tym wypadku, który nie mało się przy-
czynił do podniesienia ducha nienawiści żołnierzy naszych

przeciwko Niemcom, czoło kolumny naszej przybyło do Poznania. Jenerałowie Dąbrowski, Kosiński, Umiński, ksiązę Sułkowski wyjechali naprzeciw i pod łukami tryumfalnymi przy okrzykach ludności i odgłosie dzwonów wszystkich wprowadzili do miasta.

Wspaniała uczta czekała oficerów i żołnierzy. Po uczcie rozpoczęły się tańce na placu teatralnym, wieczorem iluminacya i bal w teatrze.

Trwały zabawy w ten sposób przez dni kilka. Proszony na te zabawy komendant Welliaminoff wraz z cywilnym naczelnikiem (obłążnym) przypatrywał się tym demonstracyom patryotycznego uczucia z jaknajwiększą spokojnością. Surowymi rozkazami zapobiegł wszelkim sporom i starciom, a nawet przez szpary patrzył, gdy który z Rosyan szturchańca oberwał. Wiedział dobrze, iż odwet niedaleki. Prócz tych dwóch osób, nikt więcej z Rosyan nie był na wieczory i bale proszone. Uczuli to do żywego ich oficerowie, i tem tylko dali nam poznać swoją drażliwość, iż w czasie tańców naszych dam z żołnierzami na placu teatralnym, jeden z kadetów rosyjskich, wyprostowany jak świeca i wyperfumowany elegant, podał rękę jednej damie polskiej, zapraszając do poloneza Tyle rozsądku miała, iż nie odmówiła. Prawdę mówiąc, ci panowie oficerowie rosyjscy byli dość podobni do niedźwiedzi w tym czasie; później się znacznie ucivilizowali i w polorze zewnętrznym przeszli wnet naszych. Lecz oni byli zwycięzcami, my zwyciężonymi. O jakże to boli słuhać niższych umysłowo od siebie!

Po wyjściu naszych oddziałów z Poznania udałem się na wieś do rodziców; kilkanaście dni przyjemnych przepędziłem w Sielcu z siostrami cioteczniemi, pannami Grudzińskimi, odwiedziłem panią Engeström, bliską krewnę mojego ojca w Jankowicach i t. d.

Na początku jesieni r. 1814 odebrałem rozkaz od jenerała Dąbrowskiego, aby się udać do Torunia, w towarzystwie szefa batalionu Prądyńskiego i porucznika od inżynierów

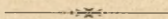
Wilsona. Twierdza ta miała garnizon rosyjski pod komendą generała Połtarackiego. Polecono nam zameldować się jemu i zająć się zdejmowaniem planu. Cel generała Dąbrowskiego był jednakże inny. Nie będąc pewnym czy Toruń Prusom odstąpiony nie będzie, lub przy rządzie spodziewanym polski pozostanie, chciał mieć kilku oficerów w twierdzy, jako rodzaj objęcia w posiadanie. Jenerał Dąbrowski jednakże w tym względzie zupełnie się omylił. Los bowiem Torunia na kongresie wiedeńskim dopiero się rozstrzygnął.

Toruń w roku 1814 składał się 1) z obwodu ^{Toruń} bastyonowego o 5 frontach i linii nieforemnej, przy- ^{w roku 1814.} tykającej do lewego końca szyi; część ta wałów była darniowana i głębokim rowem, wodą oblanym, opasana; przed rowem był stok z drogą krytą a na środku każdego frontu luneta; 2) z muru wysokiego o wielu wieżach, oblanego także dokoła wodą, stanowiącego drugą linię obronną; 3) z szyi murowanej z basztami starożytnymi, zamykającej miasto od Wisły; 4) z szańcu przedmostowego na prawym brzegu Wisły w stanowisku panującym nad mostem palowym na Wiśle. Dzieło to z wielkiem staraniem wystawione przez inżynierów rosyjskich, było pięknie odziane, palisadowane w rowach i w szyi; 5) z szańcu odwodowego na wyspie, przedzielającej dwa mosty na Wiśle, opatrzonego blockhauzem.

Budynki wojskowe nie wystarczały na umieszczenie żłogi chorych, zapasów żywności, składów inżynierskich lub artyleryjnych.

Twierdza Toruń prócz niedogodności, wynikającej z bliskości gór, panujących nad lewym skrzydłem (prawa strona bowiem także panująca, zajęta była lunetą dla odległości od twierdzy do obrony trudną) nie była w czasie zimy, gdy rowy zamarzają, od szturmów pewną. W stanie dzisiejszym, gdzie profil, narys i dzieła zewnętrzne tyle przekształceń doznały, nie zapobieżono tej niepewności innym sposobem, jak tylko przez mocniejsze urządzenie drugiego murowanego obwodu.

W późnej jesieni zaczęły przechodzić przez Toruń kolumny wojska rosyjskiego, powracające z Francji; nie poznałem ich, tak się zmieniła powierzchowność, cera żołnierza i ułożenie oficerów przez czas krótkiego pobytu we Francji. Duch żołnierzy był także inny. Skosztowali wina i chleba białego, widzieli stan rolnika, usłyszeli słowa wolności. To wszystko pewne wrażenie na ich umyśle zrobiło. Lecz skoro granicę ojczyzny swojej przestąpili, kij, władca niezaprzeczony, wszystkich wziął w karby i wybił myśli wolności z głowy. W oficerach jednakże zaród dłużej pozostał.



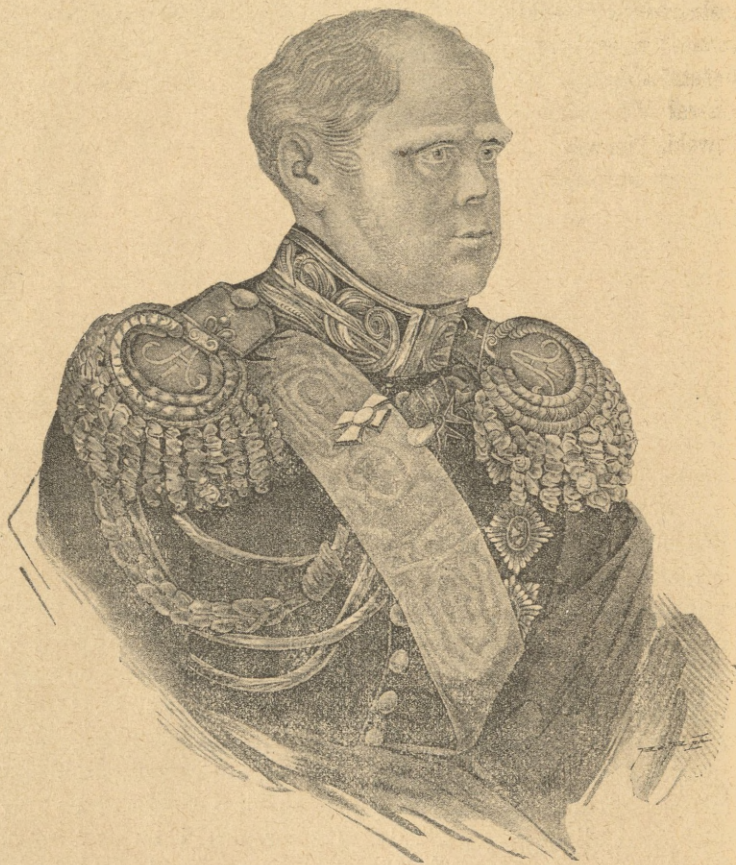


IV.

Królestwo Kongresowe.

Część zimy z r. 1814 na 1815 przepędziłem w Toruniu, czynnie się zajmując zdejmowaniem i niwelowaniem twierdzy. W pierwszych dniach roku 1815 prosiłem o urlop do Warszawy, powodowany do tej podróży listem pułkownika Malleta, zapytującym mnie w uprzejmych wyrazach, czylibym na przypadek postąpienia jego na generała, komendanta korpusu inżynierów, nie chciał przyjąć przy jego boku miejsca adjutanta. Propozycja ta z jego strony, jakkolwiek pochlebna, nie odpowiadała moim życzeniom. Znając bowiem egoizm charakteru Malleta mogłem się spodziewać, iż dla własnych widoków raczej by tamował, aniżeli przyspieszał mój przyszły awans. Nie czułem także żadnego usposobienia do przenoszenia wiecznie na papier myśli niedorzecznych pułkownika Malleta w wydziale inżynierskim i budowniczym. Wreszcie straciłem zupełnie serce do niego od czasu kampanii 1812 r., gdzie w chwili nagłej potrzeby i największego niedostatku, nielitościwie odmówił mi swojej pomocy. Grzesznie więc odmówiwszy, postanowiłem starać się o umieszczenie w sztabie kwatermistrza Gluye, który się tworzył pod przewodnictwem generała Hanke. W tym więc celu pojechałem do Warszawy.

Zostałem tam wszystkich zajętych przygotowaniem organizacyi przyszłego wojska polskiego; w tym celu pod na-



ЕГО ИМПЕРАТОРСКОЕ ВЫСОЧЕСТВО ЦЕСАРЕВИЧЬ И ВЕЛИКИЙ КНЯЗЬ
КОНСТАНТИНЪ ПАВ.ЛОВИЧЪ.

Москва 1897. = Тогод.

WIELKI KSIĄŻĘ KONSTANTY PAWŁOWICZ.
(Malował L. Łobinow, sztychował O. Kisielew).

czelnictwem wielkiego księcia Konstantego utworzony został komitet wojskowy. Jenerałowie z czasów 1791 i 1792 r. przywołani do niego także zostali a mianowicie: jenerał Wielhorski, jenerał Wawrzecki, naczelnik po Kościuszcze, i jenerał Sierakowski. Pierwszy służył w legionach włoskich i dystygował się przy obronie Mantuy, lecz był już starcem i kaleką zupełnym na nogi. Drugi na ustroniu przepędził czasy od 1794 roku do 1814, t. j. dwadzieścia lat zupełnie nieczynnie, ale jeszcze jakaś żołnierska jędrność w nim przebijała. Trzeci narazie przez ten czas zatrudniał się na Podolu częścią wychowaniem bogatej młodzieży, częścią komisarstwem dóbr wielkich magnata polskiego. I ten niczego się nie nauczył, i niczego nie zapomniał. Otyłość jego nadzwyczajna wszelką mu czynność utrudniać musiała i poszła w przysłowie. Była to nieforemna masa, z krwi i tłuszczu złożona, do myślenia zdaje się zupełnie niezdatna, a przecież człowiek ten, którego z trudnością z miejsca byś poruszył, zatrudniał się ciągle matematyką i lubił rozprawy w tym przedmiocie rozpoczynać. Prawda, że dalej nigdy nie zaszedł jak do algebry Śniadeckiego i jeometrii L' Hülliera. Prócz tych jenerałów starego autoramentu, wezwani byli do komitetu jenerałowie: Dąbrowski, Zajacek, nie pomnę czy i Kniaziewicz. Szanowne to było grono weteranów polskich, którego ojczyzna nigdy pewnie już nie zobaczy. Brakło tylko jednego Kościuszki.

Wielki książę Konstanty, w ciągłym związku z komitetem zostając, zajął się wielką czynnością organizacyi wojska polskiego. Niebrakło ani żołnierzy ani oficerów do zapełnienia kadrów 30.000- cznego zamierzonego wojska. Z Francyi powróciło do 5.000 żołnierzy. Garnizon Zamojski, rozpuszczony po poddaniu, wynosił do 2.000; garnizon Gdański składając broń, również do domów został puszczoney. Siłę jego podaje kapitan D'Artois w dziele swoim Obrona Gdańska na 3.500 ludzi; o garnizonie modlińskim nie wspomina, ponieważ Litwinów, z których się składał, puszczoneo do domów a później do wojsk rosyjskich wcielono. Dodajmy do tych

10.000 ludzi, 4.000 niewolników z pod Lipska, 3.000 zbiegów od Lipska do granic francuskich, nareszcie niewolników wszystkich polskich z kampanii 1812 r., zapędzonych na kaukazką linię i do służby przeciwko góralom zmuszonych, a teraz na drodze do kraju będących, w liczbie od 7 do 8.000, a otrzymamy ogół 25.000 starego żołnierza. Po rozpuszczeniu mniej zdatnych do służby, jako to rannych i chorych, zostało się przeszło 20.000 ludzi, mogących wejść w kadry nowej organizacji. Lecz Wielki książę, któremu więcej chodziło o zabawkę, a którego cesarz Aleksander dlatego pewnie postawił na czele wojska polskiego, ażeby mu dać zatrudnienie i odwrócić jego żywy umysł od innych spraw ważniejszych w państwie, zamiast korzystania z tak pewnej i pięknej podstawy, pogardził starymi zabytkami legionów i pułków napoleońskich, i znaczną część żołnierzy kazał do domów rozpuścić, nie zapewniając wielu z nich nawet przyszłego utrzymania. Miałże uszanować starych wojowników ten sam książę, który zwykł mówić: »nie lubię wojny, ona psuje ludzi, wala mundury i nadwyreża karność!« Musiał więc z wycieńczonego kraju wybierać rekrutów dla dopełnienia kadrów. Przyjęto nareszcie organizację też samą na 2 dywizye piechoty o 6 pułkach, 1 pułk grenadyerów gwardyi, i 2 dywizye jazdy o 4 pułkach i pułk strzelców konnych gwardyi, o której w rocznikach wojskowych, od r. 1816 do 1830 wydawanych, zaczerpnąć czytelnik może najdokładniejszą wiadomość.

Na czele korpusu artyleryi i inżynierów stanął generał Sierakowski, pod nim dowodził artylerją generał Redel, inżynierami generał Mallet. Kwatermistrzowstwo jeneralne objął generał Maurycy Hanke, obrońca Zamościa.

Udałem się do tego ostatniego generała z wynurzeniem życzeń moich służenia pod jego rozkazami.

Lecz gdy o to zapytany generał Mallet, oświadczył, iż pierw odebrał odemnie zapewnienie pozostania w dawnej broni, co było zupełnem kłamstwem; nie mogąc z powodów

służbowych zadać mu wręcz kłamu, lubo bardzo niechętnie, pozostałem w korpusie inżynierów.

Odraza, jaką miałem do służenia w tym korpusie, zasadała się szczególnie na znajomości dokładnej indywidualuów, z których się składał korpus oficerów. Po przeniesieniu Prądyńskiego do kwatermistrzostwa, nikogo nie miałem pomiędzy oficerami, z którymi bym mógł po przyjacielsku obcować. Wielu z nich nosiło nazwiska niemieckie i było Niemcami w duszy: mianowicie podpułkownik Minter, kapitanowie: Miller, Heriot, Rossmann, Engelricht, Linsenbarth; porucznicy: Thomas, Titz, Baumann, Horn i t. d. Wszyscy wprawdzie znali praktycznie swoje rzemiosło, lecz żadnych teoretycznych wiadomości nie posiadali, żadnego wykształcenia naukowego nie mieli, do tego byli to bez wyjątku ludzie źle wychowani, z którymi żadnej styczności prócz służbowej nie było mieć można; byli to poprostu mularze i cieśle, wyjąwszy Mintera. Z Polaków zaś ani jednego nie było, w którym bym mógł położyć zaufanie; wszyscy prawie, wyjąwszy podpułkownika Męciszewskiego, który w stopniu kapitana inżynierów służył w armii austriackiej i przeciwko nam stał w r. 1809, nie mieli ani nauki ani praktyki, i wcale chęci nie pokazywali postąpienia dalej w sztuce inżynierskiej; do tego zarozumiali, jak bywa z ludźmi ciemnymi, pełni przywar i śmieszności. Jeden tylko porucznik Wilson mógł pociąg niejakiś wywierać na mnie, lecz był namiętym graczem, a przez to samo od niego stroniłem.

Niewiele także miałem szacunku dla dowódców. Mallet, lubo w służbie inżynierskiej francuskiej wykształcony, zbyt mało posiadał wiadomości, aby cokolwiek można było od niego się nauczyć, do tego był zazdrosny o każdy talent, skryty w udzielaniu owoców doświadczenia, w obietnicach fałszywy jak Włoch, nadskakujący starszym, egoista w najwyższym stopniu, tę tylko posiadał zaletę, iż na pieniądze nie chciwy. Ten był u niego dobrym oficerem, który cały dzień wypracowywał jego niedorzeczne plany i kadził jego miłości

własnej. Jakaż różnica pomiędzy nim a innymi oficerami tej broni w wojsku francuskim! Ileż oni wyższymi pod każdym względem zdawali się mnie: naprzykład pułkownik Prevot Vernois, generał Crau, komendant inżynierów Modlina w roku 1813 i inni.

Teoretyczne wiadomości Malleta były bardzo małe, nie przechodził bowiem przez szkołę politechniczną, ani przez aplikacyjną w Metz, lecz miał praktykę, nabytą w czasie wojen włoskich w oblężeniach i przy robotach w Breście, Peschiera, Julich i w Moguncyi, i z tego względu mógł się stać użytecznym. Dwuznaczność i obłuda jego charakteru, godne były jego ojczyzny Prowancyi. Gotów był z rewolucjonistami zaśpiewać: *ça ira*, a z monarchicznymi: *God save the king* tego samego wieczora. *Il faut hurler avec les loups, mon cher*, było jego przysłowiem. Zresztą był dość łatwym w pożyciu, łagodnym, grzecznym dla podwładnych, uprzejmy w przyjęciu domowym i panem siebie w najdrażliwszych momentach. Pułkownik Mallet, który powątpiewał o przyszłym losie swoim, a do Francyi nie miał ochoty wracać w stopniu kapitana inżynierów, udał się do podeszłych wdzięków pani Szydłowskiej, 60-letniej wdowy, która rozczulona jego miłością tak szczerą, i westchnieniami nieinteresowanemi, oddała mu w listopadzie 1814 r. majątek z ręką. Zostałem to młode i czułe małżeństwo w wiosnie szczęśliwości.

Takiego dowódcę zupełnie nienawidzić nie było można, lecz i kochać było mi trudno.

Pod nim prowadził rachunkowość podpułkownik Sałacki oficer inżynierów z czasów Konstytucyi 3. maja i wojen roku 1792 i 1794. Wykształcenie jego naukowe niebyło wielkie, posiadał jednakże pierwsze zasady sztuki swojej. Powierzchność i całe ułożenie najlepiej malowały dworaka, wypolerowanego w atmosferze dworu Stanisława Augusta, oczekującego wszystkiego od wpływów i intryg podziemnych. Po rozbiórce kraju udał się do Puław pod protekcję księcia Adama Czartoryskiego, byłego komendanta korpusu kadetów, i część

dóbr puławieckich pod zarząd swój dostał. W tem położeniu dorobił się miernego majątku. W r. 1809 zastałem go w Puławach, a po zakończonej wojnie wszedł napowrót w służbę w stopniu kapitana i odtąd tylko rachunkowością i administracją funduszów się trudnił. Wiadomy jest jego niezasłużony a okropny koniec w nocy 15. sierpnia 1831 roku. W opisie tej wojny zamiarem jest moim wykazać niewinność Sałackiego, czego nikt dotąd jeszcze nie uczynił.

Podpułkownik Leonard Jodko dowodził inżynierami w Zamościu. Początek jego służby w korpusie inżynierów litewskich; wykształcenie naukowe nie wiele było wyższe od Sałackiego, więcej miał wprawdzie praktycznych wiadomości, lecz zato mniej poloru. Był to sobie prosty, dobroduszny Litwin, dobry kolega, zawsze wesoły, zwłaszcza przy ówiku i kieliszku, i dobry żołnierz. Miło mi jest zachować pamięć tego poczciwego człowieka.

Podpułkownik Gutkowski, komendant drugi korpusu kadetów w Warszawie, po rozwiązaniu tegoż korpusu wysłany został jako komendant inżynierów *in partibus* do Lublina, gdzie *sine cura* spokojnie prowadził życie. Oficer ten, który nigdy nieprzyjaciela nie widział, miał powierzchowność tak śmieszłą, tak niewojskową, iż w całym wojsku w przysłowie przeszła. Posiadał, jak na naszą niemądrą Polskę, dosyć wiadomości powierzchownych: pisał, tłumaczył wiele, za wiele nawet, zapełniał roczniki i dzienniki uczone swoimi artykułami, nigdy jednak z płytkości wybrnąć nie potrafił. Gutkowski był członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, do czynnej służby nie mógł być jednak użyty.

Podpułkownik Ronget, francuskiego pochodzenia, do roku 1812 drugi komendant szkoły aplikacyjnej, co do talentów wojskowych nie wiele stał wyżej od Gutkowskiego, jednakże ładniej rysował i z tego powodu miał powierzoną sobie dyrekcję biura topograficznego. Do służby czynnej dla tępego słuchu zupełnie był niezdatnym. Był to człowiek uczciwy i dobry. Czwartym sztabsoficerelem był podpułkownik

Minter Wilhelm, ten sam zacyjny mąż, który mnie tak starannie pielęgnował w czasie febry nerwowej we własnym pokoju w roku 1811. Powierzono mu dyrekcją budowli wojskowych Warszawy. Minter rodem był z Berlina i tam się budownictwa uczył pod Gillym i Gitelweinem. Po zajęciu Warszawy przez Prusaków wszedł w obowiązki prywatne nadwornego budowniczego u księcia Poniatowskiego. W roku 1810 wstąpił do korpusu w stopniu kapitana. Był to człowiek pełen nauki i doświadczenia w sztuce budowniczej. Jemu winna Warszawa projekta i wykonanie licznych koszar, którym żadna inna stolica prócz Petersburga nie wyrówna. Koszary aleksandryjskie, koszary saperskie, koszary jazdy, arsenał budowniczy, urządzenie wewnętrzne i odnowienie wszystkich budowli wojskowych, są jego dziełem. Brakło mu do tyłu zalet talentu i znajomości inżyniera wojskowego, tych nie posiadał. Pod nim wielu młodych oficerów w budownictwie cywilnem wykształciło się.

Podpułkownik Męciszewski Filip z służby austriackiej, wychowany w znakomitej akademii inżynierskiej w Wiedniu, jeden z pomiędzy wyżej wymienionych wyższych oficerów, posiadał wiadomości inżyniera wojskowego. Nietylko że w wyższej matematyce był bardzo biegły, lecz i w praktycznej szkole austriackiej nabrał tego wzorowego porządku w wojskowej służbie i w administracji, którymi się ta szkoła odznacza.

Kampanię roku 1809 odbył przeciwko nam i użyty został tak w obronie jak i w ataku Sandomierza. W roku 1810 stawił się do naszych szeregów, otrzymawszy chlubną dymisją i wstąpił do korpusu inżynierów w stopniu kapitana. Odtąd używany był do robót fortyfikacyjnych Zamościa; w roku 1813 należał do obrony Modlina, a po kapitulacji powrócił do rodzinnego miasta Krakowa i tam w akademii jagiellońskiej publicznie wykładał matematykę wyższą.

Na początku 1815 roku przywołany napowrót, w stopniu najprzód kapitana a później podpułkownika, wybrany

był przez generała Sierakowskiego, dowódcę broni, na szefa sztabu. W tych obowiązkach zastała go rewolucya 1830 roku, której padł ofiarą z rąk podchorążych w nocy 29. listopada. Męciszewski nie miał przyjaciół w korpusie, był bowiem w służbie ostry, cierpki, równie sam pilny jak pilności i akuratności od swoich podkomendnych wymagający. I ten był główny powód jego śmierci.

Taki był wówczas skład naszego sztabu.

Po krótkim pobycie w Warszawie, przekonawszy się, iż przeniesienie się do kwatremistrzostwa na ten raz zbyt wielkim ulegnie trudnościom, powróciłem do Torunia w towarzystwie Michała Mycielskiego.

Spotkał mnie tu niespodzianie przypadek, który w krótkości opowiem.

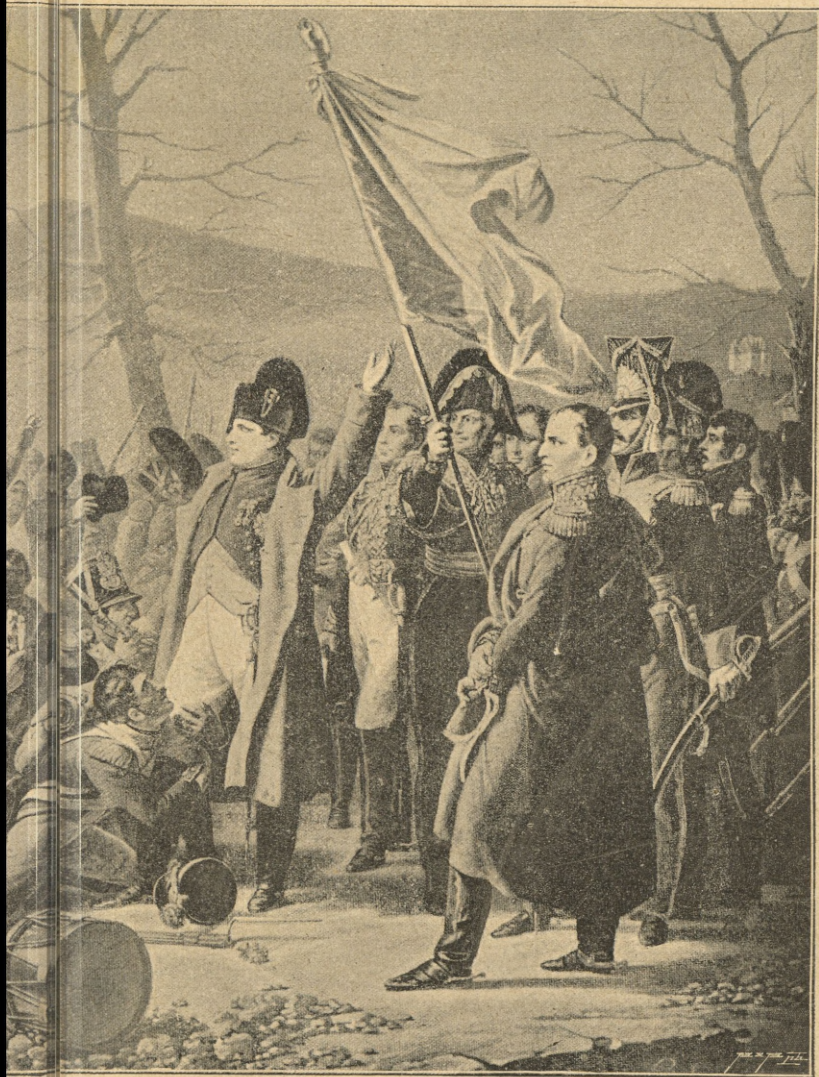
Oficerowie, do garnizonu rosyjskiego należący, zazdrośni uprzejmych względów i szczególniejszej dystynkcyi, jakich doznawaliśmy w domu gubernatora Pułtaraskiego, którego córki wyłącznie nas do tańca wybierały, szukali z nami zaczepki. Po obiedzie zwykliśmy wstępować do pierwszej kawiarni Torunia, i stamtąd po odegraniu kilku partyj bilardowych rozchodziliśmy się do naszych kwater. Jednego dnia byliśmy sami z Prądyńskim zatrudnieni grą, mając furazerki na głowach; wtem wchodzi kilku oficerów rosyjskich z majorem od piechoty Lefebure, z odkrytymi głowami. My nie uważając na nich zachowaliśmy furazerki i dokończyli partyą. Jeden z oficerów uważał to za ublżenie ich majorowi, przystąpił do mnie i żądał, abym odkrył głowę, a gdym tego nie uczynił, zaczął z innymi odgrażać się i nieprzyzwoitych wyrazów używać. Kiwnąłem na Prądyńskiego i natychmiast wyszedłem. Powróciwszy do kwatery prosiłem Prądyńskiego, aby przybrawszy Michała Mycielskiego i Wilsona poszedł majora Lefebure wyzwąć i gubernatorowi o tym wypadku donieść. Wyzwanie po wielkich dyskusjach, w których przebiegała się niewielka ochota zadośćuczynienia żądaniu mojemu, nareszcie przyjęte zostało. Gubernator, do którego się oficerowie całego batalionu po radę



POWRÓT NAPOLEONA Z WSI

(Wedle obrazu St

Pułkownik de La Bédoyère przyprowadza 7. pułk



Z WSPY ELBY. (Do str. 141).

obraz Steubena).

pułkiewchoty, który przechodzi na stronę Napoleona.

udali, oświadczył im, iż pomiędzy ludźmi honorowymi nie masz innego środka zatarcia obrazu, iż będąc przez nich obrażonym mam prawo żądać satysfakcyi i że major Lefebure stanąć mi musi. Dowiedzieliśmy się tego wieczora, iż oficerowie całego batalionu towarzyszyć chcą swemu majorowi w tej rozprawie, i obawiając się jakiejś napaści z prawidłami honoru, jak się zdawało, nieobeznanych ludzi, poprosiłem Prądyńskiego, Mycielskiego, porucznika inżynierów Heilmeyera i Wilsona, ażeby uzbrojeni każdego w parę nabitych pistoletów, przytomni byli pojedynkowi. Nazajutrz wyszliśmy na stoki, i bez żadnej przeszkody ze strony gubernatora stanęliśmy naprzeciw sobie, z jednej strony major L. z 10. oficerami, z drugiej nas pięciu oficerów polskich. Zmierzone dystans; Prądyński wręczył mi pistolet i wyznaczył stanowisko. Gdy podał drugi pistolet majorowi, ten żadną miarą nie chciał go przyjąć, wymawiając się najprzód stopniem, potem wiekiem, nareszcie żoną i dziećmi, w końcu naglony przez Prądyńskiego okazał się gotowym do przeproszenia mnie. Wyrazy, które podyktowałem, głośno powtórzył i na tem pojedynek się skończył. Żegnając nas spostrzegli oficerowie rosyjscy, że miałem konia osiodłanego, gotowego, zapytali się Wilsona, co by to znaczyć miało? Na odpowiedź, iż gdybym przypadkowo zastrzelił ich majora, wsiałbym na konia i niepowrócił więcej do Torunia, zaczęli się okropnie dziwić i żądać, nareszcie od nas odstąpili.

Dziś oficerowie rosyjscy prawa honoru tak samo rozumieją, jak oficerowie innych narodów, i nie byłoby mi zbrojnej satysfakcyi pewnie odmówili.

W połowie marca opuściwszy na zawsze Toruń, powróciłem do Warszawy i stanąłem kwaterą w domu ks. kanonika Kuszla, dawnego przyjaciela rodziców moich, na Kanonicznej ulicy.

Zameldowawszy się dowódcy korpusu, generałowi Sierakowskiemu, i dyrektorowi inżynierów pułkownikowi Mallettowi, rozpocząłem prace moje w biurze inżynierskiej w domu Pi-

jarów, przy Długiej ulicy. Wolne od służby chwile poświęciłem prywatnej pracy, czytaniu dzieł wojskowych i muzyce, w której pod kierunkiem metra przybranego, pana Stolpe, znaczne postępy zrobiłem. Słyszał wówczas w świecie muzycznym anglik Field, mieszkający w Petersburgu, którego koncerta mocno mnie zajęły. Nabrałem wkrótce więcej technicznej wprawy i gustu. Poznałem także w domu Brońców młodego Skibickiego, rodem z Wołynia, który dzieła Fielda z wielkim grał talentem i gustem, i za wzór najlepszy w tym względzie mógł mi posłużyć. Wieczory moje po większej części najprzyjemniej spędzałem w domu Brońców. Już niebyłem takim odludkiem jak w roku 1810, i udział żywy brałem we wszystkich zabawach. Czułem jednakże jeszcze pewną niezręczność w tańcu, którą, nie chcąc się wystawić na śmieszność w towarzystwie, wypadało mi usunąć. Umówiwszy się więc z Prądyńskim i z Domżałskim, urzędnikiem rządowym, 30-letnim elegantem warszawskim, braliśmy wieczorami prywatne lekcye tańca u pana Schmidta na Marienwilu. Ile chwil wesołych z tego zatrudnienia wynikło; ile pustych żartów z ciężkich podskoków Domżałskiego! Szczęśliwa młodości! Poznałem tej zimy w domu Sałackich familię Jasińskich, z Sandomierskiego przybyłą do Warszawy. Matka, z domu Ślubowska, wdowa, słabowitego zdrowia, szukała pomocy u doktorów warszawskich. Jej córki Zofia i Żaneta, każda w swym rodzaju piękna, mocno mnie i Prądyńskiego zajęły. Prądyński skłaniał się do starszej Zofii, pięknej brunetki, mnie serce wiodło ku młodszej blondynie; nie wątpię nawet abyśmy śladu w ich sercach także nie zostawili, lecz wkrótce wypadło nam opuścić Warszawę. Pani Ślubowska o stałszych i poważniejszych mężów dla córek postarała się. Zofia w parę lat później poszła w rubieszowskim powiecie za pana Rulikowskiego, Żaneta za pana Karskiego w sandomierskim, bogatych obywateli.

W domu Sałackich poznałem także poważnego starca, generała Haumana, byłego pułkownika pułku Działyńskich,

którego współdział w czasie powstania 1794 r. zapewnił ludowi warszawskiemu zwycięstwo nad Rosyanami. Pomimo wieku podeszłego, miał bowiem blisko 70 lat, postawa woj-skowa, żywość w poruszeniach i przytomność zupełna, po-znać dawały, jak dzielny być musiał w tej pamiętnej dzie-jów narodu epoce.

Jenerał Haumann był ojczymem Antoniego i Konstan-tego Malczewskich. Pierwszy w literaturze ojczystej nieśmier-telne zjednął sobie imię uroczym poematem »Marya«, dziś na wszystkie europejskie języki przełożonym. Miał wówczas lat 26. Poznałem obydwóch braci i często z nimi obcowałem. Antoni odznaczał się od brata młodszego wyrazem melanco-lii, którą powszechnie przypisywano nieszczęśliwej miłości i po-jedynkowi z przyjacielem Blendowskim, któremu na początku roku 1812 niebezpieczną zadał był ranę.

Dom Brońców środkiem był towarzystwa rosyjskiego, z powodu stanowiska, jakie pan Broniec, jako marszałek pa-łacu, zajmował. Bywali w nim: pan Mohrenheim, sekre-tarz przyboczny Wielkiego księcia, adjutanci jego cesarskiej wysokości panowie: Fenchow, Tymierazów, ksiązę Aleksander Gallicyn, Szachmatiew i W. Iliński, pełniący służbę przy gu-bernatorze księstwa warszawskiego, hrabia Łanskoj i wielu innych.

Hrabia Iliński był młodszym synem senatora, hrabiego Ilińskiego, za panowania Pawła I w wielkiej łasce zostają-cego u tego nieszczęśliwego monarchy i z tego względu ce-sarzowi Aleksandrowi także miłego.

Mąż ten, znany na Wołyniu z nadzwyczajnej dumy i z niesłychanych dziwactw, miał jednak najlepsze swoje strony. On to wpływem swoim natchnął cesarza Pawła, zła-godził jego umysł dla Polaków, i więcej jak ktokolwiek inny przyczynił się do uwolnienia Kościuszki, Mostowskiego, Niem-cewicza i wielu innych więźniów politycznych, zawiezionych do Petersburga po nieszczęśliwej rewolucyi 1794 roku. Dla-tego też pomimo śmieszności i dumy szanowany był powsze-

chnie. Syn jego Aleksander, lubo bardzo utalentowany, przechodził ojca mimo śmieszności swojej.

Wacław Gutakowski, syn ś. p. prezesa senatu za Księstwa warszawskiego, w tym czasie bywał także w domu Bronców i zdawał się wrażenie czynić na obydwóch siostrach, Joannie i Józii Grudzińskich. Serce jego się ważyło pomiędzy siostrami, równie znakomitemi. Nareszcie po długim wahaniu, które długo niezagojony ślad zostawiło w umyśle Joanny, również zaczął swą skłonność okazywać Józii Grudzińskiej.

W pierwszych dniach marca, wiadomość o powrocie Napoleona z wyspy Elby, nowe nadzieje wzbudziła w umysłach młodzieży wojskowej, niecierpliwie znoszącej ciężkie, na nią nałożone jarzmo. Pochody wojsk rosyjskich do ojczyzny zatrzymane zostały. Czoła kolumn zwróciły się na nowo ku granicom francuskim. Kongres wiedeński od 1. listopada 1814 roku zebrany, zatrudniał się rozwikłaniem nowych stosunków Europy, w głównych zasadach wstrząśniętych pokojem paryskim. Po długich naradach, monarchowie w połowie stycznia jeszcze nie byli zupełnie zgodni w główniejszych punktach, a mianowicie tych, co się tyczyły przyszłego losu Saksonii i Polski.

Wylądowanie
Napoleona.

Rosya w ostatnim przedmiocie sama chcąc stanowić prawa, żądała w nagrodę usług swoich przywłaszczenia wszystkich prowincyi polskich w jej mocy będących, nie dopuszczając do żadnego udziału współprzymierzeńców swoich.

Żądaniu temu sprzeciwiły się: Austria, Francya, a osobliwie Anglia. Zaczęto nawet myśleć o zbrojnym odporze prentensyi Rosyi. Koalicya pomiędzy temi mocarstwami bliska była zawiązania, gdy wiadomość o wylądowaniu wspólnego nieprzyjaciela, jakby grom z spokojnego nieba rzucony, wszystkich, na kongresie reprezentujących mocarstwa umysły, do jednności skierowała. Stanęła w krótkim czasie ugoda względem podziału księstwa warszawskiego pomiędzy Rosyą i Prusą, w której zawarowaną została narodowość dla mieszkańców polskich i liberalne urządzenie stosunków krajowych. Król

saski uwolnił nas zarazem od przysięgi, którąśmy jemu złożyli. Nie było więc już żadnej przeszkody ani w organizacyi kraju, który przybrał pod berłem cesarza Aleksandra I tytuł Królestwa Polskiego, ani w organizacyi wojska. Pamiętny był w tym czasie list, napisany przez cesarza Aleksandra do prezesa senatu Ostrowskiego, w którym oświadcza chęć nadania Polakom konstytucyi, opartej na najliberalniejszych zasadach, obiecuje tarczą swą zakryć też instytucye i Polaków wzywa do obrony nowych swobód, na przypadek, gdyby nieprzyjaciel zewnętrzny chciał takowe naruszyć. List ten wydany był w chwili, gdy doznawał oporu od trzech mocarstw wyżej wymienionych, w urzędzeniu stosunków polskich.

Ustały zabawy w Wiedniu, zaprzestano tańców, o których książe de Ligne dowcipnie mówił: *le congres danse mais ne marche plus*. Cesarz Aleksander zapomniał o przebieraniu się na wyścigi z księżną Windischgraetz. Natomiast szcęk oręża, wymierzonego przeciwko burzycielowi spokojności europejskiej, wszędzie się rozlegał. Osobę jego za nieprzyjaciela Europy wywołano. Cenę na jego głowę naznaczono. Milion żołnierzy zaczęło się zbierać nad granicami Francyi.

Tymczasem żadne gwałtowne poruszenie nie dawało się spostrzegać w Polsce: bądź to że prawie wszyscy długimi wojnami znękan i wzdychali do spoczynku, bądź to, że jaśniej przezierający horyzont polityczny uważali przedsięwzięcie Napoleona za rozpaczliwe i smutny mu koniec przepowiadali. Tylko pomiędzy wojskową młodzieżą i oficerami dawnej cesarskiej gwardyi spostrzedz się dawała pewna drażliwość i oczekiwanie gorączkowe wypadków walki. Że jednak organizacya nowej armii polskiej jeszcze uzupełnioną nie była, rząd tymczasowy Księstwa warszawskiego nie widział powodu powściągnięcia tych drobnych oznak opinii w wojsku. Wojska rosyjskie, jak wyżej już mówiłem, zwróciły się ku Francyi, my jednak żadnego udziału w wojennych poruszeniach nie mieliśmy.

W położeniu mojem żadna nie zaszła zmiana. Ciągłe bawiłem w Warszawie, zajęty rysowaniem planów w biurze pułkownika inżynierów Malletta. Wiele chwil pozostało mi wolnych. Nareszcie długo oczekiwane wiadomości z teatru wojny przychodzić zaczynały; najprzód odgłos bitwy wygranej pod Ligny d. 16. czerwca, nad armią generał-majora Blüchera, ożywił nadzwyczajne nadzieje całej młodzieży wojskowej, do której i ja należałem; z niecierpliwością febryczną czekaliśmy potwierdzenia tego pierwszego zwycięstwa i nowych wiadomości o dalszych tryumfach. Już przestrzeń między Renem a Wisłą za małą się zdawała dla skrzydeł naszych nadziei. Lecz jakież nas ogarnął smutek, gdy niewątpliwy raport z pobojowiska pod Waterloo, czyli Belle Alliance, niesłychany pogrom wojska francuskiego malujący, w dniu 18. czerwca doszedł do Warszawy. Odtąd wszystkie nasze marzenia ustąpić musiały rzeczywistości. Los nasz odtąd zależał zupełnie od cesarza Aleksandra. Wielki książę Konstanty towarzyszył mu do Paryża. Większa część wojsk rosyjskich szła do Francji i stamtąd wracała traktem toruńskim i płockim: 167.000 ludzi wkroczyło do Francji, nad którymi cesarz Aleksander na równinie pod Vertus odbył przegląd; 30.000 pod hrabią Woroncowa pozostało we Francji po powrocie króla Ludwika XVIII z Gaud; reszta zimą w okropnych mrozach długi pochód do ojczyzny odbyła.

Na początku listopada 1815 roku odebrałem od dowódcy mego rozkaz pojechania do Kalisza z porucznikiem Blizińskim, dla zdania raportu o wszelkich budowlach wojskowych województwa kaliskiego. Instrukcyja nakazywała wyszukać wszystkie budynki, klasztory, zamki w całej tej okolicy, postarać się o plany wszystkich; oznaczyć do jakiej gałęzi służby zdaćby się mogły: czy na koszary, szpitale, magazyny, stajnie, odwachy lub inne; ułożyć kosztorysy przebudowania lub napraw. Zadanie było obszerne i wymagało usilnej pracy.



CESARZ ALEKSANDER I.
(Wedle portretu Kjugelchena, rytował Tardie).

Naprzód zająłem się samym Kaliszem, gdzie koszary korpusu kadetów szczególną moją uwagę zabrały; następnie zwiedziłem miasta: Sieradz, Szadek, Koło, Konin, Wieluń, Piotrków, Częstochowę i inne pomniejsze, i zebrawszy wszelkie potrzebne materiały, powróciłem na resztę zimy do Kalisza. W mieście tem doznałem wiele uprzejmości ze strony podprefekta radomskiego, którego żona, Zajączek z domu, wychowana była w instytucie pani Campans i do osób najdystyngowańszych, jakie kiedykolwiek poznałem, bez wątpienia należała. Posiadała sliczny talent rysowania, do tego ujmującą była w rozmowie. Siostra jej później zaślubiona Łubińskiemu, synowi prezesa sądu kaliskiego, posiadała także bardzo piękny talent gry na harfie i fortepianie. Obiedwie te damy pobyt mój w Kaliszu starały się uprzyjemnić; po lepszem poznaniu się wzajemnem wszystkie niemal wieczory u nich przepędzałem, i wyznać muszę, że w ich towarzystwie wiele zyskałem. Poznałem także w ich domu panią Kamińską, żonę pułkownika Henryka Kamińskiego, Kochanowską z domu, osobę nadzwyczaj interesującą, wykształconą, muzykalną. Nic cudniejszego, jak sposób, jakim śpiewała arye włoskie, romanse francuskie i hiszpańskie. Nie była jeszcze wtedy tem, czem później została, jasnowidzącą; lecz stan jej nerwów okazywał się już bardzo osłabiony i nie rokował długiego życia.

Komendantem kadetów był pułkownik Regulski, dawny legionista włoski, znany także w legii nadwiślańskiej z waleczności swojej; człowiek wykształcony, lecz niesłychanie zarozumiały i dumny. Dla mnie okazał się uprzejmym i grzecznym. Żona jego, młoda i ładna, Bibianna, ciągłym przedmiotem była jego zazdrości, nie spuszczał jej z oka ani na chwilę, i odgrywał niechcący przedemną bardzo pociesznie rolę Bartha z Rozyną. Choć w najniewinniejszej myśli, starałem się utrzymać go w roli raz obranej. Dziękował Bogu kiedym wyjechał.

Komendantem polskim Kalisza był major Rogowski, znany rodziców. Pułkiem kozaków nadgranicznych dowodził pułkownik rosyjski Katazanów.

Wykończywszy plany i kosztorysy, dotyczące się
Rok 1816. budowli wojskowych województwa Kaliskiego, na początku marca 1816 roku, całą tę pracę, w której mi porucznik inżynierzy Bliziński szczerze dopomógł, przesłałem dyrektorowi inżynierzy, generałowi Mallet'owi, od którego pod dniem 12. marca 1816 odpowiedź z podziękowaniem za moje prace odebrałem.

W końcu marca powróciłem do Warszawy i połączyłem się z nieodstępnym przyjacielem mojej młodości, Prądzynskim. Mieszkaliśmy przez niejaki czas na Nowem Mieście w domu pani Wrzesińskiej, która pensją panien kierowała; później w kamienicy na rynku Starego Miasta.

Dnia 27. marca wysłany byłem do Modlina dla zdjęcia planu okolic Pomiechówka, gdzie założyć zamierzano prochownię. Wkrótce wypełniwszy polecenie, powróciłem napowrót do Warszawy i resztę wiosny przepędziłem w stolicy.

Rozkazem z dnia 23 czerwca 1816 roku przeznaczono mnie na szefa robót przy demarkacyi granic Rzeczypospolitej krakowskiej, pod naczelnem dowództwem generała-lejtenanta D'Oeuvray, komisarza cesarskiego dla demarkacyi Królestwa polskiego.

Skład demarkacyi był następujący:

Przy jenerale D'Oeuvray, komisarzu cesarskim, podpułkownik Józef Hanke, jako sekretarz jeneralny.

Od strony granic pruskich: specjalny komisarz, podpułkownik Ignacy Prądzynski; kapitan kwatermistrzostwa jeneralnego, Chrzanowski Wojciech; porucznik kwatermistrz hrabia Stanisław Plater; kapitan inżynierów, szef robót Bałowicz Dominik.

Od strony Rzeczypospolitej krakowskiej i Austrii:

Specjalni komisarze: podpułkownik Adam Bojanowicz; hrabia Józef Wodzicki. Szef robót: kapitan inżynierów Klemens Kołaczkowski; kapitan kwatermistrzostwa jeneralnego Franciszek Koss; porucznik Marcin Klemensowski; porucznik kwatermistrzostwa jeneralnego Jerzy Arnold; konduktorowie: Nikodem Butrym i Józef Breza.

Zaopatrzywszy się w narzędzia miernicze, jako to bussole, stoliki, teodolidy z fabryki petersburskiej, które dla złego gatunku kruszcu i wcale niedostatecznych podziałek okazały się nieużytecznymi w praktyce, w połowie sierpnia wyjechałem do Krakowa, w towarzystwie poruczników: Arnolda i Klemenowskiego. W Końskich, majątności państwa Stanisł. Małachowskich, zatrzymałem się przez dzień jeden. Zastałem tu siostry cioteczne, Joannę i Antoninę Grudzińskie, pierwszą w stanie drażliwym nerwów, którego sobie wówczas wytlómaczyć nie mogłem, a którego przyczynę później dopiero poznałem.

Przyjęty byłem jak najuprzejmiej i zaopatrzywszy się w list rekomendacyjny Pani Małachowskiej do siostry jenerałowej Męcińskiej, bawiącej w Krakowie, stanąłem nareszcie w staroświeckim grodzie, dziś stolicy Rzeczypospolitej krakowskiej.

Zastaliśmy już tam komisarzy trzech dworów do organizacyi rządu Rzeczypospolitej: pp. hrabiego Schwertz-Sperk, dyplomatę austryackiego ze szkoły Kaunitza, barona Reybnitza ze strony pruskiej i p. Miączyńskiego ze strony polskiej, czyli raczej rosyjskiej.

Komisarzami specjalnymi do demarkacyi byli ze strony Austrii: major jeneralnego sztabu, Blagoewich, kawaler orderu Maryi Terezyi; myślenicki starosta baron Lipowski; pod nimi kapitanowie ze sztabu jeneralnego Hanekart, kapitan od piechoty baron Rothkirch; kapitan kwatermistrz baron Kempen; kapitan sztabu jeneralnego Ulrichsthal, kapitan od dragonów Hebert i porucznik Marin od piechoty.

Ze strony pruskiej specjalnymi komisarzami: oberhauptmann Bosshamp (brat byłego ambasadora ze strony rządu polskiego do Konstantynopola za czasów Stanisława Augusta, którego lud warszawski za namową Kapostasa, sekretarza Kołłątaja, w r. 1791 na szubienicy powiesił) i hrabia Mettich, właściciel dóbr zbankrutowany, z górnego Śląska, z dwoma konduktorami.

Najlepiej reprezentowane co do sprawy demarkacyjnej były rządy: austriacki i polski. Najgorzej rząd pruski; osobistości takie, jak Boshamp i Mettich i dwaj konduktorowie, śpiewający nam codziennie *Wir sind Preusse* albo *Heil dir im Siegeskrantze*, do wielu żarcików i karykatur dawały nam powód.

Oddawszy list mój wierzytelny pani Męcińskiej, z domu Stadnickiej, która mnie w towarzystwa krakowskie sama wprowadzała, i odbywszy urzędowe prezentacje, wizyty komisarzom dwóch dworów, prezesowi Rzeczypospolitej krakowskiej i senatorom, zabraliśmy się do naszych czynności.

Rozdzieliłem robotę wymiarową na trzy części: 1^o wymiar suchej granicy od punktu, gdzie przytykała do Wisły, aż do rzeki Przemszy pod Niwką przyjąłem na siebie, przybrawszy do pomocy porucznika Klemensowskiego i konduktora Józefa Brezę. 2^o od Niwki, wzdłuż Czarnej Przemszy do Wisły i 3^o bieg Wisły od ujścia Przemszy do punktu, gdzie sucha granica się poczyna, oddałem porucznikowi Arnoldowi z konduktorem Butrynem.

Narzędzia nasze pokazały się pełne błędów: w braku dogodniejszych i pewniejszych musiałem się udać do astronoma Łęskiego, dyrektora obserwatorium krakowskiego o kwadrant Ramsdena. Tem narzędziem skutecznie tryangulację pasma granicznego na suchej granicy, zwykłym sposobem. Ta praca i rozmiar szczegółowy całej okolicy, o ćwierć mili od linii demarkacyjnej traktatem wiedeńskim wytkniętej, zabrały nam całą jesień. Oficerowie austriacy w lepsze narzędzia zaopatrzeni i od nas wprawniejsi, używali stolików wiedeńskich, tak w tryangulacji jak i w szczegółowych wymiarach. Konduktorowie pruscy, nie mogąc bussolą i łańcuchem podołać w okolicy górzystej, przyłączyli się do oficerów austriackich i przypatrywali się nieczynnie ich rozmiarom. Dukt graniczny prowadził przez kraj leśny i skalisty, gdzie wszelkich wygod wyrzec się potrzeba było. W dwóch domach tylko wypocząć mogliśmy: w Kościelnikach, majątności hr. Józefa Wodzickiego

i u szanownej wdowy, pani Jakóbowej Wodzickiej. Na innych punktach przestawać często musieliśmy na chlebie razowym, z owsa sporządzonym, a inne potrzeby zaspakajaliśmy z Krakowa.

Praca nasza w polu trwała do późnej jesieni; pierwszych dni Listopada czas tak przykry nastał, iż wypadło pomyśleć o powrocie do Krakowa. Stałem w kamienicy pod Krzysztoforami. W tym samym domu mieszkali: podpułkownik Bojanowicz z biórem topograficznym, komisarz do organizacyi Miączyński i pani Męcińska.

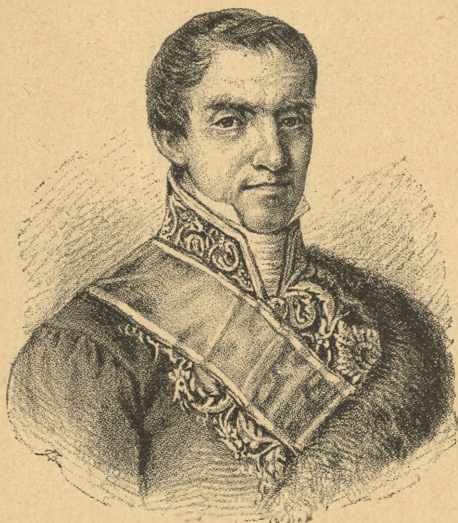
Czas mój rozdzielony był między układanie i rysowanie kart topograficznych linii demarkacyjnej, własną prywatną pracę, muzykę, malarstwo i towarzystwo nader przyjemne krakowskie. Pensya moja kapitańska wynosiła miesięcznie 485 zł. czyli 80 talarów 25 sgr. Prócz tego jako szefowi robót wypłacano mi 3 talary dziennych dyet, czyli 90 tal. miesięcznie, miałem więc do prowadzenia wygodnego etatu w Krakowie 170 tal. miesięcznie. Ten fundusz nietylko był dostateczny do utrzymania mojego, lecz w końcu demarkacyi 350 talarów w złocie miałem zebranych, z których 200 talarów ojeu w chwili nagłej potrzeby oddałem do dyspozycyi, szczęśliwy z tej sposobności okazania mu mojej wdzięczności za tyle starań i kosztów mego wychowania.

Towarzystwo krakowskie składało się w tym roku z osób wykształconych; szczególnie damy ^{Spółceństwo krakowskie.} w tym względzie przed mężczyznami korzystnie odznaczały się. Wyliczę tu familje, w których domu bywałem i których względy dla mnie z wdzięcznością i przyjemnością do dziś dnia wspominam. W pierwszym rzędzie kładę familję prezesa Senatu, Stanisława Wodzickiego. On sam osobistością swoją wzbudzał uszanowanie. Był to człowiek wszechstronnie wykształcony, a w botanice uczony; w majątności swojej Niedźwiedziu, posiadał ogród botaniczny, który własną ręką pielęgnował. Brat jego przyjacielem był Kościuszki i jako generał dowodzący brygadą zginął pod Szczekocinami. Polskie

uczucia Stanisława Wodzickiego nietajne były nikomu i jednały mu ogólny szacunek współobywateli. Jego ludzkość, uczciwość, zamiłowanie prawdy, uprzejmość w domu, zniewalały mu wszystkich serca. Pobyt mój i moich kolegów w jego domu do najprzyjemniejszych chwil życia mojego policzyć mogę. Familja Stanisława Wodzickiego była bardzo liczna. Żona jeszcze wtedy piękna i poważna, z godnością honory domu czyniła; dwóch synów i pięć córek pięknych, grono familjne stanowiących, otaczało matkę. Pomijając młodszych synów, wspomnę tylko o córkach: Katarzyna najstarsza, za Konarskim z Galicyi, wzorem była wszystkich cnót kobiecych; słodycz i dobroć rozlana na jej pięknej twarzy ujęły mnie odrazu. Staralem się o jej zaufanie i przyjaźń, a później, gdy mi stosunki sposobność dały poznać pannę Antoninę Michałowską, najbliższą ich przyjaciółkę, ona była pośredniczką naszych wzajemnych uczuć, niejedną radę przyjacielską mi dawała i niejedną boleść serca złagodziła.

Druga siostra Aniela, w kilka lat potem za Działyńskim, różniła się zupełnie od starszej siostry, tak co do powierzchowności, jak i charakteru. Na pozór lekkomyślna, kokietka, zajęta tylko światem i jego zabawami, pełna dowcipu i wdzięków, miała jednak najlepsze swoje strony. Brak dobrej rady ze strony matki, osłepienie jakieś niewytłómaczone rodziców względem niej jednej, wolność nadzwyczajna w wyborze książek, które raczej do przewrócenia, aniżeli do oświecenia tej pustej główki posłużyły, wtrąciły niedojrzałą w odmęt światowy bez rady bez przewodnictwa. Zabolało mnie serce na widok tej młodej osoby, nad przepaścią stojącej. Zbliżyłem się do niej i korzystając z wolnych chwil, w tajnych i poufnych rozmowach starałem się pozyskać jej zaufanie, wytykałem z wszelką delikatnością jej błędy, a nareszcie gdy mi przyznała prawo przyjaciela, z wszelką otwartością wynurzyłem jej moje zdanie. Zastanowiła się mocno; odtąd spostrzegłem wielką w niej zmianę, w ubiorze i w całej powierzchowności większą skromność, powagę względem mężczyzn, powściągliwość w mowie.

Rodzice, domownicy, przyjaciele, siostry — nie wiedzieli jakiej przyczynie przypisywać mieli tak wielką zmianę; było to dzieło młodego kapitana, 20-letniego, nie mającego innego zamiaru, jak tylko uratowanie młodej osoby z siodeł, zastawionych na nią przez pochlebców i fałszywych przyjaciół. Jakichże



STANISŁAW WODZICKI.
Prezes Senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej.

cudów dokazać byłaby mogła dopiero rozsądna miłość na tym słicznym charakterze! Lecz moje serce w inną stronę było wówczas zwrócone.

W dwa lata po moim wyjeździe z Krakowa, Aniela Wodzicka została panią Działyńską; i w tym nowym stanie okazała się najlepszą żoną i najlepszą matką. Życie jej było

zbyt krótkie. W 3 lata po ślubie zakończyła swój młody zawód na tej ziemi. Czyli kiedy wspomniała imię młodego moralisty, który bez żadnego powołania odważył się zwrócić jej umysł na lepszą drogę?

Trzecia jej siostra zwała się Julia, później pani Bielska; niewiele o niej powiedzieć potrafię — tylko że niewiedzieć z jakiego powodu liczyła mnie w poczet swoich adoratorów; uważałem za powinność wyprowadzić ją z błędu.

Czwarta Helena w nadzwyczajnej piękności równała się matce: lecz natura nie obdarzyła ją tymi przymiotami, które serce zniewolić potrafią — była zimna, dumna i zbyt pewna wrażenia, jakie na wszystkich czyniła. Syn bogatego lorda szkockiego, pan Hay, w roku 1818 przejeżdżając przez Kraków, uderzony jej blaskiem, pokochał się w niej namiętnie i prosił o jej rękę. Lecz rodzina względ mając na różnicę religii i oddalenie córki na zawsze, nie zezwoliła na jego żądanie; co tem rozsądniej było z jej strony, że zimne jak gład serce panny Heleny ani na chwilę poruszonem nie zostało na widok miłości pięknego Anglika, który z rozpaczą w sercu porzucił Kraków. W kilka lat później Helena Wodzicka zaślubioną została panu Niemojowskiemu.

Drugi, dla mnie otwarty dom, był hrabiego Józefa Wodzickiego, komisarza demarkacyjnego.

On sam, około 40 lat wówczas mający, podróżował wiele, odwiedzał Francję w ekwipażu krakowskim, oszczędnością swoją zadziwiał nawet dość skąpych Francuzów — zresztą uprzejmy w domu, i pomimo znanej oszczędności czyli raczej skąpstwa, lubiany był przez Krakowianów, a szczególnie przez lud. W każdej bowiem potrzebie, był najpierwszy w udzielaniu rady i pomocy, przy ogniu sam z narażeniem życia ratował, zgółta był bardzo popularny w Krakowie. Przy wszystkich okazjach, gdzie mógł za ludem przemówić lub słabszych załonić, z pewnością można było na niego liczyć. Już w późnym nawet wieku, w roku 1846 i 1848 nie stracił zaufanie Krakowianów, i wiele się przyczynił do złagodzenia

środków zbyt ostrych, ze strony austriackiego rządu przedsięwziętych dla utrzymania spokojności miasta.

Żona jego, z domu księżąt Jabłonowskich, o której z największym uszanowaniem wspominac powinienem, matką była ubogich Krakowa. Któż zdoła policzyć te wszystkie dobrodziejstwa, które na biednych z jej ręki spływały?

Familia Józefów Wodzickich składała się z trzech synów: Henryka, Aleksandra i Kazmierza i z dwóch córek: Karoliny i Emilii. Henryk Wodzicki, zaślubiony z księżniczką Teresą Sułkowską, mieszka dziś na wsi w Ks. Poznańskim i do najwykształceńszych ludzi tej prowincyi należy. Kazmierz posiada dobra po stryju, Piotrze Wodzickim, na Podolu galicyjskiem; ożenił się także w Ks. Poznańskim z panną Laurą Platerówną, córką hr. Stanisława i Antoniny Gajewskiej. Aleksander odbywał dalekie podróże we Włoszech i w Grecyi i po wielu ciężkich doświadczeniach osiadł w Tyczynie (pod Rzeszowem), majątku zapisanym mu przez stryja. Odbył kampanję roku 1831 i dostał krzyż *Virtuti militari*. Ożenił się z Jędrzejowiczówną. Umarł w roku 1852¹⁾.

Karolina Wodzicka w czasie pobytu mego w Krakowie miała lat 16; była bardzo powabną i piękną, a nawet cokolwiek kokieteryi niewinnej zarzucić jej było można, którą oko czuwającej matki powściągnąć jednakże potrafiło. Wyznać muszę, że mnie niejakiś czas żywo zajęła; lecz zastanowiwszy się lepiej nad położeniem mojem własnem, zwłaszcza nad stanem majątkowym rodziców moich, potrafiłem stłumić wzrastającą skłonność i w domu rodziców bywałem nie jako pretendent do jej ręki, lecz jako przyjaciel tylko. W roku 1818 wprowadziłem w dom jej rodziców p. Józefa Mycielskiego, kuzyna jej bliskiego, majątnego wielkopolskiego obywatela, który się wkrótce o jej rękę oświadczył i słowo rodziców uzyskał. Odtąd mieszkali w Chocieszewicach, później w Roko-

¹⁾ Jego synem był Ludwik Wodzicki, marszałek krajowy zmarły 1894. (Przypisek redakcyi).

sowie. Pani Karolina Mycielska jest matką księżny Sułkowskiej. Roku 1849 nagle umarła na cholere w Warszawie, żalowana przez liczną familię i niemniej licznych zwolenników i przyjaciół. Autorką była moralnego romansu pod tytułem *Wczoraj*. Młodsza jej siostra Emilia, za Prosperem Zborowskim, chorowała od dzieciństwa, i w 18 roku życie zakończyła. Do grona familijnego Wodzickich należały też dwie siostry hrabiego Józefa Wodzickiego: pani Potulicka i pani Małachowska obie wdowy i w podeszłym wieku matrony.

Trzeci z gościnności w Krakowie znany i dla mnie bardzo przychylny, lubo niemiłe na mnie wrażenie robiący, był dom państwa Grodzickich.

Pan Grodzicki, senator w Krakowie, był to człowiek zgrzybiały, schorzały, na pół złamany paraliżem, lecz jeszcze żywy na umyśle, i ślady eleganta z czasów Stanisława Augusta w ubiorze zachowujący; pani Grodzicka, młodsza od męża, żywa, lubiąca zaloty i zabawy nad wiek. — Córka Julia równie żywa jak matka, wesoła i ładny talent do śpiewu posiadająca, długo czekała na partyę stosowną; nareszcie w 35 roku poszła za kuzyna i imiennika pana Grodzickiego¹⁾.

Bywałem wprawdzie w domu Grodzickich dla stosunków jego z Michałowskimi, lecz nierównie więcej upodobania znajdowałem w towarzystwie pani Wąsowiczowej, z domu Odonell, jednej z najdystyngowańszych dam, jakie kiedykolwiek w życiu spotkałem. Pani Wąsowiczowa, w Wiedniu wychowana w towarzystwie najlepszem lecz żadnego nie posiadająca majątku, poszła pewnie nie z miłości za obywatela w Sandomierskiem, bogatego wprawdzie, lecz najgorzej wychowanego, surowego w obejściu się codziennem, człowieka złej konduity i gorszych jeszcze obyczajów. Stosunek ich wkrótce się zachwiał i rozłączenie nastąpiło. Pani Wąsowiczowa zamieszkała z córką w Krakowie, on zaś odebrawszy synów, w dobrach swoich najrozwiązlejsze pro-

¹⁾ W powtórnem małżeństwie Rzewuska. (Przypisek redakcyi).

wadził życie, oddany pijaństwu. Pani Wąsowiczowa trudniła się wychowaniem córki Emilii, bardzo przyjemnej osoby, która w czasie mego pobytu w Krakowie zaślubiła Władysława Sołtyka, synowca sławnego z dziejów naszych Biskupa krakowskiego, Sołtyka, księcia na Siewierzu. Słynęła wtedy w Krakowie z wykształcenia, wdzięków i elegancyi pani Janowa Wielopolska z domu Potulicka, siostrzenica hr. Józefa Wodzickiego, osoba wtedy licząca przeszło lat 30, bardzo dystygowana i ślady zgasłej piękności jeszcze nosząca. Niewiele dam krakowskich wyrównało pani Wielopolskiej w dowcipie, w gracy, z którą honory domu swego robiła, w znajomości literatur obcych, a zwłaszcza polskiej. Jej poezye pamięta do dziś dnia towarzystwo krakowskie. Lecz tyle pięknych zalet, w które ją natura tak hojnie uposażyła, przyciemniały duch intrygi i niepohamowana żądza podobania się, która powodem stała się wielu błędów z jej strony i reputację jej mocno podkopała. Pani Wielopolska miała wielbicieli wielu, lecz mało przyjaciół.

W podeszłym wieku pani Wielopolska opuściła świat nie dość wczesnie może, i zawarłszy się w Suchej, zamku mężowskim, leżącym u stóp prawie Tatr, została żarliwą dewotką. Rozeszła się z życiem roku 1848, zostawiwszy po sobie córkę, która jest żoną księcia Stanisława Jabłonowskiego i dziedzką wielkiego majątku.

Jan Wielopolski był to człowiek bardzo zacny i powszechnie ceniony, lecz słabego zbyt charakteru. Okazywał mi w czasie, gdy się starał o rękę panny Michałowskiej, wiele współczucia i przychylności.

Z pomiędzy wszystkich krakowskich domów najwięcej doznawałem przyjaźni i względów w domu pani Męcińskiej, z domu Stadnickiej, której szczególnie byłem polecony przez panią Małachowską z Końskich. Mieszkając w jednym domu pod Krzysztoforami, przepędzałem u niej swobodnie wieczory, nie poświęcone wielkiemu światu, na rozmowie, zawsze zajmującej i muzyce. Pani Męcińska długo podróżowała we

Włoszech, była zwolenniczką sztuk pięknych, miała serce żywe, przystępne dla przyjaźni, wiele dowcipu i wykształcenia; lecz natura darów swoich mniej szczerze jej udzieliła, była bowiem bardzo niskiego wzrostu, w stosunku odwrotnym z objętością; miała sześcioro dzieci. Mąż jej, były generał wojska polskiego, do Ormianina lub Włocha był podobniejszy, niż do Polaka. Wywożąc co lato żonę do Dukli, majątności swej w Karpatach, przerywał pasmo przyjemnych wieczorów i rozmowie naszej z toru rozsądnej przyjaźni zejść nie dozwolił.

Prócz tych dam jaśniały wówczas na horyzoncie krakowskim: pani Laryszowa, z domu Grabowska ¹⁾, rozwiedziona z Wielopolskim, pani Wincentowa Wielopolska, właścicielka zamku Pieskowa Skała, pani Sołtykowa ²⁾ z Kurozwęk, pani Morsztynowa z domu Ostrowska, pani Skorupkowa, z domu Przerębska i wiele innych.

Grono mężczyzn, wchodzących do towarzystwa, ani tak liczne, ani tak dobrane nie było. Zastaliśmy w Krakowie tylko dwóch braci Mieroszewskich, Jana i Ignacego; pierwszy był poetą, drugi malarzem amatorem; obadwaj ciężar nabytej reputacji z wielką zarozumiałością dźwigali; zjawienie się nasze straciło ich z wysokości ciężko dopiętego Parnasu.

Duchowienstwo w tem towarzystwie nierównie lepiej było reprezentowane. Dość nazwać Biskupa ks. Woronicza, autora Sybilli; ks. kanonika Sierakowskiego, lubownika starożytności i pięknego budownictwa ks. kanonika Skórkowskiego, później Biskupa, prześladowanego przez rząd za zdanie polityczne i opozycję swoją; ks. Łańcuckiego, sławnego kaznodzieję kościoła Panny Maryi w Krakowie.

Z uczonych uniwersytetu krakowskiego wspomnę tu Samuela Bandtkego, bibliotekarza, autora wielu dzieł historycznych, a mianowicie historii polskiej; Hubego, profesora matematyki wyższej; Münicha, profesora języków starożytnych; Markiewi-

¹⁾ Matka Eugenii z Laryszów Januszkiewiczowej. (Przypisek red.).

²⁾ Matka Emilii Pawłowej Popielowej. (Przypisek redakcyi).

cza, profesora fizyki i chemii; Sołtykiewicza, profesora prawa: Sopulskiego, byłego kapitana artylerji, profesora geometrii wykresnej: Radwańskiego, byłego oficera artylerji, profesora architektury i wreszcie Łęskiego, astronoma i dyrektora krakowskiego obserwatoryum.

Do liczby osób, wchodzących do grona towarzystwa, dodać tu jeszcze powinienem trzech konsulów opiekuńczych mocarstw, pomiędzy nimi: Zarzyckiego, konsula rosyjskiego, senatorów i urzędników Rzeczypospolitej krakowskiej i pułkownika Gordona, komendanta siły zbrojnej krakowskiej.

Tej zimy wprowadzony zostałem do domu senatora Michałowskiego, dawnego urzędnika austriackiego: był to człowiek około 50 lat mający, surowych obyczajów, zachowujący troskliwie w domu swoim tradycje posłuszeństwa i karności staropolskiej; wszyscy przed nim drżeli: żona, dzieci, domownicy; lecz przytem miał formy grzeczne, jeśli nie cokolwiek niemieckie dla obcych, i lubił towarzystwo. Posiadał o dwie mile od Krakowa majątek Krzysztoforzyce, którym sam administrował; prócz tego miał dom w Krakowie i senatorskiej pensji używał. Nie mogąc pod względem majątkowym równać się z Wodzieckimi, żył bardzo skromnie, może i skąpo, lecz niczego nie żałował na wychowanie dzieci, z których każde w swoim zawodzie dystyngowanem nazwać było można. Pani Michałowska, z domu Morsztynówna, niegdyś bardzo piękna, była aniołem dobroci w całym znaczeniu tego wyrazu: uległa, cnotliwa, przykładna żona, matka rozsądna, bogobojna, miła; do tego w domu rządna, w towarzystwie przyjemna, powszechnie była lubiona i szanowana w Krakowie. Żaden cień, żaden zarzut w tem, z obyczajów dość wolnem, mieście nie dotknął jej reputacyi; ta była bez skazy najmniejszej. Osobistość pani Michałowskiej, własną matkę tyle mi przypominająca, wywarła niezmierny pociąg na mnie. Uszanowanie synowskie dla tej zacnej osoby poprzedziła skłonność, która się wkrótce w mem sercu odezwała dla jej córki Antoniny. Miałem sposobność poznać ją w domu państwa Męcińskich, w jesieni po

moim powrocie od robót demarkacyjnych. Panna Antonina Michałowska była wzrostu średniego, i ani się szczupłą urodą, ani piękną ręką, ani małą nogą nie odznaczała; twarz także, choć regularna, nie uderzała pięknnością, ani żywym wyrazem; oczy jej blade niebieskie, nie różniły się od wielu innych; miała włosy popielate blond, twarz podługową, lecz pełną, rysy niedelikatne, przypominające raczej egipskie, aniżeli greckie posągi. Co urok jej dla mnie stanowiło, był to wyraz słodczy i czystości dziewiczej, rozlany na jej twarzy, brak wszelkiej przesady i głos nadwyzczaj dźwięczny. Prócz znajomości obszerniejszej własnego języka posiadała z literatur obcych: niemiecką, francuską, angielską i włoską; słicznie się wypisała i prócz wielu własności, niepospolitych u kobiet, celowała w malarstwie i w muzyce. A jednak z tem wszystkim nie wydawała się wcale, była bowiem nadwyzczajnie skromną, i obawiała się, aby jej za uczoną nie poczytywano. Wrażenie, które na mnie zrobiła, nie było jednochwilowe, lecz z każdym dniem wzrastało, im bliżej poznawałem przymioty, ukryte jej duszy. Po trzech latach bywania w domu jej rodziców, postanowiłem dopiero starać się o jej rękę. Jaki skutek wzięty moje zamiary, później wam opowiem.

Brat starszy panny Michałowskiej miał imię Piotr. Rzadko natura tak hojnie kogoś obdarzyła. Rzadko też znaleźć można młodzieńca, wyrównywającego mu w pamięci, w usilnej pracy, w energii i w pokonywaniu wszelkich trudności. Piotr Michałowski kształcił się najprzód w Krakowie pod okiem rodziców; tu się rozwijać zaczęła jego nadwyzczajna zdolność do filologicznych i przyrodniczych nauk; tu także pierwsza iskra talentu znakomitego do malarstwa i do muzyki w nim się zapaliła. Profesor Münich w językach starożytnych, Markiewicz w fizyce, chemii i mineralogii, Lampi w malarstwie, Gorączkiewicz w muzyce, byli jego przewodnikami; później wyjechał do Goetyngi i na tamtejszym uniwersytecie odznaczał się postępowaniem nadwyzczajnym i pilnością najusilniejszą. Mógłbym tylko jednego współczesnego młodzieńca z nim porównać,

Stanisława Rzewuskiego; lecz ten w sztukach wyzwolonych nie mógł iść z Michałowskim w zawody, kiedy ten ostatni w sztuce malowania bitew, a osobliwie koni, europejską zjednał sobie sławę i długo w Paryżu z tego talentu utrzymywał się.

Piotr Michałowski, powróciwszy z uniwersytetu, umieszczony został w górnictwie krajowem pod ks. Lubeckim i później został dyrektorem hut i fabryk Suchedniowskich i Samsonowskich. Emigrował w roku 1831 z hrabią Antonim Ostrowskim, mężem jego siostry, którego córkę Julię zaślubił przedtem, i długi czas zabawiwszy w Paryżu, oddany naukowym pracom i malarstwu, wrócił nareszcie do Krakowa i osiadł na wsi. Stąd powołany zaufaniem współobywateli, przyjął urząd w Krakowie i dziś stoi na czele administracji w obwodzie krakowskim.

Brat młodszy Władysław ożenił się w Galicyi ¹⁾ i w r. 1831 był adjutantem hr. Weissenhoffa. Siostra młodsza Lucya, zdaje mi się, że za Ostrowskiego poszła, należy także do wykształceńszych osób Krakowa.

Ukończywszy, jak wyżej już mówiłem, tryangulacją duktu granicznego i rozmiary szczegółowe od Igołomii aż do ujścia Białej Przemszy w Czarną Przemszę, powróciłem do Krakowa z oficerami drugiego oddziału porucznika Arnolda, dla ułożenia na czysto oryginału karty demarkacyjnej w kilkunastu sekcjach i kopii tejże, przeznaczonej dla biura cesarskiego, czyli raczej dla archiwów państwa.

Oddawna spostrzegałem już niechęć podpułkownika Bojanowicza do mnie, który jako komisarz demarkacyjny i starszy oficer, był dowódcą naszym. W rozkazie przeznaczającym mnie do tej czynności, wyraźnie powiedziane było, iż wypełniać mam obowiązki szefa robót demarkacyjnych. Do mnie więc powinny były należeć: ogólny zarząd robót, kierunek tryangulacji, dozór nad szczegółowymi rozmiarami, rozmiar duktu,

¹⁾ 1^o voto z Lubieniecką, 2^o voto z Justyną Uniatycką; ojciec Józefa i Romana Michałowskich. (Przypisek redakcyi).

stawianie słupów itp. Podpułkownik Bojanowicz nie mając wyobrażenia o tem wszystkim, sam bowiem nigdy nie miał narzędzia mierniczego w rękę, za namową kapitana Kossa, sekretarza demarkacyjnego, człowieka niskiego charakteru, intryganta i złego kolegi, przedsięwziął przywłaszczyć sobie ogólny kierunek robót jednej części. Stąd powstały na samym początku nieporozumienia między nami, które do tego stopnia w codziennych stosunkach służbowych się wzmogły, iż myśleć począłem o odwołaniu mojem. Przyczyniała się do tego zazdrość korpusowa, byłem bowiem sam jeden z korpusu inżynierów, pomiędzy sześcioma oficerami kwatermistrzowstwa; cokolwiek także i zazdrość powodzeń salonowych.

Rady rodziców i przyjaciół, mianowicie Prądzyńskiego Sałackiego i innych, wstrzymały mnie od mego zamiaru, ze względu na skutki. Później różnice te nieco się zatarły; lecz w dwa lata później w Sandomierzu kilka miesięcy przed moim awansem na podpułkownika na nowo różnice żywiej wybuchły.

W końcu tej jesieni, z woli cesarza Aleksandra spro-
wadzono do Krakowa zwłoki Kościuszki, zmarłego
Pogrzeb zwłok Kościuszki. r. 1817 w Szwajcaryi. Ludność miasta całego z duchowieństwem i władzami w uroczystej processyi wprowadziła ciało nieszczęśliwego wodza naszego, do katedralnego kościoła w zamku. Złożono drogie zwłoki na katafalku, który pięknie ozdobiony został staraniem oficerów naszych. Nazajutrz po nabożeństwie żałobnem, w czasie którego ks. Łańcucki i prezes senatu Wodzicki mowami pogrzebowemi uczcili pamięć zmarłego bohatera, zwłoki te wniesione zostały do grobowego sklepienia, gdzie spoczywają obok zwłok Jana Sobieskiego i księcia Józefa Poniatowskiego.

Rok 1817. Zima z r. 1816 na 1817 przeszła nam spokojnie, na pracach w biurze naszym i na zabawach wieczornych w towarzystwie krakowskiem. Bytność w Krakowie malarza Lampi z Wiednia, dobrego pejzażysty, podała mi

sposobność do wprawy w olejnym malowaniu. Wkrótce widoczne postępy wynagrodziły moją usilność. Nie zaniedbywałem także muzyki i z pomocą Gorączkiewicza, organisty kościoła katedralnego, urządziłem wieczorki muzyczne, uczęszczane przez miłośników sztuki.

Nadejście wiosny powołało nas nad granicę, dla oznaczenia ostatecznego wątpliwej dotąd linii demarkacyjnej, przecinającej niektóre majątności na dwoje. Konferencye komisarzy dworów opiekuńczych, odwoływanie się do tychże dworów, zatwierdzanie z ich strony, zabierały bardzo wiele czasu. Nareszcie stanęła ugoda i w skutku tejże wyznaczono miejsce, gdzie słupy graniczne stać miały, i linię duktu geometrycznie i topograficznie opisano. Resztę lata przepędziliśmy na rysowaniu, kopiowaniu sekeyi i układaniu opisu granicznego dla naszego dworu.

Na początku r. 1817 ojciec nasz wysłał brata Adama do Berlina dla ukończenia nauk na uniwersytecie tamtejszym. Tegoż roku także Józef Krzyżanowski z Pakosławia zaczął w domu rodziców bywać w zamiarze zyskania ręki siostry mojej młodszej, Anieli, liczącej wtedy lat 17. Aniela była bardzo ładną i powabną, lecz humoru cokolwiek drażliwego, którym mogła być odstręczyć i mniej rozkochanego niżeli nim był młody Krzyżanowski. Poświęcał jej całe swe chwile i w końcu roku tego mógł się cieszyć nadzieją otrzymania zezwolenia z jej strony. Wychowanie Krzyżanowskiego było zupełnie francuskie, po polsku źle, śmiesznie nawet mówił, przeplatając francuszczyzną każde wyrażenie polskie; w postawie i w głosie miał coś niemęzkiego; a jednak był i bardzo odważnym i drażliwym w obronie własnego honoru. Wspaniałość i poświęcenie bez granic dla przyjaciół były piękną jego stroną, lecz posunięte za daleko względem osób, korzyść ciągnących z tego usposobienia, początkiem były zadłużenia pięknego majątku, oddziedziczonego po rodzicach. Krzyżanowski posiadał wówczas dobra Pakosław pod Rawiczem z pięknym pałacem, borami wielkimi nad granicą Śląska, łąkami nad

Orlą, dobra Ruchocin w Babimosteckim powiecie i Szurkowo w Krobskim; lecz te wszystkie dobra albo wypuszczone były w dzierżawę, albo jak najgorzej zagospodarowane, mało co przynosiły. On sam nie miał wyobrażenia o rolniczym gospodarstwie i obowiązkach ciężących na rolniku. Lubił wystawność i przepych i będąc młodym niezmiernie trwonił majątek na dziecinne wydatki, jako to: na konie, powozy, murzynów, grę itd. Gdy się o siostrę swoją starał, musiał mieć przeszło 50.000 talarów kieszonkowych długów, prócz hipotecznych po rodzicach. Nie była to więc tak korzystna partya, jak się wtedy zdawało. Lecz rodzice nie znali tego stanu dokładnie, sami byli w trudnych interesach; zjawienie się więc Krzyżanowskiego uważać musieli za dar Opatrzności dla siebie i córki, protegowali widocznie jego zamiary i 28 maja 1817 otrzymał nareszcie także słowo siostry Anieli.

Na św. Jan, roku tego samego, rodzice moi zawarli układ z wujem moim, p. Grudzińskim, o część czwartą własności Osieka i o prawa różne z Sielca; z tych dwóch przedmiotów przychodziło matce naszej 166.000 zł., z tych 90.000 użyte zostały za zezwoleniem matki na spłacenie posesorów Żydowa i Roztworowa (z przypożyczonemi sumami pod nieustąpieniem z dóbr w niskiej cenie zadzierżawionych), którzy pretensye ogromne z wojennych czasów podali. Cały dług dzierżawców wynosił u Schmidta 23.000 zł., u Czachurskiego 82.530 zł., razem 105.530 zł. i nabyty został przez matkę za 90.000 zł. Resztującą sumę 76.000 zł. przekazał wuj matce do pana Białobłockiego. Z hypotyk Wojnowa, Żydowa i Roztworowa pokazuje się, iż matka prócz tych 90.000 zł., któremi zaspokoiła dzierżawców, jeszcze 75.000 zł. poświęciła na zapłacenie dłużników ojca. Te wszystkie sumy, zahypotekowane najmniej na dobrach, przy subhastacyi tychże niepowrotnie utraciła. Została jej się tylko posagowa suma 100.000 zł. wyżej zahypotekowana i około 44.000 zł. z układów o Sielce i Osiek, tak, że na każde z nas czworo wypadało z czasem po 36.000 zł. tylko, prócz pretensyi z Opalenicy, o którą rzecz do dziś dnia jeszcze się toczy.

Wśród tego lata generał Dąbrowski w przejeździe do siostry ciotecznej, pani Kempieńskiej, mieszkającej w Pierzchowicach, o 3 mile od Krakowa, w Galicyi niedaleko Wieliczki, zabawił parę dni w Krakowie.¹⁾ Oficerowie demarkacyi naszej przedstawiali się mu. Powitał mnie generał jak najuprzejmiej, przypomniał kampanię rosyjską i powrót wspólny do kraju, pobyt w Paryżu i wiele innych okoliczności. Nazajutrz raczył mnie sam odwiedzić w mojem mieszkaniu pod Krzysztoforami i zaprosił z sobą do siostry, pani Dembickiej, u której spędziliśmy wesoło dzień cały. Chcąc generałowi zrobić przyjemność zdjąłem szkic jego wsi rodzinnej, Pierzchowice, i zabrałem się do wymalowania olejno krajobrazu, przedstawiającego w odległym tle szczyty Karpat.

Tego samego roku cesarz Franciszek I. z małżonką swoją, księżniczką bawarską, i niezliczonym orszakiem objeżdżał Galicyą. Oficerowie demarkacyjni polscy przedstawieni mu zostali w Wieliczce i w jego świecie obchodzili sławne kopalnie soli, leżące w ogromnych pokładach pod tem miasteczkiem. Nic piękniejszego wystawić sobie nie można jak oświetlenie ganków ulic podziemnych. Cesarza uderzyły szczególnie w kopalni stajnie podziemne, jezioro słone, nad którem wznosi się sklepienie z kryształów solnych, na 80 sążni wysokie, sale ogromne itd. Z promu na jeziorze słonem wypuszczono piękny fajerwerk, który szczytu sklepienia nawet nie dosięgał. Cesarz w czasie audyencyi nam udzielonej, był nakształt chińskiego posągu, mało mówiący; palcami kręcąc, odgrywał sobie pewien ulubiony marsz; o konstytucyę krakowską się spytał austriackim dyalektem: *Ist der Freistoot schon konstituiert?* (Czy się wolne miasto już ukształtowało?) Przeciwnie cesarzowa, do dobrej gospodyni niemieckiej podobniejsza, niżeli do monarchini, wdała się z nami, młodymi oficerami w rozmowę i z ciekawością wypytywała się o towarzystwo krakowskie.

¹⁾ Generał Dąbrowski urodził się 1755 roku, 29 sierpnia w Pierzchowicach koło Wieliczki, w Galicyi.

W jesieni roku 1817 przybył do nas generał-leitnant d'Oeuvery, naczelny komisarz demarkacyjny ze strony Rosyi dla przejrzenia naszych robót i kart. Prace nasze pozyskały jego pochwały; dla mnie okazał się bardzo uprzejmym i grzecznym. D'Oeuvery przed rokiem 1794 był oficerem inżynierów w sztabie polskim i miał wielu kolegów dawnych w naszej armii, mianowicie generała Hanke'go, Sałackiego, Walentyna d'Hauterive i innych. Po zajęciu Warszawy przez Rosyan, wszedł w służbę rosyjską; w r. 1812 był szefem sztabu generała Wittgensteina. Generał d'Oeuvery lubił towarzystwo, celował w niem dowcipem i niewyczerpanym zbiorem anegdot, i był dla podkomendnych swoich nader przystępnym i liberalnym.

Zimę tego roku przepędziłem w Krakowie, Rok 1818. oddany tym samym zabawom i pracom, co i przeszłego. W lutym uzyskałem urlop do rodziców i przepędziwszy kilka tygodni pomiędzy Woynowem i Popowem, w końcu tegoż miesiąca powróciłem do Krakowa na Wrocław. W Popowie poznałem bliżej Józefa Krzyżanowskiego, zaręczonego mojej siostrze i szlachetnym stronom jego charakteru należytą oddałem sprawiedliwość. Ślub ich nastąpił 24 marca w Wojnowie.

Breza i Butryna, konduktorowie kwatremistrzowstwa, awansowali tej wiosny na oficerów i powrócili do Warszawy. Pierwszy był moim wiernym pomocnikiem w czasie robót i mieszkał całą tę zimę ze mną pod Krzysztoforami, zgadzaliśmy się jak najlepiej; lubiany był powszechnie w towarzystwie krakowskiem dla oryginalności i dowcipu. Żałowaliśmy go wszyscy. W miejsce ich przybyli Zabłocki i Zandrowicz. Odebraliśmy w połowie czerwca wiadomość o śmierci generała Dąbrowskiego, który 6 czerwca nagle umarł w Winnej górze; opiekunami dzieci swoich Bogusławy i Bronisława naznaczył dawnych adjutantów swoich: Prądyńskiego i Ludwika Szczanieckiego. Niespodziewana ta strata mocno mnie bardzo dotknęła.

W roku 1818, po ukończeniu demarkacji Krakowa i ratyfikacji całej czynności, otrzymałem order Św. Włodzimierza IV klasy, ze strony Senatu wolnego miasta Krakowa

prawo obywatelskie, a ze strony króla pruskiego pierścien z kosztownych kamieni. Dalsze roboty demarkacyjne przeniosły się tego roku z okolic Krakowa nad Wisłę. Zeszłej jesieni porucznik Arnold przygotował tryangulację od Krakowa do Sandomierza, używszy do tej czynności dokładnego wiedeńskiego stolika z perspektywą. Wypadło teraz szczegółową kartę Wisły ułożyć od granicy Wolnego miasta Krakowa ku Sandomierzowi; w tym celu zabrawszy z sobą porucznika Klemensowskiego i konduktora Zandrowicza przeniosłem kwaterę moją do Czarkowy, majątności ks. Michała Radziwiłła, nad Nidą, o milę od Wisły, i stamtąd ekskursye moje nad Wisłę odbywałem; później przyjechałem do Sandomierza. Czarkowy leżą w pięknym położeniu niedaleko Wislicy i Nowego miasta Korczyna. Ogród obszerny z pałacem w środku, skąd brzegi Nidy, krętem korytem płynącej rozpoznać można, dodaje wiele piękności krajobrazowi. Przepędziłem tu miesiąc cały.

Ukończywszy czynność rozmiarową i oznaczywszy dokładnie linię nurtu (*Thalweg*) Wisły, stanowiącą rzeczywistą linię demarkacyjną pomiędzy Austryą i Królestwem Polskiem, powróciłem na zimę do Krakowa.

Zima ta dla mnie pamiętna była z powodu, że teraz miał się rozstrzygnąć dawniej dojrzały Rok 1819. w sercu mojem projekt oświadczenia się rodzicom panny Antoniny Michałowskiej o rękę ich córki. Nie chciałem żadnego kroku uczynić, nie uprzedziwszy rodziców o moich zamiarach. Nie znalazłem ich zupełnie przeciwnych, wieść bowiem o mojej skłonności i o przymiotach panny Michałowskiej pierw już do nich doszła, lecz ich przedstawienia ugruntowały się najprzód na młodym wieku moim, skończyłem bowiem dopiero 24 lat; powtóre na niemożliwości opuszczenia w tak młodym wieku służby wojskowej, w której mi się najpiękniejsze widoki właśnie teraz otwierały; po trzecie na trudności zapewnienia mi niezawisłej pozycji przez oddanie której wioski w zarząd, albo przez wyznaczenie dochodu, wystarczającego na utrzymanie moje i przyszłej żony.

Przedstawienia ich uznaję dziś za zupełnie słuszne i odpowiadające rzeczywistemu położeniu mojemu. Byłbym rozsądniej uczynił, gdybym się był wstrzymał od nieroztropnego kroku i wiele zmartwienia byłbym przez to sobie oszczędził.

Sklonność, która, mniemałem, że była podzielaną, jednakże przemogła, i pomimo najślusniejszych uwag najlepszego ojca, prosiłem najprzód panią Michałowską, do której miałem zaufanie synowskie, o rozmowę, w której z wielką nieśmiałością wyjawilem jej moje uczucie dla córki. Nie zdawała się zadziwioną tem oświadczeniem, zdaje się nawet, że się tego kroku spodziewała po mnie, lecz o wzajemności córki nie zostawiwszy mnie w wątpliwości, odwołała się zupełnie do woli Michałowskiego; dała mi uczuć, że trudność największą stanowiłby stan mój wojskowy i położenie majątkowe rodziców, które jej z rozmów moich nie było tajne. Radziła mi użyć za pośrednika pana Jana Wielopolskiego, do którego mąż jej miał wszelkie zaufanie.

Zwierzylem się przeto Wielopolskiemu i prosiłem go, ażeby wyrozumiał Michałowskiego.

Warunki z jego strony położone były następujące: opuszczenie służby wojskowej i okazanie w gotowiźnie majątku czystego 6.000 czer. złotych, czyli 200.000 zł., celem zakupu za tę sumę dóbr w Krakowskim, lub w innej części Polski; sam z swojej strony ofiarował 100.000 zł., posagu w gotowiźnie. O mojej osobie w najchlubniejszych wyraził się słowach.

Warunki te zakomunikowałem ojcu p. d. 31 Lipca wraz z odpowiedzią kategoryczną pana Michałowskiego, udzieloną Janowi Wielopolskiemu.

W marcu roku 1819 uzyskałem urlop do Warszawy i tu przedstawiony zostałem osobiście Wielkiemu Księciu w domu Brońców, na prywatnym wieczorze. Sклонność jego do mojej ciotecznej siostry, Joanny Grudzińskiej, nietajną była już nikomu. Nikt jednak wtedy nie pomyślał, aby tak świetnie miała mieć rozwiązanie.

Z początkiem wiosny 1819 pożegnawszy w Krakowie towarzystwo, wyjechałem z oficerami demarkacyjnymi: porucznikiem Klemenrowskim, konduktorem Zandrowiczem do Sandomierza i zająłem się tryangulacją linii granicznej od Zawihostu, na Radomyśl, Krzyżów, Tarnogród, Tomaszów, do Bugu pod Sitowierzem.

Praca ta zabrała mi miesiące: pół kwietnia, maj, czerwiec, lipiec, sierpień i część września.

Niejaki czas zatrzymałem się w Sandomierzu, kilka dni w Tarnogrodzie, kilka w Tomaszowie i w Zamościu, gdzie znalazłem dowódcę korpusu, generała Matteskiego i przezeń, nie mniej jak przez komendanta twierdzy, generała Wasilewskiego, najuprzejmiej przyjęty zostałem. W Nowosielcach, majątności państwa Rastawieckich, zabawiłem kilka dni także i doświadczyłem w tym domu największej gościnności. Znany byłem samej pani Rastawieckiej przez siostrę p. Nakwaską, w której towarzystwie przepędziłem przyjemne godziny w Warszawie. Korespondencya z ojcem toczyła się przez ten czas względem warunków, przedstawionych mi przez Jana Wielopolskiego.

Pod dniem 9 sierpnia 1819 r. odebrałem odpowiedź na mój list z d. 31 lipca, następującej treści:

Ojciec nie mogąc zapewnić mi nic w gotowiznie z powodu wielkiego zadłużenia swego majątku, następujące czynił z mojej strony propozycje:

Żydowo z Krzyszkowem ofiarował mi w 420.000 zł. z obowiązkiem oczyszczenia 200.000 zł., baronowi Reck należących, lub Rostworowo w szacunku 250.000 zł. z obowiązkiem oczyszczenia 120.000 zł.

Propozycya ta ze strony ojca ani mnie ani Michałowskiego zaspokoić nie była w stanie. Naprzód, że dobra te, od wielu lat w rękę dzierżawców będące, w najsmutniejszym znajdowały się stanie; powtóre, że o wiele nad wartość były taksowane i nareszcie, że Żydowo i Wojnowo jedno folium hipoteczne, Rostworowo drugie stanowiły; długi zaś zahypotekowane na tych majątkach solidarnie ciążyły na obydwóch majątkach

i wynosiły z wnioskami matki 949.560 zł. czyli 158.260 talarów: od tych potrąciwszy wnioski matki 404.280 zł., z których 100.000 zł. tylko na pierwszej hipotece umieszczonych, reszta bardzo nisko stała i przy dóbr sprzedaży i niskich tychże cenach z pewnością straconą była, pojąć można, jakie wrażenie propozycje takowe na mnie i na Michałowskim sprawiły.

Do tego zważyć potrzeba, że cena kupna dóbr Wojnowa, Żydowa i Rostworowa w r. 1796 wynosiła 128.333 $\frac{1}{2}$ talarów; cena na ówczas bardzo wysoka, a dziś o wiele przesadzona z powoduniżenia niezmiernego ceny dóbr.

Przekonałem się więc, że sposób, w jaki się ojciec zapatrywał na swoje położenie majątkowe, na urojeniu spoczywało i przewidywałem odrazu smutne rozwiązanie całego projektu. Nie chcąc jednakże zasłużyć sobie na jakikolwiek zarzut nielojalności lub nieszczerości ze strony pana Michałowskiego, cały stan majątkowy ojca, lubo wyjawienie to bardzo dla mnie było bolesne, przedłożyłem J. Wielopolskiemu. Odpowiedź niedługo dała na siebie czekać, i była oczywiście odmowną w tej chwili. Zostawiono mi jednakże czas do wyjaśnienia lepszego interesów ojca i pretensje z 200.000 zł. na 150.000 zł. zredukowano, lecz te, żądano, abym wykazał w gotowiznie.

Chcąc jednak koniec położyć dręczącej mnie
Rok 1820. niepewności i wyjść z położenia, nieznośnego już dla mnie, postanowiłem na początku zimy r. 1820 udać się na urlop do rodziców i z nimi samemi wszelkie usunąć wątpliwości majątkowe. Tu przejrzawszy hypoteki dokładnie, przekonałem się o niemożności zadośćuczynienia warunkom p. Michałowskiego, oświadczyłem więc rodzicom, że od mojego projektu odstąpić widzę się przymuszony i że przyszłego szczęścia i spokojności żony na urojeniach nie mogę zakładać. Toż samo J. Wielopolskiemu oświadczyłem i prosiłem go, aby o postanowieniu mojem rodziców panny Michałowskiej zawiadomił. Dnia 8 stycznia 1820 odebrałem list od Michałowskiej, pełen czułych i macierzyńskich dla mnie wyrazów, z poże-

gnaniem ostatniem. Z tego listu poznać najlepiej można, jakie były jej dla mnie uczucia; sięgały bowiem przyszłego szczęścia nie na tej ziemi, lecz szczęścia wiecznego.

Z tym listem stosunki moje z tą rodziną nie zakończyły się jednak. Brat panny Michałowskiej Piotr i Jan Wielopolski nie przestali ze mną korespondować i cieszyli się jeszcze nadzieją załatwienia wszelkich trudności z mej strony przez cały rok 1820.

Lecz ja sam, straciwszy wszelką wiarę w polepszenie się interesów rodzicielskich, nie łudziłem siebie więcej ani przyjaciół i z męską stałością przyjąłem ostateczny cios, który mnie miał spotkać.

W lutym r. 1821, Antoni Ostrowski, wdowiec i ojciec sześciorga dzieci, 40 lat mający, człowiek bogaty i bardzo przyjemnej jeszcze powierzchowności, poznawszy pannę Antoninę u siostry Maryi Morsztynowej, oświadczył się o jej rękę i zezwolenie rodziców zyskał. Panna Antonina jako posłuszna córka nie była przeciwną wprawdzie; to wiem tylko, że walka z uczuciami dla mnie, o mocną chorobę ją przyprawiła. Czy była tyle szczęśliwą, ile zasługiwała wysokimi przymiotami swej duszy, o tem wyrzec nie jestem w stanie.

Wyjechałem na zawsze z Krakowa w miesiącu lutym r. 1820 i założyłem kwaterę moją w Sandomierzu. Wkrótce przybyli za mną Bojanowicz z Kossem i wspólnie rozpoczęliśmy rysowanie naszych kart biegu Wisły od Krakowa do Sandomierza i suchej granicy od Zawichostu aż do Bugu.

Śmierć generała Sierakowskiego, komendanta korpusu, wielką zmianę rokowała w położeniu przyszedłem mojem. Komendę naczelną korpusu artylerii i inżynierów objął po nim generał Maurycy Hanke, przyjaciel rodziców i od dawnego czasu przychylny dla mnie. Nadzieja awansu bliskiego tem żywiej mi się przedstawiała, że byłem najstarszym kapitanem korpusu.

Jakoż istotnie awans ten nie dał długo na siebie czekać. Dnia 23 (11) kwietnia r. 1820 otrzymałem nominację na

Awans na
podpułkownika
d. 23 kwietnia,
r. 1820.

podpułkownika w korpusie inżynierów. Postąpienie to zmieniło zupełnie położenie moje.

Druga, mniej jeszcze spodziewana wiadomość doszła mnie dnia 27 maja z Warszawy przez pułkownika Sałackiego.

Ślub Joanny Grudzińskiej z Wielkim Księciem Konstantym Jeanetta Grudzińska, dnia 24 maja. r. 1820, za dnia 24 kwietnia ślubioną została Wielkiemu Księciu Konstantemu! roku 1820.

Dziwne zrządzenie Opatrzności! Księżę, następca tronu rosyjskiego, zrzeka się tego tronu i przekłada szczęście domowe z nadobną Polką nad blask i potęgę korony potężnego państwa.

Przypomniały nam się czasy Dymitrego i Maryi Mniszchówny! Zagadkę jest dotąd dla wielu współczesnych, jakim sposobem Jeanetta Grudzińska potrafiła skłonić ku sobie serce, dotąd nieprzystępne łagodniejszym uczuciom. Że godność wrodzoną zachować musiała, o tem świadczy najmocniej miłość stateczna, uszanowanie i poświęcenie, których tyle dał jej dowodów W. książę w czasie 10-letniego, szczęśliwego pożycia. Prawda, że w pierwszych chwilach doświadczyła ciężkich prób, na które może nie była przygotowaną; lecz te przebywszy, szczęśliwie używa później domowego spokoju. Jakie ofiary uczynić musiał W. książę dla uzyskania pozwolenia cesarskiego brata i matki cesarzowej, o tem dopiero dowiedziała się publiczność po śmierci cesarza Aleksandra, gdy publikowane zostało zrzeczenie się korony na korzyść młodszego brata. Małżonka Wielkiego księcia w kilka tygodni po ślubie, który się odbył dwojako: w kaplicy łacińskiej i w greckiej, z zachowaniem wszelkich formalności, nakazanych kodeksem prawnym, przybrała tytuł księżny Łowickiej. Dobra obszerne, przywiązane do tego tytułu, cesarz jej samej darował.

Prace demarkacyjne postępowały tymczasem, a wykończenie na czysto specjalnej karty linii granicznej zbliżało się.

Pod dniem 25 sierpnia r. 1820 odebrałem odezwę od generała dywizji Hanke'go z zapytaniem, czylibym się podjął

czynności profesora fortyfikacyi i zdejmowania planów topograficznych w organizującej się szkole aplikacyjnej.

Zastanowiwszy się nad obowiązkami, przywiązanymi do tego, dla mnie zupełnie nowego zawodu, i wzgląd mając na coraz trudniejsze i drażliwsze położenie moje wobec Bożanowicza i Kossa, które mogło spowodzić dla mnie tylko najprzykrszejsze skutki, przyjąłem propozycyę jenerała Hanke'go i udałem się w miesiącu wrześniu do Warszawy.

— ❧ KONIEC KSIĘGI II. ❧ —

WSPOMNIENIA
JENERAŁA KLEMEMSA KOŁACZKOWSKIEGO.

WSPOMNIENIA
JENERAŁA
KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO

KSIEGA III.

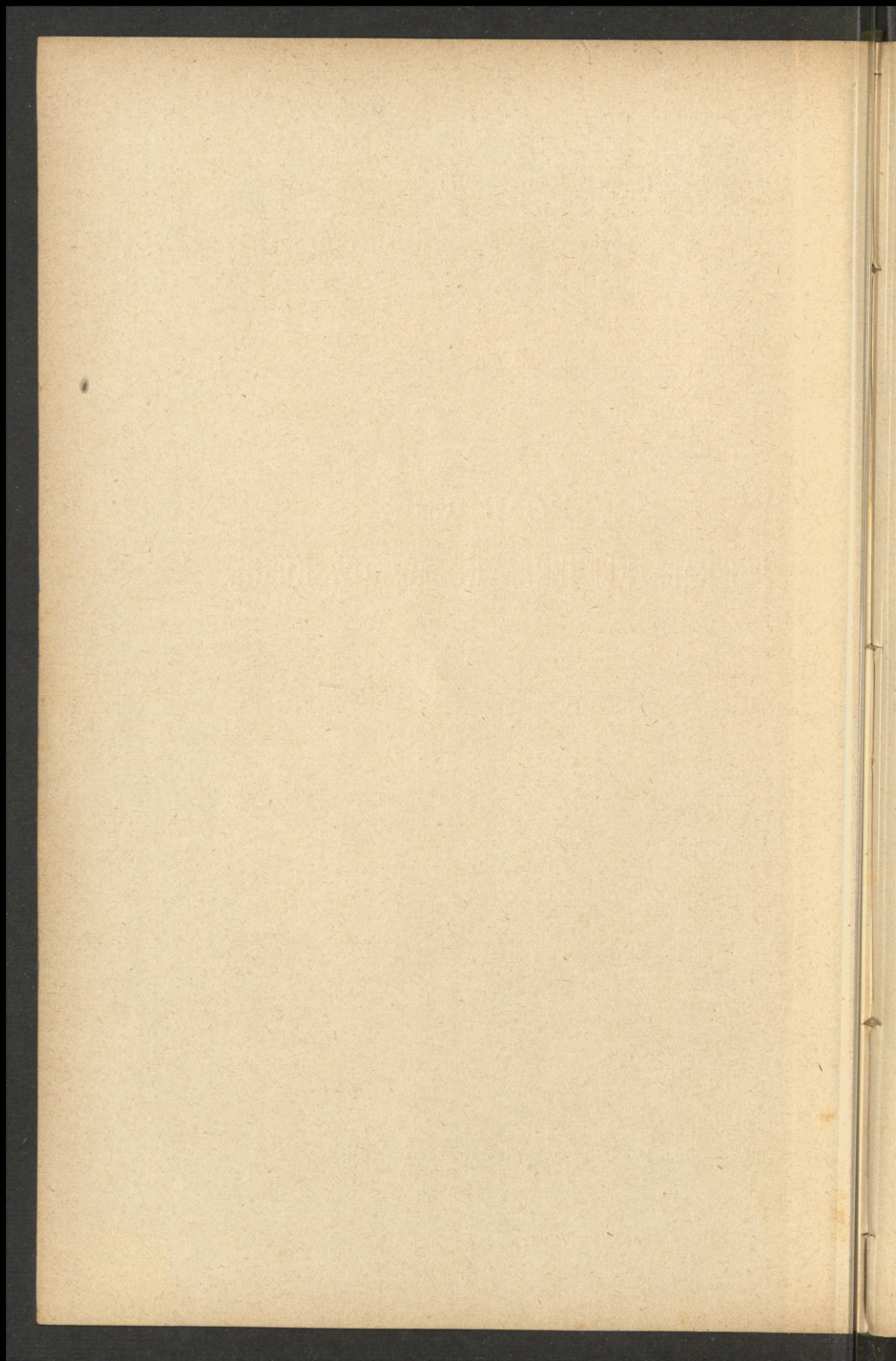
od roku 1820 do 1830.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1900.

W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

WSPOMNIENIA
JENERAŁA KLEMEMSA KOŁACZKOWSKIEGO.





V.

Druga epoka mojego życia: zawód naukowy.

Wracam teraz do mego przeznaczenia. Po rozmowie z generałami Hauke'm, Mallet'em i Bontemps dowiedziałem się, iż prócz profesorstwa fortyfikacji i topografii, mam jeszcze nałożone na siebie obowiązki dyrektora nauk szkoły aplikacyjnej. Zdawało się to nad moje siły: zrobiłem przedstawienie, zaślaniałem się niedoświadczeniem mojem, wszelako usilnym naleganiom, a nareszcie i rozkazom uleść musiałem.

Wypadało mi się naprzód obeznać z przedmiotami, objętymi programem, podanym przez pułkownika Bontemps W. księciu. Pośpiech w redakcyi, brak logicznego związku, powtarzanie przedmiotów, pomieszanie wyobrażeń w fizyce i chemii, a nareszcie wolterowska deklamacya, pachnąca zanadto mową loży, nie były najmniejszymi wadami tego nie dość wytrawionego projektu.

Wyszedł wkrótce dekret cesarski, organizujący szkołę. W tym dekrete wiele rzeczy opuszczono, inne między sobą pomieszano; kursa matematyki n. p. tak nisko są brane, że nieomal wyrównują temu, co w Kaliszu nauczano. Jenerał Hauke, przywoławszy komendanta szkoły i dyrektora nauk postanowił rozszerzyć zakres przedmiotów i nowe kursa, nie objęte dekretem cesarskim, dodać. Zawiązanie szkoły nastąpiło w miesiącu listopadzie.

Komendantem mianowany podpułkownik artylerii Sowiński; najgodniejszy zapewne wybór, jaki zrobić było można; dyrektorem nauk podpułkownik inżynierów Kołaczkowski, któremu zdano kursa fortyfikacji stałej, topografii i geodezyi. Na oficerów inspekcyjnych przeznaczono kapitanów: Przedpeńskiego z batalionu saperów i Koszutkiego z pułku grenadierów gwardyi. Na rozkaz dowódcy korpusu, generała Hauke'go, dodano do programu pierwiastkowego kursu budownictwa cywilnego, kurs geometrii wykresłej, języki: francuski, niemiecki i rosyjski; rozłączono kurs budownictwa od fortyfikacji stałej; rozszerzono kurs pomiarów topograficznych, dodając geodezyę; kursa chemii i fizyki rozdzielono i osobnym profesorom poruczono; postanowiono rozszerzyć znacznie kurs matematyki.

Lista imienna profesorów szkoły aplikacyjnej:

X. Rafał Skolimowski, profesor matematyki, wykładał dotąd matematykę wyższą w uniwersytecie warszawskim.

Pan Karol Skrodzki, profesor fizyki, wykłada ten przedmiot w uniwersytecie i w szkole leśnej.

Pan Kitajewski, profesor chemii, wykłada ten przedmiot w uniwersytecie i w szkole leśnej.

Podpułkownik inżynierów Kołaczkowski, dyrektor nauk, profesor fortyfikacji stałej, topografii i geodezyi.

Podpułkownik inżynierów Koriot Józef, profesor geometrii wykresłej i fortyfikacji polowej.

Kapitan artylerii konnej Jaszowski Józef, profesor artylerii.

Kapitan inżynierów Henryk Rossmann, profesor budownictwa cywilnego i wojskowego.

Kapitan inspekcji Feliks Przedpeński, profesor taktyki.

Pan Robert Ludwik, profesor rysunków.

Pan Chopin Mikołaj, profesor francuskiego języka.

Pan Rożecki niemieckiego i rosyjskiego języka.

Pan Romanowski, profesor kaligrafii; przyjmuje także na siebie obowiązki bibliotekarza.

X. Gutkowski naczelný kapelan wojska, profesor religii i moralności.

Taki był pierwszy skład osób, wypełniających obowiązki nauczycieli w szkole aplikacyjnej. Z czasem nastąpiło wiele odmian, o czem później.

Lista imienna uczniów, składających I klasę szkoły aplikacyjnej przy jej zawiązku:

1. Jan Wolski z korpusu kadetów warszawskich.
2. Ksawery Pawłowski z korpusu kadetów warszawskich.
3. Józef Waligórski z korpusu kadetów kaliskich.
4. Konstanty Kamiński z korpusu kadetów kaliskich.
5. Michał Szymoński z korpusu kadetów kaliskich.
6. Jan Łącki z korpusu kadetów kaliskich.
7. Bogumił Żelewski z korpusu kadetów warszawskich.
8. Stanisław Krosnowski z korpusu kadetów kaliskich.
9. Julian Piędzicki z korpusu kadetów warszawskich.
10. Jan Jełowicki z korpusu kadetów kaliskich.
11. Wojciech Korczakowski z korpusu kadetów kaliskich.
12. Antoni Chyliński z korpusu kadetów warszawskich.
13. Ludwik Hołtowski z korpusu kadetów kaliskich.
14. Szymon Krawczykiewicz z korpusu kadetów kaliskich.
15. August Aksamitowski z korpusu kadetów warszawskich.
16. Feliks Dunin z batalionu saperów.

Ci, po złożeniu ścisłego egzaminu przed podpułkownikiem inżynierów Koriot'em wybrani zostali z większej liczby.

Zakres obszerny, zamierzony dla szkoły aplikacyjnej, wymagał także obszernego lokalu.

Komisya rządowa wojny nabyła na ten cel od zgromadzenia XX. Pijarów budynek, należący do nich na Miodowej ulicy, i ten po większej części dla szkoły przeznaczono. Potrzeby nowego instytutu wymagały przeistoczenia całego gmachu, co też nastąpiło pod przewodnictwem podpułkownika inżynierów Minter'a. Pierwsze piętro zajęły sale sypialne, sale naukowe, sala rysunkowa, sala modelowa, laboratorium, infirmerya, składy ubiorcze, mieszkanie i biuro komendanta. Na dolnem piętrze umieszczono salę jadalną, łaźnię, niektóre składy. Oficerowie inspekcyi znaleźli także pomieszczenie na

dole. Na drugim piętrze od tyłu zajął mieszkanie dyrektor nauk. Na przodzie od ulicy cały szereg sal zajęło biuro inżynierskie. Na trzecim piętrze w wielkiej sali, złożono bibliotekę szkolną. Podwórze szeszupłe, wysadzone topolami, zaledwie było wystarczające na ewolucyę plutonu. Później na niem stanęło działo, przeznaczone do ćwiczeń uczniów.

Czas otwarcia kursów, dzień 1. grudnia, zbliżał się. Została zwołaną rada naukowa dnia 15. listop., na której profesorowie programy kursów swoich do potwierdzenia podali, a dyrektor nauk podał projekt «godzinnika naukowego»; rada zastanowiwszy się nad nim, uznała jego dogodność. Stosownie do artykułu 22. postanowienia cesarskiego, wszystkie modele, książki i narzędzia, należące do dawnej szkoły, przeniesione zostały do szkoły aplikacyjnej i w stosownych lokalach złożone. W bibliotece dawnej szkoły, po stratach, jakie poniosła w skutku pożaru w roku 1814, znalazło się jeszcze zaledwie 300 dzieł.

Nie dość nam poznać było urządzenie kursów szkoły aplikacyjnej; przejdźmy teraz do osobistości profesorów, co więcej może, aniżeli regulamina, wpłynąć mogło na pomyslnosć szkoły.

Komendantem szkoły został podpułkownik artylerji Sowiński, kurator krzyża polskiego kawalerskiego *Virtuti militari*, legii honorowej i orderu pruskiego *pour le merite*. Urodził się roku 1777, miał więc natenczas 43 lat; pobierał nauki w szkole rycerskiej, pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich. Wyszedł z niej w 17. roku swojego życia, a w 1794 roku, kiedy zagrożona wolność narodu całą młodzieź do szeregów powoływała, zaciągnął się do wojska i walczył naprzód przy obronie Warszawy, którą wojska pruskie i rosyjskie przez dwa miesiące oblęgały. Gdy później odparte jenerał Dąbrowski ścigał aż do Bydgoszczy, Sowiński pod jego wodzą znajdował się we wszystkich potyczkach. Po ostatniej klęsce Kościuszki, wzięciu Pragi i opanowaniu Warszawy przez Suwarowa, So-

wiński wrócił na wieś do domu rodzicielskiego, oddając się rolnictwu. Za radą ojca wszedł do wojska pruskiego, do korpusu artylerii, wskutek wziętości, jakiej korpus ten używał co do prowadzenia porządnej instrukcji. Acz młody, a nieobdarzony od natury bystrą pamięcią, na co się całe życie uzał, tyle rozwinął pracy i usiłowania, iż w przeciągu roku złożył egzamin i został mianowany oficerem artylerii konnej. W tym stopniu odbył w wojsku pruskiem kampanię 1806 roku przeciwko Napoleonowi, a lubo z innymi pojmował nadzieję Polski, pozostał jednak wierny chorągwi, i aż do zerwania pokoju Tylżyckiego dzielił wszystkie losy armii pruskiej, a nawet w bitwie pod Preussisch Eylau otrzymał za odznaczenie order *pour le mérite*. Pod Królewcem ranny został. Dopiero po utworzeniu bratnich szeregów w Księstwie Warszawskim żądał uwolnienia od służby pruskiej, pospieszył do szeregów ojczystych i jako doświadczony oficer miał sobie powierzony szwadron artylerii konnej. W kampanii 1812. roku Sowiński dowodził dywizją artylerii, w bitwie pod Możajskiem utracił nogę i został ozdobiony krzyżem kawalerskim i legii honorowej. Pozostawszy jako ranny w Moskwie, po ustąpieniu wojsk Napoleona dostał się do niewoli, skąd jako jeniec przewieziony do Tweru, później do Tambowa. Za wstawieniem księcia Augusta Pruskiego, pod którego wodzą odznaczył się był prawością i męstwem, pomiędzy najpierwszymi jeńcami uwolniony został i w roku 1813. do ojczyzny powrócił. W nowej organizacji wojska polskiego starał się o dyrektorstwo arsenału budowniczego, i to miejsce zachował do roku 1820, w którym zaufanie dowódcy artylerii powołało go na komendanta szkoły aplikacyjnej. Powierzchność Sowińskiego była nader poważna, włos siwy zdobił jego piękną głowę, wojskowa energia z słodyczą połączona malowała się w jego czarnych oczach i na wypogodzonym czole. Czujny w obowiązkach, łagodny w obejściu się i w samych nawet poleceniach lub napomnieniach ujmujący, zyskał miłość, ufność i szacunek nie tylko młodzieży, jemu

powierzonej, ale u całej Warszawy powszechne nazwisko »ojca szkoły aplikacyjnej«. Stosunek mój do niego, jako przełożonego, był nader przyjemny, i jeżeli wynik naszych wspólnych prac tak się okazał pomyślnym, najwięcej przypisać do można najzupełniejszej jedności w zapatrywaniu się na cel i środki.

Ksiądz Rafał Skolimowski. Ksiądz Skolimowski, profesor matematyki, liczył wtedy około 36 lat. Kształcił się w Warszawie i kosztem rządu wysłany był do Paryża, Londynu i Berlina, gdzie uczęszczając na kursa publiczne wyższej matematyki i obcując z ludźmi światłymi, jakimi byli wówczas Delambre, Lagrange, Laplace w Paryżu, astronom Herschell w Londynie, znacznie się wzniosł w naukach matematycznych i uznany był godnym zajęcia katedry wyższej matematyki w uniwersytecie warszawskim. Wykład jego był jasny, wysłowienie znamienite, gorliwość nieporównana. Jemu to winna szkoła, że w trzech latach prześcignęła wszystkie szkoły krajowe w naukach matematycznych i że żadnym szkołom zagranicznym nie ustępowała w tym względzie, wyjąwszy może szkole politechnicznej paryskiej.

Ksiądz Skolimowski zostawił po sobie kurs kompletny wyższej matematyki, który w litografowanych zeszytach uczniom szkoły rozdawał. Jest to znakomite dzieło, jedyne zapewne w języku naszym, ponieważ zupełnie oryginalne i najwyższych sfer nauki sięga. Żałować trzeba, że dotąd do druku podanem nie zostało. Najcelniejszą część stanowi geometrya analityczna, rachunek różniczkowy i integralny.

Ksiądz Skolimowski powołaniu swojemu, jako ksiądz, wierny, w rok potem przyjął po księdzu Gutkowskim obowiązki profesora religii i moralności. Tu jednak gorliwość może zanadto daleko posunięta, pewna ascetyczność w całym usposobieniu, obok wykładu zanadto ściśle matematycznego dowodów religii chrześcijańskiej, nie taki skutek przyniosły, jakiego należało się spodziewać po jego zdolności i uległości zupełnej uczniów. Z wiekiem ascetyzm zwrócił sam przeciwko

sobie i w najsurowszem życiu, podobnem do życia pierwszych wyznawców naszej wiary, szukał zaspokojenia, którego mu brakło, rozstawszy się zupełnie ze światem. Czy zaspokojenie to znalazł, o tem wątpić można. Pasował się bowiem z życiem do końca, nie wyleczony z rany, zadanej sobie w młodym wieku. Zakończył swój żywot około roku 1850.

Kan Kitajewski, profesor chemii w uniwersytecie warszawskim, kosztem rządu wykształcił się w Paryżu pod sławnym chemikiem panem Thénard. Mówił z łatwością i przedmiot swój zapewne gruntownie posiadał; lecz wykład jego tak był mało zwięzły, tak powtarzający siebie samego, iż lekcya ostatnia nie była niczem innem, tylko powtórzeniem pierwszej. Do tego doświadczenia, w oczach uczniów wykonywane, najczęściej inne wypadki, aniżeli oznajmione, okazywały. W tym stanie rzeczy uczniowie żadnych postępów robić nie mogli, co też przy egzaminie roku następnego pokazać się musiało. Pan Kitajewski dwuletni kurs ukończywszy, bez żadnej korzyści uczniów, gdy przedstawienia z mojej strony nic nie skutkowały, panu Nowickiemu ustąpić musiał miejsca.

Pan Skrodzki równie jak i pan Kitajewski profesorem był w uniwersytecie warszawskim i tak jak i on wysłany był do Paryża w celu wyższego wykształcenia. Wykład jego był bardzo jasny i piękny. Rzecz swoją gruntownie znał, w poszukiwaniach i doświadczeniach był bystry i pojmował dobrze cel tej gałęzi nauk u nas. Uczniowie korzystali pod nim nierównie więcej, aniżeli w kursie ostatnim. Pan Skrodzki wówczas miał lat 32.

Oficerowi temu wyższemu nikt nie mógł ująć dokładnej znajomości geometryi wykreślnej i matematyki wyższej, którą nabrał, pracując dawniej z panem Livet'em, korepetytorem szkoły politechnicznej, a później profesorem w szkole aplikacyjnej za Księstwa Warszawskiego; lecz wykład jego tak był niejasny, tak niemile zeszpecony językiem niewyrobionym, iż tylko piękności i uży-

Profesor
Kitajewski.

Profesor fizyki
Skrodzki.

Podpułkownik
Koriot.

teczności samej nauki i niezmordowanym chęciom uczniów przypisać można ich widoczne postępy.

Pan Koriot posiadał zapewne skarb szacowny wiadomości, nabytych ogromną pracą, była to bowiem głowa słaba; lecz wysłowienie się jego było tak nędzne, że nikt takiego bogactwa nie byłby się po nim domyślił — mówił źle po polsku, gorzej po francusku, najlepiej może po niemiecku; do tego był zarozumiały, źle wychowany, zły i zazdrośny w każdym względzie.

Jako oficer inżynierów jeszcze mniej posiadał zasług, długo będąc korepetytorem w szkole aplikacyjnej Księstwa Warszawskiego, obcy był służbie i żadnego nie miał o praktyce wyobrażenia. Kampanię roku 1813 odbył w sztabie którejś dywizji francuskiej, nie zasłużywszy sobie na najlepsze imię. Znał może z książek fortyfikację polową, lecz luźnie doświadczywszy jej w wojnie, nie mógł po wojskowemu wykładać w szkole. Dlatego też i ten kurs jego do najgorszych należał. Pomimo tego pan Koriot i stopnie i krzyże odbierał, tak umiał za sobą chodzić u W. księcia i u generałów rosyjskich.

Niezdarność i nieszczemność tego człowieka okazały się najwidoczniej po ukończeniu wojny w roku 1831.

Pan Rossmann, rodem z Prus, uczył się budownictwa pod Gillym i Eitelweinem w Berlinie.

W roku 1807. wstąpił do wojska francuskiego i w stopniu *sous garda* inżynierów odbył kampanię roku 1809 przeciwko Austrii, przytomny był robotom mostów na wyspie Loebau i t. d. W roku 1811. przybył do Warszawy i umieszczony został w stopniu garda czyli dozorczy inżynierów w biurze kapitana inżynierów Mintera. Odbył kampanię roku 1812 w wojsku naszym jaknajzaszczytniej; potem został porucznikiem inżynierów; w roku 1813. i 1814. odbył kampanie w wojsku francuskim, w Niemczech i w Francji. Roku 1814. powrócił do kraju w stopniu kapitana, z ozdobą legii honorowej. Wybrany został na profesora budownictwa

Profesor, kapitan Rossmann.

w szkole aplikacyjnej, które to obowiązki z wielką gorliwością i znajomością rzeczy przez kilka lat wypełniał. Mówił płynnie po niemiecku i po francusku, gorzej nieco po polsku.

Kapitan artylerji Jaszowski w roku 1810. wstąpił do szkoły aplikacyjnej Księstwa Warszaw-
skiego; w roku 1811. wszedł do służby czynnej; odbył kampanie roku 1812 i 1813 i dosłużył się stopnia kapitana; ozdobiony był krzyżem legii honorowej.

Profesor, kapitan Jaszowski.

Oficer ten należał do najwykształceńszych swojej broni; wymowa jego była płynna, wiadomości i doświadczenie niezaprzeczone. Trudno było lepszy uczynić wybór.

Co do mnie, poznać już można było moje usposobienie z pamiętnika obecnego. Nie miałem sobie trudności, przywiązanych do nowego, nauczycielskiego zawodu. Nie posiadał nasz język żadnego dzieła o fortyfikacji stałej, ani o geodezyi, któreby za wskazówkę służyć mi mogło. Nawet terminologia nie była jeszcze w tych dwóch gałęziach ustaloną; i rzecz i wyrazy tworzyć należało. W pierwszym więc roku nietylko nad tymi dwoma kursami usilnie pracować musiałem, lecz obeznąć się wypadało dokładniej z innymi przedmiotami, nauczany w szkole, osobliwie z wyższą matematyką i chemią. Ostatnia nauka, zupełnie na nowych ugruntowana zasadach, była dla mnie prawie zupełnie obcą. Najusilniejszą więc tylko pracą obowiązkom profesora dwóch przedmiotów i dyrektora nauk wydołać mogłem. Układanie i litografowanie dwóch kursów nie mało mi także czasu zabrało. Z czasem wprawa i doświadczenie wiele trudności uprzętnęły.

Dyrektor nauk.

Kapitan inspekcji Przedpełski, któremu kurs taktyki był powierzony, do roku 1813 zostawał w artylerji i w stopniu porucznika artylerji odbył kampanię roku 1812 i oblężenie Gdańska roku 1813. Objęty nową organizacją przeszedł do batalionu saperów i jako kapitan dowodził kompanią pontonierską. Był to ze wszechmiar zacny i zasłużony oficer. Wszelako przedmiot taktyki wyższej

Kapitan Przedpełski.

był mu obcy, do tego mało odczytany; największych trudności doznał w układaniu tego kursu, który w jego rękę nigdy nie potrafił stanąć na wysokości wymagań szkoły. W roku 1831 w stopniu podpułkownika artylerji, pod komendą generała Sowińskiego czynny był przy obronie Warszawy i korzystnie się odznaczył dnia 7. września.

Kapitan
Koszutski. Kapitan Koszutski służył w pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, odbył wszystkie kampanie hiszpańskie, nie mniej kampanie roku 1812, 1813 i 1814 jaknajzaszczytniej; ozdobiony był krzyżem polskim i orderem legji honorowej. Objęty został nową organizacją i wstąpił do gwardji grenadyerów w stopniu kapitana. Instrukcja plutonowa i batalionowa uczniów powierzona mu została. W roku 1830. został majorem i komendantem batalionu w pułku piątym strzelców pieszych. Zginął pod Ostrołęką.

Ksiądz kapelan
Gutkowski. Ksiądz kapelan Gutkowski, do grenadyera podobniejszy, aniżeli do księdza, odbył kampanie hiszpańskie w legionach naszych; w roku 1818, po śmierci księdza Majewskiego, starszego kapelana wojska polskiego, wstąpił na jego miejsce.

Ksiądz Gutkowski nie pojął obowiązków powołania profesora moralności i religii w szkole naszej i na wykładzie pacierza poprzestał. Pobyt jego u nas trwał rok jeden tylko. Roku 1820. zastąpił go ksiądz Skolimowski. Później zostawszy biskupem, prześladowania doznał u rządu, żył na wygnaniu w Mohilewie i za wstawieniem się papieża Grzegorza XVII otrzymał wolność mieszkania w Rzymie.

Co się tyczy profesorów języków i kaligrafii, panów: Chopin'a, Rojeckiego i Romanowskiego, nic szczególnego o nich powiedziećbym nie mógł. Pan Chopin był ojcem sławnego później kompozytora i wirtuozy na fortepianie, którego zdrowiem pani Dudevant, znana w uczonej świecie pod nazwiskiem George Sand, w Majorce tak troskliwie się trudniła. Nareszcie pan Robert, profesor rysunków, Niemiec rodem, był bardzo zdatny w swoim zawodzie, posiadał jaknajlepiej rysunki

topograficzne, budownicze i perspektywę. Był nam prawdziwie pomocnym.

Kursa nareszcie dnia 1. grudnia 1820 w porządku przepisany^{Otwarcie kursu.} otwarte zostały i nieprzerwanie trwały do 11. lipca 1821 roku.

W tym roku liczne zatrudnienia moje nie pozwalały mi skorzystać z towarzystw warszawskich. Bywałem tylko niekiedy w zamku u Bronców i na Grzybowie u pani Gutakowskiej dla odetchnienia.

W tej jesieni, roku 1820, Dezydery Chłapowski zaczął bywać w zamku, w zamiarze starania się o rękę siostry mojej ciotecznej, Antoniny Grudzińskiej. Deklaracya z jego strony nastąpiła w listopadzie 1820 roku. Odpowiedź korzystna nie dała na siebie czekać; ślub odłożono na rok przyszły.

Nadszedł Nowy Rok 1821, wśród nowych zatrudnień. Pierwszy raz powołany zostałem do ^{Rok 1821.} Belwederu przez księżnę Łowicką. Przyjęła mnie uprzejmie, o familijnych naszych stosunkach rozmawiała. W. księżę nie był przytomny tej pierwszej wizycie.

Żadne ważniejsze zdarzenie nie przerwało ciszy naszej w ciągu pierwszego półrocza 1821 roku.

Tylko W. księżę kilka razy nas swoją zaszczycił bytnością; w lustracyach swoich okazywał wiele dowcipu i bystrości, oglądał sale rysunkowe, sale modeli, zastanawiał się nad rysunkami uczniów, lecz żadnego z nich sam nie egzaminował. W ogólności zdawał się być kontent z tego, co widział, lecz uczniów może bardziej sądził po ich postępach w kroku pojedynczym na paradach saskich, niżeli po ich rzeczywistych pracach.

Wiele na tem zależało, ażeby zachować szkole względy W. księcia; cała pomyślność dalsza instytutu od tego zależała. Najmniejsze uchybienie w służbie, słowo nieostrożnie wymówione przez którego z nas, udział najmniejszy w politycznej sprawie, mógł pioruny ściągnąć na szkołę i w niwecz

obrócić usiłowania nasze. Postanowiłem więc zachować się neutralnie w opiniach politycznych i oddać się zupełnie zawodowi naukowemu.

Urządziwszy się wygodnie w mieszkaniu mojem, w domu szkoły aplikacyjnej na Miodowej ulicy, sprowadziłem dobry fortepian, otoczyłem się książkami i w ciągłym zatrudnieniu przepędziłem zimę z roku 1820 na 1821.

Uwagi, wynikające z doświadczenia sześciomiesięcznego, wskazywały mi potrzebę koniecznej odmiany w całym urzędzeniu kursów, a nadewszystko w czasie. Natłok przedmiotów był zanadto wielki, uczniowie nie dość przygotowani do pojmowania tak trudnych przedmiotów, nareszcie zbyt mało czasu mieli zostawionego do własnej pracy i do powtarzań. Rada naukowa, zebrana dnia 10. czerwca 1821 roku, ułożyła przedstawienie do generała dowódcy korpusu, prosząc o rozciągnięcie kursów od dwóch do trzech lat i projekt nowego rozkładu tychże przyłączyła.

Dowódzca korpusu uznał słuszność naszych uwag i rzecz całą W. księciu do rozstrzygnięcia przedłożył, mnie zaś rozkazał towarzyszyć sobie w podróży inspekcyjnej do Kalisza i przekonać się naocznie o biegu naukowym w szkole kadetów tamtejszej. Zebrawszy moje uwagi nad tym przedmiotem w czerwcu powróciłem do Warszawy. Kursa nasze zakończyły się 30 czerwca 1821 roku.

Dnia 13 czerwca (1 lipca) wyszło rozporządzenie W. księcia do dowódcy korpusu, w skutku którego liczba elewów szkoły aplikacyjnej z 16 do 24 pomnożona została, kurs nauk na lat 3 rozłożony być miał.

Dnia 1 lipca uczniowie z oficerami inspekcyjnymi wstąpili do obozu pod Powązkami i baraki na prawem skrzydle pułku Wołyńskiego gwardyi zajęli.

Przez 10 dni zatrudniali się tryangulacją stolikową w okolicach obozu; niemniej wprawiani byli w użyciu busoli. Później polecił im W. książę wytknięcie na gruncie i sprofilowanie czterech baterii przed frontem obozu.

Wykończony przez uczniów projekt składał się z 4 planów i 4 kosztorysów szczegółowych. W. książę potwierdził takowe. Uczniów użyto do kierowania robotami baterji, u których pracowało dziennie 600 żołnierzy od piechoty i 80 saperów; wykończono to w 10 dniach. W. książę oświadczył szkole zadowolenie swoje w tym względzie. Dnia 9 sierpnia uczniowie powrócili do miasta i przygotowali się do egzaminu. Dnie 23, 24 i 25 sierpnia przeznaczone zostały na ten cel. Dowódzca korpusu, generał dywizji Hauke, generałowie Mallet, Redel, pułkownik Bontemps i wielu oficerów różnej broni, zaszczytili egzamin swoją przytomnością.

Egzamin, zważywszy siedmiomiesięczny tylko kurs naukowy, dość świetnie wypadł.

Pierwszych dni września 1821 roku. W. książę Mikołaj z młodą małżonką swoją, księżniczką Aleksandryną, córką króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III, przybył do Warszawy i stanął w Łazienkach. Nastąpiły w tym pałacu przedstawienia wyższych urzędników i oficerów różnej broni. Prezentowany zostałem z innymi przez W. księcia; księżna Łowicka damy wszystkie przedstawiała. W. księżna Aleksandra była wtenczas w kwiecie młodości i piękności. Podobieństwo jej do matki, królowej Luizy, było uderzające. Brakowało tylko tej uprzejmości, gracy i wyrazu dobroci, któremi królowa tak mocno ujmowała. W. księżna nie dość podobała się, okazywała się bowiem zbyt dumną i wymagającą. Nie zacytowano ani jednego grzecznego słowa do żadnej z dam przytomnych. W kilka dni potem był dzień urodzin cesarzowej matki, Maryi Feodorówny. Dzień ten obchodzono uroczyście w Warszawie illuminacją, a w obozie świetnym fajerwerkiem.

Wieczoru tego znajdowałem się w obozie pod Burakowem, przed frontem dywizji II piechoty, w zamiarze oglądania fajerwerku, gdy zdaleka spostrzegłem dwa powozy dworskie. W pierwszym siedziała W. księżna Aleksandra z księżną Łowicką i W. księciem Konstantym na przodzie; w drugim WW. książęta: Mikołaj i Michał. W. książę Konstanty zdaleka

mnie poznał, zatrzymał powóz i zawołał na mnie po imieniu. Gdy się zbliżyłem do powozu, prezentował mnie powtórnie W. księżnie, jako kuzyna żony i oświadczył, że mi urlop na kilka dni udziela, abym mógł pojechać na ślub Antosi Grudzińskiej, odbyć się mający w Księstwie Poznańskim, dnia 28 września.

Był to pierwszy dowód uprzejmości dla mnie z jego strony.

Korzystałem z danego pozwolenia i w kilka dni wyjechałem do Woynowa, a stamtąd do Popowa, majątności pani Brońcowej, gdzie już księżnę Łowicką zastałem. Po ślubie powróciłem do Woynowa, wyprzedzony księżną Łowicką, która bytnością swoją jednodniową rodziców moich uszczęśliwiła. Stamtąd towarzyszyłem księżnie Łowickiej do Poznania. Zabawiwszy kilka dni w Poznaniu w domu ojca, księżna Łowicka odwiedziła siostrę moją, Anielę Krzyżanowską i powróciła na Kalisz do Warszawy.

Mnie urlop wychodził, pospieszyłem więc kuryerkiem równie do Warszawy i w nocy stanąwszy w Belwederze, W. księciu list od żony oddałem.

Nazajutrz powróciłem do moich czynności naukowych.

W miesiącu października odbyłem małą podróż z księżną Łowicką do Góry, majątności Gutakowskich, pod Modlinem, gdzie zabawiwszy najprzyjemniej cały dzień, powróciłem do Warszawy.

Rok 1822. W tym dopiero roku zacząłem bywać częściej w Belwederze; pierwszy raz na żądanie księżnej Łowickiej przybyłem tam na wieczór z ojcem jej, panem Grudzińskim, i zastałem W. księcia, który za temat tego wieczora potrzebę kary cielesnej w wojsku sobie obrał. Była to do mnie zwrócona odpowiedź na zarzuty, które pozwoliłem sobie dawniej, przed odjazdem do Krakowa, uczynić w przytomności Grudzińskich z powodu zbyt ostrego obchodzenia się z żołnierzami naszymi. Poznałem, skąd pocisk pochodził i dlaczego ta nauka; zresztą W. książę był dla mnie, jak na

pierwszy raz, dosyć i łaskawy i grzeczny. Na początku roku 1822 rząd wpadł na ślady towarzystw tajnych w Królestwie przez aresztowanie na samej granicy byłego kapitana, Kurckiego, powracającego z Paryża. Denuncyacya stamtąd, pierwszy powód do tego dać musiała. Znaleziony przy nim list, jeszcze nie wręczony, do urzędnika kasowego Dobrzyckiego w Kaliszu, naprowadził na trop związkowych. Pułkownik Schneider wplątany w proces o wielożeństwo, chcąc uniknąć skutków gorszych, wyjawiał rzecz całą i nazwał osoby.

Pociągnięto do odpowiedzialności majora Łukasińskiego, podpułkownika Dobrogoyskiego, Dobrzyckiego, Machnickiego, podpułkownika Prądyńskiego, Schredera, Cichockiego i Kozzutskiego. Teodor Morawski, jeden z najczynniejszych, potrafił ująć zagranicę. Umińskiego dopiero później, na początku bowiem 1826 roku z Maciejem Mielżyńskim i szwagrem moim, Józefem Krzyżanowskim, aresztował rząd pruski.

Pomiędzy skompromitowanymi osobami najbardziej obchodził mnie los Prądyńskiego, wiernego przyjaciela od najmłodszych lat; nie uległ on wprawdzie aresztowaniu tym razem, lecz po kilkakroć badany był i z największą trudnością tylko udało mu się wywikłać z tej niebezpiecznej sprawy. Wiedziałem dobrze, o co rzecz idzie i obawiałem się, aby skutki zawiązanego w roku 1816 towarzystwa nie spadły na mnie. Widywaliśmy się wprawdzie z Prądyńskim; odbierałem, jak zawsze, dowody jego zaufania, wszakże nie chcąc mnie skompromitować, o ważniejszych szczegółach inkwizycyi, na którą był wystawiony, przedemną zamilczał. Dla uniknienia podejrzenia zachowywaliśmy nawet pewną ostrożność w obcowaniu z sobą; sam zaś mniej, aniżeli kiedykolwiek, w towarzystwach bywałem, oddany zupełnie memu powołaniu nauczycielskiemu.

Koło moje towarzyskie tej zimy rozprzestrzeniło się cokolwiek. Prócz domu pani Gutakowskiej matki, do którego szczególnie pociągała mnie osobistość znakomita jej syna, Henryka Zabiełły, bywałem jeszcze w niektórych innych

domach warszawskich, na przykład u pani generałowej Mokronowskiej, u państwa Nakwaskich, Rastawieckich, u Gliszczyńskich. Z młodzieży w dobrych stosunkach zostawałem z panami Sobolewskimi: Jerzym, adjutantem cesarskim i Józefem, pracującym w dyplomatycznej karyerze, synami ministra stanu Ignacego Sobolewskiego; z panami Łęskim i Bożęckim, referendaryuszami stanu, i z wielu innymi.

Nigdy jednak stosunki te, acz najprzyjemniejsze, tak dalece mnie nie zajmowały, aby prace moje w czemkolwiek natem cierpieć miały.

Kursa nasze w zwykłym trybie zakończone zostały 30 lipca ¹⁾.

1. sierpnia przeznaczony był na wyjazd wszystkich uczniów do Kiele i Zamościa, stosownie do naukowego programu. Każdy pułk, stojący w obozie, dostarczył nam bryczkę parokonną z woźnicą od trenu, pod uczniów i pod oficerów. Zabrałem z sobą 24 uczniów, oficerów inspekcji: Przedpełskiego, Koszutskiego i kapitana inżynierów Rossmanna. W. książę kazał nam wstąpić zrana do Belwederu, zastaliśmy tam zastawione dla nas śniadanie. W. książę z księżną Łowicką przyjęli nas sami jaknajuprzejmiej, i ucieszywszy się widokiem wesołej młodzieży, pożegnali nas.

Obróciliśmy podróż naszą na Nowemiasto nad Pilicą na Przysuchę, gdzie pierwsze piece i fryszerki oglądaliśmy, na

¹⁾ Dodać tu muszę, iż według zamierzonego planu szkoła powiększona została następującymi uczniami, którzy prawie wszyscy z artylerji, z korpusu inżynierów i z kwatremistrzowstwa, po złożeniu egzaminu, przypuszczeni do nas zostali: Romer, Damazy Borzęcki, Antoni Frelich, Ludwik Hoffman, Stanisław Radkiewicz, Stefan Linde, Fryderyk Wielhorski, Feliks Rzewuski. Z tych ośmiu uczniów i z słabszych ośmiu z roku 1820, uformowano drugi oddział elementarny. W pierwszym pozostali następujący uczniowie: Michał Szymoński, Feliks Dunin, Wojciech Herczakowski, Jan Łacki, Stanisław Krosnowski, Józef Waligórski, Antoni Chyliński i Cypryan Wolski, dla których wykładany kurs, na rok drugi przeznaczony w programie.

Suchedniów, Samsonów, Białogoń, Miedzianą Górę do Kielc, gdzie stanęliśmy 9. sierpnia. Wszędzie uczniowie obchodzili ganki, sztolnie, obznajmiali się ze sposobami wydobywania i przetapiania rudy żelaznej, miedzianej i ołowianej i z maszynami górniczymi wszelkiego rodzaju; przytomni byli odlewom rozmaitym, walcowaniu blach żelaznych i cynkowych. Korzyść, jaką stąd odnieśli, okazała się wielką. Następnie uczniowie przystąpili do rozpoznania wojskowego okolicy górzyskiej pomiędzy Kielcami i Świętokrzyską Górą. Robota ta rozdzieloną została na brygady, każda bygada otrzymała swoją sekcję, na której kilka główniejszych punktów z karty Maiera naznaczonych było. Cała czynność w kilku dniach ukończoną została i plan ogólny w sześciu sekcjach wyrysowano. Z Kielc zбочyliśmy do Dąbrowy, nad pruską granicą, gdzie na wielki rozmiar wydobywano galman cynkowy, węgle kamienne i rudę żelazną. Zakład ten wtedy już rokował wielkie nadzieje. Z Dąbrowy zrobiliśmy z uczniami małą wycieczkę do Koenigshütte na Śląsku i do Gliwicz. Porównywanie rozmaitych tych kopalni i fabryk nie małą korzyść przyniosło uczniom. Za powrotem do Kielc skróciliśmy naszą drogę na Rachów ku Zamościowi. W tej twierdzy uczniowie zatrudnili się zdejmowaniem planu fortyfikacyi i równoważeniem głównych linii; następnie przez dni kilka przyłączeni zostali do różnych wydziałów i nabrali wyobrażenia o robotach przy murowaniu skarp i sklepień, przy nasypach ziemnych, pod kierunkiem oficerów inżynieryi.

Zastaliśmy w Zamościu 12 młodych kadetów rosyjskich pod rozkazami podpułkownika Koeniga, wysłanych na rozkaz W. księcia z Petersburga, aby zabrać znajomość z naszymi uczniami i wspólnie z nimi praktyczne odbyć doświadczenia. Mieszkali razem z naszymi i razem się stołowali. Ci młodzi ludzie o wiele niżej stali od naszych w wykształceniu, lecz nie oni temu byli winni, tylko cały system nauczania, obrachowany na zbogacenie pamięci, a nie na rozwinięcie umysłu. Wszystkie ich skrypta naukowe ułożone były w pytaniach

i w odpowiedziach, od których ani uczniowi, ani profesorowi nie było wolno żadną miarą zbroczyć; między innymi i kurs rachunku dyferencyalnego i integralnego. Pomimo grzeczności, jaką uczniowie nasi młodym swym gościom okazywali, żadna sympatya między nimi nie zawiązała się. Trudno w tym wieku mniej okrzęsanych znaleźć było młodzieńców.

Podpułkownik Koenig posiadał dobre praktyczne wiadomości; naukowości mało; zresztą był zupełnie *nastojaszczym* tylko oficerem.

Od dnia 21. do 31. sierpnia zatrudniłem elewów doświadczeniami minierskimi, wzięwszy do pomocy kilkunastu robotników wojskowych; kazałem wyprowadzić jeden ganek ze studni 12 stóp głębokiej, wyobrażającej ganek oblegającego; z przeciwskarpy zaś założyłem przeciw teźże ganek oblegzonego. W końcu pierwszego ganku zbudowano piec o 50 funtach; na końcu drugiego piec o 170 funtach, i obydwie następnie wysadzono. Skutek okazał się odpowiedni teorii i dawniejszym doświadczeniom.

Użyto tu poraz pierwszy środka zapalniczego, przez podpułkownika Koeniga przywiezionego, który się zasadzał na zetknięciu się w rurce szklanej, umieszczonej w ognisku prochów, chloranu potasu z kwasem siarczanym. Skutek okazał się niezawodnym. Ukończywszy nasze praktyczne działania, pierwszych dni września powróciliśmy do Warszawy na Lublin, Puławę, Górę.

Po kilku dniach spoczynku przystąpiono do egzaminu publicznego, który trwał trzy dni, jak i pierwszy.

Po egzaminie nastąpiły promocye 8 najzdolniejszych uczniów do rozmaitych broni, stosując się do ich własnego wyboru. W książkę, przychylając się do przedstawienia generała dowódcy korpusu, nadał wszystkim stopnie oficerskie¹⁾.

¹⁾ Wystąpili tym sposobem ze szkoły, tym razem do korpusu inżynierów: Michał Szymoński, Feliks Dunin i Wojciech Herczakowski; do artyleryi: Jan Łącki, Stanisław Krosnowski i Józef Waligórski; do

W gronie profesorów szkoły nastąpiła niejaka zmiana. Kapitan Jaszowski otrzymał komendę pól baterii lekko-konnej raketników. Kurs artylerii powierzono kapitanowi Józefowi Paszkowskiemu, i na tem szkoła zyskała.

Trzeci rok
szkolny 1822
na 1823.

W miejsce profesora Kitajewskiego przybył do nas pan Nowicki, preparator wyrobów chemicznych w głównej aptece wojskowej.

W miejsce pana Rojeckiego zmarłego, pan Chortius obowiązki nauczyciela języka niemieckiego, pan Werbusz języka rosyjskiego przyjęli na siebie.

Dnia 23 września 1822 roku ozdobiony zostałem, w nagrodę prac moich w szkole, orderem świętej Anny 2 klasy.

Dnia 24 listopada 1822 roku odebrałem od księżnej Łowickiej bilecik z parą szlifów w prezencie, na dzień moich imienin. Był to pierwszy dar z jej strony od czasu, jak księżną Łowicką została.

Na początku roku 1823 cesarz Aleksander zwiedził stolicę Królestwa. Dnia 21 stycznia, wprowadzony przez W. księcia, odbył przegląd naszego instytutu. Cesarz liczył w tym czasie 46 lat. Kto tylko pierwszy raz miał sposobność oglądać z bliska jego osobę, ujęty został na wstępie piękną, poważną, a jednak łagodną postacią jego, i z trudnością uszedł urokowi, który z początku wywierał na każdym. Przypatrzwszy się jednakże bliżej wyrazowi twarzy, spostrzedz było można coś nieszczerego w oczach, coś zimnego w uśmiechu. Nikt piękniej wszelako z monarchów nie

Rok 1823.

kwatremistrzostwa: Antoni Chyliński i Cypryan Wolski, Ksawery Pawłowski, dla złej konduity, wykluczony został i poszedł na podoficera do piechoty. Pozostało więc 16. Na miejsca wakujące przyjęto tylko 7 nowych uczniów, a z tych sześciu z Kalisza: Adama Wodzickiego, Szymona Sosnowskiego, Karola Kleczyńskiego, Bazylego Kleczyńskiego, starszego syna jenerała Hauke: Maurycego, Jana Wolskiego i Marcina Kowalskiego.

odgrywał roli swojej; nikt nie był grzeczniejszym i powabniejszym dla kobiet; dlatego też tę piękną połowę rodzaju ludzkiego miał wszędzie za sobą. Panem był swoich poruszeń tak dalece, iż nikt z otaczających jego osobę, nie mógł się chlubić, aby myśl jego przeniknął.

Wewnętrzne nieukontentowanie zdradzało się tylko pewnem drganiem brody, przy najłagodniejszym zresztą wejrzeniu. Gniew jego był nieubłagany, kto łaskę jego stracił, na zawsze ją stracił; umiał i z zemstą poczekać, lecz ta była niechybna i jak piorun spadała na winnego. Oddany polityce zagranicznej, którą sam kierował, i armii swojej, którą za narzędzie polityki uważał, zresztą rządy ogromnego państwa powierzył najniegodziwшему barbarzyńcy, jakiego kiedy Bóg w gniewie swoim za karę na ten kraj zesłał, generałowi Arakcejewowi, najbliższemu przyjacielowi ojca swego, Pawła I, autorowi pomysłu kolonii wojskowych, tej plagi chłopcy rosyjskiego. I ten to człowiek był jego jedynym powiernikiem, najbliższym przyjacielem i uczestnikiem samodzierczej władzy. Nigdy Rosya nie zapomni ran, jakie jej Arakcejew w czasie długoletnich rządów swoich zadał; nigdy przy pozorze wielkości na zewnątrz, nie była tak spodloną, tak uciśnioną we własnem łonie. Sprawiedliwość względna, świetność rządów Katarzyny, ustały; zastąpiły ją wszędzie przekupstwo, podejrzliwość, samowładność. W czasie, gdy cesarz na kongresach odbierał kadzidła Europy i w świętem przymierzu połączonych monarchów rozstrzygał o losach ludów i zasady polityki na chrześcijańskiej moralności utrwalić zamierzał, Rosya pod żelazną ręką Arakcejewą żadnej korzyści nie odniosła z tylu ofiar, położonych dla wyzwolenia innych ludów z pod Napoleońskiego jarzma. Wojsko i polityka, te dwa ważne czynniki, wyłącznie zajmowały cesarza; w Rosyi zaś samej zalegały sprawy najważniejsze, tak dalece, iż liczbę nierozstrzygniętych interesów w administracyi i sądownictwie państwa, w chwili śmierci jego, świadomsii na 100 000 szacują. I to się działo pod rządem monarchy jeszcze

młodego, oświeconego, liberalnego, odgrywającego u nas rolę króla konstytucyjnego, którego współcześni »zbawicielem Europy« nazwali.

Gdy Napoleon kobietom wszelki udział na sprawy państwa odmawiał, cesarz Aleksander przeciwnie umiał je wciągnąć w swoje interesa, używał ich za narzędzie, a nawet radził się ich, jak szczęście ludzkości najpewniej osiągnąć. Pewna mistyczność w usposobieniu i w wyrażeniu odgrywała swoją rolę w tym względzie.

W Warszawie wystąpił jako monarcha konstytucyjny, z najliberalniejszymi zasadami, żałując tylko, iż całej Rosyi z powodu jej niedojrzałości, tak jak nas, konstytucyją uszczęśliwić nie jest jeszcze w stanie, lecz nadzieję tę sam składał w przyszłości. Czas przyjdzie, mówił, gdzie cały świat przekonana się o moich najczyściejszych dla Rosyi i dla was zamiarach, gdzie wasze nadzieje nadspodziewanie się spełnią; lecz na to trzeba z waszej strony cokolwiek cierpliwości, a nadewszystko ufności zupełnej we mnie.

Ci, co jaśniej przejrżeli, wiedzieli dobrze, że konstytucya nasza, żadnym traktatem nie opisana i wolą samego tylko cesarza, wbrew doradzcom swoim utworzona, od pociągnięcia piórem cesarza zależy, i że najmniejszy ze strony naszej wybryk powodem być może do jej zawieszenia lub obalenia na zawsze; wiedzieli oni, że cesarz otoczony był przez nieprzyjaciół tejże konstytucyi; że Pozzo di Borgo, historyk Karamsin, Nowosilcow i wielu innych ciągle pracują nad zamienieniem jej w martwą literę, nie mogąc przeszkodzić jej wydaniu pierwotnemu. Ci więc przestrzegali, aby nadziejami temi nie dać się ludzić, aby konstytucyę za niecofnione prawo nie uważać i starać się tylko, aby skarb i przemysł w kraju podnieść i szkoły pomnożyć, zostawiając przy politycznej ciszy utwierdzenie całej budowy konstytucyjnej samemu czasowi.

Lecz wróćmy do wizyty cesarza w szkole.

Cesarz dał sobie przedstawić profesorów i uczniów; przeszedłszy sale naukowe i wchodząc na salę rysunkową,

spotkał we drzwiach podpułkownika Koriota, który nakształt monstrancyi unosząc w ręku model hyperboloidy, stawiał go przed jego oczy. Cesarz zadziwiony tą szczególną aparycją zatrzymał się. Dopieroż pan Koriot w dyalekcie warmińskofrancuskim zaczął mu wykładać osobliwsze własności tej krzywej powierzchni. Zabawiło to mocno cesarza. W. księżę, jeszcze mniej od nas spodziewający się tej sceny, widząc, iż to cesarza zajmuje, zaczął na mnie mrugać i po cichu z Koriota żartować. Lecz cesarz zachowawszy pogodne oblicze, dał się najspokojniej o wszystkim pouczać i do W. księcia powiedział: »nie uczono nas tego za naszych czasów». Te słowa Koriota do 32. nieba przeniosły!

Po ukończonej nauce przedstawiłem cesarzowi rysunki uczniów, przy każdym cel jego wykładając. Cesarz blisko godzinę z największą cierpliwością i grzecznością słuchał mojego wykładu; musiałem dość głośno mówić, cesarz był bowiem głuchy na lewe ucho.

Nareszcie przegląd się skończył. Cesarz podziękował nam wszystkim i z wielką uprzejmością pożegnał.

Nazajutrz wyszedł rozkaz dzienny cesarza z podziękowaniem dla dowódcy korpusu, dla komendanta szkoły i dla mnie za dobry porządek, w którym znalazł nasz instytut. Koriot nie mógł cesarzowi darować, że o hyperboloidzie nie wspomniał.

W chwilach od służby wolnych korzystałem czasem z zaproszeń, jakie mnie spotykały ze strony Towarzystwo warszawskie. towarzystwa warszawskiego i niejedne przyjemne chwile w niem przepędziłem. Bywałem w następujących szczególnie domach:

Dom namiestnika, księcia Zajączka, był punktem zbiorowym dla wszystkich. Tu się spotykały wszystkie kategorie i stany. Obowiązek reprezentacyi, odpowiadającej wysokiej godności namiestnika, polegał szczególnie na księżnie Zajączkowej, z domu Wasilewskiej, 60-letniej damie, zachowującej

jeszcze czerstwość, wdzięki i ubiór młodego wieku. Wiele sobie opowiadano o środkach, jakich używała dla zachowania w tak późnym wieku pozorów młodości; o kosmetykach, gorsetach paryskich, lodowatych kąpielach, któremi niesłychane męczarnie sobie zadawała; wszakże jej te śmieszności przebaczano przez wzgląd na niezaprzeżony rozum, dowcip jej rozmowy i grzeczność, z jaką honory domu robiła. Pani Zajączkowa w tak późnym wieku miała to osobliwsze szczęście, iż żywość wyobrażeń i uczuć zupełnie zachowała. Czuła i kochała jak 15-letnia panienka. Szeptano sobie nawet do ucha, iż Wojciech Grzymała, referendarz stanu, potrafił skłonić ku sobie serce jej, i rozmaite anegdoty z tego względu w towarzystwie krążyły. Pamiętam panią Zajączkową w gazowej sukni, z różą we włosach, z wachlarzem w ręku, na balach u namiestnika, i wyznam, że jeżeli nie zachwycony, to zadziwiony stanąłem na jej widok. Poważna postać księcia namiestnika, weterana bez nogi, dziwny kontrast stanowiła z młodą powierzchownością żony.

Drugi dom dla mnie otwarty, był to dom pani Mokronowskiej z książąt Sanguszków, wdowy po ś. p. jenerale Mokronowskim, towarzyszu Kościuszki. Pani Mokronowska liczyła wtedy lat około 50; nie była piękną, a postać schylona i krzywa, coś karłowatego całej osobie nadawała; lecz twarz pełna wyrazu, oczy bardzo piękne, uwienieczone czarnymi wielkimi brwiami, nos orli, przypominający sybillę Kumeńską, zdradzały zarzewie, ukryte w czułem jej sercu. Pani Mokronowska odznaczała się wielką grzecznością, dowcipem i wyrozumiałością na cudze błędy; któż bowiem jest bez win? Powierniczką była wszystkich dam warszawskich, wszystkie intryżki i plotki znała najdokładniej; lecz podobno nigdy zaufania żadnej nie zdradziła. Piękny pułkownik Zielonka pierwsze miejsce zajmował w jej sercu i wtedy już w domu uchodził za pretendenta do jej ręki. W kilka lat później poszła za niego.

Opozycja salonów warszawskich koncentrowała się w domu pani Aleksandrowej Potockiej, z domu Tyszkiewiczowej. Matka jej była rodzoną siostrą księcia Stanisława Poniatowskiego, podskarbiego litewskiego. Pani Aleksandrowa Potocka rozwiedziona z mężem, właścicielka ogromnego majątku, mieszkała w własnym pałacu na Nowym-Świecie i tu niewielkie grono przyjaciół przyjmowała. Jenerał Chłopicki był jej domownikiem. Nikt nie zaprzeczy pani Aleksandrowej Potockiej wrodzonego dowcipu, wielkiego gustu w sztukach nadobnych, osobliwie w rzeźbiarstwie i malarstwie. Lecz uchodziła za cierpką, obmowną, skąpą, dlatego też nie była lubianą, a raczej wzbudzała obawę towarzystwa. Synów dwóch miała: Augusta i Maurycego, i córkę piękną, Natalię, którą w lat kilka poślubił książę Roman Sanguszko, znany z cierpień, poniesionych w niewoli od roku 1831.

Pani Aleksandrowa Potocka posiadała dwie ładne majątkowości w pobliżu Warszawy: Mokotów i Natolin, które z wrodzonym sobie gustem przyzdobiła, gdzie także w lecie przyjmowała. W jej towarzystwie najczęściej znaleźć było można panią Emę Strzyżewską, córkę pani Sewerynowej Potockiej, której pretensje do piękności monumentalnej greckiej, dobrze pamiętają jej znajomi. Potrzeba jej było uznania ze strony Thorwaldsena w czasie pobytu jego w Warszawie i starała się o nie dość wyraźnie; gdy jednak od rzeźbiarza, przyjaciela form okrągłych i nienawidzącego samokostów w sztuce, prócz błahego komplementu, nic nie uzyskała, przyszło jej zwątpić o sprawiedliwości ludzkiej i wdzięki ukryła przed światem.

Pani Biało Pietrowicza, z domu księżna Giedroyc, niegdyś dama honorowa cesarzowej Józefiny, jej siostra pani jenerałowa Rautenstrauchowa, dopełniały zwyczajnego grona przyjaciółek pani Aleksandrowej Potockiej; ostatnie dwie, używając francuskiego wyrażenia, utrzymywały biuro dowcipu w Warszawie; uszczypliwości tych dwóch dam obawiano się niemniej, jak samej pani domu.

Pułkownik Wąsowicz, towarzysz cesarza Napoleona od Mołodyczny do Paryża, w czasie pamiętnego odwrotu z Rosyi, człowiek bardzo piękny lecz niezbyt wykształcony, zaufanie całe pani Potockiej posiadał i jako w przyjaźni najpierwszy rządził jej domem. Wkrótce wynagrodziła jego wojskowe zasługi patryotycznym darem swej ręki. Odtąd pani Wąsowiczowa na niejedne przykrości ze strony W. księcia i jego policyi była wystawioną. Pomimo to opozycya w jej salonie, lubo ostrożniejsza, nie przestała podkopywać władzy W. księcia i w 1830. roku niemalży wpływ wywarła na bieg wypadków.

Pani Potocka, z domu księżna Lubomirska, wdowa po ś. p. Stanisławie Potockim, prezesie senatu, zajmującym wysokie miejsce w literaturze naszej (jako mówca i autor dzieł o stylu i wymowie), należała do dam najpoważniejszych w Warszawie. Niemcewicz mieszkał w jej domu i duszą był towarzystwa. Tu poznałem panią Rozalię Rzewuską, jej siostrzenicę, także z domu Lubomirską, osobę znaną całej Polsce z wysokiego rozumu i z dążności równie mistycznych, jak religijnych i monarchicznych. Pani Rzewuska straciwszy wczesnie matkę, która na rozkaz Robespiera za korespondencyę z emigracją, roku 1794 głowę położyła pod gilotynę, schronienie znalazła w domu pani Krajewskiej i tu pierwsze wychowanie odebrała. Nikt nie zadziwi się zapewne, jeżeli wrażenie pierwsze po okropnym skonie matki zaszczerpiło nienawiść do rewolucyi w jej sercu; nikt też nie był przeciwniejszy tym zasadom. Stariała się nienawiść tę w sercu synów, których później w mojej szkole miałem, ugruntować, lecz jakaż była jej boleść, gdy ich roku 1830. w szeregu pierwszych znalazła.

Pani Rzewuska była wzrostu bardzo wielkiego na kobietę; głowę miała cudnej piękności, oczy pełne wyrazu, rozmowę ujmującą, głos nadzwyczaj wdzięczny, dowcipu i znajomości serca ludzkiego bardzo wiele; o jej szczerości jednak wiele wątpiono, ja sam najpierwszy.

Pani Rzewuska wczesnie bardzo poszła za Wacława Rzewuskiego, syna targowiczana, Seweryna Rzewuskiego, którego dość nazwać, aby przypomnieć sobie jego dziwactwa, podróży po Wschodzie, pobyt w pokoleniach Beduinów, zamiłowanie w arabskich koniach, w zwyczajach i ubiorze arabskim, w koczowaniu nareszcie pomiędzy kozakami własnymi, w Sawranii na Podolu i udział w walce w roku 1831, zakończony nieszczęśliwą śmiercią po bitwie Daszowskiej.

Dwa charaktery, tak przeciwne, nie mogły się długo zgodzić; oboje dystygowani wprawdzie, lecz pierwsza jedynie tylko rozumem, on zaś tylko bujną imaginacją powodowani, wkrótce w opozycyi takiej się znaleźli, iż przybliżenie stało się niepodobnem.

Ona żyła odtąd w Wiedniu, gdzie u dworu wielkiego używała znaczenia, lub w Opolu, oddana zupełnie wychowaniu córki Kalliksty i trzech synów: Stanisława, Leona i Wiktolda; on zaś na Podolu w dobrach swoich, zadłużonych po- bytem na Wschodzie.

Ona to sama prowadziła pierwsze wychowanie dwóch starszych synów, Stanisława i Leona, z których pierwszy do najznakomitszych młodych ludzi tego czasu należał — dodawszy im za nauczyciela pana Hübnera, byłego kapitana artylerji w wojsku austryackiem.

Pani Gutakowska, z domu Sobolewska, wdowa po ś. p. prezesie senatu, Ludwiku Gutakowskim, mieszkała w domu swoim na Grzybowie, otoczona osobami najbliższemi jej serca. Szanowna ta dama, około 60 lat licząca, była roku 1794 za generałem Zabiellą, gdy męża spotkało nieszczęście porwania z jej domu przez lud warszawski. Sąd, wyrok, wykonanie, wszystko nieprawne, trwało kilka godzin tylko.

Nie było dowodu na winę, a jednak dziś jeszcze nazwisko generała polnego litewskiego, Zabielly, figuruje obok nazwisk innych ofiar, winnych czy niewinnych, które nie lud warszawski, lecz pospólstwo poświęciło swojej nienawiści i zemście.

Śmierć haniebna i, jak wszyscy współcześni z pewnością twierdzą, niezasłużona, generała Zabieli, pogrzyść musiała wdowę w głęboki smutek. Wyjechała za królem Stanisławem Augustem do Petersburga i tu bawiła kilka lat. W czasach zamieszek dość wskazać ofiarę, spospółstwo zawsze gotowe nad nią się pastwić; widzieliśmy takie same sceny 15. sierpnia 1830 roku w Warszawie. Pani Gutakowska w późnej starości zachowała ubiór i zwyczaje swojego czasu; była nader staranną i wykwinną koło swojej osoby: puder na włosach, złota tabakierka w ręku nie opuszczały jej nigdy; zresztą dom jej był wzorem obyczajów i patryarchalności dla całej Warszawy. Synowie jej: Henryk Zabiello i Wacław Gutakowski, pierwszy z Gabryelą Gutakowską, drugi z Józefą Grudzińską ożenieni, mieszkali w domu matki na Grzybowie, lecz osobnego dworu nie prowadzili. Wielka religijność panowała w tym domu, wszelkie przepisy Kościoła widziano tu zachowane w zupełnej ścisłości; z pomiędzy tych przepisów i pomoc i ratunek bliźniemu najpierwsze zajmowały miejsce: znaczna część dochodów na ten cel przeznaczoną była, i ta, której męża spospółstwo tak niesprawiedliwie zamordowało, stała się matką i dobrodziejką tegoż samego spospółstwa. Stosunki pokrewieństwa łączyły mnie z Wacławem Gutakowskim, stosunki zaś przyjaźni z Henrykiem Zabiellą. Ostatni posiadał ładny talent do malarstwa, a przedmiotami ulubionymi były widoki wewnętrzne kościołów, klasztorów, i w tych się odznaczał; zresztą szczerzy, dobroczynny, łagodny, skromny, przedstawiał mi wzór prawego chrześcianina, wypełniającego wśród światowych pokus obowiązek swój w całej zupełności. W roku 1830 i 1831 przyjął na siebie powinność inspektora wszystkich szpitali cywilnych w Warszawie, w czasie, gdy cholera grasowała najmocniej. Niezmordowaną była gorliwość, odwaga i poświęcenie się jego w wypełnianiu tak trudnych obowiązków; wspomina go do dziś dnia z wdzięcznością ubogi lud warszawski. Lecz nadto dobroczynność jego wyszukiwała w tej ludności młodych ludzi bez majątku, lecz okazujących

talent do sztuki i rzemiosł; tych swoim kosztem elementarnie kształcił, następnie do szkół wyższych wysyłał i z nich uczonych rzemieślników, rysowników lub malarzy tworzył.

Pan Walenty Sobolewski, brat pani Gutakowskiej, senator wojewoda, po śmierci księcia namiestnika objął prezydencję rady administracyjnej Królestwa. W tem trudnem stanowisku potrafił zjednać sobie powszechny szacunek. Był to starzec 65-letni, nawiedzany często podagrą, surowy w obyczajach, wzbudzający uszanowanie. Pamiętał dawne czasy i w sposób zajmujący o nich opowiadał.

Żona jego, z domu Grabowska, siostra ministra oświecenia, pana Stanisława Grabowskiego, z wielu względów zasługiwała na pierwsze miejsce w towarzystwie warszawskiem, była damą pałacową cesarzowej i po śmierci księżnej Zajączkowej miała obowiązek prezentowania dam u dworu.

Pan Stanisław Grabowski, minister oświecenia, brat generała Michała Grabowskiego, zabitego pod Smoleńskiem roku 1812, był również, jak tenże brat, synem króla Stanisława Augusta i sławnej z piękności pani Grabowskiej. Uchodził za człowieka bardzo uczonego, czytał wiele, o wszystkim mówił płynnie, lecz według mnie powierzchownie; wszystko znał, wszystko pamiętał — przechodził z matematyki do poezyi, z chemii do malarstwa, z zadziwiającą łatwością; pomimo tak wielkiej nauki, nie okazywał jednak ani stałego o rzeczach zdania, ani stałego charakteru. Była to encyklopedia żyjąca, na czele ministryum oświecenia postawiona. Podobieństwo jego do króla Stanisława Poniatowskiego było uderzające; wszystkie słabości ojca, prócz zalotności, posiadał. Zresztą był to człowiek bardzo nabożny i dlatego nieprzyjaciele nazywali go zwolennikiem Jezuitów. Żona, z domu Zabiello, nieposiadająca żadnego majątku, była bardzo dobrą i przyjemną osobą. Siostra jej była za panem Zalewskim z Litwy. Oboje mieli bardzo ładny talent do śpiewu.

Dom ordynata, Stanisława Zamoyskiego, najbogatszego magnata w Królestwie Polskiem Kongresowem, przedstawiał

mały dwór angielski wśród polskiej Warszawy. Pan Zamoyski był wnukiem Andrzeja Zamoyskiego, sławnego w dziejach narodu naszego z projektu konstytucyi, mającej za cel poprawę zastarzałych błędów naszego prawodawstwa. Projekt ten, łączący przeszłość z przyszłością, odrzucony został na sejmie 1780 za namową nieprzyjaciół kraju. Naród przejrzawszy 10 lat później, oddał sprawiedliwość znakomitym zasługom i zdolnościom Andrzeja Zamoyskiego. Lecz ta poprawa już była zapóźną.

Nazwisko Zamoyskich miało wielką wziętość w Warszawie, a pamięć na chwałę przodków: Jana i Andrzeja, otaczała je pewnym blaskiem. Związki z Czartoryskimi powiększały możność i wpływy tegoż domu. Ordynacya Zamoyska, składająca się z kilku miast i kilkuset wsi, zakrywała cały niemal powiat Zomoyski. Dochody z niej szacowano na kilka milionów złotych polskich. Oprócz tego ogromnego majątku pan Zamoyski posiadał jeszcze znaczne dobra w Polsce, w Galicyi i na Wołyniu, stanowiące posag kilkumilionowy żony, Zofii z Czartoryskich, lub do familijnych spadków, z pod prawa ordynacyi wyjętych, należące.

Pan Zamoyski całym układem swoim przypominał raczej lorda angielskiego, aniżeli polskiego magnata: wszystko w domu na stopę angielską było urządzone; wychowanie dzieci nawet było bardziej angielskie, jak polskie. Podróżując z żoną, Zofią z Czartoryskich, w Anglii, doznał zaszczytnego przyjęcia u dworu Jerzego III i w domach arystokracji angielskiej. Oboje polubili kraj tak gościnny i zwyczaje jego. Uroda pani Zamoyskiej wiele się przyczyniła do korzystnego wrażenia, jakie ci w towarzystwie, na formy zewnętrzne tak uważajacem, po sobie zostawili.

W rzeczy samej pani Zamoyska, matka licznej familii, w 40 roku swego wieku, jeszcze się liczyć mogła do najpiękniejszych osób Warszawy. Jej oczy, uśmiech, gracya, głos, coś czarodziejskiego miały. Żadna z dam warszawskich nie

mogła z nią iść w porównanie, bądź gdy w świetnych salonach swoich towarzystwo przyjmowała, bądź gdy przy okrągłym



ZOFIA Z CZARTORYSKICH STANISŁAWOWA ZAMOYSKA,

* 1780, † 1837 roku we Florencyi.

(Rysunek Anny Łuski z r. 1838).

stoliku grono familii i przyjaciół około siebie łączyła. Familia ordynata składała się z 7 synów i 3 córek.

Synowie nazywali się: 1) Konstanty, i ten jest sukcesorem ordynacyi, mieszka teraz w Anglii. Żona jego z domu księżna Sapieżanka.

2) Andrzej, znany w kraju z ducha przedsiębiorczego, na czele jest wielu zakładów, a mianowicie żeglugi parowej na Wiśle. Żona z domu Potocka, córka Antoniego Potockiego.

3) Władysław dystygował się w wojnie 1831 r., gdzie miał wielki udział; bawi teraz w Paryżu przy wuju, księciu Adamie Czartoryskim, którego jest prawą ręką.

4) Jan, mieszka w Warszawie. Żona Mycielska.

5) Zdzisław, mieszka w Galicyi. Żona, Walicka z domu, była za Stanisławem Rzewuskim. Brał udział w wojnie 1831 roku. Trzy lata przepędził w szkole aplikacyjnej.

6) August, przepędził także kilka miesięcy w szkole aplikacyjnej, lecz najmniej miał zdatności z siedmiu braci.

7) Najmłodszy Stanisław.

Córki: Celina jest za Tytusem Działyńskim, Jadwiga za księciem Leonem Sapiehą, Eliza za Zenonem Brzozowskim.

Pierwsze moje stosunki z tym domem zawiązały się w czasie wstąpienia do szkoły piątego syna, Zdzisława.

Dom księcia Maksymiliana Jabłonowskiego. Żona jego z domu księżna Lubomirska, nazywała się Teresa: była to osoba ładna, światowa, ubiegająca się za zabawami i niemniej konduityą swoją dająca powód do obmowy, jak wiele innych dam warszawskich.

Pani Tomaszowa Łubieńska, z domu Ossolińska, i pani Załuska, z domu Bronikowska, w ścisłych stosunkach zostawały z księżną Teresą Jabłonowską.

Dom pani Lanckorońskiej, kasztelanowej połanieckiej, najczyściejszy obraz przedstawiał staropolskich obyczajów przeszłego stulecia. Szanowna kasztelanowa tem być nie przestała, czem były babki nasze, na początku panowania Stanisława Augusta. Świat cały przekształcił się około jej osoby: ona tylko zachowała zwyczaje i cnoty swojego czasu. Żadna z dam, choć najmodniejszych, nie byłaby śmiała po-

minąć przedstawienia u tej czcigodnej damy. Nie miałem sam sposobności złożenia jej mojego hołdu, nie mogę się przeto dalej zapuszczać w opis tego domu. Lecz odsyłam czytelnika do dzieł panny Tańskiej ¹⁾, która w zajmujący bardzo sposób o nim opowiada.

Podrzedniejsze towarzystwo warszawskie liczyło także kilka domów, w których niekiedy bywałem, mianowicie: dom dawnego prefekta Nakwaskiego, państwa Rastawieckich, Głiszczyńskich z Kutna, generała Stanisława Potockiego, państwa Rembelińskich, pani Walickiej, ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego, księcia Lubeckiego i t. d.

Jenerałowie rosyjscy: Richter, Lewicki, Knorring, przyjmowali także, lecz nie mając żadnego obowiązku, nie postąpiłem u nich nigdy.

Przepomniałem jeszcze dwie familie, w których najprzychylniejszego doznałem przyjęcia: Ludwika Platera i państwa Brzostowskich.

Ludwik hrabia Plater, z Litwy rodem, radca stanu dyrektor leśnictwa krajowego, należał niezawodnie do najświetlejszych ludzi naszego kraju. Trzech braci jego: Stanisław Michał i Jan, pracami swojemi niemniej zasług położyli dla literatury krajowej, osobliwie dwaj pierwsi.

Pani Plater, z domu Brzostowska, nie odznaczała się wprawdzie ani pięknnością, ani innymi świetnymi przymiotami, którymi jaśniały inne warszawskie damy, lecz nieporównaną dobrocią serca i współczuciem chrześcijańskim dla ubogich przewyższała wszystkie. Pomimo bardzo szczupłych dochodów, czyniła dla nich nieraz nad możność i słuszenie zasłużyła sobie w klasie ubogich warszawskich na nazwisko matki sierot. Dom jej był przytułkiem dla wielu; również i młodzież niezamożna, z Litwy przybywająca, byleby nauki checiwa, znajdowała w nim radę, pomoc i schronienie. Lecz dom ten nie był przecież zamknięty dobremu towarzystwu warszawskiemu.

¹⁾ Klementyny z Tańskich Hofmanowej. (*Przypisek wyd.*)

Owszem znaleźć tam można było dobór najlepiej wychowanych osób. Wszystko tam skromnie, bez przesady i bez obmowy, oszczędnie, niekiedy nawet ubogo; lecz każdy wiedział, iż to, co nie dostawało, stało się oddawna własnością ubogich.

Pan Ludwik Plater był magnetyzerem zawołanym, i to z przekonania. Dziękując Bogu za ten dar szczególnie, który posiadał, oddawał się z wielkiem poświęceniem leczeniu chorych i w tym względzie podzielał prace pułkownika Sowińskiego. Niektórzy upatrywali w tem zatrudnieniu śmieszność, szarlatanizm; ja w tem nie widziałem nic innego, tylko fenomen potęgi nowej, nie rozwiniętej dotąd w człowieku, wymagającej wielkiej siły i poświęcenia własnej osoby.

Platerowie mieli jednego syna i dwie córki. Starszą, pełną nadziei, uwielbianą od rodziców, kochaną od nas wszystkich, stracili w kwiecie wieku; niepowetowana to strata, która dom ten na czas długi żałobą okryła.

Pan Ludwik Plater dla liberalnego sposobu myślenia nie najlepiej zapisany był u dworu, i nieraz doznawał prześladowania od W. księcia, a gdyby nie stosunki przyjacielskie z ks. Łowicką, która go wszelkimi sposobami zaślaniała, nie byłby się długo w urzędowaniu utrzymać potrafił. Miał do tego pomiędzy urzędnikami leśnego wydziału wielu nieprzyjaciół, dlatego, że nieugięcie czuwał nad ich nadużyciami, i ci najbardziej mu szkodzili.

Stanisław Plater w literaturze naszej wielkie zasługi położył wydaniem przed rokiem 1830 dwóch atlasów: historycznego Polski i atlasu bitew i oblężeń w Polsce; po roku 1830 wydał encyklopedyę polską, dzieło bardzo pożyteczne dla młodzieży; prócz tego pisywał w »Przyjacielu Ludu« i »Przeglądzie Poznańskim« i wiele innych literackich prac po sobie zostawił.

Wiele się on przyczyniał do uprzyjemnienia domu brata, rozmową dowcipną, a nawet pociesznem nieraz roztertaniem: byliśmy z sobą w bardzo przychylnych związkach.

Michał Plater najstarszy z nich, zwany »Zyberg«, od nazwiska żony, posiadał wielki majątek w okolicach Dynaburga i był ojcem licznej rodziny. Miał on wielkie upodobanie do nauk matematycznych i przyrodniczych. Obeznany był z sztuką inżynierską, cywilną i wojskową, i z tych względów zbliżył się do mnie i odwiedzał mnie w czasie moich prac domowych.

Państwo Brzostowscy także należeli do towarzystwa Platerów, z którymi zostawali w najbliższych przyjaźni stosunkach. Pan Brzostowski, 60-letni starzec, posiadał znaczne dobra Czarnożyły, w powiecie Wieluńskim. Był to obywatel godny, prawy, szanowany od wszystkich. Dom jego uważano jako wzór staropolskich cnót. Żona nie świetnością rodu, lecz chrześcijańskimi przymiotami, godne miejsce obok męża zajmowała, lecz stan jej zdrowia, nadwątłony peryodycznymi napadami czarnej melancholii, której powodu doktorzy odgadnąć nie potrafili, nie pozwalał jej brać ciągłego udziału w towarzystwie. Stan ten pogorszył się znacznie stratą zbyt wczesną dwóch, pełnych nadziei synów. Starszy Emanuel, kamerjunker dworu cesarskiego, sekretarz ambasady Turyńskiej, obdarzony znakomitym talentem do śpiewu, w paroksyzmie podobnej matce melancholii, odebrał sobie życie w Ollegio; drugi zaś Adam, najmłodszy, zakończył życie w Warszawie wskutek nerwowej febry, żałowany od wszystkich przyjaciół, do których ja się także liczyłem. Trzeci syn Hipolit ożenił się z księżniczką Ogińską. Starsza córka Izabella, osoba znakomita pięknnością i przymiotami serca, w roku 1833 oddała swą rękę hrabiemu Józefowi Mycielskiemu z Kobylopola, młodsza Ludwika, również znakomita, poświęciła się zupełnie matce i nie przestaje do dziś dnia czuwać nad jej nieszczęśliwym zdrowiem z najczulszą troskliwością, odrzuciwszy liczne partye, jakie jej się przedstawiały.

Państwo Brzostowscy posiadali dom w Warszawie i w peryodach wolnych od choroby matki przyjmowali wybór towarzystwa warszawskiego: ks. Adam Czartoryski, Zamoyscy,

Jabłonowscy, Niemcewicz, Platerowie i wiele innych znakomych osób uczęszczało do tego gościnnego domu. Lecz skoro pierwsze oznaki melancholii pani Brzostowskiej uczuć się dawały, dom zamykał się jak grób, albo też cała familia wyjeżdżała do Czarnożył na kilka miesięcy.

Dnia 30. lipca zamknęliśmy kursa nasze według przepisane go programu. Dnia 1. sierpnia udałem się do kopalń krajowych w okolice Kielc z młodzieżą naszą. Zwiedziwszy kolejną Małachów, Dąbrówkę, Wąchock, Starachowice, Michałowice, Parczewice, Mostki, Suchedniów, Samsonów, Miedzianą górę, Białogoń; opisując i rysując, co było godnem widzenia i użytek przynieść mogło uczniom. Wśród tych zatrudnień odebrałem w Kielcach list generała Hauke'go, zapraszający mnie w imieniu W. księcia na wielkie manewra skombinowanych korpusów, polskiego i litewskiego, do Brześcia Litewskiego. Dowód ten łaskawej pamięci W. księcia przyjąłem z wdzięcznością; oddawszy zatem komendę oddziału podpułkownikowi inżynierów Rossmanowi, powróciłem w końcu sierpnia do Warszawy, i wyprawiwszy wierzchowego konia przed sobą, puściłem się z Jerzym Sobolewskim, Flügel-adjutantem cesarskim, pocztą do Brześcia. Zastałem główną kwaterę w samym Brześciu. Korpus polski rozłożył się na lewym brzegu Bugu w obszernych kwaterach wokoło Terespoła; litewski na prawym brzegu tej rzeki, w okręgu dwóch mil wokoło Brześcia.

Zamknięcie kursów.

Brześć Litewski jest punktem strategicznym bardzo ważnym, o którym Maurycy Sachi w swoich ^{Ważność strategiczna Brześcia Litewskiego.} *Révériés* wspomina; leży przy ujściu Muchawca do Bugu, na prawym brzegu tej ostatniej rzeki. Skanalizowanie Muchawca i połączenie z Prypecią za pomocą Jasiędzy, a tem samym Wisły z Dnieprem, wielką mu nadają wagę pod względem wojskowym i handlowym. Tu się prócz tego schodzą główne drogi z części północnej Litwy: od Mińska, Wilna, Białegostoku, z drogami, które prowadzą od Wołynia na Kowel, i od Pińska na Kobryń. Przestrzeń od Brześcia do Pińska, gdzie się poczynają nie-

przebyte bagna, ciągnie się ku Dnieprowi, między którymi leniwym biegiem rozlewają się koryta rzeki Słuczy, Prypeci i wielu innych, a wynosi 15 do 16 mil. Od Pińska do Dniepru jest mil 45 i na tej przestrzeni jest tylko jedna przeprawa dla armii pod Mosyrem, i to nader trudna. Wszystkie więc linie operacyjne od północy ku południowi dążyć muszą do Brześcia, i dlatego też Brześć jest tak ważnym punktem, iż ominięty być nie może. Uczuli to Rosyanie przed rokiem 1830, punkt ten połowymi wzmocnili szaniami i nagromadzili w nim znaczne zapasy amunicji i żywności. Po uśmierzeniu powstania nietylko że założyli tu twierdzę drugiego rzędu, lecz i kanalizację Muchawca znacznie poprawili. Brześć należy teraz do systemu wojennego fortec, których pierwszy rząd stanowi Modlin ¹⁾, Warszawa, Demblin i Zamość, i w przyszłych wojnach z Zachodem przeznaczony jest zapewne do odegrania znakomitej roli. Brześć połączony jest z Terespołem, miasteczkiem książąt Czartoryskich, zapomocą dwóch mostów na Bugu i na odnodze tej rzeki i grobli. Muchawiec, na którym są trzy mosty, oblewa miasto dokoła. W widłach przy zbiegu dwóch rzek leżą ruiny zamku ze szczątkami okopów. Od północy na trasie Białostockim, wznoszą się łagodne wzgórza, o milę dalej zaczynają się lasy po obydwóch brzegach Lśny; zresztą kraj jest dość równy i tylko przeplatany laskami. Bug i Muchawiec w niegłębokim płyną korycie. Muchawiec teatr manewrów na dwie nierówne przedziela połowy. Brześć jest miasteczkiem drewnianem, z 6,000 mieszkańców, z których połowa Żydów. Znajduje się w nim kilka kościołów z klasztorami, między innymi po-Jezuicki. Wokół tak ważnego punktu zebrano tedy dwa korpusy: polski i litewski.

Korpus polski był pod dowództwem Stanisława Potockiego i Izzydora Krasieńskiego; korpusem litewskim dowodził generał D'Auvray. Rezerwę ogólną tych dwóch korpusów stanowiła

¹⁾ Modlin przemianowany później został Nowem Georgiewskiem — Demblin: Iwangorodem.

gwardya rosyjska i polska, stojąca w Warszawie, a zostająca pod rozkazami generała jazdy, hrabiego Krasińskiego.

Cała połączona ta siła składała się z 67 batalionów 72 szwadronów, 228 dział i 10 łoż raketniczych, czyli licząc batalion po 800 ludzi, szwadron po 180 koni, a na każde działo 12 ludzi — 53,000 piechoty, i 12,960 jazdy i 2.836 artylerji = 68,796 ludzi pod bronią.

Zebrane tu wojsko było w najpiękniejszym porządku, doskonale wyrobione, ludzie dobrani, konie w jeździe i artylerji nader piękne i maściami dobrane. Litewskie wojsko miało zielone mundury z żółtymi wyłogami lub wypustkami, polskie zaś mundury granatowe, żółte wyłogi lub wypustki. Na kaszkietach polskich błyszczał orzeł polski, na litewskich pogoń litewska. Sarkano z tego powodu w sztabie cesarskim, twierdząc, że cesarz chwałę wojska rosyjskiego poświęca Polakom, zamieniając kolory starych pułków rosyjskich na polskie. Ta ostatnia okoliczność była największej wagi, stąd bowiem zaczęto wnosić, iż niepłonnym zamiarem cesarza jest odłączyć prowincje litewskie od Rosji i przyłączyć takowe do Polski, nadawszy pierwszym tezsame przywileje i swobody. Jakąbądź myślą powodowany był cesarz by zebrać tak znaczne siły, czy to dla demonstrancyi od strony Turcyi, czy to dla dogodzenia bratu, który chciał przed cesarzem poszczycić się organizacją i wymusztrowaniem onegoż; wiadomość o tem zebraniu przyciągnęła wielu wojskowych sąsiednich mocarstw. Zjechali się na to widowisko: książę Wilhelm pruski ze sztabem, oficerowie austriaccy, angielscy i hanowerscy.

Rewia pod
Brześciem.

Stanąwszy w Brześciu, zameldowałem się nazajutrz W. księciu, który mnie tegoż samego dnia przedstawił cesarzowi. Zastałem N. Pana nieco cierpiącym z powodu róży w nodze, która troskliwość przybocznych lekarzy oddawna

wzniecała; Willie, pierwszy z nich, prognoskował najgorsze skutki, gdyby rana ta zamknąć się kiedyś miała. Dlatego też utrzymywał ją w stanie otwartym, nie starając się o zgojenie zewnętrznymi środkami.

Pomimo cierpienia cesarza, przegląd armii nastąpił w dniu pogodnym, na polach od Białego Stoku położonych na północ Brześcia, w najpiękniejszym szyku. Piechota uszykowana kolumnami w dwóch liniach, jazda zajmowała trzecią linię, artylerya stała na czwartej. Cesarz objechał z pogodnym czołem wszystkie linie, przyjęty okrzykami wojennymi hurra, poczem nastąpił przemarsz.

Mimowolnie niejednemu z nas nasuwała się myśl, czemu Rzeczpospolita Polska przed pierwszym podziałem nie mogła podobnej armii, przy rozległości nierównie większej, aniżeli dzisiejsza, wystawić? Nie byłiby sąsiedzi pomyśleli o rozdarciu naszego kraju, gdyby podobna armia była stała na przeszkodzie. W czasie defilady jazdy, szef szwadronu z korpusu litewskiego, zajeżdżając z boku cesarzowi dla salutowania jego osoby, otarł się o chorą nogę cesarza. Lecz N. Pan, pomimo tego, że był boleśnie dotknięty, zachował jednak wyraz spokojności na twarzy i prosił W. księcia, aby nie wyszukiwał oficera. Sam wytrwał do końca defilady.

W świetle cesarskiej ukazał się dnia tego znany z oryginalności swojej, hrabia Wacław Rzewuski, Wacław Rzewuski. przezwany Emirem, w stroju orientalnym, na pięknym koniu, czystej krwi arabskiej. Cesarz przyjął go łaskawie i zezwolił mu się popisywać sztukami arabskimi. Emir tego dnia nosił ubiór stylowy, różowo nakrapiany, z rodzajem kaftana lub westki na wierzchu, ciemniejszego koloru, bez rękawów, szarawary tureckie: miał włosy krótko obstrzyżone, brodę gęstą, rudą i czapeczkę na głowie. Wyraz twarzy był dowcipny, profil rzymski, najforemniejszy, oczy nader piękne, a pomimo znojów, doznanych w arabskiej puszczy i słońca skwarne go Wschodu, miał płeć wcale nieogorzałą. Liczył wówczas lat 40, lecz nikt nie byłby mu dał więcej

nad 35 lat. Wacław Rzewuski służył przed laty w wojsku austriackiem przy huzarach; odebrawszy za młodu wychowanie bardzo staranne, znajdował się pod Wagram i w wieku bardzo młodym ożenił się z księżniczką Rozalią Lubomirską. Z początku żyli oni w zgodzie i zdawali się szczęśliwi z siebie, lecz umysł wyniosły żony zaczął niedługo nad nim panowanie swoje wywierać. Dwie natury, tak przeciwne, tak oryginalne, nie mogły długo w pokoju pozostać. On gorącą imaginacją obdarzony, dążył do odznaczenia się w jakimkolwiek zawodzie; ona zaś zimna, obrachowana, z góry patrzyła na te dążności i dowcipnymi przycinkami okazywać zaczęła powątpiewanie o rozumie męża. W położeniu tak nieznośnem, popychany jakimś tajemniczym pociągami do Wschodu, zaczął się od żony usuwać i nareszcie rozpoczął szereg podróży — które pod względem naukowym nie były bez interesu i korzyści, i opisane zostały w dzienniku Hammera *Fundgruben des Orients*. W tych kilkoletnich podróżach, prawie cały postradał ojcowski majątek. Matka własna, bogata jeszcze, przestała o nim pamiętać, z drugiej strony żona jak o obłąkanym mówiła i oddała się sama wychowaniu dzieci, zastępując męża. Nie przyszło wprawdzie między nimi do rozwodu, lecz nigdy się już więcej nie połączyli aż do śmierci jego samego, która nastąpiła w czasie powstania 1831 r. z nieznaną ręką.

Rzewuski przepędził kilka lat na Wschodzie i tam koczując pomiędzy pokoleniami Buduinów, tak się w ich zwyczajach wecielił, iż łatwo go za jednego z nich wziąć było można. Mówił po arabsku doskonale i podpisywał się cyrografem, danym mu przez nich: *Jak-el-Schaher* Emir Arabów. Jedni go za waryata uważali, drudzy twierdzili, iż pod tą oryginalnością kryje się jakiś wielki zamiar dla sprawy polskiej. A przynajmniej dowiódł przystąpieniem do walki w r. 1831, i śmiercią, iż w tych zamiarach nie było nic niepodobnego i że serce zawsze było szczerze do kraju przywiązane. Kiedy w chwili stanowczej znalazł się na czele kilkuset Kozaków pod Dachowem w sze-

regach powstańców — ciekawy byłem poznać tego oryginała, o którym już miałem wyobrażenie z opowiadań żony, i spotkałem się z nim w Terespolu u restauratora. Zabraliśmy wkrótce z sobą znajomość, a po obiedzie zasiadł do fortepianu i zaśpiewał mi w sposób nader zajmujący kilka romansów francuskich i aryi włoskich, co przy ubiorze arabskim zabawny dość kontrast sprawiało.

W parę dni po przeglądzie, odbył się manewr wojenny, w którym wojsko rozdzielone zostało na dwa korpusy. Pierwszy A. rozłożony za rzeką Łsną, postępował dwoma traktatami od Białegostoku ku Brześciowi; drugi B. starał się bronić przeprawy przez Łsnę, nareszcie niezdoławszy zabronić tejże przeprawy, zajął pozycję o pół mili od Brześcia, lewem skrzydłem oparty o Bug, i przyjął tu bitwę. Lecz przeparty i oskrzydłony z tej strony, opuścił stanowisko i przeprowił się na gotowych pontonach przez Muchawiec powyżej Brześcia. Korpusem A. dowodził W. książę, korpusem B. generał D'Auvray.

Cały ten manewr rozciągał się na jednej mili szerokości i dwóch milach długości.

Pomimo to, że rola każdego oddziału *a priori* była wyuczona i instrukcjami przypadek każdy przewidziany, jednakowoż, wątpię, aby ten manewr korzystne mógł dać wyobrażenie oficerom zagranicznym o taktycznej zdatności naszego wojska. Dowódcy, przyuczeni manewrować na polach musztry najrówniejszych, wedle programu troskliwie pilnowanych, skoro się tylko znaleźli pomiędzy lasami, zaroślami, bagnami i wzgórzami, na nieznanych stanowiskach, potracili głowy.

Kolumny pokrzyżowały się i potraciły dystanse; linie się zachwiały, artylerya stanęła w dołach, dlatego, że jej tak w linii, której przestąpić nie śmiała, wypadło, i z dołu w górę strzelała. Jazda w miejscach grzęskich, skąd się wydobyć nie mogła stanowiska obierała. Tyralliery, ponieważ tak regulamin kazał, rozciągali się w prostych liniach, tak jak na placu Saskim, bez względu na przeszkody i fortele gruntu; zgoła

wszyscy, a osobliwie krytycy obcy, przekonać się mogli, że W. książę Konstanty był nietęgim dowódcą i jenerałem, a wojsko cackiem w jego ręku, raczej do parady, niżeli do wojny przeznaczonem.

Manewr zakończył się przeprawą korpusu B. przez Muchawiec i wyrzuceniem kilkudziesięciu rac kongrewskich na brzeg przeciwny, które w większej części padły na własny korpus i nie mało trwogi rozniosły w sztabie księcia pruskiego.

Nazajutrz pontonierzy polscy w przytomności cesarza rzucili dwa mosty na Bugu, poniżej Brześcia, z użyciem pływaków: jeden na cylindrowych pontonach angielskich, niedawno u nas zaprowadzonych, drugi na rosyjskich ceratowych pontonach. Obydwa mosty w nader krótkim czasie i jaknajzręczniejsz rzucone zostały; wojsko i artylerya przeszły po nich wobec N. Pana, który zadowolenie swoje pontonierom oświadczyć raczył. N. Pan dnia następnego, pożegnawszy brata, odjechał do południowych prowincyi państwa; wojsko wypocząwszy, ruszyło w pochód do swoich kwater.

Co do mnie, ułożywszy się z Jerzym Sobolewskim, powróciłem z nim razem do Warszawy, gdzie odpocząłem sobie cokolwiek po tej wycieczce.

Tymczasem uczniowie odbywszy podróż naukową, stanęli w Warszawie w końcu sierpnia i owoc prac swoich złożyli. Niedługo potem nastąpiły egzamina roczne i wskutek tychże zwyczajne promocye ¹⁾.

¹⁾ Wystąpili tym razem ze szkoły: Ludwik Kotłowski do batalionu saperów; Szymon Krawczykiewicz do artyleryi pieszej; Romer do kwatermistrzostwa jeneralnego; Konstanty Kamiński i Julian Piędzicki do korpusu inżynierów; Jan Jełowicki i Damazy Borzęcki do artyleryi pieszej.

W ich miejsce wstąpili następujący uczniowie: Feliks Dembiński, krewny jenerała Bontemps; książę Karol Maurocordato, Grek rodem; Ludwik Bagniewski, Hieronim Jaroszewski, Maciej Strzemeszny, Paweł Rylski, Jan Świerczewski i Aleksander Stryjeński ze szkoły kaliskiej; książęta Władysław i Borys Czetwertyńscy, na rozkaz W. księcia; Julian Malczewski, przez jakąś uboczną protekcję na rozkaz W. księcia.

Liczba zapisanych na ten rok uczniów wynosiła 25. Z tej liczby tylko 6 kaliskich posiadało potrzebną kwalifikację. Malczewski później dostateczną rozwinął zdatność. Lecz Dembiński, ksiązę Maurocordato i dwaj ksiązęta Czetwertyńscy stali się tylko przeszkodą i zawadą dla innych. Dembiński był zupełnie ograniczonym. Maurocordato, syn Greka Tanarioty z Konstantynopola, który przed rzezią konstantynopolską uciekł pod protekcję rosyjską, tylko po grecku i nieco po francusku mówił; zresztą zaledwie znał elementarne rachunki. Jakieżże pracy i usilności z jego strony i ze strony profesorów potrzeba było, aby go do tego stopnia doprowadzić, iżby z korzyścią uczęszczać mógł na pierwszoletnie kursa. Czetwertyńscy zaś, byli to zepsuci panicze, którzy nigdy z oka matki nie wyszli i najmniejszej nie posiadali zdatności, osobliwie Borys, który przez cztery lata pobytu w szkole nie przestał należeć do najgorszych i najniesformiejszych uczniów naszego instytutu.

Z takimi to słabymi pierwiastkami musieliśmy rozpocząć kursa nasze. Ja z mojej strony z rozpaczą patrzyłem na takie skrzywienie instytucyi, zabierające miejsca zdatniejszym, a otwierające takowe zepsutym paniczom, nieukom i przybyszom.

Resztę tej zimy przepędziłem na pracach szkolnych, nie udzielając się towarzystwu. W miesiącu lutym roku 1824 brat Adam, chcąc mnie rozerwać, pewnego razu zaproponował wizytę u pani Kościelskiej, osoby, którą w Berlinie temu lat kilka poznał i która wiele uprzejmości dla niego dawniej okazywała. Dałem się namówić i wizytę oddałem. Mieszkała w hotelu Wileńskim na Tłomackiem. Pani Kościelska zdawała mi się osobą przyjemną, ślady wielkiej piękności zachowującą, lecz tylko światowo wykształconą. Ton jej ujmujący, nie dość poważny na osobę 40-letnią i matkę ośmiorga dzieci, wpraszaający się odrazu w zaufanie, zdradzał elegantkę warszawską z początku naszego stulecia. Wyznaję, że mi się nie po-

Rok szkolny
1823—24.

Pani Kościel-
ska.

dołała w salonie. Oświadczyłem wdzięczność za doznane w jej domu przez brata Adama względy i rozmowę o potocznych przedmiotach prowadziłem. Pani Kościelska nie była sama; miała przy sobie starszą córkę, Michalinę, 17-letnią pannę, interesującej powierzchowności i łagodnego, przyjemnego wejrzenia. Zdawała mi się przystojną, lecz cokolwiek cierpiącą i bladą. Nie miałem tego dnia sposobności usłyszeć jej głosu; lecz przez brata dowiedziałem się: że jest bardzo wykształconą. Znalazłem u pani Kościelskiej panią pułkownikową Dziekońską, siostrzenicę księżnej Zajączkowej, która mnie zaraz opanowała i nie przestała rozmawiać ze mną i anegdoty warszawskie rozbierać. Pierwszą tę wizytę w kilka dni powtórzyłem, dla pożegnania pani Kościelskiej, krótko na teraz bawiącej w Warszawie. Zastałem u niej pana Antoniego Ponińskiego, syna byłego prefekta poznańskiego, zajętego rozmową z panną Michaliną. Po krótkiej bytności, pożegnałem panią Kościelską, nie spodziewając się bynajmniej, aby tak nawiasowa wizyta mogła mieć tak wielki wpływ na moją przyszłość.

W czerwcu tego roku odebrałem rozkaz udania się do Kalisza, dla odbycia egzaminu uczniów klasy VI. tamtejszej szkoły kadetów i wybrania najzdadniejszych do szkoły aplikacyjnej. Zniósłszy się z komendantem szkoły, pułkownikiem Mycielskim, i z dyrektorem nauk, pułkownikiem Regulskim, przystąpiłem do szczegółowego egzaminu uczniów w matematyce, w historii i w jeografii, w fizyce elementarnej, w fortyfikacji polowej, w językach polskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i w rysunkach. Znalazłem liczbę uczniów potrzebną nam do zastąpienia ubytku i tych usposobienie przeszło moje oczekiwanie. Oddać winienem z tego powodu sprawiedliwości hołd staraniom profesorów, między którymi wspomnę tu najcelniejszych: Zdankowskiego, kapitana sztabu kwatermistrzowstwa jeneralnego, profesora fortyfikacji; Szczepkowskiego, porucznika i profesora artylerji; Frankowskiego, profesora matematyki, fizyki

Egzamina
w Kaliszu.

i chemii początkowej i Wierniewicza, profesora matematyki elementarnej. Zresztą wzorowy porządek panował we wszystkich klasach, w salach sypialnych, w refektarzu i w lazarecie. Liczba uczniów przechodziła 300; wszyscy niemal byli synami zaśluzonych oficerów lub urzędników; uformowani byli w batalionik doskonale wymustrowany i służbę praktyczną kanonierów znający. Żałować tylko musiałem, iż antagonizm między schorzałym komendantem a dyrektorem nauk, do wielu starć dawał ciągle powód, przezco zbywało na harmonii — potrzebnej w takim instytucie.

Mając pozwolenie od W. księcia i paszport zagranicę korzystałem z bliskości Pakosławia, ażeby odwiedzić rodziców, zamieszkałych tak długo u córki Krzyżanowskiej, dopóki by się stan interesów ich nie wyjaśnił. W czasie krótkiego pobytu u nich zaproszony byłem na obiad przez generała Umińskiego, mieszkającego w Smolniach o półtorej mili od Pakosławia i dzień swobodny przepędziłem w jego ładnym wiejskim pomieszkaniu, które sam z córką po śmierci żony zajmował. Zostałem u niego starego wachmistrza 10 pułku ułanów, Jezierskiego, który mnie, jako towarzysza z kampanii 1813, radośnie powitał. Przypomnieliśmy sobie z generałem wojenne czasy nasze, politycznych terazniejszych stosunków wcale nie dotykając.

Wstrzeźliwość ta z mojej strony na dobre mi wyszła, rok bowiem 1826 okazał wkrótce, jak dalece Umiński wtajemniczony był w konspirację Pestla i Murawiewa. W zwyyczajnym czasie to jest 1 lipca zamknęliśmy kursa nasze i tym razem pojechaliśmy do Zamościa, na Puławy, Lublin, Krasnystaw, gdzie zastaliśmy czekających na nasze przybycie 12 kadetów rosyjskich I korpusu petersburskiego, pod podpułkownikiem Königem.

Zatrudniłem uczniów przez cały miesiąc zdej-
mowaniem i niwelowaniem planu twierdzy i szcze-
gółowymi pomiarami dzieł, kazamat i t. d.
a w końcu przystąpiłem do robót praktycznych

Doświadczenia
muniarskie
w Zamościu.

z pomocą robotników miejscowych. Założyłem w przeciwskarpie opuszczonej flaszki ganek główny, na kilkanaście sążni wprost idący i z niego wyprowadziłem dwie poboczne gałęzie pod 60°; w końcu każdej gałęzi i obok ganku głównego pod linią oporową 12 stóp, zasadziłem piece, 100 funtami prochu nabite. Dokonawszy zatarasowania i urządziwszy zapalnicze kieszki, sposobem Boula, w pierwszym i drugim piecu, a w trzecim zastosowawszy środek chemiczny, podany nam przez podpułkownika Königa, przystąpiłem do wysadzenia pieców w obecności uczniów, oficerów garnizonu oraz generałów Hauke'go i Maleckiego.

Podany nam przez podpułkownika Königa środek, którego sekret ukryć przed nami usiłował, na następującym zależała mechanizmie. W środku samym naboju utwierdzała się flaszeczka, opatrzona kapilarną, szczególnie zatarasowaną rurką, do tej rurki wpuszczony był kwas siarczany, flaszka zaś sama napełniona była mieszaniną chloranu potażu z kwiatem siarczanym i dokładnie korkiem się zamykała. Przez flaszkę przechodził sznurek mocny lecz cienki; ten wychodził ze skrzyni nabojowej i przebiegał załamki ganków zapomocą rynienki drewnianej i zwyczajnych krążków. Dla przeszkodzenia, ażeby wilgoć nie dostała się do prochu, musiano skrzynię a osobiwie otwór, którydy sznur z niej wychodził, zasmarować pakiem. Skoro sznurem szarpnięto, flaszka przełamana być musiała; następowało zetknięcie chloranu potażu z kwasem siarczanym, wskutku tego ogień i mina niezawodnie wybuchała. Lecz wróćmy do naszych doświadczeń: Wysadzono naprzód piec Nr. 1, którego skutek zupełnie odpowiedział teorii. Następnie przystąpiono do zapalenia Nr. 3 zapomocą flaszki chemicznej podpułkownika Königa; ten także jaknajpomyślniej wyleciał w powietrze, sprawiwszy równą pierwszej kotlinę, na 24 stóp średnicy. Dałem nareszcie znak do pociągnięcia sznurka, podającego ogień do pieca Nr. 2, lecz minęło kilka chwil, minął kwadrans i zaczęto się niecierpliwie. Nie wiedząc, jakiej przyczynie winę przypisać,

zabrałem się z kanonierem do rozmierzenia kotliny. Wtem nagle dał się słyszeć głuchy, podziemny odgłos, poczem wyleciał w powietrze piec Nr. 2. Widzowie okryci zostali dymem i ziemią, kanonier z brzegu kotliny Nr. 3 przerzucony został na brzeg przeciwny bez szwanku, ja sam zostałem nietknięty, lecz powstał nie do opisanego popłoch ogólny, w którym niejedyn postradał kapelusze albo furażerkę.

Jakiż był powód tak nagłego wybuchu ostatniej miny? Oto sznurek, pociągający za sobą szufladkę ze skrzynki zapalniczej Boula, zatrzymał się na bocznej łacie, pomiędzy ramą, i nie był od pierwszego razu należycie pociągnięty. Po długim oczekiwaniu, jeden z robotników zajrzał do ganku i powążył się chwycić za sznurek, szarpnął nim mocno i minę wysadził. Mogliśmy wszyscy paść ofiarą jego nierozwagi. Drugi przypadek dnia tegosamego, o mało co gorszych nie sprowadził skutków. Po ostatnim wybuchu dym gęsty zappełnił ganki; robotnik jeden nie zważając na rozkaz, wszedł do ganku i doszedłszy do bocznej gałęzi Nr. 1 padł zemdlony od gazu węglowego: zanim poszedł drugi, ażeby wydobyć kolegę i ten padł również obok pierwszego: nareszcie kapitan artylerji Paszkowski za obydwojma rzucił się; ten również gazem zaduszony padł bez przytomności. Przybiegłem na tę scenę i stosownie przedsięwziąłem środki; kazałem zaraz polewać ganki wodą wapienną, przygotowaną na wszelkie przypadki. Wapno pochłonęło gaz węglowy i wkrótce mogliśmy bez żadnego niebezpieczeństwa wydobyć naszego oficera i dwóch robotników. Dotrzwiono się ich przecieź po niejakiem czasie, lecz nie bez trudności. Odpłacili swą nieostrożność kilkodniową słabością, mdłościami i zawrotem głowy. Stąd okazuje się, jak należy być ostrożnym w doświadczeniach tego rodzaju.

Uczony major austriackich minierów, Jerzy Hauser, znakomity autor wyborowego dzieła o minach, podobnym sposobem zakończył życie w czasie doświadczeń pod Wiedniem.

Nareszcie Zamość opuściliśmy i na Lublin, Puławy powróciłem do Warszawy; w Puławach oddano mi list od pani Rozalii Rzewuskiej, polecający mi dwóch starszych synów, Stanisława i Leona, powracających z Paryża pod opieką godnego ich guwernera, byłego kapitana artylerji austryackiej, Hübnera, człowieka równie światłego, jak doświadczonego.

Pani Rozalia Rzewuska przez wpływy u księżnej Łowickiej i dawną znajomość z W. księciem, miała nadzieję umieszczenia synów w szkole aplikacyjnej; lecz na to trzeba było poddać się egzaminowi. Odpowiedziałem pani Rzewuskiej, dołączając program i szczegóły potrzebne do jej wiadomości. W skutku tego synowie około 20 września 1824 przedstawili mi się z listem wierzynym matki. Poznałem przy tej sposobności kapitana Hübnera.

Kursa rozpoczęte jeszcze nie były, ponieważ uczniów po powrocie z Zamościa rozpuszczono na urlopy ^{Rok szkolny.} 1824—25.¹⁾

¹⁾ W tym roku po złożeniu egzaminu, następujący uczniowie otrzymali promocje na oficerów: Antoni Frölich do artylerji konnej gwardji; Stanisław Radkiewicz i Ludwik Hoffmann do kwatremistrzostwa jeneralnego; Stefan Snida, Bogumił Zelewski i Fryderyk Wielhorski do korpusu inżynierów; Feliks Rzewuski i August Aksamitowski do artylerji konnej.

W ich miejsce wstąpili do oddziału pierwszego: hr. Tomasz Potocki z liceum warszawskiego, za wstawieniem się rodziców u W. księcia; Konstanty Nynkowski, Aleksander Paszkowski, Franciszek Leduchowski, Konrad Burchard, Bazyl Kleczeński, Adolf Gierszow i Feliks Szmidecki z korpusu kadetów; Kajetan Wolski z liceum warszawskiego, szwagier generała Krukowieckiego; Ludwik Tonnes z korpusu kadetów; Borys książę Czetwertyński, nie otrzymawszy promocji, pozostał w pierwszym oddziale.

Panowie Rzewuscy po złożeniu świetnego egzaminu przed księdzem Skolimowskim, podpułkownikiem Koriotem, w przytomności mojej i pułkownika Sowińskiego, okazali się usposobieni: starszy Stanisław do drugiego oddziału, młodszy Leon zaś do pierwszego oddziału.

Tym sposobem liczba uczniów wynosiła w I. oddziale 12, w II. oddziale 11, w III. oddziale 6 — ogółem 29 uczniów.

Z nowo-przybyłych odznaczał się Stanisław Rzewuski nadzwyczajną zdolnością i usposobieniem ogólnem we wszystkich gałęziach nauk ścisłych i przyrodzonych, niemniej w literaturze starożytnej i nowszej. Posiadał języki: grecki, łaciński, angielski, niemiecki, francuski i polski; posunięty był w przedmiotach programem naszym objętych wyżej, aniżeli tego wymagał program oddziału pierwszego; miał nawet bardzo dobre początki fortyfikacyi, artyleryi, architektury i mechaniki; zgoła był to człowiek, acz młody (liczył wówczas dopiero 20 lat), lecz prawie zupełnie skończony. Posiadał przytem rozwagę, roztropność nad wiek i nadzwyczajną pamięć, a każda nowa prawda w umyśle świeżym i przygotowanym do wszelkich naukowych badań, klasyfikowała się porządnie i z nadzwyczajną łatwością. Tam nic straconego nie było. Cała Korona i Litwa nie posiadała równie zdolnego i obiecującego młodzieńca.

Stanisław
Rzewuski.

Tomasz Potocki nie równał się wprawdzie ze Stanisławem Rzewuskim co do ogólnego usposobienia; przecież miał wielką zdatność, umysł zdrowy i pojętny, pamięć bystrą, pracowitość niez mordowaną. Pobyt jego trzyletni w szkole rozwinął te przymioty i uformował Potockiego na doskonałego oficera artyleryi. Obydwaj prócz zdatności odznaczyli się przed innymi wykształceniem towarzyskim i przymiotami serca.

Tomasz
Potocki.

W ciągu roku 1824 bywałem częściej w Belwederze, w dniach wolniejszych od służby, mianowicie w czwartek albo w sobotę wieczorem. Przeszło to powoli w zwyczaj, tak dalece, iż W. książę, kiedy w dniu takim nie przyszedłem, pytał się o mnie, a nawet często nazajutrz po mnie posyłał. Towarzystwo wieczorne belwederskie składało się tylko z W. księcia, księżnej Łowickiej, adjutanta służbowego, młodego Pawła Aleksandrów, gubernera pana Jawickiego, bardzo zacnego i uczonego Rosyanina, albo też z hrabiego Moriollu, emigranta francuskiego, pełniącego obowiązki nadgubernera. Wieczór zaczynał się zwyczajnie

Wieczory bel-
wederskie.

o szóstej; niejaki czas przepędzałem samnasam z księżną Łowicką. W. książę w surducie mundurowym, niedopiętym na jeden guzik (był to znak, że nie jest w służbie, a wtedy etykieta ustawała) schodził z górnych pokoi i przywitawszy mnie rozpoczął rozmowę, którą sam niemal cały czas prowadził, bawiąc nas rozmaitemi anegdotami dworu petersburskiego i innych dworów; czasem polityką zajęty rozbierał po swojemu obecne kwestye, gromił dziennikarzy, rozbierał ich artykuły, chwalił lub ganił; o nowe dzieła wojskowe pytał się, nieraz mi które darował; czasem mnie lub też adjutantowi kazał interesujące wyimki przeczytać. Jeżeli musztra albo parada nakazaną była na dzień jutrzejszy, niespokojny względem pogody, co chwila posyłał kamerdynera dla zobaczenia, jaki stan barometru, albo co robią w słoiku zielone żabki, czy w górę idą, czy na dół? Podawano nareszcie wyborną herbatę, którą księżna Łowicka sama wszystkim nalewała. O godzinie dziewiątej Pawełek wychodził z gubernierem, a o dziesiątej W. książę sam się podnosił i dobranoc wszystkim życzywszy, wychodził. Nie zawsze jednak sami byliśmy; bo czasem o godzinie szóstej wieczorem przybywały osoby towarzystwa warszawskiego z wizytą do księżnej Łowickiej: minister Stanisław Grabowski, pani Zamoyska, pani Sobolewska, księżna Teresa Jabłonowska i wiele innych. Niektóre, bardziej lubione przez W. księcia, zatrzymywano na wieczór, drugie przed jego przybyciem podnosiły się. Pamiętam panią Mokronowską w wilię Nowego Roku, wróżącą W. księciu przyszłość ze świeczek, pływających po naczyniu wodą napełnionem, co powód dało do wielu żartów i śmiechów ze strony W. księcia. Pani Mokronowska, do Sybilli podobna, z wielką uwagą wpatrywała się w taniec zapalonych świeczek i wyroki swoje seryo wydała.

Wspomnę tu także o senatorze Ilińskim, którego W. książę za przyjaciela domowego uważał. ^{Senator Iliński.} Pan Iliński, bogaty magnat wołyński, przebywał u dworu cesarzowej Katarzyny kilka lat przed jej śmiercią. Piękną powierz-

chownością, obok innych towarzyskich zalet, zwrócił na siebie uwagę W. księcia Pawła, do którego się też później przywiązał. On pierwszy, gdy cesarzowa padła, apopleksyą tknięta, doniósł Pawłowi o niebezpieczeństwie matki. Paweł przybiegł z Gatezyny, przytomny był śmierci cesarzowej i objął koronę. Od tego czasu Iliński nie przestał doznawać wielkich łask cesarza Pawła I, i uważany był przez niego za przyjaciela najszczerzego. Jego to wstawieniu się winni Kościuszko i jego współtowarzysze broni po części swą wolność. Ten czyn największy zaszczyt mu przyniósł w oczach rodaków; nie przestał jednak na tem, lecz korzystając z łaski Pawła, niejednego nieszczęśliwego obronił od skutków gniewu tego monarchy.

Po śmierci Pawła, przejęty żalem, udał się z Petersburga do dóbr swoich Romanowa, gdzie życie wystawne magnata prowadził. Miał dwór swój udzielny, teatr, orkiestrę i balet złożony z poddanych, którzy prócz sceny zwykle boso chodzili. Zresztą był pełen dumy i próżności. Cesarz Aleksander i W. księżę Konstanty, pomni na przyjaźń ojca, względy okazywane mu przez Pawła I. przelali na niego. Został senatorem i kawalerem wielu orderów rosyjskich. Gdy go poznałem, powracał z Rzymu i księżnej Łowickiej przywiózł wiele upominków z Lorettu i z Rzymu z błogosławieństwem szczególnem Ojca Świętego. Rozmowa obracała się tylko około religijnych przedmiotów, w czasie której uważałem, iż W. księżę z wielką uwagą i z rodzajem uszanowania przysłuchiwał się. Później widziałem senatora Ilińskiego, klęczącego w czasie Mszy u Kapucynów, na wezwaniu aksamitnem, złotymi galonami obszytem, z głową wypudrowaną, okrytego rosyjskimi gwiazdami. Za nim o kilka kroków, żona równie klęcząca, lecz skromnie, na skórzanej poduszce. Dalej jeszcze osoby dworu jego, a nareszcie obszarpana liberya. Tak dumnie Iliński rozmawiał z Bogiem!

Jeden tylko raz byłem na obiedzie w Belwederze i raz jeden na teatrze francuskim z W. księciem. Zresztą Jego Cesarska Mość unikał tego wszystkiego, co tylko mieć mogło

pozór jakiejś protekcji dla mnie, i z tego względu winienem mu wdzięczność. Awans lub dystynkcyę, jakie spotykały mnie z kolei, były tylko zasłużoną nagrodą, a nie wynikiem protekcji lub bliższego pokrewieństwa z księżną Łowicką. W. książę obchodził się zresztą zemną łaskawie i grzecznie i nigdy nie pozwalał sobie tej poufałości, którą inni uważali za dowód osobliwej łaski, niepomni, że po tych oznakach poufałości, burza była gotową. Na takie nawalności nie byłem też nigdy wystawionym, sam z granic uszanowania nie wyszedłem, ale też zbytecznych oznak łaski nigdy nie doznałem, przeczo w oczach własnych, a może wielu innych osób, na szacunku pewnie nie straciłem.

Ażeby dać wyobrażenie o moich stosunkach z księżną Łowicką i z W. księciem, opowiem tu anegdotę z lata 1824 roku. Jednego wieczora zajęty będąc rozmową z W. księciem, zwróciłem uwagę na kartę drukowaną, leżącą na stole, z podpisem księdza i księcia Hohenlohe, młodego, sławnego w owym czasie katolickiego pietysty, którego modlitwy uważały dewotki za uzdrawiające cudownie.

Ta karta wyrażała się w ten sposób: »Książd Hohenlohe dnia tego a tego odbędzie nabożeństwo na intencyę zdrowia osoby N. N.«

Jeszcze w tym czasie byłem nieco sceptykiem na podobne cuda i niebacznie wymówiłem: »ta karta podobna do afiszu teatralnego«. Na te słowa księżna Łowicka obruszyła się żywo i odezwała: »oddawna postrzegam, iż należysz do liczby filozofów nowoczesnych, wysmiewających, co tylko najświętszego; twoja religia jeszcze na bardzo słabych zasadach ugruntowana, kiedy podobnych sobie pozwalasz uwag« i t. d. i t. d. Broniłem się z początku, ile mogłem najgrzeczniej, i pokornie odważyłem się stwierdzić: iż moja religia nie jest mniej gorliwą od tylu innych dobrych katolików, że tu jednak uważałem nadużycie ducha pobożności, mogące wystawić religię na szyderstwo; iż znajduję zbyt wielką pychę w młodym księdzu, który sobie przypisuje cudowną władzę modłów

nad zdrowiem ludzkim, zależnem tylko od Boga. Nie pomogło mi to wiele; coraz mocniejsze na mnie padały gromy; lękając się nareszcie sceny przykrzejszej, umilkłem i spokojnie resztę burzy wytrzymałem. Nareszcie księżna Łowicka w zapale swoim ostygła i herbatę nam podała. Przyjąłem filiżankę, jak ojcowie nasi tęczę przymierza, i przez dalszy ciąg tego wieczora pozostałem spokojny, lecz smutny. Przy pożegnaniu dopiero W. ksiązę, który się nie mieszał do dyskusyi i z boku na nas z uśmiechem spoglądał, powiedział księżnie: »Żansiu, nie chcę, aby słońce zaszło nad waszym gniewem, pogódźcie mi się zaraz«. Na te słowa księżna Łowicka uśmiechnęła się i rękę mi podała. Ucałowałem ją i pożegnałem obojga.

W parę dni po tem zdarzeniu, księżna Łowicka zaprosiła mnie do siebie; zastałem u niej panią Zamoyską i dwie inne damy; wzięła mnie zaraz na bok i powiedziała mi »nie uwierzysz Klemensiu, ileś mi zmartwienia twoją uwagą narobił. Staralam się oddawna pogodzić męża z opiniami naszymi religijnymi i pracowałam nad tem usilnie. W. ksiązę już był na najlepszej drodze, lecz ty jednym słowem wszystko zepsułeś; ileż to znów starań trzeba będzie, aby powrócił na zbawienną drogę?« Zmiękczony tem zaufaniem, przyznałem się do winy, obiecałem poprawę, a nawet wspierać przyrzekłem tak chwalebne zamiary i rozstałem się z księżną w najlepszej zgodzie.

Nie chcę tu pominąć sposobności opisania dworu belweder-
skiego i jego zwyczajów. Szefem sztabu W. księcia
był generał-lejtenant Kuruta, Grek rodem, wycho-
wany razem z W. księciem w czasie, gdy cesarzowa
Katarzyna w olbrzymich zamiarach swoich marzyła
o zdobyciu Stambułu, o wypędzeniu Turków z Europy i utwier-
dzeniu korony Konstantyna Wielkiego na skroniach imiennika
i wnuka ulubionego. Kuruta był to człowiek wzrostu niskiego,
nieco otyły, śniady na twarzy, z oczami pełnymi wyrazu; liczył
wtedy około 50 lat; chód jego chwiejny zdradzał człowieka,

Dwór belweder-
ski. — Generał
Kuruta.

przyuczonego stapać po okrętowym pokładzie, jakoż w młodych latach służył w marynarce. Wychowanie jego było dość staranne; posiadał on nauki potrzebne kapitanowi okrętowemu i oprócz tego doskonale znał służbę frontową każdej broni, w szczególności służbę podoficera! Od młodości wychowany z W. księciem i wierny towarzysz w kampaniach, znał jego wszystkie słabe strony jaknajdokładniej; nikt lepiej i cierpliwiej od niego nie umiał znosić wybuchów gniewu księcia. Powiernik od lat wielu, on jeden potrafił złagodzić, ukoić, skargi osób obrażonych przez W. księcia, które się z żalami swymi do niego udawały. Sam zawsze spokojny, niezbadany, przyjmował wszystkie skargi, nie dając nikomu zgadnąć, co się w jego sercu działo. Kiedy mógł w upatrzonyj chwili przemówić za kim bez narażenia się własnego, uczynił to niezawodnie. Nieraz sam sfukany przez pana, nie skarżył się nigdy, lecz zwykł pocieszać drugich temi słowy: »kochany panie! kiedy W. książę jest zagniewany, mówi mi czasem: Kuruta jesteś wołem — ale ja się tem nie wzruszam, ponieważ wszyscy wiedzą, że nie jestem wołem, lecz ekscelencją jenerałem Kurutą — szefem sztabu jego cesarskiej mości, W. księcia cesarzewicza«. Posłuszeństwo dla W. księcia tak daleko posuwał, że gdyby mu W. książę rozkazał najokrutniej się z kim obejść, byłby to niezawodnie wykonał.

Jenerał Kuruta był bardzo zresztą dobroczynnym i znany był ubogim warszawskim, dla których znaczne czynił ofiary.

Lubił przytem grać namiętnie i większą część dochodów znacznych przegrywał do jenerałów rosyjskich, a mianowicie do jenerała Albrechta. W. książę znał tę słabość i nieraz ostro go o nią strofował. Jenerał Kuruta w pawilonie lewym belwederskim zajmował dwa pokoiki, przeforsztowane u góry, na podobieństwo kajuty okrętowej. Schodki wąskie prowadziły na górne piętro i tam ulokował swego serdecznego przyjaciela, też Greka, kapitana okrętowego, który się podobno dawniej pod Miaulisem bawił rozbójnictwem morskiem i przed kindzałami tureckimi głowę swą ochronić potrafił.

Z tym Grekiem po bratersku wszystkim się dzielił; wiele także czynił dla innych wychodźców greckich i sympatyę zachował zawsze dla ich sprawy. Z W. księciem mówił zwyczajnie po grecku.

Jenerał Kuruta o godzinie 3 zrana, zimą czy latem, odbierał raporta swojej policyi i posyłki rozmaitych pułków garnizonu warszawskiego; o 5 już był u W. księcia. Zawsze czujny, przytomny, czynny, był on istotnie prawą ręką W. księcia i konduktorem pierwszych piorunów, które pan jego hojną ręką od samego rana gotów był ciskać.

Drugi po nim był jenerał Gendre, człowiek z gruntu zepsuty, podły, rozrzutny, do którego W. książę, pomimo jego niegodziwości, miał oddawna niesłychaną słabość. Jenerał Gendre nie miał stałego urzędu, lecz był tylko *à la suite*, czyli *en disponibilité* i używany był do najohydniejszych czynności, wymagających wytartego czoła lub zakamieniałego serca. Uchodził za donosiciela i pogardzany przez Rosyan, równie jak Polaków. Był to typ zepsutego z gruntu człowieka.

Trzeci z kolei, jenerał Jenzów, Anglik rodem, lecz z familli dawno w Rosyi wojskowo służącej, towarzyszył W. księciu, jako przyboczny adjutant, w kampaniach roku 1812, 1813 i 1814. Pozory miał najprzyjemniejsze, twarz otwartą i ujmującą, a jednak był to jeden z najniebezpieczniejszych domowników W. księcia. Do jego wydziału należała bowiem tajna policya przyboczna, których tyle gatunków było w Warszawie: Roźnieckiego, Lubowidzkiego, pułkownika Sassa, a nareszcie policya uliczna fryzyera Makrota. Lecz o tych policyach później nie zapomnę mówić. Poznałem Jenzowa roku 1815 w domu Brońców. Podobno, że był powiernikiem pierwszych uczuć W. księcia i dlatego też lubiany był przez księżnę Łowicką.

Jenerał hrabia Nesselrode i jenerał Dziaków, *à la suite* W. księcia, dawniejsi jego adjutanci, do przybocznych posług używani byli. Uważano obydwóch za ludzi nieposzlakowanego charakteru, dobrego wychowania, wolnych od każdej podłości i w obcowaniu pewnych.

Pierwszy z nich, krewny ministra spraw zagranicznych, przez położenie swoje, niezawisłością był od drugiego, a uchodził za bardzo światłego, wykształconego i dowcipnego lecz dziwnego człowieka; lubił grę namiętnie, jak wszyscy Rosyanie. Ożenił się z Polką, panną Górską, z Litwy, siostrą jenerałowej Leduchowskiej i współuczennicą panien Grudzińskich i siostry mojej Alberci, na pensyi u panny Vaucher; żył z nią krótko. Dziwactwa niesłychane z obydwóch stron, rozehwiały wkrótce tak niedobrane stadło. Córką ich była sławna z piękności i rozumu pani Kalergi, 2^o voto Muchanow.

Jenerał Dziaków przyjemny, towarzyski, bywał w domach polskich z żoną, nader powabną Rosyanką. Obydwaj jenerałowie posiadali znakomity talent do muzyki. Nesselrode wybornie grał na fortepianie, Dziaków przyjemnie śpiewał francuskie romanse i dumki rosyjskie.

Pan Mohrenheim, radca stanu tajny, stał na czele przybocznej kancelaryi W. księcia i w roku 1815 przybył z nim do Warszawy. Był to człowiek wykształcony, wykwinnie grzeczny, lecz w towarzystwie pełen przesad, aż do śmieszności. Dziwne o nim krążyły wieści i o powodach łaski i zaufania, jakich doznawał od W. księcia. Opowiadano sobie do ucha, iż W. książę w szale młodości wykradł jego siostrę, która z rozpaczy potem umarła. Chcąc, w mniemaniu swoim, wynagrodzić familii tak wielką krzywdę, brata jej, terażniejszego radcę, przywiązał do swojej osoby i łaskami później obsypał. Jeżeli to jest prawdą, nie wiedzieć kogo bardziej obwiniać: czy W. księcia czy Mohrenheima?! Pan Mohrenheim bywał w najpierwszych domach warszawskich i poślubił wkrótce pannę Mostowską, córkę ministra. W czasie rewolucyi warszawskiej roku 1830, widziałem pana Mohrenheima z kokardą białą na kapeluszu na ulicy w towarzystwie żony. Był to początek pierwszy obłąkania zmysłów, które go w Wiedniu roku 1831 opanowało i wskutku tego tam życie zakończył.

Księżę Jan Gallicyn, znany w Belwederze pod nazwiskiem *Jean de Paris*, był to typ zepsutego rosyjskiego pana, który kilka fortun straciwszy, skończył na roli kamerjunkra dworu, a rzeczywiście błazna belwederskiego. Jego wydziałem były plotki teatralne, które wiernie W. księciu donosił i pana zabawiał.

Adjutanci
rosyjscy.

Adjutantami W. księcia byli panowie: Kiel, Bezobrazow, Gresser starszy i Olive de Cubièren. Pułkownik Kiel, Inflantczyk, był to sobie wesoły, przyjemny towarzysz, którego szczególnie lubiono w męskich kółkach dla jowialności przyrodzonej i wielkiego talentu do karykatur, w których prawdziwie celował.

Kapitan gwardyi Bezobrazów, przezwany był Appolinem Belwederskim dla piękności kształtów; tanecznik zawołany, miał wzięcie u dam warszawskich.

Kapitan gwardyi Gresser do nieznaczących należał figur.

Olive de Cubièren, ze starożytnej familii francuskiej — en Garde du Corps Ludwika XVIII., zwrócił uwagę W. księcia na siebie w czasie, gdy W. księżę w domu jego matki gościnnie przebywał. Matka ulegając żądaniu W. księcia, powierzyła mu syna, nad którym z ojcowską pieczołowitością odtąd czuwał i jako przyjaciela traktował. Olive, pomimo przywiązania i wdzięczności, jaką miał dla W. księcia, zachował jednak sposób myślenia niezawisły i honorowy i nigdy się do plotek belwederskich nie mieszał. Poznawszy w Warszawie panią Szczerbinin, z domu Suchorzewską, córkę osła-wionego w dziejach 3 maja 1791 posła na 4-letnim sejmie i zwolennika rosyjskiego, pokochał się w jego córce i za wdaniem się W. księcia wkrótce ją poślubił. Piękne dobra pod Saratowem, na granicy kraju Kirgizów, objął z nią w posagu.

Pani Szczerbinin była ciotecznie rodzoną siostrą Melchiora Szółdrskiego i przywiązaniem do familii ojca się szczy-ciła, pomimo tego, że od lat najmłodszych w Rosyi wychowana. Z tego względu w jej domu bywałem i u niej ściślejszą zna-jomość z panem Olive zabrałem.

Adjutantów polowych polskich było czterech: pułkownik gwardyi Trębicki, brat jego młodszy kapitan Trębicki, pułkownik gwardyi Turno i kapitan gwardyi, Michał Mycielski.

Adjutanci
polscy.

Pułkownik Stanisław Trębicki, syn sławnego agromoma Trębickiego w Łomnie, należał do najlepszych i naukowo wykształconych oficerów armii polskiej; charakter miał stały i energiczny, czego dał dowody w nocy 29 listopada, gdy wybór mając pomiędzy śmiercią a złamaniem przysięgi, pierwszą bez wahania obrał. W. księżę szanował go osobliwie dla rygoryzmu w służbie i z tego powodu przywiązał go do swojej osoby. Lecz pomimo rygoryzmu wielkiego, którym sobie wielu naraził, był to człowiek niezawisły w zdaniu i pod każdym względem honorowy: nie tał nawet oburzenia swego, gdy W. księżę zanadto w wybuchach namiętności się posuwał.

Brat jego, Kazimierz, nie miał tych zdolności, co starszy brat i do nieznaczących figur, otaczających W. księcia słusznie był policzony; pod względem charakteru wiele niżej stał od brata. On jeden towarzyszył W. księciu do Białegostoku i Witebska; przytomny był śmierci jego; księżnę Łowicką, za ciałem męża idącą, odprowadził do Petersburga.

Pułkownik Karol Turno, wychowany w akademii inżynierskiej w Wiedniu, z której tak wielka liczba dystyngowanych wyszła oficerów, służył w wojsku austriackim; po odbytej kampanii roku 1809, wstąpił do naszych szeregów, odbył zaszczytnie wojny roku 1812, 1813 i objęty w nowej organizacyi, potrafił wykształceniem nieposledniem, dowcipem i wesołym humorem, zawsze równym, tak dalece zjednać sobie łaskę W. księcia, iż ten obejść się bez niego nie mógł i nieodstępnym towarzyszem podróży swoich go obrał. Czem Trębicki dla piechoty, tem był Turno dla jazdy, służbiwą niemniej ścisłym, lecz mniej formalnym jednak; przytem nie przestał lubić gry, dobrego stołu i wesołych towarzystw. Turno nie uchodził wprawdzie za tyle pewnego co do charakteru, jak Trębicki; niejednemu bowiem potrafił przypiąć łatkę; nikt

jednakże nie powątpiewał o nieskazitelności postępowania jego, prócz kilku zazdrosnych, którzy tyle względów i poufałości ze strony W. księcia, nie chcieli czemu innemu przypisać, tylko zausznictwu i pochlebstwu; czego atoli nikt świadomszy Turnie nie zarzuci.

Niemniej lubiony od W. księcia, lecz tylko dla konwersacyi zabawnej, a nie dla akuratności w służbie, której nie nawidził, był Michał hrabia Mycielski, zupełnie światowy człowiek, pełen dowcipu i genialności w dowcipie. Któż nie przypomni sobie tej bladej, długiej, chudej, wywatowanej postaci, z okularami na nosie, z szyderskim uśmiechem na ustach; tych uszczypliwych conceptów, żarcików i kalemburów francuskich, które z jego ust, jak grad, się sypały na biedne, nawijające mu się ofiary.

Nie był to przecież Stańczyk, lecz człowiek pełen honoru i odwagi w boju, równie wesoły i śmiały w salonie, nie dający sobie nikomu, zwłaszcza W. księciu, w niczem ubliżyć, który się nim wprawdzie bawił, lecz go się niemniej obawiał. Mycielski dla bliższych był najpewniejszym, najwierniejszym, najwspanialszym przyjacielem; gotowym do wszelkich poświęceń. Byliśmy z sobą oddawna, zwłaszcza od pobytu w Paryżu, w najlepszych stosunkach. Damy warszawskie, a nawet, dość powiedzieć, pani Wąsowiczowa z domu Tyszkiewicz, bały się go jak ognia i obwijały troskliwie w bawełnę; nie byłyby się odważyły wysłowić zdania przeciwnego w jego przytomności z obawy, aby ich nie skarał i jednym dowcipnem słówkiem nie napiętnował na zawsze. Wielka szkoda, iż ten znakomity człowiek oddany był grze tak namiętnej i grę uważał nie za cel zabawy, lecz jako środek do wykwintniejszego życia. Zdrowie miał bardzo nadwątłone przez niewczesy i rozrzutne życie. Może też gra nie była niczem innym dla niego, jak opium dla ludzi wschodnich, środkiem przytłumienia cierpień, których biedne ciało jego było siedliskiem.

Wspomnę tu jeszcze o poczciwym komandorze Kołzankowie, typie prostodusznego marynarza i o jenerale Krywco-

wie, którzy od wielu lat służbę pełnili przy W. księciu; a dla dokonienia rozpoczętego obrazu, nie zapomnę słówko powiedzieć o starym Pasternikowie, kamerdynerze księżnej Łowickiej, sążnistym drabie, którego W. książę nazaczył za ochmistrza pannom służącym żony, a gdy te na pokucie za jakieś przewinienie w kąciku na jego rozkaz stać musiały, stawiał nad nimi jako szyldwacha, aby głowy nie obracały; i o Kochanowskim, kamerdynerze W. księcia, którego przytomności winien był W. książę swoje ocalenie w czasie napadu na Belweder. Nazwę jeszcze koniuszego, pana Mitchel, człowieka wykształconego, i podkoniuszego Gawryłłę, ważną bardzo figurę z następującego względu. Przed każdą musztrą lub rewią, dowódcy z troskliwością zbliżali się do Kochanowskiego i do Gawryłły, wypyując pierwszego, jak W. książę noc przepędził, w jakim jest humorze; drugiego zaś, którego konia rozkazał sobie podać, czy też pewny jest i spokojny, a nadewszystko czy się much nie lęka. Odpowiedź pomyślna opłacała się rubelkami; z weselszą twarzą przystępowano wtedy do wielkiego dzieła parady lub musztry. Lecz skoro niepomyślna wiadomość wyszła z ust służalców, twarze jenerałów przedłużały się i każdy wróżył smutny koniec dzisiejszej parady.

Lekarzami nadwornymi byli: Doktor Pigel, francuski szarlatan, Dr. Kaczkowski, sztabowy lekarz gwardyi i Dr. Kalisch, Sas rodem, który był przytomny śmierci W. księcia w Witebsku i księżnej Łowickiej w Petersburgu.

Porządek dzienny w Belwederze niezmiennie był w każdej porze roku następujący:

W. książę wstawał o godzinie piątej zrana, i jeszcze nieubrany odbierał pierwsze raporta jenerała Kuruty i naczelników policyi; kazał się potem czesać fryzjerowi Makrotowi, który w tym czasie wkładał mu w ucho raporta swej tajnej czeladzi z dnia poprzedniego: pił potem herbatę i ubierał się do reszty; zwano to *le petit lever*. Wehodzili potem adjutanci i jenerałowię

Tryb życia
W. księcia.

służbowi i pierwsze posyłki; następnie podpisywał Mohrenheimowi niektóre ważniejsze papiery i schodził na chwilę do księżnej Łowickiej. Wyjeżdżał potem do pałacu Bryłowskiego, gdzie ważniejsze interesa przed paradą uprzątał, osoby urzędowe i oficerów przyjmował; potem wchodziły posyłki i adjutantanci; ten moment był najtrudniejszy do przebycia, urwany bowiem guzik u mundurów decydował czasem o pogodzie dnia całego i o przyszłości parady. Prezentowali się teraz oficerowie różnej broni, przybywający lub wyjeżdżający z Warszawy. O godzinie jedenastej odbywała się nareszcie parada w przepisany porządek, z wszelkimi aktami i antraktami, przywiązanymi do tej reprezentacji. Po paradzie W. książę albo do pałacu Bryłowskiego wracał dla dokończenia służbowych interesów, albo też objeżdżał koszary, zakłady, odwachy lub instytut wojskowe. Złowieszczy turkot jego oburącz zaprężonej czwórki, gdy się dał słyszeć, wszyscy na ulicy truchleli; każdy oficer pomacał się czy jest zapięty, przechodni cywilni wstępowali do kamienic, żeby go nie spotkać. Zdarzało się i to, że napotkawszy jaką figurę, która mu się nie spodobała, zatrzymywał się, wypytywał o nazwisko, a jeżeli nie był z odpowiedzi zadowolony, kazał wsiąść za powóz i do pierwszego oddawał odwachu. Wszyscy bez wyjątku kapelusze przed W. księciem zdejmowali. W koszarach obchodził sale sypialne, kuchnie żołnierskie, kazał sobie podawać ich prostą strawę, kosztował, chwalił lub ganił. W szpitalach sam chorych badał, o chorobach na wzór Suwarowa sądził, a nie mogąc sam mikstur próbować, doktorom przepisywał recepty. Nie jeden chory ze strachu wyzdrowiał. O godzinie drugiej obiadował z księżną Łowicką, z Pawełkiem i z guwernerem; przypuszczany był do stołu adjutant służbowy, najczęściej także generał artylerji Bontemps, którego bardzo lubił. Obiad był zawsze wyborny, lecz krótki, W. książę nie pijał innego wina, prócz szampańskiego, i to tylko parę kieliszków. Na kawę zapraszał do żony, gdzie rozmowę stołową dalej prowadził z jakie pół godziny. Potem

wszystkich żegnał i szedł na górę do swoich pokoi, gdzie pobawiwszy się nieco z buldogami ulubionymi i ze swemi małpami, kładł się spać, oznaczywszy kamerdynerowi godzinę, o której chciał być obudzonym, zwykle o szóstej. Najczęściej targował się potem z kamerdynerem o czas i żądał od niego jeszcze kwadransu zwłoki.

Jeżeli czas był piękny, o tej godzinie na nowo się ubierał i wyjeżdżał do obozu na capstrzyk, lub też objazdżkę odbywał odwachów, ażeby którego oficera w niefortunnym zdybać szlafroku. Biada wtedy młodym oficerom, ci bowiem najczęściej przez lekkomyślność dawali się pochwyć. Starsi i wytrawniejsi, z kaszkietem na głowie, z ryngrafem na pierśsiach, po uszy zapięci, w skórzanem krześle, zawsze gotowi byli za pierwszym odgłosem dzwonka na jego przyjęcie. Jeżeli czas niepogodny, schodził na herbatę do księżnej Łowickiej. Ściany jego górnego apartamentu wyłożone były rozmałą bronią, tudzież wizerunkami oficerów i żołnierzy wojska polskiego i litewskiego. Były to portrety, pomiędzy którymi i mój także figurował.

Osoby dystygowane rządu i wojska Rosyi, jenerałowie, zagraniczni dyplomaci, przejeżdżający przez Warszawę, i oficerowie wyżsi, przyjmowani byli przez W. księcia w Belwederze i najczęściej po prezentacyi księżnej Łowickiej, proszeni bywali na obiad. Księżna ze zwykłą grzecznością i nadobnością honory czyniła i niejednego uprzedzonego cudzoziemca zostawiała w zachwyceniu, a W. księcia przychylniejszym uczyniła. Każdy cudzoziemiec, w Belwederze goszczący, przejęty był urokiem jej rozmowy, uprzejmością i dowcipem. Zaczęto głośniej w Europie mówić o szczęśliwym wyborze W. księcia i o nadzwyczajnej zmianie w charakterze jego.

Pan Grudziński, ojciec księżnej Łowickiej, zaproszony przez księcia, pierwszy raz zjawił się w Warszawie r. 1822. W. ksiązę z księżną Łowicką wyjechali naprzeciw niemu do Ołtarzewa; ksiązę przyjął go z wielką względnością, z oznakami zewnętrznymi szacunku

P. Grudziński
w Belwederze.

i poważania, posadził w powozie obok żony, sam siadłszy na przodzie, i wprowadził do Warszawy. Pan Grudziński stanął w hotelu Wileńskim, lecz czas swój przepędził u córki; za drugą dopiero bytnością przeniósł się na żądanie W. księcia do Belwederu.

Położenie pana Grudzińskiego wobec W. księcia było bardzo trudne z powodu zachwianego stanu interesów, zagrażającego ciąglem prześladowaniem ze strony wierzyieli, a nawet aresztami wekslowymi po ojcu. W. książę znał drażliwość tego położenia, jednakowoż przez delikatność nie dał mu tego uczuć; z drugiej strony przyznać trzeba, iż pan Grudziński nie przedstawiał się bynajmniej w Belwederze w postaci suplikanta, lub przytułku szukającego, lecz w godnej postaci ojca jego żony. Nie przestał więc W. książę zachować do końca bytności pana Grudzińskiego w Warszawie najwzględniejsze, najdelikatniejsze względem niego postępowanie.

W młodości pan Grudziński był nadzwyczajnie żywego temperamentu, posiadał wiele naturalnego dowcipu, który się w oczach żywych malował; wychowanie odebrał staranne w Berlinie pod oczami ojca i w akademii rycerskiej w Stuttgardzie. Pamięć u niego bystra, znał dzieje krajowe i dawne prawa najdokładniej. Przytem będąc wesołego i jowialnego charakteru, byłby się zapewne spodobał, gdyby nie rozrządzenie nadzwyczajne i pewna niespokojność w fizyognomii, zdradzająca wewnętrzne uczucia i tajemniczość dziwną w rozmowie. Wobec W. księcia był nadzwyczajnie ostrożny, nie sprzeciwiał się jego zdaniu nigdy otwarcie, lecz jeżeli o swoje był pytany, wydawał odpowiedź zwykle w formie bajki lub epilogu, jakby miał władzę wschodniego z czasów Haruna-Al Raszida przed sobą. W. książę tajemniczości podobnej nie lubił i skarżył się często żonie na nieszczerłość ojca.

Matka księżnej Łowickiej, pani Brońcowa, Pani Brońcowa. pierwsza żona pana Grudzińskiego, z domu Derpowska, była to osoba moralnie o wiele niżej stojąca od pana Grudzińskiego. Wychowana w domu rodziciel-

skim, musiała matkę zbyt wczesnie stracić, znać bowiem było po niej, iż dobrych przykładów mieć nie musiała. Młoda, piękna, lekkomyślna, oddała w siedemnastym roku swą rękę wujowi. Dziesięć lat żyli z sobą w pozornej zgodzie; potem nastąpiła nagle separacya. Zjawił się w tym czasie piękny młody, zrujnowany Litwin, pan Broniec, w podobnych zwyczajach mistrz wyuczony, wkrótce Pan Broniec. opanował jej wszystkie władze, namówił do rozvodu i do nowego związku skłonił. Zaczęli oboje żyć w Warszawie na wysoką stopę i wkrótce majątek wielkopolski, Popowo, znacznie podebrali. Wejście Francuzów roku 1806 do Warszawy, otworzyło Bronćowi drogę do nowych wydatków; mianowany marszałkiem dworu, przyjmować musiał w zamku królewskim liczny sztab Napoleona. Miejsce to stworzone było dla rozwinięcia talentów Bronca; umiał bowiem z godnością reprezentować i z wielkim gustem urządzać zabawy. Bale, obiady, wieczory, koncerty, nieustannie przyciągały osoby dworu cesarskiego i lepsze towarzystwo warszawskie. Pani jeszcze piękna, pasierbice śliczne, dobrze wychowane, magnesem były niemniej czynnym. Trwało to przez czas cały pobytu Francuzów. Nastało Księstwo Warszawskie. Broniec został marszałkiem dworu króla saskiego, monarchy nabożnego i oszczędnego, któremu się rozrzutność Bronca wcale nie podobała. Po wejściu Rosyan do Warszawy, Broniec pozostał na miejscu i roku 1815 mianowany marszałkiem dworu cesarsko-królewskiego. Zmiana panowania nie zmieniła wydatków i długów; majątek pani Bronćowej hipotecznie został nad wartość obciążony, kredyt samego Bronca zupełnie upadł w Warszawie. Jednakże w domu nie spostrzegano zmiany, tenże sam przepych, teżsame wieczory, obiady, śniadania; któż sobie do dziś dnia ich nie przypomni?! Co tylko Warszawa, Paryż i Wiedeń miały najwyborniejszego, figurować musiało na stole polskiego Lukulla; pasztety strasburskie, trufle, ryby morskie, sterlety, ostrygi ostendzkie, konfekta werduńskie, torty wiedeńskie, i t. d. i t. d.

wina najdroższe sprowadzano z wielkim kosztem; lecz najczęściej te wszystkie wykwintne przedmioty na kredyt brano, a kupcy w przedpokojach czekali z rachunkiem, rychło zapłaćceni nie zostaną, podczas gdy wesołe towarzystwo przy odgłosie kieliszków smacznie zajadało.

Broniec nietylko, że był pełnym gustu marnotrawcą, w całym znaczeniu tego wyrazu, lecz znawcą wielkim co do stołu, i sam zawołanym żarłokiem, czyli grzeczniej gastronomem. Za czasów upadku cesarstwa Rzymskiego byłby pewnie kończył na misy marszałka dworu cesarza Heliogabala. Taki dom, po wydaniu zamąż kuzynek moich Grudzińskich, nie powabnego dla mnie już nie przedstawiał. Nie przestałem wszelako w nim bywać, przez wzgląd na dawne stosunki, lecz tylko na mniejszych obiadach i wiozorach. W. książę zachowywał dla pani Bronicowej pozorną względność, należąca się matce żony, lecz w duchu nie miał dla niej żadnego szacunku. Chociaż go się nadzwyczajnie bała, wszelako w upatrzonyj chwili potrafiła go zająć interesem lub prośbą. Lecz na jego protekcyi nie chciała przestać, oblegała wszystkie sądy i dykasterye warszawskie, a i konsula pruskiego ciągle interesami zamiany lub kupna dóbr Popowa męczyła; to żądała od cesarza powiększenia pensyi mężowi, to wypuszczenia mu dóbr rządowych, a to wszystko martwiło księżnę Łowicką i W. księcia. Sztab powszedni Bronica składał się z doktora nadwornego Kinzla, budowniczego zamkowego Kubickiego i kawalera Żaboklickiego, mistrza ceremonii dworu i kilku innych osób, znanych z gastronomicznych talentów, lubiących grę i towarzystwo wesołe.

Rok 1825.
Sejm. W maju 1825 roku, po długiej przerwie, zwołany został sejm w Warszawie. Cesarz przybył na zagajenie onegoż i cały miesiąc zajmował się pilnie interesami Królestwa. Dodatkowy artykuł do konstytucyi, na wniosek księcia Lubeckiego przez cesarza przyjęty, oburzył tych wszystkich, którzy parlamentarne rządy Królestwa na seryo brali, nie zważając na przeszkody, jakie z samego

stosunku z cesarstwem Rosyjskiem wyniknąć koniecznie musiały. Ten artykuł znosił publiczność obrad sejmowych i widzów przypuszczał tylko podczas otwarcia i zamknięcia obrad. Postanowienie to w tym czasie i mnie oburzyło; uważałem je za zgwałcenie najwyraźniejsze wolności konstytucyjnej; dziś, lepiej będąc obeznany z prawdziwymi stosunkami i z charakterem naszym narodowym, przyznaję, iż był zbawienny, a może potrzebny, jeżeli uniknąć chciano niewczesnej opozycji, która, bądźco bądź, nie zważając na stosunki podległe cesarstwu i na wpływ, jaki podobna konstytucya i wobec konstytucyjnego monarchy wyrzucić mogła na Rosyę, podległa temużsamemu lecz absolutnemu władcy, koniecznie odegrać chciała rolę opozycji angielskiej.

Na tym to sejmie projekta rządowe, pomiędzy którymi instytucya Towarzystwa kredytowego pierwsze zajmowała miejsce, z wielką zgodnością przeszły. Cesarz zadowolniony z tak pomyślnego wypadku, po ojcowsku oświadczył podziękowanie sejmowi i wiele łask na rozmaite osoby rozlał. Obiady u cesarza na zamku, bal wielki, dany przez sejmujące stany N. Panu w sali teatralnej, przeglądy, parady, wizyty, posłuchania rozmaitych osób, zajęły resztę wolnego czasu.

W tym także czasie przybyła do Warszawy pani Kościelska z córką Michaliną, w zamiarze oddania osobiście cesarzowi prośby od ojca, byłego generała, Rokietnickiego. Tenże w czasie rewolucyi 1794 roku porwany został z domu i wywieziony do Kijowa, gdzie przez dwa lata w ścisłym więzieniu trzymany, udawał się z tego powodu do łaski cesarskiej, prosząc o pensyą dożywotnią, której tembardziej potrzebował, iż przez okoliczności czasowe i rozrzutność swoją własną, a nawet majątek drugiej żony, mocno nadwerężył. Ta pensya stanowić miała jedyny środek utrzymania starganego na siłach starca.

Petycyja, ręką panny Michaliny napisana, obwinęta w koronkową chustkę, spoczywała w ręku pani Kościelskiej. Uprzedzona o godzinie audyencyi, staje u bramy zamkowej

kwadransiem później. Anonsowana przez szambelana, we drzwiach pokoju cesarskiego spostrzega dopiero, iż petycę w powozie zapomniała; zwraca się do szambelana i uwiadamia go o nieszczęśliwym roztargnieniu; ten wprowadziwszy ją do cesarza, pośpiesza do powozu i petycę oddaje. Przyjął ją cesarz z uśmiechem na ustach i posadziwszy na kanapie, sam na krzeselku naprzeciw niej zajmuje miejsce, i aby wyprowadzić colwiek z pierwszego pomieszczenia z powodu zapomnianej petycyi, wypytuje się o familię, o wieczory warszawskie z tą uprzejmością i delikatnością, której był wzorem. Dopiero po uspokojeniu pierwszej nieśmiałości, łagodnie się wypytuje o cel wizyty i wszystkich słucha szczegółów. Obiecując nareszcie to wszystko uczynić, czego żąda przywiązana córka dla ojca, petycę z rąk jej odbiera. Pani Kościelska miała rękawiczki na ręku przyszyte jakimś fatalnym wybiegiem panny Czamańskiej do rękawa sukni. Zapomniała o tem, a gdy cesarz rękę jej, jak zwykł, chce całować, sili się na zdjęcie rękawiczki. Nie udaje się to; cesarz chce dopomódz i sam rękawiczkę zdjąć usiłuje. W tej grzecznej walce u rękawiczki urywa się palec, który zostaje w ręku N. Pana, obwinięty na jego palcu na znak zwycięstwa. Wszystko się skończyło na ucałowaniu ręki i grzecznych słowach cesarza, który panią Kościelską do drzwi odprowadził.

W czasie obiadu na zamku u N. Pana uczułem pierwszy napad febry, która mnie zmusiła nie opuszczać mieszkania w czasie uroczystości dworskich. Nie mogłem przeto wiele korzystać z bytności pani Kościelskiej w Warszawie i tylko raz przed balem byłem u niej z wizytą. Znalazłem pannę Michalinę w balowej sukni, gotową wyjechać; ubrana była strojnie, lecz gustownie i bez żadnej przesady. Z prawdziwym żalem spostrzegłem, iż równie była cierpiąca, jak za pierwszą swoją bytnością.

Tymczasem cesarz opuścił Warszawę, uroczystości wszystkie ucichły, każdy powrócił do zwyczajnych zatru-

Wizyta pani
Kościelskiej
u cesarza.

dnieni. Moja choroba okazała się skutkiem zatwardzenia wątroby, na co formalną brać musiałem kurację, która do września tego roku trwała. Słabość moja jednak nie była tak wielką, aby przeszkadzała w pełnieniu właściwych obowiązków. Dokończyłem kursa; egzamina odbyły się jak zwyczajnie, a po nich nastąpiła podróż w okolice Kielc, w miesiącu sierpniu. Opatrzyłem się tym razem 12-calowem kołem powtarzającym bondy i stosownie uczyniwszy rozpoznania i ustawiwszy piramidy w wierzchołkach trójkątów, przedsięwziąłem dla nauki uczniów na wielki rozmiar tryangulację kraju pomiędzy Chęcunami i St.-Krzyżem. Przy tej sposobności wyznaczoną została barometrem wysokość góry Świętokrzyskiej, najwyższej w Królestwie, którą znaleźliśmy 2000 stóp nad poziomem morza. W końcu sierpnia powróciłem do Warszawy, a po naszym powrocie nastąpiły promocye ¹⁾).

W czasie wakacji zająłem się bardziej moją kuracją i z pomocą doktora Malcza wkrótce powróciłem do dawnego zdrowia.

Droga matka zaczęła teraz na seryo myśleć o wybawieniu mnie z kawalerskiego stanu. Trzydziesty trzeci rok życia mojego mijał. Oddawna życzyła sobie, abym się starał o rękę panny Adeli Gajewskiej z Wolsztyna, młodszej córki pani Stanisławowej Platerowej, której rodzice jeszcze żyli. Panna Adela, wyjąwszy piękność, posiadała wszystkie przymioty, które zapewnić mogą szczęśliwe pożycie rozsądnemu człowiekowi; wychowanie staranne, dobrość serca niewyczerpaną,

¹⁾ Z oddziału trzeciego postąpili na podporuczników: Adam Wodnicki do kwatermistrzostwa jeneralnego; Maurycy Hauke do artylerji konnej gwardyi; Karol Klemczyński, Szymon Sosnowski i Jan Wolski do artylerji pieszej. NB. Marcin Kowalski przed końcem roku szkolnego życie zakończył na suchoty.

Do oddziału pierwszego wstąpili: Ludwik Stürmer, Seweryn Sobiewski, Ignacy Gostkowski i Ludwik Brauner ze szkoły kadeckiej kaliskiej; Władysław Trembicki z artylerji konnej; Władysław Hauke, syn generała Hauke'go i Piotr Bontemps, syn generała B. Bontemps.

umysł religijny, poświęcenie dla rodziców, wesoły i równy humor, majątek bardzo przyzwoity. Nie miałem więc nie do zarzucenia temu projektowi, bo wszystko odpowiadało mojemu stanowisku; zdecydowałem się przeto usłuchać matki i w czasie ostatniej bytności mojej w Popowie, oddałem wizytę w Wolsztynie. Przyjęty byłem jaknajuprzejmiej przez szanownych rodziców panny Adeli. Stanisław Plater z żoną ubiegali się nawet, ażeby mi uprzyjemnić pobyt w tym domu, poznać więc mogłem odrazu, iż źle przyjęty nie będę; wszelako sposób wzięcia się pani Gajewskiej cokolwiek mnie zastanowił; pomiarkowałem, iż niechętnie by się rozstała z córką i że jej myśli wyżej odemnie sięgają. Obok tego zważywszy wiek panny Adeli, wyrównywujący prawie mojemu, i powierzchowność lubo nie bez przyjemności, wszelako nieodpowiadającą mojemu ideałowi, czując nareszcie już wtedy skłonność w sercu ku innej osobie, nie zapuściłem się w żadne badania bliższe, i na tej pierwszej wizycie, przeprosiwszy matkę, poprzestałem.

Lecz zdaje się, iż projekt ten, poparty przez pana Stanisława Platera, nie uważano jako zupełnie zerwany, w końcu bowiem roku 1825 panna Adela w towarzystwie siostry przybyła do Warszawy. Spotkałem ją kilka razy u Platerów i zbliżyłem się, jako do krewnej i przyjaciółki rodziców, lecz dalszych zabiegów zaniechałem. Po raz ostatni widziałem pannę Adelę w domu państwa Zamoyskich na święconem roku 1826. Od tego czasu stała się dla mnie zupełnie obojętną.

Cesarz w czerwcu roku 1825 ostatni raz zawitał do Warszawy w powrocie swoim z Niemiec. Krótko zabawiwszy udał się do Petersburga, skąd podróż swoją do Taganrogu dla poratowania zdrowia cesarzowej Elżbiety miał wkrótce przedsięwziąć. Lubo spokojność zwyczajna jego twarzy nie zdradzała wewnętrznych trosk, przecież dobrze wiadano, iż go stan umysłów w Rosyi i los spowinowaczonego i uciśnionego okropnie narodu greckiego mocno obchodził. Co do pierwszego zdaje się, iż knujące się w Rosyi związki nie były mu tajne, raz bowiem na paradzie do generała Hauke'go

temi odezwał się słowy: »wiem, że jestem otoczony mordercami i że godzą na moje życie«. Co do Greków, wahał się pomiędzy narodową opinią w Rosyi, która się najmocniej za Grekami odzywała, a przyjętą w nieszczęśliwej chwili zasadą świętego przymierza, nie mieszania się do obcych rządów, chyba w tym razie, gdyby jego pomocy wezwano dla przytłumienia buntu poddanych przeciwko prawowitemu monarsze, to jest rewolucyi. Greków więc uważał jako buntowników, a ich walkę o niepodległość za rewolucyę. Z tego to jedynie powodu Rosya z oburzeniem powszechnem nieczynnie przypatrywała się rzeziom na Wołoszczyźnie, w Konstantynopolu, na wyspach Archipelagu, w Morei. Powieszenie patriarchy, sprzedaż Greczynek z najlepszych familii na targowiskach Stambułu, samowolne mordy rajasów: nic go poruszyć nie zdołało. Czuł wprawdzie, iż wbrew woli narodu swego postępuje, lecz mając skępowane ręce przymierzami, wahał się ciągle i nieczynnie czekał.

Oddawna wlny w jego słabą duszę przez panią Kruidener zgubny mistycyzm, przyciemniał mądrość tak sławionego w Europie monarchy. Rozmowy jego z księżną Łowicką nie mały się do tego usposobienia przyczyniały. Zaczął wątpić o własnym kierunku religijnym i w mglistych zatapiać się przestrzeniach. Musiała na tem uciepieć jasność w widzeniu rzeczy tego świata a szczególnie interesów własnego narodu, powierzonego mu od Boga. Monarcha, samodzierca 60 milionów ludzi, stał się wizyonaryuszem. Niechęć do ludzi, niesmak w rządach, przecucie zaburzeń w Rosyi, a może własnego tak bliskiego zgonu, wzbudzały w nim coraz bardziej żądę uwolnienia się od ciężaru, przechodzącego jego siły, i złożenia korony na korzyść brata Mikołaja. Zaczął marzyć o abdykacyi, o spoczynku. W. księcia Konstantego i księżnę Łowicką zachęcał do porzucenia marności tego świata i udania się z nim do Rzymu, w najpiękniejszych kolorach malując im szczęście nowe, które ich tam czeka.

Projekt abdykacyi cesarza Aleksandra.

Od kilku lat w towarzystwie i w wojsku rosyjskiem tliło zarzewie, które w końcu roku bieżącego tak okropnym ogniem wybuchnąć miało. Wielu młodych ludzi tak w administracyi, sądownictwie, jak w wojsku, w czasie kilkoletniego pobytu we Francyi, napatrzyło się na inny zupełnie stan, aniżeli był dotąd w ich ojczyźnie.

Zaczęto od podawania cesarzowi memoriałów i petycyi, wyświecających nadużycia wszelkiego rodzaju, ciemiężące naród; lecz nieczytane zostały na stole cesarza, lub w ręce Arakczewowa się dostały. Mając wszelkie środki oświecenia sumienia samowładzcy przecięte, wyczerpawszy wszystkie, młodzież chciwa zmian udała się na drogę tajnych zmów i sprzysiężeń.

W czerwcu 1825 roku cesarz odebrał pierwszą denuncyacyę o zamachach zbrodniczych spiskowych przez podoficera trzeciego pułku ułanów bugskich, Scherwooda, rodem Anglika, i ta to wiadomość powodem być musiała do słów, w czasie sejmu ostatniego wyrzeczonych do generała Hauke'go (ob. wyżej). Od tej chwili pewne zwątpienie i smutek ogarnęły duszę cesarza; odtąd też zaczął myśleć o porzuceniu niebezpiecznego tronu i oddania władzy młodszemu bratu, Mikołajowi.

Dnia 15. września tegosamego roku przedsięwziętą została podróż do Taganrogu w celu poratowania zwątlonego zdrowia panującej cesarzowej Elżbiety. Cesarz w kilka dni po jej odjeździe opuścił także stolicę, której więcej już nie miał oglądać, odebrawszy błogosławieństwo na drogę od metropolity Serafina w kościele Św. Aleksandra Newskiego i po wysłuchaniu na jego żądanie Mszy, jak wieść biegła, żałobnej. Pan Schnitzler w dziele swem *Histoire intime de la Russie*, w sposób nader zajmujący opisuje wizytę cesarza w tym monasterze i bytność jego w celi starego cenobity, która wielkie wrażenie na jego duszy sprawiła i w mniemaniu bliskiej śmierci utwierdziła.

Cesarz, szybciej podróżując od cesarzowej wyprzedził, ją dziesięciu dniami w Taganrogu, i wszystko przysposobiwszy,

co tylko do jej wygody i przyjemności służyć mogło, wprowadził ją do nowego pomieszkania. Przepędziwszy niejaki czas z nią w tem ustroniu, i widocznie zadowolniony z dobrego skutku łagodniejszego powietrza na zdrowie małżonki, przedsięwziął korzystać z wolniejszych chwil, dla poznania z bliższego stanowiska prowincyi południowych ogromnego państwa, których jeszcze nie był nigdy zwiedzał.

Dnia 1. listopada udał się naprzód do krain Kozaków dońskich, których stolicę Nowy Czerkask poznał; stamtąd zwrócił się w towarzystwie hrabiego Woroncowa, gubernatora prowincyj Nowo-rosyjskich, do Krymu, zwiedził 5. listopada Symferopol, później posiadłość hrabiego Woroncowa, 8. port wodny Sebastopolu, gdzie 9. i 10. przepędził na przejrzeniu portu i floty: stamtąd udał się do Bakeczy-Saraju, dawnej stolicy hanów tatarskich. Dnia 12. listopada nocował w Kozłowie (Eupateryi), porcie na zachodnim wybrzeżu Krymu; nareszcie na Perekop, Znamenkę, Oczaków, Mariopol, pospieszył do Taganrogu, gdzie 17. listopada z powrotem znalazł się w objęciu cesarzowej. Lecz stan zdrowia Aleksandra ucierpiał w klimacie tak niebezpiecznym dla każdego cudzoziemca. W Sebastopolu czuł się już niedobrze, lecz stan swój utaić potrafił; dopiero w Bakeczy-Saraju zwierzył się doktorowi Willie, uskarżając się na cierpienie żołądkowe, żadnego jednak lekarstwa przyjąć od niego nie chciał. Gdy stanął w Taganrogu, zdeklarowała się nareszcie febra przemienna, połączona z perturbacją organów trawiących. Od tej chwili choroba wzmagala się coraz bardziej, pomimo lekarstw doktora Willie. Dnia 26. listopada niebezpieczeństwo stało już się widocznem. Dnia 27. za namową cesarzowej z wielką skruchą spowiadał się i Święte Sakramenta przyjął. W nocy 30. listopada wszelka nadzieja upadła; konanie rozpoczęło się, a dnia 1. grudnia zrana władca północy na łonie cesarzowej Elżbiety, która go podczas choroby nie opuściła i najczulej pielęgnowała, życie zbyt krótkie zakończył. Po inne szczegóły choroby jego, wrażeń

Podróż do
Krymu.

Śmierć cesarza
Aleksandra.

cesarza w czasie ostatniej podróży w Krymie, nareszcie i śmierci, odesłać muszę czytelnika do wyżej wymienionego dzieła pana Schnitzlera; za wiele by tu miejsca zabrały.

O zamiarach spiskowców cesarz w pierwszych dniach choroby zawiadomiony był przez generała Wittę, komendanta kolonii wojskowych południowych, co niemało przyczyniło się do pogorszenia jego choroby, nie spodziewał się bowiem nigdy, aby nienawiść poddanych tak daleko posunąć się miała. Wiadomości jednak, udzielone przez generała Wittę, zanadto jeszcze na domysłach i głuchych wieściach polegały, ażeby poznać z nich można było cały związek spisku i natrafić na osoby sprzysiężonych. Dopiero raport generała Rotha, któremu jeden ze spiskowych, kapitan Maiboroda, cały zamiar wyjawiał, nazwawszy osoby, oczy wszystkim otworzył. Cesarz już wtedy nie był przy życiu!

Generał Dybicz wziął na siebie działanie według okoliczności. Wysłany przez niego generał hrabia Czerniszew do Kijowa, rozkazał aresztować pułkownika Pestla, dowódcę pułku wiackiego, a kilku dowódców pułkowych, na których najwięcej podejrzania ciążyło, usunąć tymczasowo od ich komend: między innymi pułkownika Szwejkowskiego, dowódcę pułku saratowskiego, który, jak się później okazało, wtajemniczony był w te wszystkie zamachy. Wiedziano więc w Taganrogu, iż los państwa na włosku wisi, i że lada chwila wybuchnąć może podłożona, pod spruchniałe przysiężenie niebezpieczna mina. Jednakże całego ogromu spisku jeszcze nie zmierzono.

Dnia 7. grudnia wysłany przez generała Dybicza feldjeger z wiadomością o śmierci cesarza, stanął w Warszawie. Wszedłszy do pokoju sypialnego W. księcia w Belwederze, rzucił mu się do nóg, nazywając go gosudarem swoim. W. książę niedawno powróciwszy z Drezna z małżonką, cieszył się wówczas bytnością brata najmłodszego, W. księcia Michała, i najmniej spodziewał się takiego ciosu. Pierwsza więc chwila była okropna. Jakby piorunem dotknięty W. książę padł

w objęciu adjutanta. Po wynurzeniu najmocniejszego żalu pomyśleć jednak wypadało o osieroconym tronie. W. książę Konstanty na pierwszym wstępie stanowczo odrzucił od siebie myśl panowania, czując się związanym przez akt dobrowolny z dnia 26. stycznia 1822. roku, na mocy którego **zrzekł** się tronu. Miał wtedy do księżnej Łowickiej, zbliżającej się z niespokojnością do niego, wyrzec następujące słowa: »bądź pani spokojna, nie będziesz panować«.

Tymczasem rzeczy niespodziewany obrót brały w stolicy. Tam W. książę Konstanty ogłoszony był cesarzem wbrew woli swojej. Skoro bowiem wiadomość o zgonie cesarza doszła dnia 9. grudnia kurjerem do W. księcia Mikołaja, ten poświęciwszy z cesarzową matką pierwsze chwile żalom, po naradzeniu się z nią, udał się do rządzącego senatu w celu złożenia przysięgi starszemu bratu, jako następcy prawowitemu tronu rosyjskiego. Lecz rada państwa przede wszystkim uważała za obowiązek swój otworzyć plikę zachowaną pod jej strażą, na której następujące słowa własną ręką cesarza Aleksandra skreślone były:

»Zachować w radzie państwa, dopóki inaczej nie rozkażę; lecz na przypadek śmierci mojej otworzyć wprzód, nim się przystąpi do każdej innej czynności«.

Prezes rady stanu, książę Łopuszkin, otworzywszy pieczęć, znalazł pod kopertą następujące akta:

Manifest cesarza Aleksandra, własną ręką jego napisany, z dnia 28. sierpnia 1823. roku, z dwoma innymi dokumentami: 1^o listem W. księcia Konstantego do cesarza z Petersburga dnia 26. stycznia 1822; 2^o z odpowiedzią cesarza z dnia 14. lutego 1822.

Pierwszy dokument podaję w dokładnem tłumaczeniu:

»Najjaśniejszy Panie!«

Ośmielony licznymi dowodami niezmiennej względem mnie życzliwości W. C. M., ważę się złożyć u stóp Twoich, Najjaśniejszy Panie, następującą prośbę.

Zrzeczenie się
W. księcia
Konstantego.

Nie widząc w sobie ani geniuszu ani talentów, ni siły koniecznej, aby być wyniesionym do godności panującego, do której mógłbym wskutek mego pochodzenia rościć prawo, proszę usilnie W. C. M. przelać to prawo na tego, komu po mnie przywilej ten przysługuje, i w ten sposób umocnić na zawsze trwałość cesarstwa. Przez to moje zrzeczenie się przyczyniam nową rękojmię i tem większą wagę do mego poprzedniego zobowiązania, jakie dobrowolnie i uroczyście złożyłem w chwili rozvodu z mą pierwszą żoną.

Do tego kroku powodują mnie wszystkie okoliczności mego obecnego położenia, a czyniąc to, składam wobec cesarstwa i całego świata dowód szczerości mych uczuć.

Racz W. C. M. przyjąć dobrotliwie mą prośbę; racz przyczynić się do tego, aby i nasza dostojna Matka chciała na to się zgodzić, a Ty, N. Panie, potwierdź tę prośbę Twem cesarskiem zezwoleniem.

W mem życiu prywatnem będę się zawsze starał służyć za wzór wszystkim Waszym wiernym poddanym, których ożywia miłość naszej kochanej ojczyzny.

Pozostaję z najgłębszym szacunkiem dla W. C. M. « i t. d.

Odpowiedź Aleksandra, zawarta w drugim dokumencie, była prostem przyjęciem zrzeczenia się brata.

Manifest zaś cesarza, jako akt publiczny, wydany był na mocy dwóch pierwszych dokumentów. Treść jego była następująca:

1^o. Dobrowolny akt, na mocy którego brat nasz, cesarz W. Książę Konstanty, zrzeka się praw swoich do tronu Wszech-Rosyi, jest i pozostaje stały i niezłomny.

Rzeczony akt zrzeczenia się, dla zapewnienia jego wiarygodności, zachowany być ma w katedrze Wniebowstąpienia w Moskwie i w trzech najwyższych administracjach państwa naszego, to jest w św. Synodzie, w radzie imperium i w rządzącym senacie.

2^o. W moc tych postanowień i stosownie do ścisłego brzmienia aktu, dotyczącego następstwa na tron, uznajemy

naszym następcą brata naszego drugiego, Wielkiego księcia Mikołaja.

Dokumenta te były stanowcze. Tron według wszelkiego prawa należał się W. księciu Mikołajowi. A jednak po przeczytaniu powyższych aktów i pomimo przedstawienia rady państwa, niepomyślnie na skutki, jakie wyniknąby mogły z takiego postanowienia, W. książę Mikołaj, złożony sam na przód przysięgę — bratu Konstantemu, jako cesarzowi rozkazał tożsamo uczynić radzie państwa, senatowi, św. Synodowi, urzędnikom i wojsku i w najodleglejsze krańce ogromnego państwa rozesłał kuryerów z podobnymiż rozkazami. Wszędzie więc Konstanty ogłoszony został ^{Konstanty ogłoszony cesarzem} cesarzem.

Jakiż mógł być powód do tak dwuznacznego postępowania? Ci, co wynoszą postanowienie W. księcia Mikołaja, znajdują w niem z jednej strony największy dowód uszanowania, uległości i poświęcenia dla starszego brata, z drugiej strony uwielbiają skromność i niedowierzanie własnym siłom. Drudzy z większą słusnością twierdzą, iż mając przekonanie najmocniejsze o tem, że brat Konstanty pod żadnym warunkiem nie przyjmie korony, chciał nowym, dobrowolnym aktem z jego strony potwierdzić tem mocniej pierwsze zrzeczenie się tronu i tym sposobem wszelką usunąć wątpliwość co do następstwa i tamę położyć zamachom źle myślących, o których wieści już dochodziły. Świadomi stosunków rosyjskich w owym czasie wyrzucają Mikołajowi, iż niewczesnym uznaniem Konstantego, o którym wiedział sam najlepiej, że tylko kilka dni trwać może, pierwszy dał powód do wątpliwości i do dyskusyi nad prawem do sukcesyi, i przez to osmielił spiskowych i oniemal że Rosyę w przepaść anarchii nie wtrącił.

Dnia 8. grudnia W. książę Konstanty napisał dwa listy: pierwszy do cesarzowej matki, w którym wynurzywszy swoje uczucia nad spólną stratą, zachęca do poddanie się woli

Najwyższego i akt zrzeczenia się tronu najsoleńniej u stóp jej powtarza; drugi do W. księcia Mikołaja z załączeniem przysięgi wierności i poddaństwa, jako cesarzowi.

Z tymi ważnymi listami W. książę Michał dnia 13. grudnia stanął w Petersburgu.

Zdawało się natenczas, iż wszystko załatwić musiała powtórna, tak solenna deklaracya. Lecz W. książę Mikołaj i na tem nie przestał. Złożywszy raz przysięgę bratu, czuł się nią zobowiązany i postanowił nie publikować stanowczych listów, przywiezionych przez W. księcia Michała, dopóki W. książę Konstanty nie oświadczy woli swojej co do złożonej jemu przysięgi przez niego samego i przez całe państwo.

Wszelako gdy nowy kurjer, wysłany z Warszawy, powtórne oświadczenie ze strony Konstantego bratu, radzie imperyi i senatowi przywiózł, zakończyć się musiała nareszcie szlachetna lecz zgubna dla państwa walka pomiędzy braćmi.

Dnia 24. podpisany został przez Mikołaja <sup>Mikołaj cesa-
rzem.</sup> manifest, oznajmiający Rosyi wstąpienie jego na tron przodków i powody, które go dotąd wstrzymały od przyjęcia korony.

Dnia 25. grudnia rada państwa, a dnia następnego o 7. zrana senat i św. Synod wypełnili formalność przysięgi nowemu monarsze. Dzień 26. grudnia, przeznaczony także dla wojska do złożenia przysięgi, nie przeszedł tak spokojnie; ten to dzień wybrali spiskowcy północni do wykonania swoich zamiarów i podniesienia buntu, pamiętnego w annałach rosyjskich. Pod pozorem, iż W. książę Konstanty nie przestał być ich prawowitym monarchą, że wymagana od wojsk nowa przysięga jest obłudną i na sumieniu każdego poddanego ciężczyby musiała; udało im się podburzyć niektóre kompanie pułku Moskiewskiego leib - grenadyerskiego i cały niemal batalion ekwipażów morskich i zaprowadzić na plac Isaaka z okrzykami »hura Konstanty«, »hura konstytucya«! Ostatni ten wyraz zakoń-

Bunt wojsk
w Petersburgu.

czenia żeńskiego niektorzy żołnierze mniemali być nazwiskiem żony Konstantego.

Lecz pełne odwagi wystąpienie cesarza i W. księcia Michała utrzymać potrafiło w posłuszeństwie resztę chwiejącego się na dwie strony wojska. Wyczerpawszy wszystkie środki zwrócenia buntowników do powinności, gdy nawet przemowa metropolity do zbuntowanego wojska daremną się okazała, gdy komendant petersburski, generał Miłoradowicz, z ręki Kachowskiego poległ; musiano użyć siły; pułk Preobrażeński i dwa pułki ciężkiej jazdy o 4. wieczorem otrzymały rozkaz uderzyć na zbuntowane bataliony. Ataki jazdy ogniem rotowym odparte zostały; sprowadzić musiano artylerję, tej kartaczowe wystrzały dopiero skutkować zaczęły. Po kilku salwach masa pozbawiona dowódców (w chwili stanowczej bowiem książę Trubecki i Rylejew nie pokazali się na placu) rozpierchła się na wszystkie strony. Kilkaset z wojska i z pospólstwa padło ofiarą swego zaślepienia, wielu innych tej samej nocy i dni następnych aresztowanych zostało. Pomiędzy nimi książę Trubecki, niegodny naczelnik Towarzystwa północnego, Rylejew jego rzeczywista głowa, Kachowski, morderca dwóch osób: generała Miłoradowicza i pułkownika Stürlera, dwóch Beztuszewów, Jakubowicz, Bułatów, Batenków, książę Obolenski i wielu innych oficerów i cywilnych osób, niektóre należące do najpierwszych familij rosyjskich.

Nie jest moją myślą zapuszczać się w większe szczegóły buntu tego ani w sprawę aresztowanych osób, historia o nich wyrzekła; wolę powrócić do Warszawy i o stanie umysłów stolicy polskiej w tym czasie kilka słów powiedzieć.

Pierwsza wieść o chorobie cesarza doszła tylko do Belwederu i tu wielką niespokojność sprawić musiała. Następny kurjer, wskutek polepszenia chwilowego wyprawiony, ożywił nadzieję wielkich książąt. Niecierpliwie wyglądali potwierdzenia tych nadziei, gdy kurjer z wiadomością o śmierci cesarza dnia 7. grudnia wpadł do Belwederu. Następstwa stąd wynikłe starałem się powyżej wyłożyć. Dnia 8. grudnia

Warszawa cała już o zaszłej katastrofie wiedziała. I tu zapytywano się, kto będzie cesarzem? Konstanty czy Mikołaj? lecz spokojność ani na chwilę powierzchownie naruszona nie została. Wiadomość ta sprzysiężonych naszych, przerażonych losem Łukasińskiego i jego towarzyszy, nieprzygotowanych trafiła. Nie mogli przeto naradzić się nad najstosowniejszymi w tej chwili środkami i przedsięwzięli czekać dogodniejszej pory. W Warszawie nastąpił oficjalny smutek. W. książę Konstanty zamknął się w Belwederze, nie przyjmując nikogo prócz poufałych domowników. Zabawy wszelkie ustały, teatru zamknięto, żałoba powszechna nakazana w wojsku i w cywilności. Towarzystwo przywdziało żałobę. Nic wśród publiczności jeszcze nie przebijało o niesłuchanej w dziejach walce pomiędzy braćmi. W jednej tylko Warszawie Konstantego cesarzem nie ogłoszono; domysłów było wiele, bajek jeszcze więcej, pewności nigdzie. Dopiero 1. stycznia 1826. roku manifest cesarski, datowany dnia 25 grudnia

Rok 1826. 1825. ogłoszony został. Odtąd wątpliwość wszelka ustała. Dnia następującego, to jest 2. stycznia, wojsko i administracya złożyły przysięgę Mikołajowi I. Tegoż dnia szczegóły o uśmierzonym buncie zaczęły się rozchodzić wśród publiczności.

Pod datą 1. stycznia W. książę Konstanty w liście, napełnionym wyrazami bezwarunkowego poddaństwa, w stylu wschodnim czołobitność swoją oświadczył nowemu monarsze. (Schnitzler na karcie 294. T. I. »Mémoires intimes« list ten całkowicie podaje). Kto powierzchownie śledził stan umysłów, nie znalazł żadnej różnicy w Warszawie; oddawano wprawdzie sprawiedliwość łagodnym przymiotom zmarłego cesarza, lecz zaufanie w szczerość jego zamiarów oddawna zupełnie stracono; żalowano go, a szczególnie kobiety, jako przyjemnego i nader ujmującego człowieka, lecz o przymiotach monarchy milczano. Nie brakowało jednak wniosków nad przyszłymi rządami Mikołaja. Jedni wąpili, aby chciał dotrzymać obietnic cesarza Aleksandra i zachować cieni konstytycyi, tak prawo-

witych Rosyan dotkliwie rażącej; drudzy, znając charaktery przeciwne Mikołaja i Konstantego, przewidywali burze i spodziewali się, że pierwszy nie zechce ulegać fantazyom brata tak dalece, jak to Aleksander dla własnej czynił spokojności, i oczy zwracali ku wschodzącej gwiazdzie, w nadziei, że nowy monarcha wiele nadużyć ukroci i wejdzie w skargi nasze. Lecz jedni i drudzy omylili się. Mikołaj bowiem na wstępie odezwał się do nas w sposób zupełnie zaspakajający: »Polacy! oświadczyliśmy, iż naszym niezmiennem życzeniem jest dalej prowadzić rządy ś. p. cesarza i króla Aleksandra. Tem samym zapewniamy was, iż instytucye, które wam nadał, zachowane wam będą. Wyprzedzając wasze życzenia, przysięgam i przed Bogiem przyrzekam zachować i starać się ze wszystkich sił moich o wykonanie nadanej wam przez niego karty konstytucyjnej!«

Cesarz więc, wyprzedzając akt koronacyjny, który dopiero dnia 24. Maja 1829. nastąpił, składał przysięgę zawarowaną przez konstytucyę i został uznany królem, niemniej jak W. książę Aleksander następcą jego, bez żadnych trudności. Ci, co myśleli, że Mikołaj ukrocic zechce fantazye i nieprawości W. księcia Konstantego, niemniej się oszukali, gdyż odtąd Konstanty samowolniej, aniżeli kiedykolwiek, zaczął nami trząść.

Niedługo potem zeznania aresztowanych osób południowej armii wykryły związek z polskimi Towarzystwami. Książę Antoni Jabłonowski, człowiek słabego serca, aresztowany został najpierwszy i przywieziony przed cesarza. On to, jak twierdzą, wyznać miał cesarzowi wszystko, co się snuło w Warszawie i w zabranych prowincjach.

Od tej chwili wszystko inną przybrało postać w Warszawie; policyę tajną powiększono, ostrożności nadzwyczajne zaczęto rozwijać; niektóre osoby nieznacznie oddano pod dozór policyi. Podpułkownikowi Prądzyńskiemu, kierującemu robotami około kanału Augustowskiego, kazano stawić się w Warszawie. Wsiadł w mieszkaniu mojem na Miodowej ulicy i kilka tygodni u mnie pozostał. Z niespokojności, jaka

się na jego twarzy malowała, poznałem odrazu całe niebezpieczeństwo jego położenia. Tem mocniej postanowiłem nie opuszczać dawnego przyjaciela i bronić go według możliwości mojej. Nazajutrz po przyjeździe Prądzyński stawić się musiał u W. księcia i tu pierwsze odbył przed nim badanie. Nie zwierzył mi się wprawdzie ze szczegółów swojej rozmowy z W. księciem, lecz z jego pomieszenia zgadnąć mogłem, że była burzliwą. Od tej chwili codziennie niemal wołany był do W. księcia i do komisarza cesarskiego Nowosilcowa i o stosunki z księciem Jabłonowskim i z Towarzystwami rosyjskimi pytany. Z początku każdego udziału zaprzeczył, lecz gdy W. książę słowem honoru zapewnił go, iż o wszystkich stosunkach towarzystw jest naszych zawiadomiony i wyznaniem księcia Jabłonowskiego o tem go przekonał, słabnąć podobno począł i do niektórych szczegółów mniej ważnych się przyznał, zamilczywszy główniejsze.

Pocieszałem ile mogłem przyjaciela, i otuchę, której sam nie miałem, starałem się wlać w jego duszę. W parę tygodni żona jego, z domu Rudkowska, przed kilku miesiącami z nim połączona, przybyła z Augustowa. Prądzyński opuścił mieszkanie moje i stanął z nią razem w hotelu Wileńskim. W kilka dni potem tamże aresztowany w nocy został. Wyrwany z objęcia czulej małżonki, zawieziony został do więzienia Karmelitów, skąd dopiero po trzech latach i trzech miesiącach ciężkich cierpień wyjść miał na wolność. Tejże samej nocy uwięziono podpułkownika strzelców konnych gwardyi, Seweryna Krzyżanowskiego, kasztelana Stanisława Sołtyka, Romana Załuskiego, dawnego adjutanta W. księcia, księdza Dembka, referendarza Wojciecha Grzymałę, Plichtę, Cichockiego, porucznika saperów Sabińskiego i wielu innych.

Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie jeszcze liczniejsze aresztowania nastąpiły: panowie Sobański, Marcin Tarnowski, Piotr Moszyński, Worcell, Aleksander Chodkiewicz, Wiktor Ossoliński, osoby do najpierwszych rodzin polskich należące,

uwięzione zostały, a to w skutku zeznań księcia Antoniego Jabłonowskiego.

W marcu 1826. roku na rekwizycję rządu polskiego aresztowano w Księstwie Poznańskim generała Umińskiego, Macieja Mielżyńskiego i szwagra mojego, Józefa Krzyżanowskiego. Wszystkich trzech pod strażą zaprowadzono do Torunia.

Wskutek tych uwięzień W. książę rozkazał utworzyć komitet śledczy z następujących osób: hrabia Stanisław Zamoyski, prezes senatu, jako przewodniczący, pan Nowosilcow komisarz cesarski, generał Hauke minister wojny, hrabia Stanisław Grabowski minister oświecenia, kasztelan Franciszek Grabowski, pan Mohrenheim, generałowie Kołzakow, Uryszow i generał Rautenstrauch, jako trzymający pióro.

Takiż sam komitet, złożony z najznakomitszych członków rady państwa, senatu i wojska, zasiadł w Petersburgu pod bokiem cesarza.

Aresztowane po prowincjach i w Wielkiem Księstwie Poznańkiem osoby sprowadzono wkrótce do Warszawy i w rozmaitych ulokowano więzieniach.

Szwagier mój Krzyżanowski przybył także do Warszawy pod strażą pruskiego komisarza policyi Krygiera i kilku przybocznych żandarmów i stawiony został przed komitet.

Posiedzenia komisji odbywały się w pałacu Bryłowskim, z pewną wystawnością. W jednej sali, rzęsiście oświeconej, zasiadali członkowie komitetu w orderach swoich przy długim zielonym stoliku. Wieczorem przywożono kolejno oskarżonych, którym miejsce robiono przy tymże samym stole; podawano herbatę wokoło, rozmowa obojętna jaknajgrzeczniej toczyła się pomiędzy zasiadającymi w komitecie i obżalowanymi osobami, jakby tu o głowy ostatnich nie szło, a po niejakiem czasie przystępował prezes do zadawania pytań.

Przyszła kolej i na Prądyńskiego. Wyrzeczone w sła-bej chwili zeznania przed W. księciem, stawiono mu przed oczy. Za powrotem swoim do więzienia gorzkie zaczął sobie

robić wyrzuty; dręczony położeniem swoim, przygnębiony samotnością więzienia i niepewnością o przyszłość, upadał coraz bardziej na umyśle i oddawał się niewczesnej rozpaczce. W obawie, aby jego poprzednie zeznania nie zaszkodziły któremu z towarzyszków, odwołał wszystko; sam zaś, nie dowierzając swojej słabości, przedsięwziął śmierć sobie zadać. Przez trzy dni żadnego nie przyjął pokarmu. Trzeciego dnia znaleźli go dozorecy bez przytomności. Przywołano doktorów, generał Kuruta sam przybył do jego celi z polecenia W. księcia, z zaręczeniem amnestyi; dopiero napomnienia czcigodnego księdza i pamięć na osoby jego sercu drogim przemogły na nim i skłoniły do przyjęcia pokarmu. Odtań z większą rezygnacją poddał się losowi swemu i zapomocą książek, które mu później dostarczono, starał się zappełnić samotne chwile. W tem to odosobnieniu postanowił porzucić na zawsze stan wojskowy i zwrócić się do gospodarstwa wiejskiego, którego szczęście, marzone wówczas, nie miało się dla niego ziścić. Tu także na rozkaz W. księcia zając się musiał projektem do wojny z Austryą. Zdrowie Prądzyńskiego od dawnego czasu nadwątłone, odebrało natenczas najmocniejsze ciosy; tu położony został zaród tych wszystkich cierpień, które go przez 25 lat życia dręczyć nie przestały. Umysł jego, do melancholii skłonny, przez wyrwanie nagłe z domowego szczęścia ucierpieć musiał i stracić nieco tego hartu, tak pożądanego w okolicznościach ważniejszych.

W kwietniu roku bieżącego mieliśmy w Warszawie księcia Wellingtona z Petersburga. Cała załoga wystąpiła na jego przyjęcie. Przedstawiono mu na pokojach w zamku oficerów wszelkiej broni. Przyjął nas w mundurze feldmarszałka rosyjskiego, darowanym przez nieboszczyka cesarza; a że na miarę cesarza był robiony, a marszałek wyschnięty był jak Nabob indyjski, wydał nam się jak w worku. Powierzchność Wellingtona nie miała zresztą nic znakomitego ani też ujmującego. Trudno nam było uznać w nim zwycięzcę pod Salamanką, Witteryą i Waterloo. To tylko o nim pamięć-

tam, że rysy miał do chińskiego bożyszczka podobne i jego tysiączne ukłony!

Po Wellingtonie widzieliśmy w Warszawie arcyksięcia Ferdynanda d'Este, powracającego również z Petersburga. Ostatniego spotkałem w salonie pani Stanisławy Potockiej. Towarzyszył mu pułkownik Clam, znany później z dyplomatycznych misyi. Niemiłe musiały być arcyksięciu wspomnienia Warszawy z roku 1809., lubo miasto jego umiarkowaniu i karności, jaką w wojsku austryackiem przestrzegał, wiele wdzięczności winno.

Od śmierci Aleksandra ustały moje wizyty w Belwedrze. Po wprowadzeniu się Prądzyńskiego do mojej kwatery, sam czułem drażliwość mojego położenia wobec W. księcia i pod pozorem żałoby zachowałem się biernie. Wkrótce po aresztowaniu Prądzyńskiego odebrałem od jenerała Haukego, dowódcy mego wezwanie, abym złożył deklarację, czy nie należę do jakiego towarzystwa tajnego; takież same wezwanie odebrał pułkownik Skrzynecki i kilku innych oficerów, na których W. książę miał większe podejrzenie. Złożyłem deklarację z całą otwartością mego charakteru, wiedząc dobrze, iż takim postępowaniem wyprowadzę W. księcia z wszelkiej wątpliwości o moich zamiarach. Przyznałem więc, iż z Gustawem Małachowskim i Prądzyńskim założyliśmy w roku 1816. towarzystwo tajne pod nazwą Przyjaciół Polskich; cele tego towarzystwa określiłem troskliwością o naszą narodowość, wyłączając wszelkie inne, rządowi przeciwne dążności. Deklaracja ta oddana została nazajutrz W. księciu, który przeczytawszy ją powiedział do księżnej Łowickiej: »Zansiu, twój kuzyn także do tego należy, jest założycielem!« Więcej o tem nie było już mowy, lubo W. książę od tego czasu długo na mnie ukośnie patrzył.

Deklaracya
moja.

Wyznać jednak muszę, iż przez niejakiś czas nie byłem bez obawy, czy nie spotka mnie los Prądzyńskiego i czy W. książę sympatyi, okazywanej przyjacielowi, odpokutować nie każe kilkumiesięcznem więzieniem u Karmelitów.

W. ksiązę, którego obecność potrzebną była w Warszawie, nie mógł się znajdować w czasie żałobnego obchodu ś. p. cesarza Aleksandra w marcu 1826. roku w Petersburgu; nie chcąc jednakże nic na tem stracić, umyślił paradę pogrzebową wyprawić w Warszawie. Całe miasto przybrało na ten obrządek postać żałobną. Duchowieństwo katolickie, zakony, bractwa, cechy, senat, urzędnicy, wojsko, w pochodzie żałobnym wyprzedzało świetną trumnę, wystawioną na paradnym karawanie, w której znajdował się kompletny ubiór generalski nieboszczyka cesarza. Przy odgłosie dzwonów, muzyki wojskowej i huku dział, wprowadzono trumnę do kościoła katedralnego świętego Jana. Arcybiskup, ksiądz Wronicz, wyszedł naprzeciw niej na czele duchowieństwa katedralnego z kadzidłem i święconą wodą, ustawił trumnę na pysznym katafalku, ustrojonym koroną cesarską. Nazajutrz odśpiewano mszę żałobną z wigiliami i konduktem w przytomności W. księcia. Osób 200, pomiędzy którymi wielu znajdowało się amatorów, pod kierunkiem Kurpińskiego odegrało Requiem Mozarta. Arcybiskup z ambony przemówił stosownie do okoliczności, wyniosło i rzewnie, z wdzięcznością wynosząc cnoty zmarłego.

W. ksiązę tak był zadowolniony z tej reprezentacyi, iż na jego żądanie nazajutrz powtórzyć ją musiano. Tym razem pod dyrekcją Soliwy odegrano *requiem* znakomitego kompozytora Kozłowskiego, które mocniejsze może wrażenie zrobiło na słuchaczach, aniżeli *requiem* Mozarta.

Tymczasem komisya śledcza petersburska, ukończywszy prace swoje, złożyła raport cesarzowi dnia 11. czerwea. Brakowało jeszcze wyroku na winnych. Z rozkazu cesarskiego trzy główne korporacye państwa sąd składać miały; rada imperii, senat i święty Synod. Przydał do nich cesarz 15 osób z wyższych stopni wojska i cywilności. Sąd ten najwyższy, rozpoznawszy sprawę, podzielił winnych na 12 kategoryj i wyrok swój ostatecznie wydał dnia 12. lipca. Cesarz mani-

festem swoim kary dla wielu złagodził i tylko karę śmierci dla pięciu najwinniejszych potwierdził.

Dnia 25. lipca stracono w cytadeli petersburskiej na szubienicy następujące pięć osób: Rylejew, Kachowski, Pestel, Bestużew Rumin, Sergiej Murawiew Apostoł, — 116 innych spiskowych posłano na Sybir do kopalni na całe życie, albo na posilenie na czas długi, lecz ograniczony. Wiele żon towarzyszyło mężom na wygnanie, między innymi księżna Trubecckoj i Wołkońska, panie Naryszkin, Aleksandra Murawiew i wiele innych.

Dnia 3. września odbył się w Moskwie oddawna zapowiedziany, lecz z powodu żałoby po śmierci cesarzowej Elżbiety i niewypełnionego jeszcze wyroku, odłożony akt koronacyjny cesarza Mikołaja z niesłychaną pompą. W. książe Konstanty udziałem swoim na tym obrzędzie chciał przekonać świat jeszcze bardziej o szczerości swoich zamiarów.

Całe wzięcie jego odznaczało się godnością i uległością dla nowego monarchy. Tym razem zasłużył sobie niezaprzeczenie na oklaski powszechne, które go wszędzie, gdzie tylko się okazał, spotykały. Przytomni temu aktowi, marszałek Marmont z świetnem gronem oficerów i wielu innych nadzwyczajnych posłów zagranicznych mocarstw, w październiku przejeżdżali przez Warszawę dla złożenia hołdu swego W. księciu.

Tego roku ¹⁾ zatrudniłem uczniów w okolicy Warszawy rozmiarami, poligonem praktycznym artylerji i robotą ogni wojennych w laboratorium.

Jubileusz
szkoły
w jesieni 1826.

¹⁾ W końcu lipca roku bieżącego nastąpiły zwyczajnym trybem egzamina i promocyje uczniów szkoły aplikacyjnej. Następujący uczniowie III oddziału postąpili: Stanisław Rzewuski do artylerji pieszej; Hieronim Jaraczewski do artylerji konnej; Julian Malczewski do pułku 4. piechoty liniowej; Jan Świeszewski do pułku 4. strzelców pieszych; Karol książe Maurocordato do artylerji konnej gwardji rosyjskiej; Paweł Rylski po artylerji pieszej; Maciej Strzemieczny do pułku 4. strzelców pieszych; Aleksander Stryeński do pułku 1. strzelców pieszych; Ludwik

Sam korzystałem z wolniejszych chwil, ażeby się wydoskonalic w sztuce pływania w szkole Marymonckiej, pod dyrekcją podpułkownika z kwatermistrzostwa jeneralnego, Walentyna d'Hauterive, której początki brałem już zeszłej jesieni.

Sapery pod moją dyrekcją zaczęli także sypać na wzgórzach piaszczystych naprzeciw obozu front bastyonowy z półksiężycem i drogą krytą, których pożytek w roku 1828. się okazał.

Nasze zbiory modeli i biblioteka, z funduszy przeznaczanych corocznie na te przedmioty i z oszczędności komendanta szkoły, zbogacały się coraz bardziej. Zbiór ten obejmował modele armat i wozów amunicyjnych różnych krajów, w zmniejszonej podziałce; koźły i łoża kongrewskie, maszyny służące do fabrykacji prochu i broni, modele fortyfikacyjne, zbiory zworników gipsowych do rozmaitego rodzaju sklepień: silnie różne, proste, od drąga do wielokrążków; aparaty fizyczne, tyżące się elektryczności, magnetyzmu ziemskiego, elektro-magnetyzmu, optyki, hydrostatyki i hydrodynamiki; chronometr piękny francuski Bregmeta, narzędzia miernicze i astronomiczne od stolika do koła Berdy i do koła uniwersalnego (to ostatnie narzędzie, wykonane przez mechanika Jaworskiego w Wiedniu, kosztowało nas 6 000 złotych); zbiór minerałów i materiałów budowniczych, wybór odczynników chemicznych, najgłówniejsze retorty i piece do chemicznych doświadczeń, metr oryginalny paryski, nareszcie modele machin parowych. Biblioteka niemniej z każdym wzrastała rokiem.

W osobach profesorów ta tylko zaszła zmiana, iż w miejsce preparatora chemii, pana Nowickiego, przybył nam Jan Kanty Krzyżanowski, profesor uniwersytetu; a w miejsce podpułkownika Rossmanna, odkomenderowanego na szefa robót do

Bagniewski do artylerji pieszej; Feliks Dembiński i Władysław książę Czetwertyński do artylerji konnej. Z pomiędzy tych 11 uczniów czterech posunięto do piechoty dla braku miejsca w broniach uczonych.

Wstąpili do I. oddziału: Zdzisław hrabia Zamoyski, Hasferd, Julian Borchardt, Donéy, Garczyński i Redel, wszysey z Kalisza.

Augustowa, porucznik inżynierów Pancer, zdatny, a osobiwie w mechanice praktycznej biegły oficer.

Na początku 1827 roku pani Kościelska po raz trzeci zawitała do Warszawy, tym razem ^{Pani Kościelska w Warszawie.} z dwiema córkami, Michaliną i Józefą. Uprzedzony o jej przybyciu, pospieszyłem oddać moją wizytę i kilka wieczorów u niej mile przepędziłem. Znalazłem tedy lepszą sposobność poznania panny Michaliny, której obraz nie bez wrażenia został mi w pamięci. Wkrótce uczułem rzeczywisty pociąg w jej rozmowie; odkrywałem za każdą bytnością nowe ujmujące u niej przymioty: łagodność charakteru, uprzejmość w obcowaniu, serce czułe, umysł wykształcony obok znakomitego dowcipu; wszystkie te zalety nie przyciemniały jednakże wrażenia powierzchowności, gdyż ta była nader ujmującą. Spostrzegłem na jej twarzy z prawdziwym żalem też same ślady cierpień, które mnie dawniej niepokoiły; zapytałem się z stroskliwością o jej stan zdrowia, odpowiedziała smutno wskazując na piersi, Ems, jako cel bliski podróży naznaczając. Pamiętam, iż pod wrażeniem jej cierpień tych kilka słów prostych do niej wymówiłem: »jeżeli błagania uczciwego człowieka u Boga mogą znaleźć posłuch, może pani na nie rachować«. Te słowa, do modlitwy podobne, stały się pierwszym węzłem naszych uczuć! Wiem, że ich nie zapomniała. Od tej chwili czułem coraz mocniej, że los tej osoby z losem moim spletać się zaczyna. Jakieś tajemne przeczucie, że tylko moje starania uzdrowić ją potrafią, przenikało moją duszę. Od tej to chwili nie przestałem zajmować się nią ciągle, myślą gonić za jej obrazem, jednym słowem, żyć jej życiem. Lecz jakże daleko jeszcze było od tej godziny, w której z pierwszych mych wrażeń zdać sobie mogłem sprawę. aż do tego pożądanego momentu, gdzie przekonać się mogłem, iż moje uczucia były podzielane. Panna Kościelska odjechała zostawiwszy mnie w tęsknocie i zamysleniu.

Komitet śledczy tymczasem postępował w swoich pracach. Liczba aresztowanych osób z każdym ^{Sąd sejmowy.}

dniem rosła. Uwięziono Gustawa Małachowskiego, adjutanta W. księcia Michała Mysielskiego, Romana Sołtyka i wiele jeszcze innych osób. Więzienia przepelniać się zaczęły. Jenerała Umińskiego, Macieja Melżyńskiego i Józefa Krzyżanowskiego odwieziono napowrót do Torunia, gdzie według praw pruskich mieli być sądzeni. O Prączyńskim tyle tylko dowiedziałem się, że nie jest tak mocno skompromitowany, jak się z początku zdawało i że żona odbiera od niego częste wiadomości. Zresztą ponura cisza panowała w Warszawie.

Rok 1827.

Pomimo tych przeszkód senatorowie zebrali się *in pleno*, na czele mając biskupów. Książę Adam Czartoryski z Włoch przybył na posiedzenie. Odczytano naprzód akt oskarżenia i wnioski prokuratora jeneralnego, pana Wyczachowskiego. Rozpoczęły stę potem badania obwinionych; nareszcie obrońcy, z pomiędzy pierwszych mecenasów wybrani, odczytali swoje obrony. Przystąpiono w końcu do głosowania: Książdz Bierzyński, biskup sandomirski, najpierwszy dał głos swój w następujący sposób: podniósłszy do góry krzyż z piersi zdjęty zawołał donośnym głosem, który się rozległ po całej sali: Na tego ukrzyżowanego Boga przysięgam: oni są niewinni! Za tym świątobliwym mężem poszli jednogodnie wszyscy senatorowie, wyjąwszy jednego Wincentego Krasin-skiego; ten wyrzekł: »winni«.

Z ponurem czołem patrzył się W. książę na te oznaki; widział on w nich tylko obrazę cesarskiego majestatu i urąganie z własnej władzy. Zapomniał o tem, iż żadnego u nas dotąd prawa nie było, któreby myśl a nie uczynek karało.

Prawo milczało w tym względzie; musieli się sędziowie do jego litery stosować, uniewinniając oskarżonych. Pamiętny ten wyrok, który tak wielki miał wpływ na późniejsze wypadki, wydany został dnia 17. października roku 1827.

W tym roku spotkało szkołę prześladowanie nowego rodzaju. Na początku czerwca, wśród pre-<sup>W. książę roz-
wiązuje szkołę.</sup>lekcyi, przyszedł nagle rozkaz od W. księcia zwi-
nięcia szkoły i wysłania uczniów do obozu pod Powązkami, gdzie rozdzieleni po pułkach, pełnić mieli służbę prostych żołnierzy. Długi czas nie pojmovaliśmy przyczyny tak dziwacznego rozporządzenia; dopiero później dowiedzieliśmy się,

iż jeden ze służących szkoły, podsłuchawszy uczniów, donieść miał jakąś płochą, jako młodych rozmowę. Niektórzy uczniowie przypisywali to całe zdarzenie denuncyacji dawnego kolegi, księcia Maurocordato, oficera artylerji gwardji rosyjskiej, którego ponury i skryty charakter grecką fides przypominał.

Jenerał Hauke, zmartwiony tym rozkazem i sam jako ojciec przewidujący upadek moralny uczniów, pomiędzy którymi miał sam jednego syna, odważył się przedstawić W. księciu złe skutki, jakie stąd wyniknąć muszą dla ich obyczajów, lecz odebrawszy od niego następującą odpowiedź: wiem, że to jest czyn barbarzyński, ale nie cofnę go: — zamilezeć musiał.

Rozebrani pomiędzy pułki uczniowie pozostali w obozie aż do końca manewrów jesiennych. Wystawić sobie łatwo można, jaką szkodę z tego pobytu pomiędzy niesforem żołdactwem odnieśli. Nie jeden ze zwątlonem zdrowiem powrócił. Biedne matki były szczególnie do pożałowania. Panie: Zamoyaska, Rzewuska, Potocka, Czetwertyńska, udały się do księżnej Łowickiej, lecz nic nie wskórały. Pozostało się w latach następnych przy temże samem rozporządzeniu z pewnemi jednakże korzystnemi modyfikacyami.

W czasie pobytu uczniów w obozie miałem więcej chwil wolnych, które obróciłem na prace prywatne. W końcu września dopiero wrócili uczniowie do szkoły; dozwolono im kilka dni spoczynku dla przygotowania się do egzaminów. Te odbyły się zwyczajnym trybem, a po nich nastąpiły promocye ¹⁾.

¹⁾ Postąpili z III. oddziału na podporuczników następujący uczniowie: Tomasz Potocki do artylerji konnej; Konstanty Nynkowski do pułku 3. strzelców pieszych; Aleksander Paszkowski do artylerji pieszej; Franciszek Leduchowski do 6. pułku liniowego; Konrad Burchard do 2. pułku liniowego; Bazyl Kleczeński do batalionu saperów; Adolf Gerszow do korpusu inżynierów; Borys Czetwertyński do 2. pułku ułanów; Leon Rzewuski do artylerji konnej; Feliks Szmidecki do artylerji pieszej; Ludwik Jonnes do korpusu inżynierów.

Lecz wróćmy do sądu sejmowego w Warszawie. Pierwszym krokiem W. księcia wobec wyroku senatu, było wstrzymanie wykonania i zakaz publikacji. Żadnego z polskich oskarżonych nie kazał wypuszczać na wolność i do decyzji cesarskiej się odwołał.

Tymczasem senatorom nie pozwolił powracać do swoich domów i jakby w kwarantanie postanowił ich trzymać w Warszawie aż do nadejścia decyzji z Petersburga. Tym sposobem i sędziowie i oskarżeni zarówno wolności pozbawieni, czekać musieli, aż W. księciu spodoba się wybawić wszystkich. Cesarz nastrojony przez brata, rozkazał radzie administracyjnej sprawdzić właściwość wyroku i przekonać się, czyli z literą prawa się zgadza, a tymczasem senatorom oświadczył nieukontentowanie swoje najwyższe. Po długich naradach i zwłokach, rada administracyjna na wniosek księcia Lubeckiego, i pomimo oporu W. księcia i pułkownika Nowosilcowa, zgłębiwszy całą sprawę i rozpatrzywszy się w kodeksie prawnym, uznała, iż senat innego nie mógł wydać wyroku. Lecz dopiero dnia 18. marca 1829. cesarz wydać raczył ostateczną deklarację, na mocy której wyrok senatu stać miał się prawomocnym. Uwięzieni uwolnieni nareszcie zostali, wyjąwszy podpułkownika Seweryna Krzyżanowskiego, którego z Warszawy wywieziono i pod sąd wojskowy, jako poddanego rosyjskiego oddano (był bowiem na nieszczęście swoje rodem z Ukrainy). Krzyżanowski skazany został na Sybir na całe życie. Umarł w Tobolsku roku 1839. w obłąkanym stanie. Senatorowie zatem trzymani byli w Warszawie od 17. października 1827. aż do 18. marca 1829, to jest półtora blisko roku, bez względu na uszczerbek majątkowy, jaki przez to ponieść mogli.

Do I. oddziału wstapili: Leszczyński, Krukowski, Kierwiński, Klicki, Kleczkowski, Czarnowski, Stokowski, Wasilewski i Szczepanowski z korpusu kadetów kaliskich.

Duch publiczny w Warszawie najmocniej objawił się w czasie obrzędu pogrzebowego wojewody Bielińskiego, w jesieni 1827. roku. Przy tej okazji książe Adam Czartoryski publicznie pierwszy raz wystąpił, i w mowie improwizowanej pogrzebowej zasługi zmarłego wojewody wyniósł. Nikt się nie spodziewał ani tej odwagi, ani tak wielkiego talentu. Warszawa zaczęła większy hołd oddawać uczuciom patryotycznym księcia Adama i wymowę jego uwielbiać.

W jesieni tego roku następujące zdarzenie naruszyło moją spokojność.

Zdarzenie z księciem Maurocordato. Książe Maurocordato, zadowolony z szczęśliwego powodzenia syna starszego, Karola, w naszym instytucie i z jego szybkiego awansu, umyślił dwoma młodszymi synami nanowo nas obdarzyć; udał się więc do generała Kuruty i przez niego wyrobił u W. księcia rozkaz przyjęcia ich do naszej szkoły.

Przepisy, do których się dotąd ściśle stosowano, wymagały, aby kandydaci pochodzili ze szkoły kadetów kaliskich, a przynajmniej, aby zdatność swą ściśłym egzaminem udowodnili. Synowie księcia Maurocordato liczyli dopiero 10 i 12 lat; żadnym nie mówili językiem prócz greckim; początków nawet arytmetyki nie posiadali, o innych naukach wcale nie mówiąc. Po 3 lub 4 latach usilnej pracy w szkole, odpowiadającej stopniowi ich nauk, spodziewać się było można, że się wykształcą, nauczą języków i będą w stanie złożyć przepisany egzamin. Lecz szkoła aplikacyjna nie była szkołą elementarną dla żaków, lecz uniwersytetem wojskowym dla dojrzałszej młodzieży. Cel jej byłby zatem zupełnie chybiony, gdyby się zniżyła do pierwszej klasy szkoły kadetów w Kaliszu. To wszystko przedłożyłem ojcu i generałowi Hauke; pierwszy na to najzimniej odpowiedział: W. książe tak rozkazał! Drugi, zrażony tylu przeciwnościami, osobliwie zaś zeszłorocznem rozprzężeniem szkoły, ruszył tylko ramionami!

Ubodło mnie to jaknajmocniej, i za pierwszym spotkaniem starszego syna, Karola Maurocordato, oficera w artylerji konnej

gwardyi rosyjskiej, oświadczyłem mu zadziwienie moje, iż on sam, znając najlepiej przeznaczenie naszego instytutu i trudności, przez które sam przechodzić musiał, nim się z pierwszemi elementarnemi wiadomościami obznajmił, mógł ojcu taką dać radę. Lecz on, bez względu na nasze 4-letnie stosunki, rozzu-



NOWOSILCOW.

(Wedle sztychu, przechowanego w petersburskiej akademii nauk).

chwalony protekcją generała Kuruty, jeszcze chłodniej od ojca odparł: W. książę tak rozkazał!

Odpowiedź taką, wykluczającą wszelką dyskusję, uważać musiałem za proste urąganie się z naszego położenia. Tymczasem chłopcy greccy wstąpili do szkoły. Musiał Sowiński dla nich osobną elementarną klasę urządzić i z oszczędno-

ści, przeznaczonej na książki i modele, płacić metrów osobnych czytania, pisania, rachunków i języków.

W kilka dni potem brat starszy Karol, odwiedził ich w szkole. Dowiedziawszy się o jego bytności, kazałem go do siebie poprosić, ażeby sam na sam z nim się jeszcze raz rozmówić i wystawić mu nieprzyjemności, jakie z powodu nieusposobienia jego braci dla nas wynikną.

Ledwie zacząłem o tej materyi, gdy pan Maurocordato tonem zupełnie nieprzyzwoitym na nowo rzucił mi te słowa: W. książę tak rozkazał! — Tak, zapewne, książę tak rozkazał — odpowiedziałem mu, lecz tylko na prośbę ojca pańskiego, który się nie zastanawiał, że nie jesteśmy na to, ażeby uczyć czytania i pisania braci pańskich, którzy nie są czem innym, jak tylko dziećmi. Szkoła aplikacyjna potrzebuje ludzi ukończonych! Byłoby rozsądniej z jego strony, a korzystniej dla synów, gdyby był prosił, jako o łaskę, o prawo posłania ich na 3 lub 4 lata do Kalisza; i oni by z tego skorzystali i my także.

Na te słowa zaczął Maurocordato głos coraz bardziej podnosić i zuchwale wołać kilka razy: W. książę chce tak!

— Zapominasz pan o szacunku, jaki mi winien jesteś — odparłem — i proszę uspokoić się, a nadewszystko nie podnosić głosu!

Lecz przekłęty Grek coraz w większy zapal wpadając, żadnego już nie miał pomiarkowania. W obawie, aby tej sprzeczki nie usłyszano na ganku i aby kto obcy nie wszedł, zamknąłem drzwi moje na klucz i sam jeszcze raz do niego surowo rzekłem: zalecam panu po raz ostatni milczenie, bo w przeciwnym razie zawołam oficera dyżurnego i każę pana arestować! Dopiero teraz zaczął blednąć i szukać wyjścia. Lecz klucz był w moim ręku. — Czegoż pan się obawia u mnie? — zawołałem: czy pan mnie nie znasz; zapominasz, czem byłem dla pana! Widząc nareszcie wzrastające jego pomieszenie, otworzyłem drzwi i odurzonego Greka wypuściłem.

Ta scena niesłychanie mnie oburzyła! Czy miałem milczeniem pokryć tak wielkie uchybienie ze strony młodego człowieka, którego przez lat cztery jak syna pielęgnowałem, dlatego tylko, że miał protekcję W. księcia i był oficerem rosyjskim! Czułem się obrażonym i w osobie i w stopniu moim. Postanowiłem zatem opowiedzieć całe zdarzenie pułkownikowi Sowińskiemu, jako bezpośredniemu dowódcy mojemu. Ten zameldował rzecz generałowi Hauke, który po rozważeniu wszystkich stosunków, napisał do generała Kuruty, żądając ukarania księcia Maurocordato.

Lecz następnego dnia, o godzinie wieczornej, weszli do mojej stancyi dwaj oficerowie rosyjscy, koledzy księcia Maurocordato z żądaniem satysfakcyi za wyrządzony gwałt jemu we własnem mem mieszkaniu!

Odpowiedziałem tym panom, że ksiączę Maurocordato żadnego pokrzywdzenia ani ujmy honoru odemnie nie doznał; iż przeciwnie całe postępowanie jego względem mnie było najnaganniejsze, a ponieważ i stopniowi memu ubliżył, z tego też powodu zajście z nim wyższej władzy już zameldować musiałem. Co do wyzwania, o tem pomówimy po ukaraniu ich kolegi; teraz, jak rzeczy stoją, o tem myśleć jeszcze nie można, gdyż albo on, albo ja musielibyśmy wziąć wprzód dymisyę, a natenczas dopiero satysfakcyi bym nie odmówił.

Tymczasem koledzy księcia Maurocordato rozgłosili swoją wizytę u mnie i o pojedynku zaczęli jawnie mówić. Policya wojskowa, czujna na takie zdarzenia, doniosła o tem generałowi Kurucie. W. ksiączę oburzony z tego powodu miał zwołać: jest to przecież ojcobójstwo, Kołaczkowski wszak był mu jak ojcem, lat cztery!

Z rozkazu W. księcia zwołany został sąd wojenny. Wyrokiem jego ksiączę Maurocordato i sekundanci skazani zostali na kasacyę, którą przez wzgląd na ich młodość, za wstawieniem się mojem, W. ksiączę zamienił na translokacyę z gwardyi do liniowej bateryi.

Zdarzenie to różnie tłumaczono w Warszawie; większa część i to rozsądniejszych przyznała, iż trudno mnie było inaczej postąpić; młodszy, zwłaszcza rosyjscy oficerowie, przeciwnie sądzą, iż się satysfakcyja ich koledze należała. Z biegu opowiadania okazuje się, iż odmawiać jej nigdy nie myślałem.

W końcu roku bieżącego brat Adam, za wstawieniem się księżnej Łowickiej, pozyskał posadę komisarza obwodowego w Augustowskim powiecie, odpowiadającą miejscu dawnego podprefekta, z pensją 4,000 zł. Udał się na miejsce przeznaczenia swego, opatrzony braterskimi z mojej strony przestrogi.

Tej także jesieni zabrałem znajomość z panią Sokołowską, z domu Sierakowską, cioteczną siostrą pani Kościelskiej, a temsamem ciotką panny Michaliny. List rekomendacyjny pani Kościelskiej ułatwił mi tę znajomość.

Pierwszych dni lutego, uprzedzony listownie Rok 1828. przez panią Kościelską o przybyciu córki Michaliny z ciotką Sokołowską do Warszawy, w celu poradenia się doktorów, pospieszyłem do pani Sokołowskiej z pierwszą wizytą. Mieszkała w domu Pszennego na Krakowskim Przedmieściu. Doznawszy względnego przyjęcia, zacząłem częściej u niej bywać i wieczory wolne od pracy poświęcać przyjemnemu towarzystwu i nadziejom, które mi się otwierały. Teraz dopiero oddać się mogłem zupełnie osobie, którą mi Bóg łaskawy przeznaczał za towarzyszkę życia. Serca nasze zaczęły się zbliżać i porozumiewać, nadzieje moje z każdym dniem rosły; poznałem dopiero teraz, ile skarbów zawiera to czułe serce i z niewypowiedzianą radością odkryłem, iż nie jest dla mnie obojętną. Chwila nareszcie nadeszła, w której postanowiłem wyjawić jej moje uczucie. Było to jednego wieczora, gdy siedząc przy fortepianie, akompaniowałem jej w śpiewie. Z nieśmiałością zacząłem tłumaczyć moją przychylność. Zarumieniła się na to oświadczenie, lecz nie okazała żadnej niechęci, a gdy prosiłem o pozwolenie udania się o jej rękę do rodziców, pozwoliła na to i odwo-

łała się, jak posłuszna córka, do ich decyzji. Nie mogłem więcej żądać i od tej chwili już nie wątpiłem o jej wzajemności. Przymorna naszej rozmowie pocziwa ciotka z rozrzewnieniem przypatrywała się naszemu pomieszaniu i obiecała donieść o moich zamiarach rodzicom panny Michaliny. Lecz list niezręcznie napisany, więcej zaszkodził, aniżeli dopomógł.

Po tej deklaracji, wiążącej mnie na całe życie, bywałem codzień u pani Sokołowskiej, mile zawsze przyjęty, wyglądając wiadomości od pani Kościelskiej. Wkrótce sama przybyła; po jej uprzejmym przywitaniu, poznać mogłem, że związek naszych serc oddawna zgadła i że się spodziewała tego stanowczego z mej strony kroku. Oświadczyła mi jednak, iż zamiarów męża względem córki dotąd nie poznała, obiecała atoli wzbudzić jego zdanie, pracować nad jego umysłem i starać się przez wspólnych przyjaciół skłonić go ku mnie. Lecz na to wszystko żądała czasu. O wytrwałości mojej wątpić nie mogła. Pozyskawszy serce drogiej osoby, ślubowałem Bogu poświęcić dla niej całe moje życie i wszelkie przeszkody, jakieby mnie spotkać mogły, stałością zwyciężyć. Rodzice moi, uprzedzeni oddawna, błogosławili moim zamiarom; z ich więc strony żadnych nie spodziewałem się trudności. Największe spotkać mnie miały ze strony pana Kościelskiego, tak ze względu majątkowego, jak i ze stanowiska mojego służbowego. Pierwszy nie znajdował za odpowiadający majątkowi córki; drugim był zawsze przeciwny. Pani Kościelska po kilku dniach, spędzonych w Warszawie, w końcu lutego, wśród wielkich mrozów, wyjechała do domu. Pożegnanie z panną Michaliną było bardzo ciężkie z mej strony, lecz i ona dała mi uczuć, ile cierpi na tem pierwszym rozstaniu naszym. Nic już zapełnić nie mogło tej próżni, jaką po tylu dniach uroczych, przy jej boku tak szczęśliwie spędzonych, doznałem w mojej samotności; jedna ta myśl tylko, iż bliższym jestem pożądanego celu, aniżeli przed rokiem, ożywiała moje nadzieje i pozwoliła zająć się na nowo obowiązkami mojego powoła-

nia. Do tego przyczyniła się nadewszystko zawiązana regularnie, w przychylniej dla nas myśli, korespondencya z panią Kościelską.

Rok 1828. pamiętnym stał się dla Rosyi z powodu tureckiej wojny. Początkiem do niej były wielorakie uciepiężenia chrześcian w Turcyi, nieustające mordy w Morei i wyzywanie wyraźne dworu rosyjskiego odezwą sułtana z dnia 20. grudnia 1827 roku, którą wzywał wszystkich wiernych muzułmanów do podniesienia broni za wiarę zagrożoną. Ze strony tureckiej niemniej ważne były powody do wojny; powstanie na Wołoszczyźnie i Morei przypuszczano powszechnie potajemnym Rosyi szczywanom; interwencya na korzyść Greków okazała się nareszcie widoczną zniszczeniem floty tureckiej pod Nawarynem dnia 20. października 1827. roku. Turcyja nie miała wyboru innego, prócz wojny.

Dnia 26. kwietnia 1828. nastąpiła deklaracya wojny ze strony rosyjskiej. Przygotowania z obydwóch stron odpowiadały potędze obydwóch państw; cztery korpusy ros. piechoty 2., 3., 6. i 7., także 4. korpus rezerwowy jazdy i korpus gwardyi, skoncentrowane nad Prutem i nad Dunajem pod rozkazami feldmarszałka Wittgensteina, niecierpliwie wyglądały hasła przejścia granicy. Gwardyą dowodził W. książę Michał, 2. korpu-sem książę Szczerbatow, 3. hrabia Pahlen II., 6. jenerał Roth; książę Eugeniusz Wirtemberski i hrabia Langeron znajdowali się także przy armii. Z każdego korpusu zatrzymano jedną dywizyę piechoty w rezerwie, które dopiero później stanęły na linii bojowej, prócz 6., który początkowo miał tylko dwie dywizye: 16. i 17. Gwardya składała się z dwóch dywizyi piechoty o czterech pułkach, pułk o dwóch batalionach, i z jednej dywizyi jazdy lekkiej; 4. korpus rezerwowy jazdy składał się z jednej dywizyi dragonów i jednej dywizyi strzelców konnych. Dołączywszy artyleryę polową, saperów, pionierów i kozaków, łatwo obrachować siłę rosyjską, poruszoną w tej

wojnie, na 180,000 ludzi. Szefem sztabu jeneralnego armii południowej został generał Dybicz. Dowództwo floty Czarnego morza otrzymał admirał Greigh. Cesarz postanowił podzielić trudy tej wojny z wojskiem i główną kwaterę swoją przeniósł wśród wojska w końcu miesiąca kwietnia, nie przewidując trudności różnego rodzaju, których przytomność jego będzie powodem.

Ze strony tureckiej niemniej ogromne robiono przygotowania. Twierdze: Braiłę, Tyrnowę, Silistryę, Widdyń, Warnę mocnymi załogami opatrzone. W Szumli, u podnóża północnego Bałkanu, w pozycji centralnej, dobrze znanej z kampanii 1810. roku, a teraz jeszcze mocniej utwierdzonej, stał Wielki wezyr z główną armią, złożoną w części z wojsk regularnych, uformowanych po zniesieniu niebezpiecznej milicji janczarów w czerwcu 1826. i z zaciągów albańskich, rumelskich, bułgarskich, którą szacowano na 60,000. Stanowiskiem tem zakrywał wezyr drogi główne, od Dunaju przez Bałkan prowadzące do Adrianopola i Stambułu, i rękę podawał załogom Warny i Silistryi.

W pierwszych dniach maja prawe skrzydło rosyjskie przeszło Prut w kilku punktach i opanowały Mułtany zbliżyło się pod Braiłę. Obłężenie tej twierdzy, energicznie prowadzone przez W. księcia Michała, trwało tylko 18 dni. Cesarz sam przytomny był niejaki czas robotom obłężniczym. Twierdza ta leży na lewym brzegu Dunaju, na wzniesieniu panującym znacznie nad brzegiem prawym. Jak wszystkie niemal twierdze tureckie, składa się z obwodu o 9 małych bastyonach, z nader długimi kurtynami. Profil jej stanowi wysoki wał z rowem głębokim opatrzonym skarpą i przeciwskaupą murowaną. Brzeg Dunaju nie miał innej obrony, prócz spadku stromego i palisady. Na prawem skrzydle znajdowała się cytadela murowana o 5 bastwach, a nad samym brzegiem Dunaju szaniec o 3 bokach, 2 bastyonikach i 2 półbastyonach, z ziemi usypany i wodą oblany z trzech stron dla obrony przystani. Znana odwaga

Obłężenie
Braiły.

i zaciętość Turków w obronie fortec większą od murów stanowiły przeszkodę.

Pierwsze zakopy otwarte zostały około 20. maja na lewem skrzydle twierdzy, przypierając do Dunaju w odległości 200 sążni od wałów; wkrótce 13 baterii stanęło w odległości rozmaitej od twierdzy. Pierwsze w drugiej równoległej służyły do uśmierzenia ognia wałowego, następne o 70 sążni od przeciwskarp, otworzyły wyłomy w murach. Przypuszczono szturm, lecz ten z wielką energią ze strony Turków odparty został. Musiano do innych uciec się środków. Przyczepiono zatem miniera i trzy potężny miny pod skarpą dwóch bastyonów frontu skrzydłowego zasadzono: dnia 18. po stracie zakopów miny zapalono. Nadzwyczajny skutek przez nie sprawiony, rzucił tak wielki postrach na turecką załogę, iż dowodzący basza przystąpił niezwłocznie do poddania twierdzy. Dnia 8. czerwca wojsko rosyjskie opanowało Braile.

Tym sposobem, gdy prawe skrzydło rosyjskie zapewnione zostało w swoich działaniach, główna armia rosyjska pod osobistym dowództwem marszałka księcia Wittgensteina, dnia 27. maja (8. czerwca) wobec znacznej siły tureckiej, oszańcowanej poniżej twierdzy Isacez, wstępnym bojem za pomocą szalup kanonierskich przepравиła się przez Dunaj — pobiła korpus turecki i most rzuciwszy, obsaczyła Isacez; 8. i 9. dywizye z korpusu trzeciego Pahlena naprzód przeszły, za nimi reszta wojska, rezerwy, parki i t. d. i główna kwatera cesarska.

Wojsko rosyjskie szczęśliwie przepравиwszy się przez Dunaj, zaczęło posuwać się w części kraju, zwanej Dobrucza pomiędzy morzem i Dunajem przez Babadag ku wałowi Trajana, nie doznając wielkiego oporu. Twierdze: Isacez, Tulcza, Matczyn, Tirnowa, maskowane przez małe oddziały, jedna po drugiej bramy swe otwierały. Turcy pod Bazardżikiem dopiero zaczęli okazywać większe masy jazdy. Tu przyszło do żywej potyczki pomiędzy obiedwoma jazdami, w której nie-

regularna lekka turecka jazda szybkimi obrotami wyższość swą nad ciężką jazdą rosyjską niezaprzeczenie okazała.

Jednocześnie generał Roth na czele 6. korpusu posuwał się ku Silistryi, dla obsadzenia tej ważnej twierdzy. Generał major Geismar na czele mniejszego oddziału szedł na mniejszą Wołoszczyznę w obserwacyi baszy widdyńskiego, zajmującego okopy pod Kalafat naprzeciwko Widdynia.

Z Bazardziku główna armia rosyjska podsunęła się pod Szumłę z dwoma korpusami, gwardyą i 4. korpusem rezerwowym jazdy i zajęła obszerne pozycye naprzeciw armii W. wezyra od północy i wschodu Szumli. Dla przełamania natarczywości tureckiej, pozycyę tę umocniono redutami. Na początku lipca gwardye pod osobistem dowództwem cesarza, wzmocnione niektórymi innymi oddziałami, wyruszyły pod Warnę. Oblężenie tej twierdzy trwało dwa miesiące. Obroną kierował Kapudan-basza, a pod nim dowodził Jussuf-basza. Nic nie wyrówna zaciętości i odwagi, z jaką Turcy bronili swych murów.

Warna leży w zatoce Czarnego morza, w odległości 45 mil od Stambułu, 10 mil od Szumli przy jeziorze Dewina, u stóp odnogi leśnej Bałkanu. Oblężenie
Warny. Obronę twierdzy od północno-zachodniej i południowej strony stanowi obwód bastyonowy, tureckim sposobem nieforemnie budowany, z skarpą, przeciwskarpą i głębokim rowem, składający się z ośmiu frontów. Strona od morza zamknięta murem, bronionym bocznie naprzemian baterjami i wieżami. W środku tej strony leży cytadela, opasana murem, którego kilka wież broni. Brama od południa na drodze stambulskiej zakryta jest dziełem nakształt lunety, usypanem z ziemi. Po między zachodnią bramą a jeziorem Dewina Turcy mieli obóz zakryty kilkoma nieforemnymi szańcami. Przed trzema frontami północnymi i dwoma frontami przyległymi zachodniemu, Turcy usypali także kilka połowych nieforemnych szańców, które piechotą i artyleryą mocno osadzili; w tych to leżyskach najuporczywiej bronili oni przystępu do głównego ob-

wodu i te Rosyanie zdobywać musieli jedne po drugich. Nie zbywało Turkom także na żywności, a amunicyi i artyleryi mieli podostatkami. Wprawdzie komunikacya od morza przeciętą być mogła przez flotę rosyjską, lecz oblężeni długi czas zachowali związki z Szumłą, skąd posiłki różnego rodzaju otrzymywali.

Wojsko rosyjskie na początku oblężenia opasało ściśle tylko przestrzeń pomiędzy morzem a jeziorem Dewina i mniejszymi oddziałami, choć częściej napróżno, starało się przecinać drogi do Szumli wiodące. Później jednak zajęło ono pozycyę na stronie południowej twierdzy, po za jeziorem Dewina, i tym sposobem dokonało opasania ściślejszego od Szumli i od Sambułu.

Skoro sprowadzona z Sebastopola artylerya wysadzoną została, rozpoczęto niezwłocznie czynności oblężnicze. Pierwsza równoległa o 500 sążni od twierdzy, a o 300 sążni od pierwszych tureckich okopów założoną została; lewe jej skrzydło oparte było o morze, prawe o wąwóz. Tym sposobem trzy fronty północne w linii prostej rozwinięte, równoległą objęte zostały. Musiano szturmem zdobywać leżysko tureckie przed tymiż frontami, co bez wielkich strat z obydwóch stron nastąpić nie mogło. Po założeniu drugiej i trzeciej równoległej i zbudowaniu demontujących bateryi, zaczęto koczokopem pełnym zbliżać się do przeciwskarpy, której stok żaden nie bronił. Dnia 12. września uwieńczono przeciwskarpę, wypędziwszy wprzód bagnetem Turków z kotlin, leżysk i szańców, których tak zacięcie bronili. Dnia 14. września wysadzono fugupami przeciwskarpę, poczem zaczęto spuszczać się do rowu w celu zasadzenia miniera pod skarpę przytykającego do morza narożnego frontu. Około 23. września zrobiono spust do rowu zapomocą dwóch koczokopów pełnych, założywszy wprzód na brzegu przeciwskarpy baterię o 8. działach 24-funtowych, którą wyłom otworzono w kurtyinie pomiędzy pierwszym i drugim bastyonem północnym Warny. Na tym wyłomie nie przestano, lecz jednocześnie zaczęto bić

wyłom w prawem czole bastyonu skrzydłowego z bateryi o 4. działach najcięższego wagomiaru. Tymczasem około 26. września od strony południowej rzeki Kameczyk zaczął się pokazywać korpus turecki, wysłany z pod Szumli na odsiecz Warny, pod dowództwem baszy Omera. Wysłanemu oddziałowi na rozpoznanie poruszeń korpusu tureckiego, adiutant skrzydłowy cesarski, hrabia Załuski, oficer w wojnach napoleońskich zaprawiony, dodany został za przewodnika. Lecz pułk strzelców pieszych gwardyi, należący do tej wyprawy, zapuściwszy się nierozważnie w wąwozy bałkańskie i nie oświeciwszy dokładnie drogi, niespodziewanie wpadł w zasadzkę, a otoczony dokoła przez Albańczyków Omerabaszy, po rozpaczliwej walce zniesiony został prawie całkowicie. Jenerał major Hartung, pułkownik Sarger, wielu oficerów i prawie wszyscy żołnierze padli ofiarą nieostrożności swego dowódcy albo się do niewoli dostali.

Turcy zachęceni tem powodzeniem, zaczęli pokazywać się przed pozycjami rosyjskimi od strony południowej twierdzy, które tymczasem znacznie wzmocniono. Przyszło do kilku ważnych potyczek, mianowicie dnia 28. i 29. września, w których obie strony znaczne poniosły straty. Omer Vrione nie zdołał jednak przebić łańcucha pozycji, opasujących Warnę od strony południowej i nieczynnie przypatrywać się musiał postępowi robót oblężniczych, które pod okiem cesarza widocznie do końca się zbliżały.

Minery rosyjskie zaczęły wyprowadzać dwa ganki minowe pod skarpe obydwoch północnych bastyonów. Pierwszy z nich pod węglem najbliższego ku morzu bastyonu, nabity 190 pudami (= 7,600 funtów) prochu, dnia 3 października wysadzono. Drugi pod prawem czołem drugiego północnego bastyonu nabito 260 pudami (= 10,400 funtów) w dwóch piecach i 4. października o trzeciej po południu wysadzono.

Skutek był ogromny, taki, jak podobnego historia oblężeń nie przedstawia. Dwa otwory wielkie w wałach torowały drogę szturmującym kolumnom. Lecz Turcy nie stracili na

chwile odwagi, korzystali z kilku dni wolnych przed szturmem do oszańcowania naprędce bastyonu pierwszego koszami i zatarasowania ulic i domów, przyległych zagrożonemu frontowi. Oblegający postanowili dopiero dnia 7. października a zatem w trzy dni później, aniżeli się należało, opanować wyłom bastyonu skrzydłowego i usadzić się na nim. Tym końcem oddział, złożony z 110 majtków wyborowych z jedną kompanią strzelców 13. pułku, dwóch kompanii pułku gwardyi Ismailowskiej i 150 saperów, tegoż dnia o trzeciej zrana przypuścił szturm do wyłomu i opanował go; lecz zamiast uwięzienia koszami, tak, jak był rozkaz, zapędził się za Turkami w środek miasta i walkę z nimi rozpoczął. Tu znaczne poniosłszy straty, pomimo posiłków nadesłanych cofnąć się musiał napowrót do zakopów. Dwa błędy popełniono w tem przedsięwzięciu; pierwszy, że zaraz nie szturmowano po wysadzeniu min dla korzystania z pierwszego wrażenia, jakie ich wybuch sprawić musiał na umysłach załogi; drugi, że nie szturmowano obojdwóch bastyonów i to silniejszymi kolumnami; nareszcie, że nie przypuszczano fałszywych ataków na innych punktach obwodu dla rozdwojenia uwagi obleżonych.

Jakkolwiekbydz, śmiały atak dnia 7. października, lubo drogo opłacony, bo stratą kilkuset ludzi, zmiękczył uporczywość dowódców tureckich i skłonił ich do zawarcia umowy. Zaczęły się rokowania o kapitulacyę: żądano ze strony rosyjskiej zdania się na łaskę. Kapudan-basza opierał się takiemu żądaniu, lecz dowodzący pod nim Jussuf-basza skłonniejszym zaczął się okazywać do przyjęcia ugody, jak niektórzy twierdzą, imperyalami rosyjskimi ozłoconej, i kazawszy żołnierzom swoim broń złożyć, bez żadnej kapitulacyi, udał się z nimi do obozu rosyjskiego. Opuszczony przez nich Kapudan-basza, na czele garstki wiernych schronił się do cytadeli i tu z orężem w ręku wzięty był do niewoli. Dnia 11. października armia rosyjska, na czele 13. i 14. pułku strzelców, baterya saperów i pułk Ismailowski gwardyi, w nagrodę ich odwagi i poświęcenia, weszła przez wyłom do twierdzy.

Zastanowiłem się cokolwiek dłużej nad oblężeniem Warny, ponieważ tu niemal wszystkie znalazły się trudności, które zdarzyć się mogą cząstkowo w oblężeniach zwyczajnych.

W czasie tego pamiętnego oblężenia, które tylko z hiszpańskimi iść może w porównanie, korpus rosyjski pod Szumłą, w obserwacji W. wezyra stojący w pozycjach swoich reductami obwarowanych, wytrzymał kilka ataków ze strony Turków. W końcu września korpus 6. Rohta, zluzowany pod Silistrją przez korpus 2. księcia Szczerbatowa, przybył pod Szumłę dla wzmocnienia wielkiej armii rosyjskiej. Oblężenie Silistryi ograniczyło się tejże jesieni na opasaniu ścisłem i przecinaniu sukursów i dowozów żywności od Ruszczuka i Szumli, z którego to powodu przyszło do kilku żywszych utarczek z korpusami na odsiecz dążącymi i z samą załogą.

W Mniejszej Wołoszczyźnie generał Geismar na czele oddziału 4,200 ludzi uderzył w okolicy Kalafatu dnia 26. i 27. października na korpus turecki baszy widdyńskiego, wynoszący 2,600 ludzi i 30 armat i rozprószył go zupełnie.

Na tym świetnym czynie i na wzięciu Warny zakończyły się działania wojenne tej kampanii w Europie. Po tak wielkich wysileniach spodziewano się większych nierównych wyników. Wojsko rosyjskie, osłabione chorobami, morowem powietrzem, niedostatkiem żywności i furazju, straciwszy połowę koni, opuściło stanowisko pod Szumłą i Silistrją i zostawiwszy mocną załogę w Warnie, w której niedługo potem morowe powietrze się także pokazało, poszło na leże zimowe za Dunaj i na Wołoszczyznę, a gwardye znużone z cesarzem powróciły do Petersburga. Poznano, lecz po niewczasie, iż przytomność panującego w głównej kwaterze, jest raczej zawadą, niż pomocą w operacjach. Obawiano się ciągle o jego osobę, bez jego rady nie chciał komenderujący nic przedsiębrać, ani brzemienia odpowiedzialności brać na swe barki. Książę Wittgenstein, w niełaskę wpadłszy, złożył komendę. W Azji generał Paszkiewicz hrabia Eriwański, mając wolne

ręce, choć z małemi nader siłami, nie przechodzącymi 20,000 ludzi, świetniejsze odnosił korzyści. Przeszedłszy bowiem w czerwcu granice Gruzji pod Gumre, w krótkim czasie zdobył szturmem ważną twierdzę Kars, następnie opanowawszy Akhałhalaki, podsunął się pod twierdzę Akhałżyk i pobiwszy na głowę połączone korpusy tureckie Kios Mahometa-baszy i Mustafy-baszy, stojące w czterech oszańcowanych obozach, dnia 28. sierpnia przypuścił szturm do samejże twierdzy Akhałżyk i zdobył ją wstępnym bojem. Na tem i na opanowaniu Poti nad morzem Czarnem, zakończyły się czynności armii kaukazkiej. Zadziwi się pewnie każdy, iż żadna część wojska polskiego użyta nie została w tej kampanii. Życzył sobie wprawdzie cesarz, aby jedna dywizya piechoty i jedna dywizya jazdy połączone zostały z czynną armią i propozycje w tej mierze czynił bratu Konstantemu. Była to myśl polityczna połączenia ściślejszymi węzłami koleżeństwa na placu bitwy dwóch wojsk, przeznaczonych do walczenia pod jednemi chorągwiami. Możeby się było przez to zapobiegło zdarzeniom późniejszym. Jakkolwiekby, W. książę Konstanty nie chciał powodów tych zrozumieć i niezwyciężony opór stawił bratu. Parada na placu Saskim, w której jednego nie chciał utracić człowieka, przemogła wszystkie inne względy. Wysłano tylko kilkadziesiąt oficerów z kwatremistrzostwa jeneralnego i z korpusu inżynierów i wszystkich ze szkoły aplikacyjnej do piechoty awansowanych¹⁾.

Tymczasem W. książę Konstanty jedyny dowód udziału w tej wojnie okazał formowaniem batalionów w czworoboki w czasie manewrów i na przedstawienie jenerała Hauke'go

¹⁾ Mianowicie z korpusu inżynierów: Kapitan Wilson; porucznicy, Szultz, Szymanowski, Brodowski, Jodko, Wiszniewski i Bieliński; podporucznicy: Rossmann, Szymoński, Dunin i Żelewski; z kwatremistrzostwa, kapitan: Szymanowski i Chrzanowski; porucznicy: Butrym, Breza, Zandrowicz, Potkański, Małgorzewicz, Komorowski, Pogonowski, Kijeński i Pięćdzicki; z piechoty: Berchardt, Leduchowski, Stryjeński, Nynkowski, Malczewski i Świeszewski.

dozwolił na symulowane oblężenie frontu bastyonowego, który przed dwoma latami sapery pod moim kierunkiem usypali na górach piaskowych przed frontem obozu.

Roboty oblężnicze rozpoczęły się dnia 20. sierpnia i koniec swój wzięły dnia 4. września 1828. roku. Oddziały piechoty, artylerji i saperów kolejno wykonywały wszelkie gatunki robót, teorią i praktyką oblężeń przypisane.

Przed rozpoczęciem tych robót szkoła pod moim kierunkiem odbyła naukową podróż do Modlina. Tu się uczniowie zajęli ułożeniem planu nowego, niwelacją dokładną i projektem restauracji całej twierdzy. Czynność ta zajęła nam cały miesiąc lipiec.

W nocy z dnia 20.—21. sierpnia otwarto równoległą pierwszą. Następnego dnia oficerowie artylerji wytknęli baterie czołgające. W nocy z 21.—22 sierpnia pracowano nad usypaniem tychże baterji, a 22. sierpnia zrana gotowe były do strzału. W nocy z dnia 23.—24. sierpnia koszokopem lotnym założono drugą równoległą i w niej baterje demonstrujące. Postępowano potem koszokopem pełnym ku narożnikowi półksiężycy; założono potem równoległą trzecią i w niej zbudowano moździerzowe i granatnikowe baterje; nareszcie zdobywszy drogę krytą szturmem, uwienczono jej szczyt koszokopem lotnym i założono baterje wylomową. Artylerja ćwiczyła się tymczasem w rozmaitych gatunkach strzałów czołgających, puszczała bomby, granaty, kongrewskie race. W końcu oblężony, założywszy galeryę minową pod wylomową baterję, wysadził ją w powietrze i na tem zmyśloną wojnę oblężniczą zakończono.

W. książę w czasie tych robót znajdował się w Litwie i przegląd korpusu litewskiego odbywał, przybył dopiero w końcu sierpnia, obejrzał prace nasze i zadowolenie swe nam oświadczył.

Artylerja, sapery i oficerowie inżynierów, którzy dotychczas żadnej praktyki nie posiadali w podobnych robotach, korzystali wiele z nowego dla nich obrazu. Uczniowie szkoły

aplikacyjnej, których użyłem do tych manewrów, w końcu września powrócili do szkoły. Nastąpiły potem egzamina i promocye¹⁾.

Uwolnienie Prądyńskiego. Dnia 25. marca nastąpiło uwolnienie przyjaciela mego Prądyńskiego z więzienia u Karmelitów. Czekałem na niego w mieszkaniu żony; znalazłem go powierzchownie niezmienionego, lecz w stanie egzaltacji umysłowej, trudnej do opisania. Uściskawszy go serdecznie, zostawiłem go w objęciu żony. Uwięzienie jego trwało blisko 3 lata.

Koronacya w Warszawie. Zbliżała się w maju b. r. epoka koronacyi, zapowiedzianej oddawna w Warszawie. Cesarz z małżonką, następcą tronu, W. księciem Michałem i z licznym dworem w końcu tego miesiąca przybyli w gościnie do starożytnej, niegdyś całej Polski, a dziś małego tylko odłamku stolicy. Izby senatorskie i poselskie zebrały się w całym komplecie. Wojsko polskie z gwardyami, w liczbie 40,000, zajęło swoje obozy pod Powązkami. Znaczna liczba obywateli z familiami przybyła także z prowincyi, ażeby stać się uczestnikami obchodu. Sprowadzono na razie do Warszawy insygnia cesarskie, tezsame, któremi cesarz koronował się w Moskwie.

Obrządek koronacyi wedle ułożonego i publikowanego naprzód programu spełnił się najuroczyściej i bez żadnej przeszkody z czyjejkolwiek strony. W wilię heroldowie objeżdżali ulice, place warszawskie i tytuły monarchy ogłaszali.

Były tam wprawdzie tezsame godła i tytuły, które za Zygmunta ogłaszano z tychże samych miejsc, ta tylko róż-

¹⁾ Postąpili na podporuczników: Ludwik Stürmer do artyleryi; Seweryn Sobiewski do pułku 5. liniowego; Ignacy Gostkowski do pułku 2. liniowego; Ludwik Brauner do pułku 3. strzelców pieszych; Stanisław Wolski do pułku 8. piezszego; Władysław Trębicki do artyleryi konnej.

Tego roku wstąpili do szkoły: Józef Hauke, trzeci syn generała; Maurycy Potocki; a z Kalisza: Frankowski, Jabłonowski. Ulidowicz, Gutowski, Mianowski, August Zamoyski i Sauve.

nica, iż je wyprzedzało i pochłaniało imię cesarza wszech Rosyi i że tytuły króla polskiego, Wielkiego księcia litewskiego, ruskiego, pruskiego, mazowskiego, żmudzkiego, kijowskiego, wołyńskiego, podolskiego, podlaskiego, smoleńskiego, siewierskiego, inflantskiego, czernihowskiego, stały się własnością cesarza Wszech-Rosyi.

Insygnia cesarskie arcybiskup z pięciu biskupami procesjonalnie odprowadził do katedralnego kościoła i po Mszy solennej poświęcone zostały.

Nazajutrz wobec izb połączonych i świetnie zebranej publiczności, cesarz w sali obrad senatu na zamku, przybrawszy na siebie koronę cesarską i inne insygnia, jakoto: berło, jabłko złote i płaszcz, w miarę, jak mu je arcybiskup ksiądz Woronicz poświęcone podawał, i uklękawszy na stopniu tronu, powtórzył modlitwę, którą mu arcybiskup odczytał, poczem ksiądz arcybiskup krzyknął: *vivat rex in aeternum*, działa na tarasie zamkowym zagrzmiały, a dzwony stolicy odezwały się. Cesarz pod baldachimem, trzymanym przez sztabsoficierów, w których liczbie znajdowałem się, zszedł z zamku i ulicą Św. Jana, wysłaną czerwonym suknem, z całą familią cesarską i licznym orszakiem dygnitarzy, senatorów, posłów i jenerałów postępował zwolna do katedry świętego Jana, gdzie duchowieństwo katolickie odśpiewało *Te Deum laudamus* i modły zaniósł do Boga o szczęśliwe panowanie monarchy i króla. Gwardye w dwóch szeregach uszykowane, szpaler podwójny tworzyły. Około posągu Zygmunta III. urządzono stopnie dla kilku tysięcy dam, których piękność i gustowne różno-barwne toalety, oświecone pogodnym majowym słońcem, dodawały blasku tej uroczystości. Po odśpiewaniu przepisanych rytuałem pieśni, cesarz z orszakiem koronacyjnym w tym samym porządku powrócił do zamku, przy tysięcznych okrzykach zgromadzonego ludu.

Dzień ten z następującymi poświęcony został zabawom, uctom, fajerwerkom dla ludu, teatrom bezpłatnym, paradom,

rewiom, ucztom dla wojska, obiadom, balom dla wyższych klas towarzystwa, posłuchaniom szczególnym i t. d.

Wszystko odbyło się stosownie do programu i pod okiem ojcowskiej politycy, porządnie, chłodno i spokojnie. Nie widziano tu za to tych scen gorszących, tej chciwości ludu za pokarmami i napojami, którą czarny naród dał tyle dowodów w czasie koronacyi w Moskwie. Owszem cesarz i orszak jego nie mogli się dość wydziwić przyzwoitości ludzi, grzeczności i skromności klas niższych, ich porządnemu ubiorowi, piękności i elegancyi kobiet i t. d.

Czas ten dla wielu był czasem awansów i orderów. Dnia 24. maja spotkała mnie z kolei nominacya na pułkownika inżynierów.

Deklaracya formalna o rękę p. Michaliny. W czasie kontraktów Świętojańskich w Poznaniu nastąpiło zbliżenie się familii mojej do rodziców panny Michaliny. Ojciec mój zbadawszy umysły, formalnie oświadczył się o rękę panny Michaliny dnia 3. lipca 1829. Odpowiedź nie dała długo na siebie czekać. Nie mogłem żądać pochlebniejszej. Zezwolenie zupełne bez żadnej ogródki nastąpiło. Odtąd zacząłem wprost korespondować z narzeczoną moją i pełne słodczy chwile znajdując w wyrażaniu wzajemnem uczuć z obydwóch stron tak szczyrych i bezinteresownych. Szczęście tych kilku miesięcy pamiętną epokę stanowić zawsze będzie w paśmie mojego życia. Szczęśliwszych chwil nie miałem i nie będę miał zapewne.

Na początku sierpnia 1829., zamknawszy kursa moje i zwykłe egzamina zakończywszy, puściłem się za urlopem do Szarleja, z sercem pełnem nadziei, i miesiąc cały przepędziłem przy boku mojej drogiej Michaliny. Dla wzmocnienia słabych jej piersi, doktorzy przepisali jej salzburskie, mnie zaś z powodu innego wody marienbadzkie; piliśmy więc swobodnie te wody razem, przechadzając się w ogrodzie szarlejskim i rozmaite czyniąc ekskursye w okolicę. Czas ten drogi uleciał zbyt prędko. Musiałem myśleć o powrocie i sta-

wieć na dzień naznaczony w Warszawie dla rozpoczęcia kursów ¹⁾.

W osobach profesorów zaszła następująca zmiana. Na moje żądanie kapitan Klemensowski z kwatermistrzowstwa przejął odemnie kurs geodezyi i rozmiarów topograficznych; w miejsce zaś podpułkownika Koriota objąłem kurs fortyfikacji polowej, w którym uczniowie zbyt mało dotąd korzystali.

Przepełnienie korpusów oficerami, a przytem natłok przedmiotów, naznaczonych w szkole, na które czas nie wystarczał, obok potrzeby nadania kierunku praktyczniejszego oficerom, wychodzącym z tego instytutu, wskazywało potrzebę dłuższego pobytu w szkole, stąd wypadł rozdział nowy kursów na cztery lata: z tych trzy lata miały być poświęcone teorii, rok zaś czwarty wyłącznie zastosowaniom do praktycznej służby oficerów artyleryi, kwatermistrzowstwa i inżynierów. Nowy ten podział zaprowadzony został z początkiem roku szkolnego 1829/30.

W tym roku rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich nad Dunajem, dla wielkich deszczów ul-
2. kampania turecka 1829 r.
wnych, które spadły w miesiącu marcu i kwietniu i drogi wszystkie na teatrze wojny bezdenne zrobiły, znacznie spóźnić musiano. Jenerał Dybicz, objąwszy komendę naddunajskiej armii, rozpoczął operacye swoje od oblężenia Silistryi i zajęcia na nowo z wielką armią pozycyi z roku zeszłego, przeciw W. wezyrowi, okopanemu pod Szumłą. Dnia 18. czerwca twierdza Silistrya po sześciotygodniowym oblężeniu poddała się Rosyanom.

Dnia 11. czerwca (30. maja) W. wezyr Mehemet-Ali nieroztropnie opuściwszy obronne linie pod Szumłą, porażony został zupełnie przez jenerała Dybicza w wawozach pod Kulewczą, o trzy mile od Szumli, i z niedobitkami szukać

¹⁾ Promocye zwyczajne tej jesieni obejmowały następujących uczniów: Zdzisław Zamoyski, Hasferd i Julian Berchardt do batalionu saperów; Donej do kwatermistrzowstwa jeneralnego; Piotr Bontemps i Władysław Hauke do artyleryi konnej.

musiał przytułku w Szumli. Reszta armii tureckiej w największym popłochu rozbiegła się na traktach ku Stambułowi i Adrianopolowi, które tym sposobem otworem stały dla zwycięzcy. Jenerał Dybicz, korzystając z rzeczonego przestrachu armii tureckiej i ze zdobycia Silistryi, ścigając na początku lipca korpus Krasowskiego, zajęty dotąd oblężeniem Silistryi, postanowił przeprowadzić się z armią główną przez góry Bałkanu w trzech kolumnach.

Prawa kolumna, pod jenerałem Rüdigerem, z 14 batalionów i 2 pułków Kozaków złożona, posuwała się na Kiupryhioi; lewa, pod jenerałem Rothe'm z 18 batalionów, 16 szwadronów i 2 pułków Kozaków, miała rozkaz przebić siłą niższy Kameczyk; trzecia kolumna, stanowiąca rezerwę, pod jenerałem hrabią Pahlen'em z 22 batalionów, 8 szwadronów i 2 pułków Kozaków, miała postępować z bliska za dwoma pierwszymi, dla wsparcia obydwóch. Jenerał Krassowski na czele 23 batalionów i 40 szwadronów pozostał w okopach pod Szumlą w obserwacji poruszeń W. wezyra, który nie przyszedł jeszcze do siebie po klęskę pod Kulewczą. Turcy bronili mocno wszystkich przepraw, trzeba było jedną po drugiej zdobywać, 17., 18. i 19. lipca bagnetem. Energia wodza z karnością i odwagą wojska połączona, wszystkie trudności przełamała. W 10 dniach śmiały ten pochód wykonany został. Rosyanie pomimo najgorszych dróg i przeciwności wszelkiego rodzaju, przybyli 10. dnia na wysokość zatoki Burgas, gdzie na nich flota Czarnego morza z żywnością i amunicją czekała. Dnia 20. sierpnia armia rosyjska, maszerując przed Aidos i Karnabat, zajęła drugą stolicę państwa Adrianopol (po turecku Edreneh), miasto 90,000 ludności zawierające, lecz w sile znacznie zmniejszonej, bo liczyła w czasie przechodu Bałkanu 36,000—40,000, a stanąwszy w Adrianopolu zaledwie 15,000 ludzi. Drugie tyle straciła z powodu nagłych pochodów, niedostatku żywności, chorób, morowego powietrza, lub za sobą w załogach i posterunkach zostawić musiała. Położenie zwycięzcy stało się krytycznem. Na czele

tak małego korpusu, z komunikacyami niezapewnionemi, wśród krajin, których każdy mieszkaniec muzułmański był wrogiem; mając za sobą armię W. wezyra, wzmacniającą się z każdym dniem; na prawym boku około Sofii, w odległości 35. mil, zbierające się zaciągi albańskie i bośniackie; przed sobą stolicę Sambuł z 500,000 ludnością, której usposobienia nie znał wódz rosyjski: to wszystko dawało do myślenia! Na przypadek odwrotu wszystko mogło być stracone, sił zaś nie starczyło na opanowanie stolicy. Co czynić było w tak trudnem położeniu? Wódz rosyjski przedsięwziął wytrwać do końca i z śmiałym czołem wydał swoim przednim strażom rozkaz maszerowania ku stolicy. Jakoż w rzeczy samej Kozacy zaczęli się pokazywać na trakcie od Arabas Burgas, w odległości 15. mil od Sambułu.

Lecz i położenie sułtana nie było mniej trudnem i niebezpiecznem. Ludność muzułmańska, zawierająca pierwiastki nieprzytłumionego janczarskiego ducha, jawnie szemrała, przekleństwa miotała na dowódców swoich, nie oszczędzając samego sułtana, chrześcianom mordami odgrażała; zgłęza zdawała się gotową do powstania.

Grecy, mieszkańcy Pery i Galaty, poduszczani przez agentów rosyjskich, z swojej strony sposobili się do obrony i ogień ten podstępnie podniecali; kupcy i bankierzy ormiańscy przygotowania robili do ucieczki; wysocy urzędnicy państwa, troskliwi o życie i majątki, wzdychali za pokojem i wszelkich sprężyn używali, ażeby sułtana skłonić do układów *à tout prix*. Haremy sułtana napełniały się płaczem i narzekaniem sułtanek, odalisek, służebnic i dozorców harenowych. Wszystko to burzę bliską zwiastowało. Można było wprawdzie w gwardyach Seraju, w osadach okrętowych, w innych rezerwowych oddziałach i w samej ludności, do boju zdatnej, zebrać w czwórnasób silniejsze wojsko od rosyjskiego i jeszcze opór dzielny stawić przed murami stolicy, lecz masie tej zbywało na energicznych dowódcach, a osobliwie na duchu wojennym i na porządku. Duch opiekuńczy proroka

odstąpił oddawna wyznawców Islamu, byli oni tylko cieniem tego, co dawniej tak straszliwymi ich czyniło. Gnuśność, ociężałość, chęć zysku, zamiłowanie w dostatkach, zastąpiły u młodszych wszystkie cnoty wojenne przodków. Wreszcie fatalizm, ta główna zasada muzułmańskiej religii, ślepyimi ich czyniła na tak bliskie niebezpieczeństwo. Większa część ludu, upatrując w zbliżeniu się wojsk nieprzyjacielskich wyrok Boski, wierzyła, iż chwila upadku potęgi osmańskiej, przepowiadana przez świętych derwiszów, teraz już nadeszła i że opierać się przeznaczeniu byłoby czynem bezbożnym. Wiadomość o zajęciu Erzerum, stolicy Armenii, przez generała Paszkiewicza, i o wzięciu Anapy nad morzem Czarnem, podniosła trwogę do najwyższego stopnia. Niektórzy w imaginacji swojej widzieli już chorągwie rosyjskie, powiewające na stronie Skutari i tym sposobem przeciętą nawet ucieczkę do Azji. Zaczęto w Seraju kosztowniejsze rzeczy pakować i sposobić się do wyjazdu do Brussy. Wszystko drżało w Stambule na myśl groźących wypadków.

W położeniu z obydwóch stron tak niebezpiecznem i drażliwym, ten musiał mieć górę, który najwięcej energii i śmiałości okazać potrafił. Jednej i drugiej generał Dybicz dał wtedy niepospolite dowody. Gdy rząd w Stambule sposobił się do ucieczki i cugle z rąk wypuszczał, wódz rosyjski pomimo własnego trudnego położenia, któreby pospolitego wodza zatrwożyć mogło, okazał chwalebłą stałość, pamiętny na łacińskie przysłowie: *audaces fortuna juvat* i pochodu kolumn swoich nie zatrzymał.

Tymczasem dyplomacya, troskliwa o zachowanie państwa tureckiego, uważanego za podstawę równowagi europejskiej, usilnie pracowała nad zatrzymaniem nieprzyjacielskich kroków. Wysłany przez króla pruskiego Wilhelma III. w osobie generała Müstlinga, pożądany pośrednik, zaczął wystawiać obydwom stronom niebezpieczeństwo dłuższego wojowania. Z Stambułu, gdzie miał audyencyę u sułtana Mahmuda, przeniósł się do głównej kwatery rosyjskiej i drogę utorował do

porozumienia się bliższego. Wysłani z obydwóch stron pełnomocnicy, zgodziwszy się na warunki, podpisali w Adrianopolu dnia 14. września 1829. pokój na zasadach korzystniejszych dla Turcyi, aniżeli po takich klęskach spodziewać się kiedy mogła.

Ratyfikując ten pokój cesarz Mikołaj dał wprawdzie wobec Europy wielkie dowody umiarkowania, lecz być może, iż położenie krytyczne wojsk własnych, których losu nie chciał puszczać na ostatnią kartę, nie będąc mu tajem, wpłynęło na łagodność warunków.

Wojsko rosyjskie oddało wszystkie zdobycze, prócz twierdz Achałkalik i Achałzik z paszalikiem tego nazwiska, twierdz i portów Anapu i Poti nad morzem Czarnem. Żegluga wolna na Dunaju i ramię, zwane Sulima, zapewnione zostały zupełnie Rosyi; prócz tego wolność żeglugi przez Bosfor i Dardanelle dla okrętów wszystkich narodów. Porta nareszcie zobowiązała się do znacznego wynagrodzenia pieniężnego kosztów wojennych.

Sprawa grecka, protokółami trzech mocarstw: Anglii Francyi i Rosyi uregulowana, pozostała w stanie tym, w którym ją dziś widzimy.

Zima roku 1829—1830 przeszła mi spokojnie na zwyczajnych zatrudnieniach naukowych i na urządzeniu przyszłego pomieszkania i dworu. Rodzice na ten cel ze szczerłego macierzyńskiego działu przeznaczyli mi 18,000 złp., które były ulokowane u szwagra mego Melchiora Szółdrskiego.

Przeznaczona sumka na ekwipowanie, oszczędnie użyta wystarczyć jednak musiała także na kupno 2 koni, szorów, karety, na umeblowanie skromne pomieszkania i na urządzenie gospodarstwa domowego. Po długich poszukiwaniach znalazłem nareszcie po Ludwiku Platerze dogodne mieszkanie w lewem skrzydle pałacu Mniszkowskiego, na Senatorskiej ulicy, na I. piętrze, składające się z 6 pokoi, kuchni, pralni,

piwnicy na drzewo, stajenki na 3 konie i remizy na 2 wozy, za 2,700 złp. rocznie = 450 talarów. Wiele mi teraz na tem zależało, ażeby przyspieszyć termin ślubu i koniec położyć wszelkim zwłokom. Nie obeszło się bez wstawienia się przyjaciół generała Słubickiego i pana Sokołowskiego; ci po długich upornych rokowaniach wymogli na panu Kościelskim oznaczenie ostatecznego terminu na dzień 21 kwietnia roku 1830. Otrzymawszy takie zapewnienie, przyspieszyłem urządzenie domowe, przyjąłem służących, kucharkę, i postarawszy się o pozwolenie u władzy mojej i o indult. w połowie kwietnia, po bardzo złych drogach odjechałem do Kujaw. Rodzice i siostry zaproszeni na ślub, przybyli wkrótce po mnie do Szarleja.

Ślub nasz d. 21
kwietnia 1830 r.

skiej, ksiądz Jasiński, brat poległego pod Pragą generała Jasińskiego, dawał nam ślub o 3 popołudniu, w kościele parafialnym Górskim. Tegoż samego dnia żona, która dotąd tylko z wody chrzczołą była, ochrzczołą została formalnie. Pan Sokołowski i pani Schwanenfeld z Kobelnik, zastępowali rodziców chrzestnych. Przywiązanie żony do mnie wynagrodziło mi przykre chwile przedślubne i te wszystkie dolegliwości, które mnie ze strony jej ojca spotkać jeszcze miały. Nie był to człowiek bez serca; wielka uczciwość cechowała jego kroki. był słownym, rzetelnym, statecznym w przyjaźni, dobroczynnym dla potrzebujących, czułym ojcem dla dzieci; wszakże sam zbyt mało wykształcony, nie był w stanie kierować ich wychowaniem i powierzchownym polem dla nich się kontentował. Pan Kościelski przy znośnym majątku, wystarczającym na wszelkie potrzeby rodziny, był skąpym w małych wydatkach, a rozrzutnym, gdzie o wystawę i okazanie godności chodziło: lubił towarzystwa wesole, z młodymi szczególniej rad był przestawać i dzielił ich zabawy; zresztą trudny do decyzji, dumny z orderu i z szambelaństwa, drażliwy nawet w tym względzie.

Majątek pana Kościelskiego do najznacniejszych w powiecie Inowrocławskim należał, lecz był najgorzej, jak tylko można, zagospodarowany. Składał się z dóbr Szarley nad Gopłem, z ładnym dębowym gajem i z małym folwarkiem Ostrowem, na półwyspie Gopła, z rozległymi pastwiskami i łąkami; dalej z czterech folwarków: Witowa, Góra, Dulsk, i Dziennice. Wszystkie te folwarki leżały w ziemi dobrej, urodzajnej, lecz potrzebowały wielkiego nakładu w inwentarzach żywych i martwych, w budynkach i łąkach, jeżeli dochody odpowiadające rozległości przynosić miały. Na przeciwnym brzegu Gopła, po bracie staroście, Antonim, zmarłym roku 1828, odziedziczył dobra Bożciewice z Żernikami, z obszarem 3,700 morgów, w najlepszej pszennej ziemi, nie licząc w to gruntów włościańskich do 700 morgów. Lecz i te, a szczególnie Żerniki, równie zaniedbane były, jak i pierwsze. Budynki były niedostateczne, niektórych brakło zupełnie, inwentarze liche, kultura najędzniejsza. Nie było z czego się chełpić, bo gospodarstwo zamiast 25,000 talarów rocznego dochodu w dobrem roku, zaledwie 10,000 przynosiło.

Nie miał wprawdzie pan Kościelski żadnych innych długów, prócz 25,000 talarów na Szarleju i 16,666 talarów na Bożciewiczach, lecz zato posiadał w pularesie 30,000 talarów w papierach i z tego powodu miał się za wielkiego finansistę.

»Wy wiele gospodarze z waszymi pięknymi budynkami, inwentarzami i owcami nie macie pieniędzy, ja zaś nie gospodarz po waszemu, mam gotówkę, a wy długi« — często tak mawiał do sąsiadów, nie przewidując, iż tak źle zagospodarowany majątek, gdy w ręce 8 dzieci przejdzie, wkrótce zmarnowany zostanie.

Co do pani Kościelskiej, musiałbym nazwać się niewdzięcznym, gdybym miał zapomnieć, z jaką przychylnością wspierała moje zamiary i pomogła mi zwyciężyć wszelkie trudności, które mnie na wstępie ze strony męża spotkały.

Familia pani Kościelskiej składała się z 4 córek i z 4 synów: Michaliny, Ludwika, Amelii, Artura, Józefy, Augusta,

Natalii i Władysława. Najstarsza Michalina liczyła 23 lat. Najmłodszy Władysław lat 11. Trzy córki młodsze były pod dozorem guwernantki, panny Calame, rodem z Genewy, osoby dość dobrze wychowanej, lecz egzaltowanej i kapryśnej. Synowie młodszy, August i Władysław, powierzeni byli bakałarzowi podrzędnemu. Starszy syn, Ludwik, nadzieja i ulubieniec ojca, tak, jak Michalina matki, odbywszy niektóre klasy bardzo powierzchownie w Poznaniu i rok niespełna wysłużywszy w wojsku pruskiem, znajdował się wówczas w szkole agronomicznej w Meglinie, pod zarządem Thaera: drugi brat, Artur, kończył sekundę w Poznaniu.

Pani Kościelska do najpiękniejszych osób swego czasu należała i towarzystw warszawskich była ozdobą; słynąc z gustu w strojach, z wdzięków i z dowcipu, zwróciła na siebie oczy pana Kościelskiego, liczącego wówczas blisko lat 50, który o jej rękę zaczął się starać i jako majątny łatwo otrzymał.

Przepędziwszy kilka dni po ślubie w Szarleju, zacząłem myśleć o powrocie moim do Warszawy w towarzystwie żony. Ostatnich dni kwietnia rodzice żony odprowadzili nas do Smulska, skąd razem z panem Sokołowskim wyruszyliśmy do Warszawy. Opuszczenie poraz pierwszy rodzicielskiego domu, rodziców i sióstr, było ciężką próbą dla serca biednej żony. Ileż łez wspólnie wylanych, ile życzeń wynurzonych dla jej szczęścia! Pożegnanie, ze strony matki szczególnie, było rozdzierające. Po tylu latach życia wspólnego, z jednymi myślami, z jednymi sekretami, z jednymi zwyczajami, w sympatyi niczem nie przyćmionej, której przykładu nie widziałem jeszcze, nie mogła się przyuczyć do myśli osobnego domowego życia, i zapominając, że ma jeszcze 3 córki, myślą i sercem goniła tylko za ulubioną swoją Michasią, snując rozmaite plany najprędszego połączenia się z nią. Lecz godzina rozstania nadeszła, urlop się kończył; odebrawszy przeto błogosławieństwo rodziców, puściliśmy się na Kutno do Warszawy, dokąd pani Kościelska wkrótce przybyć także obiecała.

Zastaliśmy nasze mieszkanie w jak najlepszym porządku, ludzi gotowych do naszej usługi, pokoje ogrzane i oświetlone, herbatę zastawioną. Spodziewałem się sprawić żonie przyjemne wrażenie pierwszym takim wstępem do własnego domu. Lecz ją widok ten mało zająć potrafił, tęsknota za matką wszystkie inne wrażenia przemogła. Nazajutrz, zameldowawszy się W. księciu, objąłem napowrót służbę moją.

Daleko od szkoły mieszkałem, a o 7 godzinie zrana musiałem już być na katedrze. Bawiłem tu do godziny 12. O wpół do pierwszej powracałem do domu i posiliwszy się przy żonie śniadaniem, o wpół do drugiej wracałem do szkoły, gdzie do godziny 5 wieczór bawiłem. Obiad nasz był o 5. Od 6 do 8 zatrudniałem się układaniem tekstu do litografowanych kursów i pracami dyrekcji. Dopiero o 8 byłem wolny i mogłem się oddać towarzystwu żony. Taki sposób życia, pracą zapełniony, na godziny wymierzony, nie mógł się podobać młodej osobie, nie przywykłej do zatrudnienia, i zadziwić ją musiał po tem, co w Szarleju widziała. Nim znajomości nowe zawarte zostały, nim dawne odnowione, cały czas mojej nieobecności trawiła w samotności nieznośnej dla młodej osoby. Nie mając sama wyobrażenia o zatrudnieniach domowych i o użytecznem zajęciu się, smutnym oddana myślom, wyglądała z utęsknieniem mego powrotu. Wypadło koniecznie zapobiedz skutkom takiej tęsknoty, przez zbliżenie żony do osób tych, od których przed ślubem tyle doznawałem względów i przyjaźni. Zawiozłem więc naprzód żonę do pani wojewodziny Gutakowskiej, najpoważniejszej matrony warszawskiej i uprosiłem ją, aby raczyła zająć się prezentowaniem jej w celniejszych domach towarzystwa warszawskiego. Wprzód jednak prosiłem księżnę Łowicką o pozwolenie przedstawienia jej żony. Księżna przyjęła ją w pałacu Bryłowskim z wielką uprzejmością, nie jak obcą osobę, lecz jak miłą krewną. Niemniej łaskawie przyjętą została w innych domach. Nie było wprawdzie zamiarem naszym oddać się zupełnie światowości: ani zdrowie żony ani moje zatrudnienia nie byłyby tego dozwo-

liły, lecz miło mi było widzieć żonę w chwilach wolniejszych otoczoną osobami, w których charakterze pokładałem wszelkie zaufanie i które żonie służyć mogły za pewne wzory i przewodniki w nowych stosunkach, które położenie moje wskazywało. W myśli mojej postanowiłem jednakże żonę, ile możności, jak najdalej trzymać od Kutnowskiej koteryi, której ton i zasady nie podobały mi się oddawna z powodu, iż niejedna młoda mężatka do niej wprowadzona, złym przykładem odwróconą została od obowiązków swoich, a także z wielu innych, równie ważnych powodów.

W parę tygodni, po naszym ulokowaniu się w Warszawie przybyła także pani Kościelska, niewypowiedzianą tęsknotą za córką wiedziona, w stanie nerwowym, trudnym do opisania. Listy, które przez ten czas między matką i córką zamieniono, tak były egzaltowane i przesadzone w uczuciach, że zaczął się ich skutku na umysł i przywiązanie żony do mnie obawiać. Znośniejszą mi się zdawała przytomność pani Kościelskiej. Stała się nie u nas, lecz w hotelu Wileńskim, i zaraz po swoim przyjeździe powróciwszy do zdrowia i uspokojona cokolwiek po pierwszym wrażeniu, zaczęła się zajmować ze zwykłą swoją żywością nowymi strojami, czepkami, blondynami i t. d. Zaraz też chałaśliwiej zrobiło się w naszym domu.

Tymczasem cesarz z cesarzową i z całym dworem stanął w Warszawie pierwszych dni maja i sejm pierwszy za panowania swego dnia 13. maja zagał. Na powitanie jego przybył z Berlina następca tronu pruski, książę Fryderyk Wilhelm (późniejszy król), w towarzystwie sławnego podróżnego, Aleksandra Humboldta, który co dopiero powrócił z wielkiej wycieczki do średniej Azji i Orenburga, i generała inżynierów, Raucha. Następowaly po sobie parady, rewie, przedstawienia, obiady, bale, na których z obowiązku musiałem być. Na jednym z nich u prezesa senatu, Zamoyskiego, W. książę zaprezentował mnie Aleksandrowi Humboldt'owi, z którym zajmującą o jego ostatniej podróży miałem rozmowę.

Znalazłem w nim rzeźwego starca, pamięcią nadzwyczajną obdarzonego, lecz wiele mówiącego o sobie, nad wszelką miarę. Żona prezentowana nie bywszy u dworu, nie mogła w tych wszystkich uroczystościach brać żadnego udziału. Tylko przy zagajeniu sejmu była przytomną, a strój, który tego dnia miała, utwór gustu matki, uderzył wszystkich świeżością i doborem ozdób.

Szkolę aplikacyjną spotkał w tym czasie zaszczyt odwiedzin ze strony księcia pruskiego. Przybył do nas z Humboldt'em i z jenerałem Rauch'em niespodzianie o 9 godzinie zrana i bawił dwie godziny, wypytując się o wszystkie szczegóły kursów i niepospolitą okazując znajomość wyższych nauk, u nas dawanych. Poważna powierzchowność pułkownika Sowińskiego uderzyła go odrazu, a gdy się dowiedział, że w wojsku pruskiem służył i ozdobę *pour le mérite* na piersiach spostrzegł, jeszcze bardziej uprzejmym, a nawet serdecznym stał się. Ujął nas wszystkich rozumem i łagodnością. Pokazaliśmy mu modele nasze, rysunki uczniów i tak czas zszedł do godziny 11, gdy zadyszani fligeladjudanci cesarscy, po długiem szukaniu znajdują księcia nareszcie i meldują, iż cesarz i W. księżę z paradą na niego czekają. Dopiero wtedy nas pożegnał temi słowy: »czemuż mnie od was odrywają; mnie tu tak dobrze, byłbym chętnie z wami dłużej pozostał«.

Później dowiedziałem się, iż Humboldt przez cesarza o naszą szkołę w przytomności W. księcia zapytany, zachwalał ją, twierdząc, że znalazł w niej wszystkie nowe metody, używane w szkole politechnicznej paryskiej. »A przecież to są biali Jakobini« — taka była odpowiedź W. księcia i taką nagrodę zyskaliśmy z jego ust za dziesięcioletnie prace nasze! W końcu bytności swojej cesarz z cesarzową, w poniedziałek po Zielonych Świątkach, brali udział w zabawach ludu na Bielanach i w powozie otwartym pomiędzy wesołymi tłumami, trzymając się rzędu powozów, wolno przejeżdżali, kłaniając się mile na wszystkie strony. Zdawało się, jakby zaufanie pomiędzy królem i ludem powróciło: tyle oznak życzli-

wości odbierali cesarstwo po drodze. Przystojna wesołość ludu, piękność kobiet, ich stroje wiosenne, uderzyły cesarstwo.

Po wyjeździe N. Pana doprowadziła żona do skutku zamierzoną podróż do Ems w towarzystwie matki, tak, jak było dawniej umówione, dla poratowania biednych piersi swoich. Darowane jej przez ojca 500 talarów na poczet jej rocznej pensji, obrócone zostały na tę daleką podróż. Po kuracyi w Ems miała się udać w okolice Heidelbergu i tam używać kuracyi winogronowej. Podróż cała miała zabrać 4 miesiące, spodziewałem się więc jej powrotu w końcu października. Lecz nieprzewidziany zbieg okoliczności, a przytem niewyrozumiałość pani Kościelskiej na nasze położenie wzajemne, spowodowało znaczne opóźnienie podróży; uwięzły w Dreźnie, rewolucya Listopadowa zastała ich w Szarleju i dopiero na początku roku 1831 połączyłem się z żoną. Zostałem więc na nowo samotnikiem i nim 6 miesięcy pozostać miałem.

W końcu sierpnia nastąpiły egzamina, a po nich zwykłe promocye ¹⁾).

Tymczasem oddany na nowo usilnej pracy i korespondencyi częściej z żoną, mało się zajmując stanem politycznym kraju, nie przeczuwałem, jaka się nawałność zbiera nad naszymi głowami; nie przeczuwałem, że i moje położenie wkrótce zupełnie się zmieni.

¹⁾ Postąpili na wyższe stopnie: Leszczyński do 1. pułku ułanów; Krukowski do kwatremistrzostwa jeneralnego; Kierwiński do artyleryi pieszej; Klicki do artyleryi konnej i Zboiński do artyleryi pieszej.

Rewolucya Listopadowa zastała w szkole następujących uczniów, których nazwiska są mi przytomne (kilku nowo - przybyłych z Kalisza już nie pamiętam): Garczyński, brat poety, umarł w grudniu 1830 r.; Józef Hauke, Maurycy Potocki, Krasiński, brat pani Janowej Mattelskiej, August Zamoyski, Redel Władysław, Czarnowski, Mianowski, Szczepanowski, Ulidowicz, Gutowski, Bontemps Konstanty, Stokowski, Rusiecki, Wasilewski, Kleczkowski, Siekiński, Frankowski, Jabłonowski, Sauvé i Krysiński.

Na początku sierpnia, jak grom z spokojnego nieba, spadła na Warszawę wiadomość o rewolucyi Lipcowej w Paryżu; w cztery tygodnie później o rewolucyi Brukselskiej, nareszcie o poruszeniach rewolucyjnych w Brunszwiku, Lipsku, Kassel, Dreźnie i innych niemieckich miastach. Pomimo czujnego oka policyi wiadomości te z ust do ust przechodząc, umysły oddawna rozdrażnione poruszać zaczęły. Tam, gdzie tyle palnych materiałów nagromadzonych było: w wojsku, w izbach sejmowych, w uniwersytecie, w ludzie nareszcie warszawskim, obawiać się było można rychłego naśladowania scen, które zakrwawiły bruki Paryża i Brukseli. Najmniejsza iskra była dostateczną.

Rewolucya
Lipcowa
w Paryżu.

W. książę z księżną Łowicką w czasie rewolucyi Lipcowej znajdował się, ile pamiętam, w Dreźnie. Nie pospieszył on zaraz do Warszawy dla zneutralizowania przytomnością swoją zamiarów, oddawna mu nie tajnych i zaradzeniu zawczasu grożącej burzy; a było to błędem z jego strony. Powrócił dopiero w październiku. Bliższe mu osoby i powiernicy mówili o silnem wrażeniu, jakie niespodzianie paryskie wypadki zrobiły na umyśle jego i o pewnem zwątpieniu, malującym się w całym postępowaniu. Jakaś nieznana dotąd łagodność i wyrozumiałość w służbie i we wszystkich stosunkach zastąpiła dawną porywczosć. W. książę uskarżał się publicznie na zdrowie, twierdził się zmęczonym i wzdychał za spokojnością. Często mówił, że ma lat 40 służby, że czas mu myśleć o odstawce i że cesarza o uwolnienie od obowiązków już dawno prosi. Przejeżdżając pewnego razu około koszar wołyńskich, melancholicznie na nie spojrzął i do adjutanta te słowa wyrzekł: »Wiem, co mnie czeka w Warszawie — niech się dzieje wola Boska -- najbardziej chodzi mi o tych poczciwych ludzi!« Domownicy powiadali sobie do ucha, że niebezpieczeństwo musi być bliskie, kiedy W. książę tak dalece w zapale zwolniał.

W tym czasie zaczęły się rozchodzić wśród publiczności warszawskiej wieści o zamiarach cesarza przeciw Francyi,

o zawartem przymierzu z Austryą i Prusami, o postawieniu korpusów polskiego i litewskiego na stopie wojennej, o danem poleceniu księciu Lubeckiemu przygotowania znacznej sumy z depozytów bankowych, o składach ogromnych amunicyi, nagromadzonych w Modlinie. Świadomszy rzeczy przekonani byli, iż dopiero wiosna coś stanowczego w tej mierze wykryje, wątpili nawet, aby cesarz Mikołaj chciał stanąć na czele nowej koalicji przeciwko Francji dla przytłumienia rewolucyi już dokonanej, która prócz zmiany w dynastji, innych za sobą złych skutków nie pociągnęła dla społeczności europejskiej.

Tymczasem groźne oznaki, zwiastujące i u nas bliską burzę, spostrzegać się dawały w atmosferze warszawskiej. Fizyognomia miasta inną przybierała postać; widać było wiele nowych i śmiałych na ulicy twarzy. Mówiono w mieście o nabożeństwie przez akademików sprawionem, za dusze poległych na Pradze. Naczelnicy towarzystw tajnych, korzystając z niebytności W. księcia i z połączenia wojsk wszystkich w obozie, pracowali usilnie nad skojarzeniem umysłów ku swoim celom. Kilka aresztowań pomiędzy oficerami i akademikami uwagę moją zwróciło. Wiedziano wśród publiczności, iż nowa komisya śledcza, na czele której stał generał Stanisław Potocki, ustanowiona, i że badania już rozpoczęte. Mówiono, iż rząd jest na drodze wielkich odkryć. Wiedziano także, iż w garnizonie warszawskim od powrotu W. księcia niezwykle przedsięwzięto środki ostrożności. Bataliony, składające tenże garnizon, miały wyznaczone sobie 2 alarmowe place: z każdego pułku jazdy jeden szwadron miał konie posiadłane w nocy. Oficerowie gwardji rosyjskiej dość jawnie mówili, że jeżeli wojsko polskie wierności cesarzowi dochowa, wówczas niczego obawiać się nie potrzebują i każdy ruch uliczny wspólnie z wojskiem polskim w zarodzie stłumić potrafią; w razie przeciwnym uważali się za ludzi straconych.

Garnizon warszawski tej jesieni składał się z następujących oddziałów: z pułku grenadyerów polskich gwardji (dwa bat.), kom. generał Żymirski; pułku grenadyerów litewskich

gwardyi (dwa bat.), kom. generał Engelmann; pułku strzelców pieszych wołyńskich gwardyi (dwa bat.), kom. generał Essaków; z batalionu saperów (jeden bat.), kom. podpułkownik Maykowski; z 4 pułku piechoty (dwa bat.), kom. pułkownik Bogusławski; z 12 kompanii skombinowanych grenadyerów, i trzech batalionów nadto, razem piechoty 12 batalionów = 9,600 ludzi.

Na kawaleryę składały się: pułk strzelców konnych gwardyi (cztery szw.), generał Kurnatowski; pułk kirasyerów podolskich gwardyi (cztery szw.), generał Knorring; pułk ułanów gwardyi (cztery szw.), generał Markow; pułk huzarów grodzieńskich gwardyi (cztery szw.), generał Strandtmann. Razem 16 szwadronów = 2,400 koni.

Ponadto: bateria artyleryi konnej gwardyi, podpułkownik Chożewski. Szkoła podchorążych pieszych, pod komendą podpułkownika Olędzkiego, składała się z 300 młodych ludzi z rozmaitych pułków polskich i rosyjskiej gwardyi i linii. Szkoła podchorążych konnych z 200 młodych ludzi, pod komendą podpułkownika Czarnomskiego, podobnie z pułków polskich i rosyjskich wybrana; nareszcie ze szkoły aplikacyjnej i ze szkoły podoficerów artyleryi, która miała przytem 4 działa.

W. księżę do ostatniej chwili polegał na wojsku polskiem, a w szczególności na ulubionym swoim 4 pułku piechoty i na saperach, którym tyle przed innymi pułkami wyświadczał łask; nie przypuszczał on nigdy, aby niebezpieczeństwo jakie z tej strony mogło mu grozić, i cesarza w raportach swoich zapewniał najuroczyściej, iż bądźco bądź, na wierność wojska polskiego liczyć zawsze można.

Gdyby się nie był sam tak mocno utwierdzał w tej myśli, jeszcze w październiku miał w ręku środki zapobieżenia wszystkim zamachom sprzysiężonych. No to potrzebował tylko sprowadzić do Warszawy dywizję korpusu litewskiego, a przynajmniej brygadę grenadyerów i karabinierów, z 9 batalionów złożoną, z odpowiednią artylerją, w miejsce skombinowanych grenadyerów polskich, których należało rozpuścić do własnych pułków; ściągnąć 20 dział artyleryi rosyjskiej gwardyi do

Warszawy ze Skierniewic i z Góry; odesłać w miejsce bezpieczne 30,000 sztuk broni i kilkanaście armat, zachowanych w arsenale warszawskim, np. do Modlina; zająć Modlin kilkoma batalionami korpusu litewskiego, pod energicznym dowódcą; przeprowadzić dorywczymi środkami tę twierdzę do stanu obronnego, zaopatrzyć ją w artylerję, amunicję i żywność na 3-miesięczne oblężenie, a to wszystko pod pozorem grożącej wojny ze strony Francji; a w samejże Warszawie lepsze zachować środki ostrożności, jakoto skoncentrowanie pułków piechoty rosyjskiej gwardyi bliżej Belwederu. Na widok takich sił i takich środków ostrożności, nie byłiby się odważyli naczelnicy ruchu na niepewny skutek walki ulicznej i pewnie byłiby zaniechali swoich zamiarów.

Inaczej chciało przeznaczenie!...

— ❧ KONIEC KSIĘGI III. ❧ —

Crypt.
[Signature]



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

36024/2 ks.1-3



12-036024-000-0